

AMBER - SENSACJA 1994

wkrótce:

FETER BENCHLEY

Szczęki Wyspa

ANTHONY BRUNO

Parszywy interes Parszywy księżyc CLIVE CUSSLER Afera śródziemnomorska KEN EOLLETT

niebezpieczna fortuna Papierowe pieniądze COLIN EORBES Terminal

FREDERICK FORSYTH

Czwarty protokół Czysta robota Pięść Boga STEFHEN GALLAGHER Chimera JAMES GRADY

Cień Kondora Sześć dni Kondora JACK HIGGINS nieubłagany wróg

Rok Tygrysa Skała Wichrów ROBERT LUDLUM Manuskrypt Chancellora Pakt Holcrofta

Testament Natarese'a KEN McCLURE Kryzys

Szpital śmierci MARC OLDEN

Oiri

JUSYTIN SCOTT

Licytacja

CHARLES D. TAYLOR

Cień zemsty LESLIE WALLER Amerykanin Tango Hawana STUART WOODS Prawa Santa Fe

Szeryfowie Wielki bluff RAFAEL YGLESIAS Bez lęku

Tytuł oryginału VENGEANCE

Autor ilustracji STEVE CRISP

Opracowanie graficzne IMI design studio / prepress

Redaktor HANNA KUŹNIARSKA

Redaktor techniczny ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1991 by the Hunt Literary Agency BV. All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-318-1

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. Warszawa 1994. Wydanie I Druk: Drukarnia Wydawnictw

Naukowych S.A. w Łodzi

Dla Patsy i innych pokrewnych dusz

o

1978

Niebo było jak z porcelany, niewzruszenie błękitne, z ogromną, pomarańczową kulą popołudniowego słońca: wyglądało, jakby je w piecu wypalono. Morze u stóp willi lśniło niczym wypolerowane szkło; jego powierzchni, spokojnej i gładkiej, nie mąciła najdrobniejsza choćby zmarszczka. Powietrze stało, najmniejszy powiew nie zakłócał bezwładu. Nawet cykady chwilowo zamilkły w tym drzemającym od upału świecie. Różowy marmur tarasu był tak gorący, że parzył stopy.

Pokój natomiast tchnął ożywym chłodem. Pałace białe światło słońca rzeźbiło ostre kontury na zewnątrz, podczas gdy w środku panował lekki półmrok, w którym rysowały się cienie.

Tom Lambert był sam w pokoju, założył do projektora dziesięcio-milimetrową taśmę i na ekranie ożył migotliwy obraz jakichś trupiobladych postaci. W kadrze pojawiło się dwoje ludzi —

dziewczyna o śniadej skórze Polinezyjki i mężczyzna, który przyglądał się jej, osłaniając oczy od słońca. Obydwoje byli nadzy. Na kolanach mężczyzny leżał ręcznik, a dziewczyna miała na sobie jedynie dolną część bikini. Ale nie ich nagość przyciągała uwagę, lecz maski, które zakrywały im twarze. Maski dziewczyny, dość wyzywająca, była z rodzaju tych, jakie zakłada się na bal: papier mâché skrzył się brokatem. Wymodelowana w kształcie motyla, zakrywała górną część twarzy, pozostawiając nie osłonięty podbródek z dołkiem i pełne zmysłowe usta. Widać było ciemne śródziemnomorskie oczy. Podobnie jak bawełniany strzępek tkaniny, który okrywał jej biodra, maska

9

skrywała i zdobiła ją zarazem. Maski mężczyzny natomiast budziła odrazę. Czarny jedwab z rozcięciami na oczy i usta mocno opinał górną część głowy i luźno opadał na szyję. Jego maska skrywała wszystko, za nią czaiła się lubieżność.

Tom już wiedział, co teraz nastąpi. Znał ten film na pamięć. Przez osiem miesięcy oglądał go setki razy, klatka po klatce. Szok z wolna mijał, lecz ból pozostał. Ból i wściekłość zapadły w niego na zawsze. Dziewczyna na ekranie kołysała rytmicznie biodrami, jak gdyby w takt muzyki. Film nie miał ścieżki dźwiękowej, nie było nic słyhać. Projekcji towarzyszył jedynie odgłos taśmy filmowej przesuwającej się ze szpuli na szpulę.

Tańczyła. Był to powolny zmysłowy taniec. Jej pełne piersi kołysały się w rytm ruchów bioder. Znalazła się teraz blisko mężczyzny. Siedział odchylony do tyłu, z ręką na stoliku. W lewej trzymał kieliszek wina. Kiedy dziewczyna zbliżyła się, uniósł kieliszek w toaście. Uśmiechnęła się. Poruszyła ustami — coś mówiła, a może śpiewała? Tego Tom nie był pewny, choć znał na pamięć każdą klatkę filmu. Odrzuciła do tyłu głowę, biodra wypchnęła do przodu, dłońmi pieściła swoje piersi gestem niedwuznaczonej zachęty. Jej skóra lśniła.

Mężczyzną odstawił kieliszek i wyciągnął do tańczącej lewą rękę. Przygarnął dziewczynę do siebie, ona przylgnęła do niego, przyciskając jego odrażającą głowę do swego ciała i pochylając się tak, by mógł ssać jej pierś.

Ręcznik zsunął się z kolan mężczyzny, odsłaniając jego prawą rękę, którą gładził nabrzmiały członek.

Tom przymknął oczy. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Dłonie zacisnął w pięści, potem je rozwarł i z powrotem zacisnął. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Otworzył oczy zmuszając się, by patrzeć. Kiedy mężczyzna zsuwał jej z bioder bikini, dziewczyna wiła się i ocierała o niego, wbijając mu w plecy paznokcie prawej ręki. Tom widział blade półksiężycy pośladek. Teraz odwróciła się, ukazując krzaczastą kępkę czarnego owłosienia na wzgórku łonowym. Zrzuciwszy bikini, rozchyliła nogi. Ramię mężczyzny poruszało się niczym tłok, gdy zagłębił w niej. Jeszcze bardziej odchylił się do tyłu, stopy wysunął przed siebie, penis sterczał pionowo. Dziewczyna weszła na niego okrakiem. Rozchylając jedną ręką swe wejście, a drugą gładząc pieszczotliwie piersi, wzięła go w siebie.

Nagle pojawiła się nowa postać. Na ekranie tańczył inny mężczyzna, był również nagi, nosił jedynie groteskową maskę ze skóry i kości, przypominała łeb dziwnego zwierzęcia o przerażająco długich kłach. Jeszcze jeden facet z twarzą pomalowaną jak u błazna, wskoczył

10

w środek kadru, onanizując się obiema rękami. Kamera poszerzyła plan ukazując więcej postaci — cztery, pięć, sześć, wszystkie nagie i w maskach. Jedna z nich, Murzynka, stanęła na czworakach w pozycji psa, a jakiś samiec brał ją w akcie sodomii.

Tom nie dostawał już torsji na ten widok. Kiedy oglądał film po raz pierwszy, zrobiło mu się niedobrze. Ale to minęło. Nie czuł obrzydzenia ani oburzenia, nie dokuczała mu już świadomość zdrady, pozostała jedynie wściekłość i niepohamowana żądza zemsty.

Bardziej interesowała go teraz sceneria niż postacie. Widać było ten sam taras, który znajdował się

na zewnątrz willi, gdzie Tom Lambert obecnie przebywał. Gdyby rozsunał zasłony i otworzył przesuwne szklane drzwi, mógłby stąpać po tym samym różowym marmurze i spoglądać w dół na to samo morze. Pozostał jednak na swoim krześle. Z twarzą ściągniętą grymasem wściekłości i z pragnieniem zemsty wpatrywał się w ekran i wspominał czasy, gdy po raz pierwszy wszedł na ten taras.

1969

Zależało mu bardzo, by nie okazać, iż sprawia to na nim wrażenie. Ale nie przyszło to łatwo, nie rozpoczynał bowiem dnia od jazdy na lotnisko Heathrow rolls royce'em z kierowcą. Przelot prywatnym odrzutowcem na jedną z wysp greckich również odbiegał od jego codziennych zajęć. Kiedy zatelefonował do niego Maurice Stanton, proponując spotkanie, Tom zareagował ze złością: — To bezcelowe. Złożyłem rezygnację — powiedział z rozgoryczeniem.

Ale Stanton nalegał.

— Proszę jedynie, by poświęcił mi pan kilka godzin swojego czasu. Bardzo pana proszę, panie Lambert.

W końcu Tom się zgodził. Dopiero gdy później zadzwoniła do niego sekretarka Stanton, by potwierdzić spotkanie, Tom dowiedział się, gdzie spędzi kilka najbliższych godzin. Dotychczas był przekonany, że spotkanie ze Stantonem odbędzie się w Londynie.

— Ależ nie — sekretarka Stanton wydawała się zaskoczona. — Pan Stanton oczekuje pana na wyspie Kariakos.

— Gdzie mnie oczekuje?

— Na Kariakos. To wyspa na Morzu Egejskim. Grecki rząd wydzierżawił ją panu Stantonowi przed kilkoma laty.

— Pani żartuje.

— Ani mi w głowie żarty. Pan Stanton całkiem jednoznacznie określił miejsce spotkania.

Z trudem otrząsał się ze zdumienia.

12

— Ależ to niewiarygodne! Mam jechać na jakąś grecką wyspę?

Przecież to szaleństwo. Dlaczego nie może się ze mną spotkać w Londynie?

Sekretarka Stanton nie należała do osób, które łatwo ustępują. Gdyby nie ton, można by jej odpowiedź uznać za reprimendę.

— Pan Stanton rzadko teraz odwiedza Londyn — powiedziała łagodnie. — Kariakos to obecnie coś w rodzaju jego stałej rezydencji. Oczywiście latem. Zimą woli spędzać w St Moritz.

Tom wolał spędzać zimę w St Pancras i zakomunikował jej to. Czemu miałby się hamować?

Stanton nic dla niego nie znaczył. Nie odczuwał potrzeby imponowania Stantonowi. Irytowało go jego natręctwo. Wszystko szło dobrze, dopóki nie wmieszał się w to Maurice Stanton. Tom żałował, że zgodził się z nim spotkać. Powinien był odmówić. Byłby odmówił, gdyby miał choć cień pomysłu na to, co dalej robić. Ale rezygnację złożył tak nagle, że nie starczyło mu czasu zastanowić się nad przyszłością.

Sekretarka Stanton miała dar przekonywania równy temu, jaki posiadał jej chlebodawca. —

Przecież wasze spotkanie nie musi trwać długo — uspokoiła Toma. — Możemy tam pana podrzucić samolotem we wtorek i odwieźć z powrotem w środę, jeśli zależy panu na czasie.

Ten lot odrzutowcem kojarzył się Tomowi z filmami o Jamesie Bondzie. Przelot prywatnym samolotem był dla niego nowym doświadczeniem, tym bardziej że miał go do swojej wyłącznej dyspozycji, gdyż bez wątplenia learjeta wysłano tylko po niego. Proporcja jeden pasażer na dwóch pilotów raziła jego duszę księgowego, lecz komfortowi sześciomiejscowej kabiny nie można było niczego zarzucić. Dywan był gruby na dwa cale, wewnątrz wyłożone boazerią z polerowanego mahoni. Wystrój sprawiał wrażenie komfortu i dyskretnej elegancji. Po obu stronach marmurowego stolika stały naprzeciw siebie półkoliste fotele, co przypominało foyer ekskluzywnego klubu.

Kiedy się wznieśli w powietrze, do kabiny wszedł młodszy pilot, by podać kawę. Wcześniej, na

Heathrow przedstawił się jako Gregg Richards. Mówił z akcentem przypominającym z lekka australijski. Był mniej więcej w wieku Toma, lecz na tym podobieństwo się kończyło. Tom był wysoki, mierzył sześć stóp i dwa cale, podczas gdy Richards był tak niski, iż Tom zaczął się nawet zastanawiać, czy wzrost nie stanowi warunku przyjęcia do zawodu lotnika. Tom był szatynem, Richards miał włosy jasne, z przedwcześnie postępującą łysiną, co stało się widoczne, gdy zdjął czapkę. — Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? — zapytał. — Może szampana albo szkocką? Tom potrząsnął przecząco głową. Odłożył egzemplarz „Financial

13

Timesa" na dobrze zaopatrzoną w czasopisma półkę. Znajdowała się tam większość tytułów brytyjskich dzienników, a także najświeższe wydanie „Time'a", „Newsweeka", „Economista". Czytania co najmniej na tydzień, pomyślał popadając w zadumę nad polityką finansową Stanton, który w ogóle nie liczy się z pieniędzmi.

— Proszę tylko kawę — powiedział Tom sadowiac się wygodnie w fotelu. — O której będziemy na miejscu?

Richards nie usiadł, choć w kabinie było pięć wolnych miejsc. Zachowywał się z pogodną usłużnością, bez cienia służalczości.

— Łądujemy w Atenach w południe — odparł. — Obiad dla pana zamówiłem w Pireusie. — W uśmiechu pilota pojawiło się jakby poczucie winy. — Nikt nie przyjeżdża do Grecji dla tamtejszej kuchni, ale znam jedno dobre miejsce. Prowadzi je niejaki Constantin. On się panem zajmie, a ja w tym czasie przygotuję „Helenę".

— „Helenę"?...

— To nasz hydroplan. Stoi teraz w Pireusie. Tom był przekonany, że lecą prosto na Kariakos.

Richards zaprzeczył.

— Niestety, nie. Nie ma tam pasa startowego. Kariakos jest niewielką wyspą. Wydaje mi się, że pan Stanton pragnie zachować przyrodę w stanie nienaruszonym. Kiedyś chcieliśmy go namówić na kupno helikoptera, ale odmówił. Woli „Helenę" albo „Afrodytę".

Tom uniósł brwi. — Czy „Afrodyta" to też hydroplan?

— Nie. To jego jacht. Widzę, że nie miał pan jeszcze okazji go obejrzeć.

Tom potrząsnął przecząco głową.

— Coś wspaniałego! Osiemdziesiąt stóp długości. Prawdziwy jednożaglowy statek oceaniczny. Robi dwadzieścia węzłów i ma wszelkie możliwe bajery. — Richards dał się porwać entuzjazmowi, co sprawiło, że ubyło mu jakby lat, tak że wyglądał teraz na dziewiętnastolatka. Ale natychmiast przypomniał sobie o swoich obowiązkach.

— Kariakos leży w odległości godziny lotu od Pireusu — wyjaśnił. — Tak więc, odliczając trochę czasu na pana obiad i pobieżny przegląd, jaki będę musiał przeprowadzić na „Helenie", dotrzemy na miejsce około trzeciej po południu.

Tom odetchnął. Opuściła go już wściekłość spowodowana złożeniem rezygnacji. Trudno być agresywnym w obecności profesjonalisty o tak nienagannych manierach, a komfortowy lot miał w sobie coś kojącego. Luksus nadal był dla Toma nowością, wciąż odczuwał wobec niego nieufność. Miał zasadę, że z luksusem jest tak jak z dobrą whisky: można z niego korzystać, ale należy zachować miarę. A Stanton

14

bez wątpienia nie zna umiaru — te jego odrzutowce i oceaniczne jachty! Jeżeli Richards postawił sobie za cel rozpalić w Tomie zawiść, to zamysł spalił na panewce. Tom zawsze był nieufny wobec ludzi zbyt ulegającym własnym słabościom, a Stanton, widać, folguje swym kaprysom bez żadnego ograniczenia. Tom nic o nim właściwie nie wiedział i nie znał nikogo, kto cokolwiek by o nim słyszał.

Odmówił śmietanki do kawy. Postanowił wyciągnąć z Richardsa więcej wiadomości o Stantonie.

— Nie miałem jeszcze okazji spotkać się z panem Stantonem — zaczął. — Co to za człowiek?

— Jest niezwykle. Niepowtarzalny!

— Jak należy to rozumieć?

Richards rzucił poprzednie słowa bez namysłu. Teraz twarz mu pociemniała z zakłopotania. Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć, aż wreszcie rzekł: — On inaczej patrzy na życie. Kieruje się własną filozofią.

Zaintrygowany Tom dalej naciskał na Richardsa, ale pilot miał świadomość, że i ostatni komentarz był trochę nie na miejscu.

— Niedługo pozna go pan osobiście — odparł wzruszając lekko ramionami. — My zresztą również nie widzimy go zbyt często. Większość czasu spędzamy dowożąc i odwożąc gości. Pan Stanton rzadko kogo odwiedza. To inni przyjeżdżają do niego.

Nie powiedział nic więcej i wrócił do kabiny, pozostawiając Toma z poczuciem winy, że zadał za dużo pytań. Tom był poirytowany tą świadomością. „Do diabła, chciałem się tylko dowiedzieć czegoś, co pomogłoby mi go rozgryźć” — pomyślał. Nazwiska Stanton'a nie znalazł w Who's Who. Rozpytywał o niego już wcześniej, ale nie znalazł nikogo, „kto mógłby udzielić informacji.

Przeczesując palcami włosy, Tom usiłował raz jeszcze odgadnąć intencje Stanton'a. Ten człowiek zadał sobie tyle trudu. I poniósł już spore wydatki. „Wszystko na nic, jeśli ma zamiar nakłonić mnie do powrotu do Bolton Automation, na nic jego zakusy, nic mnie do tego nie skłoni.”

Aż do końca minionego tygodnia Bolton Automation było całym życiem Toma Lamberta. Mówiąc bardziej dokładnie: spędził tam siedem lat życia. Siedem lat znoju i łez — uwieńczonych triumfem. Nie zdając sobie z niczego sprawy, zatrudnił się w przedsiębiorstwie, które stało na skraju bankructwa. Miał dwadzieścia jeden lat i od razu otrzymał stanowisko zastępcy głównego specjalisty od spraw finansowych. Wielka sprawa, tak wtedy myślał. Już po tygodniu wiedział, że firma stacza się po równi pochyłej. Po miesiącu przedstawił swój pierwszy raport dotyczący reorganizacji. Naszły go wspomnienia,

15

a z nimi poczucie, że wszystko to minęło bezpowrotnie. Rana wciąż jeszcze była świeża.

Przed siedmiu laty nawet nazwa firmy była inna — The Bolton Typewriter Company Ltd — czołowy brytyjski producent maszyn do pisania i sprzętu biurowego. Tak przynajmniej głosił napis na firmowym papierze. Wszystko to kłamstwo. Cały ich sprzęt był przestarzały i coraz bardziej nie dorównywał konkurencji. Firma ciągnęła duże zyski zaraz po wojnie, ale tylko do czasu, dopóki przemysł niemiecki nie stanął na nogach. Wkrótce po pierwszych volkswagenach ruszyła produkcja maszyn do pisania i innych urządzeń biurowych. Znacznie lepszych od tego, co wytwarzano u Bolton'a. Potem nastąpiła ofensywa Amerykanów, z IBM na czele. Tom eksploatował się do granic możliwości. W biurze żartowano, że jest jak zaraza, nic się przed nim nie uchroni. Ale dla Toma to nie były żarty. Wkładał w pracę całą duszę.

Stworzył projektantom lepsze warunki do opracowywania bardziej funkcjonalnych, lepiej się prezentujących maszyn do pisania, sumatorów, kalkulatorów...

Rozmyślania nad przeszłością popsuły Tomowi tylko humor. Wszystkie te lata spędzone w halach produkcyjnych, tygodniami ciągnące się pertraktacje z dealerami, by namówić ich do rozprowadzania sprzętu Bolton'a, niezliczone narady, na których zastanawiano się, jak przemienić straty w zyski... A wszystko po to, by w końcu cichcem sprzedać przedsiębiorstwo. Na wspomnienie tego Tom aż zatrząsł się z oburzenia.

Właściciele sprzedali przedsiębiorstwo firmie Excel Machines. Toma nikt nie spytał o zdanie.

Dowiedział się o tym dopiero, gdy w jego biurze pojawili się pierwsi ludzie z Excela. Gotując się ze wściekłości, bez zastanowienia złożył natychmiast wymówienie. Następnego dnia zadzwonił do niego Maurice Stanton. Tom pomyślał wówczas, że właścicielem Excela jest sir Bernard Edwards, ponieważ Edwards był prezesem zarządu. To on pisywał pompatyczne artykuły do „Timesa”, on stwarzał wokół siebie aurę właściciela firmy.

— Otóż nie — stwierdził w rozmowie telefonicznej Stanton. — Firmę założył mój ojciec, a ja zawsze miałem pakiet kontrolny jej akcji.

Tom sprawdził w rejestrze firm, czy taki tam figuruje. Kim w takim razie jest Stanton? Ma niewielkie biuro przy Jermyn Street, sekretarka jednak okazała się uosobieniem dyskrecji.

— Pan Stanton prowadzi różne interesy w Europie — powiedziała tylko, i żadna siła nie skłoniłaby jej do ujawnienia więcej szczegółów.

Tom węszył, gdzie mógł. Excel powstał rzeczywiście w roku 1880,

16

rozsądnie więc było przyjąć, że ojciec Stanton, który założył firmę, już od dawna nie żyje, a syn musi być co najmniej w wieku średnim. Tom nie potrafił niczego więcej się dowiedzieć.

Stanton jest właścicielem jachtu. Prawdziwie oceanicznego jachtu. I do tego jeszcze tej greckiej wyspy. Tom usiłował sobie wyobrazić, z jakiego rodzaju człowiekiem przyjdzie mu się spotkać.

Przyszedł mu na myśl Onassis, grecki potentat żeglugowy. On też ma jachty i jakąś grecką wyspę. Ale Onassis cieszy się szerokim rozgłosem, podczas gdy Tom nie przypominał sobie choćby najmniejszej wzmianki o Stantonie w gazetach.

Nie chcąc o nim dłużej myśleć, Tom jął zastanawiać się nad przyszłością. Będzie musiał znaleźć nową pracę. To całe spotkanie jest tylko stratą czasu. Zaczął się niecierpliwić, chciał to już mieć za sobą. „Powie Stantonowi, co o nim myślę, i wracam do Londynu — doszedł do wniosku. — Trzeba będzie wszystko zacząć od początku.” Kiedy samolot schodził do lądowania nad Atenami, Tom nie mógł już usiedzieć spokojnie w fotelu.

Patrzył, jak ziemia wychodzi im naprzeciw. Dotychczas wyjeżdżał jedynie do Paryża, trzykrotnie w interesach. Podobało mu się tam, mimo wszelkich różnic, klimat ten sam, co w Londynie, deszcz padał w czasie każdego z jego pobytów. Kiedy teraz odrzutowiec znalazł się nad Atenami, największym zaskoczeniem dla Toma było tutejsze światło. Nie to, że mocno paliło słońce.

Spodziewał się intensywnego nasłonecznienia. Zdumiał go raczej szczególny charakter światła, które w niczym nie przypomina nawet najbardziej słonecznych dni na północy Europy. Powietrze było tak przezroczyste, że aż się skrzyło. Mozaika dachów lśniła w słonecznym blasku, który uwypuklał każdy detal architektury. Oślepiła biel kamieni na liczących setki lat budowlach.

Wbrew sobie, Tom był pod wrażeniem tego widoku. To nie ma nic wspólnego ze Stantonem, mruknął do siebie, nie chcąc pozwolić, by coś nie związanego z tym facetem zakłóciło mu myśli.

Za oknem ziemia przesuwała się w gwałtownie, Tom z zaciekawieniem patrzył na zbliżające się budynki lotniska. Niewiele wiedział o Grecji, zarówno starożytnej, jak i współczesnej.

Zaabsorbowany pracą, nawet polityce brytyjskiej poświęcał mało czasu. Czytywał jednak prasę i orientował się, że jakiś czas wcześniej w Grecji miał miejsce przewrót wojskowy. Władzę przejęło trzech średniej rangi oficerów. Tom usiłował mgliście sobie wyobrazić, jak wygląda życie pod rządami wojskowej dyktatury. Pamiętał, co sekretarka Stanton powiedziała o wyspie Kariakos:

„Grecki rząd wydzierżawił mu ją

— Zemsta

17

przed kilkoma laty”. „Przed kilkoma laty” to chyba jeszcze wtedy, zanim pułkownicy przejęli władzę. Ale Stanton pozostaje tam nadal...

Kiedy samolot przestał kołować i zatrzymał się, do kabiny pasażerskiej wrócił Richards, a w chwilę po nim kapitan Masters. Starszy od Richardsa i chyba z cał wyższy Masters prezentował podobny typ człowieka — jego uprzejmość szła w parze z budzącym zaufanie profesjonalizmem. Starając się ich jakoś otaksować, Tom doszedł do wniosku, że pracują dla Maurice'a Stanton, ponieważ dobrze im płaci i podoba im się ta praca, a nie dlatego, że nie mają innego wyboru.

Podczas gdy Richards otwierał drzwi i opuszczał schodki, Masters poinformował Toma, że on pozostanie na lotnisku.

— Gregg podrzuci pana do Pireusu, a potem na Kariakos — powiedział, dodając coś w rodzaju przeprosin: — Przykro mi, lecz „Helena” jest nieco hałaśliwa, ale to stara niezawodna latająca łajba. Będzie pan miał w drodze piękny widok na wyspy, panie Lambert.

— Dziękuję za przyjemny lot.

Ledwie wymówił te słowa, nasunęła mu się pewna myśl: — Czy jutro również pan odwiezie mnie z powrotem do Londynu? — spytał.

Wyraz zaskoczenia przemknął po twarzy Mastersa, ale nie uległo wątpliwości, że Masters jest zdumiony tym pytaniem. Bardzo szybko się zreflektował: — Odwieziemy pana, gdy tylko zechce pan wyjechać, panie Lambert. — Masters uśmiechnął się szeroko, miał przyjazny i ciepły wyraz twarzy, którym jednak nie zwiódł czujności Toma. Tom już był pewny, że Mastersowi nic nie wiadomo o rychłym powrocie. Zapatrzył się przed siebie. Dobrze pamiętał, co mówiła sekretarka Stantona: „Podrzucimy tam pana we wtorek i przywieziemy z powrotem we środę, jeśli zależy panu na czasie”. Spotkanie to pomysł Stantona, a nie Toma Lamberta. Tom tylko wywiązywał się ze swojej części umowy, a tych „kilka godzin” i tak już się bardzo rozciągnęło w czasie. Dla Toma Lamberta najważniejszą sprawą jest teraz szybki powrót do Londynu. Musi przecież zarabiać na życie.

— A więc do jutra! — powiedział wychodząc za Richardsem z samolotu.

Masters skłonił się uprzejmie. Trudno było stwierdzić, czy ten ukłon oznacza potwierdzenie jutrzejszego powrotu, czy też jest zwykłym kurtuazyjnym pożegnaniem.

Fala gorąca uderzyła Toma, gdy tylko opuścił pokład learjeta. Kiedy zszedł po trapie, poczuł, że rozżarzona płyta lotniska przepala mu niemal podeszwy butów. Kołnierzyk koszuli stał się nagle za ciasny, a wełniane ubranie przybrało w dwójnasób na wadze. Pilot

18

prowadził go do jeepa zaparkowanego na skraju przedpola hangaru. Z zadowoleniem rzucił torbę Toma na tylne siedzenie. — Niech się pan nie martwi, panie Lambert. Na lotnisku nigdy nie ma cienia. Niech pan wskakuje. Już wkrótce znajdzie się pan w znacznie przyjemniejszym otoczeniu. Tom padł ciężko na siedzenie obok kierowcy, a Richards uruchomił silnik. Kiedy odjeżdżali, Tom rozejrzał się wokół. Nad płytą lotniska powietrze aż drgało, zmrużył oczy patrząc na zniekształcony falą żaru obraz. Learjet zatrzymał się z dala od głównego terminalu. Duże pasażerskie liniowce z charakterystycznymi znakami przewoźników stały po drugiej stronie terenu lotniska. Wokół nich tłoczyli się pasażerowie i cysterny z paliwem, wyglądali z tej odległości jak zabawki w otoczeniu liliputów. W głębi widniały budynki części recepcyjnej, do których (jak sądził Tom) będą musieli podjechać. Zdziwił się widząc, że Richards skręca w przeciwną stronę. Jechali boczną drogą wzdłuż ogrodzenia. Nawierzchnia była tu wyboista i jeep raz po raz zarzucał na jakiejś nierówności. Tom mocno przytrzymał się deski rozdzielczej. Jechali podskakując i huśtając się przez dwieście jardów. Następnie skręcili w lewo, w stronę niewielkiej bramy wyjazdowej. Szlaban w białe-czerwone pasy zagradzał drogę. Obok stał barak z prefabrykatów. Richards zwolnił niemal do zera i przycisnął klakson. Natychmiast otworzyły się drzwi baru. Wszedł mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli, a za nim żołnierz z karabinem na ramieniu. Ich twarze rozjaśniły się na widok Richardsa, dobrze go widać znali. Żołnierz zaszalutował, a mężczyzna w rozchełstanej koszuli podbiegł, by podnieść szlaban, i zawołał głośno do Richardsa, który mu odpowiedział po grecku i pomachał na pożegnanie ręką. Po chwili byli już na drodze prowadzącej do Aten. Tom dziwił się, że tak łatwo wszystko poszło — żadnej kontroli paszportowej, żadnego sprawdzania bagażu, z dala od kłębiących się tłumów. Był to przekonujący dowód na to, że warto podróżować luksusowym prywatnym odrzutowcem.

Tom niewiele wiedział o Atenach. Cała ta część historii dotycząca starożytnej kultury nie docierała do niego. Akropol czy Partenon to były dla niego tylko puste nazwy, które jak przez mgłę pamiętał jeszcze z lekcji w szkole. Obecnie dominującym wrażeniem były skąpane w słońcu, zatłoczone ulice, białe koszule, ciemne okulary, gołe, opalone ramiona, ruch uliczny i hałas, rwetes, tumult. I wojsko. O wiele więcej żołnierzy niż kiedykolwiek można zobaczyć na ulicach w Londynie.

Richards prowadził niedbale, jedną rękę trzymał na kierownicy,

19

drugą gestykulował, pokazując zabytki — robił to z gorliwością przewodnika. Tom nadal był zatopiony w myślach, dręczył go wyraz twarzy Mastersa. Był niemal pewny, że Masters nic nie wie o rychłym powrocie do Londynu. Przypuszczał, że Masters zdaje sobie sprawę, gdzie Tom znajdzie się następnego dnia, a z pewnością nie był to Londyn. To podejrzenie irytowało Toma, choć w

gruncie rzeczy nie śpieszyło mu się do Anglii. Nie miał żadnych konkretnych planów, z nikim nie był umówiony, ale nie lubił ludzi, którzy nie wywiązują się z obietnic. Umowa to umowa i tak musi być. Sekretarka Stanton przyrzekła, że wróci, kiedy zechce, i Tom uznał, że ma prawo domagać się dotrzymania tego przyrzeczenia.

Okazało się, że Pireus to portowe miasto w pobliżu Aten, z dokami zatłoczonymi mnóstwem ciężarówek i samochodów dostawczych. Portowe żurawie huśtając pękatymi siatkami ładunkowymi, opuszczały fracht do czekających sztauerów, których mrowie wylewało się na drogę, utrudniając jazdę. Wokół wznosiły się wysokie sterty skrzyń, panował zgiełk. Richards zwolnił, by omijać pachołki i zwoje lin cumowniczych. Kiedy znów dodał gazu, Tom spytał: — Czy Stanton ma inne samoloty i zatrudnia więcej pilotów?

Richards nadstawił ucha, by usłyszeć pytanie, i potrząsnął przecząco głową. — Nie, zatrudnia tylko mnie i Douga Mastersa. — Spojrzał zdziwiony na Toma. — Mam nadzieję, że nie zgłasza pan zastrzeżeń?

— Nie, żadnych. Zastanawiałem się tylko, z kim będę wracać.

Jeżeli spodziewał się, że usłyszy coś, co wyjaśni sprawę jego powrotu, to się zawiódł. Richardsowi udało się uniknąć odpowiedzi. Pochyliwszy głowę, by dojrzeć, co dzieje się przed wlokącym się przed nimi samochodem, wrzucił jedynkę i na wzniesieniu wyprzedził. Dalsza rozmowa była niemożliwa. Wokół ryczały klaksony, wyrażano im pięściami. Richards kwitował to wszystko pogodnym uśmiechem. Następne dwadzieścia minut minęło na mozolnym przebijaniu się przez gąszcz uliczek dzielnicy portowej.

Tom jedną ręką osłaniał oczy od blasku słońca padającego ukośnie między domami, a drugą przytrzymał się drzwiczek jeepa. Minęli dziesiątki tawern ze stolikami wystawionymi na trotuary, kilka starych kościołów, jakiegoś człowieka prowadzącego osła, który zdawał się zupełnie nie przejmować ruchem samochodów. Na chodnikach widziało się niewielu turystów. Większość przechodniów była Grekami, głównie kobiety, na ogół stare. Ubrane skromnie, głowy owinięte czarnymi chustami, spod których wyglądały ich zasuszone twarze o przenikliwym spojrzeniu. Ktoś inny mógłby się zachwycić tą egzotyką, ale Toma Lamberta cieszyła ona umiarkowanie.

Zainteresowanie, jakie roz

20

budziły w nim Ateny, już słabło. Jak dla każdego biznesmena był dla niego najważniejszy uciekający czas. Od lat ścigał się z czasem, usiłując skrócić terminy produkcji, przyspieszyć dostawy, ponaglał dłużników, by szybciej oddawali pieniądze, opóźniał zwrot kredytów. Czas był dla niego towarem cennym, nie wolno go było marnować, nawet teraz, gdy odebrano mu Bolton Automation. Życie z zegarkiem w ręku stało się dla Toma drugą naturą.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył Richards wjeżdżając jeepem w uliczkę węższą jeszcze od tej, którą minęli. Tom przyglądał się starym murom oznaczonym przez czas i napisy, kiedy samochód raptownie zahamował przy krawężniku. Wcisnąwszy czapkę na głowę, Richards wyskoczył z jeepa, porywając z tylniego siedzenia torbę Toma. — Tutaj nie wolno niczego zostawiać w samochodzie. Złodzieje ukradną nawet koła. Chodźmy, panie Lambert.

Podążając za nim, Tom wszedł na trotuar i wcisnął się w jakieś drzwi osłonięte zasłoną z koralików. Znaleźli się w przepastnej sali z kilkoma nakrytymi białymi obrusami stolikami na kamiennej posadzce. Była to tawerna. Z zawieszzonego naprzeciw wejścia balkonu wlewały się potoki światła. Wiekowy wentylator mieszał powietrze. Tylko jeden stolik był zajęty. Siedziało przy nim trzech mężczyzn, którzy na widok przybyszy unieśli podejrzliwie głowy. Najmłodszy zerwał się widząc Richardsa, lecz jego towarzysze pociągnęli go z powrotem na krzesło. Ciemnowłosa kobieta o oliwkowej karnacji cery, szczupła i atrakcyjna, przestała nalewać wino z oplecionej butelki, a jej oczy zwięzły się. Na lewo ciągnął się kontuar, przy którym stał jeden z najbardziej zwalistych mężczyzn, jakiego Tom kiedykolwiek widział.

— Constantin! — Richards hałaśliwie powitał gospodarza, przerzucając torbę z prawej ręki do lewej, by się przywitać.

Wyraz zdumienia na twarzy grubasa przemienił się w przyjacielski uśmiech. — Ależ to Gregg!

Dostrzegłszy plamy potu na koszuli pilota, Tom doszedł do wniosku, że jego własne ubranie wygląda podobnie. Po skwarze na zewnątrz i pyle drogi, delektował się chłodnym powietrzem. Stał na uboczu czekając, aż Richards go przedstawi. I nagle jego dłoń znalazła SIĆ jak w imadle. — Witamy — zawołał promiennie Constantin — witamy w Pireusie!

Greki przypominał japońskiego zapaśnika. Niebieski fartuch, którym się opasał, mógł służyć za prześcieradło. Jego rozpięta pod szyją koszula musiała być szyta na miarę. Był tego wzrostu, co Tom, ale trzy razy szerszy. Szyję miał grubą jak pień drzewa, twarz mięsistą,

21

o mocnych szczękach, a czarne włosy przyprószone siwizną. Krzaczaste brwi osłaniały oczy przypominające guziki. Przebijała z nich inteligencja. Złoty medalion zwisający z szyi, wplątał się w owłosienie na piersi. Uwolniwszy z uścisku dłoń Toma, Constantin zwrócił się do Richard-sa: — Muszę się przyznać, przyjacielu, że zupełnie zapomniałem o twoim przyjeździe...

— Tylko nie mów — jęknął Richards — że byłeś zajęty naprawianiem świata! W każdym razie jesteście. I masz dać panu Lambertowi dobry obiad, jasne?

— Oczywiście...

— Ja muszę już pędzić — przerwał Richards. Przekazał Grekowi torbę Toma. — Pilnuj tego i zajmij się naszym gościem. — Uśmiechnął się szeroko do Toma. — Będę z powrotem za jakąś godzinę, może nieco dłużej. Okay?

— W porządku — odparł Tom. Gregg zniknął już w drzwiach. Constantin najpierw położył torbę Toma za kontuarem, a potem

wziął go pod ramię. — Pan pozwoli, zaprowadzę pana do stolika. — Nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia pozostałych klientów, poprowadził gościa schodkami na górę.

— Oto pana stolik — powiedział z dumą. — Najlepszy w całym lokalu.

Z balkonu roztaczał się widok zapierający dech w piersiach. Tom spojrzawszy ponad balustradą, zobaczył cały Pireus jak na dłoni. Widział nabrzeże i kościoły, które mijali po drodze, rozpoznawał inne budynki.

— A tam — wskazał Constantin — leży Passalimani. Odwracając się Tom ujrzał inną zatokę, w której stała setka jachtów.

— O, tam! — powiedział Grek zbliżając ramię do ramienia Toma, by ten mógł patrzeć dokładnie w kierunku, który wskazywał. — Widzi pan?

Tom dostrzegł hydroplan zacumowany w zatoce. Nie wiadomo, dlaczego przypuszczał, że będzie on szary. Tymczasem „Helenę” pomalowano na kolor jaskrawopomarańczowy, co dawało żółtoczerwone refleksy w migotliwej niebieskiej wodzie.

Constantin roześmiał się. — No, jakie wrażenie? Pański pojazd już czeka. Ale najpierw musi pan coś przekąsić. Tu, na balkonie nikt nie będzie panu przeszkadzał. Proszę, niech się pan rozgości. Czy to miejsce panu odpowiada?

Tom rozejrzał się wkoło. Balkon miał kształt prostokąta, mniej więcej trzy stopy na piętnaście, osłaniała go markiza z trzciny. Po

22

murze pięła się winorośl wypuszczając górą liściaste pędy. Dojrzewające blade grona słońce zabarwiało na złotozielony kolor. Czerwone pelargonie wylewały się ze stojących na posadzce doniczek, a bluszcz

o barwnych liściach ozdabiał balustradę. Chłodna bryza od morza kołysała krawędź białego obrusa na stoliku.

— Znakomicie. — Tom uśmiechnął się do dziewczyny, która przyszła za nimi. Odwzajemniając spojrzenie, uśmiechnęła się niepewnie

I wysunęła dla niego krzesło, szorując nogami sprzętu po kamiennej posadzce. Tom podziękował i usiadł. Tymczasem Constantin wziął gliniany dzbanek i nalał wina do dwóch kieliszków. Uniósł jeden w toaście: — Pana zdrowie, panie Lambert. Życzę udanego pobytu na Kariakos.

Idąc za przykładem gospodarza, Tom wychylił kieliszek. Nie zwrócił uwagi na smak, bo zamyślił się nad aluzją do Kariakos. Dopiero kiedy przełknął, zakrztusił się.

Constantin się roześmiał. — Smakuje jak terpentyna, prawda? Niech się pan nie przejmuj. To retsyna. Nasza winorośl rośnie w lasach sosnowych i żywica z tych drzew nadaje jej sosnowy aromat. — Wzruszył ramionami. — Wkrótce przyzwyczai się pan do tego, proszę mi wierzyć. Niech pan jeszcze wypije i powie, czy nie mam racji.

Śmiejąc się Constantin napełnił ponownie kieliszek Toma i wrócił do kontuaru. Zamienił kilka zdań z pozostałymi gośćmi. Tom miał świadomość, że bardzo się nim interesują. Od chwili pojawienia się przyglądali mu się z zaciekawieniem graniczącym z podejrzliwością. Kiedy Constantin do nich wrócił, zasypali go gradem pytań. Constantin odpowiadał po grecku. Tom odróżnił słowo Inglezos, a potem jeszcze Stanton. Jeden z nich uśmiechnął się i rzucił ukradkowe spojrzenie na balkon, po czym zostawili Toma w spokoju i zajęli się posiłkiem.

Dziewczyna, która go obsługiwała, co rusz biegła po coś do kuchni. Jej małe stopy cicho stąpały po kamiennej posadzce. Kiedy podała już taramasalatę i serwowała pastitsio, Tom spróbował nakłonić ją do rozmowy, ale dziewczyna z niepewnym spojrzeniem i uśmiechem dała mu do zrozumienia, że nie zna angielskiego. Odpowiedział jej skinieniem głowy i zabrał się do jedzenia. Był bardziej głodny, niż przypuszczał, a potrawa tak mu smakowała, że nie zważał nawet na dziwne przyprawy. Zajął się myśleniem o przyszłości. Jednej rzeczy był pewny. To, co robił w Bolton Automation, mógł wykonywać równie dobrze gdzie indziej. Wziąć jakieś podupadające przedsiębiorstwo, zreorganizować je i doprowadzić do rozkwitu. Musi tylko upatrzeć firmę na skraju bankructwa, kupić je za bezcen i wziąć się do roboty.

23

Kupić za bezcen to bardzo ważne. Dysponował ograniczonym zasobem gotówki; miał mieszkanie w Londynie, samochód i kilka setek odłożonych w banku. Ostatecznie, wielu innych startowało ze znacznie gorszej pozycji...

„Helena” stojąc dotychczas spokojnie na rei, drgnęła i przesunęła się o kilka jardów. Tom patrzył na nią z napięciem. Wyteżywszy słuch, potrafił odróżnić silniki „Heleny” w odległym rozgwarze ulic. Constantin wyszedł zza kontuaru i wspiął się po schodkach do Toma na górę. — Już niedługo. Gregg sprawdza silniki. — Przez chwilę obydwaj patrzyli na hydroplan, a potem Constantin spojrzał na pusty talerz Toma. — Smakowało? Dobre, co?

— Wyśmienite.

— A retsyna? — Constantin podniósł dzbanek, który był już prawie pusty. — Oho! — Roześmiał się wlewając resztę do kieliszka Toma. — Widzę, że przekonał się pan do tego wina. — Constantin odwrócił się i szedł na dół. Tom widział, że bierze następny dzbanek i wraca. Trzej mężczyźni przy stoliku dyskutowali zażarcie. Żaden inny gość się nie pojawił. Pozostałe stoliki były puste. Nawet dziewczyna gdzieś zniknęła. Pewnie skończyła na dzisiaj, pomyślał Tom, dziwiąc się, że taki tu mały ruch. Pozwolił Constantinowi, by napełnił znów jego kieliszek.

— Na zdrowie! — zwrócił się do Constantina. — Nie ma pan dzisiaj wiele roboty.

— A kto ma? — twarz Greka wykrzywił grymas. — Chyba tylko pułkownicy. — Nachmurzył się napełniając swój kieliszek, po czym spytał: — Pan pierwszy raz w Grecji?

Tom potwierdził.

— Tak też myślałem. Przybył pan do niespokojnego kraju, panie Lambert. — Wypił spory łyk, obrzucając Toma niepewnym spojrzeniem, jak gdyby nie mógł się zdecydować, by mówić dalej: — Powiem panu coś o sobie, jeśli pan pozwoli. Z zawodu jestem prawnikiem. Z przekonania demokratą, a z natury człowiekiem uczuciowym. Te trzy cechy dyskwalifikują mnie w dalszym uprawianiu wyuczonego zawodu. Pułkownicy postawili mi ultimatum. Może nie sformułowali tego tak dosłownie, ale... — gospodarz wzruszył ramionami — zrozumiałem, o co im chodzi. Albo zamknę kancelarię adwokacką, albo mam się wynosić z Grecji. Nie pozostawiono mi wyboru.

Tom patrzył przed siebie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Constantin ciągnął dalej z gorzkim uśmiechem: — Tak więc otworzyłem tawernę w Pireusie. Rzecz w tym, że wielu boi się do mnie

24

przychodzić. — Popatrzył ze smutkiem na puste stoliki, a gorzki uśmiech powrócił mu znów na twarz. — Wieczorem jest lepiej. Wtedy mam więcej gości. Ciemność dodaje ludziom odwagi. Wówczas moi goście więcej mówią, przedstawiają różne pomysły, przechwalają się, piją. — Gospodarzowi powrócił dobry humor. — Ale w końcu, co za różnica — stwierdził. — Przegoniliśmy Turków, przegonimy i pułkowników.

Zakończenie było tak niespodziewane, że Tom nie wiedział, co odpowiedzieć.

Greki roześmiał się. — Niech pan nie będzie taki poważny. Opowiem panu grecki dowcip.

Mężczyzna w zatłoczonym autobusie klepie swego sąsiada po ramieniu: „Przepraszam, czy jest pan może wojskowym?” „Nie.” „A może ma pan brata w wojsku?” „Nie.” „A syna?” „Nie.” „To w takim razie niech pan zdejmie nogę z mojego buta.”

Constantin odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tak serdecznie, aż medalion podskakiwał mu na piersi. Mięsiłą dłonią klepał się po udzie. Trzej ludzie przy stoliku spojrzeli w górę, nie wiedząc, z czego tamci się śmieją. Tom również się śmiał, myśląc, że w Anglii nikt by tego nie zrozumiał.

Constantin, któremu znów powrócił humor, spojrział na Passalima-ni. „Helena” znalazła się z powrotem na miejscu cumowania. Jej silniki ucichły. Potężny Grek pociągnął spory łyk wina. — Już niebawem, panie Lambert. Już wkrótce wypłynie pan na spotkanie ze swoim angielskim lordem.

Przez chwilę Tom nie wiedział, o kogo chodzi, aż wreszcie uświadomił sobie, że mowa o Stantonie. Pokręcił przecząco głową: — Pan Stanton nie jest angielskim lordem.

— W takim razie powinien nim zostać — stwierdził stanowczo Constantin. — Czy człowiek, który żyje jak król, może nie być lordem?

— A on żyje jak król?

— Rżnie dziewczyny jak król. Zalicza jedną ślicznotkę po drugiej. Czasami nawet dwie dziennie. Czy to nie królewskie życie?

Tom patrzył wyczekująco, sądząc, że to żart. Figlarne iskierki zabłysły w oczach Constantina, ale twarz miał poważną.

Tom stwierdził: — Pewnie myśli pan o kimś innym. Ten, do którego jadę, nazywa się Stanton.

— Właśnie o niego chodzi! O wielkiego pana Stanton na wyspie Kariakos.

Tom poświęcił sporo czasu, by się dowiedzieć czegoś o Stantonie,

25

ale nikt nie potrafił udzielić mu choćby najprostszych informacji. Czasami Tom wyobrażał go sobie jako odludka, skąpca, który wciąż przelicza swe złoto, starca, nawet inwalidę. Według Richardsa, Stanton był czymś w rodzaju filozofa. No, a teraz jeszcze i to!

— Niemożliwe, by chodziło o tego samego człowieka. Nie wiem

o nim wiele, ale musi mieć jakieś pięćdziesiąt lat.

— A co? Czy wszelkie żądze wygasają po pięćdziesiątce? Tom nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Nie ma pan zresztą racji. Stanton jest znacznie starszy. Ma ponad sześćdziesiąt lat. — Zna pan Stanton?

Zanim Constantin zdążył odpowiedzieć, u wejścia do tawerny dały się słyszeć krzyki. Z ulicy wpadła dziewczyna, która obsługiwała Toma. Z trudem łapiąc oddech, coś szybko mówiła do mężczyzny przy stoliku. Wszyscy trzej zerwali się z miejsc. Najmłodszy odtrącił nogą krzesło i wbiegł na balkon, wzywając do siebie pozostałych. Na ich twarzach widać było panikę. Jeden ruszył w stronę zasłony z koralików. Dziewczyna krzyknęła ostrzegawczo. Złapała go za rękę i zatrzymała. Wzrokiem osaczonego zwierzęcia człowiek ów spojrział na Constantina. Potężny Grek krzyknął coś i wskazał balkon. Pierwszy z ludzi już był za balustradą, przez chwilę zwiisał na czubkach palców, a potem zniknął z pola widzenia. Tom wydał zduszony okrzyk i spojrzął za balustradę. Obok niego drugi mężczyzna szykował się do skoku. Dwanaście stóp niżej biegła wąska alejka. Pierwszy uciekinier gramolił się już na kolana, trzymając się za stłuczony łokieć. Teraz skoczył drugi człowiek, a Constantin popychał do balustrady trzeciego. Dużo starszy od kolegów, trząsał się ze strachu. Constantin przełożył jedną nogę za kamienną balustradę i szarpiąc się ze

starym, podniósł go do góry i przeniósł nad krawędzią. Człowiek zawisł w powietrzu, trzymając się wyciągniętych rąk Constantina. Przytrzymując się kolanami balustrady, potężny Grek schylił się całym ciałem, opuszczając wystraszonego mężczyznę do jego towarzyszy. Jeden z nich pochwycił stopę starego. Obaj na dole coś krzyknęli i Constantin puścił ciężar, błyskawicznie się wyprostował i powrócił na balkon. Jakby jęk dobiegł ich z dołu. Tom spojrzał tam. Na wpeł wlokąc, na wpeł podtrzymując bezwładne ciało starego, biegli do zakrętu.

Z ulicy doszedł odgłos zatrzymujących się pojazdów. Trzasnęły drzwiczki. Stukot ciężkich butów rozległ się na bruku. Constantin omiół wzrokiem wnętrze lokalu. Dziewczyna zdążyła już uprzątnąć naczynia, których używali uciekinierzy. Zręcznie wyrównała obrus na stole i ustawiła krzesła.

— Co tu się, u diabła, dzieje? — zawołał Tom.

26

Constantin syknął: — Tylko spokojnie, Angliku. — Pośpiesznie uzupełnił wino w kieliszkach i raptem, ku zdumieniu Toma, roześmiał się gardłowo, jak chwilę wcześniej, gdy opowiadał dowcip. Z uniesionym do ust kieliszkiem i wyrazem pełnego odprężenia na pogodnej twarzy wyglądał na wzorowego gospodarza bawiącego swojego gościa. Nagle ktoś roztrącił zasłonę z koralików, do środka wtargnęli żołnierze z karabinami wyciągniętymi do strzału. Dwóch pierwszych przebiegło przez całą długość sali, wspięli się na schody i zatrzymali na balkonie, mierząc w Constantina. Inny żołnierz pobiegł do kuchni, a dwóch objęło straż przy wejściu.

Zasłona z koralików znowu się rozchyliła. Jeszcze jeden facet w mundurze przekroczył próg.

Niższy od pozostałych, insygnia miał na czapce. Wszedł i stanął, rozglądając się wokół badawczo.

Wzrok Toma skrzyżował się ze spojrzeniem oficera, którego oczy głęboko osadzone w szczupłej, napiętnowanej wyrazem okrucieństwa twarzy, wpatrywały się w Toma z arogancją.

Ponownie rozległ się stukot buciorów i z kuchni wynurzył się żołnierz, kręcąc przecząco głową. W tym momencie dziewczyna zaczęła wspinać się na prowadzące na balkon schodki, aby się schronić pod opiekę potężnego Greka. Stojący najbliżej żołnierz przytrzymał ją raptownie, dziewczyna potknęła się i upadła.

— Hola! — Tom bez zastanowienia zerwał się z krzesła.

Żołnierz, który puścił dziewczynę, obrócił teraz w jego stronę wycelowany karabin.

Nie było odwrotu. Tom czuł, że zasycha mu w gardle. Jakiś wewnętrzny głos krzychał w nim panicznie: „Co ty wyprawiasz? Zastrzelą cię”. Ale już schodził po schodkach i kłękał przy dziewczynie, pomagając jej się podnieść. Constantin wprowadził oszołomioną dziewczynę na balkon i posadził ją na krzesle.

Oficer podszedł bliżej. Powiedział coś ostro po grecku. Odpowiadając Constantin zalał go potokiem słów. Tom zeszytniał. Oficer wyciągnął z kabury pistolet i wymierzył w Toma. Wewnętrzny głos Toma przestał panicznie krzyżeć, wołał teraz w napięciu: „Musisz go przetrzymać. Stój spokojnie. Nie okazuj lęku”. Dowódca patrolu wpatrywał się w niego chłodnym, nieruchomym wzrokiem.

Constantin nadal perorował z oburzeniem. Tom wyłowił słowa Inglezos i Stanton, potem jeszcze Kariakos. W chłodnych oczach oficera odmalowało się zaskoczenie, potem jakby cień wątpliwości. Opuścił pistolet i cofnął się nieco, nadal jednak patrzył złowrogo na Toma.

Tom bez zmruczenia oka też się w niego wpatrywał. Puls już bił normalnie. Uznał, że nadszedł właściwy moment, wzruszył ramionami,

27

pokonał cztery stopnie dzielące go od balkonu i podszedł do swojego stolika.

Oficer zapytał nienaganną angielszczyzną: — Jak się pan nazywa?

— Lambert — odparł Tom siadając.

Oficer wsunął pistolet do kabury. Ton jego głosu nadal był ostry: — Jest pan przyjacielem pana Stantona?

— Właśnie jadę się z nim spotkać — powiedział Tom, sięgając po papierosa.

Dowódca zwrócił się teraz do Constantina. Pytał go o coś po grecku, nadal bardzo agresywnie.

Constantin wzruszył ramionami. Wyglądał na obrażonego, w jego tonie słychać było oburzenie człowieka niesłusznie podejrzanego. Szeroko gestykulował, sprawiał wrażenie coraz to bardziej obrażonego. Oficer szydził.

Tom czuł, że Constantin jest o coś oskarżany i że czegoś się wypiera.

— Dość tego! — podnosząc do góry rękę dowódca znów przeszedł na angielski.

— Jak długo pan tu jest? — spytał Toma. Tom spojrzął na zegarek. — Około godziny.

— I czeka pan na pilota od pana Stantona? Tak? Tom kiwnął potakująco głową.

— Kto tu jeszcze był?

Tom oparł się pokusie spojrzenia na Constantina. Nawet jedno takie spojrzenie wiele by zdradziło. Na dziewczynę nie można było liczyć. Siedziała przy stole z opuszczoną głową, wbiła wzrok w podłogę, strach wciąż ją paraliżował. Wewnętrzny głos pytał Toma: „W coś ty, u diabła, się wplątał? Ci ludzie nic cię nie obchodzą. Po co kłamać?”

— No więc? — naciskał oficer.

Tom podjął decyzję, uśmiechnął się. — Właśnie rozmawiałem z tym człowiekiem, jak mu się tu udaje zarobić na życie. — Uznał to zdanie za pretekst, by spojrzeć na Constantina. Twarz Greka była bez wyrazu, ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Ale w głębi jego oczu dostrzec można było niemą prośbę. Odwracając się na powrót do dowódcy, Tom podrapał się po głowie. — Chodziło mi o to, że w takim miejscu powinno być wielu klientów. Kuchnię mają dobrą...

— Czy ktoś był tu jeszcze?

— Właśnie o tym mówię. Weźmy, chociażby ten balkon. Niech pan spojrzy, jaki stąd widok, a ja siedzę tu sam jak palec...

— Nie było innych klientów?

— Przecież powiedziałem — potwierdził z zadowoleniem Tom. Wewnętrzny głos go ostrzegł:

„Trzymaj się tej wersji. Byłeś jedynym

28

klientem na balkonie. Zawsze zdążysz powiedzieć, że zaszło nieporozumienie...”

Oficer wskazał tawernę. — Nie było tu innych klientów? Tylko sam pan tu siedział?

„Uważaj! Chce cię przyłapać na kłamstwie!”

Oficer najeżył się. — Był pan jedynym gościem?

„On nie wie. Nie ma żadnej pewności. Brak mu dowodów... Dziewczyna usunęła ślady pobytu tamtych.”

— No więc? Jedynym?

— Na litość boską, o co chodzi? Pan Stanton nigdy mi nie wspominał, że mogą mnie tu spotkać takie nieprzyjemności! Co się w tym kraju dzieje? Siedzę, jem spokojnie obiad, podziwiam piękno krajobrazu, a tu nagle wpadają pańscy żołnierze, jakby toczyła się jakaś wojna. — Udawanie oburzenia szło Tomowi coraz lepiej. Stanowiło ujęcie dla strachu. Strach napawał go pogardą dla samego siebie, złością na Stantona, że go tu ściągnął, taki kawał drogi od domu, i wściekłością, że dał się wplątać w coś, co go w ogóle nie dotyczy.

Oficer nerwowo uderzał butem o posadzkę. Nadal wpatrywał się w Toma, lecz widać było, że nie wie, jaką decyzję podjąć. Tom przypuszczał, że zna tego powód. Uratowało go chyba nawiązanie do Stantona. „Gdyby nie to — myślał Tom — już by mnie chyba wyprowadzali pod lufami karabinów.” Widać było, że dowódca patrolu aż się gotuje z wściekłości, lecz stara się nie dać tego po sobie poznać.

Dużym wysiłkiem woli oficerowi udało się wreszcie zapanować nad sobą. W końcu warknął ponuro: — No dobrze, panie Lambert. Może spotkamy się jeszcze w innych okolicznościach.

— Wątpię. Jutro wracam do Londynu.

— Tak będzie lepiej — odezwał się ponuro oficer, starając się ratować twarz. Przeciągle spojrzął na dziewczynę, która opuściła głowę, aby uniknąć jego wzroku. Gestem ręki nakazał żołnierzom odwrót. Na odchodnym odwrócił się jeszcze do Constantina i oskarżycielko wskazał go palcem: — Ale my — powiedział po angielsku — jeszcze się spotkamy!

Patrzyli, gdy oficer z żołnierzami zbliżają się do wyjścia i znikają za zasłoną z koralików. Tom był

do szczętu wyczerpany. Pierwszy otrząsnął się Constantin, który podbiegł do drzwi i patrzył w ślad za żołnierzami. Z ulicy dochodziły odgłosy uruchamiania silników i włączania biegów. Tom spojrzął na zegarek, zdumiony, że minęło tylko dziesięć minut od momentu, kiedy dziewczyna wbiegła do tawerny. Dziesięć minut...

29

Potężny Grek odwrócił się do niego z uśmiechem. — Odjechali... Ulga, jaką odczuł Tom, przemieniła się nagle w złość. — Co tu się, u diabła, dzieje?

Rozpromieniony Constantin zignorował pytanie. — Ma pan mocne nerwy, Angliku.

— Skończmy tę zabawę w ciuciubabkę! Należy mi się jakieś wyjaśnienie...

Przerwała im dziewczyna, zwracając się z jakąś gorącą prośbą do Constantina i rzucając spojrzenia na Toma. Constantin pochylił się i szeptał jej coś do ucha. Słuchając go z uwagą, dziewczyna powtarzała za nim jakieś słowa. Odwróciła się do Toma. — Dziękuję — powiedziała powoli po angielsku — dziękuję, panie Lambert.

W jej tonie było tyle szczerości, że Tom uznał za stosowne przerwać dalsze wymówki. Constantin rzekł: — Uratował pan życie jej bratu. Te świny by go zabiły. Byłoby to jeszcze jedno polityczne morderstwo. Pozostaniemy pana dłużnikami.

Tom już otwierał usta, by coś powiedzieć. Ale świadomość, że uratował komuś życie oraz wdzięczność dziewczyny sprawiły, że nie rzekł nic.

Constantin zdejmował z szyi medalion. — Myślę, że będzie pan teraz częściej przyjeżdżał do Grecji. Proszę to wziąć na pamiętkę.

Tom był zaskoczony. — Nie mogę tego przyjąć. To bardzo miło z waszej strony, ale ja jutro wracam do Londynu. Nie mam żadnych planów związanych z Grecją. Zobaczę się tylko ze Stantonem i to wszystko...

— Proszę! Z pewnością jeszcze pan wróci. Czuję to. A może kiedyś będzie pan potrzebował przyjaciół.

— To naprawdę niepotrzebne. Jestem biznesmenem, księgowym. Nie znam się na polityce...

— A na przyjaźni? — Constantin spojrzął na niego z wyrzutem. Tom chciał powiedzieć, że to wszystko jest głupie, że zachowują się

jak postacie ze staromodnej przedwojennej powieści w stylu Buchana, kiedy w Europie roiło się od szpiegów i dyktatorów... Popatrzył na Constantina i na wystraszoną dziewczynę, która zmagając się z angielskim akcentem, powtórzyła raz jeszcze: — Dziękuję, panie Lambert, dziękuję.

Tom znów spróbował oponować: — Bardzo jestem wdzięczny, ale to niekonieczne.

— Proszę to wziąć — powtórzył Constantin.

Nie było innego wyjścia, jak tylko przyjąć medalion. — No cóż, w takim razie bardzo dziękuję, to bardzo miłe. Dziękuję.

30

Twarz dziewczyny zajaśniała radością.

Medalion wydawał się tak ciężki, jakby był z czystego kruszcu. Tom miał nadzieję, że nie jest. Co innego zwykły wisior, a co innego prawdziwie wartościowy przedmiot. Oglądając dar obrócił go w palcach. Po jednej stronie był całkiem gładki, a po drugiej widniał zarys głowy mężczyzny i cyfry 469—399.

— Sokrates — wyjaśnił Constantin.

Dziewczyna ponownie im przerwała, rzucając się nagle ku wyjściu. Jakiś pojazd znów zatrzymał się na ulicy. Na twarzy Constantina pojawił się niepokój, lecz zniknął, kiedy dziewczyna coś do niego powiedziała.

— To pana pilot — wyjaśnił Constantin, biorąc w swoją rękę dłoń Toma i zaciskając jego palce na medalionie. — Najlepiej nie wspominać nikomu o tym, co tu zaszło.

Constantin wepchnął dłoń Toma do jego własnej kieszeni i Tom machinalnie wpuścił do niej medalion. W następnej chwili rozchyliła się zasłona i u wejścia pojawił się Gregg Richards, wyglądając zadziwiająco normalnie.

— Przepraszam za spóźnienie — oświadczył. — Przegląd zabrał mi to trochę więcej czasu niż zwykle. Ale i tak nie jest źle. Półtorej godziny. Mogło być gorzej. Dobrze tu pana nakarmiono?

— O, tak, bardzo dobrze.

— No to świetnie. W takim razie jedziemy!

Klepnawszy Constantina po plecach, Richards sięgnął pod kontuar po torbę Toma. Był zbyt przejęty tym, że się spóźnił, by zauważyć panującą w tawernie ponurą atmosferę. Z radosnym uśmiechem pochwycił torbę i ruszył do wyjścia.

Constantin z dziewczyną wyszli ich odprowadzić. Kiedy jeep ruszał, machali im jeszcze na pożegnanie jak starzy przyjaciele.

— Następny postój już na Kariakos — odezwał się pogodny jak zwykle Gregg Richards.

Przeciskali się wąskimi uliczkami, podskakując na nierównościach nawierzchni. Tom trzymał się znów deski rozdzielczej i z ciekawością rozglądał wokół. Londyn wydał mu się nagle bardzo odległy. Tu był całkiem inny świat...

Masters miał rację co do „Heleny”. Rzeczywiście była hałaśliwa. Kiedy ruszali, w hydroplanie brzęczała każda śruba i nakrętka. Impet, z jakim pojazd sunął po wodzie, działał na Toma elektryzująco. Zamiast szpanować w kabinie pilota, żałował, że nie został w którymś

31

z foteli dla pasażerów. Stało ich tam trzy; zaraz za nimi rozciągała się pusta komora ładunkowa. Kiedy unieśli się w powietrze, hałas się zmniejszył, lecz nie na tyle, by móc swobodnie rozmawiać. Tom był z tego zadowolony, ponieważ postanowił nie mówić o wydarzeniu w tawernie, a hałas ograniczał możliwość rozmowy. Gapił się więc w milczeniu w okno, aż stopniowo, pod wpływem skumulowanego działania lśniącej słonecznym blaskiem wody, pomruku silników i retsyny, którą pił do obiadu, poczuł senność. Co chwila przyłapywał się na tym, że zapada w drzemkę, a kiedy otwierał oczy, widział za oknem sunący po błękitnym morzu cień „Heleny”.

W godzinę później jego ramienia dotknęła czyjaś dłoń. Wyrwany ze snu, ujrzał twarz roześmianego pilota, który kciukiem wskazywał w dół. Przecierając oczy, Tom wyprostował się w fotelu i wyjrzał za okno. W dole widać już było wyspę Kariakos. Z góry wydawała się maleńka. Wyglądała jak szmaragdowe, osypane srebrem wzniesienie pośród lazurowego morza. „Helena” z wolna schodziła w dół. Tom, pochłonięty obserwowaniem wyspy, oprzytomniał już całkowicie. Zobaczył skupisko białych domów w wiosce rybackiej, okolonej sosnowym lasem na wzgórzach. Spróbował lepiej się im przyjrzeć, ale opadający hydroplan mknął dalej. Następna zatoczka mignęła mu przed oczami — jeszcze jedno wcięcie w linii brzegu. „Helena” leciała już nad samą powierzchnią wody. Richards pikował prosto jak strzała, a fale pędziły im na spotkanie. Pył wodny wzbił się gwałtownie po obu stronach hydroplanu, i jął opadać, gdy „Helena” pruła już wodę. Silniki zwalniały bieg, hałas się zmniejszył. Hydroplan nadal jeszcze sunął do przodu, ale teraz całkiem spokojnie, by po chwili zastygnąć w bezruchu.

Kropki wody spływały z okien zniekształcając obraz. Tom z trudem dojrzał zatokę, otoczoną porośniętymi roślinnością skałami. Widać też było srebrzystą łachę piasku. Miejsce wyglądało na bezludne, nie tknięte ludzką stopą. Tak mógł wyglądać świat, zanim pojawił się na nim człowiek.

Gregg Richards wyłączał kolejne kontrolki, zanim w końcu rozpiął pas i przeciągnął się z westchnieniem na siedzeniu. — Nareszcie w domu — rzekł zadowolony.

Zamarły hałas silników zastąpił teraz odgłos wiatru omiatającego z zewnątrz kabinę.

„V” Ładne lądowanie — pochwalił Tom.

— Robiłem to już tyle razy, że mógłbym z zamkniętymi oczami posadzić maszynę na wodzie.

32

— Nie wątpię — pokiwał z uznaniem głową Tom, przyglądając się Greggowi.

Pilot przestał na chwilę stukać w jakiś wskaźnik nad głową. — I jak? — zapytał zerkając na Toma.

— Co pan powie? Większość ludzi rozplywa się z zachwyty, gdy po raz pierwszy zobaczą Kariakos.

Tom odwrócił się do okna. — Sprawia mocne wrażenie — powiedział, a potem jakby z cieniem wątpliwości dodał: — Tyle tylko, że taka jakby bezładna. Czuję się trochę jak Robinson Crusoe. Gregg Richards parsknął śmiechem.

Nagle na wodzie pojawiła się smuga białej piany. Jakaś łódź motorowa mknęła w ich kierunku. Za kołem sterowym stała kobieta, która prowadziła łódź z nonszalancją wytrawnego żeglarza. Kiedy ta łajba śmignęła obok nich, Tom odruchowo odwrócił głowę. Zanim łódź zdążyła zniknąć po drugiej stronie hydroplanu, dostrzegł przelotnie białą koszulę, powiewającą na wietrze jasne włosy oraz pozdrawiający gest ręki.

— Kto to jest?

Richards zapytrony w okno, nie odpowiedział. Wyraz zachwytu odmalował się na jego twarzy. Tom odpiął pas i aż uniół się w fotelu, wyciągając szyję, ale to nic nie dało. Spojrzał na Richardsa wyczekująco, ale ten siedział cicho. W końcu coś pośredniego między westchnieniem a jękiem wyrwało mu się z ust. — Chryste Panie! Czegóż ja bym nie dał... — mruknął rozmarzony i zaraz dodał: — Chodźmy, panie Robinsonie Crusoe. Oto i pana Piętaszek. — Wstał i pochylając głowę udał się na tył samolotu. Tom obserwował, gdy odbezpiecza przesuwne drzwi, po czym je otwiera. Podmuch wiatru wdarł się do środka, niosąc z sobą zapach i szum morza.

Przykucnąwszy Tom sięgnął po swoją torbę, by ją zabrać z tylnego siedzenia, bacząc przy tym, żeby nie stracić równowagi na kołyszącej się „Helenie”. W drzwiach wyprostował się, żeby odprężyć mięśnie. Spojrzał w dół. Obok cumowała motorówka. Z jej pokładu spoglądała na niego uśmiechnięta dziewczyna, która na jego widok zawołała:

— Witamy na Kariakos.

Może mu się tylko wydawało, a może było to efektem innych dźwięków — wody uderzającej w pływak, krzyków mew, przytłumionego pomruku silnika motorówki — ale miał wrażenie, że jej głos brzmi jak muzyka. Oczy, które na niego patrzyły, były bardziej zielone niż niebieskie, miały kolor morza na horyzoncie. Zbrązowiałą od słońca skórę dziewczyny pokrywał meszek jak na dojrzewającej brzoskwini. Wiatr rozwiewał jej złote włosy, zmuszając do odgarniania

— Zemsta

33

ich ręką, by nie zasłaniały oczu. Sądząc po jej niedbałym stroju, ubierała się w pośpiechu, aby zdążyć im na spotkanie. Jej biała koszula zapięta była tylko na dwa guziki, co pozwalało objąć wzrokiem ponętny biust, a kiedy się pochyliła w stronę hydroplanu, jej cytrynowa spódnica rozchyliła się odsłaniając kształtne uda.

— Proszę mi podać swój bagaż, panie Lambert. Posłusznie przykucnął, aby jej wręczyć swoją torbę podróżną. Richards odezwał się sucho: — Życzę miłego pobytu, panie Lambert.

— Dziękuję.

Przynaglony do pośpiesznego pożegnania, Tom zapomniał spytać o powrót. Ze skupieniem stawił stopę na pływaku. Patrząc na dziewczynę, która z kocią zręcznością opierała jedną stopę na łodzi, a drugą na pływaku, można by sądzić, że to nic trudnego. Tom niezdarnie opuścił się na płwak. Usiłując wyczuć ruchy morza, postawił nogę na łodzi. W końcu, dosyć niezgrabnie wylądował w motorówce.

— Wszystko w porządku? — zapytała z troską, chwytając go za rękę.

O mało w nią nie uderzył, usiłując utrzymać równowagę. Z bliska wydawała się jeszcze piękniejsza. Jej twarz o mocno zarysowanych kościach policzkowych miała proporcje idealnej rzeźby. Mały pieprzyk przyozdabiał jej lewy policzek.

— Dzień dobry — uśmiechnęła się. — Nazywają mnie Melody. Tom zachodził w głowę, kim ona jest. Czyżby Stanton miał córkę?

Stanton jednak był Anglikiem, a głos dziewczyny zdradzała obcy akcent. Dobór słów też był dość niezwykły: „Nazywają mnie Melody”, zamiast „Mam na imię Melody”.

— Tom Lambert — przedstawił się, starając się podać jej rękę, by nie stracić równowagi.

Roześmiała się: — Łatwiej jest się witać na lądzie stałym. Dlaczego pan nie usiądzie?

Pokonany huśtaniem łodzi osunął się na ławkę. Przyciągnął swoją torbę, żeby zrobić miejsce dla dziewczyny, ale ona nie miała ochoty siadać. Odwróciła się do deski rozdzielczej i położyła dłoń na dźwigni przepustnicy. Silnik natychmiast zaskoczył, wprawiając w drżenie całą łódź. Pomachawszy Richardsowi na pożegnanie, odpłynęła od hydroplanu. Sterowała na stojąco: jej głowa i ramiona znajdowały się nad krawędzią przedniej szyby. Perfekcyjnie utrzymywała równowagę, opierając się brzuchem o koło sterowe. Wiatr rozwiewał jej włosy, zarzucając złote kosmyki na ramiona.

Nabierając prędkości łódź

34

odbijała się od fal. Wydawało się, że dziewczyna jest w swoim żywiole. Siedząc z tyłu Tom z uznaniem patrzył na jej wąskie biodra, długie nogi i gołe stopy... Zbliżająca się linia lądu przerwała mu tę kontemplację. Dzieląca ich od brzegu odległość stu jardów zmalała wkrótce do pięćdziesięciu. Na szczycie nadbrzeżnej skały Tom dostrzegł willę. Łacha białego piasku tworzyła wąską plażę. Wierzchołki śródziemnomorskich sosen strzelały w niebo. Nigdzie ni żywej duszy, nikt się nie opalał na plaży ani nie czekał, by ich powitać. Miejsce wyglądało na opuszczone, bezлюдne i odosobnione. Mała rybacka wioska, którą widział z powietrza, leżała nad inną zatoką, nie było jej stąd widać. Huśtanie łodzi utrudniało skupienie uwagi. Mrużąc oczy i osłaniając je od słońca, Tom dostrzegł białe molo wybiegające w morze, przy którym cumowała jeszcze jedna łódź. Biegące zygzakiem schody prowadziły od mola do znajdującej się na górze willi. Willa była podłużna i niska; w południowym słońcu mieniła się odcieniami bieli i różu. Cały dom otaczała balustrada. Stał tam samotnie i wyniosłe niby zamek. Łódź zaczęła zwalniać. Dziewczyna zmniejszyła nacisk na dźwignię. Płynęli znacznie wolniej. Woda nie umykała już w pędzie, teraz biła o bok łajby. Dryfując uderzyli łagodnie o molo. Dziewczyna wyłączyła silnik i wskoczyła na pomost, ciągnąc koniec cumy. Tom miał znów okazję zerknąć na jej opalone nogi, które na chwilę wysunęły się spod spódnicy. Kiedy wiązała cumę do pachołka, mógł też w przelocie ujrzeć jej piersi. Wyprostowawszy się odrzuciła do tyłu włosy i uśmiechnęła do niego, po czym przyciągnęła łódź rufą do mola. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążył jej zaoferować pomocy. Motorówka była już przywiązana, a dziewczyna stała z rękami na biodrach, przyglądając mu się niezwykle zielonymi oczyma.

Oprzytomniał. Wstał i rzucił swoją torbę na pomost. — Zna się pani na rzeczy — rzekł ponuro, gramoląc się z łodzi. — Czyżby pani odbyła służbę w marynarce?

— Wychowałam się na łodzi — podała mu rękę. — Teraz możemy się przywitać jak należy, panie Lambert. Witam na Kariakos!

Była wysoka i fantastycznie zbudowana.

— Czy dobrze zrozumiałem pani imię? Melody?

— Melody mam na imię tutaj, na Kariakos.

Co to, u licha, znaczy? Sądząc z jej odpowiedzi, Melody jest jej przybranym imieniem, zwykle używa innego.

— Piękna — powiedział i zaraz rozejrzał się wokół, jak gdyby chciał udowodnić, że ma na myśli wyspę. Plaża ciągnęła się na sto jardów — płaski skrawek białego piasku, który to poszerzał się, to zwężał.

35

Skaliste zbocze, porośnięte u podnóża janowcem i ciernistymi krzakami, wznosiło się w górę pod kątem sześćdziesięciu stopni, jakby chciało konkurować strzelistością z linią drzew rysujących się na tle nieba. Wyciągnąwszy szyję Tom podążył wzrokiem za schodami wyciętymi w skale i raptem uświadomił sobie, że to wcale nie są schody, tylko ścieżka wijąca się raz w jednym, raz w drugim kierunku. W niektórych miejscach umocowano białe poręcze, by zabezpieczyć uskoki. W Anglii, gdzie częste sztormy nieustannie podmywają brzeg, takie uskoki są o wiele bardziej groźne. Na Kariakos morze tylko liże plażę i przelewa się leniwie pod mołem, wydając odgłos przywodzący na myśl kota chłepczącego mleko.

Dziewczyna powiedziała: — Maurice zażywa sjesty każdego popołudnia. Spotka się z panem przy

kolacji. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, ja zaopiekuję się panem do tego czasu.

Tom poczuł, że znów narasta w nim irytacja, niemal gniew — a więc przyjechał tu taki kawał drogi po to, by się dowiedzieć, iż Stanton właśnie zażywa sjesty! Obecność dziewczyny tłumiała jego gniew. Wiadomość była przykra, ale posłanka czarująca. Można by utonąć w tych jej oczach. Miała szerokie usta z małymi bruzdami przecinającymi policzki, co nadawało jej twarzy wyraz jakby się ciągle uśmiechała. Tom znów próbował dociec, kim ona jest. Czy córka mówiąc o ojcu użyłaby jego imienia? Czasami tak się zdarza. Nagle przypomniały mu się słowa Constantina: „Stanton rżnie dziewczyny jak król... zalicza jedną ślicznotkę po drugiej”. Tom zamyślił się. Nie mógł w to uwierzyć. W tawernie nie wziął słów Constantina poważnie, przecież ten Stanton ma sześćdziesiąt lat!

— Maurice powiedział — dodała — że zechce pan zapewne odpocząć po podróży.

Tom wątpił, czy Stanton rzeczywiście coś takiego powiedział. Sądził raczej, że dziewczyna dostrzegła jego irytację i stara się w bardziej dyplomatyczny sposób przedstawić sytuację.

— Czemu nie? — wzruszył ramionami, godząc się na propozycję. Kiedy się śmiała, na policzkach ukazywały się dołki. — To co,

idziemy? — zapytała. — Musimy pójść tędy.

Idąc obok niej Tom co chwila zapadał się w piasek, podczas gdy ona na bosaka posuwała się naprzód jak sportsmenka.

— Dobrze pan podróżował? — spytała uprzejmie.

Znów go zastanowił jej dziwny sposób formułowania myśli. Większość ludzi powiedziałaaby: „Miał pan dobrą podróż”.

— Dobrze — odparł, myśląc nad jej śpiewnym akcentem. Melody to dobre imię dla niej...

36

Gdy zaczęli wspinać się pod górę, upał się nasilił. Bryza, którą czuł nad morzem i jeszcze na molo, znikła, gdy oddalili się od brzegu. Zatrzymał się, by zdjąć marynarkę.

Uśmiechnęła się współczująco. — Już niedaleko. W willi czeka na pana zmiana odzieży. Będzie pan mógł popływać, jeśli przyjdzie panu na to ochota. — Jej szczególny akcent uderzał tylko przy niektórych słowach. Na przykład „pływać” wymawiała jak „płyfać”. Efekt był ujmujący.

— Zmiana odzieży? — powtórzył jak echo. Stanton pomyślał o wszystkim.

— Na pewno poczuje się pan lepiej — stwierdziła, a potem spytała: — Lubi pan pływać?

— Niekiedy.

Zatrzymali się przed ostatnim zakrętem, by popatrzeć na zatokę. „Helena” z silnikami na pełnych obrotach rozpędzała się właśnie na wodzie, by po chwili wznieść się w powietrze. Widok wzlatującego hydroplanu przypomniał Tomowi sprawę jego podróży powrotnej. Już miał o to spytać, lecz Melody zaczęła pokonywać ostatnią pochyłość. — Nie marudźmy — rzekła. — Jesteśmy prawie na miejscu.

Kiedy dotarli do szczytu, Tom stanął jak oniemiały. Przed nimi rozciągał się szeroki taras z basenem i tryskającymi fontannami. Dopiero teraz Tom zobaczył cały budynek. Z dołu widać było tylko piętro. Lewe skrzydło willi ciągnęło się na długość około czterdziestu stóp, prawe nawet więcej. Tę długą i niską fasadę poprzecinano łukami mauretańskimi, oplatał je trójlistny bluszcz malgaski i inne tropikalne pnącza o barwnych liściach. Różowy kamień, z którego willę zbudowano, przecinały białe okiennice, co nadawało budynkowi swoisty rytm. Wszędzie mnóstwo kwiatów — wysypywały się z donic, wylewały ze skrzynek. Tu i ówdzie posągi z białego marmuru. Całość tchnęła spokojem i dostojnością, pozostawiając wrażenie niezwykłego piękna.

Tom przyglądał się temu niemal minutę, zanim zdał sobie sprawę, że Melody go obserwuje.

Roześmiała się. — Wszyscy tak samo reagują na ten widok. W moim przypadku trwało to całą wieczność, zanim doszłam do siebie.

Uśmiechnął się słysząc ten potoczny zwrot, który zabrzmiał prawie jak należy, a i dlatego, że śmiech dziewczyny miał w sobie coś zaraźliwego. Jej urok zdążył już rozproszyć jego wcześniejszą irytację. Była tak naturalna, tak nie zepsuta swoim pięknem! Ta garstka przystojnych kobiet, które Tom znał, zachowywała się z wyniosłością graniczącą z lekceważeniem. Nosily swoje piękno jak

dystynkcje; oczekiwały komplementów i przyjmowały je niby znudzeni oficerowie odbierający honory.

— Najpierw pójdziemy do pana pokoju — powiedziała spoglądając

z niesmakiem na jego koszulę. — Będzie się pan mógł przebrać w coś znacznie lżejszego.

— Okay — zgodził się i podążył za nią przez taras. Minąwszy basen, przeszli pod jednym z mauretańskich łuków i znaleźli się w środku. W wyłożonym marmurową posadzką, obszernym holu o wysokim sklepieniu panował odświeżający chłód. Na ścianach wisiały obrazy. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów, które z trudem mieściły się w wazonach. Z daleka dobiegały stłumione dźwięki muzyki. Wydawało się, że dom jest nie zamieszkały, nigdzie ni śladu służby. Mijając taras Tom nie widział również ogrodnika, który by się zajmował kwiatami. Willa drzemała w popołudniowym skwarze.

Melody poprowadziła go na górę szerokimi schodami. Korytarz na piętrze zdobiły posągi w podświetlonych niszach. Jeden z tych posągów zaintrygował Toma na tyle, że aż zwolnił kroku. Tak jak

1 pozostałe, odlany był w brązie i przedstawiał kobiecy akt naturalnej wielkości. Tom nie znał się na rzeźbie. Posągi, które widywał podczas przechadzek w londyńskich parkach, traktował jako pewien rodzaj mebli ogrodowych. Nigdy nie był w żadnej galerii. Mgliście przypominał sobie jakieś rzeźby, które oglądał w dzieciństwie: posągi skąpo przyodzianych greckich boginek o wyniosłych obliczach. A ta rzeźba nie miała w sobie nic wyniosłego. Naga kobieca postać opierała się o drzewo. Jedną rękę uniosła do góry, głowę wtuliła w zgięcie pod łokciem. Jej szeroko otwarte oczy patrzyły przed siebie, prowokacyjny uśmiech był niedwuznacznie zachęcający.

Przyśpieszył kroku, zerkając na inne rzeźby. Przedstawiały dziewczyny w różnych pozach — wszystkie miały w sobie coś zmysłowego. Uświadomił sobie nagle, że obrazy na dole również przedstawiały sceny miłosne.

— Umieściliśmy pana tutaj — powiedziała Melody otwierając dwuskrzydłowe drzwi. Weszła pierwsza, on podążył za nią.

Pokój był duży, kwadratowy, miał wysoko zawieszony sufit. Każda ze ścian eksponowała coś charakterystycznego. Po lewej dominowały przesuwne oszklone drzwi, które prowadziły na balkon z widokiem na morze. Widok przesłaniały sięgające podłogi muślinowe firanki. Balkonowe drzwi były uchylone, co sprawiało, że podmuch wiatru niósł zapach morza. Na prawo stało olbrzymie łóżko na czterech nóżkach, po jego obu stronach leżały chińskie dywany, ożywiając

38

barwnymi plamami bladą marmurową posadzkę. Z tyłu za łóżkiem częściowo otwarte drzwi ukazywały glazurę w łazience. Bliżej stała ciemna szafa, pachnąca lekko środkiem do czyszczenia politur. Najbardziej jednak rzucała się w oczy rzeźba znajdująca się na wprost wejścia.

Przedstawiała w naturalnej wielkości kobietę i mężczyznę — nagich, splecionych w miłosnym uścisku.

Melody otworzyła szafę, Tom stał jak oniemiały, gapiąc się na rzeźbę. Kompozycja składała się z trzech części — każdą wykonano w innym materiale. Szezloneg, na którym kochankowie leżeli, wyrzeźbiono w granicie koloru antracytu, który błyszczał kwarcową poświatą. Dziewczyna była z granitu, a mężczyzna z brązu. Postacie sprawiały wrażenie ruchu, podkreślonego doborom materiału — gładkiego, różowego kamienia dla dziewczyny i nie obrobionego złotawego brązu dla mężczyzny. Mężczyzna pochylał głowę i ssał pierś dziewczyny. Prawą ręką podtrzymywał partnerkę u nasady kręgosłupa, lewą pieścił jej prawy pośladek. Wchodząc w nią, napiął mięśnie ramion. Dziewczyna poddając się temu, oplotła jego ciało nogami. Lewą ręką obejmowała mu szyję, głowę odrzuciła do tyłu, otworzyła usta. Włosy opadały kaskadą w dół.

— Myślę, że ta powinna być dobra — powiedziała Melody, wybierając białą koszulę z aerteksu i upewniając się, czy nie jest za wąska w ramionach. — W szafie znajdzie pan resztę rzeczy —

spodnie, koszule, obuwiu i tak dalej.

— Dziękuję.

Odwróciwszy się wskazała ręką drzwi: — A tam jest łazienka.

— Dziękuję — powtórzył, zastanawiając się, czy skomentować kompozycję rzeźbiarską. Może żartem? Ale słowa, które cisnęły mu się do głowy, nie były żartobliwe, tylko wulgarne.

Melody uśmiechnęła się. — Chce się pan przebrać i wziąć prysznic? Za dziesięć minut przyniosę panu na taras coś do picia.

— Świetnie.

Położywszy koszulę na łóżku, skierowała się do wyjścia. Kiedy go mijala, owiał go lekki zapach jej perfum, miał też sposobność znów zerknąć na zagłębienie między jej piersiami. Czuł na sobie prowokacyjny wzrok Melody i cień jej uśmiechu. Wyszła zamykając za sobą cicho drzwi.

Tom usiadł na łóżku. Jego wzrok powrócił do rzeźby. Te postaci miały w sobie coś hipnotycznego.

Gdzie się ruszył, czuł ich obecność. Jak gdyby dzielił pokój z żywymi istotami. Odniósł nawet wrażenie, że dostrzega ruch pleców mężczyzny. Niemal słyszał ekstatyczny krzyk dziewczyny.

Całość niepokoiła erotyzmem. Cóż to za numer z tego Stantona!

39

Ta myśl towarzyszyła mu, gdy brał prysznic i nakładał świeżą bieliznę i ubranie. Od wielu dni zadawał sobie pytanie, kim jest Stanton i dlaczego chce się z nim widzieć. Dziewczyna powiedziała: „Maurice spotka się z panem przy kolacji. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, zaopiekuję się panem do tego czasu”.

Zaopiekuje się mną? Jak?

Wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Koszula i białe lniane spodnie pasowały jak ulał. „Skąd znali moje rozmiary?”

Wkładając zegarek zmarszczył czoło. Tajemnice irytowały go. Tom nie znosił, gdy ktoś wie o nim więcej niż on o nim. Biznes opiera się na obustronnej znajomości rzeczy.

Wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem, ponownie przyglądając się posągom. Willa nadal tonęła w ciszy i spokoju. Bez towarzyszącej mu Melody przyglądał się rzeźbom z większą śmiałością.

Stwierdził, że nie wszystkie są erotykami, co trochę podniosło go na duchu. Niektóre z nich były abstrakcyjne, przypominały nieco dzieła Henry'ego Moore'a, jedyne rzeźbiarza, o którym słyszał. Obrazy w większości były impresjonistyczne — wielkie rozbryzgi farby które zapewne coś dla artysty znaczyły, ale Tomowi nie kojarzyły się z niczym.

Bez przyczyny właściwie, ale poprawił nieco w myślach wizerunek Stantona. W końcu to dzieła sztuki. Wielu bogatych ludzi kolekcjonuje rzeźby i obrazy. Jednak tutaj nie odstępował go emanujący z nich erotyzm. Manifestował się poprzez kombinację różnych elementów, takich jak zapach piżma, dyskretne oświetlenie, upojna muzyka i wymieszana z formami abstrakcyjnymi wszechobecność nagości całej galerii postaci w podniecających pozach. Najbardziej jednoznaczny posąg napotkał u wylotu schodów. Nie zwrócił na niego poprzednio uwagi podążając na górę za Melody. Teraz o mało na niego wpadł. Albo raczej: wpadł na nich, ponieważ znajdowały się tu dwie postaci, obie naturalnej wielkości. Przedstawały nagiego mężczyznę, między jego nogami klęczała Murzynka. Prawą rękę podtrzymywała mu jądra, lewą obejmowała nasadę członka, który trzymała w ustach. Na jej zwrócony ku górze wzrok mężczyzna odpowiadał spojrzeniem, w którym czułość mieszała się z namiętnością. Ten wzrok był wymownym świadectwem wzajemnego dawania i brania rozkoszy, której nic nie mogło się równać. Cokół opatrzony był podpisem: Fellatio.

Tom oniemiał. Odkąd to, u licha, robienie laski jest dziełem sztuki? Zaraz się roześmiał, bo przypomniało mu się, że użył dokładnie tych samych słów dziękując kiedyś pewnej dziewczynie.

40

Czekała po drugiej stronie tarasu, pochylona nad balustradą, kiedy wyszedł spod arkad. Obok niej pod dużym pomarańczowym parasolem stały dwa ogrodowe krzesła i biała szafka. Na dźwięk jego kroków odwróciła się. Zielonymi oczami oceniła dobór odzieży, jakiego dokonał. — Nie zdecydował się pan, widzę, na pływanie, panie Lambert?

— Wolałbym raczej porozmawiać. Przyrzekła pani przecież zaopiekować się mną do kolacji. Uśmiechnęła się znów. Figurę miała znakomitą. — Przyrzekłam panu drinka. Czego się pan napije? Biała szafka okazała się lodówką kryjącą barek. Usiedli pod parasolem i sączyli mrożoną lemoniadę ze świeżo wyciśniętych cytryn.

Tom przejął na siebie prowadzenie rozmowy. Zachwycił się najpierw basenem i willą. Potem mówił o kwiatkach i błękitach nieba. Stwierdził, że wszystko tu jest odmienne niż w Londynie, który opuścił zaledwie osiem godzin wcześniej. Banalna konwersacja pozwoliła mu przetrzeć drogę do bardziej osobistych pytań i dała okazję do obserwowania dziewczyny. Podobał mu się sposób, w jaki reagowała. Nawet oczywiste komunały brała na serio. Szczerść jej reakcji sprawiła, że już po pół godzinie gotów był skierować rozmowę na bardziej osobiste tory. Przeszkodziło mu w tym pojawienie się innych ludzi na tarasie. Najpierw weszło dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach, którzy zaczęli wnosić stoły i krzesła, potem zjawiły się dwie kobiety z obrusami. Zobaczywszy ich, Melody wyjaśniła: — Przygotowują kolację na pana cześć.

— Kolację na moją cześć?

Uśmiechnęła się, lecz zamiast wyjaśnień zaproponowała mu przechadzkę w okolicach willi. — Myślę, że spacer dobrze panu zrobi. Pod drzewami jest znacznie chłodniej.

Pod drzewami rzeczywiście było chłodniej, mimo że przechadzka wymagała lekkiej wspinaczki ścieżką wijącą się wokół willi, a potem jeszcze wyżej. Kępy ziół, woń tymianku i rozmarynu mieszała się z zapachem sosen, napełniając powietrze balsamiczną świeżością.

Tom przystąpił do rzeczy. — Niewiele wiem o panu Stantonie — powiedział powoli. — Czy to możliwe, że pani jest jego córką?

Jej śmiech skojarzył mu się z imieniem, jakie nosiła. Był beztroski, radosny, brzmiała w nim charakterystyczna melodia. — Nie, nie córką. Jestem jego przyjaciółką.

Za drzewami widać było już morze. Przystanęli, aby popatrzeć na wodę. Blask słońca i cienie cętkowały twarz Melody, uwypuklając wklęsłości wokół bruzd rysujących się w kącikach ust. Zielone oczy

41

lśniły rozbawieniem. — Chodźmy dalej — powiedziała. Tam jest piękniejszy widok. Przekona się pan.

Właśnie miał za nią ruszyć, kiedy zobaczył jaszczurkę, która wskoczyła na pień drzewa, przyprawiając go o dreszcz emocji. — Wielkie nieba! Widziała pani?

Roześmiała się. — One nie gryzą, panie Lambert. Nic na tej wyspie pana nie skrzywdzi.

Spojrzał na nią wyczekująco, podejrzewając jakieś ukryte znaczenie w tych słowach, lecz w końcu uznał, że to jeszcze jeden przejaw szczególnego sposobu formułowania przez nią myśli. Absolutnie żaden podstęp nie krył się w jej przejrzystych oczach. Uszli jakieś trzydzieści jardów. Ścieżka wiała się zakolami, aż dotarli do szczytu wzniesienia, gdzie las się kończył. — Widzi pan? — odwróciła się do niego z uśmiechem. — Proszę spojrzeć!

Roztaczająca się przed nimi polana opadała stromo aż do niebieskiego morza, którego jedwabista powierzchnia niknęła na horyzoncie. Polana miała około dwudziestu jardów szerokości. Oślaniały ją wokół sosny, co przydawało temu zakątkowi charakter grotty. Od strony morza mogło to zapewne przypominać amfiteatr. Pośrodku tej sceny stała ławka z kutego żelaza, pomalowana na biało. Obok niej, na wbitym w ziemię trójnogu, znajdowała się oprawiona w mosiądz luneta.

— Popatrzmy! — zawołał Tom. Podeszedł do ławki i usiadł. Obrócił lunetę. — Proszę tylko mi nie mówić, co stąd widać. Jeśli powietrze jest przejrzyste, zapewne cały świat.

— Krete — uściśliła. — Jeśli powietrze jest przejrzyste, widać stąd Krete.

— Dobrze. Niech więc pani usiądzie — wskazał jej ławkę — i zachowuje się jak przystało na prawdziwą przewodniczkę.

Jej rozbawione spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, iż wie, że Tom chciałby rozmawiać nie tylko o widokach. — Maurice wspomniał, że będzie pan zadawał pytania — rzekła siadając przy nim.

— Rzeczywiście tak powiedział? A co więcej mówił?

— Że mam odpowiadać.

— Obiecujący początek — Tom kiwnął z uznaniem głową. — Zaczniemy więc od pani. Skoro nie jest pani jego córką, to kim właściwie pani jest?

— Już panu mówiłam. Jestem przyjaciółką Maurice'a. Jedną z jego dziewczyn na lato. — Kąciki jej ust drgnęły figlarnie. — Same tak się nazwałyśmy. Zobacz pan jeszcze dziś wieczór Jasmine i Velvet.

— Velvet? Na litość Boską, a cóż to znowu za imię — Velvet?

42

Roześmiała się. — Tak Maurice ją nazwał. Zrozumie pan, dlaczego, kiedy pan go zobaczy.

— Czemu nie mógłbym teraz tego zrozumieć? Niech mi pani o nim opowie.

Potrząsnęła przecząco głową. — Nikt nie zrozumie Maurice'a, dopóki go nie pozna. Nie potrafię go panu opisać. On... nie ma sobie podobnych. — Marszcząc czoło starała się znaleźć właściwe określenie, aż w końcu je odkryła i zawołała triumfalnie: — On jest niepowtarzalny! Jak dzieło sztuki. Nigdy nie istniał ktoś taki, jak on.

Tom nie będąc ślepym ani głuchym, nie mógł nie dostrzec podziwu w jej oczach i głosie. Przez chwilę zastanawiał się, czy Melody jest zakochana w Stantonie. Wydawało się to nieprawdopodobne: dziewczyna o takiej prezencji i mężczyzna, który mógłby być jej ojcem! Poza tym bardziej przypominała wyznawczynię jego kultu niż kochankę.

— Niepowtarzalny to wielkie słowo — rzekł przypominając sobie, że Richards użył tego samego określenia.

— Maurice to wielki człowiek. To olbrzym.

Mając sposobność zadawania pytań, Tom wyrzucał z siebie jedno pytanie po drugim. Drażył temat przez następne dwadzieścia minut, a Melody odpowiadała bez oporów, choć obraz, jaki malowała, stwarzał wrażenie pewnego chaosu. Stanton począł mu się jawić w dziesięciu postaciach: jest fizycznie okazały („Myślę, że taki jak pan, ale szerszy w ramionach...”); kolekcjoner dzieł sztuki („Wszystko, co pan tu widzi, powstało albo na zamówienie Maurice'a, albo zostało zdobyte dzięki jego kolekcjonerskiej pasji. Czy słyszał pan o Manellim? A o Picassie? To jego bliscy przyjaciele...”); koneser win („Ach tak, we Francji ma kilka winnic...”); Stanton przyjaźni się z wieloma znanymi politykami europejskimi („Nawet wasz Harold Macmillan był tu przed dwoma laty. W bibliotece są fotografie z tego spotkania...”). Maurice Stanton był jeszcze tym, był jeszcze owym...

Melody wydawała się zaskoczona ignorancją Toma w wielu sprawach i z ogromną radością uzupełniała braki w jego wiedzy. Raz czy dwa któreś z pytań sprawiło, że marszczyła czoło. — Sprawy, o których panu mówię, są szeroko znane, ale o to musi pan sam go zapytać — oznajmiała wówczas z rozbijającą szczerością.

Melody okazała się kopalnią wiadomości o Stantonie. Mówiła z tak czarującą bezpośredniością, że Tom znalazł się w pełni pod jej urokiem. Uśmiech dziewczyny wyzwalał jego uśmiech. Tom zapomniał już o przygodzie w Pireusie i bez reszty oddał się przyjemności rozmowy z nią. Pytania Toma coraz bardziej zaczęły dotyczyć Melody: — Jak pani tu trafiła? Od jak dawna pani tu przebywa? Skąd pani pochodzi?

43

Okazało się, że jest Norweżką. Jej ojciec pracował w ambasadzie norweskiej w Londynie.

Poprzedniej wiosny poszła na wernisaż akwarel do galerii przy Albermale Street. Był to prywatny pokaz dla kolekcjonerów, bankierów, koneserów oraz pracowników ambasad. Jej rodzice udali się na wystawę w towarzystwie pewnego muzeologa z Oslo. Melody była wraz z nimi, towarzyszył jej młody człowiek z ambasady, z którym jej rodzice wiązali nadzieje na bliższy związek córki.

— Przyszedł tam Maurice. Zaczęliśmy rozmawiać. — Melody odrzuciła do tyłu głowę, mierząc Toma badawczym spojrzeniem. — Pan pewno nie za bardzo zna się na malarstwie?

— Prawie w ogóle się nie znam.

— Mnie się wydawało, że znam się nieźle, dopóki nie spotkałam Maurice'a. On sprawił, że

zaczęłam na wszystko patrzeć inaczej. To było tak, jak gdybym miała... — zmarszczyła czoło. — Jak się nazywa to, czym zawiązuje się oczy?

— Przepaska.

— Przepaskę na oczach — potwierdziła z uśmiechem. — Maurice zdjął mi tę przepaskę z oczu. Nazajutrz po wernisażu zjadła lunch ze Stantonem w jego apartamencie u Claridge'a. Chcąc podsumować długą rozmowę z Tomem, powiedziała: — Mówiliśmy nie tylko o malarstwie, ale i o wielu innych rzeczach. A on o wszystkim dużo wiedział. Więcej niż ktokolwiek inny. — Uśmiechnęła się z dumą. — Zrozumie pan to, kiedy go pozna.

Lunch ze Stantonem trwał prawie całe popołudnie. Kiedy skończyli, zaprosił ją na Kariakos. — Wróciłam do rodziców, wrzuciłam do torby kilka rzeczy i jeszcze tego samego wieczoru odleciałam ze Stantonem.

— Ot tak, zwyczajnie? — spytał. — Rodzice nie stawiali sprzeciwu?

— Ojciec był wściekły. Wyglądał jak eksplodująca rakietka. Ale co mógł poradzić? Miałam dwadzieścia cztery lata. — Dziwaczny uśmiech pojawił się na jej ustach. — Powiedział mi, że Maurice to kobieciarz.

Tom kiwnął głową. — Słyszałem o tym. A co z pani matką? Co ona na to?

— Zachowała się podobnie, ale jej spojrzenie mówiło mi, że gdyby miała tyle lat, co ja, też by tak postąpiła. Pragnęłam się uczyć, a Stanton chciał podzielić się ze mną swoją wiedzą.

W tym momencie Tom gruntownie przewartościował swoją ocenę sytuacji. Do tej chwili targały nim wątpliwości. A to z powodu uwagi Constantina, że Stanton rżnie piękne dziewczyny. Choć w to nie wierzył, jednak ciągle brał to pod uwagę. Teraz już wiedział, że nie ma

44

racji. Nagle wszystko stało się jasne... Melody podziwiała Stantoną za jego wiedzę.

— Uczy panią odbioru sztuki?

— O tak — zgodziła się. — Uczy mnie wszystkiego.

Tom przypomniał sobie, że są jeszcze inne dziewczyny — Velvet i... jakże jej na imię? Oczywiście — one są uczennicami Stantoną, a Kariakos jest szkołą letnią dla „dziewczyn na lato”. Błędny osąd Constantina wydał się nagle Tomowi bardzo zabawny. Roześmiał się. — Teraz rozumiem — powiedział. — Więc spędziła tu pani ubiegłe lato. A co z zimą?

— Maurice nie mieszka tu zimą — powiedziała Melody tak, jakby ta informacja wyjaśniała wszystko.

— Co więc pani wówczas zrobiła?

— Wyjechałam do Paryża. Jasmine ma tam mieszkanie. Pracowałam w galerii.

— I teraz znów pani wróciła?

— Teraz znowu tu jestem — potwierdziła przeciągając się. Spojrzała na sosny, a potem na morze:

— To moje drugie lato na Kariakos. Może ostatnie.

— Jeszcze pani nie zdecydowała?

Wzruszyła ramionami, zagłębienie między piersiami pogłębiło się. Tom zmusił się, by przenieść wzrok ponownie na jej twarz. Nadal patrzyła na morze. Bruzdy w kącikach ust sugerowały możliwość uśmiechu. — Maurice mówi, że sama zrozumie, kiedy nadejdzie pora odjazdu. Myślę, że jeszcze nie, ale... sądzę, że to moje ostatnie lato na Kariakos. Będę już gotowa.

— Gotowa? Do czego?

— Do życia. — Spojrzała na niego figlarnie. — Do tego, by otworzyć własną galerię w Paryżu. Do wielkich przygód... — Przerwała. — Dlaczego pan się uśmiecha?

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że się uśmiecha. Był zwyczajnie zadowolony. Cieszył się, że jego wcześniejsze podejrzenia okazały się niesłuszne, cieszył się, że siedzi z tą dziewczyną wśród sosen na greckiej wyspie.

— Śmieje się pan ze mnie! — zganiała go. — Pan już pewnie ma za sobą duże przygody.

— Dopiero się do nich przygotowuję — zaprotestował. — Nie mam za sobą wielkich przygód.

Jestem tylko zwykłym księgowym...

— Wiem, że pan ze mnie żartuje. — Potrząsnęła głową, jej policzki zaróżowiły się nieznacznie. —

Gdyby tak było, Maurice nie zaprosiłby tu tych wszystkich na spotkanie z panem...

45

— Jakich wszystkich? Tylko panią poznałem dotychczas. Karcenie zmieniło się w podejrzliwość.

— Edwardsa na przykład —

powiedziała, wymawiając to czarująco jak Etfarts. — Sir Bernarda Etfartsa.

— On tu jest? — Tomy był zaskoczony. — Prezes Excel Machines? Chłodne spojrzenie Melody trochę go skonsternowało. — Słyszałem

o nim — przyznał.

— A Gunther Haller? Też pan chyba o nim słyszał? — Ton jej głosu brzmiał bez wątplenia sarkastycznie.

— Nie, nie! Nie słyszałem. Kto to taki?

— The First National Bank of Geneva — powiedziała z widocznym niedowierzaniem.

— O banku słyszałem.

— Gunther Haller to to samo, co First National Bank.

— No, cóż — Tom wzruszył ramionami. — Niech sobie będzie, ale i tak nie miałem okazji go poznać.

Przekonanie, z jakim to powiedział, sprawiło, że twarz jej złagodniała. W zielonych oczach, które z uwagą obserwowały Toma, pojawił się cień zażenowania. — Chyba byłam nieuprzejma. Myślałam, że pan się ze mnie naśmiewa... bo przecież tyłu ich przyjechało na spotkanie z panem. Jest tu nawet Roddy...

— Któż to jest Roddy?

— Syn Maurice'a. Jest również Pohl z Niemiec i Amiens z Genewy.

— Zaraz, zaraz. Gdzie są ci ludzie? W willi nikogo nie widziałem.

— Bo większość z nich przebywa w tej chwili na jachcie Maurice'a.

— Myślałem, że Maurice odpoczywa w domu.

— Jego nie ma na jachcie. To Roddy wziął wszystkich na przejażdżkę. Wrócą na kolację z panem.

Zakłopotanie Melody przerodziło się w zaciekawienie. — Tak więc — powiedziała — sądzę, że jest pan kimś więcej niż zwykłym księgowym, panie Lambert.

— Tom — odrzekł. — Proszę mi mówić po imieniu.

— Dobrze... Tom. — Jej uśmiech powrócił — Myślę, że jednak jesteś kimś ważnym. Ty już masz swoją wielką przygodę, prawda?

Tomowi, który właśnie stracił pracę, taka ocena bardzo schlebiała. Pełne szacunku spojrzenie Melody mile go polechtało. Cieszył się tą chwilą przez moment, lecz uznał, że nie może jej zbyt przedłużać. — Pracowałem w przedsiębiorstwie zajmującym się wytwarzaniem maszyn biurowych — rzekł wzruszając ramionami. — Nie jest to wielka firma, ale też i nie mała. Przed dziesięcioma dniami kupił ją twój przyjaciel Stanton. Ja złożyłem rezygnację, a teraz on pragnie się ze mną widzieć.

46

Nie wiem, po co, ale jeśli chce, bym tam nadal pracował, to marnuje tylko czas. — Tom uśmiechnął się zadowolony z siebie. — Może postąpię tak jak ty. Założę własną firmę. Oczywiście gdy nadejdzie mój czas wielkiej przygody.

Słuchała z uwagą, przyglądając mu się. Gdy skończył, odpowiedziała z uśmiechem: — Zobaczymy, może po kilku dniach zmienisz zdanie.

— Ja nie przyjechałem tu na kilka dni. Wracam jutro do Londynu. Jej zdumienie było tak samo nie udawane, jak tamto Mastersa. Zmieniła temat: — Która godzina?

Spoglądając na zegarek, stwierdził, że dochodzi już siódma.

Melody wstała, obciągnęła spódnicę na biodrach. — Muszę się jeszcze wykapać i przebrać do kolacji. Zostaniesz tutaj czy wrócisz ze mną do willi?

Ogarnęło go rozczarowanie, że muszą już kończyć rozmowę. Tak mu było tu dobrze. Wstał z niechęcią. — Nie zdążyliśmy popatrzeć przez lunetę — mruknął.

— Może innym razem — uśmiechnęła się ruszając w drogę powrotną. Chciał jeszcze przedłużyć tę rozmowę, jeszcze chwilę pobyc razem z nią. Był teraz jej ciekaw tak samo, jak poprzednio Stantona.

Pospiesznie podążył za nią. — Kiedy — zapytał — popatrzymy przez lunetę?

Zaśmiała się. — Kiedy tylko będziesz miał na to ochotę.

— Aleja stąd wyjeżdżam. Ciebie też tu nie będzie pod koniec lata. Dotarli do skraju lasu, skąd roztaczał się widok na morze.

I wtedy Tom dostrzegł jacht. Długi biały statek poruszał się bardzo wolno, niemal stał w miejscu, jak gdyby szykował się do zakotwiczenia. Nawet Tom, który nie miał pojęcia o statkach, musiał przyznać, że jacht jest piękny. — Oho! Popatrz tylko! Czy to „Afrodyta”?

Melody zatrzymała się, aby miał czas popatrzeć. — Tak.

Coś w jej głosie zwróciło jego uwagę. Spojrzał na nią z nadzieją rozszyfrowania wyrazu jej twarzy. Obrzydzenie? Cóż może być obrzydliwego w jachcie? Szczególnie dla dziewczyny, która wychowała się na łodzi.

— Wraca Roddy — oświadczyła.

Nie zwracając uwagi na chłodny wyraz jej oczu, postanowił skorzystać z szansy przedłużenia tej chwili. — Cóż to za statek! Wcześniej myślałem, że tylko Onassisa stać na taki jacht. Nigdy natomiast nie słyszałem, by ktoś jeszcze miał wyspę i jachty.

47

Melody wzruszyła ramionami. — „Christina” jest o wiele większa i stokroć bardziej pretensjonalna. — „Christina”? Ten jacht Onassisa? Byłaś tam?

— Nie. To Onassis był tu zeszłego lata. Jedliśmy kolację na tym jego jachcie. — Wyraz twarzy Melody był teraz niemal pogardliwy.

Tom zdziwił się. — Nie przepadasz za nim?

— W salonie na jachcie ma obraz. Madonna w otoczeniu aniołów. Ari twierdzi, że to El Greco. Ale to jest falsyfikat.

Oburzenie Melody rozbawiło Toma. Cała sytuacja wydała mu się śmieszna — jeden z najbogatszych ludzi świata oszukuje twierdząc, że jakiś obraz jest prawdziwy, i przyłapuje go na tym ta dziewczyna.

— Chodźmy! — powiedziała. Odwróciła się i ruszyła ścieżką w dół. Nadal odczuwał rozbawienie, lecz zafascynowanie dziewczyną

wzięło górę. Od ponad roku nie było w jego życiu kobiety. Wcześniej była Julia i jeszcze jedna przed nią, ale obie zmęczyło ciągłe granie drugich skrzypiec. Czuły się zaniedbywane. Długie godziny pracy Toma, przerywane weekendy, stawianie pracy ponad życie prywatne odbierały jako brak zainteresowania...

— Melody — powiedział doganiając ją. — Rzeczywiście zamierzasz pod koniec lata założyć galerię w Paryżu?

— Mhm — pokiwała głową. — Mam taki zamiar.

— Nie odwiedzisz przypadkiem Londynu w sprawach firmy?

— O, tak. Chyba nawet często będę tam bywać.

— To może moglibyśmy się spotkać? Zjedlibyśmy wspólnie kolację. I porównali nasze wielkie przygody.

Przedstawił jej tę propozycję jakby od niechcienia, udając, że to nic ważnego. Ale mówiąc to, wiedział, że to istotne. Popatrzyła na niego. Przez chwilę był pewny, że odmówi. Twarz miała poważną, jeśli nie liczyć tych bruzd w kącikach ust. Powiedziała: — Dziękuję, Tom. Myślę, że bardzo bym chciała zjeść z tobą kolację w Londynie.

Ogarnęła go wprost absurdalna radość. Cały dzień był jakiś szalony. Najpierw podróż samolotem, potem Pireus, Constantin, oficer i żołnierze, a później ta wyspa... Nie chciał pracować dla Stantona, niech się wypcha swoją propozycją. Zupełnym szaleństwem było przyjeżdżać aż tutaj po to, by odbyć rozmowę, której wynik uznał za z góry przesądzony. Powinien jednak być wdzięczny Stan-

tonowi za tę dziewczynę.

Kiedy dotarli do willi, taras był jakby odmieniony. Ustawiono stoły w podkowę. Służba polerowała szkła i rozkładała srebrne sztuce. Tom naliczył osiem osób, które uwijały się z takim zapamię-

taniem, że nawet nie podniosły głów, kiedy wchodził z Melody pod szerokie mauretańskie arkady.

— Wygląda na to, że szykuje się duża impreza — rzekł Tom.

— Mówiłam ci. Wszyscy przyjdą na kolację, by cię poznać. Policzył krzesła. — Dwadzieścia osób? Uśmiechając się weszła do środka. — Pójdę do twojego pokoju sprawdzić, czy wszystko przygotowane.

Mijając korytarz pogrążyli się znów we wszechobecnej atmosferze seksu. Te rzeźby to nie tylko zmysłowe dzieła sztuki, same w sobie nie stanowiły jeszcze o charakterze domu, lecz wszystkie razem tworzyły rodzaj scenerii, która działała na każdy ze zmysłów. Woń perfum w powietrzu, ledwie słyszalna muzyka, przyćmione oświetlenie — wszystko to oddziało na Toma bardziej intensywnie niż poprzednio. Czas spędzony z Melody w słońcu pod błękitnym niebem; patrzeć w jej w oczy i zerkanie na biust rozbudziło w nim falę pożądania. Wydawało się, że dziewczyna jest podobnie usposobiona. Gdy wchodził na schody, jej nagie ramię otarło się o niego jakby na znak ugruntowanej zażyłości.

Po wejściu do pokoju twarz Melody rozjaśniła się z zadowolenia. — W porządku. Widzę, że Maria już przygotowała smoking.

Wzrok Toma niemal automatycznie powędrował na posąg. Jego erotyzm niósł w sobie jakiś magnetyzm, Tomowi z trudem udało się przenieść spojrzenie na łóżko. Na narzucie leżała wieczorowa marynarka z białego lnu, obok elegancka koszula, muszka i złote spinki. Na podłodze stała para lśniących czarnych pantofli.

— Maurice zapomniał ci powiedzieć, że mamy tu zwyczaj przebierać się do kolacji — rzekła Melody.

Podchodząc do łóżka Tom podniósł marynarkę i przyłożył ją do siebie. — Skąd on zna moje rozmiary?

— Spytaj go o to, kiedy się z nim zobaczysz — powiedziała ciesząc się jego zakłopotania. — Wrócę po ciebie o ósmej, by cię zaprowadzić na przyjęcie, dobrze?

— Świetnie — uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że ona również będzie na kolacji.

Gdy tylko wyszła, przygotował kąpiel. — Co za dzień! — mruknął zanurzając się z satysfakcją w wodzie. Minęło dopiero trzynaście godzin od czasu, gdy pilot odebrał go z mieszkania. Odprężony gorącą kąpielą, zamknął oczy i oparł stopy o krawędź wanny; myślał o przyszłości ze znacznie większą powagą niż w ciągu wielu ostatnich miesięcy. Może rzeczywiście potrzebne mu było oderwanie się od Londynu, by spojrzeć na swoje życie z perspektywy. Jak daleko sięgał

— Zemsta

49

pamięcią, zawsze był zapracowany. Praca, praca, tylko praca... I po co to wszystko? Żeby Brierleyowie w końcu sprzedali firmę? Podstępni dranie! Kontakt z osobami tak dwulicowymi, jak oni, podkopuje w człowieku wiarę w innych, wszyscy stają się podejrzani.

Zmieniając pozycję otworzył oczy. Przez otwarte drzwi łazienki widać było wnętrze pokoju... Nagle rozpoznał ją. Ta świadomość uderzyła w niego niemal fizycznego. Rozchlapując wodę pochwycił brzeg wanny i wyskoczył z kąpeli. O mało nie upadł pośliznąwszy się na marmurowej posadzce. Nagi wpadł do pokoju. Słoneczne promienie rozproszone na muślinowej firance oświetlały posąg, sprawiały, że mężczyzna z brązu połyskiwał jakby był ze złota, a dziewczyna z marmuru lśniła perlistym różem. Jej długie nogi oplecione wokół korpusu z brązu wyglądały jeszcze bardziej kształtnie. Słońce wyłowiło znamię na kolanie dziewczyny. Łuk jej pleców perfekcyjnie podkreślał wiotkość talii. Ale to jej twarz zelektryzowała Toma. Dziewczyna odrzuciła do tyłu głowę, gęste włosy spływały na szyję, usta rozchyłały się w krzyku rozkoszy. Znamię przyozdabiało jej lewy policzek. To była Melody.

Przez następne pół godziny obrzucał siebie wszystkimi możliwymi wyzwiskami. Największy, cholerny głupiec pod słońcem! Nie miał pretensji, że się zachował jak niedojrzały młodzik. Nawet w okresie dojrzewania nie miał skłonności do egzaltowanych uniesień. Zawsze miał tyle dziewczyn...

Odczuwał gorzki smak upokorzenia. Stał się przedmiotem żartu ukartowanego przez Stantona. „Podszedł mnie. Najpierw wysłał mi na spotkanie Melody, pozwolił, by spędziła ze mną trochę czasu, zachęcał mnie... a teraz to!”

Jeszcze raz, mimo woli, spojrzął na posąg. Nienawidził tych postaci, ale one wciąż przyciągały jego wzrok. Zaklął szpetnie. Nie widział twarzy mężczyzny, tylko jego potężne bary z brązu i napięte pośladki ponad muskularnymi nogami. Głowę pochylił i przycisnął do piersi dziewczyny. Twarz pozostawała niewidoczna.

Tom pośpiesznie przebrał się w białą marynarkę i uciekł z pokoju na balkon. Palił papierosa obserwując, jak nad szarzącym morzem ciemnieje niebo. Irytowało go niespójne brzęczenie chóru cykad. Słyszał też inne głosy dobiegające z niewidocznej części tarasu. Jakiś mężczyzna zawołał: „Jak ci się udał dzień?” „Było fantastycznie — brzmiała odpowiedź — popłynęliśmy na lunch na Milos.” Kobiety głos zawołał: „Kochanie, muszę się przebrać”. Śmiech i pokrzykiwania

50

rozbrzmiewały głośnym echem na tle cichych dźwięków muzyki. Zewsząd dochodził odgłos szumiącej wody, brano kąpiel. Tom zapalił następnego papierosa, wymyślając sobie od głupców: zamiast pozostać w Londynie, traci tu tylko czas.

W jakiś czas później rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił się i zobaczył w progu Melody. Miała na sobie wieczorową suknię, której kolor dobrany był do barwy jej oczu. Suknia była z zielonego jedwabiu i miała głęboki dekolt. Piersi dziewczyny miały ten sam jedwabistobrazowy odcień, jak jej ramiona. Melody zmieniła uczesanie, odsłoniła kark, podkreślając linię szyi, którą zdobił szmaragd w złotej oprawie. Wyglądała przepięknie. Nienawidził jej.

Rozszerzyła w uśmiechu usta. — Proszę, proszę — powiedziała z podziwem. — Wyglądasz bardzo dystyngowanie. Miałam rację. Myślę, że jednak jesteś kimś ważnym. Nie wierzę w to, co mówiłeś wcześniej.

„Ona nie wierzy MNIE! A to dopiero! Co za tupet!”

Chcąc uniknąć jej wzroku spojrzął na zegarek. — Muszę przyznać, że jesteś punktualna.

Spojrzała na niego pytająco. — Czy coś nie w porządku?

„Jak się o mnie troszczy! I jeszcze to jej niewinne spojrzenie! Ależ z niej aktorka!”

— Nie, wszystko w jak najlepszym porządku. Absolutnie w porządku. Chodźmy, trzeba to mieć z głowy.

Na korytarzu ujęła go pod rękę. — Tom — rzekła podnosząc na niego oczy — to jest przyjęcie.

Wielu ludzi czeka, by cię poznać. Czemu jesteś taki posepny?

— Taki mam zwyczaj. Nie mieszam nigdy przyjemności z interesami.

Cofnęła dłoń, jakby się sparzyła. Schodzili schodami, starając się nie dotykać, ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Z tarasu docierały różne odgłosy: dźwięki buzuki, stuk kostek lodu w kieliszkach, śmiech jakiejś dziewczyny. Tom zatrzymał się u podnóża schodów. Pochwyciwszy Melody za łokieć, odwrócił ją twarzą do posągu. — Fellatio — prychnął odczytując napis. — I to ma być sztuka?

— To piękno — odparła z prostotą. — Popatrz na ich twarze. Wiedział, co ma na myśli. Widział to wcześniej. Zrozumiał. Choć

postacie rzeźby były zmysłowe, erotyczne, to jednak to coś, co między nimi zachodziło, przekraczało granice fizycznego doznania. Ale przedtem Tom był w innym nastroju. — To nie sztuka — rzekł szorstko — to świństwo. Pornografia!

Poczuł na sobie wzrok Melody. Nie chcąc patrzeć jej w oczy, nadal

51

wpatrywał się w posąg z brązu. Szerokość pleców tego mężczyzny była identyczna jak u postaci w jego sypialni. To samo muskularne ciało. Tom instynktownie wyczuł, że jest to ten sam mężczyzna. Melody powiedziała cicho: — Szkoda, że tak na to patrzysz. Współczuję ci.

Odeszła w stronę mauretańskich arkad. Pośpieszył za nią, doganiając ją w chwili, gdy wchodziła na taras. Jakiś człowiek powstał z krzesła i ruszył im na spotkanie. Był to wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z grzywą siwych włosów i krzaczastymi brwiami. Jego opalenizna mocno odcinała się od bieli marynarki. Głębokie bruzdy przebiegały od nasady nosa aż po kąciki ust. Była to twarz mocnego człowieka, przystojnego, doświadczonego, przyzwyczajonego do wydawania rozkazów. Największe jednak wrażenie robiły jego oczy. Brązowe jak kasztany, patrzyły z głęboką przenikliwością, nadając mu wyraz niezwyklej inteligencji.

Melody powiedziała: — Maurice, pozwól, to jest Tom Lambert.

Opalona twarz rozszerzyła się w powitalnym uśmiechu. Tom od razu ją poznał. Była to twarz z posagu u wylotu schodów.

1978

Pusta szpula, na której już nie było taśmy, obracała się bez celu. Film dawno się skończył. Ekran zionął pustką, jeśli nie liczyć białego światła rzucanego z projektora. Tom siedział zgarbiony na krześle. Od trzech godzin prawie się nie poruszył. Na zewnątrz zmierzchało. Zachodzące słońce barwiło niebo na bladożółty kolor, który przechodził w połyskliwą zieleń. Wkrótce barwa nieba zmieni się w aksamitny granat i zaświecą gwiazdy... tak, jak świeciły tamtej nocy, wiele lat wcześniej.

Z tyłu, za Tomem otworzyły się raptownie drzwi. Ciężkie stopy zaszurały po marmurowej posadzce. Potężna ręka sięgnęła do projektora i wyłączyła go z taką mocą, że szpule podskoczyły. — Powiedzieli mi, że pracujesz. Gdybym wiedział, że oglądasz te świństwa...

— Właśnie z powodu tych świństw jesteśmy tutaj — odparł Tom.

— I komu to mówisz? — padła sarkastyczna odpowiedź. Mężczyzna kulejąc podszedł do okna i odsunął kotary, by wpuścić więcej niknącego światła. — Ile razy to dziś oglądałeś?

— Niewiele. Naszły mnie wspomnienia. Rozpamiętywałem, jak to wszystko się zaczęło.

Poczynając od chwili, gdy poznałem ciebie.

Kiedy ci dałem ten medalion? ? Tak, i od mojej pierwszej wizyty tutaj.

Constantin usiadł na krześle naprzeciw Toma. Ruchy miał nieporadne i sztywne. Siadał ostrożnie, nie zginając lewej nogi. Tom Przyglądał mu się. Czas zebrał swoje żniwo, czas i tortury pułkownik-ow- Sprawa Constantina znajdowała się teraz w rejestrze Amnesty

55

International. Paragraf wstępny w jego kartotece stwierdzał, że „tortury, jakim go poddano, nie odbiegały barbarzyństwem od metod stosowanych przez nazistowskie gestapo”. Constantinowi udało się przetrwać. Stracił od tamtej pory wszystkie włosy. Jedną z rzeczy, które zawsze kojarzyły się Tomowi z Constantinem, były jego włosy. Gęste czarne włosy. Teraz ich nie miał. Nie tylko na głowie, łysej i lśniącej opalenizną niby kacze jajo; jego brwi również były tylko wzgórkami skóry, przydając twarzy wyraz zdziwienia. W pasie był

O połowę węższy; masywne niegdyś ciało ważyło teraz o połowę mniej. Fizycznie bardzo się zmienił, lecz doznane przeżycia nia zgasiły w nim gorącego niepokornego ducha.

Tom obserwował Constantina masującego sobie lewą nogę.

— Boli cię?

— Wszystko mnie boli, kiedy się czymś martwię.

— To przestań się martwić.

— Dobre sobie.

— Gdzie Alec?

— Tłumaczy jej, by się nie martwiła.

— Jutro będzie po wszystkim.

Constantin westchnął smutno: — Przysłali mnie tu, bym jeszcze raz powiedział ci...

— Nie!

— Są tu wszyscy, którzy cię kochają. Dziś jesteś jeszcze bezpieczny, ale jutro to miejsce wypełni się twoimi wrogami.

— I co z tego? — Tom podniósł gniewnie głos. — Jutro ta cała sprawa się rozwiąże! —

Podeksycytowany wstał z krzesła i podszedł do okna, wsuwając głęboko ręce w kieszenie.

Na twarzy Constantina więcej było zatroskania niż gniewu. Potarł policzek mocno zniekształconą dłonią. Najpierw wbijali mu zapalone zapalki pod paznokcie, potem paznokcie zerwali, następnego dnia złamali młotkiem kciuk, dzień później palec wskazujący. Na trzeci dzień kolejny palec. Potem włożyli tę zmiążdżoną masę w imadło

i zgnięli wszystkie kostki. Odchrząknawszy, Constantin znowu spróbował: — Jeśli cię nie przekonam...

— Nie przekonasz — Tom przerwał szorstko, nie oglądając się za siebie.

— ...to chciałbym cię o coś prosić.

Tom odwrócił się zdziwiony: — Chcesz stąd odjechać? Mogę cię odwiedzić...

— Nie — Constantin potrząsnął przecząco głową. — Myślisz, że mógłbym cię teraz opuścić? Ja, który ci tak wiele zawdzięczam?

56

— Nie ma między nami żadnych długów wdzięczności.

— To nieprawda — stwierdził kategorycznie Constantin. — posłuchaj, przyjacielu, mówisz, że jutro wszystko się zakończy. Mylisz się. Jeśli rzeczywiście to zrobisz, jeśli zabijesz sprawcę...

— Nie wierzę własnym uszom! Ty prosisz o życie dla...

— Nie proszę o niczyje życie.

Tom wpatrywał się w Constantina, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Proszę tylko o twoje życie — Constantin ściszył głos — i może o jej życie.

Podniósł do góry głowę wskazując pokój na piętrze.

— To znaczy?

— To znaczy, że ty nigdy nie zabiłeś człowieka. Może to nawet nie będzie mężczyzna. To może być kobieta. Pomyślałeś o tym?

— Tak.

— Czy wiesz, jak to wpłynie na ciebie? Zabicie kogoś? Zabicie z zimną krwią... Już nigdy nie będziesz tym samym człowiekiem. Kiedy kogoś zabijasz, jakaś część ciebie umiera. Ja o tym wiem. Tom odwrócił się do okna.

— To cię zniszczy — ciągnął cicho Constantin. — Ja już zabijałem. Jeden więcej nie zrobi mi różnicy. Dla mnie i tak już nie ma zbawienia.

— Na litość boską, jeżeli sugerujesz, że ty...

— Słuchaj. W pełni cię popieram. Pragniesz się zemścić. Chcesz wiedzieć, kto to zrobił. W porządku. Będziesz sędzią i trybunałem. Pozwól mi być katem.

— To nie twoja sprawa.

— A czy twoją sprawą było wydostać mnie wtedy z Aten?

Tom westchnął. Potrząsnął głową. — Daj spokój, Con! Nie ma mowy. Już i tak wiele mi pomogłeś. Bardzo cenię twoją pomoc. Nie myśl, że jestem niewdzięczny.

— Więc wyświadcz mi tę przysługę.

— Czy sądzisz, że to coś zmieni? Myślisz, że się boję?

— Nie. To ja się boję.

W oczach Toma zabłysło niedowierzanie. — Bzdury! Nigdy się nie bałem.

— Mylisz się. Przez całe życie się bałem. Zawsze się bałem, że zginą rzeczy, w które wierzę. Wolność, demokracja...

— To co innego.

— Dobrze, więc ludzie, którym wierzę. Jesteś jednym z nich. Jedną z rzeczy, w które wierzę. I właśnie dlatego tu jestem, dlatego ci Pomagam. Boję się, że sam siebie unicestwisz. Będę walczyć, by ci w tym przeszkodzić. Będę walczyć nawet z samym Tomem Lambertem.

57

Tom patrzył na Constantina niewidzącym wzrokiem. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał tak, jak gdyby uznał się za pokonanego.

— Czego więc chcesz, Con?

Constantin uśmiechnął się dziwnym gorzkim uśmiechem, który odsłaniał jego sztuczne zęby.

Chirurdzy, którzy przywracali wygląd jego twarzy, spisali się nieźle, ale nawet dokładając wszelkich starań nie potrafili przywrócić jego poprzedniego wyglądu. Sztuczne zęby nigdy dobrze nie pasowały. — Chcę wiedzieć, co się stało.

— Wiesz przecież.

— Tylko częściowo. Słyszałem tylko o niektórych sprawach.

O pewnych ludziach, ale nie o wszystkich. Byliśmy sobie bliscy, przyjacielu, ale nigdy nie wiedziliśmy wszystkiego o sobie. Są lata w twoim życiu, o których nie wiem nic. Chcę poznać całą prawdę.

— Czy to ma sens?

— I tak zacząłeś już przeprowadzać rachunek życia. Sam powiedziałaś, że rozpamiętujesz wszystko od początku. Odgrywasz w myślach na nowo te wydarzenia, przesiewasz rzeczy nieistotne, sięgasz do samego dna, szukasz wyjaśnień. Czy tak?

— I co z tego? Myślałem już o tym setki razy.

— I nadal nie znasz odpowiedzi. — Constantin oparł zniekształcone dłonie na poręczy krzesła i podźwignął się. — Mnie przesłuchiwali fachowcy. Ja też przesłuchiwałem innych. Człowiek się uczy. Rozwija intuicję. Z tonu głosu poznaje, kiedy ktoś kłamie...

— Na litość boską, czy sądzisz, że ja zmyślam?

— Nie bądź śmieszny — Constantin parsknął, jakby splunął. — Chcę ci tylko pomóc. Ja muszę wiedzieć wszystko. Rozumiesz? A ty mów wszystko, co o nich wiesz. Kiedy spotkałeś ich po raz pierwszy?

— Byli tu już pierwszego wieczoru. Przynajmniej część z nich. Roddy, Amiens, Haller.

— Zaczynj więc od nich.

Tom odszedł od okna i powrócił na krzesło. Ciężko usiadł

i przeczesał dłonią włosy. Życie nauczyło go, że nie należy lekceważyć żadnej poszlaki.

Constantin znów go zachęcił: — Mówiłem ci już, że cały czas robisz rachunek życia. Wciąż wszystko analizujesz. Powiedz to teraz na głos. Może moje ucho wewnętrzne wychwyci...

— Mamy przed sobą całą noc.

— Co za różnica! I tak nikt z nas nie uśnie. Czy myślisz, że ona zaśnie? — Constantin wskazał głową na sufit. — Albo może Alec będzie spał? W ciągu dwudziestu czterech godzin ktoś zostanie tu

58

zabity. Może zresztą masz rację, to chyba nie ma znaczenia, kto wyrok wykona. Dla sądu wszyscy będziemy winni.

— Nie — przerwał Tom. — Zastanawiałem się już nad tym. Kiedy nadejdzie pora, wywiozę cię z wyspy.

Constantin wzruszył obojętnie ramionami. Stał przy stoliku i nalewał drinka, niezgrabnie stawiając kieliszki okaleczonymi dłońmi. Miał własne zdanie o tej egzekucji. Nie był jej przeciwny. Gdyby jemu przytrafiło się to, co Tomowi, też szukałby zemsty. Tylko że on jest Grekiem, a dla Greków to rzecz normalna. Grek potrafi żyć konsekwentnie. Napelniając kieliszki Constantin zapytał: — Jacy ci się wówczas wydali?

— Kto?

— Roddy, Haller i cała reszta. — Constantin odwrócił się, szurając stopami podszedł do Toma i podał mu kieliszek.

— Czy trochę nie za wcześnie na brandy?

Constantin uśmiechnął się: — Przesłuchanie mogłoby się odbywać w znacznie gorszych warunkach. — Ostrożnie podszedł do swojego krzesła, by nie rozlać alkoholu. Najpierw postawił na stole kieliszek, a dopiero potem wyciągnawszy przed siebie sztywną nogę, powoli usiadł na krześle, oparłszy chorą stopę na marmurze posadzki.

Tom wiedział, że nie należy mu pomagać. Z uznaniem powąchał brandy. — To ulubiona marka Maurice'a. Niekiedy wręcz dziwacznie się zachowywał, gdy o nią chodziło. Udawał, że się irytuje, gdy ktoś nie potrafił docenić jej walorów. Znał się na tym, bo przecież sam był właścicielem wytwórni koniaku, choć nie tak dobrego, jak ten. Ten pochodzi z monasteru Arcadin na Krecie. Przypomina mi armaniak, ale przechodzi przez gardło znacznie lepiej.

Constantin pokiwał głową. Odczuł wewnętrzną przyjemność słysząc cieplejszy ton głosu Toma, po raz pierwszy nie brzmiała w nim ostra zgorzkniała nuta. Constantin wiedział, dlaczego. Tom nigdy nie mówi o Stantonie inaczej niż w superlatywach. Dziwna rzecz, zadumał się, taka sympatia między mężczyznami. Nie homoseksualna, a jednak miłość. Oparta na zaufaniu, szacunku, honorze i tej całkowitej pewności, że można zawsze liczyć na pomoc drugiego w każdej sytuacji, bez zbędnych ceregieli. Taka przyjaźń rzadko się trafia. Constantin żywił ją tylko do trzech osób, a jedną z nich był Tom Lambert.

Constantin pociągnął łyk. Odczekawszy, aż poczuje przyjemne ciepło, zapytał: — Czy ten koniak piłeś tu pierwszego wieczoru?

Tom usiłował sobie przypomnieć. — Możliwe. Nie na przyjęciu, ale później, na spotkaniu.

59

Constantin uśmiechnął się tym swoim gorzkim uśmiechem. — Pierwsze spotkanie ze Stantonem musiało być dla ciebie nie lada przeżyciem.

— Nienawidziłem go tamtego wieczoru — przyznał Tom. — Całe popołudnie spędziłem z Melody, zauroczyła mnie. Wiem, że to brzmi banalnie, ale była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. To nie wszystko. Miała w sobie siłę, jakiej na ogół nie spotyka się u kobiet. To się wyczuwało. Może to silna wola, sam nie wiem... — wzruszył ramionami. — Nie chcę twierdzić, że miałem wówczas duże doświadczenie z kobietami, ostatecznie to było przed wielu laty, ale nie byłem wówczas prawiczkim. Miałem już trochę dziewczyn. I na tym chyba polegała różnica. Tamte były właśnie dziewczynami; brakowało im poczucia własnej wartości, dopiero uczyły się być kobietami. Melody natomiast... — zawiesił głos, uznając to wyjaśnienie za niezadowolające, lecz nie potrafił znaleźć lepszego.

— Rozumiem — zachęcił go Constantin, starając się nie przerywać. — I wtedy zobaczyłeś ten posąg, doprowadził cię do wściekłości.

— Zgadza się. Kiedy doszło do spotkania między mną i Mauri-ce'em, wiedziałem już, że to on. Na wszystkich posągach. Fellatio. On i Velvet. Ale Melody!... — I znów zawiesił głos, starając się dokładnie sobie przypomnieć, jak to było.

— Nienawidziłeś Stantoną?

— Tego możesz być pewny! Aż gotowała się we mnie nienawiść. Nie chodziło tylko o Melody. Oczywiście i to by wystarczyło, ale odbierałem całą sprawę jako z góry ukartowaną. No wiesz, pozwolić się dziewczynie usidlić, a potem cynicznie uświadomić sobie, że ona jest... — Wzruszył ramionami. — W każdym razie byłem wtedy autentycznie wściekły.

Constantin odczekał chwilę, zanim podsunał myśl: — Ale Stanton cię nieco ostudził.

— Częściowo on, a częściowo sam trochę ostygłem. Nie mogłem mu przecież powiedzieć, dlaczego jestem taki wkurzony. Wyczuł to, oczywiście. Takie rzeczy Maurice wyczuwał na milę. Myślę, że odgadł, w czym rzecz, choć nigdy tego nie potwierdził. Nawet później.

— Czym więc cię ostudził?

— Właściwie trudno to powiedzieć. Cały czas byłem rozdrażniony, a on przedstawiał mi coraz to nowych ludzi. Musiałem choć trochę udawać, że jestem równie czarujący, jak Maurice. A nikt nie

potrafi być tak czarujący, jak on. Nawet teraz, po latach mogę powiedzieć, że nikt, kogo spotkałem, z kim prowadziłem interesy — a byli to nieraz prawdziwi mistrzowie sztuki zjednywania serc — nie potrafi dorównać

60

Maurice'owi. U niego to nie było udawane, grane, on był autentyczny. Wszystkich potrafił sobie zjednać, nie tylko kobiety. Wszystkich. — Tom zaśmiał się ponuro. — Kiedyś powiedziałem mu, że mógłby zaklinać węże.

— I co on na to?

— Odparł, że zajmuje się tym przez całe życie.

Constantin odczekał, by przeminał cię dumy w głosie Toma. — A więc gotowałeś się z wściekłości, a on przedstawiał cię coraz to nowym osobom...

— Zgadza się. Usiedliśmy przy stole, ja i on. Na początku towarzyszyła nam Melody. Jej widok przyprawiał mnie o zawrót głowy. Cały czas patrzyłem na nią wilkiem. Nienawidziłem jej. Melody co chwilę odchodziła, by zaraz pojawić się z kimś innym. Kiedy już Maurice zapoznał mnie ze wszystkimi, zaproponował mi spacer.

— Mówiłeś, że poznałeś Roddy'ego i Amiensa. Kogo jeszcze? Tom wzruszył ramionami. —

Większość, całą resztę. Nawet nie

usiłowałem ich wszystkich spamiętać. Wiesz, jak to jest, kiedy ci przedstawiają tuziny obcych.

Połowa nazwisk od razu ulatuje z pamięci. Ale Roddy'ego zapamiętałem. Miał wtedy około dziesiętnastu lat. Podszedł do nas razem z Hugonem. Nie wydawali mi się wtedy ważni.

Dostrzegłem, że Melody nie przepada za Roddym. Starła się tego nie okazywać, ale gdy w pewnej chwili Roddy położył rękę na jej dłoni, ona cofnęła ją jak oparzona. Maurice tego nie widział. Miał oczywiście słabość do Roddy'ego

— Co wtedy myślałeś o Roddym?

— Nie pamiętam. Był jeszcze chłopcem. Dopiero później lepiej go poznałem.

— Ale jakie odniosłeś pierwsze wrażenie?

— Na litość boską! Przecież to było tak dawno. Czy ty pamiętasz, co pomyślałeś o ludziach, których spotkałeś po raz pierwszy?

— Może bym zapamiętał — odparł Constantin — jeśli miałbym zamiar ich później zabić.

1969

Stanton brylował. Oczywiście pozycja gospodarza dawała mu pewną przewagę, ale Tom sądził, że Stanton byłby duszą każdego towarzystwa. Był silny, barczysty, o zadziwiającej, jak na jego wiek, posturze. Tryskał energią. Jego śmiech był zaraźliwy; każdy, kto go usłyszał, musiał się również uśmiechnąć. Nawet Tom skapitulował wobec tego śmiechu. Miał niezwykłą charyzmę. Jedno spojrzenie Stantona skupiało na nim uwagę słuchaczy. Jego brązowe oczy patrzyły na rozmówcę z taką przenikliwością, że nie dało się tego spojrzenia zignorować. O dziesiątej, po dwóch godzinach spędzonych na tarasie, Tom miał zamęt w głowie. Stanton, choć kulturalny, cywilizowany, czarujący, był jednak bez wątpienia postacią z posągów. Co do Melody, Tom nie był pewny. Jeśli ona jest wysokiej klasy dziwką...

Zdążył już poznać niemal wszystkich gości. Siedział obok Stantona, a Melody co chwilę podprowadzała do stołu kogoś nowego. To spoglądał ponuro na Melody, to znów rozciągał usta w uśmiechu witając nową twarz. Melody odpowiadała pytającym spojrzeniem, które tylko bardziej go drażniło. „Boże wielki! Przecież ona na pewno odgadła, że wiem o niej i Stantonie... Po co więc udaje?... Bierze mnie za głupca?”

Tom czuł się zniewolony atmosferą wieczoru. Tyle przeciwieństw wokół. Wszędzie piękno i zbytek. Świece migoczą na każdym stole, skraj tarasu oświetlają pochodnie, balsamiczne powietrze pachnie jaśminem. Mnóstwo kobiet... żony, przyjaciółki... kilka wyjątkowej

62

urody. Wystrojone w wieczorowe suknie we wszystkich kolorach. Mężczyźni olśniewają bielą

smokingów, które przyciemniają im twarze i dłonie. Potrawy wspaniałe, wina znakomite. Można by odnieść wrażenie, że jest się na rodzinnej fecie...

A jednak... Tom czuł podświadomie, że coś jest nie tak. Odnosił wrażenie, że ci ludzie czegoś się lękają i że to on jest powodem ich obaw. Wmawiał sobie, że to tylko wrażenie, że jego brak pewności co do roli Melody odbija na wszystkim swe piętno. Nie mógł się jednak wyzbyć tego wrażenia, a niektóre ze spojrzeń, jakimi go obrzucano, potwierdzały jego podejrzenia. Kiedy mu przedstawiono Francuza, André Amiensa, odczuł, że pod uprzejmością tego mężczyzny kryje się lodowaty chłód.

Gdy zakończono kolację, panowie zapalili cygara i wygodniej rozsiedli się na krzesłach. Niektórzy tańczyli, wyciągnięci na parkiet przez swoje żony. Właśnie wtedy podeszła do nich Melody, przyprowadzając z sobą Roddy'ego Stantona i Hugona von Brauna.

— Ach, to ty Roddy! — Stanton senior odsunął krzesło od stołu. — Pozwól, pan Tom Lambert. A to pan Hugo von Braun.

Tom wstał wyciągając dłoń, jak to robił przez cały wieczór. Ale jego wyciągnięta dłoń została zignorowana. Zamiast podać mu rękę, Roddy uklonił się w pas. — Panie Lambert — powiedział — przyszedliśmy tu złożyć panu wyrazy szacunku. — Wyprostował się i odwrócił do swojego kompana. — To jest nowy consigliere ojca. Co

O nim powiesz, Hugo?

Drugi młodzian uśmiechnął się lodowato. — Twój ojciec znany jest z tego, że potrafi mądrze wybierać, zarówno wśród kobiet, jak

I spośród mężczyzn.

Głupawo żartobliwy ton zabrzmiał jak zgrzyt. Ironia również była nie na miejscu; bardziej nawet raziła od użytego przez Roddy'ego słowa consigliere, którego znaczenie Tom usiłował sobie przypomnieć, przyglądając się badawczo dwom młodzianom. Obydwaj byli przystojni. Roddy, wysoki jak ojciec, lecz szczuplejszy, miał jasne włosy i regularne rysy twarzy, biła z niego elegancja i pewność siebie. Hugo był nieco niższy, ciemny, posepny, z sardonicznym grymasem wokół ust. Nagle Tom przypomniał sobie znaczenie słowa consigliere. Pochodziło z sycylijskiego dialektu. Tak nazywa się człowieka, który Piastuje funkcję doradcy mafijnego bonzy, to prawa ręka mafiosa, człowiek do brudnej roboty, czasami nawet skrytobójca. Tom spojrzał zdumiony na Roddy'ego, ale ten już rozmawiał z ojcem o wyprawie na Milos. Nikt z nich nie usiadł, nie podał Tomowi ręki.

— Ale nie „Afrodytą” — mówił Stanton.

63

— Oczywiście, że nie. Weźmiemy tę mniejszą łajbę.

— Potrzeba wam będzie czterech ludzi załogi.

— Nie. Hugo i ja poradzimy sobie. Jeśli uda nam się wyruszyć w ciągu godziny, powinniśmy dotrzeć na Milos jutro rano. Hugo założył się z Bertie Gristwoodem, który twierdzi, że nie zdążymy do rana. To nonsens!...

Stanton zawahał się, jakby w obawie, że Tom poczuje się urażony. Jego twarz przybrała surowy wyraz. Roddy zareagował błyskawicznie: — Mam nadzieję, że nie przeszkadza to panu, panie Lambert. I tak przecież nie będę wam chyba potrzebny podczas pertraktacji, prawda?

Mimo że Tom nadal nie wiedział, o czym będzie pertraktować ze Stantonem albo może właśnie dlatego, że nie wiedział, poczuł się urażony. Widok lekceważącego wyrazu na twarzy Hugona oraz fakt, że Roddy ujął przechodzącą obok Melody za rękę, jeszcze zwiększyły jego irytację. — Poza tym — ciągnął Roddy — tak wiele osób chce z panem rozmawiać, że wątpię, czy zdołałbym się dopchać. Czyż nie tak, Melody, kochanie?

Jego słowa płynęły gładko i uprzejmie, postronny obserwator mógłby pomyśleć, iż Roddy stara się być miły. Bez wątpienia jego ojciec zinterpretował to w taki właśnie sposób. Dało się zauważyć, że rysy w widoczny sposób mu złagodniały. Tom dostrzegł jednak to, czego Stanton nie zauważył — zsiniałe od nacisku palców Roddy'ego miejsce na ramieniu Melody, która z wyrazem obrzydzenia starała się uwolnić z tego uchwytu. Zaraz jednak zapanowała nad swoją fizjonomią, udało jej się

przywołać na twarz wymuszony uśmiech, na który tym razem Tom nie odpowiedział obrażoną miną. — Wszyscy pragną poznać pana Lamberta — powiedziała. — Przyproceedziłam właśnie Jasmine, która marzy o tym, by poprosić pana do tańca.

Usuając się na bok zrobiła miejsce dla małej Eurazjatki, delikatnej jak porcelana, z migdałowymi oczyma i czarnymi jak smoła włosami. Była to trzecia z „dziewczyn na lato” Stantona. Velvet zdążył już poznać — nawet dwukrotnie, jeśli liczyć posąg u podnóża schodów, który ją przedstawiał.

— Czy można prosić, panie Lambert? — Jasmine z łagodnym uśmiechem wsunęła mu się w ramiona.

Tom nigdy nie był dobrym tancerzem. Potrzebował nastroju, by się skoncentrować na krokach. Teraz rozdrażnienie przeszkadzało mu w skupieniu. Jasmine była uosobieniem lekkości. Wręcz unosiła się na parkiecie. Udawało jej się nawet trzymać z daleka od butów Toma. Lecz jej zwinność nie rozproszyła marsa na jego czole. — Panie

64

Lambert — spytała zaintrygowana, lekko ochrypłym głosem — czyżby pan nie bawił się tu dobrze? — Nigdy się dobrze nie bawię, kiedy robi się ze mnie głupca.

Jej zaintrygowanie wzrosło. Toma, który nigdy dotąd nie obraził żadnej kobiety, opanowała naraz fala nie kontrolowanej wściekłości. — Jaka jest pani rola? — zapytał gardłowo. — Widziałem już Velvet, gdy ciągnie mu druta. Widziałem, jak on rżnie Melody. A pani co każe robić? Może wisieć na żyrandolu?

Szybko przesłoniła mu dłonią usta, tak delikatnie, że można by to uznać za pieszczotę. Wirująca obok para — Francuz Amiens z żoną — nie zwracała na nich uwagi, ale na twarzy dziewczyny odmalowało się przerażenie. W jej ciemnych oczach pojawił się wyraz bólu. Szyja dziewczyny oblała się szkarłatem. Zdejmując dłoń z ust Toma, wzięła go pod rękę i sunąc z dumnie podniesioną głową, odprowadziła go z powrotem do stołu. — Dziękuję panu za taniec — powiedziała cicho i wyniośle, po czym odeszła.

Roddy i Hugo też właśnie się wynosili. Tom poczuł na sobie zaciekawiony wzrok Roddy'ego i głupkowaty uśmiech Hugona. Ciekaw był, jak tamci dwaj zinterpretowali tę scenę. Żałując swego dziecinnego wybuchu, chętnie by teraz przeprosił Jasmine, ale Stanton już wzywał go do siebie zapraszającym gestem. — Pan już z powrotem! No, myślę, że poznał pan wszystkich. Bernard jest zdania, że pora na naszą pogawędkę.

Przy stole siedzieli sir Bernard Edwards i Giinther Haller, którym Tom został już wcześniej przedstawiony. Edwards, niski i żyłasty, był jednym z tych chudzielców, którzy zawsze emanują energią. Tyle tylko, że coś z nim teraz nie było w porządku. Tom już wcześniej to spostrzegł. Woskowa cera Edwardsa nadawała jego twarzy niezdrowy wygląd. Czuło się w nim jakąś kruchość. Tom był pewny, że Edwards jest chory. Haller — barczysty i nalany, z mocno zarysowaną szczęką i wyzywającym spojrzeniem, stanowił przeciwieństwo Edwardsa. — Chodźmy, panie Lambert — powiedział wskazując ręką mauretańskie arkady. — Mamy panu do powiedzenia coś, co może pana zainteresować.

Stanton otworzył spotkanie najcieplejszym z uśmiechów. — Może na Wstępie zechce nam pan coś opowiedzieć o Bolton Automation — Powiedział obejmując obydwoma rękami pękaty kieliszek brandy.

Była to zupełnie niewinna prośba, wyrażona zresztą w tak przy-0% sposób, że trudno byłoby jej nie spełnić. Ale rozdrażnienie

Zemsta

65

nadal nie opuszczało Toma. Jego myśli wciąż zaprzętała Melody i atmosfera na przyjęciu. Usiłował zapanować nad nerwami, lecz wspomnienie Bolton Automation znów otworzyło starą ranę. Nie potrafiąc ukryć rozdrażnienia, rzucił krótko: — Niewiele mam do powiedzenia. Pan kupił przedsiębiorstwo, a ja złożyłem rezygnację. Bolton to już nie mój problem.

Jeżeli nawet ta odpowiedź zaskoczyła Stanton, nie dał tego po sobie poznać. Siedzieli w gabinecie — eleganckim klimatyzowanym pomieszczeniu. Solidne mahoniowe drzwi tłumiły dochodzący z tarasu gwar. Po obu stronach niskiego stołu znajdowały się naprzeciw siebie dwie skórzane sofy, a w głębi gabinetu stało eleganckie biurko w stylu Ludwika XIV. Lampy ciepłym blaskiem rozjaśniały wnętrze. Gdyby nie erotyczne obrazy na ścianach, można by w tym komfortowym pomieszczeniu nawet wypocząć.

— Przyznaję panu rację. — Stanton uśmiechnął się ciepło. — Bolton przestał już być pana problemem, ale był pan uprzejmy przyjąć moje zaproszenie...

— Nie spodziewałem się przyjazdu tutaj — przerwał mu Tom. — Myślałem, że spotkamy się w Londynie.

— Tu jest o wiele przyjemniej — odparł Stanton. — Chciałem, by nie czuł się pan spięty — uśmiechnął się przyjaźnie. — Rozumiem pana sytuację. Potrafię sobie wyobrazić, jakim szokiem była dla pana sprzedaż Boltona. Ale też pragnę pana zapewnić, że nikt nie zapomniał o pańskich zasługach dla tej firmy.

Tom siedział w milczeniu. „Zaczyna się — pomyślał — chcąc, bym ją nadal prowadził.” Ta świadomość sprawiła mu pewne złośliwe zadowolenie. Wiedział, że odmówi.

— Jeśli nadal jest dla pana sprawą bolesną mówienie o tym, to może łatwiej będzie panu słuchać. Przedstawię problem z mojego punktu widzenia, zgoda?

Tom wzruszył ramionami.

— Zatrudnił się pan u Boltona przed siedmiu laty — ciągnął Stanton. — W tamtym czasie firma przynosiła znaczne straty. Czy tak?

— Groził jej syndyk. Jeszcze sześć miesięcy i firma zbankrutowałaby.

Stanton pokiwał głową. — A pan zaproponował pewne zmiany?

— Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Przyjęto mnie na stanowisko zastępcy szefa finansów, ale nikt nie miał ochoty mnie słuchać.

— Lecz w końcu pana wysłuchano.

— Nie od razu. Dyrektorem finansów był stary Cummings

66

i wszystkie moje pomysły musiałem przedstawiać za jego pośrednictwem. On twierdził, że zarząd z nich nie korzysta. Nie wiem, czy nawet je przedstawił.

— Ale następnie Cummings złożył rezygnację.

— Szczury uciekają z tonącego okrętu. Był pewny, że firma dogorywa.

— I pan przejął jego stanowisko wraz z miejscem w zarządzie.

— W zgromadzeniu dyletantów. Stanton uniósł brwi.

— Żaden z nich nie miał pojęcia o kierowaniu firmą.

Stanton uśmiechnął się. — Czy nie jest pan wobec nich nieco niesprawiedliwy? Miesiąc później wybrali pana prezesem.

— Nie z własnej woli. Bank wymusił na nich tę decyzję. Najpierw usiłowali wodzić bank za nos, podając kłamliwe dane, za każdym razem inne. Ja dostarczyłem bankowi prawdziwe informacje. Bank nabrał do mnie zaufania. Zarząd otrzymał od banku ultimatum: albo wybiorą mnie na prezesa zarządu, albo bank zacznie się domagać zwrotu pożyczek.

— Nie przejmował się pan wrogością pozostałych członków zarządu? Nie utrudniali panu pracy?

Tom wzruszył pogardliwie ramionami. — Gdyby zbankrutowali, to przestaliby być członkami jakiegokolwiek zarządu.

Stanton z Hallerem popatrzyli na siebie. Tom nie potrafił rozszyfrować znaczenia tego spojrzenia.

Haller powiedział: — Następnym pana krokiem była wymiana niekompetentnych pracowników?

— Zwolniłem Huntera, który rzekomo kierował sprzedażą. Pozbyłem się też Boba Thorntona.

Przyjąłem Aleka Hargreavsa, który stał się moją prawą ręką. Ale nic nie mogłem zrobić z Brierleyami, którzy byli właścicielami przedsiębiorstwa. Oni mi zresztą nawet bardzo nie przeszkadzali. Nie należeli do ścisłego kierownictwa. Pokazywali się jedynie na zebraniach zarządu i wtrącali swoje głupie lry grosze. Po pewnym czasie jednak przestali przychodzić.

Zachowanie Toma zmieniało się, choć on sam nie był tego świadom. Gdyby mu ktoś o tym powiedział, pewnie by się zdziwił. Był Przekonany, że zachowuje się niezmiennie tak samo. Ale nawet Pobieźny obserwator wychwyciłby różnicę. O ile na początku był sPięty, rozdrażniony sprawą Melody, oszołomiony atmosferą, to kiedy Przeszedł do interesów, zaczął myśleć przejrzysto. Zawsze tak było, nawet wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze studiował księgowość, a potem w firmie Boltona. Problemy biznesu analizował z taką klarownością, że rozwiązania nasuwały mu się niejako same. Nazywał to zdrowym

67

rozsądkiem. Zdrowym rozsądkiem i właściwą hierarchią ważności poszczególnych spraw. Biznesmena bez poczucia zdrowego rozsądku uznawał za głupca, więc niewielu z nim wytrzymało. Znajomość rzeczy przydała jego głosowi i zachowaniu pewności siebie, która nie umknęła uwadze słuchaczy. Szczególnie Haller spoglądał znacząco na Edwardsa, Stanton zaś wtrącił: — Mianowali więc pana prezesem zarządu i nie przeszkadzali?

— Zgadza się.

— Wyobrażam sobie, że nie było jednak panu łatwo.

Tom wątpił, czy Stanton potrafi to sobie wyobrazić. Cóż on wie o ratowaniu upadającego przedsiębiorstwa! Z luksusem tej willi Tom porównał nieciekawe ulice Neasden, gdzie spędził siedem lat życia. Nawet swoje łóżko przeniósł do fabryki na pięć krytycznych miesięcy, by zawsze mieć oko na wszystko i pilnować każdego drobiazgu. Pracował wtedy dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo, męczył dostawców o kredyty, przekonywał robotników do nowych rozwiązań, wyklócał się o różne rzeczy. Uśmiechnął się teraz ponuro na wspomnienie tamtych czasów. Nie, Stanton na pewno nie ma pojęcia, jak to wyglądało. Wzruszył ramionami i nie powiedział nic. Edwards odchrząknął. — Proszę mi przypomnieć, ilu wtedy ludzi zatrudnił Bolton?

— Dwustu osiemdziesięciu, kiedy zacząłem tam pracować. Był duży przepływ kadr, szczególnie po wypłacie. Teraz dla Boltona pracuje tysiąc dwustu. Powinien pan o tym wiedzieć, przecież to pana pracownicy.

— I nie mieliście strajków przez cały ten czas?

— A dlaczego mielibyśmy mieć? Każdy dostawał godziwą zapłatę za godziwą robotę.

— A co ze związkami zawodowymi?

— A co miałyby być? Nasi ludzie dostawali więcej niż zakładają stawki związkowe.

Edwards prychnął: — Sześć lat temu płaciliśmy dziesięć procent więcej niż stawki związkowe, a mimo to zakład stał trzy miesiące.

— Czy nie nauczyło to niczego kierownictwa?

— Owszem, nauczyło — uśmiechnął się ironicznie Edwards. — Nie ufać związkom. Na następny rok znów powtórzyły się strajki.

— Ludzie nie pracują tylko dla pieniędzy — stwierdził autorytatywnie Tom. — Ludzie muszą się identyfikować z zakładem. W Boltonie tworzyliśmy jeden zgrany zespół. Jeśli był jakiś problem, każdy się martwił. A kiedy przychodziło duże zamówienie, cieszyli się wszyscy.

68

— Łatwiej to osiągnąć w małych zakładach — skwitował rzecz Edwards.

Tom potrząsnął przecząco głową. — Wiele słyszałem o pana zakładach w Coventry. Z jednej strony barykady jest tam kierownictwo, a z drugiej robotnicy. My i oni. Nie rozmawiają z sobą, jeśli nie muszą. Nic dziwnego, że ma pan kłopoty.

Stanton uniósł brwi. — Czyżby pan był po stronie związków?

— Ja jestem po stronie biznesu. To wszystko. Nie może być podziału na „my” i „oni”. „Oni” to powinna być tylko konkurencja. Marne kierownictwo o wszystko obwinia związki.

Stanton roześmiał się. — Wina, mój Brutusie, nie leży w gwiazdach, ona tkwi w nas samych.

Tom nie odezwał się. Nie przywykł do cytowania Szekspira podczas rozmów o biznesie. Patrząc w okno pomyślał, że całe to otoczenie jest jakby szekspirowskie. Z miejsca, gdzie siedział, widział skrawek tarasu. Trzaskały płomienie pochodni, chwiały się na wietrze, nadając balustradzie wygląd

blanków jakiegoś zamczyska.

Haller uniósł brwi. — Sposób, w jaki pan mówi „marne kierownictwo”, sugeruje, że jest ono również nieuczciwe.

— Bo też i jest nieuczciwe — potwierdził Tom. — Nie chodzi tu tylko o ich stosunek do robotników. Jest to także oszukiwanie udziałowców. Zwiększa się aktywa firmy, lecz nie są one rewaloryzowane. Tak więc dywidendy z pozoru całkiem rozsądne, w rzeczywistości są fatalne. Udziałowcy sądzą, że dostają niezły procent, a tymczasem dywidendy z ledwością dotrzymują kroku inflacji. Powiem panom, że brytyjski przemysł stoi obecnie wobec konieczności diabelnie poważnych przekształceń.

Haller pokiwał głową. — Wierzę panu. Właśnie z tego powodu chcieliśmy się z panem spotkać.

— Jeśli sądzą panowie, że dam się namówić na dalsze prowadzenie Boltona, to możecie sobie dać spokój. Włożyłem w tę firmę całą duszę. Brierleyowie przyrzekli mi pierwszeństwo przy odsprzedaży...

— Niech pan wybaczy — przerwał Edwards — ale czy mógłby pan zapłacić sumę, jakiej żądali? Tom spochmurniał. — Gdybym miał trochę czasu, jakoś bym te pieniądze uzbierał. Ale dranie nawet mnie nie zawiadomili o sprzedaży. Dowiedziałem się o tym dopiero, gdy wasi ludzie pojawili się w zakładzie.

Stanton z trudnością utrzymywał powagę. — I, z tego co mi wiadomo, spoliczkował pan Tima Brierleya. Złamał mu pan szczękę. Tim rozważa możliwość wniesienia sprawy do sądu z oskarżeniem o napaść.

69

— No to niech wnosi — Tom wzruszył ramionami i potarł dłonią prawą pięść. Cień zamyślenia przemknął mu po twarzy. — Powinienem być zabić tego drania!

— Ale nie zrobił pan tego, tylko złożył rezygnację.

— Tak właśnie było.

— Nie twierdzę, że pan jest winny, niemniej stwarza to pewną trudność — rzekł Stantona.

Tom znów wzruszył ramionami. Zaczynał odczuwać coś w rodzaju sympatii do Stantona. Mimo nieodpartego uroku, jakim promieniował gospodarz, Tom nie miał ochoty rezygnować z satysfakcji, którą odczuwał po opuszczeniu Boltona.

Haller odchrząknął, popatrzył na Stantona, jakby pytał, czy może zabrać głos. Stanton z roziskrzonymi oczyma, kiwnął głową: — Tak, Gunther, lepiej przejdźmy do sedna.

Haller zwrócił się do Toma: — Nie tylko postawił pan na nogi przedsiębiorstwo, ale zyskał pan sobie dobrą opinię, panie Lambert. Otóż nie po to kupiliśmy Boltona, by przejąć ich magazyny części zapasowych. Chcieliśmy mieć pana.

Tom aż wyprostował się w krześle. Był zdumiony. Oczy mu się rozszerzyły, ale milczał.

Haller kontynuował: — Spróbuję to przedstawić tak zwięźle, jak tylko możliwe. Pan Stanton zaangażował swój kapitał w wiele różnych przedsięwzięć przemysłowych, które dotychczas są prowadzone jako odrębne firmy. Na przykład Excel w Coventry nie koordynuje swej polityki z działaniami Pohla w Niemczech czy też Bouviera w Genewie, choć wszystkie trzy należą do tej samej branży. Jesteśmy zdania, iż nadszedł czas, aby połączyć te przedsiębiorstwa w jedną międzynarodową korporację. — Przerwał, obserwując reakcję Toma. — Jak pan ocenia ten pomysł? Wiadomość, że Stanton ma powiązania z Pohlem, była dla Toma czymś nowym. Przypomniał sobie nagle, że na tarasie przedstawiono mu Carla Pohla. — Czy człowiek, którego mi tam przedstawiono — powiedział wskazując na drzwi — to ten sam Pohl z Pohl Organization?

Haller potwierdził. — Tak, to był Carl Pohl. Jego rodzina ma trochę akcji, ale Maurice posiada ich pakiet kontrolny.

Tom starał się nie okazać, jak bardzo go to zaskoczyło. Pohl Organization było dużym przedsiębiorstwem, większym nawet od Excela, a Excel był czterokrotnie większy od Boltona. — A Bouvier? — spytał z niedowierzaniem. Jego poszukiwania wskazywały na jakiś ślad szwajcarskich powiązań, ale nic konkretnego nie ustalił. — Czy jest pan również właścicielem Bouviera?

Pytanie to sprawiło widać satysfakcję Stantonowi, gdyż uśmiechnął się z wigorem człowieka młodszego o dwadzieścia lat. Ale odpowiedzi udzielił Tomowi Haller: — Poznał pan też André Amiensa — powiedział. — André kieruje Bouvierem, ale właścicielem tego przedsiębiorstwa jest Maurice.

— Rany Boskie! — wykrzyknął Tom. Zaczął dodawać: — Pohl plus Bouvier plus Excel plus Bolton! Przecież to gigant!

— Chodzi o to — ciągnął Haller — że każde z tych przedsiębiorstw kierowane było dotąd niezależnie od drugiego. Chcemy je połączyć w jedną całość. Zamierzamy stworzyć międzynarodową korporację o nazwie Stanton Industries.

— Nie dziwię się — stwierdził Tom, starając się objąć umysłem możliwe implikacje takiej decyzji. Skala przedsięwzięcia była ogromna. Taka korporacja będzie mogła skutecznie konkurować z wielkimi firmami niemieckimi, a nawet amerykańskimi.

— Oprócz tego Maurice jest też właścicielem różnych przedsiębiorstw przewozowych oraz kilku w przemyśle chemicznym — dodał Haller. — Wszystkie one by weszły w skład Stanton Industries.

— No, no, no — rzekł Tom, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to idiotycznie, ale nadal był pod wrażeniem wielkości przedsięwzięcia.

Haller rzekł: — Zdecydowawszy się na przedsiębiorstwo tak dużej wielkości, szukamy od jakiegoś czasu kogoś, kto mógłby złożyć w całość tę składankę. Dlatego kupiliśmy Boltona, by zyskać pana. Chcemy, żeby pan pokierował mającą powstać korporacją.

Tom bawił się kieliszkiem. Jego palce nagle znieruchomiały. Powoli podniósł wzrok na Hallera.

Haller uśmiechnął się. — Może sobie pan wyobrazić nasze przerażenie, kiedy złożył pan rezygnację.

Tom spojrzał na Stanton, szukając u niego potwierdzenia.

Stanton powiedział z uśmiechem: — To będzie wielka przygoda — rzekł. — Pana wielka przygoda. Tom słyszał już to wyrażenie od Melody. Nawet jątrzące wspomnienie nie potrafiło stłumić w nim zdumienia i podniecenia. Spojrzał teraz na Edwardsa, który uważnie przypatrywał się swoim paznokciom.

Pochwyciwszy jego spojrzenie, Stanton powiedział: — Bernard przechodzi na emeryturę. Nie chcemy, by się zbyt wyeksploatował, musi zadbać o zdrowie, by mu go na dłużej starczyło.

W jego słowach więcej było nadziei niż wiary. Tom odgadł: Edwards jest nieuleczalnie chory. Jeśli zrodziło to w nim cień współczucia dla starego, to zaraz on zniknął wobec wyrazu wrogości

71

na twarzy Edwardsa, który patrzył na Toma wyzywająco, z zaciekłością człowieka, który musi odejść.

— To naprawdę świetna propozycja, panie Lambert — powiedział Haller.

Tom, który zdążył już na tyle dojść do siebie, by móc zadawać pytania, skinął głową i spytał: — Dlaczego nie skontaktowaliście się najpierw bezpośrednio ze mną? Dlaczego negocjowaliście z Brierleyami za moimi plecami?

— Pan był całkowicie pochłonięty pracą — rzekł Haller. — Na nic by się zdały próby nakłonienia pana do przyjęcia naszej oferty. Nie dałby się pan za nic odciągnąć od Boltona, to było pana życie. Wiedzieliśmy o tym. Dla pana nie istnieje nic poza firmą. I dlatego odnosił pan takie sukcesy.

Chyba się pan zgodzi z tym twierdzeniem, prawda?

— Owszem — Tom kiwnął głową. — Ale dlaczego ja? Przecież wśród was też z pewnością ktoś taki by się znalazł.

Zapadła cisza. Haller spojrzał z zakłopotaniem na Edwardsa, który zmarszczył brwi. Tom czuł, że nie ma między nimi zgody. „Edwards nie popiera mojej kandydatury. Jest przeciw mnie” — przemknęło mu przez myśl.

Ktoś musiał mu w końcu odpowiedzieć. Uczynił to Stanton. — Ma pan rację twierdząc, że nadchodzi czas zmian — rzekł. — Nie tylko w przemyśle brytyjskim, ale w Europie i na całym

świecie. Widać to wszędzie, w polityce, w sztuce, literaturze, teatrze. Wszędzie zachodzą gwałtowne zmiany. Aby móc stawić czoło konieczności wprowadzenia tych przemian, musimy postawić u steru kogoś młodego. Większość ludzi po czterdziestce zbyt przesiąka dawną rutyną, a tych niewielu trzydziestolatków, których mamy, nie nabrało jeszcze doświadczenia. Tak rzeczy się mają w naszych przedsiębiorstwach, musieliśmy więc podjąć poszukiwania na zewnątrz. — Przerwał, by uporządkować myśli. ?— Nie jestem zresztą pewny, czy doświadczenie jest istotne. To raczej kwestia pewnej wizji, pewnej determinacji w dążeniu do celu. Dynamizmu. Tego rodzaju zapamiętania w pracy, który pozwolił panu na przemianę klęski w sukces. Człowiek ma tylko jedno przeznaczenie. Widziałem wielu ludzi, którzy usiłowali udawać takich, jakimi nigdy nie będą. Oni tylko marnują cenny czas. W końcu rozgoryczeni schodzą ze sceny, zbyt późno dostrzegłszy daremność zmagania z losem. Gdyby rozwijali w sobie to, do czego się nadają, byłiby z pewnością szczęśliwsi i osiągnęli w życiu coś wartościowego. Pan jest jednym z tych szczęśliwców, panie Lambert. Pan wie, co jest pana przeznaczeniem. W pana żyłach płynie krew przedsiębiorcy.

72

Prowadzić przedsiębiorstwo to dla pana treść życia, bardziej to pana podnieca niż kobiety, daje panu więcej energii niż codzienny posiłek, upaja bardziej od alkoholu...

Słowa te działały jak hipnoza. Siła osobowości Stanton miała w sobie coś uwodzicielskiego.

Tomowi serce waliło jak młotem, choć starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

— Daję panu szansę — ciągnął Stanton — stania się jednym z najbardziej znaczących biznesmenów Europy, nawet świata. To szansa na realizację pana potencjału twórczego...

Te słowa mogły przyprawić o zawrót głowy. Stanton mówił następnie o szerokich możliwościach, jakie się przed Tomem otwierają. Niepotrzebnie się trudził. Tomowi wystarczyło to, co już usłyszał.

Nawet gdy przestał słuchać Stanton, emocje rozpieierały go nadal. Widział tę świetlaną przyszłość — Pohl plus Bouvier, plus Excel plus Bolton...

— Wracając do spraw bieżących — kontynuował Stanton — rozumiem, że zamierza pan jutro wrócić do Londynu?

Tom skinął twierdząco głową.

— Podjęliśmy już stosowne kroki, by panu umożliwić jutrzejszy powrót — powiedział Stanton. —

Nie mogę panu tym razem zaoferować learajeta, ponieważ będzie mi potrzebny, ale Richards odwiezie pana po południu na lotnisko w Pireusie, skąd będzie pan mógł odlecieć do Londynu samolotem British Airways. Zarezerwowaliśmy bilet pierwszej klasy na pana nazwisko. —

Uśmiechnął się. — Zdąży pan w Londynie na kolację. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby pan poświęcił mi nieco więcej czasu.

Haller wstał i podszedł do biurka. — Przygotowaliśmy tu dla pana trochę danych — powiedział biorąc do ręki czerwoną skórzaną teczkę. — Mieliśmy nadzieję, że będzie pan mógł to jutro przejrzeć. Ja pozostanę tutaj, by móc odpowiedzieć na wszystkie pana pytania, a kiedy Maurice wróci wieczorem, moglibyśmy razem przedyskutować wnioski.

Słuchając Hallera Tom nagle zrozumiał powód tego napięcia na tarasie. Amiens i inni wiedzieli, że coś się kroi. Oni rzeczywiście zwietrzyli niebezpieczeństwo. Zagrożeniem dla nich stał się on, Tom Lambert. Spojrzał teraz na Edwardsa, lecz stary odwrócił głowę, chcąc uniknąć jego spojrzenia. Spotkanie było praktycznie zakończone. Rozmowy trwały jeszcze dalsze dwadzieścia minut i choć Tom odpowiadał na różne pytania, trudno mu było się skoncentrować. Co chwila kierował wzrok na czerwoną teczkę, wyczekując z niecierpliwością chwili, gdy będzie mógł zapoznać się z treścią dokumentów.

73

W końcu Stanton uznał, że wszystko już zostało powiedziane. Rozejrzawszy się wokół roziskrzonym wzrokiem, oznajmił: — Jak na jeden wieczór, pracowaliśmy wystarczająco długo. — Miał ochotę dołączyć do pozostałych na tarasie — muzyka nadal grała i goście tańczyli — ale Tom nie miał chęci wracać na taras. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, by przemyśleć wszystko w ciszy, beznamiętnie.

— No cóż — Stanton wzruszył ramionami — skoro takie jest pana życzenie...

Haller podał Tomowi czerwoną teczkę. — Wszystko tu pan znajdzie — rzekł. — Bilans, rachunek wyników i tak dalej. — Wyjął z kieszeni kluczyk. — Po otwarciu tej teczki pozna pan nasze najskrytsze tajemnice, panie Lambert.

Po powrocie do pokoju postanowił nie patrzeć na posąg, ale jakaś nieprzeparta siła przyciągała jego wzrok do kształtnego ciała Melody i jej pięknej twarzy. Postawił na krześle teczkę i uciekł na balkon. Aksamitną czerń nieba barwiły gwiazdy, a żółty księżyc bladą poświatą rozjaśniał wodę. Czerwone i zielone światła nawigacyjne migotały na morzu. Tomowi przyszło na myśl, że mogą to być światła łodzi, którą płyną Roddy i Hugo, lecz nie zastanawiał się nad tym długo. Umysł miał zaabsorbowany ofertą Stanton'a. Serce mu waliło. Stracił Boltona, by teraz go odzyskać jako część znacznie większego przedsięwzięcia. Aż chciał krzyknąć z emocji. Lecz przede wszystkim musi zadzwonić do Aleka Hargreavesa, by mu powiedzieć, żeby zatrzymał stary zespół. Połowa ludzi chciała odejść, między innymi Alec. Teraz nie było takiej potrzeby. Mogą nadal razem pracować... Teraz nawet będzie lepiej, bo Brierleyowie przestaną przeszkadzać. Zapalił papierosa, by ochłonać, błogosławiąc swój szczęśliwy los. Po pół godzinie jednak zaczął mieć pierwsze wątpliwości. Czyż nie postanowił założyć własnego przedsiębiorstwa?

„No tak. Ja będę kierował tą nową korporacją, ale Stanton będzie jej właścicielem. Nie wolno mi zapominać lekcji z Brierleyami. Nadal będę pracował dla obcego...”

Najbardziej pociągał go olbrzymi potencjał nowo tworzonego przedsiębiorstwa. Excel plus Bolton plus Pohl plus Bouvier. To kolos. A przecież Haller wspominał o udziałach w jeszcze innych firmach. Wzrok Toma powędrował ponownie do pokoju i zatrzymał się na czerwonej teczce. Przypomniały mu się słowa Hallera: „Po otwarciu tej teczki pozna pan nasze najskrytsze tajemnice”.

74

Powrócił do pokoju i zdjął pożyczony smoking. Wolał pracować w samej koszuli. Smoking zaniósł do szafy i powiesił. Kiedy to wykonywał, jego wzrok znów bezwiednie powędrował na rzeźbę. Zaklął na głos, podszedł do stołu i ustawił krzesło tyłem do niej, po czym usiadł i sięgnął po papiery.

Całkowicie zatracił poczucie upływu czasu. Półgodzinne wertowanie dokumentów rozbudziło w nim głębokie zainteresowanie, a po dwóch godzinach był już bez reszty pochłonięty lekturą. Dobry księgowy czyta sprawozdania bilansowe w taki sposób, jak większość ludzi czytuje kryminały. Cyfry odsłaniają motywy i intencje, nadzieje i ambicje. Tom pochłaniał je jak urzeczony. Porównywał coraz to inne wskaźniki. Wielkość udziałów, jakie posiadał Stanton, wielokrotnie przewyższała wyobrażenia Toma. Były to akcje bardzo różnych przedsiębiorstw, zupełnie z sobą nie związanych. Ktoś, prawdopodobnie ojciec Stanton'a, założyciel fortuny, jeździł po Europie i skupował przedsiębiorstwa jak leci, jakby znalazły się na wyprzedaży. Wiele z nich zachowało nadal pierwotne nazwy, w kilkunastu Stanton miał tylko mniejszościowe pakiety, a w wielu innych — w elektronice, chemikaliach, firmach przewozowych, drukarskich, produkcji maszyn biurowych, żywności i wina — nabierał tych akcji bez jakiegokolwiek ładu i składu. Nawet na pchlim targu, gdzie wiele rzeczy da się kupić za pensa, trudno byłoby o taką różnorodność. Tyle tylko, że mówienie o pensach to obraza dla wielkości sum, jakie tu wchodziły w grę. Wielkość udziałów naprawdę była niebagatelna. Gdyby tym wszystkim właściwie zarządzać, powstałoby prawdziwe imperium.

Drzwi na balkon pozostały otwarte, dochodził stamtąd szum morza. Gdzieś daleko rozległ się słabym echem odgłos grzmotu pioruna. Ale Tom niczego nie słyszał. Chyba tylko trzęsienie ziemi mogłoby rozproszyć jego koncentrację. Pochłonięty bez reszty coraz to bardziej wciągającą go lekturą, zbyt podniecony, by zasnąć, Tom zapisywał długie stroniczki jakimiś obliczeniami. O trzeciej nad ranem miał już wyraźny obraz „przygody”, jaką oferował mu Stanton. Tom nie mógł sobie wyobrazić czegoś bardziej ekscytującego niż wyzwanie, jakim było przekształcenie tych różnych przedsiębiorstw w jedną międzynarodową korporację.

O wpół do piątej, nawet nie zdjawszy ubrania, wyciągnął się na łóżku z zamiarem ucięcia sobie

dziesięciminutowej przerwy. Oczy miał zaczerwienione z przemęczenia. To była długa noc po jeszcze dłuższym, najbardziej niezwykłym dniu jego życia. Rozbudzone emocje n'e dopuszczały do niego zmęczenia, ale po chwili powieki same się zamknęły i zapadł w sen tak głęboki, jaki zdarza się tylko osobom krańcowo wyczerpanym.

75

Kiedy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie. Było wpół do jedenastej. Przez chwilę mrugał oczami, nie mogąc dojść do siebie i naraz, wraz z falą światła, które strumieniami wlewało się z balkonu, wszystko sobie uświadomił: czerwona teczka na stole i zatopione w miłosnym uścisku postaci.

Umył się, ubrał i szybko zszedł na dół. Ciekawa rzecz, ani razu nie spojrzął na stojące w korytarzu rzeźby, nawet na tę u podnóża schodów. To, co wcześniej wydawało się bardzo ważne, zginęło teraz w natłoku innych myśli.

W willi panowała niczym nie zmałona cisza. Hol był pusty. Czyjeś niewidzialne ręce wymieniły w wazonach kwiaty na świeże. Kiedy wyszedł na taras, nie było tam śladu stołów, które rozstawiono poprzedniego wieczoru. Nikogo nie kusila świeża niebieska woda w basenie. Przez chwilę wydawało się Tomowi, że jest sam. Wtem dostrzegł jakąś postać po drugiej stronie basenu. Był to Haller. Poprzedniego wieczoru w nieskazitelnym smokingu szwajcarski bankier mógł uchodzić za ucieleśnienie prawdziwego człowieka sukcesu. Teraz w czarnych kąpielówkach wyglądał dość zabawnie. Wstał ukazując pękaty brzuszki i białe cienkie nogi. Widząc zbliżającego się Toma, podświadomie sięgnął po szlafrok. — Dzień dobry — powitał go, owijając się szczelnie w białą frotową opończę. — Mam nadzieję, że spał pan dobrze?

— Tak, dziękuję.

Haller wskazał mu stolik i dwa krzesła pod markizą. — Niech się pan częstuje. Jest tu sok pomarańczowy, rogaliki i mnóstwo kawy. — Przetarł różową twarz białym ręcznikiem. — Uff! Potrafię znieść to greckie słońce przez godzinę dziennie i to tylko rano. Chodźmy w cień.

Tom podszedł za nim do stolika i nalał sobie kawy. Haller usiadł, wyciągając przed siebie chude nogi i zakładając ręce na brzuchu. Rozsiadł się wygodnie, zamknął oczy i westchnął zadowolony. — Wie pan — rzekł — najbardziej lubię Kariakos w chwilach takich, jak ta. Wszyscy gdzieś poznikali, zajmują się własnymi sprawami, a ja mam czas, by tu siedzieć i myśleć. Naprawdę to wielka przyjemność, panie Lambert, siedzieć w słońcu i myśleć.

Tom przełknął łyk kawy. — A gdzież są inni?

— Większość wypłynęła „Afrodytą”. Ale, oczywiście, nie Maurice. On poleciał z Melody na aukcję do Rzymu.

— Do Rzymu? — powtórzył jak echo Tom.

Wspomnienie Melody ukłuło go. Od poprzedniego wieczoru usiłował nie myśleć o niej. Bardzo się o to starał. Studiowanie

76

sprawozdań bilansowych nader mu w tym pomogło. Zaabsorbowanie liczbami, pełna koncentracja przyćmiły inne myśli.

Haller zachichotał nie otwierając oczu. — Jak para dzieciaków, tacy podekscytowani. Maurice zawsze niesie ze sobą iskrę emocji. Ileż w nim energii!

Tom wolno sączył kawę. Trapiło go poczucie winy, zachował się nieładnie wobec Melody, a wręcz grubiańsko w stosunku do Jasmine. To wszystko dlatego, że Melody go rozdrażniła. Po południu wydawała się taka... taka przystępna. Niewłaściwie zrozumiał jej zachowanie.

Haller otworzył oczy i spojrzął na zegarek. — W samą porę pan się zjawił. Za piętnaście minut będę musiał zadzwonić do Pireusu, jeśli postanowił pan rzeczywiście dzisiaj wyjechać. — Zmienił pozycję na krześle. — Więc jak, panie Lambert, zostaje pan czy wyjeżdża?

Tom zawahał się, czy tłumaczyć mu, w czym rzecz. — Niech pan posłucha — rzekł — chyba będzie lepiej, jeśli panu powiem. Zrobiłem z siebie idiotę wobec Melody. — Wzruszył ramionami zastanawiając się, jak to najlepiej wyjaśnić. — W moim pokoju znajduje się pewna rzeźba.

Przedstawia Melody w scenie miłosnej ze Stantonem. Wiem, że to nie moja sprawa, ale powiedziałem jej kilka przykrych zdań, których teraz żałuję. Niemiłych zdań. Dostało się i Jasmine. Jeśli powtórzą to Stantonowi... No cóż, może zmienić o mnie opinię.

Nalana twarz Hallera pozostała bez wyrazu. — Rozumiem — rzekł. — A co z dokumentami? Czytał je pan?

— O tak. Całą noc je studiowałem.

— 1?...

Wszelkie wahanie zniknęło z twarzy Toma. — To może być wielka sprawa. Ogromny potencjał. O wiele większy niż przypuszczałem. Ale jaki w tym bałagan! Wszystko bez jakiegokolwiek rozsądnego business-planu. Rozproszone, nie skoordynowane...

Haller uniósł do góry dłoń. — A więc nie dzwonić do Pireusu?

— No cóż, chyba nie... Lecz wracając do sprawy Melody...

— Tym bym się nie martwił — Haller uśmiechnął się z pobłażaniem. — Większość tutejszych gości zachowuje się podobnie. Kiedy przyjeżdżają na Kariakos, widzą tylko dziewczęta i te rzeźby. Powiem panu pewną dziwną rzecz. To wkrótce się zmieni. Podczas trzeciej wizyty bywalcy widzą już tylko Maurice'a.

Tom nadal patrzył przed siebie niezdecydowany. — Sam nie wiem... Tak się wygłupiłem...

— Maurice już nieraz różne rzeczy słyszał — odparł z przekonaniem Haller. — Niech pan nie zaprzęta sobie tym głowy. Jeśli pan sądzi, że zachował się niewłaściwie, zawsze może pan przeprosić. —

77

Haller wzruszył ramionami. — Niech mi pan wierzy, nie usłyszysz pan o tym ani słowa.

Tom nie odezwał się. Odczuł ulgę, choć nadal pozostał w nim ślad wątpliwości. — Jakoś nie bardzo to wszystko pojmuję. Nie chodzi mi o biznes — Tom zmarszczył brwi, starając się wyjaśnić, co ma na myśli — ale o Stantoną. Nie mogę go zrozumieć. Wszystkie te posągi... Nie dziwi to pana?

— Są niezwykle — zgodził się Haller — choć nie aż na tyle, kiedy się pozna Stantoną.

— Dlaczego on to robi?

Haller roześmiał się. — Dlaczego uprawia miłość z pięknymi kobietami?

— Nie. Dlaczego tak się z tym afiszuje?

Uśmiech nie zniknął z twarzy Hallera. — Musi pan zapytać o to Maurice'a. Mogę podzielić się z panem moją opinią, ale najpierw niech pan odpowie na pytanie: czy pan kiedykolwiek coś kolekcjonował? Autografy, płyty, książki, programy teatralne?

— Wydaje mi się, że płyty. Nie mam ich duże, ledwie kilka setek...

— No, widzi pan — rozpromienił się Haller. — Potrzeba zbieractwa jest czymś bardzo istotnym dla człowieka. Psychoanalicy tłumaczą to na wiele sposobów. Niektórzy ludzie zbierają całkiem zwykłe rzeczy — pudełka od zapalek, muszle morskie, kamyki. — Wzruszył ramionami. — Maurice zbiera dzieła sztuki. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zgromadził jedną z największych na świecie prywatnych kolekcji dzieł sztuki. Większość zbiorów przechowuje w Szwajcarii, część w Stanach, a jedynie znikomą ich część tutaj. Inwestowanie w sztukę bardzo mu się opłaca. W kategoriach finansowych sporo zyskał, a w kategoriach estetycznych został ekspertem. Przyjaźni się z wieloma artystami, w niektórych przypadkach stał się ich mecenasem. Galerie sztuki i muzea zwracają się do niego z prośbą o konsultacje...

— Ale nadal nie pojmuję, dlaczego...

— Jeszcze chwilę — Haller uniósł rękę. — Chcę, by pan zrozumiał sposób, w jaki kolekcjoner patrzy na świat. Maurice zbiera rzeczy rzadkie i piękne. — Ognik zapalił się w oczach Hallera. — Zgodzi się pan chyba, że Melody jest piękna?

— Nie jestem ślepy.

— Czy nie jest pięknie z nią się kochać?

Jeszcze wczoraj Tom żywił w tym względzie pewne własne nadzieje. Nie odpowiedział.

Haller uśmiechnął się. — Może lepiej będzie, jeśli zadam to pytanie samemu sobie. Dla mnie odpowiedź jest prostsza...

— W porządku, wiem, o co chodzi, ale...

— Dla mnie byłaby to chwila, którą chciałbym wspominać do końca życia — westchnął Haller. — Czemu by więc tego nie utrwalić w rzeźbie? Zaangażować najlepszego artystę?...

— Żeby móc się potem tym chełpić? — wtrącił wzgardliwie Tom.

— Nie chełpić. Wspominać z miłością i wzruszeniem.

— Miłością? — powtórzył jak echo Tom.

Haller westchnął. — Panie Lambert, żądał pan wyjaśnienia, próbuję więc to panu wytłumaczyć.

— Przepraszam — odparł ze skrucą Tom. Zapalił papierosa. — Proszę, niech pan mówi dalej. Nie będę już przerywać.

Haller odparł z gorzkim uśmiechem: — W pana wieku zachowywałbym się podobnie. Kiedy byłem młody, nie myślałem o tym, że się zestarzeję, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Teraz jestem dwa razy starszy od pana i wiem, jak ulotne jest życie. Nic nie trwa wiecznie — ani młodość, ani piękno, a miłość, szczególnie świadomość bycia zakochanym pada zwykle pierwszą ofiarą upływu czasu. Maurice powie panu to samo. Nie twierdzę, że on jest w niej czy w kimkolwiek innym zakochany, ale jestem pewny, że ją kocha. Gdyby tak nie było, nie utrzymywałby z nią kontaktów, a już szczególnie nie robiłby tego tylko dla seksu. Uznałby to za odrażające.

— Słuchając pana, można by dojść do wniosku, że to ktoś w rodzaju mnicha.

Haller zachichotał. — Nie, mnichem z pewnością nie mógłby zostać. Za bardzo lubi towarzystwo ludzi. On jest — to niezwykła rzadkość — człowiekiem, który zbytnio szafuje samym sobą. Dzieli się sobą z innymi. Jest szczerzy, przyjazny i rozpira go szczególna radość życia. Kocha życie i sprawia, że ludzie wokół niego również je kochają. Niech się pan przyzna, panie Lambert, sam pan to musiał wczoraj odczuć.

Niby nadaśane dziecko Tom zgodził się niechętnie: — Owszem. Ma w sobie dużo uroku, ale posiada też pieniądze...

— Nonsens — przerwał mu Haller — pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. Tym, co przyciąga do niego kobiety, jest jego radość życia. Przebywanie z nim jest czymś tak ekscytującym, że trzeba się dobrze postarać, by temu sprostać. Ile, według pana, on ma lat?

Gdyby się tego nie dowiedział od Constantina, Tom sądziłby, że około pięćdziesięciu, ale rzekł: — Nie wiem.

— Sześćdziesiąt cztery.

To naprawdę sprawiało wrażenie. Tom pamiętał muskularne plecy i mocne nogi posągu. Nawet jeśli artysta nieco przesadził, to i tak Stanton ma ciało człowieka młodszego o lat dwadzieścia.

79

Haller uśmiechnął się. — Tak więc popełnia pan błąd zakładając, że pieniądze mają tu jakieś znaczenie. Obraża pan także Melody, choć wygląda pan na zauroczonego tą dziewczyną...

Tom pozostawił zawarte w tym zdaniu pytanie bez odpowiedzi.

Haller rzekł: — Gdyby pieniądze były motywem jej postępowania, to czy nie sądzi pan, że z jej urodą i wykształceniem mogłaby się wydać za niejednego bogacza? Podczas gdy w przypadku Stantona o małżeństwie w ogóle nie ma mowy.

To wyjaśnienie jeszcze bardziej skonsternowało Toma.

— Mogę panu powiedzieć tylko jedną rzecz — podsumował Haller. — Głęboka przyjaźń jest dla Maurice'a czymś trwałym. Przed miesiącem poznałem we Florencji pewną panią, która dziesięć lat wcześniej była jego przyjaciółką. „Ach, Maurice — rzekła ta pani ze smętnym uśmiechem — dopiero w jego towarzystwie nabrałam szlifów.”

To czułe wspomnienie nasunęło Tomowi pewne zdanie wypowiedziane przez Melody, ale nie mógł sobie przypomnieć dokładnie jej słów. Pokiwał tylko w zadumie głową.

— A teraz skończmy z tym — zaproponował Haller. — Porozmawiajmy o biznesie. Po to tu zostałem. — W jego oczach pojawił się wyraz oczekiwania. — Po lunchu zażywam zwykle sjesty, a do tego czasu... — rozłożył ręce ukazując wnętrze dłoni — jestem do pana dyspozycji. Chciałbym

się dowiedzieć, czego się pan dowiedział z tych papierów.

Tom przyjął zmianę tematu niemal z ulgą. Wiele rzeczy dotyczących Stantona było jeszcze dla niego zagadkowe, ale na biznesie się znał.

— Może dobrze byłoby, gdyby pan przyniósł tę teczkę ze swojego pokoju — podsunął Haller.

Tom wrócił do willi. Wchodząc na schody czuł, że z każdym krokiem zbliża się do swojej wielkiej przygody.

Dyskusja trwała przez resztę poranka i kontynuowali ją jeszcze podczas lunchu. Haller okazał się człowiekiem o bardzo przenikliwym umyśle. Każda jego odpowiedź była dokładna i przejrzysta. Jeśli miał jakieś wątpliwości, nie krył tego, lecz zapisywał sprawę w notesie, który wyciągał z kieszeni szlafroka. Wobec pewnych spraw, takich, jak lokowanie pieniędzy na tajnych kontach, był bardzo powściągliwy, ale w pozostałych kwestiach okazywał szczerą i otwartą.

Rychło okazało się, że zgadzają się w głównych kierunkach. Haller przyznał, że w działaniu firm Stantona brak jednolitej polityki.

80

Zgodził się, że zaprzepaszczono wiele możliwości i z uwagą słuchał pomysłów Toma.

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedział w pewnej chwili Tom. — Dlaczego tak długo ociągaliście się z decyzją połączenia przedsiębiorstw?

— Z powodów natury historycznej — wzruszył ramionami Haller. — Złożonych wcześniej obietnic. Wszyscy jesteśmy ofiarami przeszłości, panie Lambert. Poza tym — dodał — czasami jest lepiej, jeśli przedsiębiorstwa same znajdują rynki zbytu.

— Rynek jest międzynarodowy — odparł Tom. — Na wielu obszarach Pohl i Bouvier walczą o tych samych klientów. To szaleństwo. Podobnie jest z organizacją badań. Każde z tych przedsiębiorstw ma własne ośrodki badawcze.

— Wszystkie przedsiębiorstwa przynoszą przecież zyski — zaprotestował Haller.

— Zgoda, ale należy pomyśleć o przyszłości. Choć każde z nich jest duże, to indywidualnie nie będzie ich wkrótce stać na rozwijanie szerszych badań. Amerykanie i Japończycy przejmą prowadzenie. Wasze produkty zaczną ustępować tamtym... — W miarę gdy Tom nabierał rozpędu, z coraz większą ostrością rysował mu się obraz przyszłych możliwości i coraz to szybciej wyrzucał z siebie słowa.

Haller słuchał, kiwając od czasu do czasu głową i sporadycznie wtrącając pytania. Tymczasem służąca przyniosła świeżo zaparzoną kawę. Obaj przestawili ocienione dotąd markizą krzesła, aby schować się przed słońcem, które przemieściło się na nieboskłonie. Haller zapalił cygaro. Tak ich obydwu pochłonęła rozmowa, że prawie jej nie przerywali. Przy pomocy Hallera Tom zobaczył bardziej przejrzyste strukturę powiązań między firmami, których Stanton był właścicielem. Sam Stanton nadal jednak pozostawał dla niego zagadką. Miał własne imperium. Ale co jest jego siłą napędową? Dlaczego prowadzi taki tryb życia? Czy można mu wierzyć?

Coraz bardziej pytania Toma odbiegały od sprawozdań bilansowych i zahaczały o Stantona. Po chwili Haller dał się wciągnąć. — To jasne, że chce pan o nim coś więcej wiedzieć — stwierdził. — Wokół niego będzie się kręciła pana przyszłość.

Haller ujawnił, że Tom ma u nich obszerną kartotekę. — Więc Przyzwoitość wymaga, żeby się panu odwzajemnić informacjami o nas — przyznał ze skrucą.

Powoli zaczął się Tomowi rysować obraz Stantona. Słuchał uważnie, prawie nie przerywając.

Maurice Stanton urodził się w roku 1905. Jego ojciec był Anglikiem,

6 — Zemsta

81

a matka Francuzką. Rodzina posiadała domy w Londynie, Paryżu i Genewie. Chłopiec wychowywał się w uprzywilejowanych warunkach. — Ale go nie rozpieszczano — Haller usiłował znaleźć precyzyjne określenie. — Jego ojciec miał wiele talentów, oczekiwał więc, że syn nie będzie gorszy od niego. Chłopak miał najlepszych nauczycieli. Był bardzo pojętny, a przy tym sprawny fizycznie. Po ojcu odziedziczył inteligencję i determinację w dążeniu do celu. W wieku

czternastu lat poziom jego wiedzy odpowiadał progowi przyjęcia na Sorbonę. Po mistrzowsku grał w szachy. Płynnie władał ważniejszymi językami europejskimi. Strzelał jak strzelec wyborowy. A na nartach... — Haller pokiwał głową z uznaniem — ...na nartach szusował jak nikt inny w jego wieku w Szwajcarii.

Ukończywszy studia uniwersyteckie Stanton zaczął się wciągać w rodzinny biznes. Najpierw w Anglii, potem w Niemczech. Ale nie miał serca do interesów. — Haller pokiwał głową. — Stanton to jeden z najbardziej inteligentnych ludzi, jakich znam, ale nie chciało mu się wtedy brać za interesy. W tamtych czasach pasjonowały go samochody wyścigowe, jachty dalekomorskie, narciarstwo w Alpach, samoloty i jazda konna. — Haller uśmiechnął się. — I oczywiście dziewczyny. Wokół Maurice'a zawsze kręciło się mnóstwo dziewczyn.

Stanton senior zmarł w roku 1925. Maurice miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Odziedziczył mnóstwo udziałów w wielu firmach, którymi miał kierować zarząd powierniczy do czasu osiągnięcia przez Maurice'a wieku trzydziestu lat. — Mój ojciec był jednym z członków rady powierniczej i nasz bank był mocno w to zaangażowany — ciągnął Haller. — Maurice uznał, że skoro wszystkim kieruje zarząd powierniczy, on może jeszcze „kończyć edukację”. Pojechał do Ameryki Południowej, a potem do Stanów. Był młodym, zamożnym człowiekiem i szukał towarzystwa bogatych i sławnych.

Maurice Stanton mieszkał w Ameryce aż do roku 1935. Kiedy wrócił do Europy, najpierw udał się do Londynu, a potem do Berlina. — Kilkakrotnie spotykał się z Hitlerem. Kiedy lepiej poznał pan Maurice'a, musi go pan zapytać o jego wrażenia z tych spotkań. Również z Mussolinim, bo z duce również się widywał. Znał też oczywiście wielu brytyjskich i francuskich polityków.

— Już po roku Stanton przepowiedział wojnę europejską. — Haller wzruszył ramionami. — Maurice czuł odrazę do tego wszystkiego. Był przekonany, że wojny można uniknąć, gdyby Paryż i Londyn podjęły odpowiednie kroki. Prawda jest jednak taka, że nie uczyniły niczego, by uniknąć wojny.

Tom słuchał z uwagą opisu wydarzeń z czasów, kiedy nie było go

82

jeszcze na świecie. Oczywiście sporo słyszał o wojnie, ale jego wiedza oparta była na wiadomościach szkolnych i lekturze czasopism. Wersja, jaką przedstawił Haller, nie całkiem zgadzała się z tym, co słyszał.

— Hitler cieszył się dużym poparciem prywatnego kapitału — ciągnął bankier. — Wielu ludzi ze sfer rządowych Anglii i Francji popierało pomysły fuhrera, szczególnie te dotyczące komunistów i Żydów. Nieoficjalnie udzielali mu poparcia. Oczywiście po wojnie temu zaprzeczyli, ale Maurice dobrze tych ludzi znał i nie miał co do nich wątpliwości.

W Stanach Maurice zaprzyjaźnił się z wieloma Żydami i wie, jak bardzo się lękali o los swoich krewnych w Niemczech. Robił, co mógł, by im pomóc. — Wtedy właśnie — mówił Haller — Maurice zajął się skupowaniem dzieł sztuki. Kupował od Żydów całe kolekcje. Zawsze za uczciwą cenę. Rynek dzieł sztuki załamał się wówczas i gdyby chciał, mógłby to wykorzystać, ale nigdy tego nie uczynił. Zawsze płacił we frankach szwajcarskich. Wiem to, bo przelewaliśmy te pieniądze na różne konta w naszym banku. Smutne, ale po wojnie wielu właścicieli kont już się nie zgłosiło: zginęli w obozach koncentracyjnych.

Najważniejszą firmą Stantoną w Niemczech była Pohl Organization, która wytwarzała maszyny drukarskie. Jak pan wie, zachował ją dla siebie, choć sprzedał inne przedsiębiorstwa w szybko się wówczas rozwijającej branży elektrycznej i raczkującej jeszcze elektronice. Pozbył się wszystkiego, co mogłoby znaleźć bezpośrednie zastosowanie w wojnie. Firmę Pohla zatrzymał z jednego szczególnego powodu, do którego za chwilę wrócę.

Haller przerwał, by zapalić następne cygaro. Robił to niemal bezwiednie — najpierw obracał je w palcach, potem wahał, odcinał koniec i podpalał zapałką. Tom sączył kawę i zastanawiał się nad niezwykłością sytuacji — siedzi na jakiejś greckiej wyspie i słucha szwajcarskiego bankiera, który opisuje wydarzenia sprzed drugiej wojny światowej, od której zakończenia upłynęły już dwadzieścia cztery lata. Gdzie spojrzy, otacza go luksus. Basen mieni się słonecznym blaskiem.

Wokół wypielegnowany ogród. Willa warta jest krocie, nie wspominając już o jachtach i samolotach. Właścicielem tych niezmiernych bogactw jest człowiek, który z każdą minutą coraz bardziej go intryguje.

?— Wiosną 1939 roku — ciągnął dalej Haller — Maurice zwrócił Się do władz o otrzymanie szwajcarskiego obywatelstwa. Szybko je uzyskał. Przecież całe dzieciństwo spędził w Szwajcarii. Był właścicielem nieruchomości w Genewie i St Moritz. Jego bankierzy byli Szwajcarami.

83

Zarząd jego przedsiębiorstw miał siedzibę w Szwajcarii. Wśród Szwajcarów wielu przyjaciół...

— Więc nie jest poddanym brytyjskim? — przerwał zdumiony Tom.

— Nie. Wyrzekł się obywatelstwa brytyjskiego w roku 1939, na sześć miesięcy przed rozpoczęciem wojny.

Tom zrozumiał, dlaczego tak trudno było znaleźć w Londynie informacje o Stantonie.

— Może pan sobie wyobrazić — kontynuował Haller — jak mu to zaszkodziło w Anglii. Ludzie, którzy kiedyś byli jego przyjaciółmi, ślali teraz obraźliwe listy. Nazywali go zdrajcą, tchórzem i obrzucali innymi inwektywami. Ale Maurice był nieugięty. Taką podjął decyzję i nic go nie mogło od niej odwieść. Wszystko, co posiadał poza Szwajcarią, stało się własnością obywatela Szwajcarii. Jako takie, było chronione prawem międzynarodowym państw neutralnych. Obejmowało to również fabrykę Pohla w Niemczech.

Haller przerwał, aby popatrzeć na jarzące się cygaro. Uśmiechnął się. — Zdziwiłby się pan wiedząc, ilu Żydów zatrudniał u Pohla. Ponad jedna trzecia pracowników była Żydami. Pod różnymi pretekstami — oczywiście nie naraz, ale po dwóch, trzech — wzywał ich do centrali w Genewie. Większość już nie wracała. Zawdzięczają Mauri-ce'owi życie. Naturalnie, ten okres nie trwał długo. Gestapo wkrótce położyło temu kres. W roku 1940 większość Żydów znalazła się już w obozach koncentracyjnych, ale Maurice utrzymywał kanał przerzutowy z Pohlem do ostatnich niemal dni wojny. Pomógł setkom ludzi, nie tylko Żydom, ale i ludzior innych nacji, którzy musieli uciekać przed reżimem Hitlera.

— Działalność Stanton'a nie znajdowała uznania w jego przybranej ojczyźnie — głos Hallera brzmiał jak usprawiedliwienie. — Musi pan wiedzieć, że neutralność zobowiązywała. Jeśli nasz mały kraj chciał uniknąć wciągnięcia w tę krwawą rzeźnię, nie mógł sprawiać wrażenia, że popiera którąś ze stron. A Genewa była przecież wielkim gniazdem szpiegów. — Haller uśmiechnął się. — Od czasu do czasu Maurice dostawał po łapach, ale... Maurice pozostał Mauricem... potrafił się wywinąć, ma urok, więc jakoś przetrwał.

— Już pod sam koniec wojny — ciągnął Haller — Maurice tak zauroczył pewną Szwajcarkę, że została jego żoną. Ta pani jest moją kuzynką. Te więzy rodzinne stały się dla mnie później dość kłopotliwe, gdy doszło do rozpadu ich małżeństwa. No ale — uśmiechnął się kwaśno — jestem prawdziwym Szwajcarem, starałem się być neutralny. W roku 1946 urodziła im się córka Kirsten, a w osiemnaście miesięcy

84

później przyszedł na świat Roddy. Niestety, ich małżeństwo przeżywało już wtedy trudne chwile — Haller dotknął z zakłopotaniem czoła.

Sam nie wiem, dlaczego moja kuzynka tak nalegała na to małżeństwo. Wszyscy wiedzieli, jaki jest Maurice. Podobał się kobietom i korzystał z każdej okazji, by pójść z nimi do łóżka. Przed wojną, kiedy mieszkał w Stanach, pełno było o nim wiadomości w gazetach. Pojawił się u boku takiej albo innej gwiazdki czy też dziedziczki fortuny, zawsze balansując na krawędzi skandalu. Był wmieszany w trzy sprawy rozwodowe. W Ameryce takie rzeczy są do przyjęcia, ale w Szwajcarii...

— Haller pokręcił z naganą głową. — U nas rozwody są niedopuszczalne, szczególnie jeśli chodzi o kobietę z dobrej rodziny. Przypuszczam, iż mojej kuzynce wydawało się, że potrafi go zmienić.

Wie pan, kobiety często tak myślą. Zakochują się, bo jakiś facet je podnieca, a potem usiłują przerobić go na pantoflarza, który nawet się nie ogląda za inną. Możliwe, że na początku to działało, w pierwszej fazie miłosnego zauroczenia, kiedy jeszcze na świecie toczyła się wojna... Ale

potem, gdy Maurice mógł już podróżować... pokusy stały się dla niego zbyt silne. Już wkrótce w Genewie aż huczało od plotek na temat Maurice'a. A to widziano go w Paryżu z taką panią, a to w Londynie z inną.

W powojennym Londynie inne też rzeczy przytrafiały się Mauri-ce'owi. Bardzo przykry incydent miał miejsce w amerykańskim barze w Dorchester. Podeszło do niego dwóch mężczyzn, dwóch przyjaciół sprzed wojny, którzy zaczęli obrzucać Maurice'a obelgami. Byłem wtedy razem z nim — ciągnął Haller. — Jeden z tych mężczyzn był spokrewniony z rodziną królewską, miał jakiś tytuł. Obrzucał Maurice różnymi wyzwiskami — nazwał go szczurem, skunksem, podłym tchórzem, który wraca na czworakach, gdy minęło prawdziwe niebezpieczeństwo. Musiałem powstrzymać Maurice'a siłą, by nie rzucił się na niego z pięściami. Niemniej doszło do szarpaniny, obcy ludzie musieli rozdzielać ich od siebie. Kazano nam wyjść. My mieliśmy wyjść, a nie ten, który wywołał awanturę. Maurice wyznał mi później, że obydwaj napastnicy byli w roku 1937 i 1938 zwolennikami Hitlera. Ja z kolei znam fakty, które potwierdzają, że na wojnie zrobili fortuny. Maurice natomiast nie zarobił na wojnie ani pensa, ze świadomego wyboru. Biedny Maurice, tak mi go było żal tamtego wieczoru. Nigdy °d tamtej pory nie postawił stopy w Dorchester.

W Londynie również zgotowano Stantonowi podobne przyjęcie. Podróżowaliśmy wtedy razem, więc sam widziałem. Znajomi go znienawidzili. Zapewnie nie wiedzieli, ile istnień ludzkich uratował od śmierci, chociaż nie, musieli wiedzieć, sam im często przy różnych

85

okazjach o tym mówiłem. Maurice nie powiedział ni słowa w swojej obronie. Trwało to przez kilka koszmarnych tygodni.

Zapadła cisza, Haller zatopił się we wspomnieniach. Po chwili dodał: — Maurice przeżywał niedobry okres. Poprosił Louise o rozwód, ale ona nie chciała mu ułatwiać sprawy. Nigdy bym nie uwierzył, że potrafi być tak mściwa, choć myślę, że to tylko reakcja odrzuconej kobiety. Maurice przyznał, że cała wina leży po jego stronie. Nie wniósł żadnych pretensji. W ugodzie bardzo hojnie obdarzył swą byłą małżonkę. Przyznał, że zawsze miał słabość do nietrwałych związków z kobietami. — Haller uśmiechnął się i spojrzał Tomowi w oczy. — Wie pan, on jest bardzo uczciwy. Tak wobec siebie, jak i wobec innych. Sam pan to przyzna, kiedy go pan bliżej pozna.

— Słuchając pana, odnoszę wrażenie, że Stanton to człowiek bez ' skazy.

Haller roześmiał się. — Nikt nie jest bez skazy. Wiele rzeczy można mu zarzucić, szczególnie w sprawach biznesu, ale są to głównie grzechy zaniedbania. Maurice jest bardzo lojalny wobec ludzi, z którymi ma do czynienia.

Nadejście pory lunchu przerwało im rozmowę. Dwie dziewczyny wtoczyły wózek, na który zebrały filiżanki od kawy i dzbanek, potem nakryły stół świeżym obrusem i postawiły posiłek, który okazał się wyśmienity — drobne rybki gotowane w winie, wspaniały kurczak, ser aromatyzowany ziołami oraz miód i zsiadłe mleko. Wino pachniało tylko lekko żywicą, nie tak, jak retsyna Constantina.

Patrząc na dziewczyny, które wracały do willi, Tom zastanawiał się, ile trzeba osób, by Stanton mógł żyć na odpowiednim poziomie. — Czy one mieszkają tutaj? — zapytał.

— Większość służby przychodzi z wioski. Może pan widział to osiedle z pokładu „Heleny”. To ta osada rybacka w sąsiedniej zatoce.

— Tak, widziałem te domy.

— Jest ich niewiele. Ledwie około pięćdziesięciu zabudowań, razem siedem czy osiem rodzin. Są jedynymi mieszkańcami wyspy. Część z nich zajmuje się rybołówstwem, pozostali uprawiają winną latorośl i drzewka oliwne. Trochę też zajmują się hodowlą, lecz tylko na tyle, by Kariakos była samowystarczalna. Maurice dba o wszystkich, a oni błogosławią ziemię, po której chodzi. — Haller uśmiechnął się. — Jak pan więc widzi, Kariakos to istny raj.

Tom ciekaw był, czy tutejsi mieszkańcy też określają Stantonona mianem „angielskiego lorda”.

Wspomnienie Constantina przypomniało mu żołnierzy i budzące grozę zajście w tawernie. — A jak tutejsza

86

junta wojskowa? — zapytał wskazując domniemany kierunek lądu stałego. — Pułkownicy nie mieszają się w te sprawy?

— W sprawy Maurice'a? — Haller potrząsnął przecząco głową. — Grecka gospodarka jest w stanie oplakany. Brak im dewiz. Pułkownicy rywalizują z sobą, by móc uścisnąć rękę Maurice'a. Co wcale nie znaczy, że on im na to często pozwala. Jedyne na tyle, by mogli sądzić, że zainwestuje w Grecji trochę obcego kapitału.

— A zainwestuje?

— To będzie zależało również od pana — stwierdził Haller — jeśli zgodzi się pan przyjąć naszą ofertę.

Rozmowa znowu wróciła do spraw biznesu. Przez pewien czas mówili jeszcze o Pohlu i Bouvierze, a potem Haller zapytał: — Co pan sądzi o pozostałych przedsiębiorstwach? Chemicznych i innych...

— To potworny galimatias! — zawołał Tom. — Bardzo skrupulatnie przedarłem się wczoraj przez gąszcz cyfr tych przedsiębiorstw. Przypomina to nieco stół do ruletki, na którym obstawiono każdy numer. Wszystko jest rozproszone. Trzeba się zdecydować, w jakiej branży się działa. Dokonałem pewnych wyliczeń. Sześćdziesiąt osiem procent zysku pochodzi z produkcji sprzętu biurowego oraz elektroniki użytkowej. Sześćdziesiąt osiem procent! To branża podstawowa. Resztę bym odsprzedał we właściwej porze i za właściwą cenę, a uzyskane wpływy zainwestował w wiodące wytwórnie. To by nam pozwoliło skoncentrować siły...

Haller uśmiechnął się — Nam?

Tom zarumienił się. — Chciałem powiedzieć, jak ja bym postąpił.

— A ja się z panem zgadzam.

— To dlaczego nikt tego jeszcze, do licha, nie zrobił?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, Haller powrócił do opisanego wydarzenia sprzed końca wojny. Słuchając jego słów, Tom mógł sobie wyrobić pewne zdanie o charakterze Stanton'a. — Maurice przyjął na siebie pewne zobowiązania — mówił Haller. — Przez całą wojnę Pohlem kierowała wąska grupa menedżerów. Wszyscy byli Niemcami. Każdy z nich mógł donieść na Maurice'a do gestapo, ale wszyscy siedzieli cicho. Co więcej, trzech lub czterech pomagało aktywnie fałszować dokumenty dla Żydów. Czy zdaje pan sobie sprawę z ryzyka? Kiedy wojna się skończyła, Maurice zapytał ich, jak widzą dalsze losy Przedsiębiorstwa. Odpowiedzieli to samo: chcieliby odbudować firmę własnymi siłami, by jak feniks z popiołów odrodziła się w tej samej formie. Nie życzyli sobie żadnej ingerencji z zewnątrz. Żył wtedy Jeszcze stary Pohl. Był to autokrata w patriarchalnym stylu, ale jego współpracownicy uwielbiali go.

87

Haller zakreślili dłonią szeroki gest. — To ich życzenie wydawało się tak łatwe do spełnienia, że Maurice się zgodził. I rzeczywiście radzili sobie nieźle. Maurice nie zawiódł się na nich. Lecz z biegiem czasu stali się jednostką autonomiczną, z czego byli zresztą bardzo dumni. Nie chcieli rad od obcych, a swoimi pomysłami też nie mieli ochoty z nikim się dzielić. Odczuwali potrzebę sprawdzenia się.

— W porządku, potrafię to sobie wyobrazić, że tak było po wojnie, nawet jeszcze w latach pięćdziesiątych. Ale teraz?

— Zgadza się z panem. Ale od tamtego czasu to wszystko się zaczęło. Tamta generacja już prawie w całości odeszła: przeszli na emeryturę albo umarli... Rzecz w tym, że nowy zarząd również kieruje się tą samą zasadą, którą przejęli w spadku po poprzednim pokoleniu. Stary Pohl nie chciał się dzielić swoimi sekretami z Bouvierem w Genewie czy z Excelem w Anglii, więc jego następcy również przyjęli tę samą zasadę. I nadal to trwa. Edwards jest inny, zajmę się nim za chwilę, ale w Hanowerze rzecz całą prowadzi syn Pohla, Carl, a w Genewie Amiens. I chcą, by tak pozostało.

— Pragnie pan powiedzieć, że sprzeciwia się scaleniu?

— Dotychczas zwalczali integrację. W ostatnich trzech, czterech latach Edwards naciskał na fuzję, widząc siebie na czele korporacji. Ale teraz, gdy jest chory, zmierza do tego, by jego syn zajął to miejsce.

— Jego syn?

— Tak. Czyżby pan go nie poznał zeszłego wieczoru?

Tom mgliście przypominał sobie, że Desmond Edwards był wysoki i ciemnowłosy. — W moim wieku?

— Dwa lata starszy od pana. Bardzo bystry. Potrafi sprzedawać towar. Ojciec wyszkolił go zresztą w każdej dziedzinie kierowania biznesem.

Tom nachmurzył się przypominając sobie wyraz zaciętego oporu na twarzy starego Edwardsa. — Może wyjaśnijmy tę sprawę — wtrącił. — Stary Edwards chce, by jego syn stanął na czele korporacji. Powiedział pan, że to bystry człowiek. Dlaczego więc nie chcecie mu dać tego stanowiska?

Haller westchnął. — Jest po temu wiele powodów. Zgadza się, chłopak jest bystry i firma będzie miała z niego pożytek. Ale brak mu pana doświadczenia w kierowaniu przedsiębiorstwem. Czując, że istnieją jeszcze inne powody, Tom nie odezwał się. Haller owinął się szczerzej szlafrokiem, jak gdyby nagle zrobiło mu się zimno. W jego oczach pojawił się wyraz zatroskania. — Prawda jest taka — powiedział po chwili — że nie zaakceptują go pozostali.

88

Carl Pohl nie cierpi Desmonda. Gdyby Desmond dostał to stanowisko, młody Pohl złożyłby rezygnację.

— Czy byłaby to aż tak wielka strata?

Wyraz zaskoczenia pojawił się na twarzy Hallera. — Pan jeszcze nie wie: Carl to geniusz elektroniczny. Jego pomysły zmieniają ludziom życie. Kieruje najlepszym zespołem badawczym w Europie. Niech pan mi wierzy, panie Lambert, Carl Pohl to jeden z naszych największych atutów. Jeśli on odejdzie, zabierze z sobą cały zespół ludzi. Może na własnych warunkach przenieść się do Philipsa, Siemensa czy IBM.

— Ale żaden z niego kierownik, tak?

— Beznadziejny. Pohl Organization robi forszę, bo jej produkcja przewyższa technologicznie wszystko, co znajduje się na rynku. Dzięki Carlowi. Gdybyśmy go stracili, to... — Haller poniosł dłoń z opuszczonym w dół kciukiem.

— A Amiens? Jaki on jest?

— Francuz, bardzo zdolny i na tyle sprytny, by się ożenić z córką szefa. — Haller uśmiechnął się.

— Yvonne jest jedyną córką i spadkobierczynią Pierre'a Bouviera. Tak się składa, że jest równocześnie chrześniaczką Maurice'a.

Wyczuwając pewien chłód w głosie Hallera, Tom zmarszczył brwi: — Pan nie lubi Amiensa?

— Tego nie powiedziałem — Haller potrząsnął przecząco głową. — André jest nadzwyczaj zdolny, jak mówią Amerykanie: „genialny facet”. Rzeczywiście geniusz w sprawach produkcji, bardzo sprawny organizator. Kiedy zmarł stary Pierre Bouvier, André wybił się już na dyrektora naczelnego. I to zasłużenie.

— Ale dalej nie zajdzie, czy to chce pan powiedzieć?

Haller zagryzł dolną wargę i zamyślił się. W końcu rzekł: — Pierre był przeciwny temu małżeństwu, nie wiem, dlaczego. Yvonne jest starsza od André. Może to było powodem. Kobiety starzejąc się tracą urodę, więc sześciolletnia różnica wieku mogłaby kłaść się cieniem na ich dalszym pożyciu. — Bankier wzruszył ramionami. — W każdym razie pobrali się dopiero po śmierci starego Pierre'a. Maurice też się wplątał w tę sprawę. Był ojcem chrzestnym Yvonne, najstarszym Przyjacielem Pierre'a i oczywiście największym udziałowcem w firmie Bouviera. Yvonne chciała, by André został szefem zarządu, więc Poszła do Maurice'a i powiedziała mu o tym. — A Maurice odmówił?

— Niezupełnie. On nie lubi, kiedy się go naciska, a poza tym znał zapatrywania Pierre'a na sprawę jej małżeństwa. Trzymał więc André w niepewności. Myślę, że to był błąd. Maurice żałuje tego teraz, po

89

czasie. W końcu uznał, że Amiens jest właściwym człowiekiem na tym stanowisku i poddał się. Ale Yvonne miała do niego żal. — Haller przerwał, po chwili zaś dodał: — To stara historia, która miała taki przebieg.

— Bouvier cieszy się świetną opinią. Amiens musi sobie nieźle radzić.

— Zgadza się.

— W czym wiec problem? Dlaczego nie on miałby poprowadzić to wszystko?

Haller wzruszył ramionami. — To kwestia osobowości. Amiens i Yvonne bywają nieraz bardzo aroganccy. Desmond ciągle się użala, że André traktuje go jak gówniarza. Kiedyś usłyszał to Pohl, roześmiał się i rzekł: „Czego się skarżysz? Przecież gówniarz z ciebie!”

— Już widzę, jak to się spodobało Edwardsowi — wtrącił Tom. I Haller uśmiechnął się gorzko. — Prawda jest taka, że Pohl,

Bouvier i Excel to trzy odrębne imperia, kierowane przez ludzi, którzy by się pozarzynali, gdyby mogli. Żaden z nich nie zgodzi się, by któryś z pozostałych objął nadrzędne stanowisko.

Tom wiedział, że doszli do sedna sprawy. W milczeniu przetrwał ostatnią informację, zastanawiając się nad możliwymi trudnościami. Raz jeszcze przebiegł w myślach chwilę spotkania z tymi ludźmi.

Gorzki uśmiech nie opuszczał Hallera. — Pan miał już do czynienia z wrogimi sobie współpracownikami — przypomniał.

— Istnieje pewna różnica — odparł Tom. — Huntera wywaliłem już w pierwszym tygodniu, w następnym poleciał Thornton. Tymczasem słyszę od pana, że choćbym nawet chciał, nie będę mógł wyrzucić Amiensa ze względu na Yvonne Bouvier.

— Byłoby to trudne — przyznał Haller.

— Nie mogę również pozbyć się Pohla.

— Straciłby pan geniusza.

— Ani Desmonda Edwardsa.

— On mógłby się stać pana najbardziej zagorzałym stronnikiem. Tom mocno w to wątpił. Excel jest kierowany zupełnie inaczej niż on prowadził Boltona.

— Zatem pana zdaniem, nie zgodzą się na kogoś spośród siebie, lecz będą musieli przystać na kogoś obcego z zewnątrz?

Haller uśmiechnął się. — Umniejsza pan swoją rolę, ale można by to tak ująć.

Tom spojrzał w słońce i zmrużył oczy. — Ale jest jeszcze jedna strona medalu.

— Tak?...

90

— Ja stanę się jedynym powodem, dla którego się zjednoczą. Stając do konfrontacji ze mną, mogą połączyć siły.

Haller uśmiechnął się, ale nie skomentował ostatnich słów. Oczy Toma rozjaśnił blask podziwu. — Bardzo sprytna gra. Czy to pana pomysł, panie Haller?

Bankier uniósł w milczeniu brwi.

— Panu bardzo zależy na tej fuzji, prawda? — pytał dalej Tom. Haller skinął głową.

— Jeżeli ja to wykonam i uda mi się utrzymać cały zespół, scalenie dojdzie do skutku.

— Owszem — zgodził się Haller.

— A jeśli, zmuszeni do konfrontacji ze mną, zewrą szeregi, to również dojdzie do połączenia?

Uśmiech na twarzy Hallera pogłębił się. — W takim przypadku, panie Lambert, będzie to czysta wygrana na loterii.

Dziwna rzecz, zastanawiał się później Tom, ale podczas tej rozmowy polubił Hallera. Może zresztą nie było w tym nic dziwnego. Haller jest profesjonalistą, a Tom zawsze potrafi znaleźć wspólny język z profesjonalistami. Unika natomiast amatorów; ich działań nigdy nie da się przewidzieć i prowadzi to często do katastrofy. Profesjoniści działają według ściśle określonych reguł. Haller jest ostrym graczem, ale wszystkie karty wyklada na stół. Powiedział: „Jeśli doprowadzi pan do rozkwitu imperium Stantona, może pan liczyć na pełne poparcie z mojej strony”. Kiedy Tom

wskazał, że reorganizacja może spowodować chwilowe zakłócenia w funkcjonowaniu przedsiębiorstw, Haller odparł ostro: „Nie chciałbym, żeby te chwilowe zakłócenia odbiły się na zyskach, panie Lambert. Dla nas, Szwajcarów, to, co chwilowe, jest nader istotne. W zamierzeniach wybiegających na przyszłość czeka nas tylko śmierć”.

Poprzednio jednak Haller przedstawił już Tomowi szczegóły oferty. Miał otrzymać bardzo wysokie uposażenie, zwrot wszystkich kosztów własnych, premię specjalną, prawo do kupna udziałów po preferencyjnej cenie i pięcioletni kontrakt.

— Pozbycie się mnie będzie dość kosztowne — roześmiał się Tom.

Haller wzruszył ramionami. — Nie jesteśmy Brierleyami, panie Lambert. Założyliśmy, że sparzywszy się za pierwszym razem, może Pan okazać większą ostrożność, uatrakcyjniliśmy więc stosownie naszą ofertę. Powinien pan pamiętać, że wiemy, co kupujemy. Prześwietliliśmy Pana gruntownie. Ma pan rację twierdząc, że będzie pan czymś

91

w rodzaju katalizatora, który sprawi, że w taki czy inny sposób powinno dojść do scalenia. Żywię jednak nadzieję, że będzie pan prowadził Stanton Industries do końca życia.

Tom wierzył, że Haller mówi to z przekonaniem. Spędziwszy z nim cały poranek na rozmowie, nie miał wątpliwości co do szczerości bankiera. Powiedział jednak: — To chyba nadmiar uprzejmości z pana strony.

— Wcale nie. Leży mi na sercu dobro Maurice'a. Wierzę, że pan dobrze mu się przysłuży. Myślę też — dodał z dziwnym błyskiem w oku — że i Maurice odwdzięczy się panu i to w sprawach, których nie potrafi pan sobie na razie wyobrazić.

To rzekłszy Haller odszedł, by po posiłku zażyć sjesty, pozostawiając Toma samego na tarasie.

Wino, gorące słońce i zarwana noc w innych okolicznościach zwałyby Toma z nóg, ale w stanie obecnym, o śnie nie mogło być mowy. Wiedział, że powrót do pokoju mija się z celem. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, aż kotłowało się w nim od natłoku myśli. Gdyby nie narastający upał, mógłby pozostać na tarasie, ale markiza przestała już spełniać rolę ochronną.

Przypomniała mu się polana nad urwiskiem, z ławką i lunetą pod drzewami. Opuścił więc taras i podążył ścieżką wśród sosen, od czasu do czasu przystając, by niewidzącymi oczami spojrzeć na krajobraz. Jego umysł był tak zaabsorbowany, że nic poza trasą nie docierało do niego. Po chwili był już na polanie. Usiadł na ławce, zapalił papierosa i pogrążył się w rozmyślaniach nad swoją decyzją. Nie żeby miał jeszcze wątpliwości. Bez względu na trudności, których się spodziewał, nie potrafił znaleźć niczego, co byłoby dla niego większym wyzwaniem niż prowadzenie Stanton Industries.

Siedział tam ponad godzinę. Łagodny wiatr szemrał wśród sosen, a morze obmywało skały u podnóża urwiska. Przypominał sobie kolejno Carla Pohla, André Amiensa, Desmonda Edwardsa. Zastanawiał się, jak zareagują na jego nominację. Pogodzą się z nią czy też zaczną go zwalczać? Raptem zelektryzowało go wspomnienie czerwonej teczki. Zostawił ją pod stolikiem na tarasie. Czując się winnym niedopatrzienia opuścił w pośpiechu polanę, schodząc szybko ścieżką w dół i przeklinając swoje roztargnienie. Minąwszy prześwit między drzewami, skąd widać było morze, obszedł bokiem willę i niemal biegiem wpadł na taras. Natychmiast odszukał wzrokiem miejsce, gdzie siedział. Nakrycie i obrus usunięto już ze stolika, ale czerwona teczka nadal leżała dokładnie w miejscu, gdzie ją zostawił.

92

Z westchnieniem ulgi ruszył przed siebie, gdy nagle zarejestrował ruch w basenie. Jakaś kobieca postać płynęła pod wodą. Naga, tylko w białym czepku na głowie. Kiedy się wynurzyła, by wykonać przewrót na plecy, odsłoniła pulchne piersi i zbrązowiałe od słońca ciało. Przez ułamek sekundy, gdy dziewczyna wykonywała nurka w wodzie, by popłynąć do krawędzi basenu, Tomowi wydało się, że to Melody. Dopiero gdy dopłynęła do drabinki, rozpoznał Jasmine. Ona dostrzegła go w chwili, gdy zaczęła się wspinać na stopnie. Znieruchomiała, z zaciśniętymi dłońmi na chromowanej poręczu, utkwiała wzrok w jego twarzy. Czując się, jakby przyłapano go na

podglądaniu, Tom odwrócił się. Trochę mu ulżyło, gdy na poręczy krzesła dostrzegł ręcznik. Szybko sięgnął po niego i podał go dziewczynie, usiłując patrzeć na jej twarz, a nie na resztę ciała. Jasmine pokonała dwa ostatnie stopnie i całkiem wynurzyła się z wody. Mogła już sięgnąć po ręcznik. Owinęła go wokół siebie jak sarong. — Dziękuję — powiedziała chłodno i już ruszyła, by odejść.

— Nie, zaczekaj, Jasmine! — krzyknął. — Proszę!

Z wahaniem odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię.

— Bardzo przepraszam za wczorajszy wieczór. Byłem trochę... roztrzęsiony. Nie powinienem był tego mówić. Naprawdę bardzo mi przykro.

Jej ciemne oczy z uwagą wpatrywały się w jego twarz.

— Bardzo mi przykro — powtórzył ze skrucą.

Wyraz wrogości powoli zniknął z jej twarzy. W oczach, które również złagodniały, pojawił się jakby błysk uśmiechu. — Wybaczam ci — rzekła i podeszła do krzesła. Zanim usiadła, starannie obciągnęła na siebie ręcznik. — Na stoliku jest dzbanek z lemoniadą. Czy byłbyś uprzejmy nalać mi szklanek? Ty też się napij, chyba że masz następne spotkanie z panem Hallerem.

— Nie, on teraz zażywa sjesty. — Kiedy Tom lał lemoniadę do szklanek, kostki lodu z grzechotem obijały się o brzeg dzbanka. Napelniwszy jedną, podał napój Jasmine. Dziewczyna spoglądała na niego badawczo.

— Intryguje mnie coś — rzekła. — Czy ktoś cię wczoraj sprowokował?

Nie był przygotowany na to pytanie. — Sam nie wiem — wzruszył ramionami. — Może atmosfera tego miejsca. Trzeba trochę czasu, by S1? z nim oswoić.

— Ja się z nim oswoiłam bardzo szybko — odparła przyglądając mu się rozbawionym wzrokiem znad krawędzi szklanki. — Myślę, że nie chodzi o miejsce — powiedziała ściągając z głowy biały czepek

93

i potrząsając lśniącymi czarnymi włosami, by się ułożyły. — Wydaje mi się, że chodzi o Melody.

— Tak? Dlaczego tak sądzisz?

Uśmiechnęła się w sposób, który miał dowodzić, że się domyśla. — Wystarczyło tylko popatrzeć, jak ją pożerasz oczami.

Zaczął odczuwać pewien psychiczny dyskomfort. Miał na tyle rozsądku, by nie prosić o wyjaśnienie, lecz nie pytając o nic nie miał również nic do dodania.

— Nie musisz być taki zawstydzony — roześmiała się. — To nie przestępstwo znaleźć się pod urokiem pięknej dziewczyny. Wydaje mi się, że doznałeś szoku — stwierdziła pogodnie, owijając się szczelniej ręcznikiem, jak gdyby nie chciała, by ponownie go prowokować. — Czy mam rację? — Możliwe — odparł siadając na innym niż poprzednie krzesło. — Musisz jednak przyznać, że to naprawdę dosyć niezwykły układ. To znaczy... ty, Melody i Velvet...

— No i Maurice — wtrąciła z przekorą. — Przestań być taki konwencjonalny. Przecież wiesz, że związki monogamiczne nie są czymś uniwersalnym. Arabowie biorą sobie pół tuzina żon...

— To znaczy, że uważasz siebie za żonę Maurice'a? Roześmiała się radośnie. Jej śmiech wydobywał się głęboko

z krtani. — Nie pleć nedorzecznosci — powiedziała. — Maurice ani nie chce, ani nie potrzebuje żony. Jest wspaniałym partnerem — doświadczonym, czarującym, hojnym...

— I lubieżnym — wtrącił sarkastycznie Tom.

Spojrzała na niego rozszereżonymi ze zdumienia oczami. — Czy myślisz, że on się nam narzuca? Pożądanie seksualne to nie jednokierunkowa uliczka, wiesz chyba? A my? Czy nie sądzisz, że dostajemy równie wiele? Maurice jest wspaniałym kochankiem...

— Wszystkich trzech?

Uniosła brwi. — Czy powinnam być zazdrosna? Dlaczego? Przecież on nie jest moją własnością. Również i ja nie jestem własnością Maurice'a. Poza tym, Melody i Velvet są moimi przyjaciółkami. Wolalbyś, bym się rzuciła na nie z pazurami?

Uznając absurdalność takiej sytuacji Tom poczuł się głupio. Jasmine przyglądała mu się z

mieszaniną zdumienia i rozbawienia. — Nie jestem pewna, czy potrafiłabym to wyjaśnić, ale wiem, że Maurice podarował nam... wspaniałe lato. Czar pryśnie, gdy lato dobiegnie końca. Maurice jest bardzo sprytny. Wie o tym i dlatego odsyła nas stąd. — W oczach Jasmine pojawił się wyraz rozmarzenia. — Ale na razie... — westchnęła i obróciła się na krześle, by spojrzeć na niebo.

94

— Na razie?

— Na razie mam wszystko — odpowiedziała leniwie, rozmarzona, a potem pokiwała głową i przeniosła na niego wzrok. — Nauczyłam się tak wiele, że zawsze będę myślała wracać do tego lata. Maurice nauczył mnie więcej niż uczyniłby to tuzin młodych ludzi. I to bez łamania serc, podziękowań czy nieudolności, jaka charakteryzuje niedoświadczonych mężczyzn.

Tom siedział nachmurzony.

Obserwowała go ciemnymi oczami. — Myślę, że jest pan poważnym człowiekiem, panie Lambert. Ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta. — Płacą mi za to, że bym był poważny.

— A w życiu prywatnym? — spytała cicho.

Miał tak niewiele tego „prywatnego życia”. Jego życiem był Bolton. Praca zajmowała mu dwanaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku. Pytanie Jasmine nasunęło mu skojarzenie ze starym przysłowiem o tym, jak to nadmiar pracy pozbawia człowieka wszelkiej radości życia. Podjął próbę ożywienia konwersacji. — Masz rację — uśmiechnął się. — Jestem nudny i konwencjonalny. Ale powiedz mi coś o sobie. Gdzie spotkałaś Stantona?

— Dlaczego o to pytasz?

Pytanie padło tak znienacka, że nie wiedział, co odpowiedzieć. — Ze zwykłej ciekawości — odparł defensywnie.

— Ale przecież to nie ja cię interesuję — napomniała go z udawaną surowością. — Ciebie obchodzi Melody. Każdy, kto cię wczoraj widział, to dostrzegł. Nie jestem tym urażona, ale po co udawać?

— Ja niczego nie udaję.

Z jej oczu przebijało niedowierzanie. Uśmiechając się zagadkowo, podwinęła pod siebie nogi i szczerzej owinęła się ręcznikiem. — Zabawne — rzekła — wszyscy teraz mówią o rozpasaniu w Londynie 1 o rewolucji seksualnej, ale większość mężczyzn nic z tego nie rozumie. Myślą, że chodzi tylko o pigułki antykoncepcyjne i dziewczyny w minispódniczkach, które wskakują im do łóżek. A przecież to nie wyczerpuje nawet połowy zagadnienia.

— Na czym polega ta druga połowa?

— Na tym, że kobiety, podobnie jak dotychczas mężczyźni, zaczęły robić to, na co mają ochotę. Nigdy nie zrozumiesz Melody, jeśli tego nie pojmiesz. Melody jest przedstawicielką nowej generacji, nowej generacji przedsiębiorczych kobiet.

Tom uśmiechnął się szeroko. Zażartował, że trudno przyszłoby mu

95

się dopatrzeć się w Melody kogoś innego niż przedsiębiorcy. Jasmine gwałtownie zaprzeczyła: — Jesteś olśniony jej urodą, ale Melody to więcej niż piękne ciało.

Wiedział o tym. Nawet krótki czas, jaki z nią spędził, wystarczył, by docenił jej inteligencję i siłę woli. Jego pierwsze wrażenia znalazły potwierdzenie w słowach Jasmine. Melody urodziła się w Oslo jako jedyne dziecko rządowego dygnitarza. Rodzinie wiodło się nieźle i Melody nie brakowało niczego. Pokój pełen był lalek, które nieprzerwanie przynosili jej szalejący za nią rodzice, wujkowie i ciotki. Kiedy miała lat osiem, ojciec został oddelegowany do ambasady norweskiej w Paryżu. Rodzice pozwolili jej zabrać z sobą lalki skandynawskie. W Paryżu do zbioru doszły lalki francuskie. Z czasem urozmaiciła kolekcję wymieniając lalki z koleżankami. Z Paryża przenieśli się do Tokio, gdzie Melody dalej powiększała swoje zbiory. Potem jeszcze był Rzym i Madryt. W każdym z tych miast kolekcja rosła. Kiedy przenieśli się do Waszyngtonu, miała tysiąc pięćset lalek. W nowym domu przeznaczono dla tych lalek osobny pokój. Podziwiali lalki goście,

pisali o nich dziennikarze, a pewien bogaty amerykański kolekcjoner zaproponował ich kupno. Melody ukończyła wtedy osiemnaście lat i zainteresowanie lalkami osłabło. Przyjęła ofertę amerykańskiego kolekcjonera i otrzymała w zamian pokaźną sumę. Własnych pieniędzy, nie otrzymanych od rodziców. Mając pieniądze, o jakich nigdy nie marzyła, zainwestowała tę fortunę w malarstwo, ograniczając zakupy do rynku dzieł sztuki. Kiedy w pięć lat później przeniosła się z rodzicami do Londynu, okazało się, że ta specjalizacja była dla niej korzystna. Sprzedała tam zbiór swych obrazów ze znacznym zyskiem.

— Miała wystarczającą ilość pieniędzy, by otworzyć własną galerię — powiedziała Jasmine. — I właśnie zamierzała tak postąpić, gdy poznała Maurice'a.

— Rozumiem — odparł z podziwem Tom. Wczoraj niewłaściwie ocenił sytuację i starał się zapomnieć o Melody.

Jasmine uśmiechnęła się. — Tak więc Melody sama dorobi się fortuny. Nie będzie musiała grać roli drugich skrzypiec u boku mężczyzny.

— Nawet u boku Maurice'a?

— Maurice to zupełnie inna sprawa — zaprotestowała Jasmine. — Już usiłowałam ci wyjaśnić.

Maurice to wyzwanie natury, to nauczyciel, bywa, że i kochanek. Ich przyjaźń przerodzi się w trwałą sympatię, ale to wszystko.

— Mówisz z przekonaniem.

96

— Oczywiście, ja też go kocham w taki sam sposób. Bycie z Maurice'em jest zawsze czymś emocjonującym. Wzbogacił moje życie, ale nie jest jego jedyną treścią.

Tom usiłował się uśmiechnąć. — Wiem, on jest waszą wielką przygodą.

— Aha! — roześmiała się. — Nie doceniłam cię, naprawdę rozumiesz, co mam na myśli.

Ale nie rozumiał, przynajmniej nie całkiem, tylko udawał, że rozumie, by nie wyjść na naiwnego, jednak prawdziwe znaczenie wciąż mu umykało.

Jasmine uśmiechnęła się. — Rozumiesz więc, że nie powinienes już gromić biednej Melody, kiedy ją znowu spotkasz.

— A spotkam ją jeszcze dzisiaj wieczoru?

— Nie tylko dzisiaj wieczoru. Czy nie umówiliście się na randkę w Londynie?

— Powiedziała ci o tym?

— A czemu nie? Czy to sekret?

— No, nie, ale...

— Zmieniłeś zdanie?

— To było jeszcze, zanim... — przerwał, by nie powiedzieć: zanim rozpoznał Melody w jednym z posągów. Zamiast tego oświadczył: — Będę teraz pracował dla Maurice'a...

— A czy to coś zmieni? — Łuki brwi Jasmine uniosły się, w głosie zabrzmiał ton lekkiej nagany.

— Będę bardzo zajęty — próbował się wyplątać. — Mam sporo pracy.

Jasmine podciągnęła ręcznik i wstała z krzesła. — Wybacz, ale niewłaściwie cię zrozumiałam.

Myślałam, że skoro przeprosiłeś mnie, to jeszcze bardziej chciałbyś pogodzić się z Melody. Chyba się pomyliłam.

W końcu pogodził się z Melody, ale nie w taki sposób, o jakim myślała Jasmine. Nie rozmawiał z Melody o dalszych spotkaniach w Londynie. Choć nadal go pociągała, był zdecydowany usunąć ją ze swojego życia. Wypadki mającego nadejść wieczoru jeszcze bardziej ugruntowały w nim to postanowienie.

O siódmej willa znowu zaczęła tętnić życiem. Ze swego pokoju °m słyszał dźwięki otwieranych i zamykanych drzwi oraz plusk wody w łazienkach gości, którzy właśnie wrócili z rejsu „Afrodytą”. ledział na balkonie wertując jakieś papiery i zastanawiał się nad

Zemsta

97

nowymi rozwiązaniami, obok leżała otwarta czerwona teczka. Hałas dobiegający z sąsiednich pokoi

przypomniał mu, że czas się przebrać do kolacji. Wziął tusz, ogolił się, założył świeże ubranie, które mu przygotowano, i właśnie wkładał buty, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

W drzwiach stał Haller, za nim Stanton. Promieniał megawatowym uśmiechem. Haller też się uśmiechał. — Powiedziałem Maurice'owi, że doszliśmy do porozumienia, i uparł się, by tu przyjść...

— Nie potrafię z tym zwlekać — przerwał mu Stanton wchodząc do pokoju. — A więc zostaje pan z nami, panie Lambert?

Tom, zaskoczony, skinął głową. — Tak myślę...

— Wyśmienicie! — Stanton, który trzymał ręce za sobą, wyciągnął je teraz przed siebie. Prawą podał Tomowi, w lewej trzymał butelkę szampana. — Giinther, podaj kieliszki. Musimy to uczcić!

— Haller podszedł do barku, a Stanton zaczął krążyć po pokoju tam i z powrotem. — Ogromnie się cieszę — mówił. — Przejdźmy na ty, dobrze Tom? Twój talent i moje przedsiębiorstwa staną się czymś niezwykłym. Wielką przygodą. Będziesz padał z przepracowania, ale przecież to lubisz, prawda? Zobaczysz, co to za frajda. Właściwie, nie ja tobie, al ty mnie powinieneś płacić!

Tego wieczoru Stanton rozpierał entuzjazm. W Rzymie wszystko poszło wyjątkowo dobrze: — Melody kupiła kilkanaście działek budowlanych, które wkrótce przybiorą poczwórną wartość. Mówi ci, ta dziewczyna ma głowę do interesów.

Spotkali „tę dziewczynę” na podeście schodów. Melody ubrana była w białą suknię bez ramiączek, która podkreślała opalenizną i nieskazitelnie gładką skórę. Dwa przeciwstawne uczucia targnęły Tomem: radość, że znów ją widzi, i postanowienie, by unikać jej w przyszłości.

— Tom będzie prowadził moje interesy — zawołał Stanton, kiedy rozpromieniona Melody wzięła go pod rękę.

Melody spojrzała niepewnie na Toma. Zmusił się do uśmiechu. — Cześć! Słyszałem, że udał wam się pobyt w Rzymie.

Odpowiedziała uśmiechem. — Mieliśmy wspaniały dzień, prawda, Maurice? — Uścisnęła Stantonowi rękę i ponownie spojrzała na Toma: — Cieszę się i życzę wam obu dobrej współpracy — powiedział starannie wymawiając słowa, jakby udzielała im błogosławieństwa. — Jestem pewna, że wam się uda.

Stanton roześmiał się. — Uda? Podbijemy cały świat! Chodźmy, trzeba powiedzieć o tym innym!

U podnóża schodów czekała Jasmine. Stanton podniósł ją do góry w niedźwiedzim uścisku, i okręcił się z nią kilka razy, zanim postawił

98

z powrotem i ucałował. Chodźmy — śmiał się do trzymających go pod rękę dziewcząt. — Muszę coś ogłosić.

Łatwo było zrozumieć, co miała na myśli Jasmine mówiąc, że Stanton jest uosobieniem żywotności. Ten człowiek eksplodował witalnością. Haller miał rację, dziewczynom nie było łatwo dotrzymać mu kroku. Nikt zresztą nie mógł się z nim równać, Tom i Haller też. Nim zdążyli opuścić mauretańskie arkady, Stanton już porwał w objęcia Velvet. Dziewczyna piszczała udając, że protestuje, a on śmiejąc się, niósł ją przez całą szerokość tarasu, strasząc, że zaraz wrzuci ją do wody. Przyłgnęła do niego, szukając jego ust. Zatopił dłonie w jej włosach i stawiając dziewczynę na ziemi, odwzajemnił namiętnie pocałunek.

Tymczasem na tarasie zamarł wszelki ruch. Ci, którzy tańczyli, zatrzymali się w pół kroku i patrzyli na nich, siedzący wyciągnęli szyje. Muzycy przestali grać, a służba skamieniała. Takie wejście musiało wzbudzić ich oczekiwania, a Stanton nie miał zamiaru rozczarować gości.

— Proszę, niech wszyscy usiądą — zawołał przechodząc do wolnego miejsca między stołami. — Mam wam coś do zakomunikowania.

Tom podążył za Hallerem do wolnego stolika. Po chwili usiadła przy nim Melody, tak blisko, że czuł zapach jej perfum i mógł podziwiać długie rzęsy. Służący podał jej kieliszek wina.

Uśmiechnęła się przelotnie do Toma i odwróciła głowę do Stantonowi.

— Cała rzecz ma długą historię — rozpoczął Stanton. — Kiedy jednak mówimy o przyszłości, nie

sposób pominąć przeszłości...

Zapadła cisza, lecz nie od razu — najpierw goście zajmowali miejsca, dopijali drinki, zapalali cygara, szeleściły serwetki i stukały krzesła. Stopniowo jednak wszystko ucichło, jedynymi odgłosami, które tu docierały, było cykanie świerszczy i słaby szum morza dobiegający od strony plaży.

Stanton wykorzystał tę scenerię jak aktor. Ubrany w nieskazitelnie biały smoking, stanął na tle pochodni, mając nad sobą tłusty żółty księżyc. Kiedy przestawał mówić, cisza aż dzwoniła w uszach, potęgując u słuchaczy napięcie. Siedzieli oniemiała, zasłuchani w historię mrocznych dni wojny z Hitlerem.

Tom spodziewał się krótkiego komunikatu o utworzeniu Stanton Industries. Ale z przemówienia wyłonił się najpierw obraz przeszłości. Ciepły i dźwięczny głos Stanton'a aż zaczynał się z emocji, szczególnie gdy wspominał Hansa Pohla, który o mało nie wpadł w ręce gestapo, kiedy przemycił uchodźców przez granicę szwajcarsko-niemiecką.

99

— Wyobraźcie sobie grozę sytuacji — oczy Stanton'a błyszczały. — Hans przyjeżdża do Ravensburga, gdzie na każdym kroku roilo się od gestapowców. Ktoś nas sypnął. W przypadku aresztowania groziły mu tortury i śmierć. Człowiek mniejszego formatu myślałby przede wszystkim o swoim bezpieczeństwie. Hans był spokojny, miał dobre papiery i pozwolenie na podróż. Mógł zostawić tych trzech ludzi własnemu losowi. Jednak Hans cały dzień szukał dla nich kryjówki. W końcu znalazł schronienie w zakładzie kanalizacji i tam kazał im czekać. Dopiero wtedy przekroczył granicę szwajcarską, by nam powiedzieć, co się wydarzyło.

Stanton przerwał, aż spośród słuchaczy wyłowił wzrokiem Yvonne Amiens. — Zabraliśmy ich stamtąd w dwa dni później. Pojechaliśmy po nich razem z twoim ojcem, Yvonne.

Historia ucieczki miała przyprawić słuchaczy o dreszcz emocji, Najbardziej godne uwagi było w niej to, że wszelkie zasługi Stanton przypisał Bouvierowi. Ta opowieść ilustrowała, jak odważnym człowiekiem był Pierre Bouvier, a nie stanowiła powód do chwały Stanton'a.

Tom zastanawiał się, jakiemu celowi służą te wspomnienia. Dlaczego akurat ta historia i dlaczego teraz? Co to ma wspólnego z ogłoszeniem powstania korporacji? Czemu Stanton tak wychwala ojca Yvonne? Bez wątplenia, Yvonne bardzo była z tego dumna, widać to było w jej spojrzeniu. Tom ocenił, że ma około czterdziestki. Jasne włosy i wydatny nos. Od czasu do czasu obrzucała siedzącego obok męża pełnym satysfakcji spojrzeniem, a on odpowiadał jej uśmiechem.

Stanton zwrócił się następnie do Carla Pohla.

— Twój ojciec też pracował pod samym nosem gestapo. Codziennie ryzykował życiem...

Carl Pohl bardzo się różnił od André Amiensa. Francuz miał pewien styl, podczas gdy Pohl wyglądał na człowieka, który nie dba o wygląd. Rozpięty smoking, muszka nieelegancko przekrzywiona. Siedział oparty łokciami o stół, podpierał brodę dłońmi. Blade, krótkowzroczne oczy ukrył za grubymi szklami. Kiedy słuchał, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Nagle Tom zrozumiał. Już wiedział, do czego Stanton zmierza. Odgrzebując sprawy z przeszłości, przypominał Yvonne i Carlowi o swoich długich związkach z ich rodzinami. Oddając cześć ich ojcom podkreślał, że i oni darzyli go szacunkiem. Nie przestając mówić, Stanton podszedł do Edwardsa. Wyszedłszy z kręgu światła, zbliżył się do miejsca, gdzie Desmond siedział wraz z ojcem.

— A ten człowiek — rzekł Stanton kładąc rękę na ramieniu sir

100

Bernarda — nie opuścił mnie, gdy w Anglii odwrócili się ode mnie przyjaciele. Uwierzył we mnie, i mam nadzieję, tego nie żałuje.

Efekt, jaki te słowa wywarły na Edwardsie, był zadziwiający. Choć poprzedniego wieczoru Edwards nastawiony był wojowniczo, to wspomnienie w widoczny sposób poruszyło go teraz. Oczy mu załśniły. Odkasznął, by pokonać ściskające mu gardło wzruszenie, i pochwycił dłoń Stanton'a w geście odwzajemnionej sympatii.

Jeśli sir Edwards był wzruszony, to w żaden sposób nie można tego było powiedzieć o jego synu. Desmond Edwards siedział z kamienną twarzą i wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Kiedy i jemu Stanton położył rękę na ramieniu, wstrząsnął się i z nie ukrywaną wrogością spojrzął na Toma, co sprawiło, że i on zadrżał.

— ...ale czas płynie naprzód — ciągnął Stanton powracając w krąg światła pochodni — i młodzi przejmują pałeczkę.

Tom przypomniał sobie, że przecież i Stanton ma następców, swoje dzieci. Wydawało się dziwne, że Edwards i Pohl poszli w ślady ojców, podczas gdy syn Stantona najwidoczniej nie ma na to ochoty.

— Połączmy się — mówił Stanton — żeby się stać zjednoczoną siłą nie tylko w Szwajcarii i Francji, Wielkiej Brytanii i Niemczech, ale i poza Europą, na całym świecie...

Obserwując twarze zgromadzonych, Tom zastanawiał się, kto będzie jego przyjacielem, a kto wrogiem. Amiens patrzył na niego z wystudiowaną obojętnością, Desmond Edwards był naburmuszony, a Pohl spoglądał w ciemne niebo, jak gdyby chciał, by Stanton już skończył. Po chwili i Tom zapragnął tego samego...

— Tom Lambert — ciągnął Stanton — jest człowiekiem o wyjątkowych zdolnościach i niebywalej pracowitości...

Tom spostrzegł, że wszystkie oczy kierują się na niego.

— ...obejmie stanowisko przewodniczącego zarządu.

„Zbyt późno, by się wycofać” — pomyślał Tom. Tak naprawdę, nie chciał się wycofywać, zadania i perspektywy same się nasuwały ze sprawozdań bilansowych. Wyzwanie było neodparte. Czekwały go jednak kłopoty.

— ...wiem, że wszyscy udzielicie mu poparcia...

Teraz już nie ulegało wątpliwości, że przemówienie Stantona było zręcznie skomponowanym wezwaniem do jedności, odwołującym się do dawno minionych dni, które miały przypomnieć wielkoduszność Maurice'a. Tom zastanawiał się, czy to wystarczy. Kiedy Stanton kończył jakimś zwrotem retorycznym, weszła służba niosąc szampana.

— A teraz toast! — zawołał Maurice biorąc z tacy kieliszek. — Za Stanton Industries.

101

W odpowiedzi wszyscy wstali, odsuwając głośno krzesła i podnosząc kieliszki.

— Za Stanton Industries! — zawołał wzgardliwie Amiens.

— Za Stanton Industries! — wymamrotał z nie ukrywaną niechęcią Desmond Edwards.

— Stanton Industries! — warknął Pohl spoglądając wyzywająco na Toma.

Tom poczuł, że Melody chwyta go za ramię. Odwrócił się, a ona przysunawszy się bliżej, musnęła ustami jego policzek. — Za twoją wielką przygodę — powiedziała cicho, patrząc na niego roziskrzonymi z emocji, zielonymi oczyma.

1978

To musiało być dla ciebie niezwykle przeżycie — powiedział w zadumie Constantin. — Wiedziałeś od samego początku, że masz do czynienia z wrogami. — Tak — przyznał beznamiętnie Tom — ten wieczór rzeczywiście wywarł na mnie spore wrażenie. — Uśmiechnął się i poczuł, że ustępuje napięcie mięśni twarzy. Przypomnienie tamtych dawnych dni bardziej go poruszyło niż przypuszczał.

— Consiglieri? Tak, zdaje się, nazwał cię Roddy — ciągnął Constantin. — Edwards, Pohl i Amiens też pewnie traktowali cię nie mniej życzliwie?

— Na pewno nie wpadli w zachwyt na mój widok — przyznał Tom. — Ale to scalenie przedsiębiorstw wydawało się tak korzystne, iż sądziłem, że mnie zaakceptują...

— Niepoprawny z ciebie optymistą.

— Możliwe — uśmiechnął się ponuro Tom. — Ale na usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że

otworzyła się dla mnie olbrzymia szansa, okazja do wypłynięcia. Pamiętaj, że byłem niemal bez grosza. Dopiero co zwolniłem się z Boltona, a tu nagle taka oferta...

— Rozumiem — pokiwał głową Constantin. Jego kieliszek był już Pusty, zaczął gramolić się z krzesła, by go napełnić.

Ja ci przyniosę. — Tom wstał, wziął od Constantina kieliszek 'Podszedł do stolika, gdzie stało wino. Spojrzawszy na taras, zdumiał się, że zapadła już noc. Pochodni od dawna nie używano. W basenie zapaliły się podwodne światła, a na balustradach zabłyśły elektryczne latarnie.

105

— A co z Melody? — spytał Constantin. — Przyjaźń nadal kwitła? Tom roześmiał się. — Opuściła wyspę w tydzień później. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że wyjedzie tak szybko. W ciągu miesiąca otworzyła galerię w Paryżu i tak rozpoczęła swą „wielką przygodę”, jak to nazywała.

— A co na to Maurice?

Tom przerwał nalewać brandy. — Nigdy go o to nie pytałem. Nie było okazji. Może dlatego, że nie widziałem go przez kilka miesięcy... — Zamyślił się, słowa zamarły mu na ustach, patrzył w przestrzeń. Po chwili dokończył nalewać brandy i podał Constantinowi kieliszek. — Prawie nie sypiałem przez kilka następnych miesięcy — powiedział siadając na krzesło. — Alec i ja... — przerwał. — Gdzie, do diabła, podziewa się Alec? Powinien tu być.

— Zaraz przyjdzie. Nie przerywaj sobie. Więc Maurice ogłosił fuzję...

— To wszystko był blef — powiedział Tom.

Constantin popatrzył na niego zdumiony. — Jak to? Jak to blef?

— Byłby się wycofał, gdyby tamci się nie ugięli.

— Niemożliwe — Constantin aż opadł na oparcie krzesła. — Przecież dopiero co mówiłeś...

— Blefował.

— Maurice? Ale przecież mianował cię...

— To, co dał jedną ręką, zaraz zabrał drugą. — Twarz Toma pociemniała. — Następnego dnia potwornie się pokłóciliśmy...

1969

Nikt nie przypuszczał, że zanoszą się na awanturę. Spotkali się wcześniej rano następnego dnia. Tak wcześniej, że Tom przypuszczał, iż się przesłyszał. No, bo czy to możliwe, żeby Stanton wyznaczył spotkanie na godzinę siódmą rano? Tom ogolił się, ubrał i zszedł na dół, będąc niemal pewny, że źle zrozumiał. Ale Stanton już był na miejscu — ubrany w żółte bawełniane spodnie, białą koszulę i biały sweter. Popijał kawę i palił papierosa. — Pierwsza filiżanka — uśmiechnął się — smakuje jak nektar. Łyknij trochę i zabieramy się stąd.

— Zabieramy się stąd?...

— Na wyżynę, gdzie nikt nam nie przeszkodzi dumać nad treścią żywota — zażartował.

Oprócz nich nie było żywego ducha. Opuścili taras. Stanton prowadził ścieżką wśród sosen. Parł naprzód jak sportowiec szybkimi, sprężystymi krokami, sprawiał wrażenie, że mógłby nawet biec. Tom odgadł, dokąd idą. Na polanę nad urwiskiem, gdzie stała ławka obok lunety.

— Oto miejsce, gdzie można spokojnie myśleć — oznajmił Stanton, kiedy dotarli do szczytu. —

Gdy tylko nam się uda, będziemy tu mieć kwaterę z dala od zgiełku tłumów, tylko ty i ja kłóć się i będziemy 1 dumać nad treścią żywota.

. Już po raz drugi użył tego określenia. I choć ton jego głosu był Zartobliwy, to jednak ciemne oczy Stanton'a jarzyły się blaskiem, który sugerował powagę. Odczuwał wielką potrzebę rozmowy, szczególnie

107

o przeszłości, jak gdyby naświetlenie dawnych spraw miało pomóc w objaśnieniu teraźniejszości.

Tom też gotów był rozmawiać. Chciał bliżej poznać Stantona. Po latach przypomniał sobie słowa Hallera: „Większość ludzi zachowuje się podobnie, kiedy przyjeżdżają na Kariakos. Najpierw dostrzegają tylko dziewczyny i te rzeźby. Późnym czasem widzą już tylko Maurice'a”. Prawdziwość słów Hallera zaczynała się potwierdzać tego ranka. Poprzedniego wieczoru Tom miał okazję podziwiać Stantona jako mówcę, który przykuwa uwagę słuchaczy siłą osobowości. Wiedział, że jest to człowiek obdarzony charyzmą, doświadczył na sobie, jak jego charyzma działa. Zaobserwował, że swym niemal magicznym urokiem Stanton budzi w ludziach ciepłe uczucia. Tego ranka dominowała w nim skłonność do refleksji. Mówił o swoim życiu z taką otwartością, że Tom w końcu zaczął się niecierpliwić, bo nie wiedział, do czego tamten zmierza. Trzeba przyznać, że upłynęło sporo czasu, zanim Stanton przeszedł do sedna sprawy. Siedzieli na ławce obok lunety i rozmawiając patrzyli na morze. Niebo o tak wczesnej porze było perlistobiałe, a morze bardziej szpizowe niż błękitne. Nad ich głowami krążyły mewy; co chwilę któraś z nich spadała z krzykiem na powierzchnię wody. Sosny rzucały długie cienie, powietrze było świeże i chłodne, pełne zapachu morza, które biło o skały u podnóża urwiska. Stanton mówił o wojnie i o swojej przyjaźni z Hansem Pohlem i Pierre'em Bouvierem. — Połączyła nas walka z hitlerowcami, z faszystami, a nie z Niemcami — wyjaśnił. — To, co działo się w Niemczech, mogło się równie dobrze wydarzyć w każdym innym kraju — mówił. — Musiałem podjąć z tym walkę. Zawsze będę to zwalczać. Palili papierosy z paczki Toma, dziwiąc się, że obydwaj palą ten sam gatunek. — Czy wojna i te wszystkie przeżycia zmieniły coś w tobie? — spytał Tom. Stanton zastanawiał się chwilę. — Myślę, że tak. Do wybuchu wojny niczego nie traktowałem poważnie. — Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta. — Mówiono, że moim sposobem na życie jest rozpusta i skandale. Chyba było w tym sporo prawdy. Ale potem wróciłem do Europy i zobaczyłem, co szykują nam tu politycy. — Wzruszył ramionami. — To wystarczyło, by każdego otrzeźwić. — Po wojnie wytyczyłem sobie pewne cele na przyszłość — ciągnął. — Nic szczególnie głębokiego — roześmiał się. — Postanów'łem, że zajmę się kultywowaniem piękna i roztoczę opiekę n przyjaciółmi. To wszystko. Wiedziałem, że to mi wystarczy do szczęść”
Przez kilka powojennych lat Stanton mieszkał nadal w Szwajca

108

„łownie w Genewie: — Mogłem znów podróżować, jeździłem trochę w jnteresach, trochę dla przyjemności.

Tom zamyślił się nad charakterem tych jego przyjemności. Wspomnienie słów Hallera nasunęło mu skojarzenia, które mogły się uzewnętrznić na twarzy, ponieważ Stanton kontynuował z ironicznym uśmiechem: — Byłem na tyle głupi, że podczas wojny się ożeniłem, patrząc na to z perspektywy, była to dla mnie rzecz zupełnie nieodpowiednia, wręcz bezsensowna. Nie jestem człowiekiem, który się nadaje do stanu małżeńskiego. Nigdy nim zresztą nie byłem i nie będę. — Ognik nagłej refleksji zapalił się w jego oczach. — Tylko nie zrozum mnie opacznie. Nie jestem przeciwny instytucji małżeństwa. Wielu ludziom to odpowiada. Jesteś młodym człowiekiem i przypuszczam, że kiedyś spróbujesz. Mnie nie przekonuje pomysł, by wiązać ludzi parami. To zabija indywidualność, uważam to za odrażające.

Niewielu ludzi, pomyślał Tom, ma tak indywidualistyczne podejście do życia, jak Maurice Stanton. — Rozwód to nie była miła sprawa — przyznał Stanton. — Szwajcarzy są strasznie konformistyczni w tych sprawach. Teraz, oczywiście, jest tam pod tym względem lepiej, ale zaraz po wojnie... — Pokręcił z obrzydzeniem głową. — Potraktowali mnie, jakbym kogoś zamordował. Prawda była taka, że Louise poczuła się upokorzona i postanowiła się zemścić. Udało się jej. Nie chodzi o pieniądze, dałem jej fortunę. Ale pozbawiła mnie możliwości widywania dzieci. Tom był zaskoczony. Sądząc z trybu życia, jaki prowadził Stanton, nie należał on do ludzi, dla których życie rodzinne przedstawia większą wartość.

— Irytowało mnie, że potraktowali mnie jak rozpustnika. Zabroniono mi widywać się z dziećmi, dopóki nie ukończą osiemnastu lat. — Stanton zacisnęła dłonie w pięści. — Na miłość boską! — wykrzyknął. — Przecież to są lata, w których kształtuje się osobowość człowieka, a mnie nie było

wolno widywać się z nimi!

Co roku posyłał dzieciom prezenty na święta Bożego Narodzenia i na urodziny, z niecierpliwością czekał dnia, kiedy będzie je mógł zobaczyć. — To naprawdę głupie oddzielanie mnie od dzieci — Przyznał — przecież w chwili rozvodu byli całkiem małe.

Na osiemnaste urodziny posłał córce brylantowy naszyjnik i zaproszenie do odwiedzenia Kariakos. — Zwróciła go z adnotacją, że nie chce mnie więcej widzieć, jestem dla niej potworem — powiedział z widocznym smutkiem. — O Louise ją przeciw mnie nastawiła, nasączyła jadem. Próbowałem jeszcze kilkakrotnie nawiązać z córką kontakt, ale bezskutecznie. —

109

Zamilkł ze wzrokiem utkwionym w morze, aż w końcu twarz mu się rozjaśniła. — Udało mi się jednak, całkiem przypadkowo, zobaczyć ją w tym roku w jednym z londyńskich teatrów. Była tam z matką i przyjaciółmi. Piękna dziewczyna. Ma teraz dwadzieścia pięć lat. Wielki Boże! dwadzieścia pięć...

Siedział zatopiony we wspomnieniach, a uśmiech powoli zniknął mu z twarzy. — Pracuje dla Czerwonego Krzyża. — W jego głosie pojawił się ton lekkiego rozbawienia. — Musisz wiedzieć, że w Genewie takie zajęcie jest w dobrym tonie. To szwajcarska tradycja. Czerwony Krzyż i zegar z kukułką. Słyszałem jednak, że moja córka traktuje tę pracę całkiem poważnie.

— Ale widzisz syna.

— Roddy'ego? Tak — zaśmiał się Stanton. — Roddy to zupełnie inny przypadek. Zawsze był buntownikiem, ciągle sprawiał kłopoty, wyrzucano go ze szkół i temu podobne sprawy. Louise dostawała białej gorączki usiłując nałożyć mu cugle. Miało z nim babsko za swoje. Roddy był tu już w tydzień po ukończeniu osiemnastki.

— Dużo czasu spędza z tobą?

— Raz jest, raz go nie ma — Stanton uniósł zagadkowo brwi. — Istnieją osoby, które twierdzą, że Roddy jest geniuszem. On i Hugo. Są nierozłączni. Poznali się na uniwersytecie w jakimś kółku dramaturgicznym. Teraz zajmują się filmem. Coś tam reżyserują, coś produkują. Jeden z paryskich krytyków jest zdania, że staną się największymi twórcami filmowymi, jakich świat widział. Mam nadzieję, że się nie myli. — Stanton roześmiał się. — Widziałem ich kilka rzeczy. Niezbyt zrozumiałem, o co w nich chodzi. Nie dopatrzyłem się żadnego konkretnego wątku. No, ale jeśli mają ochotę tym się zajmować, to życzę im powodzenia.

Tom odczuł fałszywą nutę w głosie Stanton'a. Zabrzmiała w tych słowach nie duma, lecz smutek, rozczarowanie. Może naszła go refleksja, co wyrosłoby z Roddy'ego, gdyby wcześniej popracował nad jego charakterem. Dalsza opowieść Stanton'a jeszcze spotęgowała to wrażenie. — Yvonne w zasadzie wychowywała się tutaj, na wyspie. Zawsze tu przyjeżdżała na wakacje. Desmond i Carl również. Są dla mnie jak rodzina. Można by rzec: rodzina, którą otrzymałem w spuś-ciznie po Hansie i Pierrze. A biedny stary Edwards już ledwie zipie. Ma tylko jedno życzenie: by odchodząc z tego świata mieć pewność, że Desmond jest dobrze ustawiony. — Twarz Stanton'a pociemniała. — Mam nadzieję, że to rozumiesz?

Tom skinął głową.

— Jestem to winien Bernardowi — dodał cicho Stanton — tak samo, jak winien jestem to Hansowi i Pierre'owi.

110

W dalszym ciągu Tom nie rozumiał, do czego zmierza ich rozmowa.

Stanton bawił się sosnową szyszką, którą podniósł z ziemi, leniwie przekładał ją z ręki do ręki. W pewnej chwili spojrzął Tomowi prosto w oczy. — Czasami nienawidzę tego scalania — oświadczył. — Nie zrozum mnie źle. Oczywiście, wiem, że jest w tym sens. Giinther od dawna jest tego zdania i zgadzam się z nim, ale... — Stanton pokręcił głową — łatwiej było żyć, kiedy świat był mniejszy. Wtedy można było składać obietnice. Teraz, gdy wszystko ma inną skalę, decyzja o jakimś szczególe wpływa natychmiast na całość rzeczy. Kiedy myślę, jak było dawniej... — westchnął i zamilkł na chwilę, a potem bardzo cicho dodał: — To wczorajsze przedstawienie to był blef.

Tom nie mógł zrozumieć. — Blef? Jak to blef?

Stanton patrzył na morze, unikając wzroku Toma. — Chciałem, by uwierzyli, że ta fuzja to coś nieodwołalnego... Że ich spory stały się bezprzedmiotowe...

— Byłem pewny, że to coś nieodwołalnego — zdumienie Toma przerodziło się w popłoch.

— Musimy ich do tego przekonać — rzekł Stanton z determinacją. — Lecz jeśli sytuacja stanie się napięta, nie sądzę, że potrafię ich do tego zmusić. Sumienie mi na to nie pozwoli. Zbyt wiele zawdzięczam ich ojcom...

— Jak to, do diabła! Sądziłem, że zawarliśmy umowę. Spędziłem z Hallerem całe popołudnie...

— Tak, wiem od Gunthera. Znam twój kontrakt i całą resztę...

— Co więc mi proponujesz?

Stanton zawahał się. — Gdyby się wczoraj sprzeciwili, pewnie bym się wycofał. Sam nie wiem, jak bym to rozegrał. — Cień nadziei pojawił się w jego wzroku. — Ale chyba mi się udało, jak myślisz?

Przyglądając się Stantonowi, Tom usiłował zapanować nad nerwami. I nad rozczarowaniem.

Jeszcze raz przebiegał w myślach warunki umowy, zastanawiając się, czy w ogóle istnieje jeszcze jakaś umowa. Wczoraj wieczorem wyglądało na to, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. —

Zgodnie z tym, co ustaliłem wczoraj z Hallerem — rzekł — powinienem doprowadzić do fuzji nie wyrzucając nikogo z całego bractwa.

— Zgadza się.

— A teraz słyszę, że jeśli im się to nie spodoba, mam zbierać uianatki i koniec zabawy.

Oskarżenie ubodło Stantona, na policzkach wystąpiły mu rumieńce- ?— To nie fair — odparł. —

Możesz mnie najwyżej oskarżyć, że staram się przyrządzić omlet nie rozbijając jaj. Ja dążę do scalenia,

111

lecz mam związane ręce zobowiązaniami wobec starszego Hansa Pohla i Pierre'a Bouviera.

— A co z zobowiązaniem wobec mnie? — Tom zerwał się na nogi. — Na litość boską! Wczoraj wieczorem zawarliśmy umowę.

— I ta umowa nadal obowiązuje, ale pozwól, że coś wyjaśnię. Później Tom setki razy wspominał tę rozmowę i za każdym razem

nie mógł wyjść z podziwu nad darem przekonywania, jaki posiadał Stanton. Tom był wściekły i gorzko rozczarowany. Już od pierwszej chwili wciągnął go ten projekt: Pohl plus Bouvier plus Excel plus Bolton. Teraz zabierano mu pasztet sprzed nosa. A jednak Stantonowi udało się wyjść z twarzą. I to było w tym wszystkim najbardziej zdumiewające. Można by zrozumieć jego punkt widzenia. Starał się być człowiekiem uczciwym. Myśląc o przyszłości chciał się też wywiązać z dawnych przyrzeczeń. A zmiany były nieuniknione.

— Ale ja naprawdę mam zobowiązania wobec Yvonne i André, Carla i Desmonda. I chciałbym, żeby oni wyrazili zgodę na fuzję...

Tom gwałtownie odparł: — Wiedziałem, że to nie będzie łatwe. Mówiłem Hallerowi, że żąda rzeczy niemożliwych. A teraz ty domagasz się cudu. Oby to wszystko nagły szlag trafił! Nie zgadzam się! Do diabła, nic z tego!

Stanton nalegał: — Nie wzywałbym cię tutaj, gdybym to sam potrafił przeprowadzić, ale nie potrafię. Przyznaję, że nie potrafię. I dlatego wybrałem ciebie...

— Mam być za to wdzięczny?

Ciepły uśmiech powrócił na twarz Stantona. — Wiesz — powiedział — jest takie greckie słowo: polymichanos. Trudno je przetłumaczyć. Zaradny. Pomysłowy. Ktoś, kto zawsze znajduje sposób na wyjście z impasu. To właśnie ty, Tom, jesteś taki. To określenie podsumowuje twoje możliwości.

Wpakowałem się w niezłą kabałę. Wiem o tym. Ale w głębi duszy jestem przekonany, Bóg jeden wie dlaczego, że potrafisz ich namówić. Że ci się to uda. I że będziesz prowadził Stanton Industries do końca życia. Przyrzekam ci, że tak się stanie...

— Przyrzekasz!... Wczoraj wieczorem też przyrzekłeś!

— Ja się nie wycofuję. Chciałbym jednak zwrócić twoją uwagę na pewne szczegóły umowy...

— Szczegóły!

— A może coś więcej.

I rzeczywiście, był tam pewien szczegół. Dodatkowa premia. Dwieście tysięcy funtów, jeśli uda się doprowadzić do fuzji za zgodą wszystkich stron. Dwieście tysięcy funtów!

112

Tom miał niecałe trzy tysiące funtów odłożonych w banku, od czterech lat ten sam samochód i nie spłacone mieszkanie. Porzucenie pracy u Boltona było dość kosztowne — nie dostał odprawy. Po prostu przestali mu wypłacać pensję. A tymczasem napływały nie spłacone rachunki.

— Będą cię zwalczać wszelkimi sposobami — stwierdził bez osłonek Alec. — Nigdy nie uda ci się z tym ruszyć.

— Ale Stanton naprawdę chce doprowadzić do fuzji. Mam jego pełne poparcie — zaprotestował Tom.

Był już poranek dnia następnego. Znajdowali się w mieszkaniu Toma. Tom chciał spotkać się z Alekiem poprzedniego wieczoru, ale kiedy wrócił do Londynu, było już po dziesiątej, więc chwycił za słuchawkę i w długiej telefonicznej rozmowie przedstawił Alekowi nagie fakty. Teraz, kiedy już Alec znał niewiarygodny przebieg wydarzeń ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin, napotkał ze strony przyjaciela niespodziewany opór. Istniała między nimi niepisana umowa, że Alec zawsze szedł tam, gdzie Tom. Lecz tym razem Alec miał wątpliwości.

— Podsumujmy więc — powiedział Alec. — Plan polega na tym, że sprzedajemy wszystko, oprócz Pohla, Bouviera, Excela i Boltona, a potem te firmy łączymy w nowe przedsiębiorstwo o nazwie Stanton Industries. Będzie to jeden z największych potentatów w branży sprzętu biurowego na świecie.

— Tak, właśnie — potwierdził Tom. — Nic dodać, nic ująć. Alec spojrzał chmurnie na Toma.

Przyjaciel Toma nie wywierał na

osobach postronnych szczególnego wrażenia, kiedy widzieli go po raz pierwszy, ale też Alekowi nie zależało, by na kimkolwiek sprawiać dobre wrażenie. Zwykł mawiać: „Wywieranie dobrego wrażenia należy do Toma, moim zadaniem jest dbać o zysk”. Niektórzy twierdzili, że w chwili, gdy Tom wpadał na nowy pomysł, Alec miał już gotowe Wyliczenie kosztów przedsięwzięcia. Mając prawie tyle wzrostu, co Tom, był od niego nieco drobniejszy. Jego niesforne jasne włosy nadawały mu wygląd młodego profesora. Najatrakcyjniejsze w jego twarzy były oczy, z których przebijała inteligencja: duże, czarne, szeroko rozstawione. Po przejęciu firmy przez Excela i rezygnacji Toma, Alec wraz z drugim człowiekiem o nazwisku Sedgemore, Przysłanym od Excela, wspólnie kierowali Boltonem.

Alec pokiwał głową. — Jeśli ci faceci, którzy prowadzą tamte hrrny, nie zgodzą się, to Stanton się wycofa. Czy tak?

Zemsta

113

Nabrawszy powietrza w płuca, Tom powiedział mu o zobowiązaniach, jakie Stanton podjął wobec starego Pierre'a Bouviera i Hansa Pohla.

— W porządku — Alec uniósł do góry dłoń. — To wiem, ale nadal moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi: co zrobi Stanton, gdy tamci się nie zgodzą?

— Na Kariakos się nie sprzeciwili...

— Ale Stanton blefował.

— Oni o tym jednak nie wiedzą. Postąpił tak, by maksymalnie ułatwić mi start.

— Ale walka dopiero się zaczyna — nie ustępował Alec. — Gdy tylko zasiądziesz z nimi przy jednym stole, storpedują każdy twój pomysł.

— Jeśli nie przekonam ich o korzyściach...

— Jakich korzyściach? Teraz każdy kieruje swoją firmą, a w korporacji będą tylko trybami wielkiej maszyny.

— Ale wyobraź sobie, co to będzie za potęga! Pohl plus Bouvier plus...

— Oni nie dopuszczają do tego. Storpedują każdy twój ruch. Przez chwilę siedzieli bez słowa, wpatrując się w siebie: Tom

z nadzieją, że przekona Aleka, tamten zaś z gotowością do podważenia każdego słowa Toma. W końcu Alec wzruszył ramionami: — W porządku, załóżmy, że ci się uda.

— Staniemy się wówczas bogaci — uśmiechnął się szeroko Tom. Owo „my” było jeszcze jednym ustępstwem ze strony Stanton.

Tom nalegał, by zaraz po powrocie do Londynu mógł zwerbować Aleka do współpracy. Alec jako asystent Toma otrzymałby również premię, jeśli fuzja doszłaby do skutku. Na konto Aleka miało wpłynąć pięćdziesiąt tysięcy funtów.

— Powiadam: mielibyśmy większe szanse rozbijając bank w Monte Carlo — prychnął gniewnie Alec. — Iz tego powodu chcesz się w to pakować? Daj spokój, Tom! Bądźże wreszcie dorosły. Zachowujesz się jak opętany chęcią zysku poszukiwacz złota. Pomyśl o swojej reputacji! Kiedy cię nie było, dzwonił tu już Erie Marcus. Chce, byś pokierował oddziałem europejskim jego firmy. Wierz mi, nadejdą jeszcze inne oferty pracy. Cieszysz się obecnie fantastyczną opinią, ale gdy weźmiesz się za Stanton Industries i sprawa nie wypali, twoje akcje spadną do zera. — Alec z niechęcią pokręcił głową.

Tom przygryzł wargę. Przyjemnie było słyszeć, że dostał też inną ofertę pracy, to dobrze wpływa na samopoczucie... Ale nic się nie mogło równać pokusie połączenia Pohla z Bouvierem, Excela z Boltonem...

114

— Zналиśmy już takich, co szybowali do słońca — zawołał Alec. — Lecz im się skrzydła stopiły. Pamiętasz Sammy'ego Lee? Harry'ego Bradforda? Pięć lat temu byli cudownymi chłopcami. Teraz nie mogą dostać pracy.

— Ale nasza sprawa jest niezwykła — zaprotestował Tom. — Jeśli tylko uda nam się wystartować...

Alec jęknął. — No, dobrze — zgodził się. — Załóżmy, że uda się ich przekonać. Kto będzie w zarządzie Stanton Industries?

— Stanton zostanie prezesem. Ja przewodniczącym kolegium dyrektorów. Oprócz mnie zasiadają jeszcze Pohl, Amiens i Desmond Edwards. Aha, jeszcze Haller, ale jako dyrektor bez teki.

— A co z sir Bernardem?

— To chory człowiek, Alec. Wątpię, czy jeszcze długo pożyje. Zgodził się przejść na emeryturę.

— No, dobrze. Czyli mamy sześciu dyrektorów. Zakładam, że Stanton nie będzie brał aktywnego udziału w pracach zarządu.

— Nie. Będzie tylko przewodniczył obradom, to wszystko.

— Więc dyrektorem rzeczywistym będziesz ty, Pohl, Amiens i Edwards.

Tom skinął twierdząco.

Alec ściągnął usta. — To nie jest kolegium dyrektorów. To tłum, który cię zlinčuje. Jeśli nawet Stanton i Haller będą głosowali za tobą, to i tak stosunek głosów wyniesie trzy do trzech. Głos Stanton powinien być rozstrzygający. A jeśli Stanton zechce głosować przeciw tobie? — Alec przeciągnął palcem po gardle.

— Zaryzykujmy, Alec.

— Po co? Nie masz żadnych szans! Stanton i Haller to szczwane lisy. Stanton, gdyby chciał, mógłby to sam przeprowadzić. Ale tego nie wykonał. Dlaczego? Bo chce mieć czyste ręce. Tom nie skomentował tej uwagi. Wstał i podszedł do okna. W myślach ponownie przebiegł wydarzenia ostatnich trzech dni. Tak wiele się zdarzyło i to w takim tempie. Czyżby go podpuszczali? Dopuścił do tego, by emocje, słońce, wino i Melody wpłynęły na jego decyzję? Z rękoma w kieszeniach słuchał Aleka, który we właściwy sobie rozsądny sposób analizował rzecz całą, odmalowując ją w możliwie najczarniejszych barwach.

?— Nabrali cię — stwierdził Alec. — Zależy im na scaleniu, ale nie Potrafią się dogadać, kto będzie kierować firmą. Co więc robią? prowadzają nikomu nie znanego faceta i stawiają przed nim

niewykonalne zadanie. Pohl, Amiens i Edwards storpedują każdy twój krok. co dalej? Po trzech, czterech spotkaniach sytuacja będzie patowa.

115

Potem dojdzie do poważniejszych spięć, aż w końcu Pohl albo ktoś inny powie: „Jesteśmy zdania, że pomysły pana Lamberta są do niczego. Mamy inną propozycję, sądzimy, że należy przyjąć takie to a takie rozwiązanie”. Jeśli któryś z nich z tym wystąpi, to już po tobie. Stanton albo Haller odpowie wtedy: „To niezły plan, powinniśmy go przyjąć, a ty, Pohl, powinieneś teraz zostać przewodniczącym rady dyrektorów”. Potem zwróci się do ciebie: „Dziękujemy panu, panie Lambert. Nie jest pan nam już potrzebny”.

Tom patrzył w milczeniu na ulicę za oknem. Padało. Jakaś dziewczynka w czerwonym płaszczu zgrabnie przeskakiwała kałuże.

— Nie masz żadnych szans na zwycięstwo — stwierdził bez ogródek Alec.

Tomowi przyszły na myśl słowa Hallera: „W takim przypadku, panie Lambert, będzie to czysta loteria”. Starając się nie myśleć o Hallerze i skoncentrować na argumentach, powiedział: — Stanton jednak będzie musiał wypłacić nam premię.

— Niekoniecznie. Może się zdarzyć, że te wasze spotkania będą się ciągnęły w nieskończoność, nie przynosząc żadnego efektu. Wyłoni się wreszcie jakaś formuła możliwa do przyjęcia przez pozostałych, ale dopiero, gdy nas tam nie będzie. Tak więc odejdziemy z placu boju, zanim jeszcze dojdzie do scalenia. Rezultat? Stanton dostanie, co chciał, a nam się każą wypchać. Niezłe, co? Toma ogarnęły wątpliwości, choć starał się je przełamać. „Nie, Stanton tak nie postąpi... to zbyt poważna sprawa”. Głośno powiedział: — Może jednak niewłaściwie oceniasz Pohla i innych. Może to jakoś przeboleją. Teraz z pewnością są wściekli, bo pominięto ich kandydatury na najważniejsze stanowisko. Ja też na ich miejscu byłbym wkurzony...

— Wkurzony? Ty byś eksplodował! Wygarnąłbyś Stantonowi, że z niego głupi kutas i dałbyś mu po mordzie, jak Timowi Brierleyowi.

Uśmiechając się smętnie Tom odwrócił się do okna.

— Nikt z nich nie złożył rezygnacji — wskazał jeszcze jedną stronę sprawy Alec. — Czekają, co teraz nastąpi. Sami drżą z niepewności, ale idę z tobą o zakład, że w taki czy inny sposób cię wykończą.

— A ty na kogo stawiasz?

Alec sięgnął po papierosa. Zapaliwszy, zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu rzekł: — Biorąc każdego z osobna, nikt z nich tobie nie dorównuje. Postawiłbym na ciebie, oczywiście. Ale Stanton dał im prawo weta...

— Tylko że oni o tym nie wiedzą. Kiedy tam siedzieli, Stanton powiedział, że teraz ja rządę. Dopiero na osobności wyznał mi...

116

— To ważne. Co ci powiedział na osobności?

W południe wyszli z domu, by się przewietrzyć i zjeść lunch w pobliskiej restauracji. Później wrócili do mieszkania Toma. — Zgoda — przyznał Tom. — Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy z góry przegrani, ale przypominasz sobie, jak było z Boltonem? Mówili, że z nami już koniec.

— W Boltonie miałeś wpływy w zarządzie.

— No i co z tego? Inna gra, inne reguły. Zważ na różnicę w stawkach.

Ta myśl była czymś w rodzaju obsesji: Pohl plus Bouvier plus Excel plus Bolton. Właściwie zarządzana, nowa firma miała szansę stać się gigantem. Alec, choć stawiał opór, też był pod wrażeniem. Spierał się z Tomem dla zasady. Kłócili się o każdy drobiazg, roztrząsając gruntownie możliwe zagrożenia. A zagrożeń było mnóstwo. — Jeśli ci faceci się nienawidzą — powiedział Alec — to jak ich nakłonisz, by z sobą współpracowali? Na pierwszym posiedzeniu wezmą się za łby.

— Więc nie będzie posiedzeń — wzruszył ramionami Tom. — To zresztą ty mi podsunąłeś: biorąc każdego z osobna...

— Co przez to zyskasz?

Tom zmarszczył brwi. — Tego jeszcze nie wiem. Muszę ich najpierw bliżej poznać. Znaleźć ich słabe punkty. W tak dużym przedsiębiorstwie znajdują się znaczące i intratne stanowiska. Jeśli okażą się dobrzy, to mogliby...

— Z pewnością nie zadowolili ich rola trybów w tym mechanizmie. Dyskusja przeciągnęła się do popołudnia. Powietrze w mieszkaniu aż zgęstniało od dymu. Przeglądając zestawienia bilansowe, które Tom przywiózł z Kariakos, wypili mnóstwo kawy. W miarę gdy przedzierali się przez gąszcz cyfr, Alec miękł. Nie to, żeby zmienił zdanie. Doszedł przecież do punktu, w którym zakwestionował możliwość realizacji całego planu... Ale skala przedsięwzięcia również i jemu podziałała na wyobraźnię. O czwartej po południu widział możliwości równie wyraźnie, jak Tom. — Chryste Panie! — wymamrotał — ależ to byłaby potęga!

— No więc? — Tom popatrzył na niego roziskrzonym wzrokiem. Alec wciąż się wahał. — A jeśli Stanton okaże się jeszcze jednym Timem Brierleyem?

— Nie — odparł Tom z przekonaniem. Zapomniał już o zmysłowej atmosferze willi, ekscentrycznym sposobie życia Stantona, o jego dziewczynach i rzeźbach. Było tak, jak zapowiedział Haller: „Po Pewnym czasie ludzie widzą już tylko Maurice'a". I w tym momencie Przypomniał sobie Maurice'a Stantona, gdy siedząc na polanie nad

117

urwiskiem mówił: „Ja chcę tej fuzji, lecz jestem skrepowany zobowi zaniami wobec starego Hansa i Pierre'a".

— Na twoim miejscu nie byłbym tego pewny — stwierdził Alec.

— On przywiązuje wielką wagę do wywiązywania się z dawnych przyrzeczeń. Przecież stąd biorą się wszystkie trudności. Chce się wywiązać z obietnic. A obiecał mi, że jeśli uda się doprowadzić do scalenia, to będę kierować Stanton Industries do końca życia.

Nagły błysk pojawił się w oczach Aleka. — No dobrze skoro tak na nim polegasz, to jak jego przyrzeczenie o prei dla nas?

Tom spojrzął na Aleka, nie rozumiejąc, o co chodzi. Sprawę prei już wyjaśniał. Stanton przyrzekł przekazać niezwłocznie poleceni swojemu prawnikowi w Londynie. Pieniądze miały czekać w depozycie i zostać wypłacone w dniu, w którym nastąpi fuzja.

Alec powiedział: — Przyrzekł ci przekazać to polecenie natychmiast. Czyli że do tej pory prawnik powinien już otrzymać przekaz dla nas Co byś powiedział na taki test: zadzwońmy do tego prawnika. Jeż pieniądze już są, bierzemy się do dzieła, a jeśli forsy nie m_, zapominamy o wszystkim.

Tom poczuł, że jeżą mu się włosy. Przełknął ślinę. — To znaczy... chciałbyś uzależnić przyszłość całego przedsięwzięcia od jednej rozmowy telefonicznej?

— Jeśli Stanton rzeczywiście dotrzymuje słowa, nie ma żadnego ryzyka.

Tom zwilżył usta. — Ale musimy mu zostawić nieco czasu. Polecenie przelewu musi być wyrażone na piśmie. Może to pismo jeszcze nie nadeszło?

— Powiedział, że wykona to niezwłocznie, prawda? Odesłał cię do Anglii natychmiast, gdy tego zażądałeś. Polecenie przelewu też mógł przesłać tym samym samolotem.

Tom poczuł się przyparty do muru.

Alec dodał: — Do tej pory opieraliśmy się na twoich odczuciach co do charakteru Stantona. A to jest hazard. Masz wewnętrzne przekonanie. W porządku. Przekonaj i mnie. — To mówiąc Alec wskazał aparat telefoniczny.

Tom spojrzął na zegarek. Była za dziesięć piąta. — A jeśli prawnika już nie ma w biurze?

— To duża firma. — Alec wertował dokumenty, które Tom przywiózł z Kariakos. — O, znalazłem! Współpracuje z... ośmioma, nie, z dziesięcioma, dwunastoma prawnikami. Jedno z tych nazwisk jest zakreślone kółkiem. Ackroyd. To pewnie ten.

118

Tomowi zaschło w ustach. — A jeśli pieniądze są, bierzemy się do roboty?
Alec skinął głową. — I odwrotnie: jeśli forsy nie ma, zapominamy o wszystkim.
Przez chwilę patrzyli na siebie. — Ależ z ciebie zimny drań, Alec. Czy już ci o tym mówiłem?
— Dobra, dobra. Dzwoń do Ackroyda. Chciałbym już wiedzieć, czy mogę liczyć na to, że zostanę bogaczem.

Tom zaczął wykręcać numer. Poczuł, że uwiera go kołnierzyk. — Daj mi papierosa — powiedział.
Alec podał mu papierosa i podszedł do barku. — Chyba muszę się czegoś napić — rzekł.
W głębi duszy Tom był pewny, że Alec ma rację. Postępowali teraz tak samo, jak już robili to setki razy. Sprzeczali się tak długo, aż podjęli decyzję. Jeśli nie przychodziło to łatwo, należało pomóc.
Słuchawka telefonu lepiła się do ręki Toma. Może Stanton Industries nie jest pisane powstać? Miał nadzieję, że tak nie będzie. To przecież największe wyzwanie jego życia.

— Halo! Chciałbym rozmawiać z panem Ackroydem.

— Czy mogę poznać pana nazwisko?

— Nazywam się Lambert. Tom Lambert.

Przełknąwszy solidną porcję szkockiej, Alec jęknął: — To gorsze od rosyjskiej ruletki. Sam nie wiem, Tom. Może się zbyt pośpieszyliśmy...

— O, nie! — Tom zakrył dłońią mikrofon. — To ty chciałeś postawić wszystko na jedną kartę. Teraz nie wolno się wycofać.

Popatrzyli sobie w oczy. Obydwaj oczekiwali tej samej odpowiedzi. Alec też dał się już porwać tej obsesji... Pohl plus Bouvier plus Excel plus Bolton.

W słuchawce rozległ się jowialny głos: — Pan Lambert? Dzień dobry, mówi Peter Ackroyd.

Właśnie wystosowałem do pana pismo z potwierdzeniem otrzymania polecenia od pana Stanton...

Następnego ranka wybrali się na poszukiwanie biura przy Jermyn Street, z którego, jak sugerował Stanton, mogliby na początku korzystać jako tymczasowej bazy wypadowej. Do biura wchodziło się niepozorną bramą pomiędzy sklepem z męskimi artykułami odzieżowymi a firmą, która wykonywała obuwie na zamówienie. Prosta, Mosiężna tabliczka na drzwiach informowała: Maurice Stanton Pierwsze piętro.

119

— Nie wygląda to szczególnie imponująco — skomentował sucho Alec.

Nie bardzo wiedzieli, czego się spodziewać. Szli po puszystym dywanie sprawiającym wrażenie, jakby nikt po nim dotychczas nie chodził. Wszędzie zalegała cisza. Żadnego stukotu maszyn do pisania, dzwonek telefonów. Alec mruknął: — W kostnicy byłoby chyba głośniejsze.

Stanęli przed przeszklonymi drzwiami. Na szkle widniał czarny napis: Maurice Stanton. Cisza skłoniła Toma do przypuszczenia, iż drzwi są zamknięte. Z ulgą poczuł, że gałka ustępuje. Weszli do elegancko umeblowanego holu. Znad mahoniowego biurka uniosła na nich wzrok brunetka. — Pan Lambert? — Wstała i podeszła, by się z nimi przywitać. — Dzień dobry. Jestem Barbara Howard. Pan Stanton napisał, bym na pana oczekiwała.

Była lekko po czterdziestce, miała wełniany kostium w kolorze zielonego mchu, uśmiechała się ciepło i mówiła miłym głosem.

— Czy zechcą panowie obejrzeć biuro? — spytała, kiedy Tom przedstawił jej Aleka.

Niewielkie pomieszczenie jakby na nich czekało. — Jestem jedynym pracownikiem pana Stanton w Londynie — wyznała Barbara Howard, oprowadzając ich po lokalu. — Pan Stanton korzysta z tego biura niezmiernie rzadko. Zajmuję się jedynie rezerwowaniem dla niego biletów do teatru, choć właściwie mogliby to robić u Cla-ridge'a.

Na tyłach części recepcyjnej znajdował się dość duży pokój z oknami na Jermyn Street, tuż obok sala konferencyjna wyłożona dębową boazerią. Stał tam lśniący stół otoczony dziesięcioma wyściełanymi skórą krzesłami. Po drugiej stronie holu mieściły się cztery mniejsze pokoje, toaleta oraz kuchnia. Kuchnia w pełni wyposażona, nie brakowało w niej nawet kota — spasionego burasa, który leżał zwinięty w kłębek w wiklinowym koszu.

— Pan Stanton wie o Marmaduke'u — wyjaśniła pośpiesznie Barbara Howard. — Jest tu ze mną

dla towarzystwa.

Tom przykucnął obok koszyka, by pogłaskać burasa. — Jeśli on pani wystarcza do towarzystwa, to co pani robi dla zabicia czasu?

— Robię na drutach — wyznała szczerze. — W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wykonałam piętnaście swetrów dla Oksfamu. Sporo też czytam. Właśnie skończyłam Trollope'a, znam wszystkie jego rzeczy.

Była atrakcyjna. Tom zastanawiał się, czy miała już romans ze Stantonem. Może przed wielu laty Stanton wolał kobiety w wieku dwudziestu, trzydziestu lat.

120

Sekretarka rozejrzała się niespokojnie po kuchni, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Dostrzegłszy miseczkę z mlekiem, podniosła ją i wylała do umywalki. Kiedy mijala Toma, zauważył, że Barbara lekko utyka, a pod makijażem dostrzegł cienką bliznę biegnącą w dół od szyi i ginącą pod jedwabną apaszką.

— Pan Stanton pisał, bym na pana oczekiwała — powtórzyła z niezdecydowaniem, nie wiedząc, czego po niej się spodziewają.

Tom wyprostował się i uśmiechnął. — Obawiam się, że w przyszłości nie będzie już tak spokojnie w tym biurze.

— W biurze rzeczywiście powinien być ruch — potwierdziła. — Bywają dni, że sama nie wiem, co pbczać z nudów. — Popatrzyła mu w oczy, nabrała powietrza i rzekła: — O, Boże! Pan pewnie się zastanawia, co mi się przytrafiło. Zaraz to wyjaśnię. Przed dwoma laty miałam wypadek. Pan Stanton bardzo mi wówczas pomógł. Jest bardzo uczynny i miły. Kiedy mogłam się już poruszać o własnych siłach, zaproponował mi tę pracę. Polecił mi znaleźć i wyposażyć biuro. Na początku ta praca mnie bawiła. Oglądałam różne lokale, negocjowałam warunki wynajmu, kupowałam meble i tak dalej. Ale cóż, to było przed dziewięcioma miesiącami. Od tamtej pory prawie nie widuję pana Stantona. Jeśli czasem się pokaże, to mówi, bym się nie martwiła brakiem zajęć, bo wkrótce się zmieni. — Przełknęła nerwowo. — Ja naprawdę jestem dobrą sekretarką. Kiedyś pracowałam nawet u... Mniejsza o to. Mogę pana zapewnić, że o wiele bardziej wolałabym mieć zajęcie niż siedzieć beczynnje.

— Zaraz, zaraz — roześmiał się Tom i położył jej rękę na ramieniu. — Proszę nam najpierw zaparzyć kawę, a potem porozmawiamy.

Zostawili ją w kuchni i wrócili do dużego pomieszczenia po przeciwnej stronie holu. Alec podszedł do okna i patrzył na ulicę. Tom usiadł za biurkiem i sprawdził, czy krzesło jest wygodne. Obydwaj wiedzieli, że myślą o tym samym: Stanton umieścił w biurze szpiega. Tom stukał palcami w blat biurka, myśląc nad tym, jaką obrać taktykę wobec Barbary Howard.

Kiedy wróciła z tacą, Tom poprosił, by również sobie przyniosła filiżankę, a potem poprosił ją, żeby usiadła. — Sytuacja jest trochę niezręczna — zaczął — ale muszę o tym pani powiedzieć.

Otrzymałem pd pana Stantona polecenie gruntownej reorganizacji jego przedsiębiorstw. Ja pracuję po swojemu, to znaczy, że wszystkie raporty z tego t>iura będą pochodzić tylko ode mnie. Innymi słowy, moja sekretarka "Cdzie podlegała mnie i tylko mnie.

Panie Lambert — przerwała stawiając na stole swoją filiżankę

121

i wstając z krzesła — rozumiem, że dyskrecja jest częścią tej pracy, ale pozwoli pan, że coś panu pokażę. To może nam oszczędzić czasu i kłopotliwych sytuacji.

Z zaróżowioną twarzą wyszła pośpiesznie z pokoju i po chwili wróciła ściskając w ręce kopertę, którą podała Tomowi. — Pan Stanton był bardzo hojny. Myślałam, że pan o tym wie.

Tom wyjął kartkę i położył ją na biurku. Był to list od Stantona.

Droga Pani Barbaro, w najbliższych dniach pojawi się na Jermyn Street pan Lambert. Byłbym wdzięczny, gdyby mogła mu pani pokazać biuro. Bez wątpienia będzie on chciał zatrudnić własny personel, dlatego więc myślę, że najlepiej będzie, jeśli uczyni pani to, co — jak sądzę — zamierzała już pani od dawna uczynić, to znaczy złożyć wymówienie. Wiem, jak nudziła się pani w tym biurze

i jestem pewny, że opuści je pani bez żalu. Pragnę jednocześnie wyrazić pani moje gorące podziękowania za wszystko, co pani dotychczas uczyniła. Załączam czek za pani sześciomiesięczne pobory i jestem pewny, że w przyszłości wszystkie pani sprawy ułożą się pomyślnie.

Maurice Stanton

Kiedy Tom podniósł wzrok, Barbara Howard wręczyła mu następną kartkę.

— Oto moje wypowiedzenie — powiedziała uprzejmie. — W pełni rozumiem pana chęć posiadania własnego personelu.

Zaskoczyło go to. Podał Alekowi list od Stantona. Nie mógł się oprzeć pokusie zadania pytania: — Czy mógłbym wiedzieć, w jakich okolicznościach poznała pani Maurice'a Stantona?

— Trudno powiedzieć, że znam pana Stantona — odparła. Wiele o nim słyszałam, a to co innego.

Mój brat przez sześć lat był jego pilotem. Potem mieliśmy wypadek... wypadek na motorze, to nie miało nic wspólnego z lataniem. — Popatrzyła na swoje splecione na kolanach dłonie. — Ja prowadziłam. Mój brat zmarł, ja przeżyłam. Podniosła wzrok, jak gdyby oczekując oskarżenia. Tom przyglądał się jej obojętnie. Patrząc od przodu, nie widział blizny. Sekretarka miała ciemnofioletkowe oczy i pełne, zmysłowe usta. Po chwili ciągnęła dalej: — Pan Stanton umieścił mnie w prywatnym szpitalu, potem w sanatorium, zadbał o wszystko, a następnie dał mi tę pracę. Była to doraźna interwencja, by mnie postawić na nogi. Szczerze mówiąc, przez ostatnie sześć miesięcy czułam się nieco niezręcznie. Wolalaby odejść i znaleźć sobie bardziej konkretne zajęcie... bardziej wymagające-Nie chciałam jednak okazać niewdzięczności. — Uśmiechnęła się

122

jsło i teraz pojawili się panowie, więc z czystym sumieniem mogę wam wszystko przekazać.

Tom coraz lepiej rozumiał Stantona. Historia Barbary Howard była dalszym potwierdzeniem jego lojalności. Tom pomyślał, że Stanton postępując w ten sposób, zostawia mu otwartą furtkę.

Sekretarka sprawiła na nim korzystne wrażenie. Jej zakłopotanie spowodowane nieporozumieniem, które zaraz wyjaśniła, było tylko chwilowe. Znowu wyglądała na opanowaną, pewną siebie, elegancką i kompetentną. Tom przypomniał sobie nagle uwagę, jaką na tarasie willi w Kariakos wygłosił Hugo. Nie spodobał się Tomowi — sprawiał wrażenie osoby odnoszącej się z pogardą i lekceważeniem do obcych, a jednak wtedy powiedział: „Twój ojciec, Roddy, potrafi dobrać sobie ludzi”.

— Czy już znalazła pani inną pracę?

— Nie — potrząsnęła przecząco głową. — List pana Stantona nadszedł dopiero wczoraj.

Tom podjął decyzję. — Zgodziłaby się pani na miesięczną próbę? — zaproponował otwierając szufladę, gotów wrzucić do niej wypowiedzenie. — Sprawdzilibyśmy, jak się nam razem pracuje.

Twarz jej pojaśniała. — Świetnie. Mieszkam tuż za skrzyżowaniem. Dziękuję, bardzo bym chciała, ale... — Cień wątpliwości pojawił się w jej oczach. — Ja naprawdę szukam pracy, w której będę mogła zająć się czymś konkretnym...

— Niech się pani nie martwi. Na brak pracy z pewnością nie będzie pani narzekać — odparł Tom i wrzucił jej podanie do szuflady.

Twarz Barbary Howard rozpogodziła się ponownie, ale zaraz następna myśl zmarszczyła jej czoło.

Powiedziała z wahaniem: — Czy Marmaduke mógłby nadal mi towarzyszyć?

— Czemu nie? Może przyniesie nam szczęście. Zostanie naszą maskotką.

I tak się to zaczęło. Tom, Alec, Barbara Howard i kot Marmaduke. Taki był początek Stanton Industries.

Warto było zatrzymać Barbarę Howard. Nawet bardziej, niż Tom na początku przypuszczał. Była sprawna, szybka, inteligentna. Życie Prywatne nie utrudniało jej pracy. Związana była, co prawda, kiedyś 2 Pewnym mężczyzną, ale był to człowiek żonaty i ojciec dzieciom. Ten Ifmans zabrał jej dziesięć lat życia. Kiedy się wreszcie zakończył, Barbara postanowiła zerwać z dotychczasowym kręgiem przyjaciół P°szukać nowych. Pewne oparcie znalazła w bracie, aż do czasu jego

123

tragicznej śmierci. W okresie, kiedy poznała Toma, potrzeba działania aż ją rozpierała. Tom wraz z Alekiem dali jej szansę zaspokojenia tej aktywności. Pracowali przez okrągłą dobę, a Barbarze to odpowiadało. Wykonywała polecenia z perfekcyjną dbałością o każdy szczegół. Fakty i liczby dotyczące interesów Stanton napływały obficie na Jermyn Street. Podczas gdy Barbara sporządzała zestawy raportów, Alec prowadził nabór finansistów, a Tom przygotowywał plan działania. Wciąż był zafascynowany skalą przedsięwzięcia: — Czuję się jak były kapitan barki, któremu przekazano ster „Queen Mary”.

— Aha — wtrącił przewrotnie Alec. — Tyle tylko, że kapitanowi „Queen Mary” nikt z załogi nie wyrwał steru z rąk.

Była to prawda. Szarpanina o przejęcie koła sterowego już się zaczęła. Z Genewy dzwonił Amiens, Desmond Edwards z Coventry, nawet złożony chorobą sir Bernard chciał wiedzieć, kiedy odbędzie się posiedzenie zarządu. Tom odpowiadał niezmiennie uprzejmie, że cieszy się z ich telefonów, ale był zupełnie niepodatny na perswazje. — Dam panom znać, kiedy będę gotowy.

Ta odpowiedź nie satysfakcjonowała żadnego z nich. W końcu zadzwonił do niego Günther Haller ze swojego biura na ostatnim piętrze First National Bank of Geneva. — Amiens wciąż mnie nagabuje. Domaga się zwołania posiedzenia.

— Żąda więc krwawej łaźni? — spytał ostro Tom.

Haller westchnął. W jego głosie dało się wyczuć zatroskanie. — Wiedziałeś, że będą antagonizmy...

— Zajmę się tym.

— Ale musimy zwołać pierwsze posiedzenie zarządu.

— Zwołam posiedzenie zarządu, kiedy nastąpi scalenie.

— Musimy najpierw postanowić, jak to przeprowadzić.

— Nie! — uciął krótko Tom. To było pierwsze zwarecie, pierwszy test jego autorytetu. Jeśli wyjdzie z tego zwycięsko, będzie miał nadal szansę. Jeśli da się zastraszyć, wrobić w przedwczesne zwołanie zarządu, będzie skończony.

Haller milczał długą chwilę, jak gdyby chciał wy badać stopień determinacji Toma. W końcu rzekł:

— Muszę cię ostrzec. Sir Bernard skarżył się już Maurice'owi, więc Maurice jest nieco zaniepokojony. Ja zresztą też.

— Günther, to ty mnie namawiałeś, bym posklejał tę układankę w całość i właśnie to robię, ale na swój sposób. Jeśli ktoś przyjdzie ze skargą do ciebie, skieruj go do mnie.

— Zyskaliśmy w ten sposób trochę czasu — referował później

124

Xom przebieg rozmowy Alekowi. — Haller wie, że nie damy się zastraszyć. Przez jakiś czas pomoże nam trzymać ich na dystans.

Tymczasem liczył się każdy dzień. Pracowali wieczorami, w świątki i piątki, zarywali noce. Przetwarzali lawiny informacji. Analizowali każde sprawozdanie. Tom potrafiłby z pamięci recytować fragmenty raportów finansowych każdej firmy. Znał wartość działek, budynków, maszyn, rezerw.

Po trzech tygodniach takiej roboty doszli do punktu, w którym już nic więcej nie dało się wycisnąć z liczb. Nadszedł czas spotkań z ludźmi. Alec na samą tę myśl się uśmiechał. — Wiemy więcej o ich firmach niż oni sami.

Podzielili się zadaniami. Alec miał odwiedzać te przedsiębiorstwa, które były przeznaczone na sprzedaż — w pierwszej kolejności rozlewnię napojów w Belgii, potem firmę przewozową z dyrekcją w Rotterdamie. Tomowi przypadły odwiedziny u Excela w Coventry, u Bouviera w Genewie i w Pohl Organization w Hanowerze.

Alec wciąż bił się z myślami: porwał go entuzjizm, lecz nie potrafił wyzbyć się obaw. — Nasza sytuacja nadal jest taka, jak w chwili startu. Jeśli tamci nie zgodzą się na fuzję, a Stanton ich do tego nie zmusi...

— Wiem — uciął Tom. — Będę ich musiał do tego skłonić.

W dniu, w którym przybył do Excela, w zakładzie miał się odbyć strajk. Sir Bernard leżał przykuty chorobą do łóżka, a Desmond miał właśnie okazję wykazać, że nie dorasta ojcu do pięt, jeśli chodzi

o umiejętność pertraktowania ze związkami. — Co za piekielni ludzie! — skarżył się w sali posiedzeń zarządu. — Dać im palec, a zaraz zechcą połknąć całą rękę.

Tom uprzejmie potakiwał. Sprawą, o której chciał dyskutować, było scalenie. Postanowił najpierw wysłuchać Desmonda, a dopiero potem podjąć decyzję. Ta wizyta wystawiała na próbę jego dobre intencje. Przechadzka po zakładzie Excela przypominała mu wyprawę w przeszłość. Sprzęt, jaki wytwarzali, był znakomitej jakości, ale warunki pracy przypominały czasy wiktoriańskie. Podobnie układały się kontakty między załogą a kierownictwem. Najlepszą tego ilustracją było istnienie trzech osobnych kantyn — jednej dla dyrektorów, drugiej dla pracowników biurowych i trzeciej dla robotników.

?— Niewielu robotników z niej korzysta — mruknął Desmond. — Większość woli przynosić własne kanapki i herbatę w termosach.

Tom na ich miejscu postępowałby tak samo. Stołówka przypomi

125

nała obskurną kuchnię w dziewiętnastowiecznym hotelu dla robotników.

Desmond był wyższy i grubszy od Toma, z brzuchem, który coraz bardziej przypominał piwosza. Szerokie usta Desmonda sugerowały, że mógłby być z niego niezły kompan, ale gdy zjawiał się w fabryce, jego twarz przybierała surowy, posepny wyraz. Do Toma odniósł się z wrogością, jaką okazuje młody człowiek wobec kogoś, kto jest dla niego zagrożeniem w przejęciu schedy po ojcu. Na pytania odpowiadał niechętnie, a jego niezyczliwy stosunek do Toma spowodował, że i reszta kierownictwa zaczęła zachowywać się podobnie. Tom odczuł, że nie jest tu mile widziany. Tego wieczoru zatelefonował z hotelu do Aleka, który przebywał w Brugii. — Najgorsze w tym wszystkim jest to — żalił się — że Desmond próbuje małpować ojca. Sir Bernard jest zwolennikiem rygorystycznej dyscypliny, więc Desmond również chce uchodzić za takiego. Możliwe, że taki styl kierowania ludźmi kiedyś się sprawdzał, ale teraz to najkrótsza droga do katastrofy.

— Jak się odnosi do scalania?

— Nawet o tym nie rozmawialiśmy. Przez cały dzień użerał się ze związkowcami, lecz jego stanowisko jest jasne. Powitał mnie jak nosiciela zarazy.

— Aż tak źle?

— Jedyłą pożyteczną rzeczą, jaką wykonałem, było zwiedzenie fabryki.

— No i?...

— Jest gorzej, niż przypuszczaliśmy. Fabryka jakby żywcem wyjęta z kart powieści Dickensa. Alec zamyślił się. — W takim razie ich wyniki produkcyjne są zdumiewające.

Tom wiedział, o co chodzi. Sam przez cały dzień zachodził w głowę, jak to możliwe. Z analizy danych, jaką przeprowadzili na Jermyn Street, wynikało, że Excel ma doskonale wyniki w eksporcie, szczególnie do Stanów Zjednoczonych. Stwarzało to sprzeczny obraz: archaiczna technologia i wysokiej jakości produkty, złe kierownictwo, ale wysoki eksport.

Następnego dnia postanowił wyjaśnić przyczynę tego zjawiska. Przyjechał skoro świt do fabryki, z mocnym postanowieniem dokonania jakiegoś postępu, ale potrzebny mu był do współpracy Desmond.

— Ach, to ty — powiedział Desmond podnosząc niechętnie wzrok znad biurka, kiedy Tom wszedł do gabinetu. — Nie będę miał dzisiaj ani chwili czasu dla ciebie. Znów zwał się dziś rano związkowcy,

126

a potem wyjeżdżam na lunch do Birmingham. Wracam dopiero późnym popołudniem.

— Nie szkodzi — stwierdził pogodnie Tom. — Posiedzę tu sobie trochę i popatrzę jak obserwator. — Taak? — nachmurzył się Desmond, a jego twarz przybrała barwę buraka.

Tom zamknął drzwi od sekretariatu i usiadł przy biurku Desmonda. — Rozumiem, że masz na głowie codzienne sprawy, ale musimy pogadać o przyszłości. Może byśmy zjedli wieczorem razem kolację?

— Wieczorem też jestem zajęty... — Desmond przerwał mu w pół zdania, kiedy dotarło do niego znaczenie wcześniejszych słów Toma. — Co ty właściwie rozumiesz: posiedzisz tu sobie trochę jako obserwator? Może wolisz pojechać ze mną na lunch?

— A czy to lunch służbowy?

— Owszem. Mam ważne sprawy do omówienia. Przyjeżdża Ken Stacey, nasz dealer z Australii. Zabawi w Birmingham tylko jeden dzień.

— Chciałbym go poznać.

Sir Bernard powiedziałby teraz: „A idźże do diabła!” Desmond też chciałby móc tak powiedzieć. Widać to było po jego oczach. Ale jakoś nie potrafił zmusić się do wyduszenia z siebie tych słów. Toma wspierał autorytet Stantona, a to wystarczyło, by Desmond się zawahał. Kiedy szukał właściwych słów, drzwi się otworzyły i sekretarka spoglądając wrogo na Toma, rzekła: — Przyszli związkowcy, panie dyrektorze.

Reszta poranka upłynęła na rozmowach ze związkowcami, w opinii Toma prowadzonymi niewłaściwie, ale zgodnie z przyrzeczeniem nie odzywał się. O jedenastej czterdzieści wyruszyli jaguarem Desmonda do Birmingham.

— Niezbyt jestem zachwycony tą wyprawą — narzekał naburmuszony Desmond. — Jak ja wyjaśnię Kenowi twoją obecność? Pomyśli, że to dość dziwne.

— Powiesz mu, że jestem twoim kolegą z Londynu. Nie musisz wchodzić w szczegóły.

Lunch był objawieniem. Patrząc na Desmonda, Tomowi przyszedł na myśl doktor Jekyll i mister Hyde. W drodze do Birmingham Desmond zachowywał się wojowniczo, nieustępliwie, opryskliwie, ale gdy tylko zaparkował samochód, jakby go odmieniło. — Tylko się nie wtrącaj — ostrzegł Toma. — Pozwól, że sam będę załatwiał te sprawy. — I robił to z klasą. Potrafił oczarować Kena Staceya, używał przekonujących argumentów, sprawiał wrażenie, że zna się na rzeczy.

127

Po raz pierwszy Tom uświadomił sobie, jak bardzo Desmond żyje w cieniu sir Bernarda. W fabryce Desmond czuł się zobowiązany naśladować ojca, utrzymywać jego staroświeckie metody. Poza fabryką czuł się wyzwolony od tego przymusu. Nie padał już na niego cień ojca, zamieniał się w innego człowieka.

W drodze powrotnej do Coventry atmosfera zrobiła się całkowicie inna. Mając za sobą udane spotkanie i dobry obiad, Desmond stał się

o wiele przystępniejszy. Poczuł się na luzie. Niekiedy nawet się uśmiechał, a Tom, dobierając starannie słowa, zaczął go ciągnąć za język. Jak się okazało, droga życiowa Desmonda ułożyła się dość prozaicznie. Bezpośrednio po studiach zaczął pracować u Excela. — Ojciec wychodzi z założenia, że studia to strata czasu — mruknął z ponurym uśmiechem. Ale praca w fabryce okazała się dla niego zmorą nie do zniesienia. Sir Bernard rządził niepodzielnie i był niechętny wszelkim zmianom. Desmond skierował zatem całą swą energię w inną dziedzinę. — Kierownikiem działu sprzedaży był wtedy Harry Chambers — opowiadał. — Wziął mnie pod swoje skrzydła. Niewiele w tamtych czasach eksportowaliśmy, więc namówiłem Harry'ego i ojca, by pozwolili mi spróbować szczęścia w Stanach. Tam się poszczęściło

1 tyle.

To nie miało nic wspólnego ze szczęściem. Desmond był urodzonym sprzedawcą. Tom już wcześniej to zauważył, a wielkość eksportu najlepiej o tym świadczyła.

— Opowiedz mi coś o Stanach — zachęcił Tom. — Dlaczego tak dobrze tam ci idzie?

— To największy rynek świata. Uwielbiam tam jeździć. Gdy tylko samolot wylądował na lotnisku Kennedy'ego, zaraz przenika mnie dreszcz emocji. Za kilka tygodni znów tam lecę. — Tom wyczuł w jego słowach nie tajony entuzjazm. — Sprzedawanie nie jest trudne — stwierdził wesoło. — Ta strona biznesu mi się podoba.

Ale gdy tylko przekroczyli progi fabryki, Desmond znów stał się sztywną, naburmuszoną figurką, żywą imitacją ojca. Kiedy się później spotkali w hotelu, nadal miał ten sam wyraz twarzy.

Wyglądało na to, że w Coventry nosi jedną maskę, a wszędzie indziej przywdziewa drugą. Podczas całej kolacji uskarżał się na związki zawodowe i na trudności w kierowaniu fabryką. — Ale

niestety, to jeszcze nie wszystko — dodał. — Na domiar złego mam jeszcze ciebie na karku i ten idiotyczny pomysł z fuzją przedsiębiorstw. — Twarz mu się zaróżowiła, a szerokie usta przybrały wyraz zaciętości. Zaciśnął pięści.

Tom zastanowił się nad odpowiedzią. — Scalenie uzgodniliśmy na Kariakos.

128

— O, nie! — przerwał mu Desmond. — Nic nie uzgodniliśmy na tej wyspie. To był tylko chwilowy triumf pomysłu Hallera. On dąży do tej fuzji od lat. Nie chcieliśmy psuć Maurice'owi dobrego samopoczucia. Kariakos to nie miejsce na sprzeczki, ale prędzej czy później będziesz musiał zwołać to cholerne posiedzenie zarządu i cała ta gierka się skończy. Więc nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego.

— Ale przecież to scalenie ma sens.

— Dla ciebie! — warknął Desmond, pochylając się nad stołem. — Bo ty bez tej całej fuzji nie znalazłbyś zajęcia. Mnie to nie grozi. Ja, a wcześniej mój ojciec, pracowaliśmy ciężko. Nie wyobrażaj sobie, że u ojca było mi lekko, wręcz przeciwnie. Mówię o tym nie po to, że go o coś winię — Desmond przerwał, mając świadomość, że słyhać go przy sąsiednich stolikach. Goście w restauracji obrzucali ich zaciekawionymi spojrzeniami. Odsunął na bok filiżankę i pochylił się jeszcze bardziej do przodu. — Ten pomysł nie ma najmniejszych szans powodzenia — syknął. — Haller już nieraz usiłował to przeprowadzić, ale nie będzie chleba z tej mąki. Powiem ci, dlaczego. Maurice Stanton to stary lubieżny kozioł, ale on nigdy nie łamie danego słowa. Zawsze wywiązuje się ze zobowiązań. Maurice przyrzekł Pohlowi Pohl Organization, Yvonne wymogła na nim powierzenie Bouviera Amiensowi, a Excel jest dla mnie. Maurice przyrzekł to naszym ojcom. Przed wielu laty! Nie zapominaj, że jesteśmy udziałowcami w tych przedsiębiorstwach. Możesz sobie z Hallerem snuć nie wiem jakie plany, ale nic wam z tego nie przyjdzie. W każdym razie na pewno nie osiągniecie niczego bez naszej zgody. A możesz być pewny, że naszej zgody nie uzyskasz. Nieważne, kiedy zwołasz to posiedzenie. Kiedy już do niego dojdzie, sprzeciwię się, sprzeciwi się Amiens i sprzeciwi się Pohl. Wierz mi, marnujesz tylko swój czas.

Siedząc w pociągu i patrząc ponuro na ociekający deszczem wiejski krajobraz za oknem, Tom powrócił myślami do skąpanej w słońcu greckiej wyspy. Przypomniał mu się Maurice Stanton, który mówił: "Gdy sytuacja stanie się napięta, nie sądzę, że będę mógł ich do czegokolwiek zmusić. Sumienie mi na to nie pozwoli. Zbyt wiele zawdzięczam ich ojcom".

Kryła się w tych jego słowach jakaś perwersja, ale Tom nie mógł się powstrzymać od podziwu wobec lojalności Stantona. Przyrzeczenia Pakowały Stantona w niezłą kabałę, z której chciał, by go wyrwano.

Jeśli gdyby okazało się to niemożliwe, wolał raczej z tym żyć, niż cofnąć dane raz słowo. To dobrze rokowało na przyszłość... Jeśli oczywiście Tom będzie potrafił tę przyszłość zbudować.

** Zemsta

129

W biurze czekała go następna porażka. Nim jeszcze zdążył wygodnie się rozsiaść, zadzwonił Alee. Telefonował z Van Kirst, rotterdamskiej firmy przewozowej. — Mamy tu mały problem — zaczął ostrożnie.

Określenie „mały problem” stanowiło duże niedopowiedzenie. Firma została zaskarżona o odszkodowanie na potężną kwotę. — Widziałem się z adwokatem — meldował Alee. — Sprawa nie stoi najgorzej. Styvessen z kancelarii prawniczej, z którą od dawna współpracują, daje nam pewne szanse na wygraną. Rzecz w tym, że proces przeciągnie się do ośmiu, dziewięciu miesięcy. Jest więc kiepsko, bo nikt nie kupi firmy, która może się okazać zadłużona na trzy miliony.

Alee odwiedził też francuskie winnice. — Tam również nie jest dobrze. Zbiory ucierpiały na skutek jesiennych opadów, po których nastąpiła ciężka zima i późna wiosna. Dobrze będzie, jeśli w tym roku wyjdą na zero. Jeśli chcemy otrzymać wysoką cenę za ten interes, to będziemy musieli z nim poczekać.

Tom jęknął. — Czy masz choćby jedną dobrą nowinę?

Alee zachichotał. — Robią tu całkiem niezły sikacz, wrzuciłem jedną skrzynkę do samochodu. Napijemy się po moim powrocie i na wszystko od razu spojrzemy inaczej.

Kiedy Tom odkładał słuchawkę, weszła Barbara z notatnikiem. — Dzwonił kapitan Masters podczas pana nieobecności.

Przez chwilę nie mógł skojarzyć, o kogo chodzi.

— Pilot pana Stantona.

— Ach, oczywiście.

— Wygląda na to, że na resztę miesiąca ma pan do dyspozycji learjeta.

Tom zmarszczył czoło. Po co mu prywatny odrzutowiec? Żeby polecieć do Pohla do Hanoweru? Przeprowadzić następną przykrą inspekcję i znów spotkać się z odmową?

— No, skoro już będę go miał do dyspozycji, to mogę polatać wzruszył ramionami. — Proszę sprawdzić, czy złapię telefonicznie Carla Pohla, a potem połączyć mnie z André Amiensem z Bouviera.

W dziesięć minut później Barbara informowała go, że Carla nie w biurze, ale jest na linii Amiens. Tom podniósł słuchawkę: — André?

— Jak się masz, Tom! Ciepłe powitanie zaskoczyło Toma. Na Kariakos Amiens by kąśliwy i oschły, jeszcze przed tygodniem dzwonił z pretensjami do Hallera...

— Chciałbym was odwiedzić.

130

— Świetnie! Wspaniale! Kiedy przyjeżdżasz? Jak długo zabawisz? powiedz, co przygotować na tę wizytę?

Pytania były tak nieoczekiwane, że Tom z trudem mógł się połapać i zdobyć na sensowną odpowiedź. Jakże reakcja André różniła się od zachowania Edwardsa, który przyjął go z nie skrywaną wrogością.

— Eee... a kiedy by ci odpowiadało, André?

— Im prędzej, tym lepiej.

— To może w poniedziałek? Na kilka dni?

— Świetnie. Musisz zatrzymać się u nas. Zaraz, chwileczkę... pozwól, że sprawdzę w kalendarzu. We wtorek przychodzi do nas kilkoro ludzi na lunch. To nasi dostawcy farb. Spotykamy się dwa razy do roku. Pracujemy zwykle mniej więcej do szóstej. — Amiens zawahał się — Może wolisz raczej, bym ich odwołał?

Zdumienie odebrało Tomowi na chwilę zdolność mówienia. To był zupełnie inny Amiens. — Nie. Niech już będzie półtora dnia. Jak na pierwszą wizytę to w zupełności wystarczy.

— Naprawdę nie musisz się śpieszyć. Możesz zostać tu cały wtorek. Nawet jeśli ja będę zajęty, to jest wielu innych, którzy chętnie cię poznają.

Ton tej rozmowy był nieoczekiwany. Gdy Tom spodziewał się oporu, spotykał się z chęcią współpracy. Zamiast niechęci witała go życzliwość.

Skończywszy tę rozmowę Tom poprosił Barbarę, by raz jeszcze zadzwoniła do Pohla. Nadal nie było go w biurze. — Niech mu pani zostawi wiadomość — rzekł — że przylecę do nich w środę rano.

Wydał to polecenie zupełnie automatycznie. Nadal nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarła na nim ta niezwykła zmiana nastawienia Amiensa. Nabrał nieco otuchy.

Samolot schodził do lądowania. W dole ciągnęły się winnice, a w chwilę później w oknie pojawiło się wielkie, lśniące błękitem Jezioro Genewskie.

Gregg Richards wynurzył się z kabiny pilotów. — Za pięć minut schodzimy do lądowania w Genewie, panie Lambert.

— To świetnie.

Patrzył, gdy biały parostatek majestatycznie pruje niebieską toń Jeziora. Wokół widać było wśród drzew dachy domów, dyskretnie schowanych za wysokimi ogrodzeniami. Rezydencje, bogactwo, ukryte rriotywy działania — myślał zastanawiając się nad postępowaniem Amiensa. Skąd ta nagła zmiana? Na Kariakos zachowywał się tak chłodno i wyniosłe...

Wylądowali dokładnie o dziewiątej — dziewiątej rano czasu europejskiego. Tom przestawił zegarek.

Po kilku minutach schodki zostały spuszczone i Tom podszedł wraz z Richardsem do recepcji dla VIP-ów.

— Przysłali po pana limuzynę, jeśli więc nie ma pan nic przeciw temu, zostawię pana tutaj — powiedział Richards.

— W porządku.

Richards podał Tomowi jego torbę. — Do zobaczenia jutro wieczorem.

— Punktualnie o szóstej. — Tom uśmiechnął się, bo uświadomił sobie, że ta uwaga jest zupełnie zbędna. Odwrócił się do szwajcarskiego urzędnika i podał mu paszport. Urzędnik wertował kartki, a Tom patrzył leniwie przed siebie. Raptem za szklanym przepierzeniem dostrzegł znajomą sylwetkę blondynki, która kiedy podchwycił jej wzrok, pomachała mu ręką.

Urzędnik zwrócił mu paszport. — Dziękuję panu. Życzę miłego pobytu.

— Ja też dziękuję — rzekł Tom ruszając do wyjścia.

— Tom! — zawołała blondynka. — Witaj! Witamy w Genewie! Jak miło cię znów widzieć. — Uśmiechając się promiennie nadstawiła mu policzek do ucałowania.

W pierwszej chwili pomyślał, że bierze go za kogoś innego. Miała nieciekawą twarz ze zbyt dużym nosem, ale za to ładnymi, brązowymi, filuternymi oczami. Twarz ta wydała mu się znajoma i nagle uświadomił sobie, kim ona jest. — Och, pani Amiens!

— Yvonne.

Otrząsnąwszy się z pierwszego zaskoczenia, ucałował ją. — Nie przyszło mi do głowy, że po mnie wyjedziesz.

— A któż by inny? — roześmiała się. — André przygotowuje się do powitania cię w zakładzie. Chodź, samochód czeka.

Kiedy zmierzali do samochodu, otrząsnął się już zupełnie z zaskoczenia. Po krótkim spotkaniu na Kariakos, gdzie tak wiele się przecież zdarzyło, pozostało mu jedynie jakieś mgliste wyobrażenie o tej kobiecie. Patrząc na nią uznał, że ma dobra figurę. Ubrana była w kostium, którego spódnica kończyła się przed kolanami. Miała czterdzieści lat, ale ubierała się jak nastolatka. Nie była piękna ani nawet ładna, za to zadziwiająco seksowna. Miała zgrabne nogi i z gracją się poruszała. Kiedy się odwróciła, przyłapała go na tym, że bezwiednie podziwiał jej nogi. Uśmiechnęła się rozbawiona. Czekają na nich duże BMW i szofer, który zaraz uwolnił Toma od

132

ciężaru torby podróźnej. Yvonne wsunęła się na tylny fotel i wskazała mu miejsce obok siebie. — Pierwszy raz jesteś w Genewie?

— Tak — przyznał, starając się nie patrzeć na jej dekolt. Większość kobiet włożyłaby pod ten żółty zakiet jakąś bluzkę lub sweterek. Yvonne Amiens nie nosiła nawet biustonosza.

— To bardzo miłe miasto — powiedziała z afektacją. — Mamy nadzieję, że je polubisz.

Dopiero później uświadomił sobie znaczenie tej uwagi. Teraz nie miał czasu nad tym się zastanawiać, bo gdy tylko ruszyli, jazda zaczęła przypominać wycieczkę z przewodniczką. — Popatrz tam — mówiła Yvonne wskazując ręką. — Widzisz? To Mont Blanc. — W dali

rzeczywiście rysował się dobrze znany ze zdjęć masyw górski.

— Chyba ten szczyt widziałem z samolotu.

— Dziś jest dobrze widoczny — oznajmiła. — Czyż nie wspaniały? Poranek był jak z widokówki. Czyste jasne kolory mieniły się

w przejrzystym powietrzu.

Po chwili Yvonne wskazywała już następny interesujący obiekt. Wkrótce jechali drogą nad Jeziołem Genewskim. Tom zachwycał się wszystkim, co mu pokazywała, zastanawiając się nad przyczyną zmiany jej stosunku do niego. Na Kariakos była równie chłodna, jak jej mąż. A teraz siedziała aż nazbyt blisko, trzymając rękę na jego ramieniu, jakby się znali całe życie...

— Tutaj — kontynuowała — jest pałacyk Rothschilda, a tam — odwracając się, by pokazać coś z drugiej strony jeziora, przywarła twarzą do jego policzka — znajduje się wspaniały chateau Stanton. — Dwóch potentatów naprzeciw siebie po dwóch przeciwnych stronach jeziora. Słońce odbijając się w wodzie, oślepiało. Mrużąc oczy, udało mu się wypatrzyć trzy stożkowato zakończone wieżyczki wynurzające się strzeliście spośród drzew. — Roześmiała się. — Oczywiście, ani Rothschilda, ani Maurice'a nie ma teraz w rezydencjach, ale kiedyś rzeczywiście tu mieszkali. — Wzruszyła ramionami uznając temat za wyczerpany, kiedy coś nagle zwróciło jej uwagę. — Aha, popatrz, a tam my mieszkamy. Nawet stąd widać. Trochę niżej za chateau Stanton. Widzisz?

Bardzo niewiele widać było z posiadłości Amiensów, ale Tom starał się być uprzejmy. — Wygląda wspaniale!

— Mamy widok na całe jezioro. Zobaczysz to dziś wieczorem. Duży ruch zmusił kierowcę do wolniejszej jazdy. Powoli mijali

Jakieś hotele po prawej stronie, których restauracje zdobyły tarasy, Sorując nad pasiastymi markizami kafejek. Słynna fontanna na jeziorze

133

wyrzucała w górę spieniony pióropusz wody na wysokość czterystu stóp.

— Przed nami dzielnica bankowa — mówiła Yvonne i nagle spytała: — Czy zamierzasz spotkać się przy okazji z twoim przyjacielem Hallerem?

Zauważył tego „twojego” przyjaciela, a nie „naszego”. Czyżby Yvonne nie lubiła Hallera? Czy jej mąż też go nie lubi? — Wątpię, czy znajdę czas, by się z nim spotkać — odparł.

Wydawało się, że ucieszyła ją ta wiadomość. — Już niedaleko —j powiedziała. — Zakłady Bouviera znajdują się w Carouge. — Spojrzała na niego z wyrazem udawanej stanowczości. — Ostrzegłam André, że powinniście wrócić do domu przed siódmą.

— To bardzo miło z waszej strony, ale mogłem przecież zatrzymać się w hotelu.

— Nonsens. Nigdy byśmy na to nie pozwolili. Poza tym mamy tyle do omówienia, a na jutro... — twarz jej się rozjaśniła —• ...przygotowałam dla ciebie niespodziankę.

Wszystko dotychczas było dla niego niespodzianką. Poczul się zbity z tropu, ale słuchał i patrzył uważnie, kiedy mu pokazywała coraz to nowe obiekty. W chwilę później BMW wjechało w główną bramę zakładów Bouviera. Łukowaty podjazd prowadził przed główny budynek. — O! — zawołała Yvonne — jest André!

Amiens czekał u szczytu schodów. Uśmiechając się szeroko, zbiegł na dół, aby otworzyć drzwiczki zatrzymującego się samochodu.

— Witaj, Tom!

Uścisk rąk uwydatnił różnicę pomiędzy Amiensem a Edwardsem. Edwards nadal żył w cieniu osobowości ojca. Amiens nie miał tych problemów. Już dawno nabył tej pewności siebie, jaka cechuje ludzi bogatych, przyzwyczajonych do sukcesu. Miał trzydzieści kilka lat, był więc znacznie młodszy od żony, co wyraźnie rzucało się w oczy w mocnym słonecznym świetle. Amiens wyglądał zdrowo i był opalony, podczas gdy Yvonne zawdzięczała kolor cery kosmetykom. Jej nos wydawał się jeszcze większy przy ostrych i regularnych rysach jego twarzy.

Można by sądzić, że spotkanie na Kariakos w ogóle nie miało miejsca. Przez cały dzień Amiens czynił, co mógł, aby ich kontakty zacząć jakby od nowa. Po kawie w sali zarządu, oprowadził gościa po zakładzie. Trasa była tak szczegółowo obmyślona, że zaglądali nawet do toalet. Wkrótce stało się jasne, dlaczego zakład Bouviera cieszy się dobrą opinią. Wszystko tu chodziło jak w zegarku. Technologia-szczególnie zaś zastosowanie robotów przemysłowych zdecydowani

134

przewyższało wszystko, co Tom dotychczas widział i zamierzał wprowadzić w Boltonie.

Na lunchu obecni byli kierownicy działów, każdy wygłosił krótki spicz o działalności swojego odcinka pracy. Niczego nie ukrywano, udostępniono Tomowi wszystkie dane, informowano o wszelkich trudnościach. Wywierało to tym większe wrażenie, że było zupełnie nie przygotowane.

Tom zaczął wątpić w swoją pamięć. Zastanawiał się, czy nieprzychylnie wrażenie, jakie wywarł na nim Amiens podczas pobytu na Kariakos, nie jest tworem jego wyobraźni. Wiedział, że się nie myli. Na wyspie odczuwał rzeczywistą wrogość tego Francuza.

Amiens przyznał mu rację, kiedy wieczorem szofer odwoził ich do domu. — Od początku niesłusznie interpretowałem całą sytuację — powiedział. — Myślę, że byłem wówczas rozczarowany. Maurice jest przecież ojcem chrzestnym Yvonne. Mieliśmy więc nadzieję...

Wzruszył ramionami i unosił dłonie w charakterystycznym galijskim geście. — Ale rozumiem Maurice'a, znalazł się w trudnym położeniu. Musi uwzględnić interesy Pohla i Edwardsa. Jedyne, co mógł uczynić, to mianować na to stanowisko kogoś z zewnątrz.

Tom poczuł się podniesiony na duchu. — Cieszę się, że tak widzisz sprawę — powiedział, kiedy samochód skręcił z głównej arterii, by wjechać w bramę z kutego żelaza.

Amiens uśmiechnął się. — Podziękuj Yvonne, bo ona mnie do tego przekonała.

Yvonne już czekała na podeście schodów, mniej więcej w tej samej pozycji, w jakiej jej mąż oczekiwał na niego na schodach fabryki. Żółty kostium zmieniła na turkusową jedwabną suknię, z której niby z muszli wychylały się jej nagie ramiona i szyja. Podobnie jak poprzednio, również ten strój był dla niej zbyt młodzieżowy, ale nosiła go z taką gracją, że nawet było jej w nim do twarzy. Biła właśnie siódma, na co zwrócił uwagę Tom, całując Yvonne w policzek.

Uśmiechnęła się. — André nie zawsze bywa tak punktualny — Powiedziała spoglądając na męża. — Czasami muszę go wręcz wyciągać z zakładu.

Kiedy Tom się już rozgościł w imponującym apartamencie gościn-nym, oprowadzono go po całym domu w podobny sposób, jak Pokazywano zakład. Zwiedził nawet otoczenie rezydencji, skąd roztaczał się przepiękny widok na jezioro — trzy wypielegnowane akry ziemi z kortem tenisowym, basenem i różnymi gatunkami drzew rozrzuconych jakby w nieładzie na pokrytych trawą pagórkach.

135

Piękny dzień zakończył się miłym wieczorem. Jedli kolację na tarasie. Gospodyni była czarująca, a gospodarz jej dorównywał. Nawet gdy rozmowa toczyła się na tematy firmy, atmosfera nie wykazywała śladów napięcia. W pewnej chwili Amiens rzekł: —

Japończycy prą do przodu z elektroniką. Jeszcze kilka lat i dogonią Amerykanów. Ta fuzja musi dojść do skutku. Inaczej Bouvier będzie skończony. Taki Philips czy Siemens pewnie przetrwa, ale nie Bouvier. — Odwrócił kciuk na dół. — To samo czeka Excela i Pohla, ale razem... — twarz mu się rozjaśniła — razem sobie poradzimy, prawda? — Uśmiechnął się. — Zgodzisz się ze mną? Oczywiście, że się zgodzisz! Tylko głupcy, tacy jak Edwards i ten idiota Pohl mogą być temu przeciwni...

Tom dostał wypieków z podniecenia. Jeśli Amiens się zgadza, to na pewno uda mu się przekonać również i Edwardsa. Może i Pohl dostrzeże w tym sens...

W miarę jak zbliżał się wieczór, Tom czuł się coraz to bardziej odprężony. Kamień spadł mu z serca. I wtedy Yvonne oznajmiła, jaką przygotowała niespodziankę. — Jutro — powiedziała — urządzam na twoją cześć małe przyjęcie. Będzie tylko dwadzieścia osób, ale za to sami właściwi ludzie. To ważne, byś poznał osoby z odpowiednich kręgów.

— Tak?

— Ależ oczywiście — uśmiechnęła się, unosząc do góry dłonie. — Skoro tu zamieszkaż, to musimy ci pomóc się urządzać.

— Zamieszkaż tu?

— No, a gdzie, jeśli nie tutaj? — zapytała Yvonne z oczami zaokrąglonymi ze zdumienia. Mówiła dalej, a jej mąż kiwał z aprobatą głową. — Zaczekaj tylko, aż poznasz Pepi. Pepi zajmuje się handlem nieruchomościami. Już ci wyszukała piękną willę.

Tom słuchał zdumiony. Wszystko już zaplanowali. Uznali, że będzie mieszkał w Genewie. Byli pewni, że biuro założy u Bouviera i będzie kierował Stanton Industries ze Szwajcarii. To było nawet całkiem logiczne... Maurice Stanton ma obywatelstwo szwajcarskie, posiada domy w Genewie i St Moritz. Jego bankierzy są Szwajcarami—Więc gdzież, jeśli nie tu powinien założyć centralę?

— Jeszcze nie jestem zdecydowany — wyznał. — Na razie myślałem...
— Chyba nie o Excelu? — Amiens po raz pierwszy okazał zaniepokojenie. — Chyba nie myślisz zakładać centrali u Excela?
— W Coventry? Nie. Excel wchłonie Boltona, ale na tym się skończy.

.._ Gdzie więc będzie centrala?

_ Na razie całkiem dobrze radzę sobie z Jermyn Street.

..— Nie — Amiens potrząsnął przecząco głową. — Cała rzecz w tym, by wszystko łączyć.

Kierować wszystkim spod jednego dachu. Scentralizować podejmowanie decyzji, księgowość, wszystko. Byłem kiedyś przy Jermyn Street. To nie jest miejsce prestiżowe...

Prestiż był sprawą istotną dla Amiensa. Pławił się w prestiżu. Centrala w Genewie jeszcze by mu dodała prestiżu, byłby lepszy od Edwardsa i Pohla.

Dostrzegłszy pułapkę, Tom postanowił grać na zwłokę i nie mówić na razie nic zobowiązującego. Amiens okazywał skłonność do zostania sprzymierzeńcem Toma, więc nie było sensu zrażać go do siebie.

— Sądzę — rzekł po chwili milczenia Tom — że to pomysł, który należy rozważyć.

Ale pomysł, jak się okazało, został już wcześniej rozwiązany. Następnego dnia rano Amiens ogłosił jeszcze jedną niespodziankę. — O dziesiątej jesteśmy umówieni z pewnymi ludźmi — oświadczył zaraz po przyjeździe do fabryki.

„Ludzie” okazali się architektami, którym Amiens zlecił przygotować projekt budynków nowej centrali dla Stanton Industries. Choć nie przygotowani i nastawiony niechętnie, Tom zmuszony był obejrzeć szkic konstrukcji i elewacji trzech masywnych gmachów, które miałyby wznosić się wyżej na wzgórzu za zakładem Bouviera.

Amiens był zachwycony. — To wspaniale. Olśnimy całą Genewę.

Tom robił, co mógł, by nie stracić panowania nad sobą. Dopiero gdy zostali sami, wybuchnął: — André, na nic takiego nie wyraziłem zgody!

— Wiem, że nie, ale chciałem, byśmy byli gotowi. Wyobraź sobie tylko, jakie wywrzesz wrażenie na Maurisie, kiedy na pierwszym posiedzeniu zarządu pokażesz mu te projekty.

Kłócili się przez resztę ranka. Amiens był nieugięty. — Stanton Industries będzie korporacją szwajcarską — powiedział. — Jasne więc, że centrala musi znaleźć się w Genewie.

?— Jeślibym nawet przyjął wszystkie twoje argumenty, to i tak inni się na to nie zgodzą.

Amiens tylko się uśmiechnął. — Więc będziesz musiał ich do tego Przekonać.

Tom z ulgą wrócił na umówiony lunch z Yvonne, bo Amiens Musiał jeszcze spotkać się z dostawcami. Jednak i podczas lunchu nie znalazł spokoju. Kiedy go przywieziono do rezydencji, okazało się, że vonne ma wobec niego własne plany.

137

— Mój drogi — powitała go tuląc głowę do jego ramienia i prowadząc od razu na taras. — Wszyscy umierają z ciekawości poznania ciebie.

„Wszyscy” oznaczało między innymi Amerykankę Pepi Scrimgeour, kobietę w średnim wieku, która popijała coś niebieskawego i posiadała w swoich kartotekach „obiekty będące przedmiotem pożądania w całym świecie”. Był tam również konsul brytyjski: „Cześć, chłopie, mówią mi, że zamierzasz się tu osiedlić”. Tom poznał jeszcze włoskiego księcia, amerykańskiego powieściopisarza, francuskiego gwiazdora filmowego z jego szwedzką przyjaciółką, lokalnego szefa policji, dwóch światowej sławy muzyków oraz innych, których nazwiska można znaleźć w Who 's Who. Wielu różnych ludzi z różnych środowisk, o różnym akcencie, a tylko jedną cechą wspólną — wiarą w to, że Stanton Industries zamierza osiąść w Genewie.

Tom wiedział, że pakuje się w zasadzkę. Udawało mu się wywinąć takimi określeniami jak: „Nic jeszcze nie jest przesądzone...” „Będę tu, oczywiście, spędzał sporo czasu...” „Jestem pewny, że

jeszcze się spotkamy..." Chociaż gotował się z wściekłości, na zewnątrz pogodnie się uśmiechał. Yvonne to dostrzegła. Jej ciemne oczy tak często spotykały się z jego spojrzeniem, że potrafił rozpoznać, iż wyczuwa jego napięcie. Ale (co jeszcze bardziej go rozjątrzyło), wydawało się sprawiać jej to przyjemność, jak gdyby był częścią gry, która miała na celu jego ustrzelenie, ponieważ gdy goście zaczęli się rozchodzić, pochwyliła rękę Toma i powiedziała: — Jeszcze kilka minut i zostaniemy sami. Sądzę, że czas byśmy porozmawiali, prawda?

— Ja też tak sądzą — zgodził się ponuro.

Zastanawiał się, czy Amiens pozbył się już tych dostawców farb i dołączy do nich. Ale nadal go nie było. Tom spacerował po tarasie, a jego gospodyni odprowadzała do drzwi ostatnich gości.

Wróciła po dobrych piętnastu minutach. — Mój Boże! Już sądziłam, że nigdy się ich nie pozbędę. — Opadłszy na krzesło, uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Wywarłeś na wszystkich ogromnie korzystne wrażenie. Wszyscy chcą cię widzieć u siebie na kolacji. Cała Genewa ściele się do twoich stóp. Czy zdajesz sobie sprawę...

— Zdaję sobie sprawę, że zbyt wiele rzeczy uznajesz za przesądzone — wtrącił ostro.

Jej uśmiech przemienił się w nadąsaną minę, lecz nie wyglądała ani na obrażoną, ani zaniepokojoną. Przypatrzyła mu się uważnie, czekając, jakie będą jego następne słowa. Tom odsunął krzesło od stołu. — Czy słyszałaś — zapytał stając naprzeciw niej — o jakichś niedorzecznych planach wybudowania tu pretensjonalnej centrali?

138

Oczywiście. To był mój pomysł. — Twój pomysł?

Uśmiechnęła się. — Zanim usiądziesz, proszę, nalej mi odrobinę armaniaku, dobrze?

Mówiła do niego takim tonem, jakby zwracała się do męża. W* jej głosie czuł tę samą pewność siebie, która wykluczała możliwość niespełnienia jej prośby. Tom odwrócił się do barku z alkoholami.

— Nie uważam tych planów za pretensjonalne — orzekła. — Są raczej monumentalne. Och, mój drogi, proszę, nalej też sobie, nie lubię pić sama.

Podał jej koniak i usiadł. — Edwards i Pohl podniosą zaraz niesłychaną wrzawę.

— To niech podnoszą! — rzuciła pogardliwie.

— Nie możesz mnie zmusić do przeprowadzki rozprowadzając na lewo i prawo, że zamierzam tu osiaść!

— Przyjechałeś, by ubić interes, prawda? — przerwała chłodno. — Czy nie rozumiesz, że ja ci daję tę szansę?

Przyglądał się jej.

— Czy to zły interes? — przechyliła wyczekująco głowę na ramię. — Mogłabym ci pomóc nieźle się urządzić.

— Dlaczego tak na tym ci zależy?

— Bo chcę tego dla André — wzruszyła lekko ramionami. — Czy to nie jest rozsądne? Ty czegoś chcesz i ja chcę czegoś w zamian. Czy to źle? — Wyraz pewności pojawił się na jej twarzy. — Przecież chcesz tego scalenia przedsięwzięcia, prawda?

— Oczywiście.

— Prześtańmy się więc spierać — powiedziała wstając z krzesła i podchodząc do skraj tarasu.

Oparła się o balustradę i odwróciła do niego. — Wierzę w twój talent organizacyjny. Gdyby tak nie było, Maurice nie dałby ci tej szansy. Ale André też jest zdolny. Wyjątkowo zdolny. Powiedz uczciwie, czy widziałeś lepiej prowadzony zakład niż fabryka Bouviera?

Tom zastanawiał się chwilę. — Nie, nie wiedziałem.

— Ano właśnie! Maurice nigdy nie lubił André. Bóg jeden wie, dlaczego. Kiedyś André zapracowywał się, by zdobyć jego przychylność. W chwili, gdy Maurice zawiesił decyzję... — wzruszyła ramiona — André powinien zmierzyć się z większym wyzwaniem. On ma WlZJe. Ma energię potrzebną do realizacji wielkich zamierzeń. Słyszałaś 8° wczoraj wieczorem...

— Otrzyma odpowiedzialne zadania.

— Nie — potrząsnęła przecząco głową. — To będzie to samo, co dotychczas. André nadal pokieruje Bouvierem, Edwards będzie usiłował prowadzić Excela, a Pohl, jak zwykle, zajmie się swoimi wynalazkami. Różnica tylko taka, że teraz będą podlegać tobie.

Milczał. Jego pomysł na fuzję nadal pozostawał zbyt mało atrakcyjny, by mógł go jej przedstawić.

Odwróciła się do jeziora. — To moje miasto — powiedziała. — Tu wyrosłam. To ja nazywam się Bouvier. Mój mąż kieruje firmą, która nadal nosi moje nazwisko. Nie zniosę takiego upokorzenia. André też prawdopodobnie nie. Nie zasłużyliśmy na to. Maurice zachował się nieładnie. —

Próbowała zapanować nad miotającymi nią odczuciami, lecz dalsze słowa uwieźły jej w gardle. Kiedy się odwróciła, widać było jej napięcie. — Tak więc — powiedziała odrzucając do tyłu głowę — możesz doprowadzić z Maurice'em do tej fuzji, ale na pewnych warunkach.

— Że zamieszkać w Genewie?

Uśmiechnęła się kwaśno. — To dopiero pierwszy warunek. Czekaj.

— Warunek drugi to, że centrala Stanton Industries też będzie w Genewie.

— Rozumiem.

— Jest jeszcze jeden — przerwała szorstko. — André musi mieć pozycję równą twojej. Chcę, by został mianowany współprzewodniczącym rady dyrektorów Stanton Industries. Pohl i Edwards będą podlegać tak tobie, jak i jemu. — Uśmiechnęła się, ale zachowała lodowaty wyraz oczu. — Takie są moje warunki. Możesz je przyjąć lub odrzucić.

Lecąc learjetem do Niemiec, Tom nie mógł się wyzbyć myśli, że zadanie, którego się podjął, jest niewykonalne. Już troje ludzi powiedziało mu, że traci tylko czas — najpierw Alec, potem Edwards, a teraz Yvonne. „Takie są moje warunki — mówiła. — Możesz je przyjąć lub odrzucić.”

— Dziwka!

Zgasił jednego papierosa i zaraz sięgnął po następnego.

Do kabiny wszedł Richards, by uprzątnąć naczynia. Wziął od Toma kieliszek i butelkę whisky. — Za pięć minut lądujemy, panie Lambert. Czy ktoś wyjedzie po pana na lotnisko?

Tom potrząsnął przecząco głową. — Nie. Spodziewają się mnie dopiero jutro rano.

— Czy w takim razie wezwać taksówkę, by podrzuciła pana do hotelu?

— Tak, proszę wezwać. — Tom spojrział na zegarek. — Czy lotnisko leży daleko od centrum?

— Pół godziny jazdy. O wpół do dziewiątej powinien pan już znaleźć się w swoim pokoju.

Richards pomylił się o dziesięć minut. Gdy Tom wchodził do swojego pokoju w hotelu, była za dwadzieścia dziewiąta. W recepcji czekała na niego wiadomość od Aleka z Londynu.

Telefon odebrała Jean. Żona Aleka zawsze nieco niechętnie odnosiła się do Toma, mając mu za złe, że zabiera jej mężowi cały czas. Tom lubił ją, choć wiedział, że ma do niego zastrzeżenia. Była jedyną kobietą, jaką znał, której włosy miały kolor truskawkowy. I to wcale nie dzięki farbie. Nie były ani rude, ani blond. Kolor jej bujnej czupryny był czymś pośrednim między jednym a drugim.

— To jej królewska aureola — mawiał Alec.

— Jest w domu?

— Właśnie jemy kolację. Ty zawsze trafisz w odpowiedniej porze. Alec jeszcze coś zując podszedł do telefonu. — Niestety, złe wieści. Tom jęknął. — Przelewa się moja czara goryczy.

— Dzwonił do nas niejaki Hollenberg. Walter Hollenberg.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Dawniej pracował u starego Pohla, a teraz jest konsultantem w Pohl Organization. Wygląda na to, że Pohl bardzo się przejął tą fuzją.

— Też mi niespodzianka! — rzucił z przekąsem Tom. — Pewnie zamierza wystąpić z jakimiś humorystycznymi żądaniami, kiedy się z nim jutro spotkam.

— Właśnie w tym cała rzecz. Otóż nie spotkasz się z nim jutro. Kiedy Carl Pohl dowiedział się, że przyjeżdżasz, najzwyczajniej zniknął z własnego biura. Nie chce cię widzieć.

Carl Pohl zawsze odstawał od innych. Wychowywał się w fabryce Pohla. Jego matka zmarła przy

porodzie, a ojciec cały czas poświęcał •nteransom, więc nie było mowy o normalnym wychowaniu. Młody Carl stanął wobec dylematu: przebywać w domu z gderliwą nianią, albo pójść do fabryki na poszukiwanie ojca. Wybierał zawsze to drugie, ale ojca na ogół nie było. Sekretarki o czułych sercach brały chłopca za rękę. — Twój tatuś ma teraz ważną konferencję — mówiły. — Chodź, poczęstujemy cię ciastem w kantynie.

W kantynie Carl poznawał innych ludzi — brygadzystów i robot

141

ników z hali produkcyjnej. Wkrótce znał już większość pracowników Był cichym, samotnym, poważnym chłopcem, bez żadnych oznak pretensjonalności. Lubiano go za to i choć pytania, jakie zadawał wymagały bardzo obszernych odpowiedzi, to wszyscy przyznawali: — Niczego nie trzeba mu dwa razy powtarzać, chłonie wiedzę jak gąbka.

Kiedy skończył osiem lat, uznali, że jest na tyle dojrzały, by wziąć go na halę produkcyjną. Jego obecność w tym miejscu była zupełnie niestosowna. Osobom nie uprawnionym nie wolno było tam wchodzić. Ale co mogli zrobić brygadziści? — To syn szefa. Nie możemy mu dać w ucho, żeby stąd zmiatał. Ten chłopak nam nie przeszkadza.

Kiedy już przyzwyczajono się do jego obecności, Carl spędzał w hali produkcyjnej nawet soboty i całe wakacje. Jego ojciec w skrytości ducha cieszył się z tego. — Carl już niedługo pokieruje firmą — chichotał zadowolony, nie wiedząc, jakie rozczarowanie go jeszcze czeka.

W szkole Carl nie był ani geniuszem, ani osłem. — Mogłoby być lepiej — wciąż narzekali nauczyciele. Prawda była taka, że szkoła go nie pociągała. Teorie wypisywane kredą na tablicy — według niego — nie dorównywały konkretom, którymi były produkty wytwarzane w fabryce.

Mając dwanaście lat rozebrał na części czajnik elektryczny. — Zawsze tak robi — mówili brygadziści. — Wszystko, co wytwarzamy, rozkłada na części pierwsze. Pyta, jak co działa i czy nie mogłoby być lepiej.

Carl znacznie usprawnił czajnik.

Technicy Pohla przyrównali czajnik Carla do swojego najlepszego modelu, bo w czajniku Carla woda gotowała się dwanaście sekund krócej. Mimo że się starali, nie potrafili obmyślić nic nowego, co by usprawniło ich pracę podobnie jak czajnik Carla gotowanie wody.

Ów czajniki to był dopiero początek.

Mając piętnaście lat Carl rzucił szkołę i zaczął pracować w fabryce. W następnych latach usprawnił każdy produkt wychodzący z fabryki, nawet słynne maszyny drukarskie Pohla. Ojciec był z niego dumny, ale zarazem chciał, by syn szkolił się i w innych dziedzinach. — Carl, produkcja to tylko jedna część naszych interesów. Wszystko, co wytworzymy, musimy sprzedać. Chciałbyś spędzić trochę czasu jako sprzedawca?

Różni specjaliści od sprzedaży usiłowali wciągnąć Carla w arkana swej sztuki. Po sześciu miesiącach uznali się za pokonanych. — Każdy produkt ma swoje zalety i wady. Nasza praca polega na podkreśleniu

142

alet. Młody pan Carl postępuje odwrotnie. Jeśli klient doszuka się wady* Carl nie mówi o zaletach. Rozbiera rzecz na części składowe j zaczyna montować wszystko od początku — wyjaśnili staremu Hansowi Pohlwi.

Uświadomiwszy sobie, że z Carla nie będzie sprzedawcy, ojciec wziął go na stronę i rzekł: — Carl, prowadzimy duże przedsiębiorstwo. Chciałbym, żebyś się czegoś nauczył o przepływie gotówki, obliczaniu zysku, sprawozdaniach bilansowych i finansach. — Trzy miesiące później główny księgowy Pohl Organization meldował: — Młodego pana zainteresowanie finansami ogranicza się tylko do sprawy kosztów. O reszcie nie ma ochoty nic wiedzieć.

Hans Pohl zmuszony był przyjąć do wiadomości to, co inni już od dawna wiedzieli: Carl jest znakomitym wynalazcą i projektantem, ale nigdy nie pokieruje przedsiębiorstwem.

W tym czasie legendarny Hans Pohl był już tylko cieniem samego siebie. Niewiele pozostało mu życia. Wezwał swoich sześciu dyrektorów, którzy pomogli mu odbudować zakład po wojnie. —

Wszyscy znacie się na robocie — powiedział im — więc możecie sami pokierować zakładem. Chciałbym was tylko prosić, żebyście dali Carlowi wolną rękę we wprowadzaniu wszelkich innowacji. Wierzcie mi, ten chłopak jeszcze zadziwi świat.

W miesiąc później, kiedy Hans Pohl umierał, wezwano do jego łoża generalnego dyrektora Pohl Organization, Waltera Hollenberga, który był również najbliższym przyjacielem seniora. Hollenbergowi ulżyło na duszy, kiedy zobaczył, że Hans Pohl ze spokojem przyjmuje zbliżającą się śmierć. „Dlaczego miałoby być inaczej?” — pomyślał Hollenberg przypominając sobie, jak dzielnie Hans stawiał czoło gestapo. Coś więcej niż odwagę można jednak było wyczuć w zachowaniu starego Pohla. Wyciągając ku Hollenbergowi słabą dłoń, uśmiechnął się z triumfem. — Walterze — powiedział cicho — był u mnie Maurice. Przrzekł mi solennie, że moje nazwisko zawsze będzie wizytówką firmy. Nazwisko Pohl nigdy nie zniknie z jej nazwy.

Kiedy Tom przybył do fabryki, Walter Hollenberg, którego ściągnięto niemal siłą, był już na miejscu. Tom przyjechał z hotelu taksówką. Przy głównej bramie przedstawił się strażnikowi, którzy tak dobrze posługiwali się angielskim, że Tom poczuł się zawstydzony swoim niemieckim ze szkolnej ławy. Mimo to na dźwięk słów „Mister Lambert from London” wrzucili tylko ramionami. Kiedy się jednak dowiedzieli, że reprezentuje „Herr Stantona”, zerwali się jak oparzeni rzucili do telefonów, by zaanonsować przybycie pana Lamberta, owstało spore zamieszanie. Z bramy głównej Tom został przekazany

143

pod eskortą do działu organizacyjnego, skąd podekscytowana urzędniczka zaprowadziła go na najwyższe piętro, oddając go tam w ręce sekretarki o zaróżowionej twarzy. Wszędzie czuło się panikę. Poproszono Toma, aby zaczekał w sali posiedzeń zarządu, w którym na honorowym miejscu wisiał portret starego Hansa Pohla. Poczestowano go kawą i ciastem. Przewinał się cały korowód dziewcząt, które pojawiały się i znikaly, informując go: „Herr Muller zaraz tu będzie”, „Herr Leiber już tu idzie z lakierni”, „Herr Bertels właśnie kończy konferencję i wkrótce się zjawi”. Wreszcie pojawili się wszyscy naraz — Muller, Bertels, Leiber, Siegrist, Zaisser i Herrstadt — cały zarząd Pohl Organization pod wodzą przygarbionego starego Waltera Hollenberga.

— W imieniu nas wszystkich — zaczął Hollenberg w języku angielskim z ledwie wyczuwalnym akcentem — witam pana jako przedstawiciela naszego szanownego patrona, pana Stantona, któremu wszyscy zawdzięczamy tak wiele...

Odczekawszy chwilę, Tom przerwał to przemówienie w chwili, gdy uznał, że to możliwe. — Usiądźmy, panowie — rzekł wskazując długi stół.

Usiedli, spoglądając z zakłopotaniem na Hollenberga, którego wybrali na rzecznika.

Kiedy starzec zajął miejsce za stołem, wyjaśnił, że choć jest już emerytem, to jednak koledzy korzystając z tego, że mieszka w pobliżu, byli uprzejmi zaprosić go tutaj jako tego, który całe życie poświęcił Hansowi Pohlowi i jego przedsiębiorstwu.

Pod nieobecność Carla, poprosili Hollenberga o reprezentowanie ich firmy.

— Znam Carla od małego — mówił. — Koledzy mieli nadzieję, że Carl mnie posłucha. — Hollenberg popatrzył na Toma z wyrzutem. — Carl bardzo się przejął ostatnią decyzją pana Stantona. Sądziliśmy, że nasza firma na zawsze pozostanie w ręku Pohla...

Tom przyglądał się pozostałym członkom dyrekcji. Wszyscy byli młodsi od Hollenberga, na ogół w wieku czterdziestu lat. Wyglądali na kompetentnych, lecz teraz na ich twarzach malował się lęk.

— Proszę mnie nie posądzać o brak szacunku dla pana, panie Lambert — ciągnął wążąc każde słowo Hollenberg — ale pomyśleliśmy, czy nie byłoby lepiej, gdybym najpierw porozmawiał osobiście z panem Stantonem.

— Czy mógłby mi pan dokładnie wyjaśnić, o co chodzi? — spytał Tom.

Hollenberg spojrział na pozostałych, szukając u nich wsparcia.

144

Dotknął krawatu, odchrząknął i rzekł: — Od czasu ostatniego spotkania z panem Stantonem, kiedy zapadły te decyzje, Carl był jakby nieswój...

Ze słów starca wynikało, że po powrocie z wyspy Carl zupełnie zamknął się w sobie.

— Mieszka samotnie. Zawsze był odludkiem, nawet za życia swego ojca...

Po tygodniowej nieobecności Carl Pohl pojawił się w biurze.

— Był jakby nieobecny, zamyślony, ale u niego to rzecz zwykła. Na ogół to znaczy, że pracuje nad czymś nowym...

Tak więc zamyślenie Pohla nie zwracało szczególnie niczyjej uwagi.

— Trwało to do czasu, aż dowiedział się, że pan tu przyjeżdża. Wczoraj zwołał kolegów... — Hollenberg wskazał na zebranych — i oświadczył nam, że odchodzi. Powiedział przy tym sporo przykrych słów.

— Jakich?

Odpowiedział Bertels, niski, krępy, siedział przy końcu stołu:

— Carl stwierdził, że pan Stanton złamał przyrzeczenie dane jego ojcu. A potem wyszedł.

Zwyczajnie odszedł.

— To znaczy złożył rezygnację?

Bertels wzruszył ramionami. — Trudno powiedzieć. Kiedy dzwoniłem do Waltera, też mnie o to spytał.

— Gdy o tym usłyszałem — przerwał Hollenberg — udałem się natychmiast do Carla. Pakował torbę podróżną. Był bardzo przygnębiony. Powiedział mi: „Walter, moja noga nie postanie w fabryce, dopóki tam będzie przebywał pan Lambert. Wróć, gdy tylko wyjedzie. A jeśli zostanie tu dłużej, nie czekajcie na mnie”.

Tom nie dając poznać po sobie, jak bardzo to oświadczenie go poruszyło, wspomniał słowa Hallera: „Carl może odejść, dokąd zechce — do Philipsa, Siemensa, IBM...”

— Czy panowie wiedzą, dokąd wyjechał?

Pomarszczona twarz starca ożywiła się uśmiechem. — Udał się na wędrowkę. By wszystko przemyśleć. Wyjechał do Schwarzwaldu.

W godzinę później Tom zakończył spotkanie. Korzystając z zacisznego biura, jakie mu przydzielono, zadzwonił do Aleka w Londynie. Alec nie mógł uwierzyć w jego słowa. — Udał się na wędrowkę? Czubek z niego, czy co? I nie masz z nim żadnego kontaktu?

Alec był zdania, że Tom powinien natychmiast wrócić do Londynu.

— Nie możesz tam dłużej siedzieć. Ten afront podważa twój autorytet. Pozostając tam dłużej, wyjdiesz na głupca. Wracaj. Za-azWoń do Stantona i powiedz mu, by go solidnie objechał.

Zemsta

145

Torna jednak kuśił pobyt w Hanowerze. Był wściekły podobnie jak Alec, ale nie miał ochoty dzwonić do Stantona. Byłoby to przyznaniem się do porażki.

— Sam nie wiem, co robić. Może rozejrzę się trochę dokładniej p0 fabryce pod nieobecność Pohla. Mam szansę poznać bliżej Bertelsa i pozostałych. — Zdecydował się. — Tak, zostanę tu, Alec. Zostanę jeszcze kilka dni.

Te kilka dni przeciągnęło się do dziewięciu. Dziewięć dni i nocy w Hanowerze i ani śladu Pohla. Przez cały tydzień chodził do fabryki. Był to olbrzymi zakład z niezwykle szerokim programem produkcyjnym. Przed wojną wytwarzali maszyny drukarskie. Po wojnie, kiedy niemiecka gospodarka leżała w gruzach, alianci postanowili, że Pohl będzie produkować tak bardzo wówczas poszukiwane części radiowe. Kiedy już to zaczęli, Pohl pokusił się o montaż również odbiorników. Następnie podjął się produkcji magnetofonów, potem telewizorów i urządzeń gospodarstwa domowego, takich jak żelazka na parę, czajniki elektryczne, ekspresy do kawy, i to wszystko obok produkcji zasadniczej, jaką było wytwarzanie sprzętu biurowego.

Fabryka wywarła duże wrażenie na Tomie. Zajmowała powierzchnię siedemdziesięciu akrów, była nowoczesna i dobrze zarządzana. Stosunki między załogą a kierownictwem układały się dobrze. Robotnikom dobrze płacono, byli dumni ze swego przedsiębiorstwa. Jednak to nie Carlowi zakład zawdzięczał tę dobrą organizację. Decyzje podejmowali Leiber, Berteis i Müller, a pomagali im

Siegrist, Zeisser i Herrstadt.

Pod koniec tygodnia Tom orientował się w walorach i brakach przedsiębiorstwa. Wytwarzano zbyt różny asortyment. Program produkcyjny był zbyt szeroki. Podejmowano się wytwórstwa coraz to nowszych modeli nie dlatego, że rynek ich potrzebował, lecz dlatego, że Pohl akurat coś nowego obmyślił. Nikt nie potrafił powiedzieć Pohlowi: „Jeśli wydamy pieniądze na wdrożenie tej nowości, to zabraknie nam forsy na inne rzeczy”. — Program produkcji wymagał uporządkowania.

Tom powiedział o tym Leiberowi, a on odparł: — Pan Carl nigdy na to nie przystanie. Pohl Organization słynie z innowacji.

Tom chciał dodać: „Zgoda, ale po co drugi raz wynajdywać koło! Powstrzymał się jednak.

Co wieczór zabierał z sobą różne materiały do przestudiowania w hotelu. Jedząc sam kolację, zagłębiał się w plany produkcji) wyliczenia kosztów i prognozy zysków. Jedna rzecz mu ciągle umykała

146

jslie potrafił zrozumieć intencji Carla Pohla. Ciągle krążył wokół zrozumienia tego człowieka — ale postać Carla Pohla ciągle pozostawała nieuchwytna, co doprowadzało Toma do szewskiej pasji. W końcu postanowił skorzystać z pomocy eksperta, czyli Waltera Hollenberga, który znał Carla jak nikt inny. Tom zaprosił go w niedzielę na obiad do hotelu.

— Niech mi pan powie — powiedział na wstępie — czy potrafiłby pan wymienić wszystkie wynalazki Carla?

Tym pytaniem od razu trafił w sedno sprawy. Hollenberg był zachwycony. Mówił o swym pracodawcy podczas całego obiadu. Oczy błyszczały mu dumą, kiedy opowiadał o Carlu.

Hollenberg wywarł na Tomie korzystne wrażenie, poczuł do niego sympatię. Mimo podeszłego wieku miał nadal bystry, przenikliwy umysł. Nic dziwnego, że stary Hans polegał na jego zdaniu, a Carl szedł przeciw w ślady ojca.

Hollenberg nie komentował komplementów, jakie usłyszał od Toma, powiedział skromnie: — Staram się pomagać, gdy mogę. W wielu sprawach Carl jest tak bystry, że nikt się z nim nie może mierzyć. Czasami jednak zupełnie zwykłe sprawy, takie, na które ja czy pan nie zwrócilibyśmy uwagi, są dla niego nie do przeskoczenia.

Tom uśmiechnął się. — Może powinien znaleźć sobie odpowiednią żonę?

Śmiech Hollenberga zabrzmiał jak suchy kaszel. — To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Carl i kobiety! Prędzej w Renie popłynię czerwone wino.

Tom starał się być przekonujący. — Potrzeba wprowadzenia zmian nigdy nie wygaśnie — mówił.

— Jeśli mnie nie uda się zreorganizować tych przedsiębiorstw, to Stanton znajdzie innego. Carl nie będzie mógł wiecznie się ukrywać. Damy mu wybór. Albo złoży rezygnację, albo spróbuje dostosować się do nowej sytuacji. Oczywiście, przyszłość będzie inna. Inna nie znaczy gorsza. Jeśli obu stronom nie zabraknie dobrej woli, przyszłość może okazać się lepsza.

Hollenberg słuchał uważnie, przymrużywszy oczy. Pił powoli kawę, Palił papierosa i milczał.

Sfrustrowany Tom błędził wzrokiem po sali. Wcześniej większość stolików była zajęta. Teraz, po lunchu kelnerzy uprzętały zastawę, nakrywali do kolacji. Tylko jeszcze jeden stolik był zajęty.

Siedziało nad kawą dwoje młodych ludzi. Widok tej pary pogłębił w Tomie Poczucie osamotnienia. Sam w obcym mieście, w obcym kraju, bez szans na załatwienie czegokolwiek...

147

Nerwowo zabębnił palcami o blat stołu. — Czy Carl zechce złożyć-rezygnację?

Starzec westchnął i potrząsnął przecząco głową. — Nie wydaj mi się. Carl jest zbyt dumny, by dobrowolnie opuścić Pohl Organization. Uczyni to tylko pod przymusem. Nie wydaje mi się by odszedł z własnej woli.

— Czego chce w takim razie?

Hollenberg ściągnął brwi i milczał. Po chwili rzekł: — Carl pod pewnym względem to nader

smutna postać. Nigdy nie był zbyt blisko związany z ojcem. Stary Hans był zawsze zajęty, a Carl...

No cóż, Carl na swój sposób... idealizował ojca. — Cień zamyślenia pojawił się w oczach

Hollenberga. — Starego Hansa można było idealizować, to był naprawdę wielki człowiek. Carl wyrastał w jego cieniu. Podświadomie chciał ciągle konkurować z ojcem. Nie bezpośrednio. Hans był urodzonym przywódcą, organizatorem, administratorem. Carl nie ma w sobie żadnego z tych przymiotów, ale w innych dziedzinach jest niezastąpiony i o tym wie. Hans zmienił wielu ludziom życie, dał im pracę... Ale pewnego dnia to Carl mógłby swoimi wynalazkami zmienić ludziom życie na całym świecie — Hollenberg uśmiechnął się smutno. — Gdy do tego dojdzie, Carl po raz pierwszy poczuje się godnym następcą swojego ojca.

Tom odchylił się na oparcie krzesła. Pomyślał, że wreszcie zobaczył jakieś światełko. — A gdybym tak — rzekł z wolna, formułując dopiero w myślach pewien pomysł — pomógł mu w osiągnięciu tego celu, to czy mógłbym liczyć na pana poparcie?

— Uczynię wszystko dla Carla. Tom uśmiechnął się: — Czyli zgoda.

Hollenberg zawahał się. — Nie wyraziłem jeszcze zgody. — Popatrzył na Toma w zamyśleniu, z wyrazem zatroskania. — Chciałbym być z panem szczerzy, panie Lambert. Zawsze żywiłem wiele szacunku dla pana Stanton. Chciałbym zadowolić zarówno jego, jak pana... Ale, musi pan wiedzieć, że Hans był dla mnie niby brat. Łączyła nas wielka przyjaźń. Teraz dla Carla stałem się przyszywanym wujem.

— Rozumiem.

Hollenberg kręcił się niespokojnie na krześle. — Chodzi o to, że z pewnością panu pomogę, by pan mógł pomóc Carlowi. Lecz powiem szczerze: dla mnie ważniejsze są interesy Carla niż pana Stanton lub pana, panie Lambert.

Tom rozpromienił się. — Czy Carl o tym wie? Czy zdaje sobie

148

sprawę, że bez względu na okoliczności znajdzie w panu oddanego rzecznika?

— Tak, jestem o tym przekonany.

— Panie Holleneberg — Tom pochylił się nad stołem i ujął dłoń starca — myślę, że dał mi pan klucz do rozwiązania moich problemów.

— Przeanalizujmy to jeszcze raz — rzekł Alec. — Edwards będzie cię zwalczał do upadłego.

— Owszem, nadal boczy się na mnie — przyznał Tom.

— Amiens domaga się rzeczy niemożliwych.

— Ze względu na Yvonne. To ona ma ambicje.

— A Pohl nie chce nawet z tobą rozmawiać — Alec rozłożył bezradnie ręce. — Kiedy w końcu przyznasz, że tracimy niepotrzebnie czas?

— Ale Carl Pohl usłucha rad starego Hollenberga. Możemy wiele osiągnąć, jeśli uda się nam przeciwną go na naszą stronę.

— O ile się uda — stwierdził ponuro Alec. — A co z Amiensem?

— Wszystko zależy od Yvonne. Wiele się nad nią zastanawiałem. Ona jest częścią szwajcarskiego establishmentu, ma koneksje wśród tamtejszych zasiedziałych biznesmenów. Amiens jest cholernie dobrym organizatorem, ale ona jest jego mózgiem, który obmyśla strategię. Yvonne, co zresztą sama z dumą podkreśla, wywodzi się z Bouvierów. Będę musiał dać jej coś takiego, na czym bardzo jej zależy.

— Wiemy, czego ona się domaga.

Tom wzruszył ramionami. — Ale znajdę jej coś zastępczego.

— A Edwards? Nie wycofa swojego sprzeciwu.

— Może jednak wycofa — powiedział z nadzieją Tom — jeśli mu urządzę dwutygodniowe pranie mózgu. Lecę z nim do Stanów. Właśnie dziś do niego dzwoniłem w tej sprawie.

Alec uniósł w zdziwieniu brwi. — O! To mi przypomina prawdziwe polowanie.

— Wchodzenie z nim w otwarty konflikt nic nie da — wtrąciła z dezaprobatą Barbara, podając Alekowi kawę.

Tom roześmiał się. Barbara opowiedziała się po ich stronie. Będąc osobą lojalną, czasami błędnie tłumaczyła krytyczne stanowisko Aleka jako brak solidarności z Tomem. Nic bardziej rozumującego się z Prawdą. Zastrzeżeń, które Alec wysuwał prywatnie, nigdy nie głosił Publicznie.

Dotychczas odwiedził osiem z przeznaczonych na sprzedaż Przedsiębiorstw i w przypadku dwóch już rozpoczął pertraktacje. Rozmowy były daleko zaawansowane. Sekretariat Barbary nabrał

149

>ycia, o czym świadczył nieustanny stukot maszyn do pisania, przy których siedziały nowo zatrudnione maszynistki przepisując najnowsze dokumenty.

Tom sięgnął po stojący na biurku terminarz. Dwa tygodnie z Edwardsem w Stanach, potem jeszcze kilka dni, by ostatecznie dopiąć sprawę. — Muszę koniecznie spotkać się raz jeszcze z Holenbergiem. Ale prywatnie, u niego w domu. Przydałaby się też jeszcze jedna pogawędka z Yvonne. — Zmarszczywszy czoło, odfajkowywał dni w kalendarzu. — Jeśli uporam się z tym wszystkim do dwudziestego ósmego, to na trzydziestego zwołamy posiedzenie ogólne.

Barbara podniosła wzrok znad notatnika. — Czy spotkanie odbędzie się tutaj?

Zmarszczki na czole Toma nie wygładziły się. Nie zastanawiał się dotychczas nad miejscem takiego spotkania, lecz kiedy Barbara o to spytała, wiedział, że Londyn nie jest najwłaściwszym miejscem. Amiens i jego żona byliby urażeni. Odebraliby to jako wyzwanie.

— Nie — rzekł z wolna. — Lepsza będzie wyspa Kariakos. Dodzwonienie się na Kariakos trwało ponad godzinę. Wreszcie

w słuchawce odezwał się donośny głos Stanton: — No i jak? Już się martwiłem...

Rozmawiali długo, co najmniej pół godziny, mówił głównie Tom. Stanton tylko przytakiwał. Bez wątpienia, był mocno podekscytowany. Wreszcie spytał: — Myślisz, że ci się uda, Tom?

Tom zastanawiał się nad odpowiedzią. Gdyby nawet udało mu się zrealizować plan, którego kontury już się rysowały, szanse na powodzenie ciągle nie wyglądały najlepiej. — Jak brzmiało to greckie słowo, które kiedyś wymieniłeś?

— Polymichanos — odparł śmiejąc się Stanton. — Będę cię teraz nazywał mister Polymichanos.

— Jeśli uda mi się wszystko przeprowadzić pomyślnie, zasłużę sobie na tytuł szlachecki. Będziesz musiał zwracać się do mnie sir Polymichanos.

Ukołyszany równomiernym szumem silników Tom leniwie przebiegał w myślach wydarzenia ostatnich tygodni. Amerykę miał już za sobą, wydawała się coraz bardziej odległa. W ciągu ostatnich piętnastu dni odbył wraz z Edwardsem niezliczoną ilość spotkań.

Gdzie tylko się pojawili, wszędzie obsypywano Edwardsa pochwałami. Zasłużonymi, zdaniem Toma. W ciągu ostatnich pięciu lat Edwards wykroił całkiem pokaźną niszę na tamtejszym rynku. Zatrudniał zręcznych dystrybutorów, zapewniał dobrą reklamę, stworzył sprawny

150

serwis. Tom utwierdził się we wcześniejszych przewidywaniach o tym człowieku. Z dala od fabryki Edwards stawał się zupełnie inną osobą. Nawet w Ameryce wysoko ceniono jego znajomość marketingu, a przecież tam właśnie powstało to słowo.

To były pozytywy. Po stronie negatywów Tom musiał odnotować brak postępu w przełamaniu bariery dzielącej go od Edwardsa w sprawie scalenia. W towarzystwie dystrybutorów Edwards bardzo ciepło przedstawiał go jako „kolegę z Londynu”, ale prywatnie nie odstępował od swoich zapatrywań na sprawę, był nieugięty.

Tom westchnął. Spojrzał na zegarek. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Za dwadzieścia cztery godziny rozpocznie się posiedzenie zarządu. Jeśli zawiodą go zdolności przekonywania, Maurice Stanton będzie się musiał opowiedzieć po którejś ze stron. Ale czy to uczyni?

Tom zasepił się. Amerykańska konkurencja łożyła olbrzymie sumy na badania i rozwój. Bouvier i Pohl oraz Excel i Bolton sprostają im tylko pod warunkiem, że połączą siły. Ale to jeszcze nie wszystko. Pohl, który wytwarza najlepsze w świecie maszyny drukarskie, na rynku amerykańskim jest prawie niedostrzegalny. Tom zapytał o to Edwardsa. Desmond wzruszył ramionami:

„Dystrybutorzy Pohla śpią”. Sytuacja Bouviera przedstawiała się niewiele lepiej. Największy rynek na świecie, a Pohl i Bouvier są tam nieobecni!

Otworzyły się drzwi od kabiny i pojawił się Gregg Richards. — Za piętnaście minut lądujemy w Atenach, panie Lambert. Czy podać jeszcze kawę?

Tom podziękował. Z rozbawieniem przypomniał sobie, że jeszcze przed dwoma tygodniami wąpił w celowość posiadania prywatnego odrzutowca, uważając go za zabawkę dla bogaczy. Teraz learjet stał się narzędziem jego pracy. Pięć dni wcześniej leciał nim do Hanoweru na spotkanie z Hollenbergiem, a potem do Genewy na prywatne zaproszenie Yvonne Amiens.

Hollenberg był mile zaskoczony. — Mam polecieć na Kariakos? Po co? — zapytał zdziwiony.

— Carl może potrzebować pana rady, a pan Stanton z przyjemnością spotka się z panem.

Yvonne nie skrywała podejrzliwości. — W co znów ty grasz? Po co ja tam jestem potrzebna?

— Desmond przyjedzie z ojcem, Carl będzie miał swojego doradcę. Dlaczego więc André miałby znaleźć się w gorszej sytuacji? On wysoko ceni twoje zdanie, wszystko z tobą omawia, więc tak czy inaczej, będziesz miała w tym swój udział, bez względu na wynik.

151

— Przedstawiliśmy ci nasze warunki. Nie ulegną zmianie!

Tom uśmiechnął się teraz złośliwie na wspomnienie tamtej ostatniej rozmowy. Yvonne na pewno przyjedzie. Zbyt była zaintrygowana. Wszyscy się tam stawiają: Desmond i sir Bernard, Carl Pohl i Hollenberg, Yvonne i André.

Zagryzł wargi. Dziś będzie jadł kolację tylko w towarzystwie Maurice'a i Giinthera Hallera. Dziś przedstawi im swój plan...

— Życzę powodzenia — powiedział Alee, podając mu rękę na pożegnanie. — Jeśli to będzie możliwe, z pewnością się uda.

— Na pewno się panu powiedzie! — zawołała Barbara, nieoczekiwanie uściskawszy go na pożegnanie. — Będziemy z niecierpliwością czekać na pana powrót.

Uśmiechnął się. Myśląc o Barbarze, przypomniał sobie medalion. Spojrzał na pasek u spodni. To był pomysł Barbary, by przerobić medalion od Greka na klamrę do paska. Całkiem zapomniał o tym medalionie i dopiero oddając ubranie do pralni, znalazł go w kieszeni. Przypomniał sobie zdarzenia w tawernie — skaczących z balkonu uciekinierów, wpadających do środka żołnierzy, strach na twarzy dziewczyny i odważną postawę Constantina. Tom wziął kiedyś medalion do biura. Ważąc go w dłoni, poczuł się winny. — Nie powinienem był go wówczas przyjmować. Ale może nie jest szczególnie cenny...

Był. Barbara zaniósła medalion jubilera. — To złoto — powiedziała po powrocie. — Jubiler pyta, czy go pan sprzeda.

Nie mógł go sprzedać. To był dar od odważnego człowieka. — Ale przecież nie będę go nosić. To nie mój styl.

I Barbara zaniósła medalion powtórnie do jubilera, by go przerobił na klamrę do paska.

Dotknął kieszeni, by wyczuć pod palcami podłużny kształt. Kupił zegarek, by uspokoić sumienie i odwzajemnić się Constantinowi.

Kiedy podskakując na nierównościach drogi jeep wyjeżdżał z lotniska Hellenikon, ponownie sprawdził, czy ma w kieszeni pudełko z zegarkiem. Gregg prowadził ze zwykłą nonszalancją — jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą wskazywał miejscowe ciekawostki. Bardziej niż poprzednio Toma uderzyły kontrasty. Oślepiająco białe budynki przyciągały wzrok. Stragany z kwiatami na skrzyżowaniach mieniły się feerią barw. Białe marmury Partenonu wznosiły się dumnie na szczycie Akropolu, a woda z fontann na placu Konstytucji tryskała łukami strumieni. W parkach stały stoliki osłonięte niebieskimi parasolami, pod którymi popijano kawę. Miasto sprawiało wrażenie spokojnego, odprężonego, a jednak... W cieniu jakiejś bramy załśniła stal hełmu. Z bocznej uliczki wytoczył się transporter opancerzony

152

jakiś żołnierz w cieniu drzew przekładał karabin z jednego ramienia na drugie...

„Może to tylko sprawa mojego nastroju. Cały jestem spięty w oczekiwaniu na spotkanie ze Stantonem” — myślał Tom. Im bardziej się jednak przyglądał, tym więcej dostrzegał tych szczegółów pod pozorami zwykłego miejskiego życia. Miasto tkwiło w żelaznym uścisku wojska. W Pireusie było jeszcze gorzej. W dokach kręciło się mrowie uzbrojonych żołnierzy. Więcej też

było widać pomalowanych na ciemny brąz wojskowych tankietek niż rolniczych furgonów. Na każdym kroku dawało się odczuć groźną obecność wojska. Przechodnie o poważnych twarzach w pośpiechu mijali ulice, nie rozglądając się na boki.

W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy Tom widział z tuzin miast, ale w żadnym nie panowała tak napięta atmosfera, jak w Atenach czy Pireusie. Nawet w jeepie czuł się nieswojo pod spojrzeniem patroli wojskowych. Z coraz większym niepokojem myślał o potężnym Greku, który kiedyś był prawnikiem, a teraz karczmarzem.

— Jak się miewa Constantin? — zapytał Gregga.

— On jest nie do zdarcia.

Po chwili wjeżdżali już w wąską uliczkę z domami o jasnych, odpadających tynkach. Wskazując tawernę, Gregg powiedział: — Wrócę tu za godzinę. Czy chce pan, bym pana ponownie przedstawił?

— Nie, poradzę sobie. Na razie!

Tom rozsunął zasłonę z koralików i zamrugnął oczami chcąc przyzwyczaić wzrok do panującego we wnętrzu chłodnego cienia. Constantin stał przy barze. Potężny Grek podniósł wzrok i spojrzał na niego, po chwili go rozpoznał. Otworzył szerzej oczy, a jowialny uśmiech okraszył mu twarz.

Pośpieszył na powitanie gościa. — A nie mówiłem, że pan wróci? — zawołał wyciągając do Toma rękę. Widać było jego autentyczną radość z tego spotkania. Pochwyciwszy dłoń Toma, pociągnął go w stronę kuchni. — Melinda! — zawołał. — Popatrz! Pan Lambert przyjechał. A nie mówiłem, że wróci?

Ładna dziewczyna, którą Tom pamiętał z poprzedniego pobytu, wybiegła z kuchni z rozpromieniona twarzą. Constantin przyciągnął ją do siebie.

— To Melinda, moja żona — przedstawił ją Tomowi, po czym zaprowadził go na balkon. Tutaj spochmurniał. — A gdzie medalion, który panu dałem? Pan go nie nosi?

Tom rozchylił marynarkę i pokazał pasek od spodni. — Spodziewam się, że się pan nie obrazi. Kazałem go przerobić na klamrę. Tak Jest... bardziej po angielsku.

T — A, to co innego! — uśmiech powrócił na twarz Constantina. — eraz jesteś moim bratem!

153

Mocne ramiona otoczyły Toma w niedźwiedzim uścisku. Melinda odsuwała krzesło od stołu.

Zanim usiadł, Tom sięgnął do kieszeni. — Chciałbym się zrewanżować takim drobiazgiem.

— To dla mnie? — wielki Grek wydawał się zaskoczony. Otworzył pudełko i oczy mu się rozszerzyły na widok zegarka. Podniósł go za pasek do góry, podziwiając z zachwytem. — Ładny drobiazgi! Wspaniały!... — powiedział i przeszedł na język grecki, zalewając żonę potokiem słów. Kazał jej zapiąć sobie zegarek na przegubie, patrząc z zachwytem, gdy załśnił w słońcu.

Przekrzykując się wzajem, spoglądali na Toma z wdzięcznością. Poczuli się trochę niezręcznie, bo choć cieszyła go ich radość, żałował, że nie ma prezentu dla żony Constantina. — Powinienem był się domyślić. Następnym razem przywiozę coś dla Melindy.

— Nie, nie — zaprotestował Constantin tłumacząc słowa Toma żonie i przekładając zaraz na angielski jej szybką odpowiedź. — Ona mówi, że już otrzymała prezent. Nie przypuszczała, że jeszcze cię kiedykolwiek zobaczy.

Potem było jak na rodzinnym zjeździe. Constantin przyniósł z baru retsynę, a rozpromieniona Melinda zastawiła stół różnymi przysmakami. Bardzo się cieszyli z tego spotkania.

— Pamiętasz, jak było ostatnim razem? — uśmiechnął się Constantin. — Siedziałeś właśnie tutaj, kiedy wpadli żołnierze. Niewiele brakowało do nieszczęścia.

Incydent, który powoli zacierał się w pamięci Toma, dla nich był jak świeżo położona farba.

Constantin przypominał różne scenki tamtego wydarzenia, Melinda przyglądała się im ciemnymi, załkzionymi oczyma. Okazało się, że dwóch uciekinierów było braćmi Melindy, a trzeci był wujem Constantina. — Teraz przebywają z przyjaciółmi w górach — powiedział Constantin, podnosząc kieliszek. — Brak nam ich, ale dzięki tobie są bezpieczni.

Podczas posiłku zamęczali Toma pytaniami, jak jest za granicą-Odpowiadając im, zarazem się dowiadywał, co dzieje się w Grecji-Najwięcej kłopotu sprawiło mu pytanie, które zresztą kryło się

w podtekście każdego innego: — Co Brytyjczycy sądzą o rządzącej w Grecji juncie wojskowej? Nie miał pojęcia. Zasypany lawiną pytań, czuł się nieswojo. Miał swoje własne problemy. Za kilka godzin spotka się ze Stantonem i Hallerem. Jutro odbędzie się najważniejsze spotkanie jego życia. Nie miał czasu zajmować się innymi sprawami...

Choć przyjmowali go radośnie i ciepło, słuchając Greka Tom odnosił

154

wrażenie, że wyczuwa w nim to samo napięcie, które dostrzegł na ulicach, prawdę mówiąc, nie miał najmniejszego pojęcia, co Brytyjczycy sądzą o juncie. Wątpił zresztą, czy w ogóle tym się interesują. Zajęci własnymi sprawami jego rodacy nie mieli czasu przejmować się cudzymi kłopotami.

Starał się jednak wybrnąć jakoś z sytuacji. — Wydaje mi się, że piszą o tym trochę w gazetach. Rozczarowała ich ta odpowiedź.

Usiłował poprawić wrażenie. — Jestem pewny, że dużo się o tym pisze, tyle tylko, że ja często wyjeżdżam z kraju i nie mam czasu śledzić na bieżąco, co dzieje się w polityce.

Byli głęboko zawiedzeni. Widząc jego zakłopotanie, usiłowali pokryć rozczarowanie uprzejmością. Zmienił temat, lecz nawet gdy Constantin opowiadał dowcip, wyraz jego oczu pozostał smutny. Tom czuł, że sprawił im zawód. Polubił gospodarzy, więc gdy się z nimi żegnał, żał mu było ich zostawiać. Machając im na pożegnanie ręką, już z jeepa, zastanawiał się, co kryje się w wyrazie twarzy Constantina. Zazdrość? Zawisć, że Tom może jeździć, dokąd chce, do Anglii, Ameryki, Szwajcarii, podczas gdy Constantinowi nie wolno nawet uprawiać swojego zawodu?

— Przyjedź tu znów! — zawołał na pożegnanie Constantin.

— Przyjadę. — Tom rzeczywiście chciał tu jeszcze przyjechać. Polubił tych ludzi. Mieli w sobie coś, co go pociągało. Wiedział jednak, że to, czy jeszcze ich zobaczy, czy przyjedzie do Pireusu, będzie zależeć od wyniku jutrzejszego spotkania.

Zebrał się wokół podłużnego stołu w gabinecie Stanton. Tom usiadł u szczytu po jednej stronie, Stanton po przeciwnej. Na lewo od siebie Tom miał Yvonne i André, za nimi Günthera Hallera. Na prawo Bernarda i Desmonda Edwardsów, a dalej Hollenberga i Carla Pohla. Za Tomem stały trzy sztalugi z kartami kartonu, które przywiózł z Londynu.

Tom przez pierwszą godzinę mówił o swoich wrażeniach i przemyśleniach. Ani słowo krytyki nie wymknęło się z jego ust. Nie skarżył się na zadziorność Desmonda, nie mówił o nieprawdopodobnych żądaniach Yvonne, nie wspominał o ucieczce Pohla. Mówił natomiast o sukcesach Excela w zdobywaniu amerykańskiego rynku. Rozwodził się nad efektywnością zakładów Bouviera, wyliczał listę wynalazków k^onla. Chwalił wszystko, co się dało. Potem zaczął z wolna zmieniać rs- Robił to stopniowo, niezauważalnie. Mówił o przemyśle, o wzmożeniu tempa zmian, o potrzebie inwestowania. Przemawiał ze swadą, ynnie, bez zaglądania do notatek, z pewnością siebie cechującą

155

eksperta. Nikt mu nie przerywał. Słuchali z uwagą, w ciszy. Dopiero gdy padła nazwa Stanton Industries, słuchacze niespokojnie poruszyli się na swoich krzesłach. Pohl podrapał się po nosie, ze wzrokiem wbitym w stół. Krzesło, na którym siedział sir Bernard, zaczęło niepokojąco trzeszczeć. André Amiens przestał kreślić rysunki i zaczął gryźć koniec ołówka. Yvonne przypatrywała się z uwagą pierścionkom na palcach.

Doszedłszy do sedna sprawy, Tom rozwinął temat. — Jest rzeczą oczywistą — stwierdził — że podstawą wszelkiej ekspansji jest wzrost sprzedaży, dlatego proponuję, aby na stanowisko szefa pionu sprzedaży mianować człowieka, który się najlepiej zna na tych sprawach.

— Jeszcze jednego outsidera — przerwał sarkastycznie sir Bernard, unosząc krzaczaste brwi. — Czy może ma pan siebie na myśli?

Tom uśmiechnął się. — Powtórzę tylko to, co ciągle słyszałem podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych. Człowiek, który się najbardziej do tego nadaje, znajduje się wśród nas. Mam na myśli Desmonda Edwardsa.

Wszystkie głowy zwróciły się na wymienionego. Oczy Desmonda rozszerzyły się w zdumieniu. Twarz zaróżowiła mu się nieznacznie. Siedzący obok Desmonda ojciec również był zaskoczony. Popatrzył na syna, jak gdyby go widział po raz pierwszy w życiu.

Pohl pierwszy odzyskał głos. — Czy chce pan powiedzieć — zapytał oburzony — że Edwards będzie w Stanach sprzedawał wyroby Pohla?

— Nie tylko w Stanach — odparł spokojnie Tom. — Desmond będzie sprzedawał wyroby Pohla na całym świecie. Nawet w Niemczech. SISM zajęłoby się marketingiem wszystkich naszych towarów.

— Co to jest SISM? — przerwał Pohl.

Podszedłszy do sztalugi, Tom zdjął białą kartę. Duże czarne litery głosiły:

STANTON INDUSTRIES SALES AND MARKETING PREZES ZARZĄDU DESMOND EDWARDS

Zapadła cisza. Raptem Pohl zerwał się krzycząc: — Nie! Nie! — Hollenberg usiłował go uspokoić, a Stanton zaczął bić dłonią o blat stołu.

Kiedy zapadł spokój, pytanie postawił Haller. Dokładnie tak, jak to uzgodnili poprzedniego wieczoru. — Jeśli Desmond będzie prezesem SISMU, to kto zasiądzie w radzie dyrektorów?

— To już będzie zależec od Desmonda — odparł Tom. — Z tym, że jedno miejsce rezerwuję dla siebie. Oczywiście, SISM będzie podlega* centrali Stanton Industries, ale decyzja co do składu rady należy d° Desmonda.

156

Chwileczkę — Amiens aż poczerwieniał. — To znaczy, że hedzie sprzedawał również produkty Bouviera?

— Tak jest — kiwnął głową Tom — będzie sprzedawał wszystko, co wytwarzamy.

— A ja nie mam zagwarantowanego miejsca w zarządzie? — André zrobił się purpurowy.

— To śmieszne! — zawołała Yvonne z pałającymi oczyma.

— Wiadomo, ręka rękę myje, Anglik Anglikowi nie wyrządzi krzywdy! — prychnął pogardliwie Pohl.

Sir Bernard zerwał się na nogi. — Co ty sobie wyobrażasz? Nie miałem najmniejszego pojęcia o tym planie.

— Bierzesz mnie za idiotę? — warknął Pohl. — Cała sprawa cuchnie na odległość. — I zwracając się do Toma spytał wyzywająco: — Czy mógłbym poznać choć jeden powód, dla którego...

— Istnieje całe mnóstwo powodów, które zaraz wyłuszcze — odparł Tom — jeśli tylko zechce pan usiąść i spokojnie mnie wysłuchać.

Pohl otwierał już usta, by coś powiedzieć, ale rozmyślił się i usiadł.

— Wyroby pana firmy staną się sławne na całym świecie — zaczął Tom.

— Już są sławne — odparował Pohl.

— Zgadzam się — przyznał Tom. — Nabywcy znają to nazwisko. Lecz przemierzając ostatnio Stany od wybrzeża do wybrzeża, nie zauważyłem tam wielu produktów Pohla.

— Więc zmienię tamtejszego przedstawiciela handlowego — stwierdził Carl Pohl.

— Miał pan na to wystarczająco dużo czasu. — Tom wziął leżącą przed nim teczkę. — Tu jest kopia raportu sporządzonego w zeszłym tygodniu przez jedną z czołowych firm zajmujących się badaniem rynku. Sześciuset dyrektorom amerykańskich przedsiębiorstw zadano pytanie, czy znają nazwisko Pohl. Większość słyszała o tej firmie. Niektórzy uważają nawet, że Pohl produkuje najlepszy sprzęt biurowy. Lecz na pytanie, dlaczego w takim razie go nie używają, połowa odpowiedziała, że nie jest dostępny na amerykańskim rynku.

— Powiedziałem — przerwał lodowato Pohl — że zmienię naszego Przedstawiciela handlowego.

Zamiast odpowiedzi, Tom spojrział na Hollenberga. Starzec westchnął. — Zawsze mieliśmy kłopoty z rynkiem amerykańskim.

— A z australijskim, kanadyjskim czy indyjskim nie mieliście? Lub choćby brytyjskim i

francuskim?

Hollenberg był przygnębiony. — Zawsze mieliśmy trudności z eksportem.

- Panie Hollenberg — przerwał mu łagodnie Tom — czy zgodzi

157

iv

się pan, że głównym atutem Pohl Organization jest nie organizacja sprzedaży, lecz geniusz wynalazczy Carla Pohla?

Starzec westchnął z ulgą: — Ależ oczywiście! Nie ma drugiego takiego, jak Carl.

— Ani André! — wtrąciła ostro Yvonne. — Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy utworzenie tego... — wskazała na sztalugę — tego SISMU, bez udziału André w zarządzie?! Jak możesz...

— André w tym układzie nie będzie miał czasu — uśmiechnął się Tom. — Mówię to całkiem szczerze, Yvonne. André nie będzie miał czasu na posiedzenia w SISMIE.

— Co to znaczy, że nie będzie miał czasu?

— Chodzi o dwudziestoprocentowy wzrost sprzedaży — wyjaśnił spokojnie Tom. — A to pociągnie za sobą konieczność radykalnego zwiększenia produkcji. André będzie musiał dokonywać cudów, by temu sprostać.

— André?...

— A czy masz lepszego kandydata? Chcę doprowadzić do połączenia produkcji w jednej organizacji.

Tom podszedł do sztalugi i odwrócił drugą kartę. Widniał na niej duży napis czarnymi literami: ST ANTON MANUFACTURING PREZES ZARZĄDU ANDRÉ AMIENS

— Każdy zakład wytwórczy będzie podlegał André — Tom wrócił do stołu.

— Oprócz mojego — mruknął ze wściekłością sir Bernard. — To przecież idiotyczne! Nikt z Genewy nie będzie kierował moją fabryką!

— Fabryka pana nadal pozostanie pod tym samym zarządem — wyjaśnił cierpliwie Tom. — Ale politykę produkcyjną będzie się ustalać w Genewie. Wszyscy dyrektorzy od spraw produkcji będą podlegać André.

— To znaczy, że André będzie ich zatrudniał i zwalniał? — sir Bernard poczerwieniał z wściekłości.

— Oczywiście.

— Cóż za kretynizm! Co Amiens wie o produkcji maszyn do pisania w Coventry?

— Jeśli będzie to konieczne, może nawet przenieść stamtąd ich produkcję gdzie indziej. Będzie mógł na przykład scentralizować produkcję maszyn do pisania w Niemczech, a w Coventry wytwarzać fotokopiarki — Tom wzruszył ramionami. — Decyzja będzie należeć do niego, ale sądzę, że zechce racjonalizować produkcję.

— Czy to znaczy — sir Bernard odwrócił się i położył dłoń na

158

ramieniu Desmonda — że mój syn będzie jeździł po świecie sprzedając słynne maszyny do pisania z Coventry, które w Coventry nie będą wytwarzane?

.— A co jest ważniejsze — uśmiechnął się Tom — miejsce produkcji Czy konkurencyjność na rynku? Sądzę, że Desmond potrafiłby nam odpowiedzieć na to pytanie.

Ale Desmond milczał. Wpatrywał się w tablicę. Widać było na jego twarzy entuzjazm dla pomysłu Toma. Oczy jaśniały mu z podniecenia. Zaabsorbowany rozmachem przedsięwzięcia, nie miał ochoty wdawać się w jałowe spory o szczegóły.

Zdegustowany brakiem poparcia ze strony syna, sir Bernard poszukał wsparcia gdzie indziej. — Maurice, ty chyba nie zgodzisz się na ten nonsens?

— Jeszcze chwilę, Bernard — odparł spokojnie Stanton. — Tom jeszcze nie skończył.

— Kto jeszcze zasiądzie w zarządzie Stanton Manufacturing? — wtrąciła Yvonne.

— Ja — odparł Tom. — Podobnie jak w przypadku zarządu Desmonda, będę sprawował funkcję koordynatora, poza tym André będzie miał wolną rękę.

Tom ponownie podszedł do sztalugi i zdjął wierzchnią kartę. Pod spodem znajdował się szkic architektoniczny. — Centrala Stanton Manufacturing znajdzie się w Genewie. Zwiększona liczba personelu będzie wymagać obszerniejszej kwatery...

Yvonne już nie słuchała. Zaróżowiona z emocji, wpatrywała się w szkic architektoniczny. Różnił się nieco od oryginału — były tylko dwie wieże, a nie trzy, jak w projekcie pierwotnym, ale i tak efekt był znakomity, aż pokraśniała z zadowolenia.

Na widok tego szkicu Pohl zerwał się z miejsca, chcąc opuścić zgromadzenie. — A więc takie są twoje przyrzeczenia?! — warknął wzgardliwie do Stanton'a. — Mój ojciec całe swe życie poświęcił firmie. Nazwisko Pohl miało pozostać przy niej na zawsze. Przyrzekałeś to, a teraz!...

Nazwisko Pohl dzięki temu stanie się jeszcze bardziej sławne — Powtórzył cierpliwie Tom.

Pohl odwrócił się do Toma. — Taak? Edwards ma być szefem sprzedaży, Amiens produkcji, a co, u diabła, ja będę robić? -j. To, do czego nikt z nas nie ma talentu — odparł spokojnie °m. Już od ponad godziny nie siadał, odpowiadając na lawinę pytań, . 5 na(iał panował nad sobą. — Dlaczego pan nie usiądzie? Potrzebuję Uku minut, by to wyjaśnić.

159

Nie chcąc narazić się na śmieszność, Pohl zawahał się.

Z pomocą przyszedł mu Hollenberg. — Carl, posłuchajmy, jakie pan Lambert ma dla nas propozycje. To z pewnością nie potrwa już długo. Wysłuchanie tych słów do niczego nas przecież nie zobowiązuje.

Chociaż mars nie zniknął z czoła Carla Pohla, skorzystał z pretekstu podsuniętego przez Hollenbegr'a. — No dobrze — zgodził się ponuro, zajmując miejsce. — Ale pod warunkiem, że to nas do niczego nie zobowiąże.

Zanim ponownie podjął temat, Tom spojrzał ukradkiem na Yvonne. Oczy nadal miała utkwione w szkicu architektonicznym, a ślad zadowolenia błąkał się na jej twarzy. Rzut oka na Desmonda, który również wpatrywał się w sztalugę z wyrazem fascynacji, sprawił, że serce Toma Lamberta zaczęło bić mocniej.

Podniesiony na duchu Tom ciągnął: — Jedną z rzeczy, którą zajmowałem się w Stanach, była analiza, ile nasi konkurenci wydają na badania.

— Daremny trud — mruknął Carl Pohl. — Nie gramy w tej samej lidze.

— Zgadza się. Na przykład Xerox kompletuje na Zachodnim Wybrzeżu taki zespół naukowców, że mózg staje.

— Ale nie mój!

— Oczywiście że nie pana, bo panu ten projekt na pewno by się spodobał. Jedyne pan potrafiłby zrozumieć podejmowane przez nich badania... — Tom starał się nie mówić bezpośrednio do Pohla.

— Placówka Xeroxa w Palo Alto jest ośrodkiem naukowych dociekań, przystanią dla uczonych i technologów, którzy usiłują zgłębić problemy sztucznej inteligencji. Jest to coś pośredniego pomiędzy miasteczkiem uniwersyteckim a laboratorium. Mieszka tam ponad stu najznakomitszych technologów amerykańskich, którzy wymyślają przyszłość dla świata...

Ciągnąc dalej ten temat Tom starał się dotrzeć do wszystkich uczestników, choć w rzeczywistości bacznie obserwował Carla Pohla, który jakby stopniowo tajał. Już nie przerywał, lecz machinalnie coś rysował, udając obojętność. Wówczas Tom odłonił trzecią sztalugę i zaczął przerzucać kartki. Strona po stronie Tom prezentował zdjęcia okazałych budynków i urządzeń technicznych Xerox Research Center. Twarz Carla Pohla mogłaby uchodzić za studium koncentracji.

— Obecnie wytwarzane u nas produkty — ciągnął Tom — będą konkurencyjne jeszcze przez kilka następnych lat. Ale w niedalekiej przyszłości stracimy wszelkie szanse, jeśli nie podejmiemy podobnego programu badawczego u siebie.

160

Amiens odchrząknął. — Ale taki ośrodek badawczy kosztuje miliony dolarów.

— Dokładnie trzy miliony — potwierdził jego słowa Tom. — To znaczy sześć procent od zysków ze sprzedaży należałoby skierować na utrzymanie ośrodka.

— Sześć procent od zysków ze sprzedaży! — ostre rysy twarzy Amiensa wyrażały najwyższy niepokój. — To przecież potworne obciążenie!

— Nie obciążenie, ale inwestycja. Carl będzie musiał ściągnąć do siebie najtęższe umysły z Europy, Stanów, Japonii.

— Carl? — wtrącił sir Bernard. — Chce pan powierzyć taką sumę Carlowi Pohlowi? Przecież on się do tego zupełnie nie nadaje, nie potrafi zarządzać.

— Wynalazczością się nie zarządza — odparował Tom. — Wynalazczość się rozwija, promuje. Nawet eksperyment nieudany może być przykładem.

— No to ja pójdę z torbami! — przerwał sir Bernard. — Tworzy pan trzeci pion. Jeden sprzedaży, drugi produkcji, a trzeci to studnia bez dna!

— To nie będzie osobny pion ani przedsiębiorstwo czy korporacja, ale fundacja z kapitałem własnym na tyle wysokim, że będzie mogła przyznawać hojne stypendia. — Tom podszedł ponownie do trzeciej sztalugi. Zatrzymał się, by sprawdzić, czy Carl Pohl na niego patrzy i zdjął przedostatnią kartę odsłaniając napis:

MIĘDZYNARODOWY OŚRODEK NAUKOWO-BADAWCZY DYREKTOR CARL POHL

Krew odpłynęła Pohlowi z twarzy.

Tom powiedział: — Naturalnie, Carl będzie miał miejsce w zarządzie. W związku z tym proponuję...

Choć Pohl nie mógł oderwać wzroku od sztalugi, z wolna Przychodził do siebie. Jego twarz ponownie zaczęła nabierać kolorów.

— Proponuję — kontynuował Tom — by Carl oddelegował Waltera Hollenberga jako swojego stałego przedstawiciela na spotkania zarządu, z tego prostego względu, że konieczność angażowania się w sprawy zarządzania mogłaby kolidować z działalnością wynalazczą.

— Carl, dobrze się czujesz? — zapytał z troską Hollenberg. Pohl oddychał głęboko. Zdjął okulary, wyraz jego twarzy stał się

Wskutek tego jeszcze bardziej księżycowy. Wycierając szkła o koszulę, spytał szeptem

Hollenberga: — Co o tym sądzisz, Walter?

Tom czuł, że rozpiera go uniesienie. Wiedział, że zwycięża. Usunął Słeria bok, by nie zasłaniać żadnej z tablic.

f* Zemsta

161

Carl i Walter naradzali się szeptem.

Yvonne pochwyliła dłoń André i patrzyła mu w oczy.

Desmond z na wpół przymkniętymi oczyma wyobrażał sobie już odległe kraje, gdzie będzie sprzedawał sprzęt Pohla i Bouviera, Excela i Boltona. Każdy z nich widział przed sobą coś cenniejszego, niż miał do tej pory. Każdy mógł już zamienić dotychczasowe imperium na inne.

Nadeszła pora na Stanton. Wstał z krzesła i podszedł do Toma. Nabrał powietrza w płuca i zaczął:

— Szanować wolę ojców — oto cel, jaki nam przyświeca — powiedział na wstępie. — Mimo że wszyscy mieliśmy jak najlepsze intencje, to zmierzałyśmy w niewłaściwym kierunku. Dopiero teraz ten niezwykły młody człowiek... — położył rękę na ramieniu Toma — otworzył nam oczy. Bernard, Desmond, winienem wam jestem przeprosiny. Przyrzekłem ci, Bernard, że Desmond będzie kierował Excelem tak długo, jak tylko zechce. Ale czy spytaliśmy o zdanie Desmond? Nie. Założyliśmy z góry, że będzie czerpał z tego zajęcia tyle satysfakcji, co ty, Bernard. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w ten sposób krępiemy jego niezwykły talent...

— Carl — ciągnął dalej Stanton, przesuwając się wzdłuż stołu. — Powinienem być słuchać uważniej twojego ojca. Z pewnością nie leżało w jego zamierzeniach trzymać cię w fabryce, byś go wiernie naśladował. Kto zresztą potrafiłby zastąpić Hansa? Pragnął dać ci szansę samorealizacji w tym, w czym jesteś najlepszy, byś zyskał swoje nazwisko...

— Yvonne, cała Genewa wie, że André jest geniuszem produkcji. Czy nie czas, by dowiedział się o

tym świat?

Stanton kończył już swoje krótkie podsumowanie. Był zadowolony. Sumienie miał czyste. Tom znalazł rozwiązanie, które pozwalało uszanować zarówno przeszłe zobowiązania, jak i tworzyć nową przyszłość.

— Teraz będziemy głosować — powiedział na zakończenie Stanton. — Proponuję, by plan Toma Lamberta przyjął do natychmiastowej realizacji, bez wprowadzania zmian.

— Popieram — Haller podniósł rękę na zgodę.

Pierwszy był Desmond. Spojrzawszy na ojca i otrzymawszy od niego znak, też podniósł rękę.

Następny był Amiens. Podniósł lewe ramię, bo Yvonne nadal nie wypuszczała jego prawej dłoni.

A potem Carl Pohl uczynił to samo.

— Wniosek przeszedł jednogłośnie — oświadczył z szerokim uśmiechem zadowolenia Maurice Stanton.

1878

Opowiadając tę historię Tom się ożywił. Rysy jego twarzy się wygładziły, nienawiść zniknęła z oczu. Kiedy w pokoju robiło się chłodniej, Tom dorzucał sosnowych drewno do paleniska. W innych okolicznościach ostry zapach dymu kazałby Constantinowi wspominać czasy dzieciństwa, lecz teraz starał się o tamtym nie myśleć. Czuwał nad tym, by Tom nie przestał mówić i podsuwał coraz to nowe pytania w nadziei, że wspomnienia odległych czasów usuną z duszy Toma jad i nie pozwolą mówić o zamierzonym morderstwie. Bał się chwili, gdy zabraknie mu pytań.

— Jak cię Maurice nazwał? Sir Polymichanos? Byłem kiedyś przy tym, gdy w ten sposób do ciebie się zwrócił. Zastanawiałem się wówczas, o co mu chodzi.

— To miał być żart na nasz prywatny użytek — Tom uśmiechnął się. — Były dobre czasy — rzekł. — Budowa wielkiego przedsiębiorstwa Wyrastającego na siłę, z którą należy się liczyć.

„Dobre czasy dla ciebie — pomyślał Constantin — ale dla nie mnie.” Na głos zaś rzekł: Czy wiesz, co Melinda powiedziała, kiedy Pojawiałeś się w tawernie? „Ten człowiek z każdym dniem staje się coraz większy. Wkrótce zostanie olbrzymem.”

Tom uśmiechnął się. On też wówczas tak się czuł. Wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto. Utworzenie Stanton Industries było Przełomowym momentem w jego życiu. Duże znaczenie miała premia, Jaką za to otrzymał. Po raz pierwszy w życiu poczuł się finansowo zabezpieczony. Udziały zakupione po preferencyjnej cenie powiększyły

165

jego zasoby. Ale pieniądze same w sobie nie były najważniejsze. Stanowiły jednak papierek lakmusowy, świadczyły o prowadzonej grze, a grał dobrze...

Odgłos wiatru, który uderzył w okna, zakłócił jego myśli. Wyjrzawszy na taras, zobaczył chyboczące w wietrze latarnie. Wiatr uderzał porywami, zapowiadał sztorm. Zerknąwszy na zegarek, zdumiał się, że tak późno. — Wielkie nieba! Czy wiesz, która godzina?

Constantin miał świadomość późnej pory. Była północ. Jego ranna ongiś noga bolała go już od dawna, ale nie ruszał się z miejsca, nie chcąc przerywać wspomnień Toma.

Lecz teraz te wspomnienia zostały przerwane. Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Alec.

— Gdzieś ty się do tej pory podziewał? — zawołał na jego widok Tom.

Alec pogładził potargane wiatrem włosy. — Będzie burza — rzekł. Nie wiedzieć czemu, czas okazał się bardziej łaskawy dla Toma niż dla Aleka, którego niegdyś jasne włosy przybrały teraz kolor pieprzu z solą, odsłaniając wysokie czoło. Plecy mu się zaokrągliły od lat spędzonych za biurkiem, ale wyraz oczu pozostał ten sam — szare, o dużym rozstawie, iskrzyły się inteligencją. — To dobry pomysł powiedział dostrzegłszy w ręce Toma kieliszek. — Też by się nap' mocnego drinka.

W głosie Constantina, którego zmartwiło to nagłe wtargnięcie, zabrzmiał ton wymówki: — Sądziłem, że jesteś u siebie na górze.

— Byłem tam poprzednio.
— Jak ona?
— Jest śmiertelnie przestraszona. Bardziej niż my.
— Pójdę do niej — powiedział Tom.
— Nie. — Alec potrząsnął przecząco głową. — Dałem jej pigu na uspokojenie. — Zerknął na zegarek, podchodząc do barku z al koholami. — Śpi już od ponad godziny.
— A gdzie ty się włóczyłeś?
— Rozmawiałem z Mavrosem — powiedział Alec nalewając sob brandy. — Chce się z tobą zobaczyć.
— Ze mną? — zdziwił się Constantin.
— Nie. Z Tomem.
Constantin zmarszczył brwi. — Gdzie jest Mavros? Nie widziałe go cały dzień.
Alec popatrzył na Toma, jak gdyby czekał na jego odpowiedź, ale Tom milczał. /
— Gdzie jest Mavros? — powtórzył Constantin.
166

Ignorując pytające spojrzenie Aleka, Tom przełknął łyk brandy. Bruzdy na czole Constantina pogłębiły się aż po łysą czaszkę. — Co się dzieje, Alec?
— Mavros pracuje nad urwiskiem. Wracał tam, kiedy się z nim spotkałem.
— Wrócił nad urwisko? — spytał z niedowierzaniem Constantin.
— Tam jest polana, a właściwie to prześwit między sosnami, z ławką i lunetą skierowaną na morze.
— Ale przecież już noc.
Alec z kieliszkiem w dłoni odwrócił się od Greka i w niemym oskarżeniu spojrzął na Toma. W głosie Constantina dawało się już odczuć niepokój: — Czy są z nim jego ludzie?
— Byli jeszcze, gdy go spotkałem — odparł Alec.
— Co oni tam robią o tej porze?
Poruszony do głębi spojrzeniem Aleka, Tom odparł gniewnie: — Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Budują i koniec.
Constantin niepokoił się coraz bardziej. — To dobrzy ludzie, Tom. Są uczciwi, honorowi.
— W porządku. Będą przynajmniej trzymać język za zębami! — przerwał mu Tom. — Mamy już czterech porządných ludzi, którym można ufać.
— Nie wolno ci ich mieszać w to zabójstwo.
— Oni nikogo nie muszą zabijać. Ja sam tego dokonam, kiedy nadejdzie stosowna pora.
Alec kręcił się bez celu koło barku z alkoholem. Podobnie jak Constantin, miał nadzieję przekonać Toma, by porzucił to szaleństwo. Ale też, podobnie jak Constantin, zaczynał wątpić, czy to w ogóle możliwe. — W każdym razie — wzruszył ramionami — Mavros chce, żebyś tam przyszedł.
— Dobrze, już idę. A wy dwaj zostańcie tutaj.
— Nie. — Słowa Constantina zabrzmiały jednoznacznie i zdecydowanie. Odstawił kieliszek i zaczął się podnosić z krzesła. — Idę z tobą.
Obserwując tę walkę dwóch silnych charakterów Alec wiedział, że zaden nie da za wygraną.
— Noga jeszcze bardziej cię rozboli — rzucił szorstko Tom. — To ka*ał drogi.
Ponury uśmiech pojawił się na twarzy Constantina. — Noga boli me, kiedy się martwię, a nie kiedy chodzę.
AJec dopił drinka. — Nie ma sensu się kłócić. Pójdziemy tam
167

wszyscy trzej. — A widząc, że są tylko w koszulach z krótkimi rękawami i bawełnianych spodniach, dodał: — Ubierzcie się cieplej wieje silny wiatr.
— Nie martw się — zażartował Constantin — pobiegniemy dla rozgrzewki.
Kiedy wyszli na taras, okazało się, że nic po żartach. Mocny wiatr szedł od morza, goniąc po niebie chmury, których czarne cienie co chwila przesłaniały księżyc. Zmagając się z bryzą, obeszli dom i zaczęli wspinać się w górę ścieżką między drzewami. Wiatr gwizdał w gałęziach i grzechotał

sosnowymi szyszkami. Constantin starał się dotrzymać im kroku, wiedząc, że bez niego posuwaliby się znacznie szybciej. Bardzo chciał zobaczyć, co Mavros buduje. Alec przerwał im pogawędkę w najmniej stosownym momencie. A osiągnął już znaczny postęp. Tom był rozluźniony, wydobywał z pamięci coraz więcej wspomnień.

Ścieżka się zwężała. Tom parł do przodu, zostawiając ich nieco w tyle, znał dobrze tę drogę. Alec spojrzął na Constantina i ścisząc głos, zapytał: — Jak ci poszło?

— Jako tako — odparł szeptem Constantin. — Skłoniłem go do mówienia, opowiadał o dawnych czasach, miałem nadzieję, że znajdę tam jakiś wątek.

Alec nie zwalniał kroku. Znał dobrze stare dzieje. Sam był ich uczestnikiem. Motywów można tam było znaleźć wiele, ale żadnych konkretnych rozwiązań, nic pewnego. Same podejrzenia i wątpliwości. A czas uciekał. Jutro rano już przyjadą, a kiedy zapadnie zmrok, przynajmniej jeden z nich umrze.

Constantin burknął: — Znowu oglądał film.

Alec cicho zaklął. To wszystko z powodu tego diabelskiego filmu. To ten film podjudza Toma. Trawi go od środka i syci w nim nienawiść. Rozbudza w nim wściekłość i melancholię. — To z powodu tego pieprzonego filmu tu się znaleźliśmy — mruknął.

— Wiem — odparł Constantin, łapiąc z trudem oddech. Dziewczyna już nie żyje, człowiek w czarnej masce może również odszedł z tego świata. Czy to ma znaczenie, kim był? — Constantin zaklął na głos, mocno i dosadnie. Tak, jednak ma to znaczenie. Gdyby tą dziewczyną była Melinda... Na samą tę myśl potknął się. Alec wysunął rękę i przytrzymał go za ramię, lecz nie uchronił przed upadkiem. Constantin klnąc jak szewc, runął na ziemię z rozłożonymi ramionami. Alec pomógł mu wstać i otrząść jego ubranie. Grek ciężko i chrapliwie dyszał. — Nic mi nie jest, muszę tylko odsapnąć.

Przytłoczony ciemnością i wyjąłym wśród sosen wichrem Alec poczuł się przez chwilę bezradny. Tom parł przed siebie nie czekając

168

na nich. Prawda, że wycie wiatru mogło przytłumić odgłos upadku Constantina, ale dawniej Tom na pewno by zaczekał. Dawniej Tom był innym człowiekiem.

Constantin wykrzywił twarz w grymasie bólu stawiając na ziemi bolącą nogę. — Daleko jeszcze? Alec usiłował sobie przypomnieć. Był już kiedyś na tej polanie, lecz wtedy wiał miły wiosenny wietrzyk, a popołudniowe słońce nakrapiało drogę jasnymi cętkami słonecznego blasku. Teraz panowała nieprzenikniona ciemność, a wiatr niczym dziki zwierz przedzierał się przez gąszcz.

— Już niedaleko, ale lepiej zrobisz, gdy wrócisz. Ja...

— Nie! — Constantin oparł się o ramię Aleka i przerzucił ciężar ciała na drugą nogę. — Muszę się zobaczyć z Mavrosem.

Posuwali się jak pijani. Constantin mocno uwiesił się ramienia Aleka, który marzył teraz o latarce. Każdy nieuważny krok na tej wyboistej ścieżce groził katastrofą. Z prawej strony dochodził szum morza, smaganego podmuchami porywistego wiatru, który w chwili, gdy wyszli zza zakrętu, usiłował ich zepchnąć ze ścieżki. Łapiąc z trudem oddech, Alec przypomniał sobie to miejsce — był to prześwit między drzewami, skąd widać morze. Wiedział już, gdzie jest, łatwiej mu teraz przyszło określić odległość. — Już niedaleko — zawołał, by przekrzyczeć wiatr i ciągnąć pod górę ślaniającego się Constantina.

Następne sto jardów stanowiło test wytrzymałości dla Constantina. Mocno się potłukł podczas upadku, ale wołał się do tego nie przyznawać. Bardziej jednak od bólu doskwierało mu poczucie zawodu. Zawiódł się na Tomie — tym racjonalistą zawsze chętnym do słuchania innych, w pełni logicznym — aż do momentu, gdy stał się ofiarą tej swojej obsesji. Niepokój Constantina przemieniał się z wolna w gorycz. Znowu szpetnie zaklął. Dość już napatrzył się morderstw. — Zabicie nie przywróci jej życia — wymamrotał łapiąc ciężko oddech.

Drzewa zrzedły, a ścieżka stała się szersza. Jeszcze kilka kroków i pokonali ostatni zakręt.

Wyłoniwszy się zza zakrętu Constantin stanął jak wryty. Tym razem to nie wysiłek, ale szok zaparł mu dech w piersiach. Widok, jaki zobaczył, przyprawił go o drżenie. Choć światło częściowo

przesłoniętego chmurami księżycy tylko w niewielkim stopniu rozpraszało mrok, na tle nieba wyraźnie rysowała się szubienica. Constantin mocniej zacisnął palce na ramieniu Aleka. Jego towarzysz również patrzył z zapartym tchem. Mavros i jego ludzie otoczyli Toma, który mocował się ze sznurem. Chłodny dreszcz przeszył Constantina, kiedy zdał sobie sprawę, co zamierza zrobić Tom: — zakładał pętlę na głowę człowieka, nagiego człowieka w czarnej masce.

169

— Nie! — krzyknął Constantin. Odepchnął Aleka i kuśtykając popędził na oślep obok ławki z lunetą. Dopiero w odległości zaledwie jarda od rusztowania zatrzymał się nagle, bo zdał sobie sprawę, że naga postać nie jest prawdziwym człowiekiem. To była zwykła kukła, manekin. Tylko maska była prawdziwa — czarna, opadała na szyję, miała otwory na oczy i usta. Dokładna kopia maski noszonej przez człowieka w filmie.

Tom odwrócił się do Greka i wymachując rękami zawołał przekrzykując wiatr: — Wracaj natychmiast do domu!

Constantin poczuł powstrzymującą go rękę Aleka. Patrzył, gdy manekin zawieszony na powrozie podnosi się z rusztowania. Mavros obrócił kołem u podstawy szubienicy, zagrzecotały tryby szubienicy, niby portowy dźwig zaczęło się obracać na otwarte morze, tyle tylko, że zamiast skrzyni z ładunkiem wisiała na nim doczepiona kukła człowieka — nagiego, z czarną maską na twarzy.

Constantin wyszeptał: — Wieki Boże!

Szubienica obracała się z wolna, aż jej ramię zawisło poza krawędzią urwiska. Szarpany wiatrem manekin okręcał się wokół liny. Constantin dostrzegł teraz to, czego wcześniej nie widział. Kukle nie założono stryczka na szyję, lecz okręcono ją sznurem w pasie. A więc człowiek na linie powinien jeszcze żyć! Constantin wyobraził go sobie, jak krzyczy i szarpie się, zwisając nad jeżącymi się groźnie skałami, o które biły morskie fale.

To nie była próba generalna zwykłego aktu powieszenia. Ofiara miała umrzeć dokładnie w ten sposób, jak zginęła dziewczyna — miała się roztrzaskać na urwiskach skał.

Tom pociągnął za dźwignię umieszczoną przy rusztowaniu. Wiatr zawył wśród drzew. Powróż chyżo przebiegł przez prowadnicę. Kukła runęła w dół... i spadała... spadała... spadała...

Constantin poczuł, że robi mu się niedobrze. Utykając podszedł do ławki i usiadł. Objął głowę dłońmi i zamknął oczy, nie chcąc patrzeć na koszmar, o którym tak bardzo chciał zapomnieć.

1967

Dla Constantina koszmar zaczął się rankiem 21 kwietnia 1967 roku. Zbudził go hałas. Ziewając i przecierając oczy wstał z łóżka i podszedł do okna. Stał tam drapiąc się po brzuchu i gapiąc na ulicę. Upłynęło kilka chwil, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Ulica była słabo oświetlona, właściwie tonęła w mroku. Wszystko wyglądało niby normalnie, przy krawężniku parkowały znajome auta. Ale... coś zaniepokoiło Greka. Nad słuchując wyczuł raczej odległy pomruk, który początkowo uznał za odgłos burzy. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest to dźwięk ciągły. Przyciskając twarz do szyby, zmrużył oczy, starając się ogarnąć wzrokiem jak najdłuższy odcinek ulicy, lecz i tam nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Hałas jednak się wzmacniał. Nagle dotarło do niego, że to odgłos kół ciężkich pojazdów. Odprężył się. Może zmierzające na targ ciężarówki wyładowano bardziej niż zwykle? Mógł to być również konwój ciężarówek wiozących do miasta towary z portu w Pireusie. Cokolwiek to było, skłął w duchu tych, którzy przerwali mu sen, bo obudził się już na dobre i nie było sensu wracać do łóżka, choć dochodziła dopiero czwarta trzynaście.

Poruszając się po omacku, by nie obudzić Melindy, wziął z oparcia krzesła szlafrok. Na szafce nocnej lśnił w szarawej poświacie medalion 2 Sokratesem. Owijając się szlafrokiem, podniósł ostrożnie medalion, uważając, by nie zabrzączał łańcuch, kiedy go zakładał na szyję. Uśmiechnął się na wspomnienie nocy poślubnej sprzed sześciu miesięcy. 0 raz pierwszy od dwudziestu trzech lat zdjął wówczas z szyi ten

i m__

medalion. Kiedy wracali do domu z wesela, Melinda tuliła się do niego. Gdy przekroczyli próg mieszkania, rzuciła mu się w objęcia. Rozebrał ją w salonie i naga zaniósł do sypialni. Położywszy Melinę na łóżku, okrywał pocałunkami każdą cząsteczkę jej ciała, aż jej westchnienia zmieniły się w jęki pożądania. Pośpiesznie zrzucił koszulę, Zdjął buty i ściągnął spodnie. Właśnie miał wejść do łóżka, kiedy powstrzymał go jej głos: — Nie chcę Sokratesa, tylko ciebie.

Zaparzył teraz w kuchni kawę. Postawił filiżankę na tacy i zaniósł do gabinetu. Zapalił lampę i zasiadł w fotelu. Rozpoczynanie pracy o tak wczesnej porze nie było dla niego niczym nowym. Gdyby nie obudził go ten hałas, i tak zaczęłyby pracę o szóstej. Przez całe życie ciężko pracował... A teraz zaczął zbierać efekty tej pracowitości, bo nie było chyba w Grecji bardziej szczęśliwego i zadowolonego z życia człowieka niż Constantin Peponis.

W wieku trzydziestu lat miał już wszystko, czego pragnął — własną kancelarię adwokacką, eleganckie mieszkanie w najlepszej dzielnicy Aten i najśliczniejszą, najlepszą żonę. Nie przeszkadzało mu, że Melinda wprowadziła do ich domu całą armię swoich krewniaków. Przyjaciele żartowali: — Dwa dni w tygodniu Constantin pracuje, by utrzymać żonę, a w pozostałe cztery, żeby utrzymać jej matkę i ojca, trzech młodszych braci, wuja Anastassisa, kuzyna Orestisa, ciotkę Annę, babcię... — Lista nie miała zda się końca. Ale Constantinowi zupełnie to nie przeszkadzało. Uznawał siebie za ogromnego niezdare, a Melinda była tak drobna, że mógł dłońmi objąć jej kibić. On był prostakiem, a ona pięknocią. Chętnie oddałby za nią życie, więc pomoc jej rodzinie wiele dla niego nie znaczyła. Lubił zresztą jej krewniaków. Sam nie miał nikogo, prócz wuja Mikisa. Ojciec Constantina zginął podczas wojny z rąk gestapo. Constantin już prawie o nim nie zapomniał. Wiedział, że jego ojciec był odważnym człowiekiem, bo tak mówiła matka, ale jedyną nicią łączącą go z ojcem był ten medalion. — Noś go zawsze — powiedziała matka zakładając mu medalion na szyję. I Constantin nosił go niby honorowe odznaczenie.

Pod koniec wojny wuj Mikis zszedł z gór. W tym czasie jego postać zdążyła już obrosnąć legendą. Po napaści Niemców na Grecję, wuj Mikis zszedł do podziemia, co młodemu Constantinowi kojarzyło się z życiem w królikarni. Gdy się dowiedział, że wuj walczy w szeregach leśnych ludzi, wyobraził go sobie jako kosmate zwierzę kryjące się w lasach. Bardzo więc się zdziwił, kiedy zobaczył zupełnie zwyczajnego człowieka, choć, należy przyznać, z mnóstwem medali na piersi. Wuj Mikis przeprowadził się do nich. Przez cały czas, gdy mały chodził do szkoły, wuj Mikis i mama stwarzali mu poczucie bezpieczeństwa.

172

powodziło im się nieźle. Nie opływali w luksusy, ale żyli we względnym komforcie. Wuj Mikis otrzymywał emeryturę, a Constantin w czasie wolnym od zajęć szkolnych dorabiał sobie zatrudniając się w roli tragarza na targu mięsny. Choć zawsze był wysoki i mocny, wciąż się rozrastał, stając się coraz to potężniejszy. Matka zmarła w miesiąc po uzyskaniu przez niego dyplomu prawnika. — Żyła wystarczająco długo, by cię ustawić na właściwej drodze — stwierdził wuj Mikis. Dla wuja „właściwa droga” oznaczała: najpierw prawo, a potem polityka. Ale Constantin zadowolony był prawem. Zainteresowanie polityką objawił po raz pierwszy, gdy zastrajkowali pracownicy telefonów, potem, gdy zaczęły gwałtownie rosnać koszty utrzymania lub działo się coś, co bezpośrednio go dotyczyło. — Rząd powinien coś z tym zrobić — burczał, a wuj Mikis pytał: — Dlaczego sam się do tego nie bierzesz? Mamy przecież demokrację. Mamy rządy ludu dla ludu i sprawowane przez lud. Jeśli sam się w to nie włączysz, nie możesz mieć pretensji do rządu. Leniwi mają taki rząd, na jaki zasłużyli.

To było jednak nie w porządku nazywać Constantina leniwym. Wręcz przeciwnie, był bardzo pracowity. A odkąd pojawiła się w jego życiu Melinda, pracował za dwóch. W sześć miesięcy po ślubie przekazał dom wujowi, a sam przeprowadził się wraz żoną do mieszkania, w luksusowej dzielnicy, które wyposażył według najwyższych standardów. Wydał na to więcej, niż miał, ale czego by nie zrobił dla Melindy? Ona uwielbiała to nowe mieszkanie. Podobnie zresztą jak jej rodzina. Kiedy Constantin wracał po pracy do domu, zastawał tam zwykle co najmniej jednego z krewniaków żony. Ale naprawdę mu to nie przeszkadzało, cieszył się ich obecnością. Cała rodzina

Melindy poważała go, traktowała z szacunkiem. — Melinda dobrze wyszła za mąż — mówili z podziwem, patrząc na ich dom i chyląc czoło przed rangą prawniczego zawodu Constantina. Melinda utrzymywała mieszkanie w nieskazitelnej czystości, gotowała z mistrzostwem, zawsze wyglądała pięknie i świeżo. W łóżku natomiast zachowywała się jak dzikie zwierzę. W wieku trzydziestu lat Constantin Peponis miał wszystko, czego oczekiwał od życia.

Tamtego ranka, 21 kwietnia 1967 roku, kiedy tak wcześnie obudziło 8° głucho dudnienie przesuwających się kół, pracował jeszcze godzinę Drzy biurku. Gdy niebo rozświetlił słoneczny blask, Constantin złożył Papiery i wszedł do łazienki. Ogołił się i wziął prysznic. Następnie wjął z garderoby, którą dzielił wspólnie z Melindą, czystą koszulę i spodnie od szarego garnituru. Marynarkę i krawat pozostawił jeszcze w szafie i w samych tylko skarpetkach poczłapał do kuchni, by Wygotować śniadanie. Teraz już gonił go czas. Zwykle zaraz po

173

szóstej był w kuchni. Jak co dzień przygotował tacę z posiłkiem dla Melindy — świeży sok z pomarańczy, bułeczki, kawę i, jak zwykle włączył radio.

To, co usłyszał, nie było już takie całkiem zwykłe. Zamiast znajomego głosu spikera czytającego wiadomości, rozbrzmiewała muzyka. Pokręcił gałką, lecz muzyka nie przestawała grać. Poszukał innej stacji, bez skutku. Zewsząd płynęła ta sama muzyka. Poddał się. Sprawdził ekspres do kawy, ale brakowało jeszcze kilku minut do zagotowania się wody. Podszedł więc do telefonu, by przypomnieć asystentowi o spotkaniu o ósmej. Telefon był głuchy. Trzasnął słuchawką o widełki z gwałtownością uderzeń kota, który dopadł szczura. Nadal nic. — Masz ci los! — wymamrotał pod nosem. — Pechowo ten dzień się zaczyna.

W sypialni powrócił mu dobry humor. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie na żonę. Postawił na stole tacę i przytulił twarz do jej karku. Wsunął rękę pod koldrę. Melinda jęknęła cicho i przyciągnęła go do siebie. Constantin opuścił głowę niżej. Całował jej piersi. Przesunął głowę nad płaski brzuch Melindy i dalej, aż do włosów na wzgórku łonowym. Mrucząc jak kotka, Melinda uniosła biodra i rozchyliła uda. Ale Constantin tylko ugryzł ją mocno w nogę. — Drań! — wrzasnęła zrzucając z siebie koldrę i wyskakując nago z łóżka. Śmiejąc się Constantin odskoczył zręcznie i podszedł do okna, by rozsunąć zasłony. Kiedy się odwrócił, siedziała z nogą założoną na nogę, oglądając miejsce ukąszenia. Podszedł do niej i ucałował odcisk swoich zębów na jej udzie, a ona zagłębiła mu dłonie we włosy i podrapała za uchem.

— Telefon nie działa — powiedział. — Zgłoszę uszkodzenie w biurze napraw. — Ucałował ją raz jeszcze i powrócił do kuchni. Radio wciąż grało ten sam utwór. Nagle muzyka się urwała i nieznajomy męski głos zaczął odczytywać komunikat:

...z uwagi na wyjątkowość zaistniałej sytuacji, zagrażającej wewnętrznemu bezpieczeństwu państwa, wojsko otrzymało o północy rozkaz przejęcia odpowiedzialności za dalsze kierowanie losem kraju.

Constantin zamarł, trzymając w ręku filiżankę kawy.

Głos w radiu ciągnął dalej: ...stanowią zagrożenie dla porządku publicznego... upoważnia ministra spraw wewnętrznych do opublikowania i wprowadzenia w życie powyższego dekretu. Ateny, dwudziesty pierwszy kwietnia 1967.

Constantin usiadł na krześle. Zastanawiał się, na czym polega wyjątkowość zaistniałej sytuacji. Wczoraj był taki sam dzień, jak każdy inny. Nie widział niczego ani nie słyszał o niczym szczególnym.

174

Ogłosivszy stan wyjątkowy, głos zamilkł i ponownie rozległy się dźwięki tej samej muzyki.

Constantin wpatrywał się w aparat radiowy j zastanawiał, dlaczego po komunikacie nie nadano wiadomości. Dlaczego nie wypowiada się żaden z polityków? Co się, u diabła, dzieje?

Przełknąwszy łyk kawy, pośpieszył do garderoby. Założył marynarkę i zawiązał krawat. Włożył buty, zabrał z gabinetu teczkę i wrócił do sypialni. — Coś się wydarzyło — powiedział i powtórzył, co słyszał. — Wrócę w południe. Najlepiej, jeśli nie będziesz w ogóle wychodzić z domu.

W trzy minuty później był już na ulicy i omal zderzył się z sąsiadem. Z trudem łapiąc oddech, sąsiad wskazał za siebie: — Czołgi! Na skrzyżowaniu stoją czołgi!

Constantin pośpieszył na róg ulicy, by samemu się o tym przekonać. Nie mógł uwierzyć własnym oczom — naprzeciw niego stały dwa olbrzymie czołgi z lufami długimi jak sosny i wycelowanymi w niego. Ich cielska tkwiły nieruchomo w miejscu. Budziły grozę. Teraz już Constantin wiedział, co go obudziło. Dudnienie przejeżdżających ulicą czołgów. Rozejrzawszy się wkoło dostrzegł z rzadka przemykające pojazdy. Zazwyczaj o tej porze tworzyły się już na jezdniach zatory, a trotuary wypełniał gwar przechodniów. Teraz jego ulica była cicha, a chodnikiem ciągnęło kilku przechodniów.

— Ej, ty! — Jakiś żołnierz w towarzystwie policjanta wynurzył się z pobliskiej bramy.

Constantin zaczekał, aż podejdą. Żołnierz, w stopniu oficera, wyciągnął do niego łapę. — Dowód osobisty — zażądał rozkazującym tonem.

Constantina niełatwo było zastraszyć. Już od dzieciństwa jego potężna postura przydawała mu autorytetu. Poza tym był prawnikiem, przyzwyczajonym do rozpraw w sądzie. Ignorując oficera, spojrzął na Policjanta, którego znał z widzenia. — On wie, kim jestem — oświadczył.

— Ale to ja zadaję pytania — warknął oficer.

Znajomy policjant wyjaśnił: — To jest pan adwokat, Constantin peponis.

Oficer wściekły, że tamten wtrąca się w nie swoje sprawy, spojrzął na kolegę z taką furją, że policjant spuścił wzrok i zaczął przebierać n^ogami. Minęła pełna napięcia chwila, zanim oficer ponownie zwrócił SIĘ do Constantina: — No, dobrze. Dokąd więc pan się udaje, panie kwokacie Peponis?

Do pracy, by zająć się tym, co zgodnie z prawem wolno mi Wykonywać.

175

— Ja teraz decyduję, co jest zgodne z prawem — odparł oficer. Nic nie mogło bardziej rozsierdzić Constantina niż taka odpowiedź.

Z natury był człowiekiem łagodnym, wręcz trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej wyrozumiałego, ale jego oddanie dla prawa nie miało granic. Znajomi żartowali, że Melinda jest wprawdzie jego żoną, ale kochanką prawo. Jedną i drugą kochał z tą samą pasją, której cześć ujawniła się teraz.

— Pan się myli — warknął. — Prawo stanowi się w sądach, a nie na ulicy. — Gotując się wewnątrz, odwrócił się i ruszył w swoją stronę.

— Stać! — Oficer wyrwał pistolet z kabury i zarepetował. — Pytam po raz ostatni, dokąd pan idzie?

Constantin nie wierzył własnym uszom. Po raz pierwszy w życiu wpatrywał się w lufę wymierzonego w siebie pistoletu. Nie czuł strachu, lecz wściekłość. Lodowatym tonem oznajmił:

— Idę do mojego biura. Później udam się do prokuratora, gdzie złożę na pana skargę.

— Działalność sądów została zawieszona. Obecnie obowiązuje prawo stanu wyjątkowego.

Ta informacja poraziła Constantina. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że sądy można najzwyczajniej zamknąć. A co z prawem? Do kogo ludzie mają się zwracać o sprawiedliwość? Spojrzął na policjanta, który też wyglądał na zdenerwowanego. Constantin nie bał się o siebie, ale przyszła mu na myśl Melinda. „Dzięki Bogu, że kazałem jej nie wychodzić z domu.” Starając się, by zabrzmiało to godnie, rzekł: — W takim razie udam się do pracy.

— Po co? — spytał ironicznie żołdak. — I tak nic z pana pracy. Wyłączyliśmy telefony.

— Wyłączyliście? — powtórzył jak echo zdumiony Constantin.

— Działają jedynie telefony służb bezpieczeństwa i wojska.

— Ale co się, u diabła dzieje? Czy doszło do inwazji na nasz kraj? Oficer obrzucił go pogardliwym wzrokiem. Zwracając się do

policjanta spytał: — Wiesz, gdzie to jego biuro?

— Tak.

— Czy on jest polityczny?

Policjant przeknął ślinę i potrząsnął przecząco głową.

— No, dobrze — powiedział oficer machając na Constantina lufę rewolweru — niech więc pan idzie do tego swojego biura.

Constantin odszedł. Miał w głowie zamęt. Czuł niepewność—Zastanawiał się, czy nie wrócić do domu, by się upewnić, czy Melindzie nie zagraża niebezpieczeństwo. Ale, oczywiście, nic jej nie

mop0

176

zagrozić — jest przecież posłuszną żoną i z pewnością nie będzie wychodzić z mieszkania aż do jego powrotu w południe. Wziąwszy się w garść, postanowił jednak pójść do odległego o trzy przecznice biura. Ulice pozbawione zwykłego wielkomiejskiego ruchu wydawały się wymarłe. Nieliczni przechodnie mieli ponure, wystraszone miny. Nadal nie mogąc uwierzyć własnym zmysłom, Constantin ciągle sobie powtarzał, że przecież jest rok 1967, że znajduje się w Atenach, mieście, które zna od dzieciństwa, liczącym dwa miliony mieszkańców.

W dwie godziny później siedząc za biurkiem w swoim gabinecie Constantin nadal usiłował zrozumieć, co się stało. Tylko dwóch członków jego skromnego personelu stawilo się w pracy: Helena Sefris, jego sekretarka, i asystent, który przyniósł z sobą radio tranzystorowe. Słuchali w napięciu wciąż powtarzanego komunikatu, pili gęstą czarną kawę i palili papierosy, gdy jakiś nie zidentyfikowany głos ogłaszał zawieszenie konstytucji. Nowy rząd tymczasowy przejmował pełnię władzy w państwie — wydał już dekret o aresztowaniach i zatrzymaniach, zdelegalizował działalność związków zawodowych, zabronił organizowania strajków, zezwolił na dokonywanie rewizji w mieszkaniach obywateli bez względu na porę dnia i nocy.

Nie mogąc skontaktować się telefonicznie, wielu przyjaciół Constantina, nie zważając na groźbę scysji z siłami porządkowymi, przyszło osobiście do jego biura. O godzinie dziesiątej niewielkie pomieszczenie pękało w szwach od natłoku znajomych. Każdy przynosił najświeższe wiadomości. Krążyło już wiele pogłosek. Na króla nałożono areszt domowy. Polityków wyciągnięto z łóżek i odwieziono do więzień. Trzy ulice dalej jacyś nie wyżyłi żołnierze zastrzelili młodą dziewczynę i dwóch chłopców.

Zaczął się koszmar.

Przez kilka następnych tygodni Constantin i inni żyli nadzieją, że sytuacja powróci do normy. Hunta przyrzekła przecież, że przywróci demokrację, gdy tylko będzie to możliwe. Sytuacja rozwijała się Jednak niepokojąco. Wydano dekret rozwiązujący wszystkie partie polityczne. Niektórych polityków deportowano do obozów na odległe wyspy Leros i Gyaros. Oficerów niechętnych juncie przeniesiono na Wcześniejszą emeryturę. Wśród urzędników państwowych przeprowadzano gruntowną czystkę.

Kiedy te tygodnie przeciągnęły się w miesiące, Constantinowi nadal udno było uwierzyć, że to nie jest stan przejściowy. — Grecja jest Częścią NATO — argumentował. — Jesteśmy członkami Rady Europy. Przymierzeńcy nam pomogą. Państwa takie, jak Stany Zjednoczone c Wielka Brytania, będą naciskać na przywrócenie demokracji.

f" unista

177

Ale państwa takie, jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, nie kiwnęły nawet palcem w obronie greckiej demokracji. Gorzej, chodziły słuchy, że CIA pomaga pułkownikom w przejęciu władzy. Tymczasem władza pułkowników zdążyła okrzepnąć. Związki zawodowe zostały rozwiązane, a ich majątek skonfiskowany. Młodym ludziom kazano strzyć włosy, stosownie się ubierać i chodzić do kościołów, w których junta znalazła sprzymierzeńca. Wykroczenia przeciw prawu stanu wyjątkowego karano niezwykle surowo. Prasę objęto totalną cenzurą. Zabroniono czytania dzieł Szekspira, Sofoklesa, Arystofanesa i ponad dwustu innych greckich i obcych pisarzy.

W grudniu król podjął próbę przeprowadzenia zamachu stanu, lecz się nie powiodło i musiał ratować się ucieczką do Rzymu. Wraz z rozpoczęciem nowego roku nadeszły dalsze złe wiadomości — Stany Zjednoczone uznały oficjalnie rząd junty wojskowej. W dwa dni później to samo uczyniła Wielka Brytania, a w następnych tygodniach dołączyła do nich większość państw.

Uciemiony naród grecki pozostał sam.

Minęło osiem miesięcy od czasu przejścia władzy przez juntę. Grecja bardzo się zmieniła, ale i Constantin zaczął się zmieniać. Coraz trudniej przychodziło mu odpierać argumenty wuja. — Sam widzisz, co się dzieje — perorował stary Mikis — kiedy uznaje się demokrację za coś oczywistego. Wolność to delikatny kwiatek i trzeba go pielęgnować, by przetrwał. W przeciwnym razie padnie, zanim zdąży się na dobre rozwinąć.

Constantin aż nazbyt dobrze widział na własne oczy, jak znika wolność. Każdego dnia obserwował, jak kona. Sądy stały się parodią wymierzania sprawiedliwości, umacniały rządy junty. Kiedy jeden z klientów Constantina trafił do więzienia, udało się go tam odwiedzić. Ciarki go przechodziły, gdy słuchał, jak torturują tam ludzi, jak brutalnie traktują więźniów.

Constantin starał się zapewnić maksymalne bezpieczeństwo żonie i jej rodzinie, a rodzina Melindy szybko poszerzyła się o jej przyjaciół i znajomych, tak że wkrótce wydawało się, iż cały Pireus zbiera się w mieszkaniu Constantina. Szukali u niego rady, pytali, co robić.

W kwietniu 1968 roku minął rok od przejścia przez juntę władzy-Demokracja była już tylko sennym marzeniem. Constantin stanął wobec dylematu, przed którym wcześniej czy później staje każdy uczciwy człowiek. Jego wiara w konieczność rządów prawa była niezachwiana, ale co robić, gdy prawo przestaje być sprawiedliwe? Jego żarliwe tyrady w obronie poszkodowanych już dawno zwróciły uwagę władz sądowych. Mianowani przez juntę sędziowie donosili

178

mocodawcom o jego nieprzejednanym stanowisku. Przyjaciele ostrzegali, że śledzi go tajna policja. Constantin wyczuwał niebezpieczeństwo. Wiedział, że korespondencja do niego jest otwierana. Przypuszczał, że telefon też jest na podsłuchu. Podejrzewał, że jest śledzony. Nie zwierzał się jednak Ivlelindzie ze swoich niepokojów. Był człowiekiem dumnym, szczycił się tym, że potrafi zapewnić żonie bezpieczeństwo. Melinda również była dumna z męża, cieszyło ją, że tak wiele osób szuka u niego rady. Ale nie zamknęła oczu i uszu. Któregoś dnia usłyszała od znajomych, że jej mężem interesuje się ESA, policja wojskowa. Kiedy Constantin wrócił wieczorem do domu, nie zastał ani jednego krewniaka Melindy. Zakazała im wstępu na dwadzieścia cztery godziny. Zaraz po przyśściu zasypała go pytaniami. Z wolna zaczęła się wyłaniać prawda. Rozmawiali do późna w nocy. — Dlaczego mi nie powiedziałeś? — zapytała go z wyrzutem, bliska płaczu.

— Nie chciałem cię martwić.

— Czy ja jestem dzieckiem? Nie ufasz mi?

— Oczywiście, że tak, ale...

— Sądzisz, że jestem naiwna?

— Nie, nie o to chodzi.

— Ty zawsze musisz być ten lepszy? Musisz być stuprocentowym mężczyzną, obrońcą swojej żony?

Nigdy dotąd Melinda nie mówiła do niego z taką goryczą, ale też nigdy nie była tak bardzo otwarta. Kiedy ochłoneła, przyznała, że bardzo lubi być rozpieszczana. — Jesteś za dobrym mężem.

Najlepszym na świecie. Krewni ciągle mi powtarzają, jakie spotkało mnie szczęście. Czy sądzą, że o tym nie wiem? Oczywiście, wiem, że mnie kochasz. Nie jestem ślepa, widzę to w twoich oczach, gdy patrzysz na mnie. Wiem, że starasz się mnie ochraniać, ale musisz zrozumieć, że uzyskujesz efekt przeciwny od zamierzonego. Ja ciebie też kocham. Martwię się

o ciebie. Martwię się tym bardziej, im mniej wiem, co się dzieje. Pozwól mi być żoną. Uprawianie miłości to nie wszystko. Wiesz, że możesz mnie mieć, kiedy zechcesz. Ale musisz mi też mówić o wszystkim. Chcę, byś zobaczył we mnie partnerkę...

Constantin słuchał zdumiony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Melinda chce, by ją traktował na równi z sobą. Nigdy się z tym do niego nie zwracała.

Światło brzasku zaglądało już do okien, kiedy się położyli spać

i mocno przytulili do siebie. Następnego dnia Constantin wiedział, że c^os między nimi się zmieniło. Lecz była to zmiana tak subtelna, że trudno przyszłoby ją określić. Od tamtej pory mówił Melindzie

179

o wszystkim. Nie miał zresztą wyboru. Co wieczór wypytywała go dokładnie, co dzieje się w sądach, a z każdym dniem reżim junty stawał się coraz bardziej represyjny.

Pewnego majowego wieczoru odwiedził ich jeden z przyjaciół Alexandros Dedas, również prawnik. Znali się od dziecka. Razem studiowali prawo. Zazwyczaj twarz Alexandrosa na widok przyjaciela rozjaśniała się uśmiechem. Teraz było inaczej. Miał minę człowieka udręczonego i krańcowo wyczerpanego. — Już dłużej tego nie zniosę — wyznał. — Co dzień junta aresztuje coraz to nowych kolegów prawników. Nie zadają sobie nawet trudu, by wytoczyć im proces. Trzymają ich w zamknięciu bez żadnego nakazu prokuratora. Sytuacja staje się coraz groźniejsza. Ja postanowiłem wyjechać. Wymyśliłem powód, dla którego pojedę w interesach do Londynu. Zabieram z sobą żonę i już tu nie wrócimy.

Nim zdążyli ochłonać, Alexandros ciągnął dalej: — Jedźcie razem z nami — nalegał. — W Londynie rozpoczniemy życie od nowa. Może otworzymy wspólnie kancelarię. Pomyślcie, ilu naszych przyjaciół już wyjechało. Są w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Australii. Nadeszły czasy, gdy więcej da się zrobić dla Grecji w Londynie niż w Atenach.

Przez następnych kilka dni Constantin i Melinda dyskutowali tylko o tym — czy powinni wyjechać wraz z Alexandrosem. Miało to nastąpić w miesiąc później, więc czasu pozostało niewiele.

Constantin się wahał, rozum mówił mu, by jechał. Prawnicy, którzy nadal postanowili walczyć o sprawiedliwość, w coraz większym stopniu ryzykowali uwięzieniem. Perspektywa wolnego życia w Londynie nęciła...

W tydzień później zawiadomili rodzinę Melindy, że wyjeżdżają. Matka żony rozplakała się, ojcu niepokój pobruździł czoło. Tylko jej bracia poparli bez zastrzeżeń ten projekt. Szczególnie siedemnastoletni Elias, który rzekł: — Oczywiście, że powinniście jechać. Constantin powie Anglikom, co tutaj się dzieje. Przekona ich do naszej sprawy—Może poleci do Stanów i zwróć się do Kongresu... — Elias idealizował Constantina. Wierzył, że jego wielki szwagier potrafi wszystkiego dokonać. Elias, który właśnie rozpoczął studia prawnicze, wzorował się we wszystkim na Constantinie. Jego wiara w szwagra była wręcz rozbrajająca. Czasem jego bracia dokuczali mu z tego powodu, ale w głębi duszy wszyscy podzielali jego podziw dla męża siostry.

Po tym wzruszającym wieczorze nastąpił jeszcze jeden. Na następny dzień pojawili się wujowie i ciotki Meliny oraz wuj Constantina. Jedźcie — rzekł wuj Mikis. — Ja kiedyś postąpiłem podobnie—Wycofałem się, by powrócić w chwale.

180

Krewniacy Melindy byli przeciwnego zdania. — Zostańcie — przekonywali. — Zginiemy bez pomocy Constantina. Ojciec Melindy jest chory. Może go już więcej nie zobaczycie. Nigdy by sobie tego później nie wybaczyła...

Melinda czuła głębokie rozdarcie. Rodzina znaczyła dla niej bardzo wiele, szczególnie zaś ojciec. Myśl, że mogłaby go więcej nie zobaczyć, głęboko raniła jej serce. Zastanawiała się, czy potrafiłaby znieść chwilę pożegnania.

— Londyn jest okropny — narzekały ciotki. — Zimny i mokry. Tu przynajmniej masz słońce.

Otoczają cię przyjaciele i rodzina, znajomi, którzy cię kochają...

Constantin rozważał w myślach różne możliwości. Wiedział, jak wiele rodzina znaczy dla Melindy. Była częścią jej życia. Melinda będzie usychać z tęsknoty za nimi. Londyn może się stać piekłem, gdzie zaczną się wzajem obwiniać. Staną się wolni, lecz bezgranicznie nieszczęśliwi. Już sama myśl, że Melinda mogłaby tam być nieszczęśliwa, zasmucała go głęboko. Jej uśmiech był treścią jego życia, jej radość dodawała mu sił. Jeżeli to się zniszczy, co pozostanie?

— Jedźcie — mówił wuj Mikis. — Trzeba się trzymać Anglików. Pomogli nam w walce z Hitlerem...

Constantin wiedział, że wuj jest odważny i mądry. Wiele się od niego nauczył. Ale w głębi duszy czuł do niego żal. Jego ojciec też mógł przecież uciec w góry. Lecz pozostał w Atenach. — Jak mógłbym was opuścić? Opuścić wszystkich mieszkańców? — mówił ojciec. — Wybrali mnie przecież burmistrzem. Muszę zostać i ochraniać ludzi przed Niemcami, którzy zdolni są do

największych okrucieństw.

Jakby potwierdzając najgorsze obawy ojca, Niemcy rzeczywiście okazali się zdolni do najgorszych okrucieństw. Wielu Greków przeklinało ojca Constantina, bo nie wiedzieli, jak często zakulisowymi kanałami zapobiega nieszczęściom. Pozostał burmistrzem przez dwa lata, pozornie współpracując z gestapo, lecz w rzeczywistości udaremniając setki razy ich plany. W końcu odkryto jego grę. Został publicznie powieszony na agorze, na haku masarskim. Tak, wuj Mikis jest dzielnym człowiekiem, ale uciekł w góry, podczas gdy ojciec Constantina pozostał, by pomagać potrzebującym.

— Nie wiem, co robić — wyznał Melindzie na osobności. — Kiedy stąd wyjedziemy, junta przycepi się do twojej rodziny. A wiesz, jakie 2 twoich braci niespokojne duchy. Twój ojciec nie da rady utrzymać ich w ryzach.

. 7 Ale tobie nie wolno nadal się narażać — powiedziała udręczona Elinda. — To zbyt ryzykowne. Nie pozwolę na to. Musimy wyjechać...

181

W tydzień później Alexandras przyszedł po odpowiedź. — Proszę o decyzję?

Constantin pokiwał głową. — Życzymy ci powodzenia w Londynie. Myślę jednak, że trochę przesadzasz w ocenie sytuacji. Już niedługo powinno zmienić się na lepsze. Choćby dziś rano wyczytałem w gazecie...

— Gazety kłamią! — wybuchnął Alexandras. — Co się z tobą dzieje? Dziennikarze piszą to, co im każą. Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Sprzeczali się przez dwie godziny, w końcu Alexandras wyszedł zagniewany.

Melinda nie odzywała się. Nie chciała się kłócić z mężem w obecności przyjaciela. Zastanawiała się, czy i na osobności potrafi skłonić męża do zmiany stanowiska. Bardzo dobrze wiedziała, dlaczego Constantin podjął tę decyzję. Zrobił to dla niej i dla jej rodziny. Wdzięczność to było za mało, by wyrazić wszystkie te uczucia, które ją przepełniały. Po raz pierwszy była dumna z męża. Jej serce rozpiekała miłość. Miała też własne plany. Gdy tylko Alexandres wyszedł, przedstawiła mu swój pomysł.

— Jeśli zostaniemy — zaczęła kładąc nacisk na „jeśli” — będziesz musiał skończyć z praktyką adwokacką.

Constantin nie zdążył jeszcze ochłonąć po rozmowie z Alexandros, więc słowa Melindy dołączyły tylko oliwy do ognia. — Co? — krzyknął — Chyba oszalałaś! Z czego będziemy żyć?

— Proszę, posłuchaj — błagała. Kazała mu usiąść. Nalała mu szklankę ouzo. Potem zaś usiadłszy mu na kolanach i głaszcząc po głowie, mówiła. Jej cichy głos przepełniała miłość i duma oraz wdzięczność za decyzję, jaką podjął. — Ale jeśli miałoby ci się coś złego przydarzyć, twoja decyzja pozostania tutaj pójdzie na marne. Komu pomożesz siedząc w więzieniu?

Constantin usiłował zbagatelizować jej lęki, ale zbyt dużo już wcześniej jej powiedział. Melinda знаła zagrożenia i nie chciała się zgodzić na to, by dalej się narażał.

— Z czego będziemy żyć? — usiłował protestować. — Nie jesteśmy nu tyle bogaci, byśmy przetrwali bez stałych dochodów.

Zaproponowała: — Wyprowadźmy się stąd do Pireusu. Znamy przecież tamtejszych mieszkańców. Połowa z nich szukała u ciebie porady. Będziemy tam przynajmniej w otoczeniu przyjaciół.

— Ale z czego będziemy żyć? — nie ustępował.

Gdy powiedziała, że mogliby otworzyć tawernę, niemal się roześmiał. Ale przeszła mu ochota do śmiechu, kiedy zrozumiał, że

182

Melinda myśli o tym całkiem poważnie. Rozłościł się. Myśl, że jego piękna żona miałaby obsługiwać klientom, napełniała go obrzydzeniem. — Nie, nie! Tylko nie to! Nie ma mowy!

— Tak? — zawołała Melinda. — A kiedy usługuję naszym przyjaciołom tu w domu, też ci się nie podoba?

— To co innego.

— A jak myślisz, kto będzie przychodził do naszej tawerny?

— To inna sprawa. Kiedy przyjmujemy kogoś u siebie na kolacji, nie każemy mu płacić.

— A więc tak?! — zawołała Melinda, zeskakując mu z kolan. — Jesteś pyszny! — prychnęła. — Tobie, oczywiście, wolno być hojnym, ale twoi przyjaciele nie mogą ci się rewanżować! Tobie wolno nas kochać, ale my ciebie nie możemy. Wszyscy wiemy, co robisz dla nas. Czy nie przyszło ci na myśl, że twoi przyjaciele mogą chcieć wyrazić ci wdzięczność? Nie przyszło ci to do głowy? Constantina zaskoczył ten nagły atak Melindy. Nigdy dotąd nie mówiła w sposób tak kategoriyczny, tak elokwentnie. Robił, co mógł, starając się zbijać jej argumenty, lecz każda jego teza spotykała się z ciętą ripostą. Kiedy zaś stwierdził, że w tawernie potrzebny im będzie dobry kucharz, Melinda wybuchnęła jak ściana ognia. — Nie smakuje ci moje jedzenie? Jadłeś w życiu lepszą mousakę! Czy Alexandros nie twierdzi, że moje psari plake są najlepsze na świecie? A moje stifathol Nie przekonywał jej żaden argument. Serce mu się krajało na myśl, że jego żona będzie pracować w tawernie, ubrana w strój kelnerki. Od czasu, gdy się pobrali, kupował dla niej najpiękniejsze stroje. Jej garderoba pełna była włoskich jedwabnych sukien, francuskiej bielizny i eleganckich angielskich kostiumów. — Lubię, gdy ładnie wyglądasz — mówił.

— Czyli że dobrze wyglądam tylko wtedy, gdy jestem ubrana w kosztowne ciuchy?

— Nie, ale...

— Cóż to za piękno, które zależy od etykiety firmy odzieżowej? Czy rzeczywiście podobam ci się tylko wtedy, gdy jestem elegancko ubrana?

Uśmiechając się smutno Constantin przyznał, że najbardziej mu się Podoba, kiedy w ogóle nie ma nic na sobie. . Melinda pozostawiła sobie najmocniejszy argument na sam ko-?lep: — Adwokat, który nie walczy o sprawiedliwość w sądzie, to acjen adwokat — stwierdziła. — A ty przecież nie masz teraz szans czyć ° sprawiedliwość, junta ci na to nie pozwoli. Niczego więc nie racisz, jeśli będziesz mi pomagał w tawernie. Pomyśl tylko, ile

183

będziesz miał wolnego czasu. Możesz go z pożytkiem wykorzystać. Ileż to razy mi powtarzałeś, że nie ma dobrego podręcznika prawa. Co dzień przeznaczysz trochę czasu na pisanie podręcznika dla przyszłych pokoleń...

Constantinowi błysnęły oczy. To go wreszcie przekonało, ale spierał się z Meliną nadal. — Nigdy nie próbowałem pisać. Nie wiem, czy dam sobie radę.

— Na pewno dasz sobie radę. Wielki Constantin Peponis...

— Junta nie dopuści do ich publikacji.

— Przecież nie napiszesz wszystkiego od razu. Szast prast i gotowe! Dobrego podręcznika nie da się napisać w pięć minut. Pisanie wymaga czasu. A oni nie pozostaną u władzy nieskończenie długo.

Nie rozstrzygnąwszy problemu do końca, poszli do łóżka. Tej nocy Melinda przewodziła w miłosnej grze. Robiła to z taką pasją, że wysała wszystkie siły z Constantina, którego zasoby energii wydawać się mogły niespożyte. Jednak następnego ranka Constantin nadal nie mógł się przełamać. — Proszę cię, poczekajmy, zobaczymy, jak sprawy dalej się potoczą.

A sprawy przybrały fatalny obrót już w ciągu najbliższych godzin. Aresztowano współnika Alexandrosa. Kiedy Alexandros dowiedział się o tym, natychmiast pojechał z żoną na lotnisko. Odlecieli do Londynu w ostatniej chwili. Półtorej godziny później wydano nakaz ich aresztowania. Constantin powrócił do domu ogromnie wzburzony, ale tu czekał go jeszcze większy szok. Największy szok, jakiego doznał w życiu. Opuściła go Melinda. Na stole zostawiła list: „Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Ale z tobą też żyć nie potrafię w ciągłym strachu o to, że mogą cię aresztować. Wybacz, że jestem taka słaba. Zawsze będę cię kochać”.

W godzinę później, z bijącym sercem, Constantin przyjechał do Pireusu. Melinda powitała go na stopniach domu swojego ojca. Rzuciła mu się w ramiona i zanosząc się płaczem, przytuliła się do niego z całej siły.

Dopięta swego. W ciągu tygodnia Constantin zamknął biuro adwokackie, a po upływie miesiąca kupili tawernę.

W Pireusie przyjęto go jak bohatera. Dziwiło go to, bo nie widział niczego heroicznego w swoim zachowaniu. Ale ludzie mówili: „T° człowiek, który nie da się juncie przekupić. Nie chcąc wysługiwać się pułkownikom wołał sprzedać piękne mieszkanie w Atenach i przenieść się do nas, do Pireusu. On nam pomoże, jest wykształcony, silny...”

Określenie „silny” kojarzyło się Constantinowi raczej z żoną-

184

Melinda zadziwiła go swoją siłą. To ona wzięła na siebie kierowanie tawerną. Ona kupowała warzywa, owoce, ryby, mięso. Gotowała i obsługiwała gościom. Ona wszystko organizowała. Czasami Constantinowi krajało się serce, gdy widział, jak jego żona pracuje w prostej wieśniaczej odzieży, na bosaka, gdy tymczasem jej kosztowne obuwie stało nie używane w szafie. Zawsze chciał dla niej wszystkiego najlepszego. — Nonsens — kwitowała jego protesty Melinda. — Mam najlepszego męża na świecie, mam rodzinę, przyjaciół, słońce, wino i dobre jedzenie. Jestem wręcz idealnie szczęśliwa.

I rzeczywiście, wyglądała na szczęśliwą. Codziennie rano zapędzała Constantina do pracy w ich mieszkaniu nad tawerną. — W tawernie możesz być szefem po południu — mówiła. — Do tego czasu jesteś profesorem prawa, piszącym najlepszy podręcznik, jaki świat widział.

Zadbawszy o zorganizowanie pracy Constantina, schodziła na dół organizować pracę w tawernie. Dwa razy w tygodniu, zazwyczaj w środy i soboty zadanie gotowania w kuchni i obsługiwanie klientów przejmowali na siebie krewniacy Melindy. W takie dni Melinda brała kąpiel, robiła makijaż, i ubierała się w najpiękniejsze suknie, Constantin nakładał elegancki garnitur i spędzali wieczór w otoczeniu przyjaciół, jak to niegdyś bywało w ich domu w Atenach.

Oczywiście, były pewne różnice, nieraz ogromne. W Atenach Constantin podejmował u siebie prawników, dziennikarzy, bankierów, z których wielu albo wyjechało teraz za granicę, albo siedziało w więzieniach. W Pireusie otaczali ich ludzie prości — rybacy, handlarze, robotnicy portowi, którzy nie potrafili tak wyraźnie formułować sprzeciwu wobec junty, jak to robiła elita, byli więc uznawani przez juntę za mniej niebezpieczny element. Udawało im się uniknąć represji, ale jako zbiorowość odczuwali żelazną pięść niesprawiedliwości. Pozbawieni ochrony związków zawodowych, nie potrafili zapobiec pogorszeniu się warunków pracy. Płace ciągle spadały. Ceny natomiast rosły. Odczuwało się coraz większe braki na fynku. Protest był niemożliwy, bo strajki zostały zakazane.

Pomimo tej sytuacji Melinda, choć bardzo przemęczona pracą, była szczęśliwa. W porównaniu z okazałym życiem, jakie wiodli w Atenach, teraz byli biedni. Mieszkańców Pireusu nie stać było na Wystawne kolacje. Przychodzili do tawerny, bo potrzebowali rad . °nstantina, a również dlatego, że Melinda gotowała tak smacznie anio, że wychodziło to nie drożej niż gdyby jadal w domu.

Dochody tawerny były nieznaczne, ale Melinda nie dbała o pieniądze, ajważniejsze dla niej było to, że nic nie zagraża jej ukochanemu.

185

Co to jednak znaczy, że nic mu nie zagraża? Constantin, który rano p'sa ° sprawiedliwości, całymi dniami słuchał o niesprawiedliwości. Ludzie przychodzili gromadami, by za cenę kawy posłuchać jego rad. Był sfrustrowany, że nie może zrobić dla nich nic więcej. Czasem mówił głośno o powrocie do praktyki adwokackiej, ale przyjaciele

zdecydowanie wybili mu ten pomysł z głowy. — Nie, nie! — wołali. —

Pułkownicy aresztują cię w ciągu pięciu minut. Potrzebny nam jesteś tutaj, byś udzielał nam rad. — I Constantin udzielał im coraz częściej porad prawnych. W miarę jak ustanawiane przez reżim dekrety stawały się coraz bardziej represyjne, nabierał coraz to większej zęrcności w wyszukiwaniu różnych kruczków na użytek przyjaciół. Nie były to jakieś spektakularne rozwiązania, ale każda luka w przepisach była bardzo cenna na śliskim gruncie walki o przetrwanie. Warunki pogorszały się nieustannie. Zdeprawowane rządy owocują deprawacją społeczeństwa. Już

wkrótce przekupstwo stało się normalnym trybem załatwiania spraw z policją i z szerokimi kręgami urzędników. Pierwsi brali pieniądze za tak zwaną „ochronę”, drudzy przymykali oko na drobne naruszenie przepisów, w zamian za stosowną gratyfikację. Tak czy inaczej, ludzie musieli zdobywać dodatkowe pieniądze, a jedynym sposobem zdobycia dodatkowych pieniędzy była kradzież. Tragarze w dokach okradali z każdą partię przeładowywanego frachtu. Jeśli to była żywność, dzielili ją między siebie. Jeśli artykuły przemysłowe, sprzedawali je na czarnym rynku. Początkowo kłócili się o to, jak te dochody dzielić, aż w końcu ktoś wpadł na pomysł: — Niech Constantin to rozsądzi. Mamy do niego zaufanie.

I w taki oto sposób Constantin stał się bankierem. Mimo że nie odpowiadała mu się ta funkcja, przyjął ją. Zgodził się również reprezentować swoich przyjaciół w kontaktach z łasymi na łapówki urzędnikami, ponieważ będąc prawnikiem, przewyższał znajomych nie tylko elokwencją, ale też i posturą znacznie pokazniejszą niż u większości robotników portowych. Jego szybko rosnąca popularność przysparzała mu coraz to nowych obowiązków. Wkrótce tawerna stała się czymś w rodzaju sali rozpraw. Ludzie tak często zgłaszali się do Constantina ze swoimi kłopotami, że przeznaczył na załatwianie ich spraw wtorkowe popołudnia, w tym dniu nie zajmował się już niczym innym. Choć nie miał możliwości egzekwowania wyroków, zawsze się z nim zgadzano. Nikt nie kwestionował jego orzeczeń. Wierzył w jego iście salomonową mądrość, widziano w nim nieoficjalnego przywódcę, nieoficjalnego jakby burmistrza. Coraz częściej przyrównywano go do ojca. — Phaidon Peponis ma godnego następcę

186

ce — mówiono, starając się nie pamiętać, że Phaidon Peponis dokonał żywota na rzeźnickim haku.

Ale jedna osoba pamiętała o tym. Melinda. Z uwagą obserwowała wszystko, co dotyczy jej męża, pocieszała się jednak, że wśród rodziny i przyjaciół w Pireusie Constantin jest bardziej bezpieczny niż w salach sądowych Aten.

Constantin nie radził sobie tylko ze sprzecznościami. Rano pisał

O konieczności przestrzegania prawa, a przez całą resztę dnia czynnie je naruszał. Kiedyś zwierzył się z tych zmartwień młodemu Eliasowi. Elias obruszył się: — Jak możesz myśleć w taki sposób! Przecież prawo łamie junta. To oni zawiesili konstytucję, to oni odmawiają ludziom podstawowych praw, to oni przekształcili Grecję w państwo policyjne.

Nadszedł rok 1969. Constantin i Melinda prowadzili tawernę od dwunastu miesięcy. Junta była u władzy już dwa lata. — Gdzie są nasi sprzymierzeńcy? — irytował się Constantin. — Dlaczego Amerykanie

1 Anglicy nie przyjdą nam z pomocą? — Z greckich środków przekazu niewiele można się było dowiedzieć, ponieważ obowiązywała surowa cenzura, ale w kraju nadal były dostępne zagraniczne gazety i Constantin czytywał wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Niewiele miał radości z tej lektury. Rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, zadowolone, że Grecja nadal pozostaje członkiem NATO, patrzyły przez palce na poczynania pułkowników. Constantinowi najbardziej brakowało wiadomości od przyjaciół, którzy wyemigrowali. „Przecież ludzie tacy, jak Alex, podejmują zapewne w Londynie jakieś starania.”

Jednak ze względu na cenzurę poczty i podsłuch telefoniczny, żadne wieści, które mogłyby go podnieść na duchu, nie docierały do Pireusu.

Aż tu pewnego dnia pojawił się na scenie Maurice Stanton.

Constantin szedł właśnie na dół. Kilka stolików zajętych było przez przyjaciół, którzy przyszli na obiad, i Melinda odbierała od nich zamówienia, kiedy u wejścia stanął nieznajomy. Niski człowiek w niebieskim uniformie. Niewielu obcych trafiało do ich tawerny, a już prawie żaden z nich nie nosił munduru.

Constantin natychmiast podszedł do niego. Przybysz zapytał go po angielsku. — Czy pan Constantin Peponis?

Constantin odparł zaskoczony: — Tak, to ja. — Kiedy odpowiadał, zasłona z koralików rozchyliła się i do środka weszło jeszcze troje gości — mężczyzna w nieskazitelnie skrojonym garniturze i

dwie kobiety. Constantin, choć nadal pozostawał pod urokiem Melindy, nie mógł ukryć podziwu dla ich urody. Nie przypuszczał nawet, że takie
187

piękności istnieją. Nie potrafiąc oderwać od nich wzroku, usłyszał nagle, że nieznajomy w eleganckim garniturze zwraca się do niego w języku greckim, zaskakując tym wszystkich obecnych. — Jestem Maurice Stanton — przedstawił się. — Chcielibyśmy coś przekąsić. — Obiad dla trzech osób — zarządził człowiek w uniformie. — Ja tymczasem zajmę się samolotem.

Constantin odgadł, że chodzi o hydroplan zacumowany w Pas-salimani. Od razu stał się podejrzliwy. Wszyscy bogaci obcokrajowcy byli przyjaciółmi pułkowników. Junta chełpiła się, że udaje się jej ściągnąć do kraju kapitał obcy. Dlaczego ci ludzie wybrali się na obiad właśnie do niego? W tawernie podawano dobre jedzenie, to prawda, ale potrawy nie były wyszukane, z pewnością ludzie tacy, jak oni, zazwyczaj nie jadają w lokalach tej kategorii. Oderwawszy wreszcie wzrok od młodych piękności, Constantin wymamrotał: — Sam nie wiem... Nasza kuchnia nie jest szczególnie wyszukana...

— Ale wasze potrawy są słynne — odparł nowo przybyły, zwracając się z uśmiechem wprost do Melindy. — Pani mousaka słynie już na całym świecie.

Melinda poczuła, że się rumieni. Usiłowała sobie wmówić, że to z powodu komplementu, ale wiedziała, że to nieprawda. Spojrzenie ciemnych oczu nieznajomego sprawiło, że zaczęły jej drżeć kolana. Szokiem i wstydem było dla niej uświadomienie sobie, że to nagły przypływ podniecenia. Była przekonana, że tylko do Constantina czuje te żądze. Żona powinna pożądać męża... Ale żeby czuć te rzeczy do obcego, w dodatku obcokrajowca? Ten człowiek był starszy od Constantina, miał duże oczy, lecz nie tak wielkie, jak Constantin. Owszem, był przystojny, ale odkąd to czyjś wygląd tak ją zniewala? Po raz pierwszy od roku Melinda uświadomiła sobie, że jest źle ubrana. Z niechęcią spojrzała na towarzyszące mężczyźnie kobiety. Intuicja podpowiedziała jej, że należą do niego. Miał je obydwie. Spał z obiema. Melinda nie mogła uwierzyć, że myśli o tych rzeczach, ale myślała. Przez cały czas coś w niej wołało: „Powinnam wyglądać o wiele lepiej niż teraz. Ja też jestem piękna. Poczekajcie, niech tylko pójde na górę i się przebiorę...”

Pilot w mundurze odszedł, nie pozostawiając Constantinowi innego wyboru, jak tylko umieścić niespodziewanych gości na balkonie—Melinda schroniła się w kuchni. Uchwyciła się mocno umywałni¹ starając się dojść do siebie. Słyszała, gdy tamte kobiety zachwycają się pięknym widokiem. Melinda знаła niewiele angielskich słów, ale okrzyki zachwyty nietrudno jest zrozumieć. — Dziwki! — syknęła wrzucając do zlewozmywaka talerze.

Kiedy Constantin pojawił się z zamówieniem w kuchni, Melinda

była w nader wojowniczym nastroju. Piorunując go wzrokiem, wybuchała: — A więc tak? Nasza kuchnia nie jest wyszukana? Moje potrawy nie są wystarczająco dobre dla takich lalczek? Podawał Constantin. Nawet gdy po skończeniu posiłku pan Stanton chciał podziękować kucharce za tak wyborny obiad, Melinda nie wyszła z kuchni. Constantin był zdumiony. Melinda nigdy dotąd tak się nie zachowywała.

Kiedy w godzinę później powrócił pilot, posiłek był zakończony, a pan Stanton i jego panie gotowi do drogi. Zapłaciwszy rachunek i dorzuciwszy wyjątkowo szczodry napiwek, Stanton wstał i ruszył do drzwi. Zatrzymał się jeszcze przed zasłoną z koralików i spojrział przenikliwie na Constantina. — Obiad był wyborny — powiedział tym razem po angielsku, może po to, by nikt go nie zrozumiał. — Ale z krzesłem, na którym siedziałem, jest coś nie w porządku. Musi je pan obejrzeć. Po tych słowach wyszedł.

Constantin zmarszczywszy brwi wrócił pośpiesznie na balkon, by zreperować krzesło. Od razu zauważył leżącą na siedzeniu kopertę. Zdziwiony, podniósł ją i już miał pobiec za gośćmi, gdy zobaczył na kopercie swoje nazwisko: Dla Constantina Peponisa. Przez chwilę wpatrywał się zaskoczony w kopertę. Zdumiony spojrział raz jeszcze na zasłonę z koralików. Walcząc z ciekawością, stłumił w sobie odruch, by rozerwać kopertę, obawiając się, że ktoś może go

podglądać. Na szczęście nikt nie patrzył w jego stronę. Goście tłumnie podeszli do zasłony, by raz jeszcze spojrzeć na odchodzące piękności. Wsunąwszy list do kieszeni, Constantin zebrał ze stołu filiżanki po kawie i pospiesznie udał się do kuchni, gdzie Melinda nadal kipiała ze złości. — Posłuchaj ich tylko — prychnęła pogardliwie. — Można by pomyśleć, że nigdy dotąd nie widzieli kobiet.

Constantin zbyt był zaaferowany, by zawracać sobie głowę takimi drobiazgami. Zniżywszy głos powiedział Melindzie o liście. Melinda *zięła kopertę od niego i również przyglądała się jej w zdumieniu.

— Otworzę ją na gorze — zdecydował Constantin. — Przyjdź tam, gdy tylko będziesz mogła. List był z Londynu, od Alexandrosa Dedasa. Alexandros pisał: ...w zeszłym miesiącu przyjechał tutaj mój kuzyn Costa i opowiedział o zmianach, jakie u was zaszły. Człowiekowi, który ci to przekaże, Kożesz w pełni ufać, ale nie wolno ci nikomu zdradzić jego nazwiska. Ikt nie powinien wiedzieć, że nam pomaga...

%ł to najbardziej niezwykły, najbardziej ekscytujący list, jaki °nstantin kiedykolwiek otrzymał. Alexandros pisał o tym, jak Grecy Anglii i w innych krajach starają się mobilizować światową opinię

189

publiczną. ...To nie jest łatwe, ponieważ większość rządów bardziej jest zainteresowana handlem bronią niż prawami człowieka. Amerykanie Brytyjczycy i Francuzi nadal zaopatrują Grecję w czołgi i karabiny. Pułkownicy są dobrymi klientami. Jednakże rządy krajów skandynawskich przedstawiły w Europejskiej Komisji Praw Człowieka dowody na stosowanie tortur w greckich więzieniach...

W innym miejscu Alexandres pisał: Junta nadal usiłuje oszukiwać opinię światową obietnicami wolnych wyborów. My mówimy: udowodnijcie to, ustalcie datę, ale, oczywiście, junta odmawia. Nasi sprzymierzeńcy doradzają nam cierpliwość. Dyplomacja, mówią, wymaga czasu, a tu wciąż dochodzą do nas wieści o sprawach burzących krew w żyłach. Czy wiesz, że na wyspie Leros zorganizowano obóz koncentracyjny? Przetrzytuje się tam w barbarzyńskich warunkach setki tak zwanych więźniów politycznych. W różnych górskich wioskach jest jeszcze wiele innych takich obozów. Mamy dowody, ale oczywiście, tych nigdy za wiele. Niektóre z wiadomości, jakie do nas docierają, są wręcz niewiarygodne. Czy w Atenach, w Pireusie macie jakieś wiadomości o tym, co się dzieje? Czy mógłbyś sporządzić listę aktów represji...

Constantin widywał na co dzień przeróżne akty represji. Aż go palce swędziały, by napisać długi raport. Ale jak go przesłać do Londynu, skoro wszystkie listy są otwierane? Spodziewając się tego, Alexandres pisał: ...Wszystkie użyteczne informacje przesyłaj przez tego samego kuriera. Nie rozmawiaj z nim, nie dyskutuj, po prostu podrzuć mu list, tak by nikt tego nie widział. Będzie przychodził do waszej tawerny mniej więcej raz w miesiącu...

Kiedy Melinda przeczytała list, oczy jej aż zaokrągliły się ze zdumienia. Constantin nie mógł zrozumieć, dlaczego bogaty Anglik zawraca sobie głowę losem biednych Greków. Melinda pokręciła głową z niedowierzaniem, a rumieniec ciągle jeszcze nie znikał z jej twarzy.

Od tamtej pory Constantin regularnie pisywał raporty, w których przedstawiał wszystkie akty represji, a ponieważ takich przypadków było niesłychanie dużo, jego sprawozdania liczyły wiele stron. Mając świadomość, że to, co wie, jest zaledwie szczytem góry lodowej, poszedł w swych poszukiwaniach dalej. Jął sprawdzać wszystkie pogłoski i zaczął kupować informacje od skorumpowanych urzędników.

Pewnego wieczoru zbyttno się zagalopował. Jeden z urzędników powiedział mu bez ogródek: — Twoje pytania wydają mi się coraz bardziej podejrzone. Pomoc tutejszym ludziom to jedna rzecz, sanl jestem z Pireusu. Jeśli od czasu do czasu mówię ci o czymś, co pomaga

190

utrzymać spokój, to obydwaj czerpiemy z tego korzyść. Nie chcę, by jakieś szchy wtrącały się w mój rejon, ale twoje pytania idą za daleko, po co ci informacje o więzieniu na Leros albo

wiadomości o tym, co dzieje się w kwaterze ESA przy ulicy Bouboulinas? Skorzystaj z mojej rady i nie próbuj więcej o to pytać. Jeśli znowu mnie o to zagadniesz, powiem o tobie, gdzie trzeba. Zrozumiałeś?

Ostrzeżenie było jednoznaczne — Constantin zabawia się w niebezpieczną grę. Po tak bezpośrednim oświadczeniu stał się bardziej ostrożny, bardziej subtelny w swych dociekaniach. Ukrywał pytania za zasłoną żartów. Ale nadal je zadawał. Dalej pisywał raporty, a kiedy tylko pan Stanton zatrzymywał się u niego na obiedzie w drodze na Kariakos, pod serwetą na stole zawsze znajdował mały pakiecik.

Stanton nie przestawał zadziwiać Constantina. Choć zawsze uprzejmy, potrafił utrzymać dystans. Czasami w jego wzroku Constantin odczytywał ostrzeżenie, jak gdyby chciał mu przypomnieć, w jak niebezpieczną grę się bawią. Constantin oczywiście pamiętał o tym. Również Melindzie, która nadal unikała Stantoną, nie trzeba było tego tłumaczyć. Melinda ciągle nie chciała go obsługiwać. Constantin, który sądził, że Melinda zwyczajnie nie lubi Stantoną, nie podejrzewał, że za zachowaniem żony kryją się bardziej skomplikowane emocje.

Melinda, o której na pewno nie dałoby się powiedzieć, że nie lubi Stantoną, widziała w nim przystojnego mężczyznę, a wspomnienie odczuć, jakich doznała, kiedy go pierwszy raz zobaczyła, nie wzbudzało już w niej poczucia winy. On był wyjątkowo przystojny, a ona normalną, zmysłową kobietą. Jeśli zareagowała na niego w aż tak fizyczny sposób, to dlatego, że nigdy nie spotkała kogoś takiego, jak on. Teraz, kiedy miała już za sobą to doświadczenie, potrafiła zapanować nad emocjami. Nawet ją to trochę bawiło, była jednak na tyle rozsądna, by unikać dalszych spotkań. Ciekawość zaspokajała Podglądając go z kuchni, jego i towarzyszące mu dziewczyny, bo pan Stanton rzadko podróżował sam. Melinda oceniała ich stroje i zastanawiała się nad stylem ich życia, utwierdzając się w przekonaniu, że nikt bardziej jej nie odpowiada niż własny mąż. A o męża zaczynała Słę coraz bardziej niepokoić, bo (choć wdzięczna była Stantonowi za informacje, jakie przywoził) trapiła ją świadomość zagrożenia, z jakim wiją się ich kontakty.

— Nie martw się — uspokajał ją Constantin. — Nie jestem "kantem.

Coraz lepiej radził sobie z tą grą. By znaleźć wytłumaczenie dla

191

częstych wizyt Stantoną, Constantin obmyślił opowiadanie o Greggu Australijczyku, osobistym pilocie Stantoną. Puszczając porozumiewawczo oko do swoich stałych bywalców i wzruszając wymownie ramionami, mówił na głos: — Od czasu do czasu podsuwam Greggowi kilka drachm, by odpowiednio obsobaczył inne tawerny, i w efekcie jego chlebobawca przychodzi do mnie. Dla mieszkańców Pireusu taki powód był w pełni jasny. Sami zrobiliby to samo, by utrzymać dobrego klienta. — Aha — kiwali z aprobatą głowami, utwierdzając się w mniemaniu o wysokiej mądrości Constantina Peponisa.

Constantin tak zręcznie maskował wszelkie ślady, że szokiem stała się dla niego pierwsza sytuacja kryzysowa, której przyczyną nie był zresztą on sam, lecz Demetrios i Theo, bracia Melindy. W wielu krajach występki, jakiego dopuścili się Demetrios i Theo, byłyby śmiechu wart. W Grecji oznaczał jednak skazanie na tortury, a może nawet śmierć. Wypisywali na murach antyrządowe hasła. Przyłapała ich na tym policja i ruszyła za nimi w pogoń. Ukryli się w domu wuja Mikisa, czyniąc tym samym z niego współnika. Po pewnym czasie wuj Mikis uznał, że niebezpieczeństwo minęło, i odprowadził ich do tawerny. Było to w dniu, w którym Gregg Richards zamiast pana Stantoną przywiózł z sobą nieznanego Anglika o nazwisku Lambert.

1978

Constantin z uśmiechem pochylił się nad barkiem z alkoholami. W zniekształconych dłoniach trzymał kieliszek. — Cóż to był za dzień, gdy uratowałeś Demetriosa i wuja Mikisa! Tom wzruszył ramionami, nie czując się zręcznie w roli bohatera. Działał wtedy zupełnie odruchowo. Nie zastanawiał się nad konsekwencjami.

Constantin stał nadal przy barku i przyglądał się przyjacielowi. Z takimi nastrojami Toma już sobie radził. Teraz Tom był usposobiony refleksyjnie, ale jego poprzednie emocje były nie do opanowania. Zatracał się w obsesyjnym, szaleńczym wręcz dążeniu do zemsty, krzyczał wówczas coś i niezrozumiale belkotał. Pół godziny musieli go namawiać, by odszedł od tej przeklętej szubienicy nad urwiskiem.

Odwróciwszy się ponownie do barku, Constantin nalał brandy do trzech kieliszków. — Bardziej od naszego pierwszego spotkania *olałem następne. — Uśmiechnął się. — I wszystkie dalsze. Każda twoja wizyta była dla nas świętem.

Ich przyjaźń rozpoczęła się tamtego lata. Widywali się co cztery, pięć tygodni, kiedy Tom w drodze na wyspę Kariakos zatrzymywał się w Pireusie.

— Melinda wprost zakochała się w tobie — Constantin uśmiechnął się szeroko i podał Tomowi kieliszek. — Powiedziałem jej nawet kiedyś, iż obawiam się, że mi ją ukradniesz.

Alec roześmiał się. — W to nie wierzę. Nikt nie potrafiłby ukraść Ci Melindy.

195

Pogodnie uśmiechnięty Constantin powrócił na swoje krzesło. Wielokrotnie dokuczał Melindzie wspominając Toma. Melinda lubiła Toma i chciała, żeby on też ją polubił, więc używała swoich kobiecych sztuczek, by zyskać jego przychyłność. Kiedy w tawernie pojawiał się pan Stanton, nie wychodziła z kuchni, lecz gdy przybywał Tom Lambert, dosiadała się nawet do jego stolika.

Oczywiście nie szła tam wprost z kuchni. Najpierw pędziła na górę, by się przebrać, przypudrować nos i uczesać, a dopiero potem siadała w jego towarzystwie. Constantin mruzczał wówczas: „Czy ty przypadkiem nie zamierzasz mi kiedyś zniknąć z tym człowiekiem?“, a Melinda uderzała w ten sam ton: „Przecież to ty uznałeś go za brata, a czyż bracia nie powinni się wszystkim dzielić?“

Pewną trudność stanowił język, ale Melinda kupiła rozmówki grecko-angielskie, a Constantin trochę ją jeszcze poduczył. Tom z kolei nauczył się już kilku słów greckich — kallymera, kallyspera, psomee, parakalo. Nigdy nie wykazywał jednak tyle inicjatywy, co Melinda, ale ją cieszyły nawet drobne przejawy dobrej woli z jego strony.

— Zawsze się zastanawialiśmy — rzekł teraz Constantin — ile ty naprawdę o nas wiesz. Melinda ciągle pytała: „Czy myślisz, że on wie, że pan Stanton przekazuje nam wiadomości od Alexandrosa?“

Tom spojrzał na niego uważnie: — Nie miałem o tym pojęcia.

— Teraz to dla mnie jasne — kiwnął głową Constantin. — Wtedy tylko przypuszczałem, że nic ci nie mówi, ale nie byłem pewny.

Za każdym razem, kiedy dochodziło do spotkania z panem Stantonem, Constantin usiłował rozgryźć tego człowieka. Nigdy mu się to nie udało. Oczy Stantonona często w ułamku sekundy stawały się ciemne i nieprzeniknione.

Constantin powiedział: — Powtarzałem Melindzie, że wątpię, by ktokolwiek wiedział o tej korespondencji, nawet Gregg nie zdawał sobie z niej sprawy. Często mówiłem: „Pan Stanton to sprytny facet. Wydaje mi się, że jego życie składa się z hermetycznie zamkniętych segmentów i nic nie przenika z jednego do drugiego. Ale nie wolno nikomu o tym mówić, nawet Tomowi Lambertowi“.

Tom uśmiechnął się na wspomnienie ich pierwszych spotkań. Przyjaźń między nimi zaczęła się od razu tamtego lata. Nie mógł zawieść tej przyjaźni. Reagował jak każdy inny mężczyzna na uroki pięknej kobiety, ale polubili się z Constantinem od pierwszego spotkania. Nie zwierzając się z sekretów, każdy z nich potrafił ocenić charakter drugiego i przypadli sobie do gustu. Tom uznał za ironie losu to, że zaimponował Constantinowi odwagą. To przecież ConstaO'

196

. miał w sobie odwagę lwa. Tom wiele razy się zastanawiał, jak sam . postąpił na jego miejscu. Czy też zrezygnowałby z uprawiania wOjego zawodu, by się uwikłać w Bóg wie jakie sytuacje? Patrząc

na twarze ludzi, którzy przychodzili do tawerny, Tom dostrzegał wyraz szacunku, z jakim odnosili się do Constantina. Nietrudno było sobie wyobrazić, co było tego powodem. — Nieraz czułem się winny — powiedział Tom pijąc łyk brandy. — Podejrzywałem, że jest ci ciężko, ale przecież zawsze witałeś mnie z taką radością.

— A czemu by nie, skoro zawsze przynosiłeś prezenty — zażartował Constantin.

Tom uśmiechnął się na wspomnienie tych prezentów, które kupował w wolnocłowych sklepach. — Tak dobrze zaczęło mi się wszystko wtedy układać. I z pracą, i z Melody i w ogóle ze wszystkim. Melody weszła w jego życie z siłą eksplozji. Alec nadał jej przydomek Wielkiej Przedsiębiorczynie. Kiedyś zatelefonowała do jego biura. — Jestem w Londynie — powiedziała. — Co z tą obiecaną kolacją, którą kiedyś proponowałeś? — Pierwsza kolacja zmieniła się w następną. Po trzeciej znaleźli się w łóżku. A w łóżku było wspaniale. Fantastycznie. Melody była fantastyczna. Jeśli była, bo zazwyczaj przebywała w Paryżu, Sydney, Hongkongu lub gdzieś w świecie, a nie w Londynie. Otworzyła galerię i sprzedawała obrazy bogatym klientom z całego globu. Spędzała więcej czasu w samolotach niż Tom. Ale to im odpowiadało. Obydwoje żyli swoją pracą. Na pełnych obrotach. Traktowali możliwość spotkania jako wyzwanie, które pokonywali w marszu. Konieczność zsynchronizowania rozkładów dnia przydawała ich randkom dodatkowych atrakcji.

Constantin uniósł z zainteresowaniem brwi. — A twój chlebodawca, czy wiedział o Melody?

— Oczywiście. Powiedziałem mu o niej.

— Prosiłeś o pozwolenie?

— Nie — Tom potrząsnął przecząco głową. — To odbyło się całkiem inaczej.

. Melody zawsze była wolnym duchem, najbardziej niesfornym, jakiego spotkał. Maurice tylko się uśmiechnął słysząc o ich związku. — Zwidziałem, że ona coś do ciebie czuje — rzekł. — Ciesz się nią. Będzie dla ciebie dobra.

Jak widzisz — uśmiechnął się Tom — zapewniono mi wszystko, czego mogłem oczekiwać od życia. I dlatego dręczyły mnie wyrzuty Sumienia w stosunku do ciebie.

— Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić niż spotkanie tobą — przerwał Constantin. — Chyba o tym wiesz?

197

A niewiele dobrych rzeczy przydarzyło się Constantinowi tamtego lata. Junta coraz mocniej dzierżyła ster władzy. Constantin nadal chciał wierzyć, że coś zmieni się na lepsze, ale nawet jego wiara zaczęła się chwiać. Pod koniec lata stracił już wszelkie złudzenia. Nowa postać pojawiła się na światowej scenie. W Libii, po drugiej stronie Morza Śródziemnego władzę przejął pułkownik Kadafi. Już po kilku dniach sprawowania władzy kazał Amerykanom zamknąć bazę lotniczą w Wheelers Field. Amerykanie otrzymali zakaz wszelkich lotów i polecenie ewakuowania bazy w nadzwyczaj krótkim terminie. Po kilku następnych dniach również i Brytyjczykom kazano wynosić się z bazy morskiej w Tobruku.

Constantin bez trudu zrozumiał implikacje tych wydarzeń. NATO będzie potrzebowało nowej bazy na Morzu Śródziemnym. Jęknął słysząc te nowiny, bo wiedział, że nie zapowiada to niczego dobrego.

Wkrótce padł następny cios, tym razem z bliska. Pan Stanton znów się zatrzymał w tawernie w drodze na Kariakos i jak zwykle przekazał list od Alexandrosa. Lecz wiadomość tym razem była druzgocąca. Nasz kurier nie używa tej trasy w zimie. Spróbuję znaleźć innego pośrednika, ale zanim to nastąpi, łączność między nami może zostać przerwana aż do wiosny...

Do wiosny! Constantin przeraził się. Ten strumień wiadomości i pieniędzy był dla niego czymś w rodzaju liny ratowniczej. Czuł się potrzebny, wiedział, że spełnia coś pożytecznego.

Wiosna wydawała mu się tak odległa jak kres życia.

1970

8stycznia 1970 roku siły powietrzne Stanów Zjednoczonych rozpoczęły ewakuację swojej bazy w Libii. W dwa dni później prezydent Nixon wyznaczył nowego ambasadora w Grecji. Zaraz po akredytacji ambasador Henry Tasca rozpoczął z władzami pertraktacje dotyczące założenia baz

amerykańskich w Grecji. Pułkownicy nie śpieszyli się. — Udzielcie nam swego poparcia — mówili — a my pozwolimy wam założyć bazy.

Constantin na tę wieść aż jęknął. — Boże, wybacz Amerykanom, bo nie wiedzą, co czynią. Gdy nadeszła zima, Constantin bliski był załamania. Jego zapatrywania poddane zostały ciężkiej próbie. To, że Grecja należy do NATO, jest członkiem Rady Europy, ma potężnych sprzymierzeńców, okazało się bez znaczenia. Światowych polityków nie interesował los umęczonych Greków.

Świadomość spoczywającej na nim odpowiedzialności i nikły Promyk nadziei podtrzymywały go jeszcze na duchu. Jednym z tych Promieni był Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża. Od dwóch lat Międzynarodowy Czerwony Krzyż wywierał presję na juntę i choć niechętnie, pułkownicy poszli na pewne ustępstwa. Delegatom MK.CK z Genewy pozwolono otworzyć w Atenach biuro. Umoż- Wiono im dostęp do więzień, krewnym osób uwięzionych pozwolono kontaktować się z biurem delegatury Czerwonego Krzyża.

?— Sami widzicie! — grzmiała na wszystkie strony junta. — w naszych więzieniach nie stosujemy tortur. To kłamstwo rozpo

199

wszechniane przez naszych wrogów. Udokumentowaliśmy to. Czerwony Krzyż nie znalazł żadnego potwierdzenia na stosowanie tortur.

Grecy osłupieli. Wiedzieli przecież, że więźniowie są torturowani. -Czerwony Krzyż został oszukany — stwierdzili. — To jasne, że więźniom nie wolno mówić. Zostawili przecież na wolności żon dzieci... Ich rodziny w każdej chwili mogą podzielić los więźniów, j taka będzie wola junty.

Pewnego dnia Constantin pojechał autobusem do Aten. Postano osobiście skontaktować się z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem. — Nazywam się Constantin Peponis — powiedział do siedzącej przy biurku dziewczyny. — Chciałbym porozmawiać z delegatem z Genewy.

Wszyscy w tym biurze byli Szwajcarami. Później dowiedział się, że członkostwo w Międzynarodowym Komitecie Czerwonego Krzyża zarezerwowane było dla obywateli szwajcarskich. Niewielu z nich znało grecki, więc rozmawiali z nim po angielsku. Spotkanie nie przebiegło tak, jak sobie wyobrażał. Wiedzieli, kim jest. Kopie raportów, które pisał dla Alexandrosa, wędrowały również do Genewy. Nie przyjęto go jednak entuzjastycznie. Delegat poprowadził spotkanie w sposób rutynowy, bez okazania cienia sympatii czy choćby zwykłego zainteresowania. Nic nie wskazywało na to, że są po jego stronie.

— Nie wolno nam opowiadać się po czyjejkolwiek stronie — powiedział ktoś z obecnych. — Naszą rolą jest całkowita bezstronność.

Constantinowi krew uderzyła do głowy. — Jak można być bezstronnym wobec bezprawia i zła? — Niech pan na chwilę zapomni o tym, że jest Grekiem. Jest pan również prawnikiem. Niech pan spojrzy na sprawy z prawnego punktu widzenia, to zrozumie pan nasze położenie.

Stopniowo to do niego dotarło. Umowa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z juntą była całkowicie jednostronna. Nie mieli prawa stawiania żadnych warunków. Pułkownicy reprezentowali przecież suwerenne państwo greckie. MKCK jako organizacja prywatna nie mogła rościć sobie żadnych pretensji do funkcjonowania prawa w tym kraju. Amnesty International już dawno została przez juntę wypędzona z Grecji. MKCK ledwo tolerowano. Czerwony Krzyż był świadom, że pułkownicy będą usiłowali wykorzystać tę organizację dla celów propagandowych, ale chcąc zyskać szansę udzielenia komukolwiek pomocy, musieli przyjąć te warunki. Każdy dzień w Grecji był dla MKCK stąpaniem po tafli kruchego lodu.

Constantinowi przyszedł na myśl jego własny ojciec. On też stąpał po kruchym lodzie. Wielu Greków nim pogardzało, nazywając go narzędziem reżimu nazistowskiego.

200

Tego wieczoru Constantin wyjaśnił przyjaciółom w tawernie postępowanie MKCK. — Robią, co mogą — bronił ich. — Ale przynajmniej coś robią.

I rzeczywiście, MKCK uzyskał pozwolenie na wizytacje kilku więzień, udało mu się nawet wynegocjować uwolnienie niektórych więźniów, dostarczali zapomogi rodzinom. Ale to wszystko było kroplą w morzu. Terror panował wszędzie. Dokonywano aresztowań w środku nocy, wyciągano ludzi z łóżek i odwożono nie wiadomo dokąd.

Dla Constantina nastał czas próby. Los wielu osób zależał od niego. Kupował dla nich bezpieczeństwo od skorumpowanych urzędników, pogardzał przy tym zarówno sobą, jak nimi — ale cóż innego mógł poczuć? Był zdecydowany zapewnić za wszelką cenę bezpieczeństwo Melindzie, jej rodzinie i przyjaciołom. Otaczał ich opieką, słuchał skarg i martwił się o nich. Najbardziej lękał się o Eliasa.

Dimitri i Theo nadal się ukrywali, więc Elias był jedynym bratem Melindy, który wciąż mieszkał w domu rodziców. Wszyscy w rodzinie dumni byli z niego, czasami można było odnieść wrażenie, że cały Pireus się nim chlubi. Elias był wybijającym się studentem drugiego roku Wyższej Szkoły Prawniczej w Atenach. Constantin mówił z dumą: — Kiedy powrócę do praktyki adwokackiej, przyjmę Eliasa na aplikanturę.

Elias był poważnym młodym człowiekiem o ciemnych, zamyślonych oczach. Zwinnością dorównywał siostrze. Brakowało mu jednak jej poczucia humoru. — Zbyt poważnie podchodzi do wszystkiego — mówili o nim znajomi. Mimo to był lubiany wśród kolegów na uczelni, niektórzy nawet go podziwiali. — Tak inteligentny chłopak jak on nie może się ciągle śmiać i stroić żartów — tłumaczyła go matka, choć czasami w jej słowa wkradała się nuta goryczy.

Odkąd rozpoczął studia prawnicze, Elias spędzał sobotnie przedpołudnia w tawernie, gdzie pobierał dodatkowe nauki od Constantina, dla którego był to najważniejszy dzień tygodnia. Pracowali w mieszkaniu na górze; Melinda przyrządzała w tym czasie potrawy z ryb. Coraz to częściej Elias rozmawiał z Constantinem jak mężczyzna z mężczyzną, jak prawnik z prawnikiem, ponieważ Elias potrafił już r^ozprawiać o problemach prawniczych, a robił to z dużą swadą. Czasami ich debaty przeradzały się w żarliwe spory, co pozwalało Constantinowi wnioskować, że Elias powinien ukończyć studia prawnicze z najwyższym wyróżnieniem.

Jak na ironię, wydział prawa stał się dla nich kością niezgody. Constantin kochał tę uczelnię. Wspomnienia z lat studiów ożywiały

201

w nim pamięć szczęśliwych dni. Ale uczelnia prawnicza, z której ukończenia tak był dumny, bardzo różniła się od tej, w której przyszło się uczyć Eliasowi. Uczelnia, w której studiował Elias, pozbyła się wszystkich znakomitych profesorów. Zalecane lektury wynosiły pół (niebiosa) zalety państwa policyjnego, a model totalitarny stawiano za wzór dobrych rządów. Prawo, które tak cenili Constantin, poszło w zapomnienie. Zdając sobie sprawę, że wszelkie idee radykalne mogą znaleźć łatwą pożywkę w ośrodkach studenckich, junta trzymała uniwersytety żelazną pięścią. Na studentów donosili wykładowcy, a zrzeczenie studentów znalazło się pod ścisłą kontrolą władz. Wichrzyciele otrzymywali karty poborowe do wojska...

Constantin wiedział o tym wszystkim, ale nie mógł przecież zniechęcać Eliasa do studiów. — Pozdawaj egzaminy, zyskaj dyplom. Myśl o przyszłości... To wszystko prędzej czy później się skończy.

Lecz Elias coraz częściej chciał wiedzieć, kiedy to nastąpi.

Constantin mówił mu wtedy o presji światowej opinii publicznej. Sam mógł żywić tylko nadzieję, że wolność nadejdzie może już wkrótce.

Pojęcie „wkrótce”, a szczególnie nie dające się określić „wkrótce” to zbyt odległy termin dla młodego człowieka. Elias stawał się coraz bardziej niecierpliwym. Pozbawiony możliwości debatowania o sprawach politycznych na uczelni, zaczął ich szukać poza murami szkoły. Wraz z kilkoma kolegami jał uczęszczać na tajne spotkania. Za zamkniętymi drzwiami rozmawiali o wolności i prawach, które w Europie są powszechne, lecz w Grecji traktowane jako zdrada państwa. Z tygodnia na tydzień coraz większe emocje towarzyszyły sobotnim spotkaniom w tawernie. Wiedząc, co dzieje się w umyśle chłopca, Constantin zachęcał go do mówienia, mając nadzieję, że uda mu się wyperswadować Eliasowi wszelkie nierozważne kroki, ale chłopak nabrał już takiej

wprawy w dyskutowaniu, że każda debata szybko przeradzała się w zaciekły spór. Coraz to bardziej oddalali się od siebie, a szczelina, która zaczęła ich dzielić, przemieniała się z wolna w przepaść, kiedy Elias ujawnił, że związał się z grupą młodych ludzi, wśród których mówiło się o pozyskaniu broni i zbrojnym powstaniu.

Constantin był przerażony. — Nie, nie, to nie jest sposób! Przemoc rodzi przemoc.

— Powiedz to Papadopoulosowi. Wiemy przecież, w jaki sposób przejął władzę...

Ich kłótnie stawały się tak zacięte, że wkrótce Elias przestał wspominać swoich przyjaciół, chociaż Constantin przypuszczał, że chłopak nie zaniechał widywania się z nimi.

Constantin zamartwiał się. Kochał Eliasa. Dumny był z tego

202

chłopca. Elias posiadał duże zdolności, miał przed sobą wielką przyszłość, ale jeśli wyjdą na jaw jego powiązania z tamtymi ludźmi, mogło już nie być dla niego żadnej przyszłości. Junta go dopadnie i zabije.

Nareszcie pojawiły się pierwsze oznaki wiosny. Cieplesze dni jęły wypierać chłód i wilgoć ateńskiej zimy. Słońce, które z bladocy-trynowego stało się bardziej pomarańczowe, coraz to gęstszym kwieciami obsypywało migdałowe drzewa na zboczach gór. Pnącza na balkonie tawerny płonęły purpurą i złotem, a pierwsze pelargonie wychylały się z pąków.

Choć mogło to zakrawać na cud, Constantinowi udało się przetrwać, podobnie jak jego przyjaciółom, nad którymi roztoczył opiekę. Wciąż słyszało się o aresztowaniach, ale nie dotknęły one nikogo z podopiecznych Constantina. Nawet Eliasa, nadal posepnie zamyślnego i buntowniczego, nie spotkały represje, choć temperatura co sobotnich spotkań z Constantinem bywała nieraz krytyczna. Umówili się, że nie będą informować Melindy o swoich kłótniach. Jedną z radości Melindy była przyjaźń Constantina z jej bratem. Wielką przyjemność sprawiało jej widywanie ich razem. Tak więc w sobotnie przedpołudnia chętnie pozostawiała ich samych i uszczęśliwiona schodziła na dół do kuchni.

Jak pasterz doglądający trzody, Constantin nieustannie czuwał. Słuchał plotek w tawernie i sprawdzał wszelkie pogłoski. Jego zaufani ludzie sprawdzali doniesienia. Niewiele było takich rzeczy w Pireusie, które mogłyby ująć jego uwagi. Ale ciągle doskwierał mu brak nowin z szerokiego świata. Co dzieje się z Alexandrosem w Londynie?

Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy znowu pojawił się pan Stanton. Podobnie jak dawniej, nic nie zapowiadało jego wizyty. Pewnego Przedpołudnia zasłona z koralików uchyliła się i wszedł Gregg Richards, pilot, a za nim po chwili wkroczył Maurice Stanton.

Pan Stanton urzekł Constantina. Ten człowiek miał wszystko. Pieniądze i władzę, urok i energię. No i kobiety. Tym razem też były dwie — Hinduska w srebrnym sari i blondynka całkiem inna od tej zielonookiej z zeszłego roku, lecz równie piękna. Kobiety jak zwykle Padły w zachwyt na widok z balkonu. Pejzaż, tawerna, egzotyczne Potrawy — wszystko to były dla nich nowością. Oczy ich zaokrągliły le z emocji, a pan Stanton cieszył się ich radością. — To wszystko stanowi część waszej wielkiej przygody — mówił, gdy Constantin nalewał im wino.

203

Na krześle pozostała duża koperta.

Constantin wbiegł pośpiesznie na górę, niby kochanek, który otrzymał list od wybranki. Lecz wiadomości były złe. Gorzej niż złe Tragiczne. Grecy emigranci i ich sympatycy przegrywali tę walkę Szczególnie w Waszyngtonie. Alexandros pisał: Nixon uczyni wszystko by zyskać w Grecji bazę dla swojej Szóstej Floty. Niczego nie odmówi juncie, jeśli otrzyma te swoje bazy...

W Londynie, Rzymie, Paryżu — Amerykanie mają się różnych sposobów, by powstrzymać sojuszników od protestu. Uznają, że bazy są ważniejsze od niedoli kilku Greków.

„Kilku Greków!” Constantin aż zawrzał z oburzenia. Jak ktoś może mówić, że chodzi o „kilku” Greków, gdy cały kraj jest sterroryzowany.

W innym fragmencie listu Alexandros pisał: Powinieneś zachęcać ludzi do mówienia z większą otwartością o torturach, szczególnie delegatom Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża.

Dochodzi tu do nas wiele pogłosek, ale w MKCK brak dowodów...

Constantin zdenerwował się, poczuł się oszukany. Spodziewał się czegoś więcej po Alexandrosie. Łatwo krytykować z Londynu. Niechby tak spróbował żyć w Atenach. Zaraz by zaczął inaczej śpiewać. Brak wolności powoduje erozję chęci walki. Strach przed większymi represjami skutkuje biernym przyzwoleniem na niesprawiedliwość. Lecz Alexandrosowi nie grozi przerażające pukanie do drzwi o drugiej nad ranem.

Te złe wiadomości wpędziły Constantina w głęboką depresję. Trwało to tygodniami. Melinda nie wiedziała, co robić. Przygotowywała jego ulubione potrawy. Serwowała najlepsze wina. Była uwodzicielska w łóżku. Wszystko na nic. Ledwie coś przekąsił, wypił lub skończył się z nią kochać, depresja wracała.

Najbardziej obezwładniała go świadomość, że junta coraz bardziej się umacnia, nie widać było końca represjom. Sady, z których Constantin kiedyś był tak dumny, stały się narzędziem linczu. Wytoczono proces trzydziestu czterem członkom partii demokratycznej-Jednym z oskarżonych był generał Iordanis, dawny przedstawiciel Grecji w kwaterze głównej NATO, oprócz tego aktem oskarżenia objęto wielu znanych prawników, wśród których znalazło się kilku przyjaciół Constantina. Wszystkim postawiono zarzut konspiracji i nielegalnego posiadania materiałów wybuchowych. Wszyscy kolejno odwoływali zeznania złożone podczas tortur. Ale i tak nie miało to znaczenia. Uznano ich winnymi.

— Osiemnaście lat —jęknął Constantin słysząc wyrok. — Wykończą ich w więzieniu po roku. — Melinda się rozpląkała. Przypomniała

204

sobie, jak podejmowała tych ludzi w ich eleganckim mieszkaniu w Atenach. Całe wieki temu. To był świat, który przestał istnieć, o? obecnym świecie gasły wszelkie nadzieje.

I wtedy zdarzył się cud. Constantin nie potrafił znaleźć na to innego określenia. W chwili, gdy psychiczna udręka wydawała się już nie do zniesienia, a gnębieni ludzie stracili wszelką nadzieję, zdarzył się wypadek, który przywrócił ludziom nieco otuchy.

Z więzienia Averoff uciekło dziewięciu mężczyznom. Znienawidzona policja wojskowa ESA natrafiła na ich ślady w Pireusie. Miasto zostało gruntownie przeczesane. O trzeciej nad ranem wypędzono mieszkańców na ulice, gdzie drżeli z zimna, a w tym czasie zbrojne oddziały rewidowały pokoje i strychy. Zaglądali niemal do mysich dziur. O świcie nagonka przeniosła się do doków. Przeszukano każdy statek, każdy tankowiec, każdą skorodowaną kupę żelastwa unoszącą się na wodzie.

Polowanie trwało cały następny dzień i noc, aż w końcu, po pięćdziesięciu godzinach od ucieczki, ESA musiała uznać to, co dla innych już od dawna było oczywiste: uciekinierzy w jakiś cudowny sposób rozplynęli się w powietrzu.

Tego wieczoru Constantin świętował to wydarzenie. Cały Pireus świętował w ten wieczór. W tawernie pełno było ludzi, którzy śmiali się i żartowali.

W ciągu następnych dni ludzie gubili się w domysłach. Każdy miał własną teorię o sposobie ucieczki. Na ścianach domów pojawiły się napisy: „Niech żyje wolność! Niech żyje dziewięciu z Averoff!” Uciekinierzy stali się symbolem nadziei. ESA przeprowadzała nagłe rewizje to tu, to tam, ale dziewięciu z Averoff nie udało się złapać.

Podobnie jak innych, Constantina intrygowała ta sprawa, ale nie chciał się wdawać w jałowe spekulacje. — Najważniejsze, że są wolni Powiedział. — A sposób, w jaki dokonali ucieczki, jest mniej istotny. — Nie przypuszczał, że kiedykolwiek dowie się, jak to do tego doszło. Lecz pewnej nocy stał się jednym z niewielu, którzy dowiedzieli się, co słało się z dziewięcioma z Averoff.

Było późno, druga nad ranem. Melinda już spała. Drzwi wejściowe ryglowane. Po opróżnieniu popielniczek i pozmywaniu podłogi Constantin zamykał właśnie okiennice na balkonie, kiedy z alejki ktoś jsnął kamyk. Poszybował szerokim łukiem w górę, przeleciał nad , ustradą i wylądował na kamiennej posadzce. Constantin podszedł .° balustrady i wyjrzał na zewnątrz. Wąska alejka ginęła w mroku. rużąc oczy, Constantin usiłował dostrzec jakiś ruch, ale nic nawet e drgnęło. Przez chwilę sądził, że mu się przywidziało, był przecież eczony, dzień ciągnął się bez końca, trochę wypił. I wtedy usłyszał,

że ktoś zduszonym szeptem wymawia jego imię. Wychylił się najdalej jak mógł. I znowu ten sam szept: „Constantin, pomóż mi!” Z napięciem wpatrywał się w ciemność. Mimo że słyszał, skąd dochodzi głos dopiero po chwili udało mu się wypatrzeć sylwetkę mężczyzny leżącego płasko na plecach i tak obsypanego ziemią, że tylko po białkach oczu można było odróżnić go od tła. Constantin zawołał cicho: „Kto tam?” Cisza. Znowu zamierzał zawołać, kiedy dobiegł go ledwie słyszalny głos: „Roufus... Panos Roufus”. Zmarszczywszy czoło Constantin usiłował skojarzyć nazwisko z twarzą. Nagle przypomniał sobie. Roufus był rybakiem. Miał na spółkę z bratem dwie łodzie. Cieszyli się opinią uczciwych i pracowitych ludzi. Constantin znał ich obydwu, choć niezbyt dobrze.

— Pomóż mi! — znów dobiegł szept z alejki.

Szybko, po cichu Constantin podszedł do drzwi wyjściowych i odsunął rygiel. Ulicę spowijała czarna jak smoła ciemność bezksiężycowej nocy. Pozostawiając otwarte drzwi, okrążył pośpiesznie dom i wszedł w alejkę. Roufus przetoczył się na brzuch i próbował dźwignąć na kolana. Oddychał z trudem. Constantin podszedł do niego i przyklęknął na kolano. — Panos?... — Kiedy Roufus odwrócił głowę, Constantinowi zaparło dech w piersi. To, co z góry wydawało się obsypką z ziemi, wcale nią nie było. To była krew. Roufus był cały we krwi. Twarz miał opuchniętą i zakrwawioną. Na moment podniósł umęczony wzrok i spojrzał na Constantina, a potem zwalił się na ziemię. Constantin przetoczył go łagodnie na plecy, a potem wziął na ręce i podniósł do góry. Roufus był średniego wzrostu i mocnej budowy ciała, ale Constantin niósł go bez wysiłku. Przy każdym kroku Roufus wydawał jęk.

Wniósłszy go do tawerny, Constantin posadził Roufusa na krzesło, a sam wrócił zamknąć drzwi wejściowe. Koszulę miał moką od krwi. Kiedy ją ściągał, na schodach pojawiła się Melinda. Krzyknęła cicho na ich widok. Twarz jej zbieleła. Podbiegając do Constantina, spostrzegła Roufusa. Constantin dał jej znak, by milczała, i pośpiesznie pochylił się nad rannym. W świetle elektrycznym Roufus wyglądał jeszcze gorzej. Constantin wysłał szybko Melinę po gorącą wodę. Zestawił z sobą dwa stoły i położył na nich Roufusa. Mężczyzna jęknął i otworzył oczy. Usiłował coś powiedzieć, ale zakrztusił się krwią. Pochylił głowę na bok i splunął krew, przeciągając językiem po okaleczonych wargach i powybijanych zębach. Lewą rękę miał złamaną, co Constantin odgadł niosąc go z alejki.

— Leż spokojnie — nakazał mu, gdy Melina wróciła z wodą-

206

Rozerwawszy obrus, zaczął przemywać Roufusowi twarz. — Musimy wezwać lekarza.

— Nie — zaprotestował słabo Roufus. — Tylko żadnego lekarza...

— Spokojnie, spokojnie — uciszył go Constantin. Rozpiąwszy koszulę Roufusa, aż skrzywił się na widok krwi. — Wielki Boże! Kto cie tak urządził?

Roufus jęknął i odsunął Melinę, starając się wstać. — Muszę stąd odejść... — zaczął, ale wysiłek znów go powalił. Ból wykrzywił twarz.

— Podaj brandy — powiedział do Melindy Constantin, nie pozwalając Roufusowi się podnieść. Na pierś Roufusa buchnęła krew z szarpanej rany na ramieniu. Jego zębra i brzuch były aż czarne.

Musiał zostać potwornie pobity. Zakrztusił się brandy, alkohol spłynął mu po brodzie.

Odchrząknawszy, znowu spróbował mówić. Constantin pochylił się nad nim.

Mówił z trudem. Wymówienie każdego wyrazu sprawiało mu nieznośny ból. Oczy lśniły gorączką.

— Znasz Ritsosa, inspektora Ritsosa? Znasz go?

Constantin zmarszczył czoło, próbując go sobie przypomnieć. W końcu już wiedział. Ritsos był komendantem posterunku policji w południowej części portu. — Tak, znam go.

— Musisz go odnaleźć — błagał Roufus. — Przekaż mu wiadomość. W największej tajemnicy. Powiedz mu, że Mercouris dowiedział się o Kariakos.

Constantin wstrzymał oddech. Kariakos? Posiadłość pana Stan-tona? Ta mała wyspa, jedna z setek rozrzuconych po Morzu Egejskim, tak maleńka, że niewielu o niej słyszało. — Kariakos? Chodzi ci o wyspę Kariakos? Co z nią?

Roufus opadł z sił. Oczy mu błyszczały. Głos miał bardzo słaby. — Ritsos będzie wiedział...

Powiedz tylko, że Mercouris dowiedział się o tym. Idź! Idź tam zaraz!

— Nie — krzyknęła przerażona Melinda, chwytając Constantina za rękę.

Nagle drzwi od ulicy otworzyły się. Constantin uświadomił sobie, że zapomniał je zaryglować.

Do środka weszło czterech mężczyzn. Jeden niósł strzelbę. Constantin rzucił się do ucieczki w odruchu paniki, ale zaraz rozpoznał brata Roufusa. Przybysze podeszli prosto do stołu i stanęli nad rannym. W błyszczących od gorączki oczach Roufusa zajaśniała nadzieja. — Mercouris — wychrypiął. — Niech mi Bóg przebaczy, ale mu powiedziałem.

207

— Mercouris nie żyje — przerwał mu brat. — Nie zdążył nikomu nic powiedzieć.

Roufus zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze. Zakaszłał. W następnej chwili łkanie zaczęło wstrząsać jego pierś. Starając się opanować szloch, zacisnął usta, ale z gardła wydobywało się tylko jakieś potworne bulgotanie. Z rozbitego nosa ciekł śluz. Brat usiłował go uspokoić. — Panos, zachowałeś się dzielnie, wytrzymałeś. Ty dopadłeś Kazantzakiego, a my zabiliśmy Mercourisa. Już po wszystkim...

Jeden z mężczyzn zwrócił się do Melindy: — Czy mógłbym prosić by wróciła pani do łóżka? Zabawimy tu krótko.

Usiłując przezwyciężyć strach, Melinda obciągnęła na sobie koszulę nocną. — Ten człowiek potrzebuje lekarza.

— Ja jestem lekarzem — powiedział ów człowiek, który już badał Roufusa, zręcznie dotykając uszkodzonych żeber. Odebrawszy od Melindy miskę z wodą, spojrział na żonę Constantina z uwagą. — Dziękujemy pani za pomoc, ale mój przyjaciel ma rację. Lepiej będzie, jeśli wróci pani do łóżka. Wystraszona Melinda spojrzała pytająco na Constantina. Lekarz podchwycił to spojrzenie i powiedział spokojnie: — Bardzo panią proszę! Jesteśmy waszymi dłużnikami, ale musimy się śpieszyć.

Melinda czekała na jakieś słowo od Constantina. Z tyłu za nią Roufus pojękiwał żałośnie, a jego brat głaskał go po włosach. Constantin kiwnął głową. — Wszystko będzie dobrze. Wracaj na górę. Melinda zawahała się. — Jesteś pewny?

— Proszę, niech pani już idzie! — powiedział z naciskiem człowiek ze strzelbą. Spojrzawszy raz jeszcze na męża, Melinda odwróciła się i zaczęła wchodzić na schody. Lekarz natychmiast przystąpił do swojej pracy i zajął się Roufusem, który jęczał i zwił się z bólu.

Nie potrafiąc mu pomóc i nie mając ochoty na to patrzeć, Constantin podszedł do kontuaru i nalał sobie solidną porcję brandy. Przyłączył do niego człowiek ze strzelbą. Constantin nalał jeszcze jeden kieliszek i podsunął go mężczyźnie. Przybysz wziął kieliszek i wypił. Ocierając usta wierzchem dłoni, spojrział twardo na Constantina. — Co on ci powiedział?

Choć widok strzelby mógł napełnić strachem, Constantin trzymaj nerwy na wodzy. — Najpierw ty mi coś powiedz. Roufus został niemal śmiertelnie pobity, ale wygląda na to, że zginęło jeszcze dwóch. O co w tym chodzi?

Mężczyzna ze strzelbą był niższy od Constantina, ale niewielu dorównywało mu wzrostem. Miał około trzydziestki, zniszczoną twar

208

. rzenikliwy wzrok człowieka, którego równie trudno zastraszyć, jak Constantina. Zanim odpowiedział, przełknął najpierw łyk brandy.

Dzisiejszy wieczór mógł cię kosztować życie, przyjacielu. Te Idnyny z ESA z pewnością by cię ukatrupiły, byle tylko dowiedzieć się o tobie, co wiesz. Ja też bym cię zabił, gdybym sądził, że im doniesiesz. S Constantin z niewzruszoną miną też wypił łyk. Jego pozorny spokój był bardzo mylący. Myśli kotłowały się w głowie. Kariakos! Czyżby pan Stanton był czymś więcej niż tylko

kurierem? A ich przyjaciel, pan Lambert? Ale przecież Ritsos jest policjantem, a ci ludzie nie są z policji. Dlaczego Roufus chciał, by przekazać wiadomość Ritsosowi?

Człowiek ze strzelbą nie odrywał oczu od Constantina. — Nie bądź głupi! Słyszeliśmy o tobie. Jesteśmy po tej samej stronie. Powiedz, czego się dowiedziałeś!

— Powiedz mi coś o Ritsosie!

Zaskoczony mężczyzna spojrzął pytająco na lekarza. Constantin odczuł strach. Czyżby tym pytaniem skazał się na śmierć? A może skazał również na śmierć leżącego na stole człowieka? Lecz przecież obok Roufusa stoi jego rodzony brat. Obaj są rybakami, a nie policjantami. Są też jednak zabójcami. Brat Roufusa przecież powiedział: „Zabiliśmy Mercourisa”. Otrząsnąwszy się z zamyślenia Constantin usiłował ukryć panikę. Targały nim sprzeczne odczucia. Jedna część jego umysłu domagała się, żeby natychmiast ich się stąd pozbył, przecież to zabójcy. Ale chciał dowiedzieć się czegoś o Kariakos. Czy pan Stanton jest w coś wmieszany? Czy grozi mu niebezpieczeństwo? Czy obok dostarczania listów zajmuje się jeszcze czymś innym?

Człowiek ze strzelbą odszedł od kontuaru i zbliżył się do stołu z rannym. Constantin usłyszał, że mówi coś półgłosem o Ritsosie. Lekarz, nadal zajęty Roufusem, mruknął coś z aprobatą. Oczy błysnęły mu podziwem. — Sprytne — powiedział. — Gdybym to ja leżał na tym stole, do głowy by mi nie przyszło, żeby przesłać wiadomość Ritsosowi.

Człowiek ze strzelbą wskazał głową Constantina. — Ale teraz on też wie.

Lekarz kiwnął głową. — Myślę, że możemy mu ufać. Człowiek ze strzelbą, który jeszcze nie wyglądał na przekonanego, P°Wrócił do kontuaru.

Ten Mercouris — spytał Constantin — kto to właściwie jest, raczej był?

Człowiek ze strzelbą znów popatrzył na lekarza. Powiedz mu — zezwolił lekarz.

209

Mężczyzna wzruszył ramionami. — No, dobrze — rzekł zwracając się do Constantina. — Mercouris i Kazantzaki należeli do ESA. Weszli na pokład jednej z łodzi i wzięli Panosa przez zaskoczenie. Sam widzisz, jak go urządzili. Wyobrażam sobie, jak to się odbyło. Może Panos udał, że zemdlął? Nie wiem. W każdym razie jakoś mu się udało wydostać broń ze schowka. Zabił Kazantzakiego i zranił Mercourisa ale Mercouris zdołał uciec. My znajdowaliśmy się w odległości kilku minut drogi. Tamci mieli samochód, ale w kieszeni Kazantzakiego znaleźliśmy kluczyki, czyli że Mercouris musiał uciekać pieszo. Panos go ścigał, lecz widać stracił przytomność w drodze. Nic dziwnego skoro tak go załatwili. Gdzie go znalazłeś?

— W alejce.

— To by nawet się zgadzało — błysk zrozumienia pojawił się w oczach człowieka ze strzelbą. — Dogoniliśmy Mercourisa tu niedaleko. Zobaczyliśmy światło z twojego balkonu... — Nagle przerwał zaniepokojony. — Spyros, załóż te okiennice. Jeszcze nas tu nakryją.

Patrząc na Spyrosa, gdy zamykał okiennice, Constantin nadal gorączkowo myślał: „Dlaczego Ritsos? Czemu Roufus chciał, bym zawiadomił Ritsosa?”

Człowiek ze strzelbą odgadł, o czym myśli Constantin. Odwrócił się do lekarza. — Mam mu powiedzieć?

Lekarz obwiązywał Roufusowi piersi szarpkami z obrusa. — Już słyszał o Ritsosie — powiedział. — Nie mamy wyboru.

Człowiek ze strzelbą pochylił się nad kontuarem. Oczy błyszczały mu dumą i triumfem. — To my uwolniliśmy tych dziewięciu z więzienia Averoff. A Ritsos nam pomógł.

Constantin patrzył chwilę tępo przed siebie, aż w końcu dotarły to do niego te słowa. Teraz wszystko było jasne. Ritsos musiał zapewne skierować swoich ludzi na inne stanowiska, by umożliwić tamtym ucieczkę. Ritsos! Kto by pomyślał! Do Constantina nie dotarły nawet najdrobniejsza pogłoski o nim. Ludzie Constantina niczego nie wywęszyli. Podniosło go to na duchu. Tyle depresji i beznadziei, a tu naraz to! Kto mógł przypuszczać! Inspektor policji przeciw pułkownikom! Jeden człowiek ukryty w obozie wroga. Constantinowi przyszedł na myśl jego własny ojciec, który knuł intrygi przeciw gestapo-

Przy pomocy brata i lekarza Panos Roufus usiadł. Twarz miał szarą, piersi zabandażowane, a jedną

rękę na temblaku. Usiłował opuścić powoli stopy na podłogę.

— Spróbuj przejść kilka kroków — zachęcił go lekarz. Roufus powłócząc nogami, zdołał dotrzeć do najbliższego krzesła, na które padł z jękiem ulgi.

210

Constantin podszedł do nich z butelką brandy i kieliszkami. Lekarz przystawił Panosowi kieliszek do ust i wylał kilka kropli na opuchnięte wargi. Potem wypili wszyscy. Na surowej twarzy doktora pojawił się uśmiech. Wyciągnął do Constantina rękę. — Dziękuję, przyjacielu. Nie zapomnimy ci tego. Ale jeśli kiedykolwiek jeszcze się spotkamy, nie wolno ci się przyznać, że mnie znasz. Jeśli pojawię się kiedyś w twojej tawernie, przyjmiesz mnie jak nieznanego. To samo dotyczy pozostałych. Zrozumiałeś?

Constantin chciał jeszcze o coś zapytać, ale rozległo się ciche pukanie do drzwi. Lekarz zeszywniał. Spyros niby kot przemknął przez salę, a za nim posuwał się człowiek ze strzelbą. Spyros zapukał cicho cztery razy w drzwi. Rozległy się zaraz cztery stuknięcia. Człowiek ze strzelbą odetchnął z ulgą, a Spyros z uśmiechem zwrócił się do lekarza. — W porządku. Są tutaj. — Idziemy — przerwał lekarz. Omiótł wzrokiem tawernę. Jego wzrok zatrzymał się na misce z zabarwioną krwią wodą i na rozszarpanym obrusie. — Pozbądź się tego, gdy tylko wyjdziemy — powiedział pomagając Roufusowi wstać.

Constantin nie zapomniał o swoim pytaniu. — Dlaczego powinienem powiedzieć Ritsosowi o Kariakos?

Oczy lekarza zwięzły się. — O wyspie? Byłeś tam?

— Nie.

Doktor uśmiechnął się smętnie. — To maleńka wysepka. W tamtejszej wsi mieszka mój kuzyn, jeśli w ogóle tamtejszą osadę rybacką można nazwać wioską. On też jest rybakiem. — Cień jakby rozbawienia pojawił się na twarzy lekarza. — Kiedy w środku nocy zetkną się dwie łodzie, to kto wie, co się może wydarzyć.

Nie było czasu na resztę pytań. I na pożegnania. Spyros uchylił już drzwi na tyle, by mógł się prześliznąć jeden człowiek. Człowiek ze strzelbą już wyszedł, za nim wymknął się Spyros, potem brat Roufusa i lekarz. — Natychmiast zarygluj te drzwi i nie wyglądaj na ulicę — nakazał mu jeszcze lekarz.

Constantin podporządkował się temu. Zamknął drzwi, zaskoczony swoją reakcją. Było coś szczególnego w twarzy lekarza, w jego oczach. — Taki z niego lekarz, jak ze mnie restaurator — pomyślał Constantin. Czyżby był zawodowym wojskowym? Miał w sobie coś z żołnierza. Oficer? Czy to możliwe? Inspektor policji i oficer armii?

Zaryglowawszy drzwi Constantin przyłożył ucho do framugi, oszło do niego dudnienie ciężkich kół toczących się po jezdni. Po chwili odgłos ten ucichł, kiedy pojazd skręcił za skrzyżowanie, •ezarówka? A może coś więcej, może to transporter opancerzony?

211

Wiele czasu upłynęło, zanim Constantin znów zobaczył „lekarza” Kiedyś wydało mu się, że widzi Spyrosa, a już na pewno spotkał braci Roufusów, ale minęli go bez słowa, nie dając poznać po sobie, że go znają. Nie miał do nich o to pretensji. Cieszył się, że tacy ludzie istnieją, że opór wobec junty rozszerza się nawet na wysoko postawionych policjantów... a może i jeszcze wyżej.

Stanton nadal pozostawał dla niego zagadką. Pojawił się w tawernie w miesiąc później. Dla postronnego widza wyglądało to tak, jakby zatrzymywał się tu na obiad w przerwie podróży — bez troski, bogaty przemysławiec w towarzystwie dwu pięknych kobiet. Constantin do perfekcji opanował rolę ugrzecznionego gospodarza tawerny, by nawet najbardziej spostrzegawczy obserwator nie dostrzegł, co ich łączy. Kanał kurierski nadal funkcjonował. Stanton zawsze przywoził list z Londynu. Alexandros przysyłał pieniądze i informacje. Constantin odwzajemniał się listą osób zatrzymanych, ich adresami i datą aresztowania.

Constantin często zastanawiał się, czy Stanton zna sprawę dziewięciu z Averoff. Niekiedy w to wątpił. Były dni, gdy uważał, że Maurice Stanton to zwykły podstarzały playboy, który poza

kobietami nie interesuje się Grecją ani niczym innym. Jego rozmowy przy stole dotyczyły tylko sposobów miłego spędzania czasu: balów na jachtach, najlepszych restauracji w Rzymie, wystawienia nowej sztuki w londyńskim teatrze...

W przypadku Toma Lamberta sprawa wyglądała inaczej. Stał się on niemal członkiem rodziny. W trakcie jednej z wizyt poznał Eliasa, podczas innej odwiedził matkę Melindy. Żona Constantina lubiła dzielić się przyjaciółmi i korzystała z każdej okazji, by ich z sobą zetknąć. Constantin obawiał się nawet, że Anglik może się poczuć urażony tą poufałością, lecz kiedy zobaczył, jak Tom wita się ze wszystkimi z pogodnym uśmiechem, jego obawy rozwiąły się.

— Tom nabrał już pewności siebie — stwierdziła kiedyś Melinda. Nigdy mu jej nie brakowało, ale Constantin wiedział, co Melinda

ma na myśli. Tom Lambert sprawiał teraz wrażenie człowieka, który sprawuje kontrolę nad swoimi czynami. Odczuwało się, że interesy ze Stantonem dobrze mu idą. Constantina to cieszyło, choć trudno rnu przyszło zwalczyć w sobie uczucie zawiści. Zazdrościł mu możliwości robienia kariery w świecie. Żał mu było, że jego własna praca zawodowa została raptownie przerwana. Czasem się zastanawiał, czy przyjdzie mu spędzić resztę życia w tej tawernie.

— Nic nie trwa wiecznie — podtrzymywała go na duchu Melin' da. — Powinniśmy się cieszyć, że żyjemy cali i zdrowi, ty, ja i reszta rodziny.

212

jen właśnie cel postawił sobie Constantin — przetrwać cało Irowo.

Aż tu nagle gruchn i wszystko się zmieniło.

i zdrowo.

Aż tu nagle gruchnęła wieść, że aresztowano Petrosa Kapposa,

Petrosa zaaresztowano o trzeciej nad ranem. Wiadomość o tym dotarła do Constantina w godzinę później. O brzasku znał już całą historię. Wzburzony tym, co usłyszał, wsiadł w pierwszy autobus do Aten.

Pojawił się w biurze Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża jeszcze przed przybyciem pracowników. Kiedy go wprowadzono do sali konferencyjnej, ciągle był roztrzęsiony i zszokowany. Dwóch delegatów zaraz go wysłuchało. Opowiedział im w języku angielskim wszystkie szczegóły. Spodziewał się, że podziela jego oburzenie, lecz zareagowali jak poprzednim razem. Jako prawnik, sam unikał pośpiesznych osądów, ale ta ich ostrożność rozwścieczyła go.

Przyszedł mu na myśl Alexandros, który pisał: Informuj na bieżąco MKCK... przedstawiaj im fakty. — To są fakty. Taki to miało przebieg.

— Ale pana przy tym nie było — zaproponował jeden z delegatów. — Pana relacja jest przekazem człowieka, który bezpośrednio nie brał udziału w zajściu. Gdzie są świadkowie tego wydarzenia? Constantin zacisnął dłonie. Powiedział starając się panować nad sobą: — Wszyscy wiedzą, że ESA nie spuszcza oka z waszego biura. Ludzie boją się tu przychodzić. Czyżbyście o tym nie słyszeli? Anna jest mocno wystraszona.

— Anna?

— Zona Petrosa.

Constantin miał nadzieję, że MKCK skontaktuje się z ESA i zażąda wyjaśnień, co stało się z Petrosiem oraz domagać się będzie Przedstawienia powodów jego aresztowania.

— Tego nie możemy uczynić — powiedział delegat. — To wybiega P°za zakres naszej umowy z rządem greckim. Możemy tylko prosić o widzenie ze skazanym. Dopóki więc pana przyjaciel nie zostanie Mazany przez sąd...

. Mogą go nigdy nie postawić przed sądem — przerwał ze niechęceniem Constantin.

lec d° sfrustrowany. Wiedział, że delegaci nie są głupcami, 7 ludźmi doświadczonymi, którzy negocjują z wieloma najbardziej enawidzonymi despotami na świecie. W Peru, w Angoli, w Sal-

°orze, wszędzie tam, gdzie rządzą dyktatorzy, MKCK stara się

213

stawić im czoło. Delegaci byli ludźmi szlachetnymi, ale wchodzenie w układy z juntą przypominało

stapanie po kruchym lodzie.

Opowiedział im o krążących pogłoskach. Ludzie na ulicach mówią5 że tortury stosowane są na komendach policji, a nie w więzieniach. —! Właśnie w komendach oprawcy z ESA wymuszają na aresztantach przyznanie się do nie popełnionych win. Potworny ból sprawia, że torturowani przyznają się do wszystkiego, czego od nich zażądają.

— Pułkownicy nie pozwalają nam na inspekcję w komendach policji.

Constantin usiłował nie obwiniać delegatów MKCK, musieli pertraktować z podstępными facetami, którzy przy pierwszym spotkaniu wyrażali na wszystko zgodę, na drugi dzień łamali wszystkie przyrzeczenia. Ale Constantin potrzebował pomocy teraz. Aresztowano Petrosa. Prawdopodobnie w czasie, kiedy on tu siedzi, oprawcy go torturują. Gdzie jeszcze Constantin mógł się udać? Kto jeszcze mógł mu pomóc? Znał odpowiedź na to pytanie. Nikt i nigdzie. Jedyłą jego nadzieją był MKCK. Starając się panować nad nerwami i zniecierpliwieniem, przedstawiał raz jeszcze przypadek Petrosa ze swadą, jakiej nabral w salach rozpraw. — Anna podpisze oświadczenie — powiedział. — Również matka Petrosa to potwierdzi. Młodszy brat Petrosa też jest gotów złożyć oświadczenie. Czy nie z tym właśnie macie tyle kłopotów? Że ludzie boją się mówić? Nie chcą podpisywać oświadczeń? Ale oni podpiszą, zaręczam, jeśli jeszcze dzisiaj do nich z tym się zwrócicie. Będziecie mogli później użyć tych oświadczeń jako argumentów w rozmowach z pułkownikami. Jako materiał kluczowy. „Oto dowód” — powiecie im. Możecie zagrozić, że opublikujecie te oświadczenia. Możecie je podać do wiadomości światowej prasy. Zwołać konferencję prasową w Genewie...

Był tak zdesperowany, że powiedział więcej, niż zamierzał. Czy Anna rzeczywiście podpisze oświadczenie? Będzie ją musiał do tego przekonać.

— Gdzie są ci świadkowie?

— Oni tu nie przyjadą. Są wystraszeni. Ale jeśli ktoś z panów pojedzie ze mną do Pireusu...

W jakieś trzydzieści minut później Constantin opuścił biur° Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Sam. Nikt z dele-gatów nie zgodził się jechać z nim do Pireusu od razu, ale umówili się, że przyjadą do tawerny o czwartej.

Constantin udał się najpierw do domu Anny, aby ją namówić o° podpisania zeznania. — Nie ma żadnych gwarancji — przyznał — a może to pomóc.

214

Potem poszedł szukać Elisa, po czym wrócił do domu, do Melindy. W1 tawernie było więcej ludzi niż zazwyczaj w porze obiadowej, wszyscy pytali o Petrosa i czekali na wypowiedź Constantina. Constantin starał się mówić jak najmniej, nie wspominał o swojej wizycie w MKCK, by nie budzić w ludziach próżnych nadziei. Anna ani jej teściowa nie zgodziły się jeszcze podpisać oświadczenia. Ciągle nie mogły się zdecydować. Nadal się nad tym zastanawiały. Anna była zresztą w takim stanie, że nawet nie potrafiła o niczym myśleć.

O godzinie trzeciej Constantin zamknął drzwi od tawerny i opowiedział Melindzie o swoim pobycie w Atenach. — Najlepiej będzie — rzekł — jeśli na czas przyjazdu delegatów z MKCK zostaniesz na górze.

— W żadnym razie na to się nie zgodzę — oświadczyła oburzona Melinda. — To jest tak ciężkie przeżycie dla Anny, że będzie potrzebowała wsparcia duchowego.

— Będzie z nią matka Petrosa.

— Teściowa to za mało — zganiała męża.

— A Elias obiecał przyprowadzić Andreasa.

— O nie! Ile Andréas ma lat? Trzydzieści? Czternaście?

— Był świadkiem całego zajścia. Może złożyć oświadczenie. — Constantin wysypał niedopałki z popielniczki. — Potraktuj tego chłopca łagodnie.

— Oni? Ilu ich tu przyjdzie?

— Bóg raczy wiedzieć.

Melinda westchnęła ponuro. Annie potrzebna jest pomoc i Melinda chciała jej pomóc, ale miała też swoje obawy. Constantin tak wiele ryzykuje. Te raporty, które sporządza, pytania, które zadaje... A

teraz jeszcze sprowadza ludzi z Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Przecież wszyscy wiedzą, że ci Szwajcarzy są nieustannie inwigilowani.

Constantin też nie był zachwycony. Przeprowadzenie tego spotkania w tawernie było jego pomysłem. Jakoś nie przyszło mu na myśl żadne inne miejsce. Anna musi być dzielna. Będzie ją wspierał. Cały plan Wydaje się rozsądny, tyle tylko, że ryzykowny. Constantin nieustannie obawiał się o Melinę. Ale oprócz zamartwiania się o nią, niewiele mógł działać. Wielokrotnie ją przestrzegał, by nie starała się zbyt użo wiedzieć, setki razy powtarzał: „To, czego nie wiesz, nie może ci uszkodzić”. Bał się jednak powiedzieć wprost: „Dopuszczą się zystkiego, byle tylko wyciągnąć z człowieka to, co on wie”.

tajemnicy przed żoną powziął na wszelki wypadek pewne kroki. °-yby coś mu się przytrafiło, Elias miał ją przeprowadzić w góry, do WuJa Mikisa.

215

Ledwie zdążyli posprzątać po obiedzie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś powtórnie zapukał. Constantin pośpieszył otworzyć drzwi i odsunął zasuwę.

Nawet siniaki nie odbierały Annie Kappos urody. Ubrana na czarno, owinęła głowę szalem. Stała w jaskrawym słonecznym świetle zbyt zakłopotana, by spojrzeć Constantinowi w oczy. Patrzyła więc prosto przed siebie. Jej cera miała kolor miodu, oczy były tego samego koloru, choć nieco ciemniejsze. Obok niej stała teściowa; skończyła pięćdziesiąt lat, lecz wyglądała na dużo starszą. Na jej twarz odcisnęły piętno nieudane zmagania z życiem.

— Wejdźcie — powiedział łagodnie Constantin, wprowadzając je delikatnie do środka.

Melindzie wystarczył widok Anny, by zapomnieć o wszystkich obawach. Podbiegła do niej, by ją uściskać.

Anna rozglądała się po tawernie wystraszonego wzrokiem.

— Proszę, usiądźcie — zachęcił cicho Constantin, podsuwając im krzesła.

Anna zdjęła szal. Purpurowy siniak na jej skroni stał się bardziej widoczny. Złożyła szal i położyła go na kolanach. Wzrok utkwiała w tym szalu, który bezwiednie zwijała i rozwijała. Ani razu nie spojrzała Constantinowi w oczy. Była aż sztywna z napięcia.

Ciszę przerwała teściowa: — Gdzie ci ludzie z Czerwonego Krzyża?

Constantin spojrział na zegarek. Zmarszczył czoło. Spóźnili się już dziesięć minut. — Zaraz tu będą — powiedział uspokajająco.

— Jesteśmy gotowe podpisać oświadczenie — rzekła teściowa. Constantin westchnął z ulgą. — I ty, Anno?

W milczeniu skinęła głową, nie odrywając wzroku od szala.

Melinda już otwierała usta, by coś powiedzieć, lecz Constantin nakazał jej milczenie. Nie trzeba pocieszeń. Podpisanie oświadczenia to poważna sprawa. Złożenie podpisu na takim dokumencie wiąże się z wielkim ryzykiem.

Wyczuwając, że i gospodarz jest spięty, Anna po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała w oczy Constantina. — Jestem gotowa powiedziała cicho.

Constantin wyjaśnił, że choć Czerwony Krzyż nie będzie mógł jej pomóc, to może uda im się odszukać Petrosa. Kiedy to mówił, nie mógł się opędzić od natrętnych myśli: Gdzie są ci delegaci? Dlaczego się spóźniają? Może w ogóle nie przyjadą? Starał się nie okazywać, że go to trapi.

Constantin był potężnym mężczyzną i miał bardzo donośny głos. W sądzie atakował oponentów rykiem przypominającym strzały

216

z armaty, ale do Anny mówił cicho i łagodnie: — Przedstawiciele Czerwonego Krzyża wezmą od ciebie jedno oświadczenie — powiedział — a ja drugie. Nikt nie zobaczy tego oświadczenia, które mi dasz. Nasz przyjaciel zawiezie je do Londynu, gdzie inni nasi przyjaciele pokażą je ludziom z rządów państw, które próbują nam pomagać. Zgadzasz się na to, Anno? Skinęła głową.

— Opowiesz im, jak to się wczoraj wszystko odbyło. Ja to spiszę, a ty podpiszesz na znak, że to prawda. Dobrze?

Cierpienia Anny odbijały się na jej twarzy. Anna zerknęła na teściową, a potem znowu wbiła wzrok w szal na kolanach. Nerwowo zacisnęła dłonie. — Myślałam... to znaczy, miałyśmy nadzieję... — Przelknęła ślinę. — Myślałyśmy, że jeśli on jeszcze żyje... pomożesz nam go odnaleźć? — Zrobię, co mogę, przyrzekam. Ale Czerwony Krzyż... Rozległo się pukanie do drzwi. Constantin zerwał się z ulgą, choć

i z irytacją. Mówi się, że Szwajcarzy są punktualni. Czy nie zdają sobie sprawy, jak bardzo wszelkie opóźnienia działają ludziom na nerwy? Chętnie by im wygarnął, co o tym myśli.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczył za progiem dziewczynę. Pod pachą ścisnęła aktówkę z emblematem Czerwonego Krzyża. Constantin przyglądał się jej z niedowierzaniem. Miała długie do ramion, orzechowe włosy i zdrową opaloną cerę. Jej jasnopopielata bluzka wsunięta była w ciemną spódnicę. Kołnierz bluzki zdobiła emaliowana odznaka Czerwonego Krzyża. Constantin rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu innych delegatów, ale nikogo więcej na ulicy nie było. Potwierdził machinalnie swoje nazwisko i ze zdziwieniem stwierdził, że nie dosłyszał jej nazwiska. Jego zdumienie przerodziło się w złość. Przysłali dziewczynę! Pewnie jakąś sekretarkę. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia sześć lat. Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna mówi po grecku i pyta, czy może wejść.

— Spodziewałem się delegata — powiedział wpuszczając ją do środka.

— Chce pan powiedzieć, że spodziewał się mężczyzny? — Jej ciemnobrązowe oczy rozbłyły ironicznym uśmiechem rozbawienia. — Niech się pan nie martwi. Znam swoją pracę i mówię po grecku. O ile wiem, pana świadkiem jest kobieta. Ze mną będzie jej łatwiej rozmawiać. — Miała przyjemny, rzeczowy głos, a uśmiech tak Prawdziwy, że aż onieśmielający. Constantin musiał przyznać, że dziewczyna jest urocza. Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na jej nogi, utwierdził się w przekonaniu, że jest atrakcyjną kobietą. Pomyślał też, że musi być kompetentna, skoro nie onieśmieliło jej takie powitanie.

217

— Tylko pani? — wydusił w końcu. — I nikt więcej?

— Tylko ja — uśmiechnęła się raz jeszcze rozbrajająco. W innych okolicznościach zapewne by zaprotestował, ale czując

że Anna jest bliska płaczu, nie chciał pogarszać sytuacji. Zaprowadził nowo przybyłą do stołu. — To jest przedstawicielka Czerwonego Krzyża — zaczął, usiłując przypomnieć sobie jej nazwisko. — Pani...

— Kirsten — odpowiedziała. — Kirsten Moutier.

Obeszła dookoła stół, by podać kobietom rękę i usiadła. Otworzyła teczkę z dokumentami i wyjęła notes, który położyła przed sobą na stole. Zachowywała się w sposób swobodny, który nie sprawiał wrażenia ani szczególnie formalnego, ani zbyt bezpośredniego. Był wyważony. Przypomina sposobem bycia lekarza — przyszło Constantinowi na myśl, gdy patrzył, jak Kirsten bierze od Melindy kawę. Dziewczyna od razu zajęła się Anną.

Anna siedziała przygryzając wargi, czuła, że opuszcza ją odwaga. Przerazała ją myśl, że będzie musiała opowiadać swoje przeżycia. Szczególnie przed mężczyzną nie miałyby ochoty tego robić, choćby to nawet był adwokat Peponis. Przez godzinę debatowała nad tym z teściową, aż w końcu stwierdziła: „Zrobię to tylko ze względu na Petrosa”. Biedny Petros, gdzie on teraz jest? Czy jeszcze żyje? Czy go zobaczy? Czy zechce się z nią jeszcze widzieć? To ostatnie pytanie szczególnie raniło jej dumę. Tłumiąc w sobie łkanie, zwijała w rękach szal.

Dziewczyna z Czerwonego Krzyża zaczęła zadawać pytania tak cichym i spokojnym głosem, że dopiero po chwili Constantin zdał sobie sprawę, że rozpoczęło się przesłuchanie świadka.

Pośpiesznie udał się do kuchni, gdzie chował papier i pióro. Kiedy powrócił, Anna mówiła: — To było zeszłej nocy. Spaliśmy. Petros wstaje codziennie o piątej...

Constantin zaczął notować drobnym pismem, jakiego używał w raportach dla Alexandrosa.

— ...było bardzo późno, około trzeciej nad ranem. Zbudził nas hałas u drzwi wejściowych.

Usłyszałam tupot ciężkich butów na schodach. Nie było czasu na nic... Wszystko potoczyło się tak szybko... Petros zakładał spodnie, a ja leżałam jeszcze w łóżku, kiedy otworzyły się wyłamane z

zawiasów drzwi i do środka wpadło czterech lub pięciu mężczyzn, którzy wywlekli Petrosa na schody. — Anna przełknęła ślinę i podniosła wzrok na delegatkę. — Petros był bez butów i bez koszuli. Wlekli go po schodach, okładali kolbami, kopali... — Głos Anny załamał się. — To było potworne — szepnęła opuszczając wzrok na splecione na kolanach dłonie.

218

Przedstawicielka Czerwonego Krzyża zapytała łagodnie: — Czy ci ludzie byli w mundurach? — Niektórzy tak — Anna kiwnęła głową, ale po chwili dodała. — Nie wszyscy jednak. Niektórzy byli żołnierzami, ale dwóch czy trzech w cywilu.

Constantin szybko notował.

— Wie pani, było ciemno — usiłowała wyjaśnić Anna. — Nie dali nam czasu, by zapalić światło. Oni zaś nie włączyli światła, wpadli tylko na moment. Nagle podniósł się ten hałas, krzyki, wrzaski, a już po chwili zwlekli Petrosa ze schodów. Krzyczałam, żeby go zostawili. Wpadłam na półpiętro, teściowa wychodziła ze swojego pokoju, a Andréas stał w drzwiach do swojego... Zbiegłam na dół, wołając Petrosa...

Z trudnością nadszając z pisaniem, Constantin rzucał przelotne spojrzenie na delegatkę. Jej wyraz twarzy nadal przypominał mu lekarza.

— ...Na ulicy potknęłam się, oślepiąca światłami stojącej na wprost domu ciężarówka. Obok niej stała druga, zaparkowana w odwrotnym kierunku. Początkowo nic nie widziałam, bo światła mnie raziły. To nie były tylko światła drogowe, na dachu szoferki włączyli dwa silne reflektory...

Pojawienie się Anny przed domem wywołało lawinę gwizdów. Anna zerwawszy się nago z łóżka, wrzuciła na siebie pierwszą z brzegu rzecz. Nie zastanawiając się, w co się ubiera, wybiegła za Petrosiem jedynie w koszuli.

— Nie słyszałam tych gwizdów. Dopiero teściowa później mi o tym powiedziała. Zupełnie nie wiedziałam, co wtedy robię... Z całych sił wołałam Petrosa.

Petrosa wciągnano ponad zamkniętą klapę do drugiej ciężarówka. Żołnierze okładali go kolbami.

— Wtedy go zobaczyłam. Zobaczyłam tę drugą ciężarówkę i wszystko. To wąska uliczka.

Ciężarówki zajmowały całą jej szerokość. Podbiegłam do drugiej ciężarówka, już prawie przy niej byłam, kiedy jakiś mężczyzna chwycił mnie i pchnął z całej siły na ścianę...

Anna sądziła, że chce jej przeszkodzić w dotarciu do Petrosa. Ale wtedy...

— Byłam oszołomiona. Uderzyłam głową o ścianę. Nie mogłam złapać oddechu. Siły mnie opuszczały. Płacząc łapałam z trudem powietrze... I wtedy ten facet wsunął mi rękę między nogi. Krzyczałam usiłując odepchnąć go od siebie, mocowałam się z nim, urwały mi się ramiączka koszuli, a może to on je zerwał, nie wiem. Po chwili zadarł mi koszulę w górę... Usiłował mnie całować, odwracałam się...

219

Zgwałcił ją. Tam, przy tej ścianie.

— ...Petros walczył jak dzikie zwierzę w tej ciężarówce. Widziałam go ponad ramieniem tego żołdaka... On też mnie widział. Widział, co się dzieje.

Bosy, w samych tylko spodniach, pobity i posiniaczony Petros wyrwał się żołnierzom i rzucił z ciężarówka w dół na gwałciiciela.

— Potem... — Anna przełknęła. Zamknęła oczy. Potrząsnęła głową, jakby broniąc się przed wspomnieniami. Drzenie wstrząsnęło jej ciałem, a po policzkach spływały łzy. Anna pochyliła się do przodu, ukryła głowę w dłoniach i zaniosiła się płaczem. Teściowa przytuliła ją. Ramiona Anny drżały. Jakiś atawistyczny jęk wyrwał się z jej krtani. Melinda odsunęła krzesło, uklękła przy niej i też objęła ją ramionami, Wraz z matką Petrosa kołysały Annę, gładziły jej ręce, tuliły do siebie, jak gdyby chciały przekazać jej swoje siły. Ich twarze wykrzywiały grymas bólu, który dzieliły z Anną. Opalenizna na twarzy dziewczyny z Czerwonego Krzyża jakby przybladła. W jej oczach też pojawił się wyraz bólu, ale nie ruszyła się z miejsca i nadal pilnie notowała.

Constantin zapalił papierosa, wstał, podszedł do kontuaru i wrócił z butelką brandy i kieliszkami.

Delegatka Czerwonego Krzyża odmówiła przeczącym ruchem głowy. Kiedy Constantin usiadł, teściowa Anny podniosła ku niemu poraną bruzdami twarz, na której malował się wyraz wzburzenia. — Zostaw ją już w spokoju. Ja powiem, co było później.

Czując do siebie obrzydzenie, Constantin potrząsnął przecząco głową. — To musi być własne oświadczenie Anny. Pani oświadczenie sporządzimy osobno. — I tak już łamał przepisy, ponieważ obydwie oświadczenia powinny być spisane niezależnie od siebie. Ale Anna sama nie wytrzymałaby tego napięcia. Constantin pocieszał się, że został jeszcze Andréas, który też wszystko widział...

Dopiero po dziesięciu minutach Anna mogła mówić dalej. Delegatka Czerwonego Krzyża nadal coś notowała, więc Constantin podjął dalsze przesłuchanie Anny. Starał się być delikatny, ale nawet największa delikatność nie potrafiłaby umniejszyć brutalności tamtej historii.

Żołnierze okładając Petrosa pałkami, powalili go na kolana. Annę przewrócono na plecy i zdarto z niej koszulę. Leżała nago w rynsztoku, z rozrzuconymi na bok nogami. Gwałcono ją w odległości trzech metrów od męża.

— Petros to widział... Starał się do mnie dostać... Krew spływała mu po twarzy... Kopali go, bili kolbami karabinów... Wołał mnie po imieniu...

220

Anna wyznała, że kiedy powalili ją na ziemię, zgwałciło ją czterech żołdaków. Teściowa sprostowała później, że było ich sześciu. Zgwałcono ją w rynsztoku, przed własnym domem, w świetle reflektorów z ciężarówki, a jej mąż musiał na to patrzeć. Anna zemdląca w przeświadczeniu, że Petros nie żyje.

— Żył jeszcze — upierała się teściowa. — Widziałam to, kiedy go wrzucali do ciężarówki... Gdy odjeżdżali, wstał... Zobaczyłam jego twarz nad krawędzią klapy. — Odwróciła się i pochwyciła Annę za rękę. — Petros żyje. Jestem tego pewna. Przysięgam, wierz mi. Nasz Petros żyje.

Anna odpowiedziała apatycznym spojrzeniem, jak gdyby nie dotarły do niej słowa teściowej. Oczy miała podkrążone, twarz straciła miodowy kolor. Była teraz plamiście szara.

Żołnierze chcieli zamknąć teściową w domu, ale szamocząc się z nimi, przedostała do drzwi. Nie mogli ich zamknąć, bo wdzierając się do środka, wyłamali je...

Andréas również był świadkiem tej sceny. Krzycząc i mocując się z żołnierzami, wymknął się z domu. Zatrzymał go patrol ustawiony na zewnątrz.

— Ilu było żołnierzy? — zapytał Constantin.

Teściowa powiedziała, że osiemnastu. Anna nie usiłowała nawet określić liczby.

— Jak zachowywali się sąsiedzi? Nie próbowali przyjść z pomocą? Teściowa prychnęła pogardliwie: — Światła zabłyśły w oknach,

otworzyli okiennice i patrzyli z okien. Ale zaraz żołnierze zaczęli krzyżeć i celować w nich z karabinów... — Wzruszyła ramionami. — Nikt do nas nie przyszedł, dopóki żołnierze nie odjechali.

Zostawili Annę nagą i nieprzytomną na poboczu jezdni. Klęczała nad nią teściowa zawodząc histerycznie. Czternastoletni Andréas przejął inicjatywę. Sam też dotkliwie oberwał: kilka zębów się ruszało i miał posiniaczoną nogę. Utykając na obolałą nogę, wszedł do domu ' przyniósł koc, którym nakrył szwagierkę. Potem zwołał sąsiadów.

— Wtedy przyszli — powiedziała teściowa Anny z widoczną wzdrganą. — Kiedy już było po wszystkim przypiełzli jak nocni złodzieje.

Pozostawiając matkę i Annę pod opieką sąsiadów, Andréas Pokuśtykał tak szybko, jak mógł do domu lekarza, który mieszkał kilkanaście przecznic dalej. Kiedy lekarz dowiedział się, że w sprawie Wmieszane jest wojsko, zatrzasnął chłopcu drzwi przed nosem. Andréas r°zplakał się nie wiedząc, co dalej począć. Znał tylko tego jednego 'ekarza. Dobijał się do drzwi jeszcze długo, ale nikt nie otwierał. ™ końcu Andréas przypomniał sobie o kuzynie Vasilisie Plytasie,

221

studencie drugiego roku medycyny. Noga zdążyła już Andreasowj mocno spuchnąć, każdy krok był dla niego udręką. Kiedy na przemian utykając, podskakując i powłócząc bolącą nogą dotarł wreszcie do domu Plytasa, był wręcz nieprzytomny z bólu, doznanego szoku i rozpacz. Vasilis

zostawił chłopca pod opieką swoich rodziców a sam popędził natychmiast przez ciemne ulice na miejsce zajścia.

Mimo że miał za sobą dwa lata studiów medycznych, widok posiniaczonego ciała Anny wywarł na nim okropne wrażenie. Kiedy przybył na miejsce, Anna odzyskała już przytomność. Starając się robić to możliwie delikatnie, Vasilis opatrzył rany i sińce na ciele Anny, oczyszczając je z krwi i zaschłej już spermy. Nie odważył się na nic więcej. Był zaledwie studentem. Znał jednak lekarzy i po pół godzinie wrócił z jednym z wykładowców z uczelni medycznej. W godzinę później wyciągnął z łóżka swojego przyjaciela Eliasa i razem poszli do Constantina, by mu opowiedzieć, co się wydarzyło.

Bezsilna rozpacz targła Constantinem. Sprawiedliwość i prawo przestały istnieć. Nie miał możliwości doprowadzić przed sąd tych zwyrodnialców.

Delegatka Czerwonego Krzyża spojrzała na teściową. — Jak pani myśli, dokąd zabrali pani syna? Kobieta bezradnie rozłożyła ręce. Chodziła już na policję w tej sprawie. Oprócz niej było tam wielu innych jej podobnych. Każda komenda policji w całym kraju obleżona była podobnymi ludźmi o zatroskanych twarzach, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć o aresztowanych krewnych. W przypadku Petrosa Kapposa policja nawet nie chciała przyznać, że jest uwięziony.

Wszystko to Constantin zapisywał pilnie drobnym pismem, które zajęło dwie strony. — Taki mamy pożytek z Czerwonego Krzyża — myślał gorzko. „Człowiek zwraca się do nich o pomoc. I z jakim rezultatem? Przysyłają dziewczynę... a właściwie dziewczynkę. Pułkownicy mogą się śmiać i robić, co im się podoba.”

Melinda zmywała naczynia, a Constantin siedział przygnębiony, podparłszy głowę rękami. — Ta Szwajcarka powinna poczekać na Andreasa — powiedział.

— Po co? — Melinda wycierała wilgotną ścierką stół. — On nie pomoże Petrosowi. Dlaczego więc ty miałbyś się z nim jeszcze spotykać? Dzieciak już swoje wycierpiał.

— Prawnik musi gromadzić dowody, mieć oświadczenia poszkodowanych, kompletować materiał poszlakowy, budować mocne pod

222

stawy oskarżenia. Jesteśmy umówieni — odparł znużony Constan-tjn. — Elias tu go przyprowadzi. Lada chwila będą. — Po co jeszcze męczyć chłopca?

— Uzyskam w ten sposób jeszcze jedno podpisane oświadczenie dla Alexandrosa.... — Przerwał, bo rozległo się pukanie do drzwi... — ja otworzę — powiedział podchodząc pośpiesznie do drzwi i odsuwając rygiel.

W drzwiach stał Andréas z Eliasem.

Melindzie aż ścisnęło się serce widząc tego małego, zaledwie czternastoletniego chłopca ze zwichrzoną czupryną. I pomyśleć, że on widział, gdy gwałcono Annę... że wykazał tyle hartu ducha... Okrył Annę kocem i wezwał pomoc. — Andréas! — zawołała i z łkaniem pobiegła, by go uścisnąć.

— Melinda! — ostro krzyknął Constantin, patrząc z dezaprobatą na żonę.

Zatrzymała się w pół drogi.

Twarz Constantina przybrała surowy wyraz. — Młody pan Kappos przyszedł tu po to, by wychylić ze mną szklaneczkę wina — powiedział do niej oschle i zwrócił się z szacunkiem do chłopców: — Proszę, wejdźcie.

Andréas jakby urósł. Prostując plecy podniósł wyżej brodę. Mocno kulał, lecz to utykanie przydało mu powagi; robił to tak, jak przystało na nową głowę rodziny Kapposów.

Constantin okazał temu chłopcu więcej szacunku niż komukolwiek dotąd. Melinda obserwowała Constantina, gdy prowadził swoich gości do stołu. Wiedziała, że mąż właściwie potraktował chłopca, który z pewnością by się rozplakał, gdyby pobiegła go uściskać. Sposób, w jaki przyjął go Constantin, dodał chłopcu odwagi.

Wyciągając wnioski z tej lekcji, Melinda nie uśmiechnęła się nawet do Eliasa. Szybko przyniosła i postawiła na stole wino i szklanki. Nawet nie usiłowała usiąść z nimi przy stole, lecz przybrawszy minę pełną respektu, powiedziała: — Myślę, że powinnam was teraz zostawić, panowie.

Constantin skinął z aprobatą głową. — Młody pan Kappos i ja mamy wiele do omówienia. Wspinając się na schody jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem chłopca, który tak wcześnie stał się mężczyzną.

A później wybuchła wielka sprzeczka. W obecności Andreasa Elias hamował, nie chcąc przysparzać chłopcu dodatkowego stresu. Lecz kiedy młody Kappos wyszedł, Elias dał wyraz swoim emocjom.

223

Wiedział, że Melinda jest na górze, poza zasięgiem jego głosu, dał więc upust nagromadzonej frustracji. — Jesteś przeciwny przemocy warknął wzgardliwie — ale jak zamierzasz ją powstrzymać? Prowadząc pertraktacje z panienkami z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża? Petrosa biją do nieprzytomności, Annę gwałcą, a ty wypisujesz tylko jakieś sprawozdania. Przecież to nie wystarczy. Na litość boską, to 0 wiele za mało!...

Do Eliasza nie trafiały żadne argumenty. Znał dobrze Annę. Petros był jego przyjacielem. Znał ich od dziecka. — Niektórzy robią coś więcej niż pisanie sprawozdań! — rzucił na odchodnym. — Wiem gdzie ich szukać — dodał jeszcze i wybiegł z tawerny.

Constantin rzucił się za nim, chwycił go za rękę, próbował nakłonić do powrotu, ale na próżno. Elias stracił jego rękę i pobiegł jak szalony przed siebie.

W ciągu następnych kilku dni nerwy Constantina były napięte do ostatnich granic. Petros zapadł się jak pod ziemię. Policja nie przyznawała się do niczego. W dwa dni później pojawiła się Kirsten Moutier, ale ona też nie przyniosła dobrych wiadomości. — Jakiś pułkownik powiedział, żeby Czerwony Krzyż zajął się własnymi sprawami. Będziemy nadal kołatać — przyrzekła Kirsten — ale teraz niewiele da się zrobić. — Constantin i Melinda wysłuchali całej listy usprawiedliwień.

MKCK mógł odwiedzać tylko więźniów politycznych, ludzi, których przekonania nie były zbieżne z tymi, jakim hołdowali pułkownicy. MKCK nie miał dostępu do innych więźniów — kryminalnych lub oczekujących na wyrok. — Gdyby Petros został oskarżony

i skazany jako więzień polityczny, moglibyśmy dotrzeć do niego, ale w tych okolicznościach, to... — Nie dokończone zdanie Kirsten Moutier wyrażało beznadziejność sytuacji.

Kiedy wyszła, Melinda powiedziała: — Ona naprawdę się stara nam pomóc. Przesłała lekarza, żeby zbadał Annę, dała jej trochę pieniędzy. Troszczy się o nią. To widać po jej twarzy...

— Wszyscy się o nią troszczymy — przerwał zirytowany Constantin. — Pozostaje jednak otwarte pytanie, co należy zrobić.

Zastanawiał się, jak postąpi Elias. Ten student prawa nie pojawiał się w tawernie od czasu sprzeczki. Constantin zaczął się niepokoić, że chłopak nie przyjdzie również na sobotnie spotkanie, a później nie znajdą okazji do naprawienia ich kłótni. Na domiar złego wszyscy mówili teraz o Petrosie i Annie. Przedstawiciele przyjaciół Petrosa udali się na komendę. — Petros? Jaki Petros? — pytał z ironią oficer dyżurny. Pokonani i przybici wrócili z powrotem do Constantina. Musimy coś zrobić. Nie wiemy nawet, czy Petros jeszcze żyje.

224

__ Nic nie da się zrobić — odparł zirytowany Constantin. Był tak samo wzburzony, jak każdy z nich, lecz starał się panować nad słowami. Pireus przypominał już beczkę prochu. Powietrze niemal się iskrzyło od napięcia, kiedy ulicą maszerowali żołnierze. Jedno nierozważne słowo mogło wyzwoić w tłumie niekontrolowaną reakcję. Manifestacja przeciw uzbrojonym oddziałom zakończyłaby się masakrą i Constantin wiedział o tym. Usiłował więc chować się za zasłoną nabożnych nadziei i pustych frazesów. — Tylko złe wiadomości rozchodzą się szybko — powiedział. — Brak wiadomości o Petrosie może być wiadomością dobrą. Takie słowa nie podnosiły Anny na duchu. Biedna Anna miała następny powód do zmartwień. Kiedy odwiedziła ją Melinda, Anna załamała się i zaczęła płakać. Stało się to, co się musiało stać: nie dostała miesięczki. Myśl, że miałaby począć dziecko gwałciciela, była dla niej nie do zniesienia. Załamując ręce zanosła się niepowstrzymanym szlochem.

— Serce mi się ścisnęło — mówiła potem Constantinowi Melinda. — Anna wspomniała o samobójstwie.

Constantin zazgrzytał zębami w bezsilnej wściekłości.

W sobotę rano jego twarz nosiła już wyraźne ślady napięcia ostatnich dni. Oczy miał czerwone po kolejnej nie przespanej nocy. Wyciągnął swoje prawnicze książki i w myślach układał program działania, cały czas zastanawiając się, czy Elias przyjdzie na spotkanie.

— Elias się spóźnia — zauważyła Melinda schodząc do kuchni Elias rzeczywiście się spóźnił. Zazwyczaj był tu już o ósmej.

Constantin nerwowo bębnił palcami o blat stołu i czekał. Nadeszła godzina dziewiąta, potem dziesiąta. Starał się odwrócić myśli, ale rozpraszał go każdy odgłos dochodzący z ulicy. Odsunął na bok książki, podszedł do otwartego okna i patrzył na skąpany w słońcu bruk. I nagle, ku swej ogromnej uldze, zobaczył Eliasa. Podekscytowany chłopak wynurzył się spieszenie zza narożnika. Widząc Constantina w oknie, pomachał do niego i zaczął biec. Constantin uniósłszy też rękę w geście powitania, zastanawiając się, co jest powodem tak wielkiego podniecenia chłopca. Po chwili Elias wbiegł do tawerny, słysząc na schodach kroki Eliasa, Constantin odszedł od okna. Drzwi Słone otworzyły i brat Melindy wpadł jak burza do środka.

— Spokojnie — rzekł Constantin.

. . . Andréas widział dwóch z nich — zawołał Elias, z trudem aPiąc oddech. — Dwóch z tych żołnierzy, którzy zgwałcili Annę. Mamy ich!

*— Co znaczy: „mamy ich“?

225

— Wiemy, kim są i gdzie mieszkają. Stacjonują w koszarach Averoff. Nie rozumiesz? Możemy ich postawić przed sądem.

Constantin zaczerpnął głęboko powietrza. O procesie nie mog}0 być mowy. Policja na pewno nie wyda nakazu aresztowania. Bez sensu było łudzić się, że można ich postawić przed sądem. — Sam wiesz że to niemożliwe — powiedział stłumionym głosem, sadzając chłopaka na krześle.

Elias był jednak zbyt podniecony, by usiąść. — Wytoczmy im proces. Zwołamy własny sąd!

— My? — powtórzył jak echo zdumiony Constantin. — Co przez to rozumiesz?

— Moi przyjaciele i...

— Ależ to nonsens!

— Będziemy potrzebować twojej pomocy, Constantin. Nie możesz nam odmówić!

Constantin zatrzymał się po drugiej stronie stołu. — Cóż to znowu za szaleństwo?

— Nazywasz szaleństwem domaganie się sprawiedliwości?!

— To ci twoi przyjaciele są szaleni.

— Nie! Posłuchaj! Wszystko zaplanowaliśmy....

Constantin nie chciał wierzyć własnym uszom. Chłopak mówił o aresztowaniu i postawieniu tych łotrów przed sądem. — Przed naszym sądem, sądem ludowym.

— Ależ, głupcze, wydaje ci się, że uda się postawić przed sądem uzbrojonych żołdaków?

— Mamy broń.

Constantin zacisnął dłonie w pięści. Już widział oczyma wyobraźni ten szalony scenariusz.

Wyobraził sobie Eliasa leżącego na ulicy w kałuży krwi. Widział, jak Melinda podbiega do nieruchomego ciała, przykłęka obok i tuli do siebie martwą głowę brata.

Elias wciąż prosił: — Constantin, potrzebna nam twoja pomoc Chcemy, byś przewodniczył rozprawie.

Tego już było za wiele. Constantin aż poczerwieniał z wściekłości. — Nie wierzę własnym uszom. Ty chyba nie wiesz, co mówisz!

— Jak to? Przecież tu, w tawernie często odgrywasz rolę sędziego-

— Na litość boską! Ci ludzie zwracają się do mnie o poradę Ja)(do przyjaciela. Jestem ich arbitrem. Ci, którzy do mnie przychodzą,s3-w większości moimi przyjaciółmi. Co innego łagodzić drobne spory-a co innego kreować wyroki.

Elias aż zbladł z zaciętrzewienia. — To jest dokładnie to samo-Constantin starał się przedstawić

„odejścia, bezdenną głupotę tego pomysłu. — Założmy, że zrobię to, o co mnie prosisz. Założmy, że odegram rolę sędziego. Jeśli dowiodę tym żołdak winę, dostaną, powiedzmy, dwadzieścia lat. I co wtedy? Qprowadzisz ich do najbliższego więzienia?

— Zostaną straceni.

— Zabijesz ich? — Constantin zbladł. — Chcesz ich zamordować?

— Takie jest prawo stanu wyjątkowego.

— To nie jest żadne prawo, to anarchia. — My żyjemy w stanie anarchii.

— Wielki Boże! — Constantin zasłonił twarz dłońmi. Spróbował z innej beczki: — A co się stanie, jeśli nie uznam ich winnymi? Zwrócę im wolność, a w godzinę później będę miał na karku ciężarówkę pełną

wojska?

— Oni są winni! Jeden z nich przechwalał się, jak dobrze mu było z Anną... — Elias spurpurowiał.

— Andréas słyszał to na własne uszy. Ten biedny dzieciak jest nadal wystraszony, słyszał, gdy mówili, że jeszcze wrócą do ich domu...

Lecz Constantin przestał już odpowiadać. Był przerażony szaleństwem pomysłu Eliasa, bał się, że chłopak zginie, jeśli się w to wplącze. Ten strach dodał mu energii. Już po chwili słuchając ich można było sądzić, że ma się do czynienia z dwoma zaprzysięgłymi wrogami, którzy dają upust wezbranej wściekłości.

— Ty tylko potrafisz gadać! — krzyczał błądliwy i roztrzęsiony Elias. — Mówisz tak, jak gdyby prawo nadal istniało! A prawa już nie ma! Czy tego nie widzisz, pusty łbie?

— Sprawiedliwość jeszcze zwycięży.

— Akurat! Każdy sprawiedliwy sędzia został już wyrzucony z pracy. A część z nich gnije w więzieniach.

— Ale to, co ty proponujesz, nie jest żadnym rozwiązaniem.

— A czy to, co ty proponujesz, coś zmienia? To twoje latanie do Czerwonego Krzyża? Śmiechu warte! Nie ma już uczciwych prawników! Ci, którzy nie siedzą w śmierdzącej celi, to ludzie, którzy albo uciekli za granicę, albo też nie mają śmiałości uprawiać swego zawodu. Spójrz choćby na siebie, na litość boską! Wielki Constantin Peponis! Nie Potrafisz nawet zarobić na życie. Jesteś na utrzymaniu mojej siostry.

Twarz Constantina pociemniała z wściekłości. Zerwał się i mocno snał poręcz krzesła, by się powstrzymać od uderzenia chłopca. Yduślił z siebie tylko chrapliwie: — Wynoś się! Wynoś się stąd! I Hedy Elias kierował się do wyjścia, drzwi otworzyły się z impetem i ośrodku wpadła zdyszana Melinda. — Co tu się dzieje? Co to za

— Zapytaj go! — krzyknął Elias odpychając Melindę i wybiegał z pokoju. — Zapytaj swojego znakomitego męża!

— Elias! — krzyknęła Melinda, wyciągając do niego rękę. AJC Elias nie zatrzymując się zbiegał ze schodów.

Melinda odwróciła się do Constantina. Nigdy nie słyszała, żeby aż tak się z Eliaszem kłócili. Jeszcze przed kilku dniami, gdy rozmawia z Andreasem, ścisnęła ją coś w gardle, kiedy widziała, jak przyjacielsko się do siebie odnoszą. Nie do pomyślenia było, że mogliby się z sobą pokłócić.

— O co wam poszło? Co on powiedział?

— O jedno słowo za dużo — Constantin ciężko usiadł na krześle. — Będzie miał poważne kłopoty. Nie potrafi utrzymać języka za zębami.

Melinda odwróciła się na pięcie i pośpiesznie zbiegła ze schodów. W kuchni chwyciła szal i popędziła do rodzinnego domu, by porozmawiać z Eliaszem.

— Co między wami zaszło?

Jej brat wzruszył ramionami. Spięty, z pobladłą twarzą, nie chciał wdawać się w żadne rozmowy.

Ojciec Melindy, słaby i schorowany, zapytał syna, o co w tym wszystkim chodzi, lecz Elias, zacisnąwszy usta, zawzięcie milczał.

Z kolei ich matka zaczęła błagać syna, by jej powiedział, w czym rzecz, ale też nic nie wskórała. W ciągu następnych kilku dni wujowie i ciotki, kuzyni i przyjaciele połączyli swe siły w poszukiwaniu prawdziwej przyczyny kłótni. Ale i ich pytania pozostały bez odpowiedzi. Ani Constantin, ani Elias nie chcieli zdradzić, co między nimi zaszło.

— Tylko tego jeszcze trzeba — lamentowała Melinda unosząc ręce. Ostatnio uśmiech coraz rzadziej gościł na jej twarzy. Brutalność, której się dopuszczano na Petrosie i Annie, bardzo nią wstrząsnęła. Junta była coraz bliżej ich domu...

Jedynym wyjaśnieniem, jakie udało jej się wyciągnąć z Constantina, było stwierdzenie, że pokłócili się z Eliaszem „o zasady”.

Słyszając to Melinda wybuchnęła: — I tylko z powodu tych zasad mamy wszyscy cierpieć? Cała rodzina została podzielona. Elias przestał być mile widziany. Ojciec nie odzywa się do niego. Matka mówi, że powinienś dawać mu lepszy przykład. I to wszystko z powodu jakichś prawnych zasad?

— Nie tylko o to chodzi.

— Więc powiedz, o co!

Ale Constantin był nieustępliwy. Elias mocno go zranił, Constantin

228

nadal jakby słyszał jego pogardliwe słowa. Był jeszcze jeden powód, ?ła którego nie chciał zdradzić, o co im naprawdę poszło. Nawet wznianka o tym, co było istotną przyczyną kłótni, mogła być dla gliasa niebezpieczna, a nawet groźna dla jego życia. Jeśli powiedziałaby Melindzie, a ona opowiedziała o tym rodzicom, ci z kolei powtórzyliby przyjaciółom, to wkrótce cały Pireus wiedziałby, że Elias ma coś wspólnego z ruchem oporu.

Elias z daleka omijał teraz tawernę, nawet w sobotnie przedpołudnia.

Constantin z napięciem oczekiwał każdego następnego dnia. Choć nadal sprawiał wrażenie flegmatyka, w głębi duszy czuł wrzenie. Każdego ranka oczekiwał na wiadomość o starciu studentów z żołnierzami, każdego popołudnia wysyłał Melindę do domu rodziców, by się dowiedziała, co z Eliaszem.

— Dlaczego ja mam tam pójść? — pytała. — Ty powinienś to zrobić i porozmawiać z Eliaszem. Skończyć te głupie dąsy.

Constantin odmawiał. Kiedy jednak minęło kilka dni, a wiadomość o ataku na żołnierzy nie nadchodziła, Constantin zaczął nabierać nadziei. Zaczął myśleć, że Elias nabrał jednak rozumu i do niczego nie dojdzie...

I wtedy wydarzyła się tragedia. Większa część jego burzliwej dyskusji z Eliaszem wryła się Constantinowi głęboko w pamięć. Niektóre zdania mógłby cytować słowo po słowie, ale o tych, w których Elias ostrzegał przed ponownym najściem żołnierzy, jakoś zapomniał: „Ten biedny dzieciak jest nadal wystraszony... Słyszał, gdy mówili, że jeszcze wrócą do ich domu”.

W trzy tygodnie później żołnierze rzeczywiście wrócili do tego domu Petrosa Kapposa.

Młody Andreas dobrze wykorzystał tę chwilę ciszy. Petros nadal był nieobecny, więc Andreas przejął na siebie rolę głowy domu. Bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Naprawił rozbite drzwi WeJściowe. Założył okiennice do okien i dbał, by o zmierzchu je zantykano. Nocą dom stawał się małą fortecą. Ale w lepkiem upale dnia, kiedy łyk świeżego powietrza był cenny jak złoto, dom Kapposów przypominał inne domy w Pireusie. Okiennice były otWarte, drzwi uchylone na oścież, by łapać najłżejszy powiew Świeżego wiatru.

Dwóch z żołnierzy, którzy zgwałcili Annę, sporo wypilo tego sobotniego popołudnia. Zaczęli się przechwalać swoim wzięciem

229

u kobiet, a najbardziej ostatnim wyczynem przed domem Kapposów Narastało w nich pożądanie, znowu chcieli ją mieć.

— A czemu by nie? Kto nam zabroni? Został tam przecież tylko dzieciak i stara kobieta. Wino i przechwałki robiły swoje. Jeden podbechtywał drugiego. Tym razem zerzną ją w komfortowych warunkach: w jej własnym łóżku. Drugi zarechotał. — Już pięć tygodni minęło, gdy zabraliśmy jej starego. Pewnie ją skręca z braku dobrego chuja.

Nie poszli z pustymi rękami. Jeden kupił w barze butelkę wina, a drugi kwiaty u ulicznego sprzedawcy. Ale to będzie numer! Nie mogli się powstrzymać od rechotu spoglądając na siebie.

Będzie

O czym opowiadać w koszarach.

Zataczając się szli ulicą Pitagorasa, minęli port, a potem zaczęli się wspinać w górę uliczki, przy której stał dom Anny. Drzwi wszystkich domów były otwarte. Na progu jednego z nich siedziała stara kobieta

I cerowała ubranie. Żołnierze pochwalili się prezentami. — Patrzcie, matko, jacy jesteśmy dobrzy dla naszych kobiet.

Dom Kapposów stał na szczycie wzniesieniu. Zbliżając się do niego żołnierze jęli się bacznie rozglądać. — Musimy uważać, żeby wszystko odbyło się bez żadnych krzyków — powiedział jeden. Kumpel zgodził się z nim. Dotknął bagnetu u pasa. — Złap tę starą i przyłóż jej swój kozik do gardła. Zatrzymaj ją na dole z tym dzieciakiem. Potem ja zrobię to samo dla ciebie... — zarechotał.

Jego kompan uśmiechnął się szeroko: — Może dzieciaka nie będzie w domu.

-Ale dzieciak był w domu. Znajdował się w kuchni wraz z matką. Anna była na górze i myła właśnie włosy, by sprawić przyjemność teściowej. Trapiona zgryzotą i smutkiem Anna już od wielu tygodni przestała dbać o siebie. — Zrób to więc dla mnie — uprosiła ją teściowa. — Przynajmniej umyj włosy. Od razu się lepiej poczujesz.

Kiedy żołnierze stanęli w drzwiach, Anna właśnie schodziła ze schodów. W rękę trzymała ręcznik, jej włosy jeszcze lśniły od wilgoci. Miała na sobie tylko luźną koszulę, która rozchylała się przy każdym kroku, odsłaniając nagie uda. Zaskoczona kwiatami, które jeden z nich cisnął w jej stronę, nie zdążyła nawet krzyknąć. W ułamku sekundy żołdak przeskoczył dwa najniższe schodki. Anna odwróciła się chcąc uciekać, ale żołnierz złapał ją za stopę i ściągnął z łoskotem w dół.

Zaalarmowany hałasem Andreas wychylił się z kuchni. Oczy rozszerzyły mu się z niedowierzania. W przejściu stał drugi żołdak i zagradzał mu drogę. Chłopiec oniemiał. Ufortyfikował dom w ocze

230

kiwaniu obłączenia, ale nie przypuszczał, że obłączenie nadejdzie za dnia- Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale żołnierz był szybszy, wepchnął go z powrotem do kuchni. Ze schodów dobiegały w tym czasie stłumione krzyki Anny. Również matkę Andreasa, z rozszerzonymi z przerażeniem oczyma, żołnierze wepchnęli w głąb kuchni.

— Tylko spokojnie — warknął żołdak — a nikomu z was nic się nie stanie.

Lecz jego ostrzeżenie na nic się zdało. Kiedy sięgał do pasa, Andreas zdążył już chwycić ze stołu nóż kuchenny, który wbił głęboko w udo mężczyzny. Trysnęła krew. Rycząc z bólu żołdak rzucił się na chłopca, ale Andreas zwinnie uskoczył. Stara kobieta chwyciła z pieca garnek i rzuciła nim w żołnierza, trafiając go w ramię. Żołdak odwinął drugą rękę i uderzył ją tak, że zatoczyła się na ścianę, tracąc oddech. Andreas z dzikim wrzaskiem rzucił się na żołdaka w chwili, gdy ten wyciągał z pochwy bagnet. Sam impet skoku nabił chłopca na klingę. Ostrze przebiło mu szyję na wylot. Z ust popłynęła piana różowej krwi, a z płuc dobiegło bulgotanie. Kolana ugięły się pod nim i chłopiec zaczął się wolno osuwać, trzymając się rękami za gardło. Ciężar upadającego ciała wytrącił żołnierzowi bagnet z ręki.

Matka wydała z siebie straszny jęk. Nadal oszołomiona upadkiem na ścianę, poczołgała się na kolanach do syna.

Żołnierz zatoczywszy się na stół, chwycił się ręką za udo. Krew ciekła mu po palcach. Jego otępiały mózg najpierw zareagował na ból, a dopiero potem na jatkę, której był sprawcą.

Chłopiec wił się spazmatycznie w rozlewającej się coraz szerzej kałuży krwi.

Żołdak odwrócił się, pokuśtykał szybko do przedsionka i zawołał ochrypłym głosem kompana. Na podeście schodów Anna wbijała paznokcie w twarz napastnika, gryzła rękę, którą zasłaniał jej usta. Szarpała się i wyrwała, lecz siły opuszczały ją coraz bardziej. Raczej czuła niż widziała, że napastnik odpina rozporek. Nagle usłyszeli dochodzące z dołu krzyki. Żołdak zaklął. Odwrócił głowę na dźwięk przerażenia w głosie towarzysza.

Po chwili obydwaj znaleźli się w kuchni. Kopniakiem odepchnęli matkę od syna. Andreas już zastygł, a jego krew rozlewała się po Podłodze.

— Ty pierdolony idioto! — ryknął żołdak, który zbiegł z góry. pochylił się i wyrwał bagnet z gardła chłopca. Buchnęła nowa tontanna krwi.

Puścili się biegiem. Ranny żołdak podskakiwał na zdrowej nodze, ewną miał całą we krwi. Jego kumpel zapinał w biegu rozporek.

231

Anna podniosła się z podłogi. Jęk wyrwał się z jej posiniaczony ust. W kuchni na dole stara kobieta pośliznęła się w kałuży krwi syna Łkając powtarzała jego imię. Na próżno.

Andreas Kappos nie żył.

Krzyki Anny oraz zawodzenie i lament teściowej zaalarmowały sąsiadów. Wokół domu Kapposów zebrała się spora gromada ludzi Ktoś wymienił nazwisko Peponisa. Jakiś chłopiec pobiegł, by sprowadzić Constantina. Wiadomość o wydarzeniu rozeszła się lotem błyskawicy w gąszczu uliczek.

Constantin biegł przez całą drogę, nie zważając na spiekotę. Kiedy dotarł na miejsce, nie mógł złapać tchu. Gąszcz ludzi przed drzwiami rozstał się, by go przepuścić. Zbladł na widok takiej ilości krwi. Przeszył go dreszcz. Zrobiło mu się niedobrze. Matka wyła jak zwierzę nad ciałem syna. Anna siedziała na krześle i niewidzącymi oczami wpatrywała się w ścianę.

Constantin natychmiast przejął inicjatywę. Wezwał policję, lekarza, karetkę. Wyprowadził Annę z kuchni. Potrząsając nią, aż dzwoniły jej zęby, wydusił z niej całą historię. Rozmawiał też z kobietą, która widziała umykających żołnierzy. Znalazł sąsiadów, którzy zgodzili się przyjąć do siebie Annę i jej teściową. Robił, co mógł, w oczekiwaniu na przyjazd policji.

Cały czas dręczyło go poczucie winy. Patrząc na tę jatkę, myślał: „Mogłem temu zapobiec. To moja wina, że do tego doszło”. Wciąż brzmiało mu w uszach ostrzeżenie Eliasa: „Biedny dzieciak jest przerażony, żołnierze mówili, że tam wrócą”. Każde spojrzenie na ciało Andreasa wzmagало w nim wyrzuty sumienia. Biedny, odważny, dumny, mały Andreas, któremu należało się więcej od życia. Przytłoczony ogromem winy, Constantin czuł, że robi mu się niedobrze, brakowało mu powietrza. Ślaniając się na nogach, wyszedł na zewnątrz. Oparł się o ścianę i zamknął oczy, usiłując zwalczyć nudności. Emocje kotłowały się w nim — wina, odraza, poczucie bezsilności, wściekłość. Kiedy otworzył oczy, łzy zamazały mu widoczność.

Policja już od pół godziny była na miejscu. Przy drzwiach wejściowych stała karetka, obok niej samochód policyjny, a z tyłu dwa motocykle. Wewnątrz domu lekarz stwierdził zgon, a pop usiłował pocieszyć matkę. Policjanci zajmowali się utrzymaniem sąsiadów z dala od wejścia... Bezbrzeżna rozpacz przepępiała Constantina. Czuł się podle,

232

obarczał się winą. Poczował się do odpowiedzialności za to, co się stało. Był tak zszokowany i oszołomiony, że z trudem przychodziło mu zebrać myśli. Usiłował skoncentrować się, zastanowić, jak mógłby pomóc. Wciąż sobie powtarzał, że musi coś przecież przedsięwziąć.

W drzwiach pojawili się ludzie niosący na noszach ciało chłopca, pomruk zgromy i współczucia przeszedł wśród tłumu. Kobiety zegnały się znakiem krzyża. Jakiś starzec ściągnął kapelusz. Potem, gdy ciało przenoszono do karetki, zapadła pełna szacunku cisza.

Po chwili ze środka domu wynurzył się kapitan policji. Zatrzymał się w drzwiach.

Constantin wziął się w garść. Podszedł do niego i zapytał: — Czy mogę w czymś pomóc?

Kapitan spojrzał na niego chłodno, wrogo. Wykrzywił usta w grymasie i rzucił: — Tak. Niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy. Niech pan wraca do tej swojej tawerny, adwokacie Peponis.

Klienci czekają.

Constantinowi twarz nabiegła krwią na taką obrazę. — Czy kazał pan szukać tych żołnierzy? Nie mogli daleko uciec. Jeden jest ranny.

— Jakich żołnierzy? Żadni żołnierze nie mają nic wspólnego z tą odrażającą domową awanturą. Constantin osłupiał. Był tak zdumiony, że zaczął się jąkać. — Co... co pan przez to rozumie?

Domowa awantura? Nie pojmuję! Czy Anna nie powiedziała panu...

— Słyszała, jak się kłóca. Spadła ze schodów, chcąc dotrzeć do kuchni. — Kapitan wzruszył ramionami. — Niestety, było za późno, chłopak już wtedy nie żył.

— Przecież ten żołnierz ją gwałcił!

— Brednie. Lekarz ją przebadał. Nie było tu żadnych żołnierzy. To tylko rodzinna sprzeczka, w której poniosły kogoś nerwy.

— Nie! — krzyknął Constantin. Aż drżał z wściekłości i niedowierzania. — To nieprawda! — Odwrócił się szukając wśród gapiów starej kobiety, ale nie było jej tam.

— Mamy narzędzie zbrodni — dokończył kapitan. — Kuchenny nóż cały we krwi.

— Nie! — Constantin tupnął nogą i trząśł głową, tracił nad sobą Panowanie. — Nie wierzę! Nie dam się okłamać! Widziano dwóch żołnierzy, gdy wchodzili do tego domu.

— Peponis! — warknął ostro kapitan. Podszedł do niego i pogroził 11111 pięścią. — Ostrzegam! Jeszcze jedno fałszywe zeznanie i każę pana aresztować. Jeszcze tylko jedno słowo!

233

Constantin miał ochotę trzasnąć go w głowę, chwycić, unieść do góry i rzucić nim o ziemię. A potem skopać go. Trzęsąc się z wściekłości usiłował zapanować nad sobą. Czerwona mgła przesłaniała mu oczy, a czarne punkty tańczyły przed oczami. Krew pulsowała w tętnicy szyjnej. Mocno zacisnął pięści, ale i to nie pomogło, by się opanować. Podbiegła do niego drobna kobieta.

Była to matka Melindy. Pochwyciwszy z całej siły Constantina za rękę, nie wypuszczała jej. — Melinda cię szuka. Proszę cię, Constantin! Jesteś natychmiast potrzebny Melindzie!

Z trudem oderwał wzrok od policjanta.

— Constantin, proszę! Melinda cię potrzebuje!

Sądząc po jego otepiałym spojrzeniem, można by dojść do wniosku, że nie poznaje teściowej. Ale raptem, za jej plecami dostrzegł kogoś, kogo natychmiast rozpoznał. Na wzgórze biegł Elias. Nawet w furii, która go przepełniła, Constantin wyczuł niebezpieczeństwo. Elias wpadnie w szal. On nie będzie potrafił się opanować!...

Constantin oderwał się od tłumu i szybko ruszył w stronę Eliasza.

Z tyłu za nim policjanci wyprowadzali z domu łkającą żałośnie matkę Andreasa. Nikłe głosy protestu podniosły się w tłumie, gdy wpychano ją do policyjnego wozu. Ale głosy zaraz umilkły, gdy policjant zaczął spisywać protestujących.

Constantin śpieszył Eliasowi na spotkanie. Już z odległości dziesięciu jardów można było dostrzec pałającą żądzą mordy twarz Eliasza. Kiedy zbliżyli się do siebie, Elias zszedł mu z drogi. — Zostaw mnie w spokoju! — warknął.

Constantin chwycił go za bark. — Zaczekaj!

Starając się uwolnić z uchwytu, Elias nie zwracał uwagi na cicho wypowiedane słowa Constantina. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co słyszy. Z osłupieniem spojrzął na męża siostry.

— Co powiedziałaś?

— To, co słyszysz. Załatw mi broń!

Ci dwaj żołdacy przechodzili właśnie przez jezdnię, kiedy to się stało. Jeden nadal lekko utykał, a twarz drugiego ciągle nosiła ślady zadrapań. Obydwaj uznali, że mają niesamowity fart. Utykanie i podrapana twarz były niewielką ceną za to, czego się dopuścili—Uratował ich szybki refleks i umiejętność łgania jak z nut oraz przychylnie nastawienie kapitana policji, który nie miał ochoty zadzierać z wojskiem.

Śmiercią Andreasa Kapposa nie przejęli się zbyt. Chcąc ratować

234

własną skórę, w drodze powrotnej do koszar obmyślili opowieść, yszani i wystraszeni udali się wprost do oficera dyżurnego: — Graliśmy w karty w barze. Doszło do bijatyki.

Dowódca jednostki uwierzył im na słowo. Nieczęsto wszak się zdarza, by podkomendni sami meldowali się do paki. Gry hazardowe z cywilami były surowo zabronione, musieli więc odsiedzieć swoje. Woleli czternastodniowy zakaz opuszczania koszar, niż ponieść odpowiedzialność za dokonanie morderstwa.

Było wczesne popołudnie. Po czternastodniowym odosobnieniu z przyjemnością oddychali świeżym powietrzem. Jak zwykle zaczęli rozmawiać o kobietach — spierali się, jak je zdobyć, ile trzeba będzie za to zapłacić. Odprowadzali wzrokiem wszystkie przechodzące kobiety, rozbierając je wzrokiem i rzucając pod ich adresem sprośne propozycje. Nie oglądali się za siebie ani nie zwracali uwagi na ruch uliczny.

Niewielu ludzi mogła zainteresować stara furgonetka marki Fiat. Nic w niej nie zwracało niczyjej uwagi. Poprzednio była popielata, jeszcze i teraz w niektórych miejscach prześwitywał dawny kolor, ale dominował niebieski, a liczne zadrapania potraktowano minią. Nie miała żadnych napisów, z których można by wyczytać nazwisko właściciela. Wyglądem przypominała wiele innych podobnych wehikułów poruszających się po autostradach i szosach Grecji.

O tej porze dnia ruch uliczny w Pireusie jest duży. Tłoczno robi się na jezdniach rano i czasem przed wieczorem. Wczesnym popołudniem rzadko przytrafiają się korki.auta przejeżdżają z tak niewielką częstotliwością, że żołnierze bez trudu wypatrzyli lukę pozwalającą na przejście jezdni. Właśnie minęła ich ciężarówka. Za nią jechała furgonetka. Koncentrując się na luce, jaka powstała za ciężarówką, żołdacy nie spostrzegli, że kierowca furgonetki ma na twarzy maskę. Kiedy auto minęło ich, weszli na jezdnię patrząc na następny nadjeżdżający pojazd. Nagle tylne drzwiczki furgonetki otworzyły się z trzaskiem. W środku leżał na brzuchu zamaskowany człowiek z karabinem. Pierwszy strzał trafił jednego z żołdaków prosto w skroń; Jego czaszka i mózg rozprysnęły się na wszystkie strony. Drugi strzał był niecelny. Trzeci też. Jadące za furgonetką auto wpadło w poślizg i wjechało na chodnik. Drugi z żołnierzy z przerażeniem spojrzął na zabitego towarzysza. W tym momencie i jemu pocisk przeszył skroń. Żołdak zatoczył się i chwycił za głowę. Piąta z kolei kula trafiła go w pierś. Powalony w konwulsyjnych drgawkach runął na pobocze. Silnik furgonetki zawył, kierowca zmienił bieg i samochód przyspieszył raptownie. Samochód przemknął obok jadącej przed nim

235

ciężarówce, by zaraz skrócić w pierwszą przecznicę. Jedna część tylnych drzwiczek była już zamknięta, w drugiej widać było postać która usiłowała zatrzaskać drugie skrzydło. Był to potężny mężczyzna w czarnej, niedokładnie przylegającej do twarzy masce; niebezpiecznie balansując na kolanach, starał się jedną ręką przyciągnąć drzwiczki.

Pierwszy z leżących na jezdni żołdaków już wyzionął ducha w drugim życie ledwo kołatało.

Kiedy furgonetka brała zakręt, Constantin stracił równowagę. Runął na podłogę i przetoczył się na drugą stronę auta, wypuścił uchwyt drzwiczek, a maska zsunęła mu się na oczy, zasłaniając widoczność. Gdy samochód ponownie przechylił się na zakręcie, drzwiczki zamknęły się z hukiem. Constantin złapał uchwyt i zatrzaskał je mocno. Równocześnie drugą ręką zerwał z twarzy czarną maskę. — Ściągnij i ty! — krzyknął.

Ostrzeżenie było niepotrzebne. Siedzący za kierownicą Elias zdążył już zerwać z twarzy maskę i odrzucić ją na bok. — Trafiłeś skurwieli? — zawołał skracając w następną przecznicę.

— Tak — Constantin przyłożył do ust otarte do krwi kostki palców. — Zwolnij.

I znów instrukcja była zbyteczna. Elias właśnie redukował prędkość. Z daleka dobiegło ich wycie wozów policyjnych.

— Obydwaj trafieni? — upewniał się Elias.

Constantin usiłował owinać strzelbę w afgański kilim. Robienie tego na kolanach nie było łatwe, dwa razy wyrzucił głowę o ścianę furgonetki.

— Czy obydwoj dostali? — ponownie zapytał Elias, nie doczekawszy się odpowiedzi.

— Tak — odburknął Constantin. Wyjął z kieszeni sznurek i okręcił go dookoła zrolowanego kilimu.

Pot lał mu się z twarzy. Ręce, jeszcze przed chwilą całkiem spokojne, zaczęły drżeć.

Elias prowadził uważnie, często spoglądając w lusterko wsteczne.

Po dziesięciu minutach furgonetka zatrzymała się przed skromnym domem na przedmieściu Aten.

Constantin podszedł do drzwiczek i otworzył je. Wyszedł i wyciągnął ze środka kilim, który zarzucił sobie na ramię. Zatrzasnął drzwiczki i walnął na pożegnanie pięścią w karoserię. Choć jego ruchy sprawiały wrażenie naturalnych, szybko jednak znalazł się przy drzwiach wejściowych.

Wyjął z kieszeni klucz—Otworzył drzwi i zniknął za progiem. Furgonetka tymczasem ruszy»a i po chwili zniknęła za zakrętem.

Constantin wychował się tutaj. To był jego dom rodzinny, }0 podarował wujowi Mikisowi. Znał tu każdy kąt. Smugi świat

236

przedzierały się przez szczeliny w okiennicach, rysując na posadzce wzór równoległych linii, przypominających tory tramwajowe. W salonie powietrze było zatęchłe, czuło się wilgoć. Kurz grubą warstwą osiadł na każdym sprzęcie, ponieważ dom był nie zamieszkanym, odkąd wuj Mikis wraz z Theo i Dimitrim uciekli w góry.

Constantin rzucił na podłogę kilim i ciężko siadł na krześle. Po chwili ręce przestały mu drżeć. Zabijanie jest niezwykle łatwe, o wiele łatwiejsze, niż przypuszczał, a przecież jeszcze przed kilkoma tygodniami wydawało mu się czymś wręcz nieprawdopodobnym. Czy wszyscy zabójcy w ten sposób to odbierają? Czy wszystkich przeraża bardziej myśl niż czyn? Czyn jest prosty, tylko decyzja przychodzi ciężko. Wiąże się z nią wiele innych postanowień, które należy podjąć. Taka decyzja zmienia człowiekowi życie. Już nie ma od niej odwrotu. Jeżeli uda mu się przetrwać juntę, nigdy już nie będzie mógł wrócić do zawodu prawnika. Zawsze będzie się czuł tego niegodny, niczym kapłan, który zrzucił sutannę.

Siedząc i usiłując dojść do siebie, ze zdziwieniem stwierdził, jak mało znaczy dla niego prawo. A kiedyś było dla niego wszystkim. W dżungli prawo nie obowiązuje. Na pochyłe drzewo kozy skaczą. Zwierzęta zabijają, by chronić młode. Constantin zabił dla tego samego powodu: by chronić Eliasa, powstrzymać go od przyłączenia do grupy młodych anarchistów. Pozostawiony sam sobie Elias dałby się ustrzelić w ciągu tygodnia albo jeszcze gorzej: złapaliby go i torturowali. Kiedy wiadomość o tym dotarłaby do Theo i Dimitriego, zeszliby z gór, by się mścić. Cała rodzina znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Sprawując nadzór nad Eliaszem, Constantin wiedział, że nic nie grozi Melindzie... Że rodzina będzie bezpieczna...

Od czasów gestapo nie było w Pireusie takiego polowania na ludzi. Żołnierze i policjanci przeczesywali każdą ulicę, każdy dom. Przesłuchiowano tysiące ludzi. Informatorom przyrzeczono wysokie nagrody: "Będziecie bogaci, jeśli powiecie, kto to zrobił". W mieście roiło się od Wojska. Przez kilka tygodni Constantin miał nadzieję, że uda mu się fiknąć podejrzeń. Obawiał się tylko o Eliasa. Ciągłe kładł chłopcu 0 głowy: — Wystarczy jedno nieuważne słowo, byle drobiazg — 0vnił podnosząc głos. — Szpiedzy są wszędzie. Wiem.

Nie wychylaj się na uczelni. Żadnych protestów, żadnych kłótni

237

z profesorami, przyjmuj wszystko bez dyskusji. Nie zwracaj na siebie uwagi.

— W porządku.

— I unikaj swoich zapalczywych przyjaciół.

Elias pokiwał głową. Skala tego polowania przeraziła go. Doświadczył już, jak brutalna jest junta i bał się, że i on stanie się ofiarą okrucieństwa pułkowników. Przyrzekł sobie, że będzie trzymał język za zębami. Na razie wystarczyło mu, że pomścił śmierć Andreasa. Z następnym uderzeniem nie musi się śpieszyć.

Constantin zastanawiał się, czy nie lepiej wysłać chłopca do wuja Mikisa, żeby pobyl tam z braćmi. Ale wtedy zaczęliby dopytywać się

0 niego na uczelni. Sąsiedzi też by się dziwili, co się z nim stało. Również

1 rodzina zadawałaby pytania. Na razie lepiej będzie nic nie zmieniać.

Przynajmniej Melinda jest szczęśliwa. Nie wiedząc nic o ich roli w zabójstwie, cieszyła się, że Constantin i Elias znów są razem. Odczuła ulgę widząc, że się pogodzili. „Chroń nas wszystkich, Panie Boże — modliła się — pomóż nam przetrwać.”

Sprawcy zabójstwa pozostawali nieznani. Nikt jakoś nie kojarzył ich śmierci ze śmiercią Andreeasa. Ale kiedy w gazetach pojawiły się zdjęcia żołdaków, Anna i jej stara sąsiadka, która ich widziała, rozpoznały napastników. Wkrótce niby liście na wietrze rozeszła się wiadomość po okolicy.

Wszyscy zachodzili w głowę, kim są sprawcy. Ludzie uśmiechali się z ponurą satysfakcją: Andréas zginął, ale ktoś odpłacił za to mordercom.

W porównaniu z emocjami, jakie rozbudziła ucieczka dziewczęciu z Averoff, tym razem odczucia były bardziej stonowane. Wielka ucieczka była wspaniałym zwycięstwem. Zabójstwo żołdaków oceniano w innych kategoriach — ich śmierć była surowym aktem sprawiedliwości mścicieli.

Constantin podawał w wątpliwość tę interpretację. — Nonsens — mawiał. — To zabójstwo nie ma nic wspólnego z Andreasem. Tacy faceci, jak ci żołnierze, z pewnością mają wrogów na pęczki.

Mimo jego wysiłków, by sprowadzić podejrzenia na fałszywe tory, ten motyw nadal przeważał.

Szpiedzy policyjni donieśli o tym szefom-Nie mając innego wytłumaczenia, ESA zaczęła poważnie traktować tę hipotezę. Cywile też się zresztą z tym zgadzali. Pewnego wieczoru w tawernie pojawili się bracia Roufusowie.

Melinda zatrwożyła się na ich widok. — Nigdy tu nie przychodzili-Czego teraz chcą? — spytała szeptem Constantina.

Ale nie wyglądało na to, by Roufusowie czegoś chcieli. Zamówili zwykły posiłek, a potem odeszli, nie okazując po sobie, że znają

238

gospodarzy. Można by ich uznać za obcych, którzy przypadkiem trafili do tawerny.

Następnym razem pojawił się mężczyzna, którego nazywali Spyro-sem. Wpadł na drinka.

Kolejnego wieczoru przyszedł człowiek ze strzelbą.

Żaden z nich nie zabawił długo. Udawali, że nie znają Constantina, a jednak... wiedzieli, kim jest.

Można to było wyczytać z ich oczu. Ich spojrzenia mówiły: „Jesteś teraz jednym z nas. Uważaj!

Jeśli chcesz, możemy ci pomóc”.

Constantin musiał mocno trzymać nerwy na wodzy. Zastanawiał się, jak udało im się poskładać fakty. Jeśli bracia Roufusowie odkryli prawdę, to czy daleko jest od niej ESA? ESA wiedziała, że wezwał do tawerny przedstawicielkę Czerwonego Krzyża na spotkanie z Anną, wiedziała, że był w domu Anny po tym, gdy zabito Andreeasa.

Wyglądało na to, że los sprzysiągł się przeciw niemu. Przedstawicielka Czerwonego Krzyża, Kirsten Moutier regularnie spotykała się z Anną, a ponieważ Anna mieszkała teraz u sąsiadów, wygodniej im było widywać się w tawernie.

Melindę cieszyły te wizyty. — Anna potrzebuje pomocy nas wszystkich — mawiała. Między tymi trzema kobietami nawiązała się sympatia, potem przyjaźń, co trochę dziwiło. Melinda, Anna i Kirsten Moutier były w niemal tym samym wieku. Wszystkie trzy były ładne, choć żadna nie przywiązywała szczególnej wagi do wyglądu. Wszystkie trzy potrafiły współczuć. — Pani Kirsten nie ma łatwej roli — powiedziała kiedyś Constantinowi Melinda. — Stara się nie być stronnicza, lecz to dla niej duże psychiczne obciążenie. Widać to po jej twarzy. Napyta sobie biedy, jeśli nie będzie uważała. Całym sercem jest z nami.

— Tu trzeba czegoś więcej niż serca — odezwał się zgorzkniały Constantin. Niewiele brakowało, a wyznałby Melindzie wszystko. Już kilkakrotnie się do tego przymierzał. Mogłaby wówczas pojechać z Eliaszem do wuja Mikisa, przeczekać niebezpieczny okres. Ale myśl, że miałby się przyznać do zabójstwa, porażała go. Widział już ten ból w oczach żony, gdyby jej o tym powiedział. Zawaliłby się jej cały dotychczasowy obraz męża. Nie potrafił więc zdobyć się na wyznanie... Siedział zatem cicho, z nadzieją, którą żywił na przekór rozsądkowi.

Tymczasem ESA była już blisko rozwiązania zagadki. Zgodnie z wszelką logiką, musiał nastąpić przełom w śledztwie. Stawka była wysoka. Junta utrzymywała się przy władzy dzięki właśnie takim

239

żołnierzom, którzy sieli postrach. Jeśli dopuści się do tego, by w biały dzień strzelano do ich żołnierzy, to rychło ludziom mogłaby strzelić do głowy myśl o otwartej rebelii. Pułkownicy postanowili: morderca musi zostać odnaleziony!

Polowaniem kierował major Zagora. Główny spec od tortur Krażyły dowcipy na temat Zagory: archeolog znajduje posąg i za. stanawia się, z którego wieku pochodzi. Asystent podsuwa mu myśl: „Niech pan zanieś go do Zagory, panie profesorze. On go zmusi do mówienia”. W ten sposób podnoszono reputację Zagory, który nawet posągi zmusza do mówienia.

Jego ludzie w ciągu kilku dni odnaleźli skradzionego fiata. Porzucono go na przedmieściach Aten. Odciski palców zostały dokładnie usunięte, więc furgonetka nie posunęła śledztwa naprzód, ale sądząc po miejscu, w którym ją znaleziono, musiała przyjechać do Aten z Pireusu.

— Sprawdzić każdą możliwą trasę przejazdu — nakazał major Zagora. — Pytać po wszystkich domach w okolicy. Ktoś musiał ją widzieć.

I znalazł się taki, co ją widział. Starzec, który nie chciał nic mówić, i który nie powiedziałby niczego, gdyby go nie wzięto w krzyżowy ogień pytań. Zmieszał się i przeląkł. Jego zachowanie, strach zdradziły go.

— On coś wie — pomyślał kapitan i kazał zaprowadzić go do majora.

Starzec znał Constantina z czasów, gdy był on jeszcze chłopcem. Zastanowiło go, dlaczego Constantin powrócił do domu rodzinnego z afgańskim kilimem na ramieniu...

Przyszli o trzeciej w nocy. Obudzony z nerwowego snu Constantin usłyszał stukot buciorów wyskakujących z ciężarówek żołnierzy. Był już na nogach, gdy rozległo się łomotanie do drzwi. Wciągał spodnie, kiedy zaczęli się dobijać. Nie było mowy o ucieczce, wiedział o tym. Już włożył buty...

— Constantin! — zawołała Melinda.

Powiedział do niej w pośpiechu: — Zostań tu, dopóki się stąd nie wyniosą.

— Ale...

— Rób, co mówię! — Wyciągnął z zamka klucz i wybiegł z sypialni⁰¹ zatrzaszkując za sobą drzwi.

Przekręcając klucz w zamku, zastanawia się, gdzie go ukryć. Już przyklękał z zamiarem wsunięcia klucza p⁰

240

drzwi pokoju, ale rozmyślił się. Melinda zaraz wybiegłaby za nim. Już zresztą okładała pięściami drzwi, wołając go po imieniu.

?— Nie! Zostań tam! Elias przyjdzie po ciebie! — Wsuwając klucz ?0 kieszeni, Constantin zbiegł po schodach w dół, wołając głośno: — Już idę, idę! — Przemknęło mu przez myśl, czy nie spróbować ucieczki przez balkon. Zeskoczyć w dół i popędzić alejką. Odciągnąć ich od Melindy. Ale powinni go najpierw zobaczyć, żeby nie zaczęli dobijać się szturmem do sypialni.

— Idę już, idę! — wołał biegnąc do drzwi, które aż trzeszczały pod naporem żołdaków. — Już jestem — zawołał odciągając rygiel. — Jestem!

Drzwi otworzyły się z siłą eksplozji. Wpadli do środka omal go przewracając. Desperacja dodała mu siłę, utrzymał się na nogach. Rzucił się na nich, rozpychając żołdaków na boki. Torował sobie drogę do wyjścia potężną masą ciała i siłą ramion. Przedarł się przez tłum i wybiegł na ulicę. Chciał dobiec choćby do skrzyżowania lub jeszcze dalej, skryć się za narożnikiem, by odciągnąć ich od Melindy. Jeszcze kilkanaście kroków. Biegł wzdłuż szpaleru okładających go pięściami żołdaków. Morze mundurów skryło jego postać. Ciosy padały z każdej strony. Szarpano go, kopano, popychano. Kolby karabinów gruchotały mu kości. Jeszcze kilka kroków. Krew zalała mu oczy i oślepiła. Zlizywał ją z warg, wypluwał. Nogi zaczęły się plątać. Czuł, że pada. Jeszcze leżąc czołgał się pod lawiną kopniaków, uderzeń pałek i kolb karabinów. Już docierał do narożnika, jeszcze tylko kilka ruchów...

Uderzył twarzą o bruk. Żołnierze zakłębili się nad nim, każdy chciał mu osobiście dołożyć.

Constantin zwinął się w kłębek. Buciorzy zagłębiały się w jego ciało, waliły go w głowę. W ustach czuł miedziany smak krwi.

— Wystarczy! — zawołał ktoś nie znoszącym sprzeciwu głosem, Przekrzykując wrzaski i sapania.

— Dość tego!

Zawleczono Constantina pod ścianę i oparto plecami o mur. Otworzył oczy. Oślepiiony światłem reflektorów i własną krwią, starał SI? skoncentrować uwagę, ale na próżno — widział wszystko podwójnie 'ub potrójnie. Mundury i twarze zlewały się w niewyraźną masę. Po chwili mundury oddzieliły się od siebie i obraz stał się wyraźniejszy. Zbliżała się do niego para wypolerowanych butów. Podniósł wzrok, a'e twarz nadchodzącego była zbyt wysoko. Ten, który podszedł, Przykucnął przed nim. Pod wojskową czapką Constantin dostrzegł Qzioby na twarzy. Ospa albo inna choroba go zeszpeciła. Miał czarne Przenikliwe oczy. Chłodne jak u węża. Palił papierosa.

Uśmiech

zemsta

241

prymitywnej satysfakcji wykrzywił mu usta. Dmuchnął Constantinowi dymem w twarz.

— No i?... W końcu mamy cię, prowodyrze! Constantin zmienił pozycję, odczuł dojmujący ból.

Nagle mężczyzna zaczął wrzeszczeć: — Gdzie pozostali?! Nazwiska! — Odchylił lewą rękę i z wściekłością uderzył Constantina w twarz. — Gadaj, morderco! Mów, bo rozerwę cię w strzępy! Znow go uderzył, potem raz jeszcze, cały czas wrzeszcząc:— Mów mów, mów!

Mocne uderzenia odwracały twarz Constantina raz w jedną, raz w drugą stronę. Z uszu pociekła krew. Nagle poczuł nieznośny palący ból, który przeszył mu ciało. Facet przytknął do jego szyi zapalonego papierosa i rozgniół go na jego skórze. Constantin zagryzł usta, by nie krzyzczeć.

Odrącił rękę oprawcy, ale papieros przywarł do ciała...

Wlekli go za nogi po bruku, głowa podskakiwała na kamieniach. Na moment stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, zobaczył, że znajduje się we wnętrzu wielkiej, czarnej limuzyny. Po bokach siedzieli mundurowi, trzymając go pod ramiona, które skuto kajdankami na plecach. Ospowaty siedział naprzeciw na składanym stołku. — Gadaj! — syczał pogardliwie, kopiąc Constantina w goleń. — Wiesz, kim jestem? — warknął. Pochylił się do przodu i uderzył Constantina w twarz. — Wiesz? No, powiedz! Wiesz? — bił go dalej.

Samochód nie zwalniał biegu. Constantin otepiał z bólu, dostrzegł z przodu światła wypełnionej żołnierzami przyczepy.

— Wiesz?

Pewna myśl dodała Constantinowi otuchy. Odjechali już sprzed tawerny. Elias wkrótce się dowie...

— Wiesz? — wrzeszczał nadal oprawca, bijąc ciągle Constantina w twarz.

Oczami wyobraźni Constantin widział już Melinę i Eliasa. „Wyjeżdżajcie natychmiast! Uciekajcie stamtąd! Wuj Mikis was ukryje." Nabierał odwagi. Nie zważał na ból i strach, postanowił, że będzie się trzymał z godnością. „Ten facet mnie nie złamie... choćbym miał wyzionąć ducha, Melinda będzie żyć..."

— Podaj moje nazwisko! — ryczał ospowaty. „Melinda zdąży uciec. Będzie żyć..."

— Podaj moje nazwisko!

Constantin chciał pluć mu w gębę, lecz miał zbyt sucho w ustach-Zmieszana z krwią plwocina nie dosięgła twarzy oprawcy.

Brzydką, naznaczoną dziobami twarz wykrzywił ponury uśmiech-Czarne oczy zabłysły. —

Ośmielasz się pluć na majora Zagorf

242

pożałujesz tego! Nim minie noc, wyśpiewasz moje nazwisko. Już niedługo, Peponis, niedługo...

Constantin nie słuchał tego jazgotu. Zatopił się w myślach, zbierał siły- »Nic mu nie mów. Nie odzywaj się. Nic nie mów..." — nakazał sobie.

Kiedy włączyli się w sznur samochodów na przedmieściach Aten, smugi brzasku rozświetlały blade niebo. Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu obok załadowanej towarami ciężarówki w drodze

na targ. Kierowca zerknął w dół, rysy jego obojętnej twarzy nagle stężyły, kiedy dostrzegł, co dzieje się w czarnej limuzynie. Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Constantina. Constantin chciał zawołać: „Ratunku!” Ale kiedy dostrzegł strach w oczach kierowcy, zrezygnował.

Limuzyna ruszyła i pomknęła dalej. Minęli Stadion Olimpijski i hotel Hiltona. To była najbardziej ekskluzywna dzielnica Aten. Aleje wysadzone zielonymi o tej porze drzewami, białe wille, kosztowne apartamenty. Kiedyś Constantin tu mieszkał. Odgadł, dokąd zmierzają. Znał tu każdy kamień. To dzielnica ambasad i konsulatów, pielęgnowanych troskliwie ogrodów i polerowanego mosiądku. Tutaj w co drugim domu lokatorzy mieli kucharzy i lokai. Czy wszyscy ci ludzie, którzy tu mieszkają, są ślepi? Czy nie widzą, co się wokół nich dzieje? Czy są głusi? Czy nie słyszą krzyków? A może zasłaniają sobie oczy i zatykają uszy? Minawszy ambasadę amerykańską, limuzyna skręciła w prawo. Poprzez rząd akacji Constantin dostrzegł to, czego tak się obawiał: Specjalny Ośrodek Śledczy. Kwatera Główna ESA. Centrum oprawców.

Kiedy samochód wjeżdżał na dziedziniec, wartownicy wyprężyli się na baczność. Żołnierze z bronią gotową do strzału natychmiast otoczyli limuzynę. Zagora aż spęczniał z dumy. — Witam w moim domu, Peponis! — powiedział pogardliwie.

Wypchnięto go z samochodu, upadł znów na ziemię, lecz zaraz Poderwano go do góry i niesiono twarzą do dołu po schodach. Zagora szedł z tyłu i cicho rechotał obserwując wysiłki Constantina, by Podnieść głowę. — Tańcz, prawniku, tańcz!

Weszli do niewielkiego pomieszczenia biurowego, gdzie cisnęli go na krzesło. Zagora ironicznym tonem wydał rozkaz: — Nasz delikwent Jest słynnym prawnikiem. Musimy postępować ściśle według przepisów. Wezwać lekarza!

Przyszedł lekarz, a właściwie ktoś w białym kitlu. Ze źle udawanym zdumieniem spojrzął na zalanego krwią Constantina. — A któż tak Cle urządził? — spytał oglądając dziurę na szyi po zgaszonym PaPierosie. — Czyżby ktoś pomylił cię z popielniczką?

243

Żołdacy zarechotali. Nawet Zagora się uśmiechnął.

— Boli? — zapytał lekarz dotykając obręzków na skroniach Constantina. — A tu?

Constantin milczał. „Nie odzywaj się. Nic im nie mów” — znów sobie nakazał. Skrzywił się pod dotknięciem wilgotnej gąbki. Zagora ryknął: — O, właśnie! Trzeba go umyć. Musi dobrze wyglądać na zdjęciach w gazetach.

Constantin, oślepiiony jasnym światłem, uświadomił sobie, że lekarz już się odsunął. Teraz stał nad nim facet z aparatem fotograficznym Flesz błysnął raz jeszcze.

Zagora zniecierpliwiał się: — No więc jak, panie doktorze? Można go już przesłuchać?

Lekarz zawahał się. Constantinowi błysnęła iskierka nadziei: on ma wątpliwości. — Nie jestem pewny — powiedział doktor. — Ten człowiek nie odpowiada na pytania.

— Bo udaje niemowę — wrzasnął Zagora.

— Możliwe, ale wolalbym go dokładniej zbadać.

— Już my go zbadamy. Dziękuję, doktorze. To wszystko. — Zagora bezceremonialnie wypchnął lekarza za drzwi.

Constantin patrzył za nim przerażony. Chętnie by złapał doktora za rękaw: „Zabierz mnie stąd! Znajdź jakiś pretekst!”

Za późno. Lekarza już nie było. Drzwi zatrzasnęły się. Constantin, brutalnie poderwany na nogi przez żołdaka, dopiero teraz spostrzegł drzwi na lewo od siebie. Wepchnięto go tam. Znalazł się w pomieszczeniu znacznie większym od poprzedniego. Stał tu stół i krzesło przed zakratowanym oknem. Po przeciwnej stronie znajdowało się żelazne szpitalne łóżko, obok którego przeżyło się dwóch drabów. Tak potężnych, jak Constantin, z naszywkami sierżantów na rękawach i drewnianymi pałkami w zaciśniętych łapskach. Natychmiast rzucili się na niego, wykręcili mu ramiona i pchnęli na łóżko. Zerwane sprężyny wpiły się w plecy. Na łóżku nie było materaca. Ostre zakończenia sprężyn wbijały się w pokaleczone ciało niby drut kolczasty. Z trudem opanował jęk, gdy dociskali go do sprężyn-Narastał w nim strach, a nawet panika. Nagle poprzez własny świszczący oddech usłyszał, że ktoś krzyknął: — Chwileczkę! Zostawcie go na chwilę!

Constantin wypuścił z ulgą powietrze z płuc. Udało mu się na skutych w kajdanki rękach unieść nieco plecy nad połamane sprężyny-Spojrząwszy na drzwi spodziewał się zobaczyć w nich Zagorę. Zamiast niego stał tam w szarym garniturze wysoki mężczyzna w towarzystw przysadzistego człowieczka o mięsistej twarzy, ubranego w podobny

244

Zarnitur. Trzymali jakieś papiery i teczki z aktami, co przydawało im Wyglądu urzędników. Mężczyzna o mięsistej twarzy zamknął najpierw drzwi, a potem podszedł do stołu, przy którym stanął też jego towarzysz.

— Niech usiądzie! — powiedział ten wysoki, przysuwając sobie krzesło.

Obolały Constantin dźwignął się nieporadnie. Piekła go poparzona papierosem szyja. Powoli spuścił stopy na podłogę i przysiadł delikatnie na krawędzi łóżka.

Wysoki przedstawił się: — Jestem inspektor Zakras z sekcji antykomunistycznej Centralnego Biura Policyjnego.

— Moje nazwisko Sefaris. Inspektor z tej samej sekcji — powiedział drugi, ten o mięsistej twarzy.

— Ty zaś — rzekł Zakras —jesteś niebezpiecznym kryminalistą.

— Wrogiem państwa — dorzucił Sefaris.

— Zdrajcą — pokiwał głową Zakras.

— Terrorystą.

— Zabójcą.

— Od dawna cię obserwujemy.

— Ponad trzy lata.

— Prawie pięć.

Ich głosy brzmiały zadziwiająco podobnie — były pozbawione wyrazu, monotonne, rzeczowe.

Oficjalne. Mówili na przemian, nie przerywając sobie. Jak aktorzy odczytujący kwestie sceniczne.

Znudzeni aktorzy, znający role na pamięć. Aktorzy, którzy gdzieś mają publiczność. Czemu zresztą mieliby się troszczyć o publiczność? Ich widzowie nie opuszczają sali. Nie mają wyboru — wolno im tylko nie ruszać się z miejsca i słuchać.

— Wiemy o tobie wszystko — powiedział Zakras.

— Wiemy o żołnierzach.

— Wiemy, że ich zamordowałeś.

— Zastrześliłeś z zimną krwią.

— Wiemy, że byli tam z tobą inni. Miałeś co najmniej jednego współnika.

Constantin zląkł się, że zaraz padnie imię Eliasa. Wielki Boże! ylko nie to! Oby tylko tego się nie dowiedzieli. Elias musi zdążyć Uciec z Melindą...

Ale to tylko czubek góry lodowej — powiedział Zakras. Nieistotny — dodał Sefaris. - Dopuszciles się o wiele większych przestępstw. Constantin zastanawiał się chwilę, jakie przestępstwo jest większe

245

od morderstwa. Jakie przestępstwo jest większe niż zabicie dwóch zbrodniarzy?

— Wiemy, na przykład — ciągnął Sefaris — że kierujesz podziemną organizacją komunistyczną.

— Ich najważniejszą komórką partyjną w Grecji.

— Największą.

— Najpotężniejszą.

— Wiemy, że ślesz raporty do Moskwy.

Constantin miał ochotę się roześmiać. On i komunizm! Raporty do Moskwy? To absurd! Głupi dowcip. Tyle tylko, że ci ludzie nie żartują. Nie wyglądają na zdolnych do żartów. Natura nie wyposażyła ich w niezbędne do tego przymioty. Byli śmiertelnie poważni. Constantin zapomniał nagle o bólu fizycznym. Zadziałał instynkt, jaki w sobie wyrobił w setkach potyczek słownych na sali sądowej. O czym oni mówią? Po co to mówią? I nagle doznał olśnienia.

Prawniczy umysł Constantina zrozumiał, do czego zmierzają, jakie szyją mu buty. Przejrzał plan swoich wrogów. Ich podstępne, przewrotne umysły. Najpierw doznał szoku, a zaraz potem opętał go strach. Oczywiście! Cóż za powód do dumy zyskałby Zagora stawiając Constantina Peponisa przed sądem! O co go oskarży? O zabójstwo dwóch żołnierzy, którzy zgwałcili biedną Annę i zamordowali młodego chłopca? W sercach i umysłach wielu ludzi Constantin Peponis zyskałby wówczas sławę, zostałby okrzyknięty wyrazicielem sprawiedliwości. To by ich pogrążyło. Takie oskarżenie nie leży w interesie huntę. Trzeba więc było wymyślić inny akt oskarżenia. A cóż było lepszego niż przedstawienie go jako głównego animatora spisku komunistycznego... wroga ludu... zdrajcę na cudzym żołdzie. W ten sposób Zagora postawi siebie w korzystnym świetle. Major Zagora z pewnością awansuje na pułkownika Zagorę, promowanego przez wdzięczną huntę za ratowanie wolności w Grecji.

Zakras i Sefaris mówili nieustannie o komunistycznych komórkach partyjnych i nielegalnych spotkaniach z Albańczykami i Czechami- -"" Wiemy o was wszystko — stwierdził Sefaris.

— Mamy to spisane — dodał Zakras. — Prawdziwe i zgodne z rzeczywistością fakty.

— Podpiszesz te zeznania na dowód przyznania się do winy-Nie będzie więc świadków. Nie będzie materiału dowodowego •

Okaze się, że mityczni Albańczycy i Czesi wrócili do swoich kraj0 Ambasady zaprzeczą, by cokolwiek im było o tym wiadomo.

Sierżant z prawej strony Constantina przechadzał się w tę 1 w tę. Trzymaną w prawej ręce pałką uderzał o wewnętrzną s

246

I

lewej dłoni, obserwując Constantina małymi ślipkami, jakby nie mogąc się doczekać, kiedy znów będzie mógł się nim zająć.

Zakras i Sefaris jeszcze nie skończyli. Sprawa, którą budowali, była niesłychanie ważna. Proces Constantina Peponisa miał stać się największym przedstawieniem reżimu huntę. Po chwili Sefaris zaczął rozwijać następny wątek.

— Wiemy też — ciągnął — o sprawie dziewięciu z Averoff.

— Wiemy, że to ty zorganizowałeś ich ucieczkę.

— Z pomocą pewnego policjanta.

— I jeszcze kogoś zatrudnionego u nas.

— Kogoś, kto pracuje w kwaterze głównej ESA.

— Jeszcze jednego zdrajcy, który z tobą współpracował.

— I innych terrorystów, którzy spiskowali przeciw Grecji. Nazwiska kłębiły się w głowie Constantina. Nazwiska, których

wolałby nigdy nie słyszeć. Ludzie, których wolałby nigdy nie spotkać. Nie dlatego, że ich nienawidził. Przeciwnie. Bał się, że może ich zdradzić. Bracia Roufus. Spyros. Inspektor Ritsos. I ten, którego poznał jako lekarza.

— O nich wszystkich nam teraz opowiesz — powiedział Zakras.

— Tak — kiwnął głową Sefaris. — Opowiesz nam o wszystkim.

— Podasz nam nazwiska pozostałych członków komórki konspiracyjnej.

— Którzy są zagorzałymi komunistami.

— Tak — zgodził się Zakras. — Każdy z nich to śmierzący komunista.

— Podpiszesz zeznanie.

— A wtedy wytoczymy ci proces.

Constantinowi przypomniały się rozprawy reżyserowane przez huntę. Pamiętał proces generała Iordanisa i jeszcze trzydziestu innych, m|Cdy innymi prawników. Jego przyjaciół. Wszystkich uznano winnymi działalności wywrotowej. Przedstawiono jako wrogów państwa. Ludzi takich, jak profesor Vouros czy doktor Stavrou. Tych spokojnych obywateli oskarżono i uznano winnymi posiadania materiałów wybu-nowych. Jeżeli kiedykolwiek Stavrou miał do czynienia z materiałami Duchowymi, to chyba tylko wtedy, gdy zapalał swoją fajkę. Wszyscy

—«„jaH) tu iijua LJIAU WLtu, gu apaiai awujtj lajy. ??oz.a
te 1.S1?Je(nak przyznali. Na procesie stwierdzili wprawdzie, że zeznania rozyli pod presją tortur,
ale oświadczeń tych nie uwzględnił trybunał. Postępowanie sądowe będzie typowe — powiedział
Zakras. Przygotowaliśmy długą listę pytań. Na które musisz odpowiedzieć. Zgodnie z prawdą.
247

— To bardzo ważne — pokiwał głową Zakras. — Falszywe odpowiedzi to tylko strata czasu.

— Bardzo nas denerwują.

— Musisz więc odpowiadać zgodnie z prawdą.

— Brak odpowiedzi traktujemy jako przyznanie się do winy.

— I na próżno tracimy czas.

— To nas bardziej denerwuje.

Cała ta gadanina była czystą grą. Podłą, sadystyczną grą, którą przerwało wejście Zagory w
towarzystwie jeszcze jednego sierżanta, olbrzyma jak jego koledzy, którzy nieustannie przechadzali
się w tę i we w tę, wymachując pałkami jakby dla rozgrzewki przed czekającym ich treningiem.

— No i co? — Zagora spojrzał na Zakrasa. — Odczytaliście mu akt oskarżenia?

Zakras wzruszył ramionami i wstał. — Jest tyle zarzutów, że przedstawiliśmy je tylko z grubsza.

— Przyznał się?

— Nie odezwał się ni słowem — wtrącił Sefaris, podnosząc ze stołu papiery i ruszając do wyjścia.

— To się zmieni! — odparł z błyszczącymi oczyma Zagora spoglądając na Constantina. — Dajcie
nam kilka godzin, a odpowie na wszystkie wasze pytania.

Constantin podniósł się niezgrabnie z łóżka. Mając ręce skute kajdankami na plecach, czuł się jak
kaleka. Był całkowicie bezbronny. Słyszał wiele o Zagorze. O nim i jego brutalności krążyło tyle
opowieści, co o kwaterze głównej ESA, z jej specjalnymi salami przesłuchań, w których włączano
silniki, by zagłuszyć krzyki niewinnych. Czy tam go teraz zaprowadzą? Do sali tortur? Czuł
narastający strach. I desperację. „Boże, daj mi siłę to przetrwać!”

— Idę na śniadanie — powiedział niedbale Sefaris, podchodząc do drzwi. — O której mamy się
stawić?

— Potrzebne nam będzie kilka godzin — powiedział Zagora. — Przyjdźcie tu na dwunastą.

Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się otwarte drzwi. Były obite stalową płytą
pomalowaną na zielonoszary kolor. Farba odprysnęła na krawędziach. Zakras już wyszedł, a Sefaris
stał jeszcze w progu, patrząc na Zagorę. Zagora odwrócił do niego głowę. Na ułamek sekundy
Constantin przestał być obiektem ich zainteresowania-I w tej właśnie chwili podjął decyzję. Miał to
być nie tyle protest, co wyraz buntu. Constantin opuścił głowę i rzucił się do drzwi. Zaskoczony
Zagora odwrócił się i zrobił krok naprzód, by zablokować

248

mu drogę. Constantin pochylił ciało jak startujący sprinter i uderzył głową Zagorę w sam środek
twarzy. Był to potworny cios, w którym skumulował się ciężar ciała i siła Constantina. Constantin
odczuł, że nos Zagory łamie się pod uderzeniem. Usłyszał tępy trzask gruchotanej kości i wrzask
majora. Siła odbicia wstrząsnęła Constantinem, zachwiał się próbując utrzymać równowagę. W tej
sekundzie stojący przy drzwiach sierżant zamachnął się i wymierzył mu morderczy cios. Pałka
zatoczyła szeroki łuk i spadła z potworną siłą na głowę Constantina. Pałka drugiego sierżanta trafiła
go od tyłu, miażdżąc skute kajdankami nadgarstki i przyprowadzając o palący ból w plecach.

Constantin zatoczył się i upadł. Miał wrażenie, że spadają na niego uderzenia tysiąca pałek i
kopniaków. Lawina ciosów nie ustawała. Po chwili pogrążył się w mroku.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał znów na łóżku. Lewą rękę miał przykutą kajdankami do bocznej
krawędzi, prawą do górnej poręczy. Leżał na plecach, z rozkrzyżowanymi nogami i rękami. Ostre
zakończenia sprężyn wbijały się w plecy, a dojmujący ból przenikał całe ciało. Constantin
uświadomił sobie, że lewą nogę również przywiązali mu do łóżka. Powieki miał opuchnięte i lepkie
od krwi. Zmrużył oczy, starając się coś dojrzeć. Dopiero po chwili udało mu się rozróżnić zamazane
sylwetki stojących nad nim oprawców. Jeden z cieni pochylił się i kawałkiem sznura usiłował

przywiązać do łóżka prawą nogę Constantina. Zaciskając zęby Constantin przyciągnął błyskawicznie prawe kolano jak najbliższej klatki piersiowej i kopnął sierżanta z całej siły, na jaką było go stać. Obcasem buta wyrznął go prosto w usta. Rycząc z bólu żołdak wypuścił sznur i zakrył rękami twarz. Drugi cień wyrósł nagle w polu widzenia Constantina i znów zaczął go okładać pałką. Wydawało się, że ciosy, które na niego spadają, łamią mu doszczętnie klatkę piersiową. Poprzez szum w uszach słyszał krzyki oprawców: — Ty gadzie! Wszystkie kości ci policzymy! — Poczul, że zrywają mu buty i przywiązują prawą nogę do łóżka. Teraz bili go pałką w stopy. Raz, drugi... a potem znów. — A masz, draniu! A masz skurwysynu! A masz! A masz! Constantin nigdy nie czuł aż takiego bólu. To było tak, jakby wbijali mu poprzez stopy rozżarzone igły wprost do mózgu. Gorsze niż wstrząsy elektryczne przykładane do uszu, żołądka, jelit. Zaczął się modlić: „Boże! Pozwól mi stracić przytomność! Proszę! Pozwól mi na 1°! Nie daj, bym krzyczał!” Lecz jego błaganie nie zostało wysłuchane. Otworzył usta, rozciągnął szeroko szczęki i krzyknął. Krzyczał i krzy-CzaL unosząc łukiem w górę wyprężone ciało.

249

Potem stała się rzecz niewyobrażalna. Zrobili coś jeszcze gorszego. Jeden z sierżantów zaczął okładać pięściami twarz Constantina. Uderzał go z regularną systematycznością. W pewnej chwili przestał, przyłożył otwartą dłoń z rozczapierzonymi palcami do jego twarzy i zacisnął ją na nosie i ustach. Constantin nie mógł oddychać. Dusili go! „Boże, nie wytrzymam tego! Wielki Boże, pozwól mi odetchnąć!” Nie przestawali bić go w stopy. „A masz, łobuzie! A masz! A masz!” Dusił się. „Boże, powietrza!” Siły zaczęły go opuszczać. Pochylił głowę na bok, udało mu się nieco rozewrzeć szczęki. Powoli, coraz szerzej otwierał usta. Szerzej. Jeszcze szerzej. I wtedy ugryzł. Zatopił zęby w paluchu oprawcy, zacisnął je tak mocno, jak tylko mógł. Paluch trzasnął. Dobiegł do niego wrzask bólu. Dusiciel odskoczył z krwawiącą łapą i i złamanym na pół palcem. Teraz już wpadli w furję. Wrzeszcząc zaatakowali go wszyscy trzej naraz. Jeden tłukł jego głową o ramę łóżka, drugi miażdżył mu kolana, trzeci na oślep walił pałką w stopy. — A masz, skurwysynu! A masz! A masz! — Stalowe sprężyny rozrywały mu ciało. „Boże, pozwól mi stracić przytomność! Proszę! Pozwól mi zemdleć!”

Wreszcie usłyszał szum w uszach... A potem zapadła ciemność i cisza. Nic. Pustka. Koszmar rozpoczął się na nowo, gdy odzyskał świadomość. Kiedy rozchylił zlepię powieki, czekali już na to. Zagora. Dwaj inspektorzy. Trzej sierżanci. Coś jednak się zmieniło. Oni wyglądali inaczej. Constantin usiłował się skoncentrować. Jego zamroczony umysł reagował powoli. Każdy ruch oczu sprawiał mu ból. Wszystko go bolało. Czuł ból oddychając. Szumiało mu w uszach. Usilnie starał się skupić na trzech pochylonych nad łóżkiem cieniach. I nagle stała się rzecz niewiarygodna. Zachichotał. Nie mógł się powstrzymać. Pomimo że samo oddychanie sprawiało mu ból, a co mówić o śmiechu. Żebra bolały tak, jakby je ktoś ścisnął w imadle. Zagora miał nos w gipsie! Przytrzymał go wąski bandaż owinięty wokół głowy, przedzielając mu czaszkę na dwie części. Z górnej części patrzyły na Constantina czarne złe oczy, w dolnej otwierały się wykrzywione wściekłością usta. Obok niego stał facet ze spuchniętymi jak balony wargami. Była jeszcze jedna porcja gipsu: na wskazującym paluchu drugiego sierżanta. Constantinowi wydało się to wszystko niebywale zabawne. Za najśmieszniejsze uznał to, że przywiązany za ręce i nogi mógł dokonać takiego spustoszenia. Mimo obrzękłych, zniekształconych warg zaniósł się histerycznym śmiechem.

Słyszając ten wyzywający chichot, Zagora stracił panowanie nad sobą. Nikt dotąd nie odważył się śmiać z Zagory. Wyrwawszy

250

sierżantowi pałkę, pochylił się nad łóżkiem i wrzasnął: — Już ja cię urządzę! — Odsunął się trochę, by nabrać rozmachu, uniósł pałkę nad głowę i z całej siły opuścił w dół. Źle wymierzył. Cios trafił Constantina w usta, wybił mu szczękę i zęby. Drugie uderzenie trafiło w to samo miejsce. Dopiero trzecie zmiażdżyło nos... Ale wtedy Constantin już stracił przytomność.

I tak się zaczęło przesłuchiwanie Constantina Peponisa. Constantin stracił poczucie czasu. Kiedy był przytomny, każda minuta przedłużała się w godzinę, każda godzina ciągnęła się w nieskończoność. „Boże, pozwól mi stracić przytomność! Już dłużej tego nie wytrzymam! Proszę, pozwól mi zemdleć!”

Łamali mu kolejno wszystkie palce. To był pomysł sierżanta, któremu Constantin zmiażdżył palec w zębach. Oko za oko, ząb za ząb! Dziesięć twoich palców za mój jeden, ty skurwysynie!

Lekarz, który na początku badał Constantina, przychodził co dzień. A może dwa razy dziennie?

Może trzy? Constantin zastanawiał się, czy przychodzi po to, by sprawdzić, czy jeszcze żyje.

Podczas tych wizyt obmywał go z krwi, nastawiał kości, wyrywał chwiejące się zęby... A wszystko bez znieczulenia.

Przeniesiono go do specjalnej separatki, ale nie wiedział o tym — był nieprzytomny podczas przeprowadzki.

Ciągle słyszał te same pytania: — Kto ci pomógł zabić żołnierzy? Skąd wzięliście furgonetkę? Kto był z tobą w samochodzie? Kto załatwił broń? Kto wam ją dostarczył?

Wiedział, że powie im o tym. Już wkrótce. Ale jeszcze nie teraz. Elias i Melinda muszą mieć czas,

by zdążyć uciec w góry. Żeby dotrzeć do wuja Mikisa. Wuj Mikis ich ukryje. Może już są u niego?

Ile czasu upłynęło od chwili, gdy po niego przyszedli? Dwa dni? Trzy? Tydzień? Miesiąc? Rok?

Jedyną liczącą się dla niego jednostką czasu były krótkie okresy świadomości. Każda niosła ból.

Przeszywający, nieznośny ból. Za każdym razem obiecywał Bogu, że w następnym przesłuchaniu

przyzna, jeśli raz jeszcze pozwoli mu zemdleć. Za każdym razem łamał dane słowo i prosił Boga od nowa o to samo: „Powiem im później, słodki Jezu, jeszcze tylko ten jeden raz daj mi stracić przytomność!”

I odpływał w ciemny świat, do którego Zagora nie miał dostępu. , Naśmiewanie się z nosa Zagory

nauczyło go jednej rzeczy. Jeśli sprowokować Zagorę, tracił on kontrolę nad sobą. Opanowany

Zagora był bardziej groźny. Opanowany Zagora potrafił odmierzać tortury. Co do minuty wiedział,

jak długo człowiek powieszony za ręce nie tfaci przytomności. — Odciąć go — rzucił pogardliwie, spoglądając

251

na zegarek. I Constantin spadał jak worek. Ręce, stawy i barki miał naciągnięte. Każde ścięgnię,

każdy miesiąc były źródłem nieznośnego bólu. Opanowany Zagora potrafił przypalać papierosem

świeżą ranę, sprawiało mu to przyjemność, bo uśmiechał się przy tym. Mógł kazać go dusić lub

wcisnąć w gardło koc aż do utraty tchu. Ale rozwścieczony Zagora tracił panowanie nad sobą i bił

na tyle mocno, że Constantin zapadł w niebyt. A utrata przytomności była dla Constantina czasem

odpoczynku. Nawet czymś więcej. Utrata przytomności pozwalała Constantinowi przetrwać

następną rundę. Jeśli przetrwa następną, to znaczy, przetrwa jeszcze jedną...

Tak więc Constantin sam torturował swojego dręczyciela. Wyzywał go od najgorszych, wyśmiewał

się z jego rzekomej męskości. Używał przy tym wszystkich najordynarniejszych słów, jakie tylko

wymyślono. Płatał mu różne psikusy. Śpiewał sprosne piosenki. Aż niebo przychodziło mu z

pomocą... i tonął w błogosławionej nieświadomości.

— Mamy twoją żonę — z sadystyczną rozkoszą oznajmił mu Zagora. Nie od razu dotarło to do

niego. Umysł Constantina błądził gdzieś

w innych rejestrach, chcąc uciec od zmasakrowanego ciała.

— Aresztowaliśmy twoją cudowną Melinę.

Serce przestało mu bić. Nie potrafił otworzyć oczu z wyczerpania, ale nawet był z tego zadowolony,

ponieważ Zagora nie miał możliwości cieszyć się wrażeniem, jakie te słowa na nim wywarły.

— Internowaliśmy ją. Jest w koszarach Averoff.

Jęk wyrwał się z obrzękłych ust Constantina, zanim zdążył je zacisnąć. Serce biło mu teraz szybko.

Ta chwila mogła się okazać walką jego życia. Albo śmierci. Myślał raczej o tym drugim. Nie miał

nic przeciw śmierci. Śmierć jest jego sprzymierzeńcem. Śmierć jest jego kartą atutową i gotów był

nią zagrać. Śmierć pozbawi Zagorę przyjemności zorganizowania pokazowego procesu, w którym

mógłby wykorzystać wymuszone zeznania.

— Mamy Melinę.

Czyżby to była prawda? Czy to możliwe? Po tak długim czasie? He właściwie czasu upłynęło? Może to tylko błąd? Gdyby to była prawda, wszystko się zmieni. Wiedział, że musi wytrwać. Powoli otworzył oczy i ujrzał przed sobą zniechęconą dziobatą twarz. Dokładnie wiedział, gdzie spojrzeć. Słyszał, gdy Zagora wchodzi do celi, gdy rozmawia ze strażnikiem. Drgnął na dźwięk przystawianego do łóżka krzesła. Ale oczekiwane uderzenie nie nastąpiło. Zamiast tego poczuł na twarzy oddech Zagory, kiedy ten pochylał się nad łóżkiem.

252

Ich wzrok się spotkał. Znowu zaczęła się licytacja siły woli. Zagora nie nosił już opatrunku na twarzy. Teraz tylko wściekle czerwona szrama była świadectwem tego jednego ciosu, jaki dostał w nierównej walce.

Wpatrywanie się w twarz Zagory wymagało od Constantina pełnej mobilizacji sił życiowych. Walczył z nudnościami i zawrotem głowy, -których przyczyną było duże osłabienie. Od początku odmawiał przyjmowania jedzenia. Zagora, oczywiście, nie pozwoli mu się zagłodzić. — Musimy dbać, żebyś był silny — oświadczył. Wetknęli mu przemocą rurkę do gardła i karmili na siłę. Sześć albo siedem razy, według obliczeń Constantina. Może zresztą osiem. Gubił się w tych rachunkach. Pierwszym razem odbyło się to tak brutalnie, iż był pewien, że następnego karmienia nie przetrzyma. Zgodził się więc sam jeść. Ale nie jadł. Kiedy uwolnili mu ręce, rzucił cynowym talerzem w sierżanta. Od tamtej pory była tylko rurka. Za każdym razem. Najgorsze okazały się jednak tortury seksualne. Na początku nie wiedział, co zamierzają zrobić. Rozebrano go do naga i przywiązano do łóżka. Nie rozumiał, po co to wszystko. Sierżant jedną ręką ujął Constantina za jądra, a drugą masował mu członek, doprowadzając do erekcji. Wtedy wepchnęli mu w prącie żelazną igłę, której koniec podgrzali zapalniczką...

— Połowa koszar już ją rznąła — powiedział Zagora. — Będzie naszą koszarową dziwką. Westchnienie ulgi, tak lekkie, że powietrze nad ustami Constantina prawie nie drgnęło, wydobyło się z jego piersi. Constantin zamknął oczy. Zagora kłamał. Gdyby aresztowali Melinę, z pewnością by ją tutaj przywlekli, tu, do tej celi. Torturowaliby ją w jego obecności, wiedząc, jakie wrażenie to na nim wywrze.

— Rznąłem twoją żonę, Peponis. I wiesz co? Prosiła mnie o więcej. Jego śmiech brzmiał jak przedśmiertny charkot. Constantin odezwał

SI? chrapliwym szeptem: — Przecież ty jesteś pedał, Zagora. Nie wiedziałbyś, co z babą robić. Twarz Zagory pociemniała. Otwartą dłonią uderzył Constantina w twarz. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Krew zaczęła Constantinowi ciec z nosa, uszu i ust.

Majorze Zagora! . Ciosy ustały. Zagora odsunął się od łóżka i spojrzał przez ramię za siebie. W drzwiach stał jakiś człowiek w mundurze. Zagora podszedł a° niego.

, Constantin czuł, że kręci mu się w głowie. Odkaszlnął, by usunąć ew z krtani i wypluć na pierś. Przestało mu szumieć w uszach. Głos

253

dochodzący od drzwi wydał mu się znajomy. Obracając się na łózzję spróbował przyjrzeć się przybyłemu, ale zasłaniał go Zagora. M czyzna ściszył głos. Zagora też mówił cicho, lecz ton jego głosu łyy) jakby proszący. Constantin natężył słuch. — Czterdzieści osiem godzin — mówił Zagora. — Proszę mi dać jeszcze czterdzieści osiem godzin.

Przybysz niezrozumiale coś cicho odpowiedział.

Dyskutowali. Nie kłócili się, lecz dyskutowali, a to już samo w sobie było dziwne. Zagora nie dyskutuje. On krzyczy. Wyd.aje rozkazy. Wygłasza tyrady i piekła się. Ale do tego człowieka zwracał się tonem pełnym szacunku.

Desperackim wysiłkiem Constantinowi udało się dojrzeć przekrwionymi oczyma blask złotego

otoku na czapce przybysza. Odwrócił się właśnie i jego profil mignął Constantinowi przed oczami. Szpiczasty nos. Ostre rysy. Mężczyzna odwrócił się tyłem. Ale Constantin już wiedział. Spotkali się wcześniej. Widział go u siebie w tawernie późną nocą dawno temu. Był to człowiek, który przedstawił się jako lekarz.

1978

Drobne kropelki potu wystąpiły Constantinowi na czoło. Głos zniżył do szeptu. Kierował słowa nie tyle do Toma, co raczej do swoich zniekształconych dłoni, które zaciskał i rozwierał, jak poruszane sznurkami kukielki Tom przykucnął przed kominkiem i włożył do ognia następne polano. Słuchając przerażającej opowieści Constantina, przestał na chwilę myśleć o wszystkim innym. Zapomniał na ten czas o projektorze, o znienawidzonym filmie, nawet o wzniesionej niedawno szubienicy. Alec powrócił z kuchni, niosąc na tacy tak duży dzbanek kawy, że już niewiele miejsca pozostało na filiżanki i spodki.

Constantin szepnął: — Niewiarygodnie odważny był ten lekarz. — Jest bohaterem — odpowiedział Tom. — Tak jak ty. Alec postawił tacę na stoliku i nalał do filiżanek kawy. Z zewnątrz dochodziły odgłosy wiatru, którego podmuchy omiatały taras i odbijały się od ścian willi. Tom wstał i usiadł z powrotem na krześle. Chciał powiedzieć coś Constantinowi, co dodałoby mu otuchy, podniosło na duchu, ale jeden rzut oka na jego twarz ostudził w nim te zapęły. wziął więc w milczeniu od Aleka filiżankę kawy, utkwiał wzrok napoju i myślami powrócił do czarnej przeszłości...

Grecja, Ateny, Pireus były przerywnikami w życiu Toma. Miłymi przerywnikami, ponieważ junta nie przeszkadzała mu w tych wizytach, teny i Pireus były dla niego bramą wjazdową na Kariakos, furtką do

17 - Zemsta 257

weekendów w słońcu w towarzystwie Stanton. Zostali dob przyjaciółmi i jeśli nawet ich przyjaźń zrodziła się pod wpływem sukcesów Stanton Industries, Tom skłonny był to zaksięgować raczej po stronie „ma” niż „winien”. Uważał za oczywiste, że oczekiwano po nim dobrej roboty. Maurice i Gunther Haller nauczyli się wierzyć jego ocenom, a on starał się nie zawieść ich zaufania. Prawda była taka, że i on wiele się od nich nauczył, szczególnie od Maurice'a, który ciągle zadziwiał go szeroką znajomością rzeczy. Jeśli przyjąć, że Tom był ekspertem od biznesu, to Maurice był ekspertem od spraw życiowych. Tak więc lądowanie na lotnisku Hellikon zawsze sprawiało mu przyjemność... Jazdy do Pireusu też nie uważał za uciążliwą, mając przed sobą perspektywę obiadu w towarzystwie Melindy i Constantina.

Tamtego dnia też czuł się podobnie. Wiózł dla nich prezenty, perfumy dla Melindy i książkę dla jej męża.

— Co słysząc u wielkiego szefa? — zapytał Gregga, wsiadając do jeepa.

Pilot wzruszył ramionami. — Nie widziałem go od czasu pana ostatniej wizyty. Pan Stanton nie ruszał się od miesiąca z Kariakos.

— Aha — kiwnął głową Tom. Rozglądał się wkoło, ciesząc oczy widokiem za szybą. Ostatnio był w Stanach. Trzy tygodnie ciągłych rozjazdów i załatwiania interesów w towarzystwie Desmond Edwar-dsa. Udana wyprawa. Emocjonująca, lecz męcząca. Te dwa dni na Kariakos pomogą mu naładować akumulatory.

Drogą maszerowała kolumna żołnierzy, prażąc się w południowym słońcu. Tom skrzywił się na ich widok. — Z każdym miesiącem ten kraj coraz bardziej przypomina obóz wojskowy.

— Niestety — kiwnął głową Gregg. Wymijając kolumnę zredukował bieg niemal do zera.

Zjechali z nadbrzeżnej arterii i przeciskali się przez znajomy gąszcz uliczek wokół kościoła i dalej pod górę. — Dziś może mi to zająć trochę więcej czasu — powiedział Gregg. — Muszę sprawdzić filtr oleju. Czy nic się nie stanie, jeśli wrócę za dwie godziny?

— W porządku. Wypiję w takim razie cały dzban retsyny, a w drodze na Kariakos utnę sobie drzemkę.

— Niezły pomysł — roześmiał się Gregg. — Na „Helenie” nie będzie pan miał tak dobrej obsługi. Kiedy jeep się zatrzymał, Tom chwycił torbę z tylnego siedzenia i wyskoczył z auta. — No to na razie!

Podnosząc rękę w geście pożegnania, Gregg zwolnił sprzęga i ruszył z powrotem.

— Jakbym wracał do domu — mruknął do siebie Tom rozchylaj0

258

zasłonę z koralików. Czując już kuchenne zapachy, spodziewał się ujrzeć za kontuarem Constantina. Nie zobaczywszy go ani tam, ani wśród siedzących przy stolikach mężczyzn, zdziwił się. Znał tych ludzi, znał ich twarze z poprzednich wizyt. Ucieszyli się na jego widok, rześmiechnął się do nich. Pomyślał, że zobaczy Constantina razem z żoną w kuchni, lecz kiedy zaglądnął przez arkadowe przejście do środka, spotkało go jeszcze jedno rozczarowanie. Stojąca przy palenisku kobieta nie była Melindą. Nie znał jej. Nagle usłyszał z balkonu głos: „Panie Lambert!” Kiedy się odwrócił, ojciec Melindy śpieszył mu na spotkanie. Na balkonie Tom dostrzegł matkę Melindy. Płakała. Jakaś młoda kobieta usiłowała ją pocieszyć. Widząc Toma matka Melindy zerwała się z miejsca i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami. Łkając rzuciła się mu na szyję. Zdumienie Toma przerodziło się w lęk. Matka Melindy chwyciła go mocno za rękę i pociągnęła z sobą na balkon. Jej mąż szedł obok. I on, i ona zaczęli wylewać żale w obcym dla Toma języku, którego nie rozumiał, odczuł jednak ich wielką rozpacz. Stara niemal rwała włosy z głowy. Gdy dotarli na balkon, ojciec Melindy podniesionym głosem rzekł coś do młodej kobiety, szeroko gestykulując i wskazując Toma. Dziewczyna kiwała głową, a dłońmi wykonywała gesty, które miały go uspokoić. Usiłowała coś powiedzieć, lecz nie dawali jej dojść do słowa, więc upłynęło sporo czasu, nim zwróciła się do Toma: — Pan jest przyjacielem rodziny, prawda? — zapytała po angielsku.

— Tak, oczywiście. Co się stało?

— Niech pan najpierw usiądzie. Mam dla pana złe wiadomości.

Tomowi nie mieściło się w głowie to, co usłyszał. — Morderstwo? — potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Aresztowali Constantina za morderstwo? Na litość boską! To niemożliwe. W milczeniu słuchał dalszego ciągu relacji. Gdy dziewczyna skończyła, poprosił o mocnego drinka. Ojciec Melindy nie zdziwił się, że Tom chce się napić whisky.

Tom spojrzał na nieznajomą. — Kiedy to się stało?

— Przed tygodniem. Jęknął. — Gdzie jest Melinda?

Dziewczyna zawahała się, a potem odparła starannie dobierając słowa: — Nie ma jej tutaj.

Obawiają się, że ona też może zostać aresztowana.

Melinda? Aresztowana? Za co? Czy wszyscy tu oszaleli? Kiedy nieznajoma popatrzyła na niego, dostrzegł jej ciemne oczy. •ernnobrązowe, prawie czarne w oprawie długich rzęs. Dopiero teraz orzeczył jej białe zęby, opaloną twarz i orzechowe włosy. Do bluzki

259

przypięła emaliowaną odznakę Czerwonego Krzyża. Mówiła z lekkim francuskim akcentem.

— Niektórzy przyznają się do wszystkiego, jeśli ich żonie grozi niebezpieczeństwo.

— Odważyliby się? W przypadku Constantina to by na pewno odniosło skutek. Przyznałby się do wszystkiego...

Stary powrócił z dołu, niosąc szklaneczkę whisky. Tom pociągnął łyk, zakrztusił się i dołał wody.

Dziewczyna powiedziała, że jest delegatką Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża.

Niewiele to Tomowi mówiło; nie słuchał uważnie, część jego umysłu pochłonięta była tą tragiczną wiadomością. Nieznajoma mówiła: — Usiłuję to wytłumaczyć. Niewiele możemy tu zrobić.

Morderstwo jest przestępstwem kryminalnym, a my nie mamy zezwolenia na zajmowanie się takimi sprawami... — Przerwała, bo starzec podsunął Tomowi zmiętą gazetę.

Na pierwszej stronie widniała fotografia przedstawiająca wynędzniałą twarz Constantina. — Piszą, że jest komunistą — powiedziała przedstawicielka Czerwonego Krzyża.

Tom nie uwierzył w to bardziej niż w aresztowanie Constantina. Chciał coś powiedzieć, lecz w tym

momencie starzec znów zalał go potokiem słów. Jego żona, mocno ściskając w rękach chusteczkę, drżała i błagalnie patrzyła na Toma podkrążonymi oczyma.

Dziewczyna powiedziała: — Chcą pana zaprowadzić do Melindy.

— Oczywiście — Tom kiwnął głową bez zastanowienia, nadal wpatrywał się w gazetę, usiłując to wszystko zrozumieć. — Chryste Panie! To okropne!

Delegatka dodała: — Oni już od dawna czekają na pana. Melinda ich tu codziennie przysyła.

Słyszając imię córki, starzec pokiwał głową i wstał od stołu. Chwycił Toma za rękę. Tom wiedział, że musi im pomóc. Chciał im pomóc. Zastanawiał się tylko, co może uczynić. Dać im pieniądze?

Oczywiście. Znaleźć dobrego prawnika. Maurice będzie znał najlepszych ateńskich adwokatów. Ale przecież to Constantin jest adwokatem!

Otrząsnąwszy się z szoku, Tom spróbował ustalić, jak może im pomóc. — Chwileczkę —

powiedział powstrzymując starca. — Dokąd idziemy? Czy to daleko? — Odwrócił się do dziewczyny i powiedział, że Gregg powinien tu wrócić po niego za dwie godziny i wte podrzuci ich do Melindy.

Kiedy nieznajoma to przetłumaczyła, rodzice Melindy, bard poruszeni, zaczęli mówić jedno przez drugie. Tom nie musiał rozumieć by wyczuć w ich głosie panikę. Byli przerażeni. Dziewczyna musi3
260

ich znów uspokajać przez dobre kilka minut. — Chcą, żeby pan tam zaraz poszedł — powiedziała z naciskiem. — Z kierowcą spotka się pan później.

Kiwnął głową na zgodę.

Matka Melindy wstała od stołu i zaczęła szybko schodzić po schodkach. Starzec niecierpliwie ciągnął go za rękę. Tom wahał się. — Chwileczkę. Czy będzie tam Elias? On mówi po angielsku.

Kiedy delegatka Czerwonego Krzyża przetłumaczyła jego pytanie, wyraz twarzy starca zmienił się. Spojrzał na żonę. Coś do niej krótko powiedział, wprowadzając ją tym w jeszcze większy popłoch.

— Więc jak? — zapytał Tom.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. — Mówią, że nic o Eliasie nie wiedzą. Może tam będzie, a może nie.

Tom westchnął. Nie znał greckiego, nie rozumiał rodziców Melindy. Nawet gdy dotrą do niej, Melinda nie zna angielskiego na tyle, by wyjaśnić mu wszystko. Spojrzawszy na dziewczynę, spytał: — Czy pani może z nami pójść? Bez pani pomocy nie zrozumieć, o co im chodzi. A może to być ważne.

Zawahała się. — Nie wolno mi... Nawet tu nie powinnam przychodzić. Czerwony Krzyż nie zajmuje się tą sprawą. Nie wolno nam w nic się mieszać.

— Bardzo panią proszę! Melinda z pewnością jest ledwie żywa ze strachu. Może potrafiłbym jej pomóc, ale nie zrozumieć, o co chodzi.

Dziewczyna chciała im pomóc, widział to po jej twarzy, lecz czegoś się obawiała. Spróbował raz jeszcze: — Bardzo proszę. To dobrzy ludzie, poczciwi...

— Sama nie wiem... Chciałabym pomóc, ale...

— To nie potrwa długo. Chodzi tylko o przetłumaczenie...

— Mnie nawet tu nie powinno być. Oficjalnie mnie tu nie ma. Dzisiaj mam wolny dzień...

— Proszę — powtórzył.

Długo się zastanawiała. Niezdecydowanie i wątpliwości odbijały się w jej czarnych oczach. W końcu nabrała powietrza. — Dobrze, ale Dedę tylko tłumaczyć. Nie mogę się w to angażować.

Musi pan Rozumieć moją sytuację.

— Dziękuję — westchnął z ulgą. — Bardzo dziękuję.

Starzec zaczął oponować wskazując na delegatkę. Bez wątpienia ornagał się, by została w tawernie.

Matka Melindy, wymachując Ckarni i potrząsając głową, w pełni go popierała.

Ale Tom się uparł. — Jeśli chcą, bym ja tam poszedł, musi pani 0 2 nami. — Wziął nieznajomą za ramię i lekko skierował do

schodów, wskazując na starca. — Niech mu pani wyjaśni, że może zaistnieć konieczność podjęcia szybkich decyzji, a nie podejmę ich jeśli nie będę wiedział, o co chodzi.

Dziewczyna powtórzyła jego słowa, starając się przekrzyknąć starych, ale w końcu stwierdziła: — Nie chcę, bym z wami szła.

— Musi pani — odpowiedział Tom, patrząc wściekle na starca. Ojciec Melindy wytrzymał spojrzenie Toma, a potem odwrócił

głowę i niechętnie ruszył do drzwi. Jego żona podążyła za nim, nadal coś mrużąc i wymachując rękami.

Odwracając się do nieznamym Tom powiedział: — Przepraszam. Nie miałem prawa nalegać. My się przecież nawet nie znamy.

— Kirsten. Kirsten Moutier.

— Tom Lambert. — Podali sobie ręce. — I dziękuję. Naprawdę jestem bardzo wdzięczny.

W odpowiedzi uśmiechnęła się blado i pozwoliła się poprowadzić do zasłony z koralików.

Trzech mężczyzn, siedzących przy stoliku obok kuchni, przyglądało się im z uwagą. Jeden z nich schował za kontuarem torbę Toma, by ją tam przechować. Tom kiwnął w podziękowanie głową i uśmiechnął się smętnie. Widok torby przypominał mu o prezencie, który miał dla Melindy. Jakież to w tej chwili nieistotne.

— Jak się czuje Melinda? Widziałyście się od czasu, gdy...

— Nie. To byłoby bardzo trudne. Oficjalnie nic tu nie możemy pomóc. Powiedziano mi, żeby się trzymać z dala od tej sprawy, ale gromady przyjaciół Constantina codziennie nachodzą nasze biuro. Przyszłam powiedzieć Melindzie, by ich powstrzymała. To nic nie da — Potrząsnęła ponuro głową.

— Żebym choć wiedziała, jak można...

Dało się wyczuć, że mówi szczerze. Tom zaczął ją lubić.

Kiedy wyszli na zewnątrz, oślepiło ich ostre światło. Rodzice Melindy, którzy byli już dziesięć kroków przed nimi, skreśli w lewo.

Przyśpieszając kroku, by ich dogonić, Tom rzekł: — Wyglądają na mocno wystraszonych.

Nim dokończył zdanie, już zrozumiał powód. Z drzwi naprzeciw wynurzyło się dwóch policjantów. Obserwowali tawernę. Chłód przeniknął Toma i Kirsten, gdy poczuli na sobie ich badawcze spojrzenie. Zerknąwszy na Kirsten, Tom zauważył, że twarz jej tężeje z napięciem. Szepnęła: — Jeśli pójdą za nami, ja się wycofam.

— Dlaczego? Przecież nie robimy nic złego.

— Nie rozumiesz! MKCK jest pod stałą obserwacją. Jun|a skorzysta z pierwszej okazji, by nas stąd wyrzucić... — Przerwa*

262

widząc, że rodzice Melindy zatrzymali się przed jakimiś drzwiami, które zaraz się otworzyły.

Starzec wszedł do środka i dał im znak, by się pośpieszyli. Wchodząc w drzwi, Tom spojrzał za siebie. Dwaj policjanci ruszyli za nimi. Starzec wciągnął go do środka, a po nim Kirsten. Drzwi

zatrzasnęły się natychmiast. Jakaś nieznamym kobieta w średnim wieku wskazała im schody.

Stopnie prowadziły w dół. Matki Melindy nie było już widać, a jej mąż pędził zaraz za nią.

Obawiając się, że Kirsten może zacząć protestować, Tom chwycił ją za rękę. — Chodź! —

Prowadził ją w dół po schodach. Weszli do garażu, którego otwarte drzwi wychodziły na boczną

uliczkę. Ojciec Melindy minął już jezdnię i wchodził w otwarte drzwi domu po przeciwnej stronie.

Pośpieszyli za nim i weszli do środka. Drzwi zamknęły się zaraz za nimi. Przeszli jakimś pasażem i

zaraz wyszli innymi drzwiami. Idąc dalej, poruszali się w taki sam sposób: wchodzili jednymi, a

wychodzili zaraz następnymi drzwiami, które zamykali i otwierali ludzie o posępnych twarzach.

Ojciec Melindy pędził przed nimi. Matka w którymś momencie zniknęła. Tom zatracił poczucie

kierunku. Zawsze czuł się zagubiony w labiryncie wąskich uliczek Pireusu. Im głębiej się

zapuszczali w ten gąszcz, tym częściej Kirsten protestowała. Dwukrotnie się zatrzymała

odmawiając dalszego marszu i dwukrotnie musiał ją błagać, by szła dalej.

On też powziął wątpliwości. Może nie tyle co do odległości, ile raczej celu tej wyprawy. W co się pakują? Na twarzach ludzi, którzy otwierali im drzwi, można było wyczytać strach. Strach i coś

jeszcze. Strach i bunt. Byli to ludzie, którzy całe życie uciekali, lecz teraz postanowili stawić opór. Opór wobec czegoś?

— No, nie! — jęknęła Kirsten, kiedy korytarz zaprowadził ich do jakiejś kuchni. — Ja tam nie wejdem.

Stół został przesunięty, a ojciec Melindy i jeszcze jakiś człowiek rolowali dywan, odsłaniając sekretne wejście w podłozie. Mężczyzna chwycił za mosiężne kółko i stękając z wysiłku podniósł klapę, a potem odsunął się od otworu.

Ojciec Melindy powiedział coś do Kirsten.

— Co on mówił?

Kirsten wpatrywała się w otwór. — Melinda jest tam na dole. Już od tygodnia.

. Ojciec Melindy zszedł pierwszy. Zstępował po stopniach tyłem, y to była drabina. Za nim podążył Tom, zachęcając wzrokiem Kirsten, która w końcu zdecydowała się zejść.

263

Piwnica była oświetlona. Niezbyt jasno, ale była. Z sufitu zwisały, dwie nagie żarówki, które strumieniem żółtego światła rozpraszały szary półmrok. Zstępując z ostatniego stopnia Tom dostrzegł Melindę Siedziała w kącie na łóżku, cała w czerni niczym wdowa. Obok niej znajdował się stolik z resztkami posiłku; filiżanki i spodki zsunięte były na bok, a na wpół opróżniona butelka wina sąsiadowała z kiśćmi winogron. Po drugiej stronie piwnicy, za otwartymi drzwiami, widać było ubikację i umywalkę.

Melinda zalana łzami, padła Tomowi w ramiona. Przytulił ją do siebie. Ciągłe powtarzał, jak mu przykro, żalując, że nie zna innych słów greckich. Nie wypuszczając go z objęć Melinda podprowadziła go do łóżka. Naraz jakieś gniewne głosy rozległy się z tyłu. Tom odwrócił się i dostrzegł mężczyzn ze strzelbami. Siedzieli przez cały czas na starej kanapie pod schodami, ale widok Kirsten postawił ich na nogi. Jeden z nich wymyślał starcowi, który również nie pozostał dłużny. Drugi chwycił Kirsten za rękę i ciągnął ją do stolika.

— Hola! — Tom ruszył w stronę Kirsten, kiedy z góry dobiegł go hałas. W otworze pojawiła się głowa Eliasa. Widząc Toma, Elias wydał okrzyk radości, zszedł zwinnie po drabinie i wbiegł do środka. — Bogu dzięki! — zawołał chwytając Toma za rękę. — Myśleliśmy, że już nigdy nie przyjedziesz.

Tom z ulgą potrząsnął jego dłonią. Elias nie wyglądał najlepiej, ale przynajmniej on potrafi powiedzieć mu, co się tu dzieje.

Ojciec Melindy nadal klócił się z uzbrojonymi mężczyznami. Obok stała zaniepokojona Kirsten. Melinda usiadła z powrotem na łóżku. Przyciągnęła do siebie Kirsten. Objęły się serdecznie. Elias dopiero teraz spostrzegł Kirsten. Zareagował ze złością:

— Co ona tu robi?

— Prosiłem ją, by tu z nami przyszła — odparł Tom. — Potrzebny był mi tłumacz.

— Nie! — jęknął Elias. — Nie, nie, nie! To bardzo niedobrze. Niedobrze dla nas i dla niej!

Czekając na wyjaśnienie, Tom wysunął krzesło i usiadł. Elias zdawał się bliski omdlenia. Uzbrojeni ludzie krzyczeli na ojca Melindy-co chwilę wskazując na Kirsten. Starzec też na nich krzyczał'- Dziewczyna z przerażeniem przyglądała się temu. Jeszcze przed chwi 3 jej opalona cera tryskała zdrowiem i młodością. Teraz w świetle nagich żarówek przybrała barwę popiołu. .

Tom uderzył pięścią w stół. — Na litość boską! — krzyki zmuszając Eliasa do milczenia. — O co w tym wszystkim chodzi?

264

Ucichli. Mężczyźni, wciąż gniewnie patrząc na starca, przestali na niego krzyczeć.

Tom wstał i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstował nimi wszystkich. Zaczął od Eliasa, potem podał mężczyznom ze strzelbami, a na końcu ojcu Melindy. Przyjęli bez słowa podziękia.

Jeden ze zbrojnych wrócił na kanapę. Drugi najpierw zawahał się, a potem odszedł i przycupnął na najniższym szczeblu drabiny, kładąc strzelbę na kolanach. Elias powiedział coś po grecku do ojca. Starzec nie odpowiedział.

— Mów po angielsku — skarcił go Tom, patrząc na niego z naganą. — A teraz powiedz mi...

— Nie powinieneś być jej tu przyprowadzać.

— Przyszła, by mi pomóc...

— I zobaczyła nas. Teraz będzie potrafiła nas zidentyfikować.

— I co z tego?

— Nic nie rozumiesz! — warknął Elias.

— Więc mi wyjaśnij — odparł ponuro Tom.

Chłopak zaciągnął się papierosem. Zniżywszy głos, by Melinda go nie słyszała, rzekł: — Constantin już długo nie pociągnie. Torturują go... — Odkaslnął, nie kończąc zdania. Ręce mu drżały, choć starał się to ukryć. Spojrzał smutno na Toma. — Wykończą go, jeśli go stamtąd nie wydostaniemy.

Przez ostatnie pół godziny Tom usiłował oswoić się z myślą

o aresztowaniu Constantina. A teraz jeszcze ta opowieść o torturach! Nie potrafił w to uwierzyć.

Przecież w dzisiejszych czasach już nikogo się nie torturuje. Tortury zniknęły wraz ze średniowieczem!

Elias siedział odwrócony plecami do Melindy. Mówił cicho, by jego słowa do niej nie docierały. Ale je usłyszała. Ból i strach odbiły się na jej twarzy. Elias aż dyszał z nienawiści.

Tom też odczuł lęk. Po raz pierwszy zaczął się bać. Żył życiem człowieka nowoczesnego.

Codziennie borykał się z wieloma problemami. Ale nie z takimi! Czuł, że przenika go strach

panujący w tej piwnicy. Wziął butelkę, nalał wina do jakiejś filiżanki i wypił je łapczywie. — Jesteś Pewny tego, co mówisz? — spytał po chwili. — Skąd o tym wiesz?

Elias wskazał głową siedzącego na drabinie człowieka. — Panos ma wśród nich znajomego. Kogoś, komu ufamy.

Ręce Toma zrobiły się mokre. W piwnicy było gorąco. Duszno. Ale nie dlatego się spocił. Patrzył na Kirsten. — Słyszałaś, co on mówi?

— Tak.

. Wstał i wysunął spod stołu jeszcze jedno krzesło. — Chodź tu i usiądź z nami.

265

Zmarszczywszy lekko czoło, Kirsten podeszła do stołu. St znajdował się w odległości kilku kroków od łóżka, na którym siedziała Melinda, nerwowo zaciskając dłonie. Z napięciem wpatrywała się w twarz Toma, starając się odgadnąć jego intencje, błagając go o pomoc Tom oderwał od niej wzrok, nie mając odwagi dłużej na nią patrzeć. Postanowił ją ignorować. Najpierw musi dowiedzieć się prawdy. Z wyszukaną uprzejmością podsunął Kirsten krzesło. Niemal otarł się twarzą o jej policzek, pytając cicho: — Wierzysz w to, co on mówi?

Podniosła na niego wzrok. — Potrzebny nam jest dowód. Niełatwo zdobyć dowód.

Elias syknął: — Nawet gdyby dostarczono jej ciało, też by pewnie nie uwierzyła. Z tym całym Czerwonym Krzyżem to tylko strata czasu!

Tom przyglądał się Kirsten. Wierzyła Eliasowi. Widział to w jej oczach. „Chryste Panie! A więc to prawda! Co teraz? W czym ja, u diabła, mogę im pomóc?” Spojrzał na siedzącego naprzeciw Eliasa. — Co mówiłeś o wydostaniu stamtąd Constantina?

Grymas wściekłości wykrzywił twarz chłopaka. — Oszalałeś?! Mówisz o tym w jej obecności?

— Skoro już tu jest.

— Ona nas może zidentyfikować!

— Dlaczego miałyby nas identyfikować?

— Bo może nie mieć innego wyboru. — Elias nagle wstał. Zanim Kirsten się spostrzegła, zerwał jej z bluzki odznakę Czerwonego Krzyża. — Myślisz, że to cię uratuje? — Cisnął odznakę na stół. — Nie bądź śmieszna! Rozszarpia cię w kawałki, byleby się dowiedzieć, co słyszałaś!

Tom zmartwiał. To on jest odpowiedzialny za sprowadzenie tej dziewczyny tutaj. Ona przecież nie chciała przyjść. To on nalegał. A teraz znalazła się w potrzasku... z jego powodu. Melinda coś krzyknęła. Była znów bliska załamania. Wstała, szybko podeszła do stołu i stanęła za Kirsten.

Patrzyła raz na Eliasa, raz na Toma. — Kirsten jest moją przyjaciółką — powiedziała ściskając dziewczynę za ramię. — Jest dobrą kobietą, Constantin też tak twierdzi.

Kirsten pochwyciła dłoń Melindy.

— Nie krzyczcie na nią! — zawołała.

Twarz Kirsten była blada. Choć uśmiechała się do Melindy, napięcie jej nie opuszczało. Uścisnęła Melindzie dłoń i puściła ją, odwracając się do Toma. Nieoczekiwanie sięgnęła po paczkę z papierosami. Wyjęła jednego i drżącą lekko dłonią chwyciła zapalniczkę-Zakrzuszyła się dymem.

Tom zdziwił się widząc jej zgorzkniały uśmiech-

— Ostrzegano mnie — zaczęła. — Jeszcze w Genewie. Wielekroc

266

mnie upominano. Nie daj się przeciągnąć na żadną stronę. Musisz pozostać bezstronna. To jedyny sposób. — Gorzki uśmiech na jej twarzy pogłębił się, dając świadectwo przegranej. — To jest moja pierwsza praca w terenie. Pierwsza i ostatnia. Już nie potrafię być bezstronna. Nie czuję się z tym źle, ale nie powinno to mieć wpływu na innych. Cała nasza misja jest zagrożona...

Zaimponowała Tomowi, zaczął ją podziwiać. Ta dziewczyna ma serce. Ma też odwagę. Bardziej niż o własne bezpieczeństwo martwi się o los placówki.

— I tak zresztą nie mogłabym tu już dłużej pozostać — wzruszyła ramionami. — Z dnia na dzień robi się coraz gorzej. Nie da się być człowiekiem i pozostać bezstronnym. W każdym razie ja tego nie potrafię. Myślałam nawet o rezygnacji... No, ale teraz... — Wykonała nieokreślony ruch ręką i spojrzała na Toma. Widząc jego zatroskanie, powiedziała: — Nie powinieneś się obwiniać. To ja złamałam zasady przychodząc do tawerny. Ja znalazłam się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. To nie twoja wina.

Chciał odpowiedzieć, ale ona ciągnęła: — W przyszłym tygodniu wyjeżdżam na urlop. — Odwróciła się i wzięła Melinę za rękę. Spojrzała jej w oczy.

Melinda już wiedziała, na co się zanoszą, i łyzy stanęły jej w oczach. — Już nie wrócisz — powiedziała zdławionym głosem. Kirsten wstała i objęła ją ramionami.

— Melindo — głos Kirsten drżał — nie udało mi się tu zrobić niczego dobrego. Nie potrafię ci pomóc. Chciałabym, ale nie wiem, w jaki sposób.

Ale Melinda już jej nie słuchała. Żyła dotąd nadzieją. Nadzieja pomagała jej przetrwać. Kirsten też była częścią jej nadziei. A teraz Kirsten ją opuszczała. Melinda wybuchnęła płaczem. Ramiona jej drżały, a łyzy same płynęły z oczu. Usiłowała zdławić szloch wciskając zaciśnięte pięści w usta, gryząc kostki. Tuląc Melinę mocno do siebie, Kirsten odprowadziła ją z powrotem do łóżka.

Tom obserwował tę scenę w bezsilnej złości. Czuł, że powinien coś przedsięwziąć, ale nie wiedział, co. Popatrzył na Eliasa. — Jak z tą Ucieczką? Czy są szanse, że się uda?

Chłopak kiwnął głową. — Wydaje się, że tak... jeśli ty nam pomożesz.

Wiedział, że im pomoże. Nie mógł ich przecież zostawić samym sobie. — Jak?

Elias nerwowo odchrząknął. — Constantin jest w bardzo złym stanie. Możliwe, że naszemu przyjacielowi, o którym ci wspomniałem, uda się wywieźć go do szpitala.

267

— Możliwe? Więc to nie jest pewne?

— Podejmiemy próbę dzisiejszego wieczoru. Skoro już przyjechałeś

— Dlaczego czekaliście z tym na mnie?

Melinda, choć nadal płakała, powoli dochodziła do siebie. Jej ojciec podszedł do Eliasa, by zobaczyć minę Toma. Elias zaczął mówić: — Gdyby udało się go skierować do szpitala, po drodze odbilibyśmy go z ambulansu. Czasu będzie mało... dwadzieścia minut może pół godziny. Potem rozpęta się piekło. Na każdym skrzyżowaniu ustawią blokady... — Zmarszczył czoło. — Constantin jest tak słaby, że nie możemy go dalej wywieźć. Długa jazda nie wchodzi w rachubę. — Zawahał się. Utkwił w Tomie zdesperowane spojrzenie. — Chcemy, żebyś go wziął na swój hydroplan.

Jeszcze kilka sekund wcześniej Tom był cały mokry. W piwnicy było gorąco. Teraz poczuł się tak, jakby strumień zimnego powietrza uderzył go w plecy, jeżąc włosy na karku.

Mężczyzna siedzący dotychczas na kanapie, podniósł się i podszedł do stołu. Zatrzymał się i obserwował Toma. Kiedy Tom spojrział na niego, wzruszył ramionami. — Mówię trochę po angielsku... Słabo, ale rozumiem.

Panos także wstał ze schodka i zbliżył się do stołu. Elias, ojciec i dwaj pozostali siedzieli i czekali na odpowiedź Toma.

Tom usiłował wszystko jakoś uporządkować. Zastanawiał się, jak Maurice zareaguje na coś takiego. „Helena” jest własnością Maurice’a. Maurice mieszka na ziemi greckiej. Nie wiadomo, czy Maurice zechce zostać w to wplątany. — Sam nie wiem — zaczął Tom. — Przede wszystkim nie mam pojęcia, jak daleko „Helena” może lecieć. Dokąd chcecie go zawieźć?

Dziwna rzecz, ale Elias uśmiechnął się słysząc to pytanie. — Tam gdzie zawsze — powiedział. — Na Kariakos.

Koszmary obraz stanął nagle Tomowi przed oczami. Zobaczył żołnierzy przedzierających się skalistą ścieżką w stronę willi. Czy pomagając jednemu narazi drugiego?

Elias pochylił się i z żarliwością przekonywał Toma: — Panos i jego ludzie już wcześniej korzystali z Kariakos. Ponad dwadzieścia osób tam się schowało.

Pierwszą reakcją Toma było niedowierzanie, ale zaraz przypomniał sobie osadę rybacką. Czy to możliwe? Wielokrotnie odwiedzał Kariakos, ale nigdy nie był w wiosce.

Nieoczekiwanie Kirsten podniosła się z łóżka i podeszła do stołu. — Mówicie o wyspie Kariakos? — W jej głosie słychać było zdumienie-

Nie zwrócili na nią uwagi. Elias patrzył tylko na Toma. — Jest cos

268

jeszcze — powiedział. — Pan Stanton dostarczał Constantinowi listy, fajne listy. Zawoził też odpowiedzi od Constantina do Londynu. Wiedziałem, że Constantin korzysta z usług kuriera, nie wiedziałem tylko, kto nim jest. Dopiero Melinda mi powiedziała.

Melinda wcisnęła się pomiędzy swojego ojca i Panosa, dopełniając pierścień postaci wokół stołu. Tom wpatrywał się w nich ze zdumieniem.

Widząc, że Tom im nie wierzy, Melinda uderzyła dłonią w stół. — To prawda. Constantin to robił. Mówię prawdę, przysięgam.

Patrząc na jej mokrą od łez twarz, Tom nie wierzył, że potrafiłaby kłamać. Mówiła prawdę, ale z pewnością nie chodzi o Maurice’a. Niemożliwe. Tom z niedowierzaniem pokręcił głową. — Tym kurierem musiał być kto inny.

— Nie! — zawołała Melinda. — Pan Stanton nim jest. Twój pan Stanton.

Musiał jej uwierzyć. Ale dlaczego Maurice nigdy mu o tym nie wspomniał? Nie zdradził się ani jednym słowem. Nigdy. Choć... zawsze wyrażał się pogardliwie o pułkownikach. Jedynym warunkiem, jaki postawił mu Maurice w interesach, był zakaz inwestowania w Grecji, dopóki pułkownicy są u władzy. Oświadczył wtedy jednoznacznie: „Nie będę pomagał faszystom”.

Melinda pochwyciła dłoń Toma. — Mówimy prawdę. Pan Stanton przywiózł nam dużo pieniędzy z Londynu.

Kirsten zawołała zdumiona: — Czy mówicie o Maurisie Stantonie?

Płomyk nadziei zapalił się w oczach Melindy. — Tak, tak — szybko skinęła głową. — O panu Maurisie Stantonie. Czy on w Czerwonym Krzyżu też ma przyjaciół? Znasz go?

Twarz Kirsten przybrała bardzo dziwny wyraz. — O, tak — powiedziała z goryczą w głosie. — Dobrze go znam. To drań. Skończony łobuz.

Melinda już otwierała usta, by zaprotestować.

— Nienawidzę go — zawołała Kirsten. — To mój ojciec. Tom i Elias patrzyli na nią w osłupieniu.

Trudno by się im było spotkać w bardziej nieprawdopodobnych okolicznościach lub niebezpieczniejszej sytuacji. Atmosfera w piwnicy była ciężka. Nerwy ludzi napięte do ostateczności, twarze zacięte, fanos wyglądał tak, jakby zaraz miał strzelać bez ostrzeżenia.

Tom czuł zamęt w głowie. — Wydawało mi się... że nazywasz się Moutier czy jakoś tak z francuska.

269

— Zgadza się — potwierdziła chłodno Kirsten. — Moutier to nazwisko mojej matki. Powróciła do panińskiego nazwiska przed wielu laty, kiedy on nas porzucił.

W tym momencie Tom dostrzegł podobieństwo rysów. Kirsten miała ciemnobrązowe oczy, niemal czarne. Takie, jak jej ojciec W podobny sposób trzymała głowę. Teraz, gdy to dostrzegł, zdziwił się, że wcześniej tego nie widział. Nawet charaktery mieli podobne Maurice był uparty, zdecydowany, lecz nikt nie mógłby go oskarżyć o brak wyrozumiałości czy współczucia. Dokładnie jak tę dziewczynę. Bez wątplenia jest córką Maurice'a Stanton. Nawet teraz w pogardliwie wykrzywionych rysach jej twarzy widać podobieństwo.

— Znajomość z moim ojcem nie przynosi wam chluby — powiedziała z goryczą.

Tom przyglądał się Kirsten. Przypomniały mu się słowa Maurice'a: „Louise uprzedziła ją wobec mnie, zatrula ją swym jadem”. Nawet teraz, w rok od tamtej chwili pamiętał nutę smutku w głosie Maurice'a. „Jest piękną dziewczyną. Ma teraz dwadzieścia pięć lat. Wielki Boże! Jak ten czas leci...”

Zaskoczona Melinda spojrzała najpierw na Eliasa, a potem na swojego ojca, zanim zwróciła się z rozszerzonymi ze zdumienia oczami do Kirsten: — Pan Stanton jest twoim ojcem?

— Nie jestem wcale z tego dumna.

— To nie w porządku — zaprotestował cicho Tom. — Możesz zmienić zdanie, kiedy go lepiej poznasz.

— Nie mam ochoty lepiej go poznawać!

Patrząc, jak krew nabiega jej do twarzy, Tom zastanawiał się, co robić. Był teraz za nią odpowiedzialny. Znalazła się tu tylko na skutek jego nalegań. Polubił ją. A teraz okazuje się, że jest córką Maurice'a. — Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałaś?

— O czym? Przedstawiłam się przecież, kim jestem.

— Nie powiedziałaś, że jesteś córką Maurice'a.

— A co to, u diabła, ma do rzeczy? — krzyknęła ze złością. — Nie miałam pojęcia, że ma coś wspólnego z tobą, Constantinem czy tymi tutaj... — wskazała na Eliasa i uzbrojonych mężczyzn. — Poza tym jestem jego byłą córką. Nic mnie z nim nie łączy.

Logicznie rzecz biorąc, miała rację. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie miała nic wspólnego z jej rodzicami. Wiedział, że dziewczyna ma rację. Tyle tylko, że... Mózg już przestał mu pracować...

Fakt, że Kirsten jest córką Maurice'a, przysparzał następnych komplikacji. Pięknych komplikacji. Dużo teraz dałby za szklaneczkę whisky, P/(móc się przez chwilę w spokoju i ciszy nad wszystkim zastanów"--

270

A tymczasem Elias i Panos kłócili się głośno, a starzec co rusz wtrącał swoje trzy grosze. Kirsten rozumiejąc, o czym mówią, też się włączyła do sprzeczki. Przez chwilę nic innego nie było słychać tylko chaotyczną wymianę zdań w języku greckim. Tom nie rozumiał z tego ni słowa. Wreszcie Elias uciszył wszystkich i zwrócił się do Toma: — Musimy w końcu coś ustalić — oświadczył. — Po pierwsze, pan Stanton jest naszym przyjacielem. Dostarczał Constantinowi listy i pieniądze. Zgodzisz się ze mną?

Nie wiedząc, co sądzić o zachowaniu Stanton, Tom kiwnął głową.

— Po drugie — Elias wskazał na Kirsten — ona jest jego córką.

— O, nie! — zawołała Kirsten.

Nie zważając na jej protesty, Elias z determinacją wpatrywał się w Toma. — Nie możemy jej wolno wypuścić.

Kirsten przerwała: — Nie polecę nawet w okolice Kariakos!

— Ona nie może tu zostać, musisz ją zabrać na hydroplan. I zawieźć do ojca. On już będzie wiedział, co dalej.

— Nie polecę na Kariakos! — Kirsten aż gotowała się z wściekłości. Wskazała Eliasa. — Niech ten tępak sobie to z głowy wybije!

— Na litość boską! — Tom uderzył pięścią w stół. — Czy moglibyście się wszyscy zamknąć na

chwile? Pozwólcie mi pomyśleć! — Przeczesał palcami włosy. Całą głowę miał moką od potu. — Nikt nigdzie nie poleci! Jasne? Nikt! — Wziął głęboki oddech, usiłując opanować zdenerwowanie. — Najpierw muszę poznać każdy szczegół tego planu. Każdy szczegół — podkreślił patrząc na Eliasa. — A teraz cicho i spokojnie przeanalizujmy to wszystko raz jeszcze.

Panos mruknął coś do starca, który powstrzymał się od odpowiedzi, trzęsąc tylko głową. Melinda wyglądała na wystraszoną. Nachmurzony Spyros wrócił na kanapę. Kirsten mocno zacisnęła usta. Delektując się tą ciszą, Tom rzekł: — Teraz to co innego. Jaki więc to ma mieć przebieg, Elias? Słuchając tego chłopaka Tom uświadomił sobie, że powodzenie planu zależy od spełnienia wielu warunków. Pierwszą niewiadomą jtyło to, czy zezwolą na przewiezienie Constantina do szpitala. — Kiedy Mziemy o tym wiedzieć?

Elias zerknął na zegarek. — Costas już pewnie rozmawiał z Liani-m. Niedługo powinniśmy otrzymać informację. Kto to jest Costas?

Elias wydawał się być zdziwiony tym pytaniem. — Jeden z nas — otoczył krąg ręką. Odwrócił się do ojca i o coś go zapytał po grecku. Izec odpowiedział i Elias kiwnął głową. — Costas był w tawernie,

Qy tam przyszedłeś. Poznasz go później.

271

Tom przypomniał sobie trzech mężczyzn przy stoliku obok kuchni Nic dziwnego, że tak mu się przyglądali. — Mów dalej.

Elias dysponował dwoma samochodami. Zieloną furgonetką i czarnym mercedesem. — Obydwa są używane, ale silniki mają sprawne Po odbiciu Constantina użyjemy mercedesa do zmylenia pogoni a zielona furgonetka odwiezie Constantina wprost na „Helenę”. prZy odrobinie szczęścia, nie będziemy musieli korzystać z mercedesa dla odciążenia uwagi od furgonetki. Postaramy się o to, by policja miała wtedy dużo innej roboty. — Z dumą przedstawił szczegóły. — Na godzinę przed akcją koledzy z Wyższej Szkoły Prawniczej zorganizują manifestację. Urządzą taką awanturę, że policja będzie musiała przyjechać. Równocześnie w innych miejscach miasta wybuchną zamieszki — studenci obrzucają kamieniami posterunki, a w dzielnicy handlowej obok placu Konstytucji wybuchnie nagle pożar.

Tom odczuł podziw dla takiej organizacji. — Wygląda na to, że cała armia ludzi weźmie w tym udział.

— My dużo możemy — Elias wzruszył ramionami, patrząc wyczekująco na Toma. — Constantin ma wielu przyjaciół, ale tylko ty pomożesz nam w zniknięciu.

Tom gryzł paznokcie.

Milczenie Toma stało się nie do zniesienia dla Eliasa. — Wszystko już dawno zostało zaplanowane. Czekał tylko na ciebie.

Tom poczuł, że ciężar odpowiedzialności spada na niego. — A jak ma przebiegać samo odbicie? — To będzie proste — odparł Elias, starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie. — Już ci mówiłem. Costas i Lianis wszystko zaplanowali. Constantin będzie w ambulansie. My tylko podjedziemy... i hop, już po wszystkim. — Klasnął w dłonie i zaśmiał się krótko.

— A co z załogą ambulansu? Lekarzem...

— To Lianis jest lekarzem — oznajmił z dumą Elias. — Lekarzem wojskowym. Constantin znajdzie się pod jego opieką.

Tom odprężył się nieco. — Czy ambulans będzie jechał bez eskorty?

— Może mieć jakąś eskortę — przyznał Elias. — Ze dwóch motocyklistów z ESA. Ale nie martw się! Załatwimy ich. — Odwrócił się do Panosa i coś do niego powiedział po grecku. Panos roześmiał się i poklepał swoją strzelbę.

Miało to uspokoić Toma. Ale dla niego, człowieka interesu, widok strzelby był tylko dodatkowym potwierdzeniem tego, po jak obcym gruncie się porusza. Rozpiął kołnierzyk koszuli i rozluźnił krawat.

Uświadamiając sobie pomyłkę, Elias szybko starał się zminimalizować jej konsekwencje. — Prawdopodobnie nie będzie żadne)

eskorty — dodał pośpiesznie — żadnych motocyklistów. Zabierzemy Constantina i zaraz odlatujemy — roześmiał się nerwowo — jak ptaszki.

panos po raz pierwszy pozbył się swojej strzeby. Dał ją do potrzymania Spyrosowi, a sam zebrał ze stołu kieliszki i zaniósł je do umywalki. Opłukał pod strumieniem bieżącej wody i postawił jeszcze mokre na stole. Podszedł do szafki i wyjął z niej butelkę ouzo.

Elias nadal patrzył wyczekująco na Toma. — Przyznasz, że plan jest dobry, co? — powiedział, szukając u niego potwierdzenia.

Tom słyszał tę niemą prośbę w jego głosie. Chłopak jakby mówił: „My zrobimy wszystko, reszta należy do ciebie”. Widział potwierdzenie tego w oczach człowieka, który rozlewał likier. Wyraz twarzy Panosa też to mówił.

Tom sięgnął po kieliszek i wychylił łąpczywie ouzo. Proponowany scenariusz przerażał go. Brał udział w odbiciu więźnia. Miał go przewieźć na wyspę Maurice'a, używając do tego samolotu Stantona i jego pilota. Możliwe, że też będzie zabrać jego córkę. Rany boskie!

Dyskusja o planowanym odbiciu Constantina uciszyła Kirsten. Rumieniec zniknął z jej twarzy. Zagryzając wargi, siedziała przy stole ze spuszczonym wzrokiem. Za nią stała Melinda, wpatrująca się w Toma tak, jakby jej życie zależało od jego następnego ruchu.

Tom pocił się. Ciągłe rozważał wszystkie możliwości ucieczki. Wałkował ten plan na wszystkie strony. Musiał się zgodzić. Nikt inny nie mógł im pomóc. Był ich jedyną szansą ratunku. Jedyną nadzieją Constantina. Biedaczysko. Przymrużył oczy i w zamyśleniu popatrzył na Eliasa. — Po odbiciu, kiedy odjedziecie, by upozorować fałszywy ślad, zielona furgonetka zawiezie go do hydroplanu, tak?

Chłopak kiwnął głową.

A jeśli tamci pojedą za furgonetką? Jeśli ktoś zobaczy Constantina, gdy wsiada do hydroplanu? Jeśli stan Constantina jest na tyle ciężki, że Gregg będzie musiał pomagać załadować go do środka? Elias zerknął nerwowo na Melindę.

Tom wyczuł następną trudność. — O co jeszcze chodzi?

Elias wydusił: — Będą też inni do pomocy. Melinda poleci z wami.

— Melinda?

— Nie wolno jej tu zostawić — zaniepokoił się Elias.

W zaczerwienionych oczach Melindy widać było błaganie. Nie usiała nic mówić. Na jej twarzy malowała się rozpacz i determinacja.

Będzie potrzebna Constantinowi. Gdyby ona tu została i dopa-ują ci z ESA... — Elias urwał, nie chcąc nawet kończyć tego zdania. Tom wstrząsnął się. Przed oczami stanął mu obraz Constantina P* Ernsta

przemykającego na pokład „Heleny” pod osłoną ciemności. Tera będzie się musiał martwić o ich dwoje.

— Musi też lecieć z wami Lianis — kontynuował nerwowo Elias. — Będzie już spalony.

— To już troje — zawołał Tom. — Troje...

— Czworo — przerwał Elias wskazując na Kirsten.

— Nie! — zaprotestowała Kirsten.

— Tak — powiedział z naciskiem Elias.

Tom zamknął oczy. Oparł łokcie na stole i podparł głowę rękami. Usiłował się skupić. Nie wpaść w panikę. — Muszę porozmawiać z Greggiem — szepnął. Nagle sobie przypomniał. — Chryste Panie! — zawołał podnosząc wzrok na Eliasa, który nadal sprzeczał się z dziewczyną. Tom chwycił go za ramię. — Mój pilot! Na pewno wrócił już do tawerny. Czeka tam teraz na mnie!

— Nie, nie — Elias potrząsnął przecząco głową. — Pomyśleliśmy już o tym. Jeep bardzo zwraca uwagę. Costas przywiezie tu twojego przyjaciela.

Tom zaniemówił. Odczuł jednocześnie gniew i ulgę. Gniew, że nie skonsultowano z nim tego, ulgę,

że miał jedną decyzję mniej do podjęcia. Sięgnął po kieliszek i pociągnął solidny łyk.

— Myślmy o wszystkim, co? — uśmiechnął się chętnie Elias. Tom miał nadzieję, że tak jest. Powrócił do planu ucieczki.

— Kto pojedzie zieloną furgonetką?

— Odbędzie się to w dwóch ratach — odparł Elias. — Pierwszy etap to stąd do miejsca odbicia.

Prowadzić będę ja, ty usiądziesz na miejscu pasażera, a Melinda z tyłu na materacu. — Zmarszczył brwi. — Kirsten będzie obok Melindy. A potem... — Zaczął mówić szybciej, by mu nikt nie przerywał: — Z miejsca odbicia do Passalimani będzie prowadził Lianis, ty będziesz jechał na miejscu pasażera, a Constantin z kobietami z tyłu na materacu.

Tomowi bardzo nie podobał się pomysł mieszania w to kobiet. A plan, by wieźć Constantina prosto na hydroplan, napawał go lękiem. Trop poprowadzi prosto na Kariakos. Nawet jeśli zapadnie zmrok...

— Czy będzie już ciemno? O której godzinie to się odbędzie?

— Po ósmej — przerwał Elias, domyślając się reszty pytania. Costas to jeszcze potwierdzi, kiedy wróci.

Po ósmej nie było złą porą, mrok zdąży już zapaść. Mi010 wszystko ryzyko doprowadzenia policji do „Heleny” było niemałe—Tom zapalił papierosa i odsunął krzesło od stołu. Gdy wstał, napięć mięśni nieco zelżało. W piwnicy było zbyt mało miejsca, by

rzeSpacerować. Masując sobie ręką kark zrobił dwa kroki w lewo, potem wrócił do krzesła. Z jego ruchów przebijała niepewność, warze wokół stołu podniosły się, patrzyli na niego z wyczekiwaniem, z nadzieją, z błaganiem. Usiadł znów i zaczął się bawić kieliszkiem, mącąc w nim słomianożółty likier.

Miał zamęt w głowie. Myśli tak szybko pojawiały się i znikaly, że nie potrafił zatrzymać ich na dłużej, by nabrały klarowności. Znowu wstał, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Usiadł i odsunął od siebie kieliszek. O mało nie wylał ouzo. Myśli zwolniły tempo na tyle, że przejął nad nimi kontrolę. Odsunawszy na bok miliony wątpliwości, starał się znaleźć przesłanki nadziei. Siedzący naprzeciw Elias przeżywał męki wyczekiwania. Trzeba przyznać, że chłopak robił, co mógł. Tom nie znalazł niczego, o czym Elias by nie pomyślał. Zaopiekował się Melindą. Wraz z innymi zaplanował uwolnienie Constantina. „Reszta należy do mnie. Decyzja zależy teraz ode mnie... odpowiedzialność również...”

Zatrzymał wzrok na twarzy Kirsten. — Bardzo mi przykro... — szukał właściwych słów — to moja wina. Ja cię w to wplątałem...

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

— Wiem, że jestem za ciebie odpowiedzialny, ale nie wolno mi porzucić w potrzebie tych ludzi.

Jego własne słowa uzmysłowiły mu, że podświadomie podjął już decyzję. — Nie masz wyboru. Nie wolno ci już wrócić do Czerwonego Krzyża, a tutaj też nie możesz zostać. W trosce o własne bezpieczeństwo musisz lecieć na Kariakos.

Zanim Kirsten zdążyła coś odpowiedzieć, wtrąciła się Melinda. Padła na kolana obok krzesła Kirsten i zasypała ją lawiną greckich słów. Nawet nie rozumiejąc, Tom czuł emanującą z nich siłę uczucia. Zalana łzami Melinda usilnie prosiła, namawiała, błagała Kirsten, aż w końcu sama się załamała. Ojciec przykucnął obok niej i objął ją ramieniem. Elias odsunął od stołu krzesło i stanął nad nimi zatroskany. Nawet Panos i Spyros podeszli bliżej.

Natłok sprzecznych uczuć odbijał się na twarzy Kirsten. Tuląc Melindę do siebie, pomagała jej wstać, uspokajała ją i głaskała po włosach.

— Bardzo cię proszę — błagała Melinda. — Pan Stanton to dobry Człowiek. Można mu wierzyć...

Tom również ją nalegać: — Przyrzekam, Kirsten, gdy tylko °trzesz na Kariakos, będziesz się mogła stamtąd udać, dokądkolwiek Chcesz. Maurice ma jacht. Odwiozą cię na Cypr, do Włoch albo na aC. Gdzie tylko zechcesz. Na Kariakos będziesz wolna... — Słowa

same płynęły z ust, nie chodziło tylko o poczucie odpowiedzialności Polubił tę dziewczynę. Chciał,

by wiedziała, że postara się ją ochraniać.

Nagle klapa nad nimi otworzyła się raptownie. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę. W otworze pojawiła się noga w niebieskim uniformie, a potem cały Gregg, za którym ukazał się jeden z ludzi z tawerny. Ten, który zaopiekował się torbą Toma. Teraz trzymał ją w ręku. Tom odgadł, że to Costas.

Gregg dostrzegł Toma dopiero w chwili, gdy stanął na podłodze. — Co tu się, u diabła, dzieje? — zapytał podchodząc do stołu. — Dostałem wiadomość od pana. Ten facet przyjechał do Passalimani i powiedział mi, że opuścił pan tawernę i udał się gdzie indziej. Kazał mi jechać tutaj.

Zaparkowaliśmy jeepa ładny kawałek drogi stąd. — Gregg przerwał, bo nagle spostrzegł strzelby w rękach mężczyzn. — Ma pan jakieś kłopoty, panie Lambert?

Ale Tom nie patrzył na niego. Gregg mówił w próżnię. Był jedynym człowiekiem, który nie patrzył na człowieka, który go tu przeprowadził. Spyros i starzec stali jak skamieniały, z oczyma utkwionymi w Costasa. Melinda przysłoniła ręką usta. Elias jednym skokiem znalazł się przy nowo przybyłym, a Panos zaraz za nim.

Po chwili Elias wydał z siebie okrzyk radości. Twarz rozjaśniła mu ulga i podniecenie. — Costas przywiózł wiadomość od Lianisa — krzyknął do Toma. — Przewożą go o ósmej. Wiwat!

Dwóch wojskowych motocyklistów z dość mizernym skutkiem usiłowało torować ambulansowi drogę w gęstym ruchu ulicznym. Samochody osobowe i auta dostawcze dociskały się do krawężników i do linii środkowej, lecz nie na wiele się to zdawało, bo dwupasowa jezdnia była zwyczajnie za wąska. Spaliny buchały z tysięcy rur wydechowych. Wilgotne wieczorne powietrze przesycił gryzący dym. Ambulans przeciskał się do przodu w żółtym tempie. Z tyłu za nim jechał mały żółto-brązowy fiat sedan, za którym podążała zielona furgonetka.

Tom spojrzął na Eliasa. Chłopak mocno zaciskał dłonie na kierownicy. Nawet w bladoniebieskim świetle ulicznych lamp widać było napięcie na jego twarzy.

— Wszystko w porządku? Elias kiwnął głową, lecz milczał.

— Papierosa?

Chłopak wziął jednego z podsuniętej mu paczki. Zapalił i zaciąga

276

ję. Rysy twarzy złagodniały nieco. — Zastanawiałem się — powiedział z pewnym ociąganiem. — Może rzeczywiście... twój plan jest lepszy.

Tom położył mu rękę na ramieniu. — Nie bądź taki skromny, przecież nie robimy tego według mojego planu. To nasz plan.

Wcześniej mocno się posprzeczali. Elias widział wszystko tylko w czarnych i białych kolorach.

Odbicie Constantina znaczyło dla niego tak wiele, że warte było każdego ryzyka. Plan miał prosty i jasny. Ale Tom się na niego nie zgodził. Nie przekonały go argumenty Eliasa. Nie przstraszył się wojowniczości Panosa. Nie dał się ująć łzom rozpaczającej Melindy.

Kierowca żółto-brązowego fiata zasygnalizował, że zjeżdża na prawy pas. Elias zwolnił prawie do zera. Fiat przesunął się na sąsiedni pas, pozostawiając wolną przestrzeń. Nie mając zamiaru zbliżyć się bardziej do ambulansu, Elias ucieszył się, że w wolne miejsce wepchnęła się lancia.

W lusterku wstecznym Tom dostrzegł Costasa zajmującego miejsce na przednim siedzeniu jadącego za nimi mercedesa. W świetle ulicznych lamp opalona twarz Costasa stawała się na przemian niebieska i purpurowa. Pełznące pojazdy przyśpieszyły nieco, sunąc w karnym szeregu.

Auta jadące w przeciwnym kierunku poruszały się bardziej chaotycznie. W głębi ulicy narastało zamieszanie. Samochody zjeżdżały na lewo i prawo, tworząc prześwit, w którym najpierw pojawił się wóz policyjny, a za nim samochód strażacki. Dwa samochody strażackie. Na sygnale i na światłach. Za nimi jeszcze jeden wóz strażacki, a potem następny wóz policyjny. Już czwarty samochód policyjny ładował się na środkowy pas. Elias musiał się mocno wysilać, by przekrzyczeć wycie syren. — To na pewno pożar na placu Konstytucji — zawołał z triumfem.

Tom z ponurą satysfakcją śledził odjeżdżający szybko środkowym Pasem w kierunku centrum wóz policyjny.

— Mówiłem ci — wołał radośnie Elias. — W całym mieście narobimy potwornego zamieszania.

Ciekaw jestem, co się dzieje na "czelni.

Też jestem tego ciekaw — powtórzył jak echo Tom. W myślach "adał przebywał w tamtej piwnicy. Martwiły go kobiety. Melinda była

'lska kompletnego załamania nerwowego. Mogą być z nią kłopoty. °ze wpaść w panikę. Albo jeszcze gorzej. Może dać się złapać lub

°stać zastrzelona. A jeśli jednak będzie eskorta na motocyklach? — erali się tam w piwnicy. — Jeśli otworzą ogień? Jeśli trafią Melindę? . 0 się stanie, jeśli uratujemy Constantina, a zginie przy tym jego

Or,a? Jak spojrzemy mu wtedy w oczy?

277

Była też z nimi Kirsten, która tak zamartwiała się o Melindę, 2e w ogóle nie myślała o własnym bezpieczeństwie. Jak ona zachowa się podczas akcji? Czy można liczyć na jej pomoc? Jeśli tak, to istnieje niebezpieczeństwo, że ESA ją zastrzeli. Jeśli im ucieknie, to Panos lub Spyros będą musieli ją zastrzelić. — Nie — sprzeciwił się Tom. Kobiet nie bierzemy z sobą.

Po drugiej stronie jezdni ruch uliczny nadal się kotłował. W stronę środkowego pasa przedzierał się ciemnobrazowy wojskowy transporter opancerzony. Mniejsze pojazdy ocierały się o siebie, gdy ich kierowcy, nerwowo kręcąc kierownicami, starali się uniknąć spotkania z pchają, cym się na nich od tyłu monstrum. Dowódcy wymachiwali karabinami i wykrzykiwali sprzeczne komendy. Elias też krzyczał. Jego słowa tonęły w ogólnej kakofonii , lecz podekscytowanie i radość Eliasza były oczywiste.

Wcześniej nie był taki pewny swego. Z samozaparciem bronił własnej koncepcji. — Wszyscy wiemy, co robić — dowodził wskazując Panosa, Costasa i Spyrosa. — Nowe plany spowodują zamęt. Uzgodniliśmy...

Ale Tom twardo stał przy swoim. Zdecydowanie się nie zgadzał.

Pomógł mu Gregg. Reakcji małego Australijczyka nie dało się nigdy przewidzieć. Tom latał z nim wystarczająco długo, by wiedzieć, iż świetnie sobie radzi we wszystkich sytuacjach awaryjnych.

Ale te, z którymi miał do czynienia (a nie było ich wiele), miały miejsce w powietrzu. Nie zetknął się z takim zamieszaniem na ziemi. Z tego, co wiedział o nim Tom, Gregg nie miał wielu doświadczeń, które mogłyby mu się przydać w położeniu takim, jak obecne.

Nacisnąwszy mocniej pedał gazu, Elias przyspieszył. Ruch się przerzedził. Najgorsze zatory pozostawili już za sobą w centrum Aten. — Jeszcze kilka minut i dowiemy się, którą drogą pojedą. Tom kiwnął głową. Były dwie możliwe trasy przejazdu do szpitala wojskowego. Elias przygotował miejsca zasadzki na obydwóch.

Od samego początku Greggowi bardziej podobał się plan Toma. — Nie myślcie, że chodzi mi o własną skórę — wtrącił — Ale rozwiązanie Toma jest najlepsze dla wszystkich. — Zniżając głos wskazał kobiety. — Szczególnie dla pań.

Melinda była w fatalnym stanie. Cały czas trzymała stronę Eliasza, ale niezłomna postawa Toma przekonała ją o daremności dalszych nalegań. Godząc się w końcu na jego plan, spojrzą'3 na niego spod opuchniętych od płaczu powiek i zapytała: — JeS zrobimy tak, jak radzisz... to czy pojedziesz z Eliasem? Pomożesz mu uwolnić Constantina?

278

Bardzo się bała, że może to być niewłaściwa decyzja. A niewłaściwa decyzja może Constantina skazać na śmierć.

Tom wziął ją w ramiona, gładził po włosach i uspokajał: — Rób, co mówię, a przyprowadzę ci Constantina.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

W tamtej piwnicy łatwo przychodziło składać przyrzeczenia.

Elias mruknął: — Powinni już być w zatoce.

Myśleli o tych samych rzeczach. Nie o tych samych, poprawił się Tom, o podobnych. On

sporządzał właśnie wykaz straconych okazji. Gdyby tak szybciej formułował myśli... gdyby Gregg był tam od samego początku... gdyby Elias nie był taki uparty. Gregg mógłby mieć jeszcze czas odwiedzić kobiety na Kariakos i wrócić do Pireusu. Gdyby, gdyby, gdyby... Ale kiedy wreszcie Elias ustąpił, było już w pół do szóstej. Czas umykał.

Nagle Elias zawołał: — Zgubiłem Spyrosa. Szlag by to trafił! Mówiłem mu... Gdzie on, do diabła, jest? — Tom szukał mercedesa we wstecznym lusterku od swojej strony. Nigdzie go nie było widać. Wyrósł natomiast jakiś biały citroen, a za nim mocno wyładowana ciężarówka.

Elias wściekł się. — Mówiłem ci, że powinien prowadzić Panos. Jeździ lepiej od Spyrosa. Spyros jest za powolny, a Costas nie nadaje się na pilota...

— Już w porządku! — Tom westchnął z ulgą, dostrzegłszy mercedesa na prawym pasie, za szóstym pojazdem z tyłu. — Nadal jadą za nami.

Kiedy Elias w końcu się zgodził, pozostał jeszcze Panos, który nadal nie przestawał się awanturować. Dopiero Melinda go przekonała. Nie miała już wątpliwości, że albo zrealizują plan Toma, albo żaden. Usiadła ocieężale na łóżku. Ocierając oczy starała się zapanować nad nerwami. Jej ojciec i Costas przykucnęli przed nią. Panos i Elias stali obok łóżka. Wszyscy naraz mówili. Po grecku. Kirsten też. Widać było, że broni zdania Melindy. Przyglądając się Kirsten, Tom pozbył się wszystkich wcześniejszych obaw. Znakomicie wywiązywała się ze swojej roli. Odłożywszy na bok osobiste problemy, rozumiała wspólne zagrożenie. Nie działała przeciw niemu. Popierała go.

— Patrz! Patrz! — zawołał głośno Elias. — Skręca. Wspaniale. edzie najlepszą dla nas trasą. — Głos aż drżał mu z emocji. — Gdzie bPyros? Widzi, że skręcamy?

Jadący za nimi mercedes przyspieszył i wjechał w wolną lukę. — °gania nas. — Tom usiłował utrzymać normalny ton głosu.

279

Ambulans, oddzielony od nich lanią i dwoma innymi samo chodami, sygnalizował skręt w prawo. — Czy Spyros na pewno nas widzi? — upewniał się niezmiennie rozgorączkowany Elias.

Tom dostrzegł, że mercedes również włącza migacz. — W porządku skręca za nami.

Gratulował sobie szczęśliwego trafu. Kiedy się okazało, że Panos jest rybakim i dysponuje łodzią, sprzeczka została zażegnana. Plan Toma przyjęto. Gdy już wszystko ustalili, obydwie grupy opuściły piwnicę w dwuminutowych odstępach czasu. Tom, Elias, Costas i Spyros ruszyli w stronę miasta, a Panos i Gregg zabrali kobiety do Passalimani.

Elias skręcił w prawo. — Która godzina?

Tom spojrział na zegarek. — Dwanaście po.

Chłopak kiwnął głową. Zwilżył usta. — Może twój przyjaciel Gregg już jest na wodzie?

— Na pewno jeszcze nie. Ale nie martw się. Zaraz wypłynie. Gregg z pewnością nie odstąpi od planu. Gdy tylko znajdzie się

z kobietami na pokładzie „Heleny” i usadowi je na tylnych siedzeniach, by nie było ich widać, uruchomi obydwie silniki i wypłynie na jakąś milę z zatoki. Wtedy jeden z silników mu zgaśnie, będzie to wyglądać na kłopot z zapłonem. Gregg zatrzyma maszynę. Pozostawiając zapalone światła nawigacyjne, przyczepi do skrzydeł światła awaryjne i wyjdzie na zewnątrz, by naprawić silnik.

— Nie może przecież całą noc naprawiać silnika — mruknął Elias.

— Spokojnie, wszystko będzie wyglądać naturalnie. Wróci do kabiny, spróbuje uruchomić silnik, zakręci śmigłami, a potem znów wyjdzie na zewnątrz, by coś jeszcze sprawdzić.

Tymczasem oni zajmą się ambulansem. A gdy będą już mieli Constantina w furgonetce, Lianis z Tomem pojedą do Pireusu. Zawiozą Constantina na łódź Panosa, Panos natychmiast podpłynie do „Heleny”, najszybciej jak tylko będzie można. Taki był pomysł Toma na zatarcie śladu prowadzącego na Kariakos.

— Czy jesteś pewny, że Lianis wie, gdzie Panos cumuje swoją łódź?

— Oczywiście — kiwnął głową Elias, uśmiechając się ponuro. Wiele razy spotykali się na tej łodzi. Tom usiłował sobie wyobrazić te spotkania. Major wojsk lądowych, prosty rybak i jego brat Spyros. I jeszcze Costas. Może inni. Wszyscy zwalczają huntę. Niebawale ryzyko. Pomyśleć, że ten

chłopak oboK niego ma tylko osiemnaście lat, a zachowuje się jak stary wyga. Ehas nie był wcale taki twardy, za jakiego chciał uchodzić. Kiedy dostrzeg

ambulans, poczuł drapanie w gardle, zaszkliły mu się oczy, niewiele brakowało, a byłby się rozplakał. Ściskające mu gardło emocje sprawiły, że jego szept brzmiał niby jęk, kiedy mówił: — Jedziemy po ciebie, Constantin. Trzymaj się, jedziemy ci na ratunek! Jechali.

Śródmieście mieli już za sobą. Coraz mniej było lamp ulicznych, po lewej ukazały się bladoszare sześciany domków jakiegoś osiedla. W gaju P° PraweJ, na tle ciemnego nieba rysowały się posępnie poskręcane, karłowate drzewka oliwne. Przedmieście, które zastąpiło zwartą zabudowę śródmieścia, przechodziło w otwarty krajobraz wiejski.

Lancia zwolniła i skręciła w wąską drogę prowadzącą do osiedla. Sto jardów przed nimi widać było tylne światła ambulansu.

— Która godzina?

Tom przysunął do oczu zegarek. — Dwadzieścia po.

— Nieźle. Całkiem dobrze. — Elias pokiwał głową. Odczuł nagłą otrzebę mówienia. — Mamy niezły czas. Wspaniale. Już niedługo, už niedaleko...

Tom obserwował drogę. Wydała się opustoszała. Sznur samochodów pozostał w mieście, rozproszył się w uliczkach przedmieścia. Pusta droga wiała się przed nimi jak wstążka, zmierzając w stronę gór.

— Czy Spyros jest za nami? Widzisz go?

Tom zmrużył oczy i spojrział w lusterko. — Widzę jego światła.

— Skąd wiesz, że to jego?

— Bo jechał za nami.

— Ale to może być kto inny. Nic więcej nie widzisz? Ja widzę tylko światła drogowe. A jeśli to nie Spyros?

— To musi być mercedes — Tom wpatrywał się w światła. Zostały daleko w tyle. Spyros, jeśli to był on, nie śpieszył się zbytnio.

— Chryste Panie! Daj mi papierosa — zażądał Elias. — Już niedaleko. Jeszcze tylko ostatni papieros.

Tom miał ręce mokre od potu. Wytrzeł je o spodnie i sięgnął do schowka po papierosy. Zapalił dwa, jeden podał chłopcu. Elias mruknął podziękowanie. Czaił się do skoku. Czerwona poświata jego Papierosa odbijała się w szybie. Z dala od miejskich świateł niebo Wydawało się ciemniejsze. Pędzone wiatrem chmury co chwila przeganiały księżyc.

Ambulans oddalał się od nich. Spojrzawszy na szybkościomierz, lom stwierdził, że choć zwiększyli prędkość, ambulans ciągle się od nich oddala. Jego czerwone światła pozycyjne znajdowały się jakieś cWierć mili przed nimi, może nawet więcej. Tom zaczął się denerwować,

281

że mogą go nie dogonić. Furgonetka trzeszczała i trzęsła się na resorach. Elias mocno naciskał pedał, ale odległość nie zmniejszała się. — No, naprzód, jazda!

Światła za nim stawały się coraz jaśniejsze. Spyros, jeśli to rzeczywiście był on, znacznie przyśpieszył.

Droga zataczała szeroki łuk. Mrużąc oczy w ciemnościach Tomowi udało się dostrzec dwie wąskie jak ołówki smugi świateł motocykli jadących przed ambulansem.

Łuk drogi dał szansę ścigającym. Elias zmniejszał odległość.

Następny zakręt, tym razem w lewo. Elias zgasił papierosa. — Już zaraz — mruknął ściskając mocniej kierownicę.

Wypadli na prostą. Elias docisnął mocniej pedał gazu. Czerwone światła pozycyjne ambulansu zaczęły się raptownie zbliżać. Zachwiały się, po chwili furgonetka też podskoczyła na jakimś wyboju, pripraviając Toma o ostry ból kręgosłupa. Spiał mięśnie. Furgonetka doganiała ambulans, sprawiając wrażenie, jakby się unosiła nad jezdnią. Jeszcze pięćdziesiąt jardów... czterdzieści...

— Przygotuj się! — krzyknął Elias.

Tom czekał w napięciu. Zwilżył wargi. Dłonie miał mokre. Czuł w uszach narastający ryk, który wnet zagłuszył wszelkie inne odgłosy nocy. To Spyros zbliżał się do nich od tyłu, warczał potężny silnik mercedesa. Wsteczne lusterko furgonetki rozbłysło oślepiającym blaskiem odbitych światła reflektorów mercedesa, którego przód zrównał się teraz z maską furgonetki. Na przednim siedzeniu Tom dostrzegł Costasa z wystawioną przez otwarte okno strzelbą. Po chwili mercedes był już przed nimi. Zahaczając o pobocze wyrzucał kamyki, które wystrzeliwały spod kół jak gruby śrut. Jard po jardzie zbliżał się do ambulansu, w końcu zrównał się z nim. Spyros ostro skręcił kierownicą. Metal uderzył w metal. Czerwone i białe iskry rozświetliły atramentową ciemność. Zaskoczony uderzeniem ambulans zjechał w prawo, odsłaniając jednego z jadących przed nim motocyklistów. W blasku reflektorów motocyklista rzucił za siebie przerażone spojrzenie. Gwałtownie szarpnął motocykl, starając się uskoczyć z drogi. Wyrzucił jedną nogę w bok, podpierając się stalowym obcasem buta o nawierzchnię jezdni. W tym momencie mercedes uderzył w niego. Kołyszący się ambulans powrócił na jezdnię, zasłaniając Tomowi widoczność. Tom usłyszał huk strzałów, zgrzyt metalu o metal, odgłos tłuczonego szkła, wizg opon... Elias krzyknął: — Przygotuj się! Przygotuj! Miotając się w szaleńczych zakosach ambulans wytracał prędkość. Tom oparł ręce o deskę rozdzielczą, gotów do działania. Nozdrza wypełniał mu smród palonych opon. Podskakując na wybojach

282

furgonetka zjechała na prawą stronę jezdni, zwolniła, znów przyspieszyła i znów zwolniła. Nie zatrzymawszy się jeszcze całkiem, Elias już usiłował przerzucić bieg na wsteczny. Wstrząsy targaly ciałem •Toma, to w tył, to w przód, to znów na bok, kiedy auto poślizgiem ustawiało się w poprzek jezdni. W trakcie tych manewrów Tom dostrzegł w dali światła nadjeżdżającego z przeciwka pojazdu. Jadąc na pełnym gazie wstecz, Elias kierował się do tylnych drzwiczek unieruchomionego ambulansu. Patrząc przez lekko uchylone drzwi Tom wydawał instrukcje. — Stop! — ryknął, kiedy znaleźli się przy samych drzwiach. Wskoczył na jezdnię i rzucił się do tylnych drzwiczek furgonetki, by je otworzyć. Z ciemności po drugiej stronie wynurzył się Elias, zmierzając prosto do drzwi ambulansu. Kiedy Tom się odwrócił, dostrzegł z drugiej strony ambulansu umundurowaną postać z rewolwerem w ręce.

— Elias! — ryknął ostrzegawczo Tom.

Chłopak mocował się z klamką u drzwiczek ambulansu. Umundurowana postać pchnęła go w bok. Tom dopadł faceta z rewolwerem i obrócił go w swoją stronę. Dostrzegł haczykowany nos i głęboko osadzone oczy. Elias krzyknął: — To Lianis.

Tom wydał westchnienie ulgi i opuścił już zaciśniętą pięść. Nagle drzwiczki ambulansu, kopnięte silnie od wewnątrz, otworzyły się z takim impetem, że Elias musiał odskoczyć. Jakaś olbrzymia postać pojawiła się w otworze. W czerwonej poświacie tylnych światła Tomowi wydało się, że to Constantin, lecz raptem dostrzegł naszywki na rękawach i karabin w łapach. Ogień buchnął z lufy karabinu. Zaterkotała seria strzałów. Tom poczuł uderzenie w nogę i zanim zdążył to sobie uświadomić, leżał na jezdni. Nie odczuwał bólu, raczej zdziwienie. Ból miał nadejść później. W powietrzu, rozdzieranym odgłosami strzałów, unosił się zapach kordytu. Dźwignąwszy się na kolana Tom dostrzegł, że Lianis wali z rewolweru, lecz w tej samej chwili chwieje się na nogach i zatacza. Równocześnie olbrzym z ambulansu puszcza karabin i pada całym ciałem w lukę pomiędzy ambulansem a furgonetką. Padając uderza głową w furgonetkę, łamiąc sobie z trzaskiem kark.

Tom już był na nogach, kulał, lecz gotów był dalej działać zgodnie z Planem. Przeniosą tylko Constantina do furgonetki i natychmiast °°jadą, jak ustalili wcześniej z Eliasem. Nie powinno trwać to dłużej niż dwie minuty.

Elias podciągnął się na rękach i zniknął w ambulansie. — c°nstantin! Constantin!

Lianis upuścił rewolwer, złapał się ręką za pierś i oparł o furgonetkę.

283

Zataczając się i z trudem łapiąc oddech, zwałił się na siedzeń pasażera. Tom chciał krzyknąć: „Przesiądź się na drugą stronę, ty prowadzisz”, kiedy usłyszał płacz Eliasa. Zawodzenie. Chłopak łkał wewnątrz ambulansu. Tom zerknął do środka. Elias z wykrzywioną szlochom twarzą pochylał się nad leżącą na noszach ciemną postacią.

— Zaczekaj! — krzyknął Tom. — Idę! — Ale jego lewa noga nie chciała go słuchać. Nie mógł jej ani podnieść, ani oprzeć się na niej. Złapał za uchwyt wewnątrz ambulansu i miał się właśnie podciągnąć na rękach, kiedy pojawił się Spyros.

Wskazując głową furgonetkę, Spyros krzyknął do Toma: — Wsiadaj! Wsiadaj!

Z cienia wynurzył się Costas. Trzymając w jednej ręce strzelbę, drugą pchnął Toma do furgonetki. Spyros był już w ambulansie i ciągnął nosze do drzwi. Costas odłożył strzelbę i chwycił za drugi koniec noszy.

Tom dowlókł się do przednich drzwiczek furgonetki i nie mając innego wyboru, usiadł za kierownicą. Spojrzał na Lianisa, który kołysząc się na fotelu trzymał się za ramię. Sięgnąwszy nad nim ręką, Tom zatrzaskał drzwiczki. — Będiesz mnie prowadził. W porządku? — Lianis jęknął. Tom odwrócił się do tyłu i zauważył, że do środka wsuwają nosze. W otwartych tylnych drzwiach widać było zarysy postaci Spyrosa i Costasa. Costas zatrzaskał drzwiczki i w środku zapadła ciemność. Tom usiłował dostrzec Constantina. — Constantin, to ja, Tom Lambert! — W bocznym oknie pojawił się Spyros. — Jedźcie już, jedźcie! — krzyknął wskazując kierunek, z którego przyjechali. — Jedź!

Silnik przez cały czas pracował. Tom włączył bieg i auto wjechało na jezdnię. W lusterku wstecznym Tom zobaczył Eliasa. W świetle tylnych lamp ambulansu widać było, jak wymiotuje na drogę. Tom wyprowadził kierownicę, dodał gazu i ruszył w stronę Aten.

— Lianis, musisz mnie pilotować!

Lianis jęknął i oparł się ramieniem o drzwi.

Tom poczuł, że rozpiera go uniesienie. — Udało się! — krzyknął. — Udało! Udało! — Chciało mu się śmiać i śpiewać. — Fantastyczne! Udało się! — Wszystko miało trwać dwie minuty. Ciekawe, ile naprawdę trwało. Chyba dłużej. Chociaż nie, raczej dwie sekundy-Rany boskie!

Nagle Lianis zwymiotował. Z ręką przyłożoną do piersi, osunął się do przodu. Nie przypięty pasem, zsunął się częściowo z fotela. Głucho uderzyła głowa w deskę rozdzielczą.

— Lianis! — Tom oderwał wzrok od jezdni i spojrzał w bok-

284

Lianis patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Twarz miał oświetloną zieloną poświatą padającą z zegarów w desce rozdzielczej. Krew, którą zwymiotował, oblepiała mu podbródek. Już nie przyciskał ręki do piersi. Martwe ramiona opadły w dół.

— Lianis! — wrzasnął Tom. Spojrzał przed siebie. Pół mili dalej dostrzegł tylne światła jakiegoś pojazdu. Uświadamiając sobie, jak szybko jedzie, zdjął nogę z gazu.

— Powiedz coś, Lianis. Na litość boską, odezwij się! Powiedz cokolwiek! Choćby po grecku!

Omiotły go światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu.

— Rany boskie! — Nie spuszczać wzroku z jezdni, zdjął prawą rękę z kierownicy i pomacał z boku. Chwycił Lianisa za ramię i usiłował go dźwignąć na siedzenie. Nie udało się. Lianis zaklinował się między fotelem a deską rozdzielczą. Tom przesunął dłoń na jego łokieć, a potem na nadgarstek. Pulsu nie było.

— Chryste Panie! — jęknął.

Jak daleko ujechał? Czy powinien zawrócić? To bez sensu. Elias i reszta na pewno już uciekli.

Odchrząknął. — Constantin?

Jedynym słyszalnym dźwiękiem był warkot silnika i szum opon. Podniósł głos. — Constantin?

Żadnej odpowiedzi.

Zmartwił. Zesztywniał. Sparaliżował go strach. Poczuł się zagubiony. Nie miał pojęcia, jak dotrze do Pireusu... Ani jak znajdzie Panosa i łódź...

Poczuł spływającą po lewej nodze ciecz. Pomyślał, że zsiąkał się ze strachu. Wcale by go to nie dziwiło ani nie zawstydziło. Bał się. Naprawdę się bał. Jeśli się jednak złał, to dlaczego czuje ten

piekielny pulsujący ból w nodze? Położył rękę na udzie i nawet nie bardzo się zdumiał, czując pod palcami lepłą krew. Zaskoczyła go tylko ilość tej krwi. Było jej mnóstwo. Całą nogę miał mokrą od krwi. Sięgnął niżej, do kostki. Kostka też była mokra...

Strachu, który go teraz dopadł, nie dało się porównać z niczym innym. To było gorsze niż koszmar. Gorsze niż wszelkie jego wyobrażenia o strachu. Wpadł w popłoch. Miał przestrzeloną nogę.

Prowadził skradzioną furgonetkę. Na drodze za nim pozostali zabici. Obok tkwił martwy oficer, a z tyłu wiozł najbardziej poszukiwanego człowieka w Grecji...

— Constantin! Constantin!

Najbardziej przerażała go świadomość, że nie zna drogi. Nie miał Pojęcia, którędy jechać. A czas naglił. Przypomniały mu się ostatnie

285

instrukcje dla Gregga. Czas miał dokładnie wyliczony. Napad o wpół do dziewiątej. Pół godziny na dojazd do Pireusu. Dziesięć minut na znalezienie Panosa i przejście na łódź. Dwadzieścia minut na dopłynięcie do „Heleny”. — Nie czekaj dłużej niż do dziesiątej _ instruował go Tom. — Jeśli nie będzie nas o dziesiątej, to znaczy, że coś się wydarzyło. Nie czekaj ani minuty dłużej. — Gregg kiwnął głową, potwierdzając, że rozumie.

Tom spojrzął na zegarek. Ośma trzydzieści osiem. — Chryste Panie!

Drgnął na odgłos jęku. Nerwy miał w strzępach. Sądząc, że dźwięk dochodzi z zewnątrz, sprawdził obydwa lusterka wsteczne i tablice przyrządów, a potem znowu skierował wzrok na jezdnię. Tylne światła jadącego przed nim samochodu były znacznie bliżej. Doganiał jakiś duży pojazd. Autobus! W górze, nad linią świateł, mógł już rozróżnić głowy i ramiona pasażerów. Do diabła! Jak minąć autobus, żeby pasażerowie nie zauważyli wcisniętego między fotel a jiodłogę Lianisa? Zdjął stopę z gazu. Zerknął w lusterko wsteczne. Światła! Przednie światła! Z tyłu! Zbliżały się szybko. Znowu docisnął pedał.

Jeszcze raz ten odgłos z tyłu. Tym razem Tom był pewny, że to ludzki głos.

— Constantin! Jęk, to na pewno jęk.

— Constantin! Dzięki ci, Boże! Słuchaj. Wydaje mi się, że Lianis nie żyje. Nie wiem, którędy jechać. Czy dasz radę podnieść się na tyle, by spojrzeć na drogę?

W odpowiedzi dotarł do niego słaby, zniekształcony głos Constantina, lecz nie mógł stwierdzić, czy mówi on „tak”, czy „nie”. Słowa były zduszone, niewyraźne.

Tom zredukował prędkość. Obserwował jadący z przodu autobus i światła za sobą. Droga zataczała łuk. Przypomniało mu to serię zakrętów podczas jazdy z Aten. Wkrótce będą na przedmieściach, a zaraz potem tam, gdzie to wszystko się zaczęło... przy kwaterze głównej ESA. Przełknął ślinę, starając się nie wpaść w panikę. — Constantin! Słyszysz mnie?

Nadal nic nie mógł zrozumieć z jego słabego głosu.

Zaryzykował spojrzenie do tyłu. W tylnych drzwiach nie było okna, w środku panowała więc całkowita ciemność. Nosze leżały bezpośrednio za szoferką. Oparcie fotela ograniczało widoczność. Przekręcił głowę na bok i dostrzegł bladą twarz przykrytego kocem Constantina. Zobaczył też coś jeszcze. Jakiś błysk w połowie długości noszy. Dosłyszał stuk metalu o metal.

Przeniósł wzrok z powrotem na jezdnię. Kabina furgonetki znalazła

286

j

sje w zasięgu światła rzucanego z okien autobusu. Zwolnił. Nagle uświadomił sobie, co widzi.

Kajdanki. Constantin był przykuty do noszy. — Chryste Panie! Constantin! Ktoś musi wskazywać mi drogę, jesteś mi potrzebny.

Jezdnia oświetlona już była przez lampy w regularnych odstępach. Samochód z tyłu cały czas siedział mu na kole. Z nogi Toma sączyła się krew. Ból stawał się nie do zniesienia. — Constantin!

— krzyknął z desperacją Tom.

Chrapliwy głos wymamrotał coś w odpowiedzi.

— Nie słyszę! Na litość boską, nie słyszę cię! — Przełknął ślinę i nabrał powietrza w płuca, starając

się zwalczyć ogarniającą go panikę. Ciężko dyszał. Serce waliło mu jak młotem. Zaczął sobie powtarzać: „Tylko spokojnie, tylko spokojnie”. Krople potu wystąpiły mu na czoło. „Już dobrze, już dobrze. Teraz zacznij myśleć.” — Constantin, słyszysz mnie? Wydaje mi się, że Lianis nie żyje. Boję się zatrzymać, by się o tym przekonać, nie chcę ściągać na siebie uwagi. Wiem, że jesteś w ciężkim stanie, ale nie słyszę, co do mnie mówisz. Może masz jakiś knebel w ustach? Wiem, że jesteś przykuty do noszy... — Nabrał powietrza w płuca, walcząc z histerią, która go ogarniała. Prowadząc jedną ręką, drugą otarł twarz z zalewającego go potu. Dłoń mu drżała, kiedy przyłożył ją ponownie do kierownicy. — Zaczekaj. Mam pewien pomysł. Słuchaj, czy możesz nadać jakikolwiek sygnał? Na przykład uderzając kajdankami w nosze? Albo jakoś inaczej? Wszystko jedno, jak. Potrafisz?

Stuk. Stuk. Stuk.

— Dzięki ci, Boże! — westchnienie ulgi wyrwało się z ust Toma.

— No, dobrze! A więc próbujemy. Ja stawiam ci pytanie, dobrze? A ty uderzasz w nosze raz na „tak”, dwa razy na „nie”. Zrozumiałeś?

Stuk.

Łzy napłynęły Tomowi do oczu. Zagryzł usta i opanował się. — Dzięki ci, Boże! Dzięki ci! — Modlił się cicho, aż znowu podniósł głos. — No, dobra, Con. Słyszysz mnie dobrze?

Stuk.

Lekko zrobiło mu się na duszy, gdy usłyszał ten dźwięk. Nabrał Powietrza w płuca. — Och, Con, to fantastyczne! Trzymaj tak dalej, to może jeszcze będziemy mieć szansę.

Czy rzeczywiście mieli jeszcze szansę? Teraz? Autobus zwalniał, by Słę zatrzymać. Wieki Boże! Nie ma innego wyboru, jak tylko go wyprzedzić. Tom nacisnął pedał gazu i możliwie szybko przejechał bok autobusu, bojąc się, że któryś z pasażerów może się obrócić

287

i zerknąć do szoferki furgonetki. Wokół było już mnóstwo (art) ulicznych, sklepów, restauracji i przechodniów na chodnikach.

— Słuchaj, Con. Wieźli cię do szpitala wojskowego. Jechaliśmy 2 ambulansem jakieś dziesięć mil... To znaczy czternaście, piętnaście kilometrów. Uwolniliśmy cię na prostej, która wyłoniła się po serii zakrętów. Kiedy przeładowali cię do furgonetki, ruszyłem z powrotem Mamy już z tyłu te zakręty. Wjeżdżamy do Aten. Ruch jest coraz większy. Właśnie wyprzedziliśmy autobus. Musimy jechać do Pireusu Nie widziałem po drodze ani jednego cholernego znaku, który mógłbym zrozumieć, ale myślę, że do Pireusu trzeba jechać na prawo. Czy to prawda? Mam rację?

Stuk.

— O Boże! Con, to wspaniale! Trzymaj tak dalej. Tylko nie strać przytomności albo nie uśnij! Czyli mam dojechać do pierwszej głównej arterii prowadzącej na prawo. Tak?

Stuk.

— Wspaniale! Idzie nam świetnie.

Przez kilka minut prowadził w ciszy, zaciskając spocone dłonie na kierownicy, nerwowo rozglądając się dokoła. Ale ta cisza nie trwała długo. Odczuwał potrzebę ciągłego utrzymywania kontaktu z Con-stantinem.

— Constantin, wszystko w porządku? Stuk.

Jakże uspokajający był ten magiczny dźwięk! Odgłos metalu uderzającego o metal dodawał sił, podnosił na duchu.

— Po mojej lewej widzę kościół. Wszędzie po obu stronach są małe sklepy. Przed nami skrzyżowanie ze światłami. Myślę, że powinniśmy skrócić w prawo na tych światłach. Jak uważasz, Con?

Stuk.

— Skrócić w prawo? Stuk.

— Dobra. Światła są czerwone. Zwalniam. O cholera! Facet z sąsiedniego samochodu dziwnie mi się przygląda. Chyba zobaczył Lianisa.

Lianis nadal tkwił sztywno między fotelem a deską rozdzielczą-Głowę trzymał na desce. Jego twarz

zwrócona była do Toma, miał rozwarte oczy i zakrwawiony podbródek. Wcześniej kurtka Lianisa była niedostrzegalna w ciemności, teraz epolety błyszcząły w świetle latarni ulicznych. Cały mundur był poplamiony krwią.

— A niech to szlag! Zobaczył Lianisa. — Tom patrzył w przerażeniu, że facet opuszcza szybę w drzwiach swojego samochodu. Był

288

średnim wieku, miał siwe włosy i wąsy. Czy wojskowi noszą wąsy? Może to kolega Lianisa, jego towarzysz? Kimkolwiek jest, sprawia wrażenie dociekliwego. Wyciągnął szyję, by lepiej im się przyjrzeć.

v _ Zmieńcież się wreszcie światła! Oby was szlag trafił! No, zmieńcie się!

Mężczyzna zaczął otwierać drzwiczki swojego samochodu.

Wreszcie światła zmieniły się na zielone. Tomowi krew chlupnęła w lewym bucie, kiedy zdejmował nogę ze sprzęgła. Furgonetka ostro ruszyła. Tom skręcił w prawo, omal nie zderzając się z ostatnim samochodem przejeżdżającym przez skrzyżowanie. Z tyłu za nim mężczyzna szybko wsiadał z powrotem do samochodu. To był elegancki wóz. Czarny, wyglądał na służbową limuzynę.

Kierowcy naciskając klaksony manifestowali swoje niezadowolenie, że blokuje im drogę. Jakaś ciężarówka wtoczyła się na skrzyżowanie, za nią autobus. Potem Tom stracił z oczu ciekawskiego. Na ulicy, w którą wjechał, ruch był bardzo duży. Tom trzymał się prawego pasa ruchu. Tłumy przechodniów przewalały się po chodniku w odległości zaledwie kilku kroków od skrzyżowania. Któryś z nich mógł na nich spojrzeć. Któryś mógł być policjantem. Sklepy i restauracje dorzucały dodatkowe luminy do jasności ulicznych świateł, jakby wszystkie sprzysięgły się przemienić noc w dzień.

— Nie mogę zostać na tej ulicy, Con. Świateł tu tyle, co lampek na choince.

Gdzieś w dali rozległo się wycie policyjnej syreny. Tom drgnął. Zerknął na zegarek. Ósma czterdzieści pięć. Od odbicia Cona upłynęło piętnaście minut. Wielki Boże! Tylko tyle. Piętnaście minut! Elias przyrzekł, że będą mieć pół godziny.

Wycie syreny stawało się coraz głośniejsze. Zbliżało się. Naraz dostrzegł posuwające się w jego stronę, błyskające niebieskie światła. Samochody na drugim pasie zjeżdżały z drogi, by przepuścić wóz Policyjny, który wyłonił się z gąszczy pojazdów i pomknął przed siebie omijając Toma. Omal nie stracił przytomności, tak mu ulżyło. Odchrząknął. Usta miał spieczone jak rozżarzony piasek. — Con? Słyszysz mnie? Stuk.

?— Boję się jechać tą ulicą. Przed nami jeszcze więcej świateł. Myślę, że mniej więcej wiem, w którym kierunku powinienem jechać. Może uda mi się jakoś przecisnąć bocznymi uliczkami. No, wiesz, * lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Co o tym myślisz? Nie uważasz, że to dobry pomysł?

Zemsta

289

Stuk.

— W porządku. Podjeżdżamy do świateł. Jeszcze są zielone. l[0 jedźże! Jedźże! Ten idiota przed nami potrzebuje całej nocy, by skręcić No, szybciej!

Skręcił w lewo na światłach, potem w prawo, a potem jeszcze raz w lewo. Tutaj było ciemniej. Tylko na niektórych skrzyżowaniach paliły się lampy. Ulice były wąskie. Czasem zbyt wąskie, by pomieścić dwa pasma ruchu, więc kiedy spotykały się dwa auta, jedno musiało zjechać na bok, żeby drugie mogło minąć. Choć samochodów nie było wiele, ulice nie były wcale puste ani ciche. Wszędzie otwarte drzwi, by złapać choć odrobinę powiewu. Potoki światła lały się żółtymi strumieniami z mieszkań na chodniki. Młodzi dyskutowali na trotuarach. Mężczyźni siedzieli w tawernach. Stare kobiety szły do kościoła. Czyjeś radio ryczało na pełny regulator zza otwartych okiennic. Dzieci wrzeszczały...

Tom opisywał wszystko, co widzi, w nieprzerwanym monologu. Poczul się tu trochę bardziej bezpiecznie z dala od jasnych świateł głównej arterii. Ochłonął już nieco. W tamtych światłach

widział nie tylko swoich potencjalnych prześladowców. Iluminacja przed jakimś kinem rozświetliła nawet wnętrze furgonetki. Tom obejrzał się za siebie i ujrzał twarz Constantina. Zobaczył to, co Elias widział przedtem. Twarz tak zmasakrowaną, że niemal nie do rozpoznania... Złamany nos, powybijane zęby, posiniaczone policzki, pokryta zastygłą krwią grdyka. Teraz już wiedział, dlaczego nie mógł zrozumieć dźwięków wychodzących z poharatanego gardła Constantina. Usiłował sobie wyobrazić jego mękę. Ból musiał być nie do zniesienia. Tom odgadł, że utrata przytomności jest dla Constantina najlepszą ucieczką, ale nie mógł teraz do tego dopuścić. Kilka razy Constantin nie odpowiedział na jego pytanie. Raz Tom już myślał, że stracił go na dobre.

— Con, Wielki Boże! Odpowiedz! Cisza.

— Con! Chryste Panie! Powiedz, którędy mam jechać! Żadnej odpowiedzi.

— Na litość boską! Jesteśmy już prawie na miejscu. Panos cze na nas w łodzi. Gregg czeka w hydroplanie. Con!

W odpowiedzi usłyszał jęk. Była to prośba o pozostawienie w spokoju, wyartykułowana barwą i tonem głosu, z pomocą Jak, e? zwarcia w krtani lub szarpnięcia językiem, które równie jasno słowa mówiło: — Zostaw mnie w spokoju! Pozwól mi umrzeć!

Tom wrzasnął z całej siły: — Ty draniu! Ani mi się waż! Ty *w

290

sukinsynie! Gdzie twoja ambicja? Ty pieprzony palancie! Melinda czeka tam na ciebie, a ty...

Stuk, stuk, stuk. Stuk, stuk, stuk.

— No już dobra, dobra! — zawołał chrapliwie Tom. Spocone dłonie ślizgały się na kierownicy. Tracił czucie w nodze. Coraz trudniej było mu zmieniać biegi. Trzymał się tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi woli i temu, że ciągle mówił. Nieprzerwanie prowadził swój monolog, mówiąc o czymkolwiek, byleby tylko angażować uwagę Constantina.

— ...po prawej bloki mieszkalne. Cóż za okropność! Ten architekt musiał być chyba pijany. Albo ślepy. A może jedno i drugie? Teraz skręcam, Con. Wjeżdżamy w wąską uliczkę. Lekko się wznosi. Dostyc długa ta ulica. Czy coś ci to mówi? Co? Wiesz, gdzie jesteśmy?

Stuk, stuk.

— Nic nie szkodzi. Jestem pewny, że jedziemy we właściwym kierunku. Skręć tu na dole w lewo. W porządku, Con?

Cisza.

— Con! Stuk.

— Nic się nie martw! Melinda już jest w hydroplanie. Czeka na ciebie. Nic jej nie grozi. Jest z nią Kirsten. Słuchaj, nigdy byś nie zgadł, kim jest ta Kirsten. Ta delegatka Czerwonego Krzyża czy czegoś takiego. Wiesz, kim ona jest naprawdę? Córką Maurice'a! Córką Stantona. I co ty na to? Uwierzyłbyś? Założę się, że nie miałeś o tym pojęcia. Wiedziałeś o tym?

Stuk, stuk.

— No, widzisz. Skręcam teraz w lewo. Jest tu następny kościół... Nie, zaczekaj... to raczej szkoła.

Stuk, stuk. Stuk, stuk. Stuk, stuk.

— No dobra. W takim razie to nie szkoła. Stuk, stuk. Stuk, stuk.

— A więc to jest szkoła, tak? To chciałeś powiedzieć? Stuk.

— Czyli, że jedziemy dobrze? Stuk.

, . Bogu dzięki! No, dobra. Teraz odpocznij. Ale nie zasypiaj.

ledługo będziemy na miejscu. A więc, wracając do Kirsten. Ma ziewczyna klasę. Bardzo nam pomogła. Co za nerwy! Większość obiet na jej miejscu dawno by się załamała. A ta nic. O, do diabła! nyba jakaś arteria przed nami. Dużo świateł. Przejadę ją w poprzek.

uobrZe? Stuk. Stuk.

291

— Co chcesz przez to, u diabła, powiedzieć? Przecież wszędzie pełno świateł. No, dobra. Co mam więc robić? Skręcić w lewo czy w prawo?

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

— Aha. Dwa pytania. Przepraszam. Zaraz do niej dojadę. Skręcić w prawo? W prawo, Con?
Stuk. Stuk.

— W lewo? Stuk.

— Masz rację. Chryste Panie, Con, widzę morze! Widzę łodzie na końcu tej drogi.

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

— O co chodzi? Przecież skręciłem w lewo. Wszędzie jest pełno świateł. Jedziemy jakąś główną arterią. U jej wylotu widzę morze...

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

— Aha, nie jechać do końca? Tak?

Stuk.

— Okay! — Tom przebiegał wzrokiem tawerny i tanie sklepy. — Mijam teraz warsztat samochodowy... dalej jest stacja benzynowa. Po prawej stronie. Obok wąska uliczka.

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

— Jechać dalej? Skręcić w nią?

Stuk.

— Czyli wjechać w tę uliczkę za stacją benzynową? Tak? Stuk.

Tom czuł, że słabnie. Siły go opuszczały. A tak bardzo musi się teraz skoncentrować. Nie usiłował już nawet zmieniać biegu. Jego lewa stopa, cała lewa noga była bezwładna. Próbę przesunięcia dźwigni skrzynia biegów skarciła ostrym zgrzytem. Jadąc na trójce i używając tylko pedału hamulca, skręcił z nagłym przechylem i szarpnięciem obok warsztatu i wjechał w wąską uliczkę. Pot zalał mu oczy. Zbierało mu się na wymioty. Ostatkiem sił spróbował nacisnąć pedał sprzęgła. Aż pociemniało mu przed oczyma. Palący ból przeszył nogę. Jęknął. Ponownie spróbował obrócić się na siedzeniu dociskając krwawiącą nogę ręką. Auto szarpnęło. Silnik zakrztusił się i zamarł. Samochód stanął.

Dyszząc z wyczerpania i bólu Tom chwycił się rękoma za głowę. Łzy bezsilności szczypały go w oczy. Świadomość, że tak niewiele brakowało, by dotrzeć do celu, była nie do zniesienia.

Przejechali już przez cały Pireus. Łódź musiała znajdować się w zasięgu mili... Gregg pewnie nadal czeka w zatoce...

292

Stuk, stuk. Stuk, stuk.

Podniósł wzrok. Na końcu ulicy majaczyły jakieś plamy, opadające i wznoszące się. Łodzie! Z tyłu za nimi rozpościerało się atramentowe morze. Nagle dostrzegł dwie inne plamy. Zbliżyły się. To jakieś dwie postaci. Podchodziły do nich. Pokazywały sobie furgonetkę. Zaczęły biec.

— Chryste Panie! Zauważyli nas.

Rozpaczliwie przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik odezwał się, ale nie chciał zaskoczyć na włączonym trzecim biegu.

Postacie były już niedaleko. Tom usłyszał też kroki z tyłu. Widząc, iż ktoś podchodzi do tylnych drzwi, poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Ktoś stał już przy drzwiach. Nacisnął klamkę i otworzył je szeroko. Constantin jęknął we wnętrzu samochodu i coś rozpaczliwie bełkotał.

Tom otworzył w proteście usta. — Panos! — załkał z ulgą.

W ciemności pojawiły się dalsze postacie, zbiegające z obu stron ulicy. Wszystko w gorączkowym pośpiechu. Czterech, pięciu, sześciu mężczyzn, wliczając w to Panosa. Wyciągnęli Toma zza kierownicy

1 przenieśli na tył furgonetki. Kiedy otwierali tylne drzwiczki, Panos już uruchomił silnik.

Wepchnęli Toma do środka, wydając przy tym stłumione okrzyki. Trzech z nich weszło za nim.

Było tam tak ciasno, że jeden siadł mu na nodze. Drzwi zatrzasnęły się i wokół zapadła ciemność.

Samochód ruszył. Szarpnęło niemiłosiernie. Tom zazgrzytał zębami, zacisnął pięści. Każdy wstrząs przyprawiał go o nieznośny ból. Nie mógł się ruszyć, wszyscy byli ściśnięci. Niewiele brakowało, a utraciłby przytomność...

Jazda trwała na szczęście krótko. Stanęli. Drzwi otworzyły się, ukazując nocne niebo. Poczuł zapach morza. Słychać było szum fal. Ktoś chwycił Toma w pasie i zarzucił go sobie na ramię.

Wisząc głową w dół i huśtając się, Tom ujrzał pod sobą wycięte w skalnej ścianie stopnie. Ściana skalnego nabrzeża. Łódź... w łodzi Panos. Czekał już 2 wyciągniętymi ramionami. Położyli go na pokładzie. Po chwili stanęły obok nosze z Constantinem. Postacie rozpierzchły się. Wibracje Wstrząsnęły pokładem, potężny silnik diesla ożył...

Tom wciągnął głęboko powietrze. Noga bolała go bardziej niż cokolwiek w życiu. Odpierał ataki nudności, starał się zachować Przytomność. Obrócił się na bok i wyciągnął rękę. — Constantin, trzymasz się?

Powoli, z trudem Constantin obrócił ku niemu zmasakrowaną głowę. Nawet noc nie kryła deformacji. Constantin Peponis miał twarz monstrum z jakiegoś sennego koszmaru. Otworzył usta. Słaby szept,

293

a potem bulgotanie i jakiś zwierzęcy charkot wydobyły się z jego krtani. Uniósł dłoń. Rozległ się pojedynczy stuk metalu o metal.

Kajdanki. Tom wciągnął powietrze. Jęknął, uświadamiając sobie że natychmiast trzeba coś z tym zrobić. Con był nadal przykuty do noszy. — Rany boskie! Musimy cię uwolnić od tych bransoletek! Inni też pomyśleli już o tym. Panos postawił przy sterze chyboczącej się na ciemnych falach łodzi jednego ze swoich ludzi, a sam przykleknął obok noszy i ujął Constantina za nadgarstek.

Tom uniósł się na łokciach. — Musielibyście mieć nożyce do metalu, żeby to przeciąć. Nie uda się go przenieść na „Helenę” przykutego do noszy.

Przerwał widząc, jak Panos bierze się do rzeczy. Nosze wykonano z płótna rozciągniętego na dwóch metalowych prętach. Panos rozcinał nożem płótno. Nie mogąc uwolnić Constantina z kajdanek, postanowił zdjąć kajdanki z noszy. Płótno było mocne, rozcinanie szło Panosowi opornie. Przeklinając wściekle, ciął płótno w pasy. Wyciągnął z kajdanek jeden pręt.

Nagle dobiegł ich zduszony, przynaglający okrzyk od koła sterowego. Panos błyskawicznie zerwał się na nogi, wciskając nóż w rękę Toma. Walcząc z własnym bólem, ciemnością i huśtaniem łodzi, Tom ciął płótno w okolicy stóp Constantina. Usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność, uświadamiając sobie nagle, że płyną bez światła.

Ale w tej samej chwili jeden z ludzi Panosa włączył szperacz na rufie. Skierowany na sterburtę snop światła na sekundę oświetlił całą łódź. I zaraz reflektor zgasł. Tom pracował zapamiętale, tnąc i rozdzierając płótno. Poczul, że łódź skręca na prawą burtę. Odłożył nóż i zaczął wysuwać pręt z kajdanek. Szmer podekscytowanych głosów podniósł się na łodzi. Panos wrócił do Constantina i dokończył dzieło. Łódź zwalniała. Warkot silnika przeszedł w cichy pomruk.

Constantin był wolny. Kajdanki uwolnione z prętów zwisały mu u przegubów jak groteskowe bransolety.

Panos nie tracił ani sekundy. Poderwał Constantina na nogi, krzycząc coś do swoich ludzi. Tom poczul, że czyjeś ręce ujmują go pod ramiona, pomagając wstać. Jakiś olbrzymi cień wynurzył się w ciemności. Tom zamrugał ze zdumienia powiekami. Nie wierzył własnym oczom. „Helena"! Tak blisko. Hydroplan znajdował się nad nimi. Łódź skryła się pod jednym z jego skrzydeł. W otwartym włązie dostrzegł zarys sylwetki Gregga, który wyciągał do Panosa rękę? - Panos, wspomagany przez jednego ze swoich, podnosił do niego Constantina... Jedną rękę oparł o hydroplan... Kogoś pocieszał. - Teraz przyszła kolej na Toma. Czyjeś ręce podniosły go i posadziły

294

„a burcie. Bolał go każdy mięsień, a noga rwała wręcz nie do niesienia. Lecz rozdzierający ból był niczym wobec radości, jaka go f0Zpierała. Był oszołomiony radością. Łzy szczypały go w oczy. Chciał rzędużyć ten moment, opóźnić, móc podziękować Panosowi i innym... Ale zaraz wciągnięto go do środka hydroplanu i zatrzaśnięto pokrywą włazu. Tom dostrzegł tył głowy Gregga, zmierzającego w pośpiechu do kabiny pilota. Przez moment słyszał szloch Melindy, a potem warkot silnika zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Osuwając się na fotel poczul, że obejmują go czyjeś ciepłe dłonie. Spojrzał w górę i dostrzegł nad sobą ciemne, zapłakane oczy Kirsten.

KSIĘGA SIÓDMA

1978

Już druga! — zawołał zdumiony Alec. — I co z tego? — skarcił go Constantin. Nie życzył sobie, by mu przypominano, która godzina. A już zwłaszcza nie chciał, żeby Tom o tym wiedział. Lepiej wspominać stare dzieje. Lepiej, by Tom mówił o tamtych czasach i pił dobrą brandy, zalał się w pestkę, by rano nie miał sił zawiązać sobie krawatu, nie mówiąc już o zaciśnięciu komuś stryczka na szyi.

Nie wydawało się zbyt trudne doprowadzić go do stanu upojenia alkoholowego. Tom przykucnął przy kominku i wrzucił następne sosnowe polano. Twarz miał zaczerwienioną, lecz nie od alkoholu, ale od żaru z paleniska. Podniósł wzrok, zmarszczył brwi i zamyślił się. — Po co my, do licha, wspominamy te stare dzieje?

Nuta zdziwienia w głosie Toma podniosła Constantina na duchu, zrozumiał, że nastąpiło przesilenie. — To stare historie o tym, co się nam przydarzyło — powiedział z lekką zadumą. — A o czymże mają rozmawiać starzy przyjaciele? Nie jestem pewny, czy Alec zna wszystkie szczegóły. Alec znał je dobrze. Słyszał te opowieści wielokrotnie. Miał to właśnie powiedzieć, kiedy zobaczył, że Constantin daje mu znaki, bwisła powieka Constantina jeszcze raz konspiracyjnie zamruwała. Iec stłumił w sobie odruch protestu. Zastanawiał się, do czego onstantin zmierza. Już od wielu godzin wałkowali te stare sprawy, czy ma to jakieś znaczenie? Może rzeczywiście określona metoda onstantina przyniesie efekt, gdy do Toma nie przemawiają rzeczowe

299

argumenty. Wszystkiego warto spróbować, nawet jeszcze teraz 0 później porze, a może szczególnie teraz, kilka godzin przed przybyd CJ gości. Alec spojrział na Toma, który wyjmował właśnie z kos następne polano, by wrzucić je do ognia. — No cóż... to prawda³ Wydaje mi się, że nie znam wszystkich szczegółów. Raczej lu²rie strzępy informacji, ale...

— Słyszałeś, Tom? Luźne strzępy informacji. My też byliśmv wtedy w strzępach. Owej nocy, gdy odlatywaliśmy stamtąd...

Tom podniósł się od kominka. Wyraz jego twarzy wyrażał niechęć grzebania się nadal w przeszłości. Widać było, że nie chce już wspominać dnia, gdy przywieziono ich na Kariakos jak rannych z pola bitwy. Na pokładzie „Heleny” na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Był wypompowany utratą krwi. Stracił jej dużo. Z pomocą nożyczek do paznokci Kirsten rozcięła przesiąkniętą krwią nogawkę spodni i odsłoniła ziejącą ranę w udzie. Ciągłe pamiętał delikatny dotyk jej palców, zatroskanie na twarzy, krew na dłoniach. Dotąd słyszy ten głos, który stwierdził z ulgą: — To jest rana na wylot... Myślę, że kula wyszła z drugiej strony.

Patrząc na Constantina można było sądzić, że opowiada dowcip. — Powinieneś być nas wtedy widzieć, Alec. On krwawił jak zarzynane kurczę, ja majaczyłem w malignie. Melinda dostała napadu hysterii, a Kirsten krzyczała na Gregga: „Dlaczego jeszcze nie startujemy?” Mówię ci, to był cud, żeśmy tu w końcu dotarli.

Alec szybko zadał następne pytanie, by podtrzymać konwersację. — Jak to było, kiedy przylecieliście? Jak dotarliście do willi?

— No przecież nie tą stromą dróżką! — zawołał Constantin, wskazując ciemne okna tarasu i wijącą się za nimi ścieżkę. — Gregg okazał dużo zdrowego rozsądku, zawożąc nas do wioski rybackiej, a nie tutaj.

Tom przypomniał sobie Maurice'a, gdy przyszedł go odwiedzić w domu rybaka. Dziwna rzecz, pamiętał go tylko wchodzącego w drzwi, a nie przypominał go sobie w domu rybaka. Nie pamiętał też, by widział go w wiosce.

— Ale byliśmy poharatani, prawda, Tom?

Nadal walcząc ze wspomnieniami, Tom wzruszył ramionami-Moja rana postrzałowca w porównaniu z tobą to pestka.

— Aha, udajemy chojraka, który po bitwie bagatelizuje rany.

— Nie przesadzaj! Moja rana była przynajmniej czysta. Miałem szczęście. To o ciebie się martwiliśmy.

Constantin zamilkł na chwilę. Cień ponurej refleksji pojawił się w jego wzroku. — Wiem — przyznał cicho. — Przez pewien czas moje

300

je wisiało na włosku. — Podrapał się w policzek zniekształconą dłonią — Dopóki mnie nie poskładaliście do kupy.

— Mnie na pewno nie możesz przypisać żadnych zasług. To

• Melinda i lekarze... — Tom zawahał się: — No, i Kirsten.

Constantinowi serce zabiło mocniej. Tom wymówił jej imię, naprawdę wymienił jej imię. To był przełom. Przecież to Kirsten była powodem wszystkiego. Tom dotychczas unikał jej imienia.

Constantin zaczął mówić szybciej: — Tak, Kirsten była wspaniała. Gdyby nie ona, byłoby już po mnie. Melinda bez niej nie dałaby sobie rady.

— Nie wiedziałem, że Melinda też była ranna — przerwał zaskoczony Alec.

— Nie, nie była ranna... — Constantin usiłował znaleźć właściwe słowo. — Musisz zrozumieć, moja sytuacja była ciężka, ale Melindy jeszcze gorsza. Widząc mnie w tym stanie Melinda całkowicie się załamała. Miałem zmasakrowaną twarz, nie mogłem mówić. Wydawałem z siebie tylko potworne dźwięki. Słyszałem, gdy szlochała, kiedy myślała, że śpię. Serce mi się krajało, ale nie potrafiłem jej w żaden sposób pocieszyć. Kirsten doglądała Melindy w równym stopniu, co mnie. Czy nie tak było, Tom?

Tom znów napełnił kieliszki. Gdy podniósł wzrok, widać w nim było ból, ale też i tęsknotę. Wpadł w pułapkę. Jakaś część jego duszy pragnęła jednak wspominać tamte dni, kiedy kuśtykał o lasce.

— Maurice zażądał, byśmy się przenieśli do jego willi — ciągnął Constantin. — Ale Kirsten zaprotestowała. Pamiętam, jak się wtedy rozszłościła, aż cała poczerwieniała. — Roześmiał się. „Za nic nie zgodzę się mieszkać z nim pod jednym dachem!” — zawołała. Tak więc Tom przeniósł się tutaj, a my zostaliśmy w domu rybaka.

Tom też to sobie przypominał. Pamiętał, że Kirsten powitała ojca z zaciśniętymi pięściami i tupiąc nogami. Constantin miał rację, była wówczas wściekła, ale jej wybuchu nie spowodowało tylko uprzedzenie. Walcząc ze łzami, starała się zapanować nad bardziej skomplikowanymi emocjami.

?— Nie wyjechała — dodał pośpiesznie Constantin. — Nie chciała mnie zostawić, dopóki nie będę miał zapewnionej opieki lekarskiej.

Zapewnienie mu opieki lekarskiej zajęło trochę czasu. Maurice działał szybko, ale stan Constantina był tak ciężki, że trzeba było sprowadzić specjalistów. Na Kariakos nie było ani jednego lekarza,

* Kirsten nie zgodziła się na przewiezienie Constantina na Maltę lub do Turcji.

Ryzykując uwięzieniem Gregg wrócił do Passalimani. Sprowadził ułoga Mastersa z ateńskiego hotelu. Razem spędzili cały ranek

301

udając, że naprawiają prawy silnik „Heleny”. Pracowali nie kryjąc się mogły ich obserwować tłumy ciekawskich, w tym żołnierze junty i policjanci. Nikt się jednak nimi nie interesował. Zadowolony z wyniku tej próby Gregg odetchnął z ulgą. Poleciał „Heleną” na Maltę a Masters udał się learjetem do Londynu. Po czterdziestu ośmiu godzinach Masters wylądował na lotnisku w La Valetcie, przywożąc z sobą pielęgniarkę i dwóch lekarzy z Harley Street. Gregg odebrał ich z Malty i przywiózł na Kariakos, omijając szerokim łukiem Grecję, by żadne słuchy o tym locie nie dotarły do uszu pułkowników.

— Do czasu, gdy przybyli lekarze — wtrącił Tom — Kirsten wraz z Melindą zdążyły już przekształcić dom rybaka w małą lecznicę.

Nie tylko one — dodał Constantin. — Wszyscy pomagali. Mavros chodził koło nas i w ogóle

wszyscy mieszkańcy wyspy. To dobrzy ludzie. Pomagali już wcześniej innym uciekinierom, którzy tam się kryli przed reżimem pułkowników.

Łóżko Constantina umieszczono w największym pokoju z widokiem na morze, a kobiety zajęły sypialnię.

Lekarze nie mogli się nachwalić Kirsten za jej podejście do pacjentów. Rana Toma była czysta, nie wdała się infekcja. Ale z Constantinem sprawa nie była łatwa.

— Strasznie długo trwało, zanim go poskładali do kupy — uśmiechnął się Tom.

Zdrutowali Constantinowi szczękę. Następnie całą głowę umieścili w ochronnym koszu z drutu.

Opatrzyli mu rany i oparzenia na ciele i po poskładaniu kości umieścili w gipsowym ściworze.

— Mogłem poruszać tylko palcami — ciągnął Constantin, demonstrując to na prawej dłoni. — Musiałem w tym ściworze leżeć cały miesiąc, by trochę dojść do siebie przed operacją.

Ale skrzywił się: — Okropność!

— To nie było aż takie straszne — powiedział Constantin. — Lekarze zostawili mi różne lekarstwa, więc tylko czasem odczuwałem ból. Trapiły mnie natomiast koszmary nocne, ale miewam je do dziś. Nie, to jeszcze nie było najgorsze. Warunki miałem wręcz komfortowe. Tom przychodził co dzień mnie odwiedzić, a przez cały czas czuwały przy mnie Melinda i Kirsten.

Kirsten mogła wyjechać wraz z lekarzami. Pielęgniarka zgodziła się zostać i ją zastąpić. Kirsten mogła odlecieć na Maltę, a stamtąd udać się wprost do Genewy...

— To Melinda nakłoniła ją, by została — powiedział z satysfakcją Constantin. — Zaprzyjaźniły się, zanim jeszcze mnie aresztowali—Melinda była jej niezmiernie wdzięczna. Ufała jej, podziwiała ją—

302

Kirsten stała się dla niej kimś szczególnym. Były jak siostry, prawda Tom?

Tom skinął w zamyśleniu głową. Wbrew jego woli wciągnięto go w rozpamiętywanie przeszłości.

Codziennie chodził do domu rybaka. Odległość półtorej mili, dzielącą willę od wioski, pokonywał archaicznym jeepem, który był jedynym zmotoryzowanym środkiem lokomocji na Kariakos.

Kirsten zmieniała mu opatrunki. Melinda gotowała. Wszyscy czworo bardzo się z sobą zżyli.

Constantin zachichotał. — Pamiętam, jak Tom starał się nakłonić Kirsten do spotkania z

Maurice'em. Cóż to była za sprzeczka! Z płonącymi policzkami kazała mu pilnować własnego nosa. Przypominasz sobie, Tom?

Tom uśmiechnął się. Jakże mógłby zapomnieć! Biedny stary Maurice bardzo to przeżywał.

Ogromnie go dotknęło odnośnienie się Kirsten do niego. I choć znosił jej wrogość ze spokojną godnością, to zawsze zasypywał Toma mnóstwem pytań, kiedy ten wracał do willi. Maurice bardzo chciał przyjść do domu rybaka. Miał do tego prawo, ten dom należał do niego, on go wyposażył, on dostarczał żywność i wszystko, czego było im trzeba. Ale Kirsten trzymała go na dystans. Tom po raz pierwszy widział Maurice'a tak przybitego, przygnębionego. Wszystkie wieczory spędzali razem. Tylko on i Maurice, nikogo więcej. Maurice odesłał swoje dziewczyny do Europy. Ostatnio znów były dwie — Bess z Nowego Jorku i mała Francuzeczka, której imię Tom zapomniał.

Maurice zbagatelizował tę sprawę, twierdząc, że Bess chciała zwiedzić Rzym, a ta druga pojechała z nią dla towarzystwa. Dotąd nigdy tak nie bywało. Jeśli któraś dziewczyna chciała zwiedzić Rzym, Maurice jechał tam z nią. Mieszkali zwykle w Excel-siorze. Jeszcze lepiej, jeśli były dwie dziewczyny, tym więcej przyjemności dla Maurice'a. Prawda była taka, że bardzo mu zależało na wywarciu dobrego wrażenia na Kirsten i dlatego pozbył się obu dziewczyn. Tak więc wieczorami grał z Tomem w tryktraka i rozmawiał z nim o interesach. Przysłuchiwał się rozmowom Toma z Alekiem w Londynie, Amiensem w Genewie i Edwardsem w Toronto, który właśnie wybierał się stamtąd do Nowego Jorku. Stanton Industries rozrastało się, a tymczasem rana w nodze nie pozwalała Tomowi działać. Każdy wieczór kończył się zawsze tak samo. Maurice ponownie nawiązywał do Kirsten. Pytał Toma, czy ją lubi, Jaka ona właściwie jest...

Constantin uśmiechnął się. — Kiedy Kirsten wściekała się na Toma, cała paśowała i wyzywała swojego ojca od egoistycznych drani, Tom stawał w obronie Maurice'a, wyliczając jego zasługi

303

wojenne. Melinda i ja nigdy o tym nie słyszeliśmy, ale nie słyszała o nich również i Kirsten. Niełatwo jej przychodziło dowiadywać się o rzeczach, które matka przed nią przemilczała. Wyszła na jaw sprawa prezentów urodzinowych, jakie Maurice jej przysyłał, a ona nigdy żadnego z nich nie oglądała. Czy tak było, Tom?

Tom milczał. Kirsten rzeczywiście była tymi wiadomościami wstrząśnięta. Nie chciała uwierzyć, że ojciec przysyłał jej prezenty, Tom zaś nie wierzył w to, że Maurice potrafiłby kłamać. — Po cóż miałby to robić? — tłumaczył jej. — Mówił mi o tym jeszcze wówczas, gdy nawet nie przypuszczał, że się kiedyś z tobą spotka.

— Tom... — Constantin czekał na jego odpowiedź. Tom podniósł wzrok.

— Pamiętasz te boje z Kirsten?

— Pamiętam. Wiem też, że jej matka bardzo selektywnie przedstawiała jej historię rodzinną.

— Nawet w sprawie rozwodu — dodał Constantin, chcąc podtrzymać rozmowę. — Kirsten nie wiedziała, że jej ojcu zabroniono ją widywać. To prawda?

Tom pamiętał, jak ta wiadomość zszokowała Kirsten. Pamiętał wyraz bólu na jej twarzy.

— Potem na jaw wyszła jeszcze sprawa Roddy'ego — dodał Constantin. — Kirsten nie wiedziała, że chłopak regularnie przyjeżdża na wyspę. Nie wiedziała, że spotyka się z ojcem w Londynie. To była dla niej olbrzymia niespodzianka. Prawda, Tom?

Zamiast odpowiedzieć Tom pociągnął łyk brandy.

Constantin roześmiał się. — Pamiętam, że kiedyś Kirsten kłócąc się z Tomem wyciągnęła sprawę dziewczyn Maurice'a. „A co powiesz o tych jego utrzymankach? One na pewno nie są wytworem wyobraźni mojej matki!”

Tom jął jej tłumaczyć, że Maurice taki już ma styl życia, że nie ma w tym nic złego. A wówczas do dyskusji włączyła się Melinda. Zaczzerwieniła się i wypaliła: „Widywałam je wielokrotnie u nas w tawernie. Te kobiety go uwielbiają. On je fascynuje. Jest dla nich miły. Widziałam to na własne oczy. Taki człowiek nie mógłby unieszczęśliwić kobiety. Kirsten, powinnaś być dumna ze swojego ojca!

Śmiech Constantina udzielił się też Alekowi, a i Tom się r^oz" chmurzył. Nie przestając się śmiać, Constantin dokończył: — Kirsten uniosła do góry ramiona i zawołała: „A więc i ty, Melindo, jesteś z nim w zмовie?”

Patrząc z perspektywy, Tom musiał przyznać, że wyglądało to rzeczywiście na zмовę. Melinda przyszła im w sukurs z powodoW'

304

których nigdy nie potrafił w pełni zrozumieć. Nie wiedziała przecież, jak bardzo Maurice'owi zależy na pojednaniu z córką.

— Tom ciągle na nią naciskał — ciągnął dalej Constantin. — „Spotkaj się z ojcem” — mówił. — „Przecież cię nie zje”. A wtedy włączyła się Melinda i pytała: „Jak można wierzyć w to, że człowiek, który przywoził nam z Londynu pieniądze i listy, może być egoistą?”

Tom zapytał Maurice'a o sprawę tej korespondencji. Maurice uśmiechnął się niewinnie, starając się umniejszyć swoją rolę. — Odwiedził mnie kiedyś w Londynie pewien Grek — wyjaśnił. — Nazywa się Alexandros Dedas. Sprawdziłem, czy jest tym, za kogo się podaje. Był to prawnik z wykształcenia, przyjaciel Constantina. Opowiedział mi jego historię. Nie miałem nic przeciw temu, by się bawić w kuriera. Przypominało mi to nieco czasy wojny. — Maurice nie dał się jednak głębiej wciągnąć w greckie sprawy. — Oczywiście, wojna to jednak co innego — stwierdził. — Nie jestem już młody. Poza tym nie prowadzę w Grecji żadnych poważnych interesów. Nie mam tu też przyjaciół. No, a przede wszystkim, nie ma tu Carla Pohla, który dręczyłby moje polityczne sumienie.

Constantin uśmiechnął się do wspomnień. — W taki właśnie sposób mijał nam czas. Oni rozmawiali, a ja się przysłuchiwałem. Niekiedy włączaliśmy radio, by posłuchać wiadomości. Nie można było, oczywiście, wierzyć temu, co mówi radio — hunta kontrolowała wszystkie środki przekazu. Z dużą nieufnością traktowaliśmy wszelkie informacje. Nie donieśli o żadnych aresztowaniach. Nie traciliśmy więc nadziei. Pewnego dnia jeden z rybaków przekazał nam

wiadomość, że Elias dotarł w górach do wuja Mikisa i jest już bezpieczny.

— Czyli, że wszystkim wam się upiekło? — zapytał Alec.

— Wszystkim — potwierdził Constantin i uśmiechnął się z satysfakcją.

Mijały dni. Kiedy Constantin nie spał, pozostali przysuwali krzesła do jego łóżka i mówili mu, co się działo. Odpowiadał im pisząc w notesie. W innych okolicznościach taka wymuszona bezczynność doprowadzałaby Toma do rozstroju nerwowego, ale tam każdy dzień obfitował dla niego w wydarzenia. Codziennie przyjeżdżał do domu rybaka, by się dowiedzieć o zdrowie Constantina, obserwował, jak skóra zaczyna przybierać naturalną barwę, a głowa staje się coraz kształtniejsza. Pocieszał Melinę, namawiał Maurice'a do cierpliwości wobec córki, z Kirsten też często rozmawiał. Godzinami opowiadała 0111 o Międzynarodowym Komitecie Czerwonego Krzyża. Była to Instytucja znacznie bardziej zaangażowana politycznie, niż Tom Początkowo przypuszczał. Wyglądało na to, że gdy tylko w jakimś

zemsta

305

kraju dorywał się do władzy dyktator, zaraz pojawiał się tam Czerwony Krzyż, by pokrzyżować mu szyki. — Tak właśnie to wygląda —' twierdziła Kirsten — ale większość delegatów ma bardziej odporną psychikę niż ja.

Z czasem Tom coraz częściej zaczął odczuwać potrzebę oglądania jej smutnego, skromnego uśmiechu. Kirsten przesłała do Genewy informację o miejscu swojego pobytu oraz rezygnację z pracy. Gregg dopełnił resztę formalności, dzwoniąc do londyńskiego biura Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Tom uznał ten krok za nieostrożny, ale Kirsten przekonała go mówiąc, że „Oni zawsze dochowują tajemnicy”.

Constantin przypatrzył się teraz uważnie Tomowi. Nagle coś przyszło mu do głowy, powiedział: — Musisz wiedzieć, Alec, że Kirsten była kimś szczególnym nie tylko dla Melindy. Wszyscy ją pokochaliśmy. — Roześmiał się cicho. — Melinda, kobieta z krwi i kości, zaraz zaczęła odgrywać rolę swatki. Lubiła zarówno Kirsten, jak i Toma, no i ciągle przebywaliśmy wszyscy razem... — Constantin znów się uśmiechnął. — W każdym razie, nie było to trudne. Tom i Kirsten zadurzyli się w sobie. Nawet ja to dostrzegałem, Melinda nie musiała mi o tym mówić, szczególnie gdy zaczęły się te ich wieczorne przejażdżki.

Tom zdziwił się. — Wyjeżdżaliśmy po to, by dać wam trochę czasu dla siebie.

— Zgadza się. Melinda powiedziała mi o tym. Sama poprosiła Kirsten o tę przysługę. Ale powiedz mi, przyjacielu, czy było to takie uciążliwe dla ciebie?

Tom milczał zakłopotany.

— Oczywiście, nie przypisuję sobie jakichś szczególnych zasług — rzekł Constantin. — Myślę, że i tak nie miało to wpływu na ostateczny rezultat.

Tom często wieczorami zabierał Kirsten na przejażdżkę. Nie jeździli daleko. Na Kariakos znajdowała się tylko ta osada rybacka, willa, sześć wąskich plaż i trzy pokryte sosnowym lasem wzgórza. Nie było tu zwykłych dróg, tylko kilka leśnych traktów, przechodzących niekiedy w polany powstałe po wyrębie drzew. Najrówniejszy trakt prowadził do willi, ale tam Kirsten nie chciała jeździć, więc zazwyczaj tłukli się jeepem na najwyższe wzgórze, Tom zostawiał samochód pod jakimś drzewem i szli oglądać morze.

Wiele godzin spędzili pod tymi drzewami. Rozmawiali, poznawali się coraz lepiej. Żadne z nich nie było przygotowane na to, c0 nadeszło. W każdym razie na pewno nie Tom.

306

Melody nie zawsze była przy nim, kiedy jej potrzebował, a kiedy już była, pochłaniała go bez reszty. Zresztą, nie tylko jego. Styl życia, który prowadziła, oraz pieniądze, jakie zarabiała, przydawały jej atrakcyjności. Głowy odwracały się, gdy przechodziła. Wejść z Melody jo restauracji znaczyło stać się obiektem zazdrości wszystkich mężczyzn. Byliby jeszcze bardziej zazdrośni, gdyby ujrzeli ją w łóżku, kiedy patrzyła na niego zielonymi, na wpół przymkniętymi oczami, z rozchylonymi ustami i złotymi włosami rozsypanymi na poduszce. Melody stała się jego

wielką przygodą. W niczym nie przypominała Kirsten.

Oczywiście, lubił Kirsten. Czuł się za nią odpowiedzialny. Z jego winy tu się znalazła. Ale skoro już tu była, chciał, by spotkała się z Maurice'em. Chciał doprowadzić do pojednania ojca z córką, do pojednania dwojga swoich przyjaciół.

Kirsten miała dużo wdzięku i urody. Jej poważne, głęboko osadzone oczy o czarnych rzęsach mogły urzec. Te jej oczy miały niezwykłą zdolność wyrażania uczuć. Jedno ich spojrzenie mówiło nieraz więcej niż słowa.

Nagły i niespodziewany przyływ uczuć zastał Toma zupełnie nieprzygotowanym, a ten jego brak przygotowania również i na niej wywarł wrażenie. Całe jej dotychczasowe życie się zawaliło.

Rezygnacja z pracy w Międzynarodowym Komitecie Czerwonego Krzyża była tylko częścią tego wszystkiego. Opowieści Toma o Maurisie zachwiały jej dotychczasowymi wyobrażeniami o ojcu. Uwierzyła w nie na tyle, by zrodziły się w niej poważne podejrzenia do matki. Bardzo trudno przychodziło jej o tym mówić, bywała czasem bliska płaczu. „Jak ona mogła wyrządzić mi taką krzywdę? Przez wszystkie lata... te jej kłamstwa.”

Mocno utrwalił się Tomowi w pamięci pewien wieczór. Kirsten bardziej wzięła sobie do serca jego słowa, niż przypuszczał. Nagle zasypała go lawiną pytań, z którymi nie mogła sobie poradzić. — Myślałam, że kogo jak kogo, ale matkę znam dobrze. I nagle... jakby mnie zdradziła... Okazuje się, że całe moje życie opierało się na kłamstwie. Czuję się oszukana. Komu można wierzyć? Czy w ogóle można komuś wierzyć?

Kirsten była rozgoryczona. Perspektywa spotkania z matką wędzała ją w ponury nastrój. — Co ja jej powiem? Czy mam ją poprosić, by zwróciła mi lalki, które on mi przysyłał, gdy miałam Sledem lat? Czy mam spytać, dlaczego mi mówiła, że on nie chce mnie widzieć, podczas gdy to ona cały czas zabraniała mu widywania się ze mną?

307

Ale i ta burza minęła. Jedną z cech charakteru, która najbardziej mu się w Kirsten podobała, była niechęć do litowania się nad sobą. Uśmiech szybko powracał na jej twarz. — No tak. To rzeczywiście tragedia, prawda? Tylko nade mną należy się litować. Co innego Melinda. Ona to ma szczęście! Torturują jej męża. Traci dom, kraj, rodzinę. — Kirsten westchnęła ironicznie. — Ale, oczywiście, to ja' jestem ofiarą. A Melinda ma szczęście. Ona to ma szczęście!

Siedział przyglądając się jej i podziwiając opadające na ramiona ciemne włosy. Obserwował uśmiech Kirsten. Włożyła w tym dniu cytrynową bluzkę i spódnicę w kwiaty, jedno i drugie pożyczone od Melindy. — To na znak przyjaźni — powiedziała z uśmiechem. — Nadanie statusu uchodźcy.

Doszedł do wniosku, że Kirsten rzeczywiście jest kimś w rodzaju uchodźcy. Uprzywilejowanego uchodźcy. Nigdy nie zaznała biedy. — Powodziło się nam gorzej niż źle. Nie miałyśmy ani grosza. Mama zawsze musiała oszczędzać, tak przynajmniej twierdziła. Zawsze jej wierzyłam. Teraz nie wiem, czy to była prawda...

W Genewie dzieliła pokój z dwiema innymi dziewczynami. — Żeby się uniezależnić. Żeby opuścić dom. To naprawdę było głupie. Matka mieszka przecież w olbrzymim domu nad jeziorem.

— Chyba widziałem ten dom. — Tom przypomniał sobie, że Yvonne Amiens pokazywała mu chateau Stanton.

Oczy Kirsten rozszerzyły się z zadowolenia: — Widziałeś ten dom?

— Tylko z daleka.

— Jest wspaniały. Jedyny w świecie. Właściwie to matka powinna ten dom sprzedać, skoro tak źle się jej powodziło. Mogłaby potem

dostatnio żyć. Myślę jednak, że nie potrafi się z nim rozstać.

— Ale przecież Maurice wypłacił jej fortunę przy rozwodzie. Spojrzała na niego. — To on tak mówi.

— Dlaczego miałby kłamać? Mogę go o to zapytać. Albo lepiej, ty przyjdź do willi i sama go o to zapytaj.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo... — Policzki Kirsten znów się zaróżowiły. — Już to, że z tobą o tym rozmawiam, jest brakiem lojalności wobec matki-Rozmawiając z nim czułabym się sto razy gorzej. Poza tym nie wierzę, że taki z niego wzór doskonałości. ,

— Dlaczego więc nie porozmawiasz o tym z Roddym? On też by kiedyś odsunięty od ojca w taki sam sposób, jak ty, a teraz świetnie się obaj rozumieją. Roddy często tu bywa na wyspie. . .

— To jest dla mnie najbardziej zdumiewające — powiedz

308

z niedowierzaniem Kirsten. — Niemożliwe, by matka o tym wiedziała. Oszałałaby z wściekłości. Siedząc przygarbiony na krześle, z kieliszkiem brandy w ręku, Tom wpatrywał się w ogień, dumając nad przeszłością. Czasem odnosił wrażenie, jakby to wszystko miało miejsce nie dalej niż wczoraj.

W pokoju zapadło milczenie. Nawet wiatr za oknem ścichł do słabego szumu.

Constantin wyczuł, że Alec przygląda mu się, jakby się zastanawiał, czy się odezwać, obawiając się, że mógłby wtargnąć coś niewłaściwego. Ta sama obawa sprawiła, że Constantin szybko powiedział: — Byliśmy wtedy na wyspie cztery, a może pięć tygodni. Ile właściwie czasu tam spędziliśmy, Tom, cztery czy pięć tygodni?

— Co? — Tom popatrzył na niego w roztargnieniu.

— Pytam, czy byliśmy tu wówczas cztery czy pięć tygodni?

— Nie wiem. Chyba miesiąc.

Pod koniec miesiąca Kirsten uznała, że zdrowie jej pacjentów znacznie się poprawiło. Choć Tom chodził jeszcze o lasce, rana goiła się szybko. Constantin nadal wyglądał okropnie, ale z pewnością był już znacznie mocniejszy i nadszedł czas, by przewieźć go do Londynu dla przeprowadzenia koniecznych operacji.

Maurice zdecydował, jakim środkiem transportu się tam udadzą. „Afrodyta” stała na redzie w Marsylii, gdzie poddawano ją różnym zabiegom renowacyjnym, ale Maurice kazał przerwać te prace. Pod koniec miesiąca stała już na kotwicy u wybrzeży wyspy, w każdej chwili gotowa do wyjścia w morze.

— Co byś powiedział na pomysł wysłania ich do Anglii na Pokładzie „Afrodyty”? — zapytał któregoś wieczoru Toma. — Ty też właściwie mógłbyś z nimi się zabrać. To wygodniejsze niż lot samolotem. Szybciej dojdiesz do siebie.

Tom przekazał tę wiadomość Melindzie następnego dnia. Była bardzo poruszona. Nie zwierzała mu się z tego wcześniej, ale dręczyła \$ sprawa pieniędzy, chętnie pokryłaby koszty. Jej rodzina zamieniła 4 gotówkę na złoto. Torebka Melindy ciężka była od biżuterii, j adaly się na nią podarunki od Constantina, ale w większości były ° Precjoza otrzymane od wujów i ciotek. Całe bogactwo Constantina °zna było wysypać na stół. , Melinda ustanowiła się rzecznikiem zarówno swoim, jak i Cons-n.tina, mniej doświadczonym zastępcą elokwentnego niegdyś pra-'ka.

Zdenerwowanie i brak doświadczenia Melindy doprowadziły do

309

niezręcznej sytuacji. Usiłowała wymusić na Tomie przyjęcie platyn0 wego pierścienia, a na Kirsten złotej broszki. Najbardziej martwiła s' z powodu Maurice'a. Załamywała ręce. — Jak my się odwdzięczy panu Stantonowi? Tyle kłopotów miał z nami... Przyjeżdżali tu lekarze, a teraz mamy wyjechać do Londynu na jego koszt...

By uciec przed niezręcznością sytuacji, Tom i Kirsten odjechali jeepem. Udali się na swoją polanę, gdzie usiedli pod drzewami i rozmawiali o absurdalnej hojności Melindy. Tom nie mógł się doczekać powrotu do pracy w Londynie, gdzie znów zobaczy Aleka i sprawdzi, co nowego u Amiensa i Edwardsa. Na jego biurku przy Jermyn Street z pewnością piętrzy się olbrzymia sterta spraw do załatwienia.

Kirsten nie potrafiła się zdecydować, gdzie jechać. Nic szczególnie pilnego nie gnało jej z powrotem do Genewy. Obowiązki już jej nie wzywały do Międzynarodowego Komitetu

Czerwonego Krzyża. Jeśli chodzi o matkę, to tylko wzruszyła ramionami i powiedziała: — Potrzebuję więcej czasu, by to wszystko przemyśleć. Na pewno łatwiej mi będzie z nią rozmawiać, jeśli się nad tym jeszcze zastanowię.

Spróbował wyciągnąć z niej coś więcej o sprawach, które mogłyby ją wzywać do Genewy. — No a co z przyjaciółmi?

Spojrzała na niego rozbawiona. — Chodzi ci o mężczyzn w moim życiu? No więc, jest kilku. Właściwie to dwóch. Jeden dla zabawy, a drugi na poważnie. Ale w ich przypadku też lepiej będzie, jeśli raz jeszcze wszystko przemyśle. — Zajrzała mu w oczy. — A ty? Kto na ciebie czeka w Londynie?

Melody przebywała w Stanach. Alec poinformował go o tym telefonicznie. — Nikt — odpowiedział. — W każdym razie nie w Londynie.

Radził jej, by jeszcze trochę pomieszkała na wyspie, ale odrzuciła tę sugestię. — Jak to się mówi? Z deszczu pod rynnę! Nie, na to też nie jestem jeszcze przygotowana.

— Co, w takim razie, zrobisz?

Siedzieli na trawie w pobliżu jeepa. Kirsten podciągnęła nogi i zakryła kolana spódnicą. Oparła brodę na dłoniach i zapatrzyła się w morze, jak gdyby na horyzoncie szukała odpowiedzi na pytanie o przyszłość. — Zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś o Roddy. Mogłabym go odwiedzić w Londynie. — W tonie głosu zabrzmiała nadzieja. — Trudno mi to wytłumaczyć, ale czuje trochę zagubiona, szczególnie gdy chodzi o matkę. Roddy z pewno potrafi wyjaśnić wiele rzeczy. W tej chwili wydaje mi się, że jest jedynym członkiem rodziny, którego mam. Nigdy nie byliśmy z . zżyci, co nie powinno dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę różnicę

310

Oraz to, że chodziliśmy do innych szkół... Ale chciałabym znów się z nim spotkać, porozmawiać. Jesteśmy przecież rodzeństwem. Powinniśmy się częściej widywać. Może nawet moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Chciałabym...

Im więcej o tym mówiła, tym bardziej podobał jej się ten pomysł. Zmarszczka na czole wygładziła się, a powrócił uśmiech. Po kilku minutach snuła już bardziej konkretne plany. — Może mogłabym u niego zamieszkać na jakiś czas...

Nagle coś jej się przypomniało. Odwróciła się gwałtownie do Toma. — A co z Melindą? Nie pomyślałam o tym. Przecież Constantin będzie musiał pójść na kilka tygodni do szpitala. Tom nie miał żadnego pomysłu.

— Będzie się czuć zagubiona. Sama w Londynie. Gdybym wynajęła jakieś mieszkanie, mogłaby zamieszkać ze mną.

Tak powstał ten plan. Pieniądze wydawały się nie stanowić bariery, Kirsten wspomniała, że zobaczy się z przyjaciółmi z londyńskiej filii Międzynarodowego Komitetu Czerwonego krzyża. — Może załatwią mi jakąś pracę w biurze.

Postanowili wrócić do domu rybaka. Melinda bardzo się ucieszyła z tych planów. Uściskała mocno Kirsten, ucałowała Toma, po czym zaciągnęła ich do łóżka Constantina i wzięwszy go za rękę, opowiedziała o najbliższych planach. Następnie znów zaczęła ich namawiać, by przyjęli jej hojne dary. Tym razem Tom przysunął sobie krzesło do łóżka, zmuszając Melinę, by usiadła przy mężu na kołdrze. — Widzicie to? — zapytał wskazując klamrę przy pasku. — Odkąd zacząłem nosić ten medalion, życie odmieniło mi się jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej.

Zaczynał w to wierzyć. Jego życie naprawdę uległo zmianie od czasu, gdy dostał ten medalion od Constantina. Stał się zamożny, w pracy odnosił sukcesy, podróżował po całym świecie. Nie był przesądny. Piątek trzynastego był dla niego takim samym dniem, jak każdy inny, a czarny kot był tylko czarnym kotem. Zawsze jednak nosił tę klamrę. Oczywiście Przesadzał mówiąc o znaczeniu, jakie przywiązuje do tego przedmiotu, by podkreślić, jak bardzo jest im zobowiązany. — Długo wzajemnie się znoszą — stwierdził kategorycznie — więc przestańmy już mówić roszkach i innych precjozach. — Nagle przyszedł mu do głowy pewien myśl. — Ale jest jedna rzecz, którą koniecznie powinnaś wykonać — wiedział do Melindy. — Musisz wydać kolację na cześć pana Stan tona. 2a h ten sposób schwytał Kirsten w pułapkę. Jak ona się teraz T °Wa? Od miesiąca jest gościem

Maurice'a. Miała płynąć do ftynu jego jachtem. Nie powinna odmówić.

Constantin poruszył się na krześle. — Przypominasz sobie tamtą

311

kolację? — zapytał. Wyraz melancholii pojawił się na jego twarzy. —

Cóż to była za kolacja! — mruknął. — Nie miałem zębów. Roześmiał się i potarł dłonią kolano. —

Szkoda, że tego nie widziałeś Alec! Maurice razem z Kirsten, a Tom uśmiechnięty, szczęśliwy!

Ech! — westchnął na wspomnienie tamtego spotkania. — Wierz mi Alec, to był wieczór, jakiego się nie zapomina.

Maurice był zdenerwowany niczym pan młody przed ślubem. Gdy Tom wiozł go jeepem na kolację, powiedział: — Sam nie wiem, czy dobrze robię, że tam jadę. To może się okazać zupełną klęską.

— Nic się nie martw! Wszystko będzie dobrze. Czeka cię wspaniały wieczór.

Wieczór, tamten pamiętny wieczór okazał się rzeczywiście wspaniały.

Constantin spojrział na zapatrzonego w ogień Toma i zawahał się, czy mówić dalej. Taki smutek bił z jego twarzy, że okrucieństwem wydawało się ciągnąć tę rozmowę. Co za sens rozgrzebywać stare dzieje? Po co budzić bolesne wspomnienia? Co jest mniejszym złem? Wywoływanie dawnych upiorów czy zezwolenie na to, by rodziły się nowe? Nowy demon już trzymał Toma w garści. To nowe szaleństwo go zabijało. Utwierdziwszy się w swych przypuszczeniach Constantin przeniósł wzrok z pogrążonego w smutku Toma na przyglądającego mu się wyczekująco Aleka. — Co za noc — powiedział zmuszając się do uśmiechu. — Już pod koniec wieczoru Kirsten jadła Maurice'owi z ręki. Wszystko poszło zgodnie z planem, prawda Tom?

Tom siedział nieruchomo, wpatrując się w ogień. Kirsten była oczarowana. To zrozumiałe. Nikt nie potrafił się przecież oprzeć urokowi Maurice'a.

Zaniepokojony przedłużającym się milczeniem Toma Constantin postanowił rozładować atmosferę dowcipem. — Melinda nieźle się wstawiła — mruknął z udawaną dezaprobatą. — Ja leżałem niemal umierający, a ona wdziękzyła się do Maurice'a. — Roześmiał się na cały głos, mając nadzieję, że usłyszy w odpowiedzi śmiech Toma. Lecz musiał się zadowolić jedynie jego gorzkim grymasem. — No i popatrz tylko! — zawołał do Aleka, jak gdyby ten gorzki uśmiech Toma miał służyć za dowód.

Alec też się uśmiechnął. — Nie wierzę! Melinda?... Tom!...

— Ależ oczywiście, że nie.

— No, a Maurice i Kirsten?

— Świetnie się porozumieli — kiwnął głową Tom. — Maurice ja. rozśmieszył. Skłonił do mówienia o życiu, o planach na przyszłość, o wszystkim. Żadne nie wspomniało matki, co można uznać za cuo\ wiedząc, że Kirsten jechała do Londynu, by uniknąć spotkania z nią

312

— Nie, nie — przerwał Constantin. — Powody były inne. Ty. Jej brat. Nawet my — Melinda i ja. Ale ty byłeś powodem głównym. — jylrugnął porozumiewawczo do Aleka. — Jak to się mówi o Anglikach? goją się okazywać uczucia. A on miał to swoje uczucie wypisane na twarzy. Ona zresztą też. Nie wierz w to, że chciała uciec przed matką.

— O matkę przede wszystkim jej chodziło — zaperzył się Tom. — I bardzo jej zależało na spotkaniu z Roddym.

— O, tak — Constantin pokiwał głową. — Maurice dał jej, zdaje się, jeg^o nowy adres, prawda? Roddy chyba właśnie zmienił mieszkanie.

— Zgadza się. Kirsten nie miała nowego adresu brata i dostała go od Maurice'a.

Alec wtrącił: — Maurice musiał być zachwycony.

Nie posiadał się wręcz z radości. Wrócił do willi podekscytowany. Rozpływał się w zachwytach nad Kirsten. Namówił Toma na jeszcze jednego drinka przed snem. — Nim zasnę, porozmawiajmy jeszcze, Tom...

Mówili tylko o Kirsten. Maurice nie potrafił skupić uwagi na nikim innym. — Bardzo bym chciał

jechać z nią teraz do Londynu. Pomógłbym jej znaleźć jakieś lokum.

— Dlaczego więc z nami nie pojedziesz?

— Bardzo bym chciał. Sam Bóg tylko wie, jak bardzo, ale... — W oczach Stantona pojawiło się z wątpienie. — Lepiej będzie, jeśli nie pojedę. Dość już miałem problemów z Roddym. A nie chciałbym ryzykować, że znów utracę Kirsten.

Tom spojrział na niego pytająco.

Maurice wzruszył ramionami i wyznał z pewnym zakłopotaniem: — Myślę, że to zrozumiałe. Dzieci nie chcą, by ojcowie wtrącali się w ich sprawy. Chcą mieć swoje własne życie. Roddy powiedział mi kiedyś bez ogródek: „Nie mieszaj się do moich spraw”. Więc przestałem się wtrącać. Zawiadamiam go z wyprzedzeniem, kiedy przyjeżdżam do Londynu, i idziemy wtedy na kolację. Wakacje spędza tutaj. Stosunki nuedzy nami układają się całkiem nieźle, choć, muszę przyznać... była to dla mnie nauczka. Nie mam odwagi napraszać się Kirsten. Muszę Jej pozostawić prawo wyboru...

Rozmawiali wówczas do czwartej nad ranem.

W końcu, gdy już postanowili pójść spać, Maurice położył dłoń na ramieniu Toma. — Cieszę się, że ją polubiłeś. Łatwiej mi będzie prosić Cię o pewną przysługę. Wiem, że jesteś zapracowany, ale gdybyś mógł jej pomóc jakoś się tam urządzić, oprowadzić ją po mieście, no, wiesz, ego rodzaju rzeczy...

1970

Te cztery noce na pokładzie „Afrodyty” zbliżyły ich nie tylko do Anglii, lecz również do siebie. Nie od razu jednak zostali kochankami. Z Melody poszłoby inaczej. Z jej skłonnością do flirtowania i droczenia się, spędzenie rejsu w osobnych kajutach wydawałoby się absurdem. Pełna rezerwy nieśmiałość Kirsten skłaniała Toma do trzymania się na dystans. Czasem wydawało mu się, że pragnie go tak samo, jak on jej, ale nagle w jej oczach pojawiała się nieufność i urok chwili znikał. Gdy przyjechali do Londynu, Tom natychmiast wpadł w wir pracy, co było nie do uniknięcia. Przez cztery pierwsze tygodnie niemal się u niej nie pokazywał, taki był zajęty. Jedyne, co udawało mu się czasem wykonać, to w pośpiechu do niej zadzwonić w przerwie między jednym posiedzeniem a drugim. Kirsten świetnie sobie radziła. Wprowadziła się z Melindą do apartamentu Maurice'a w hotelu Claridge'a i zamierzały mieszkać tam do czasu, aż znajdą mieszkanie. Constantin został umieszczony w szpitalu przy Brompton Road, gdzie oczekiwał na pierwszą operację.

„Niewiele przedsiębiorstw na ciągle unowocześniającym się rynku sprzętu biurowego — pisał »The Financial Times« — reaguje ta szybko jak Stanton Industries.” Była to prawda. Ta zbieranina luzn^o z sobą powiązanych przedsiębiorstw, z którymi Tom miał na początk do czynienia, funkcjonowała coraz prężniej i aktywniej. Firmę Prze wozową sprzedali. Podobnie rozlewnię napojów w Belgii. Pozbył s1 również wytwórni chemikaliów oraz innych zakładów, w który Stanton posiadał mniejszościowe pakiety.

314

Ale na Jermyn Street wszystko pozostało po dawnemu. Serce korporacji nadal biło za małymi drzwiami wciśniętymi pomiędzy zakład odzieżowy a firmę Simpkins & Co. wytwarzającą obuwie na miarę od roku 1808. Barbara ciągle prowadziła biuro, lecz personelu było teraz znaczenie więcej. Brak miejsca zaczynał dawać się we znaki. Alee ciągle narzekał: — Tu już ruszyć się nie można.

Tom opierał się namowom przeniesienia biura. Była w tym pewna polityka. Nowe biuro z pewnością wzbudziłoby zazdrość u osób tak czułych na punkcie prestiżu, jak André Amiens. — Zbyt dużo powstałoby gadaniny — powiedział do Aleka. — Przy rzeczach istotnych będę się upierał, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli miałbym się kłócić o metraż mojego biura.

Maurice Stanton osiągnął swój cel, czyli scalenie przedsiębiorstw, które zadowoliło wszystkich. Struktura organizacyjna opracowana przez Toma sprawdzała się. Stanton Manufacturing zaopatrywała Stanton Sales w towary po cenach, które dawały zarówno zysk producentom, jak i dochód, który pozwalał Desmondowi Edwardsowi konkurować na światowych rynkach. Amiens

był wydajny, a Edwards okazał się urodzonym sprzedawcą, więc wszelkie tarcia między nimi ustały. W trosce o poprawne stosunki Tom dbał już tylko o to, by mieli jak najmniej okazji do spotkań. On i Alee wraz z resztą zespołu z Jermyn Street służyli jako pośrednicy między nimi. Nadzorowali wyniki, pilnowali budżetu i interweniowali, jeśli zachodziła potrzeba.

Najwięcej kłopotów było z ośrodkiem naukowo-badawczym. Pomijając już temperament Carla Pohla, ośrodek ten zawsze stanowił zarzewie konfliktu. Było to ogniwo pomiędzy sprzedażą a produkcją. Edwards dowodził, że badania nad rozwojem powinny się znajdować w jego gestii, ponieważ „my bezpośrednio stykamy się z klientem

I wiemy, czego on żąda”. Amiens dowodził czegoś wręcz przeciwnego: „Badania powinny być ściśle związane z produkcją. To my dysponujemy potencjałem technicznym”. Nawet Alee wtrącał: „Marnujemy tylko pieniądze na Carla Pohla”. Tymczasem wszyscy łożyli na działalność ośrodka badawczego, a Tom odnosił wrażenie, że narzekania nigdy się nie skończą.

Aby być na bieżąco w sprawach korporacji, Tom pracował

2 Alekiem do późna w nocy przez cały weekend. Skoncentrowali się Jak zwykle na najbardziej istotnych sprawach. Tym razem były to Irancuskie winnice. Dobre zarządzanie i sprzyjająca pogoda sprawiły, że winnice zaczęły przynosić dochody. Tom miał już gotową ofertę. —

Jeśli pojedę jutro do Bordeaux, to może uda mi się ubić interes w Przeciagu kilku dni — powiedział.

315

— Jutro rano przylatuje do nas Amiens — przypomniał mu Alee

— Późnym popołudniem powinniśmy z nim skończyć. Wieczorem ty się możesz nim zająć. A ja polecę do Bordeaux i spotkam się z tamtymi ludźmi na kolacji. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to w piątek powinienem wrócić z czekiem na całkiem pokaźną sumę.

Wciąż chciał mieć więcej „czeków na pokaźną sumę”. Strategia jaką przyjęli, była prosta: sprzedać wszystko, co nie jest związane z działalnością podstawową, a pieniądze łożyć na Edwardsa i Amiensa. Stanton Industries zajmowało coraz więcej powierzchni produkcyjnej, wytwarzało coraz więcej towarów i zatrudniało coraz więcej sprzedawców. Zysk ze sprzedaży winnic można było więc inwestować na różne sposoby, walka o fundusze toczyła się nieustannie i bez pardonowo. Właśnie tę kwestię Amiens podjął na spotkaniu.

Wbiegł do biura w nieskazitelnie czarnym wełnianym płaszczu z angory, wnosząc woń wody kolońskiej. — Tom! Jak się masz? Widzę, że tragiczne wypadki ci służą. Wyglądasz jak lekkoatleta w szczytowej formie. — Tom rzeczywiście dobrze wyglądał. Skóra mu pociemniała, a włosy zjaśniały od śródziemnomorskiego słońca. Oczywiście Amiens też nie przypominał słabeusza. Nigdy zresztą źle nie wyglądał. Opalenizną mógł konkurować z Tomem, a oczy miał równie błyszczące, jak dawniej. — Alee mówi mi, że złamałeś sobie nogę. Coś ty takiego wyczyniał? Gonileś dziewczynę naokoło basenu?

Tylko Alekowi Tom powiedział prawdę. Na użytek pozostałych wymyślili historyjkę o złamanej nodze. — Niestety, nie dziewczynę — powiedział. — Pośliznąłem się na tych okropnych schodach prowadzących do willi.

Amiens pochylił głowę. — Aha, rozumiem — rzekł posepnie. — To rzeczywiście pech! — Widać było, że nie wierzy w tę opowiastkę. Nie czuł się jednak urażony. Ciekawiło go tylko, co naprawdę było przyczyną miesięcznej nieobecności Lamberta. „Złamanie nogi nie utrzymałoby go z dala od biura na dłużej niż pięć dni” — powiedział rankiem następnego dnia do żony.

— A jak się miewa Yvonne?

— Jest cała i zdrowa — odparł z pewną satysfakcją Amiens. Tom i Alee przestali już liczyć kobiety, które Amiens przywozi

z sobą do Londynu, gdy wpadał tu, by załatwić interesy. Rude. blondynki, brunetki. Kierował się raczej ich wiekiem niż upodobaniem do szczególnego typu urody. Żadna nie liczyła więcej niż dwadzieścia pięć lat. „Sam miód” mawiał stary Amiens, cmokając lubieżnie. Alee dobry mąż i ojciec dzieciom, popatrzył na niego z dezaprobatą. onJ to nie wzruszało: „Niech sobie pieprzy, kogo chce, byle nie kolidowa

316

to z jego obowiązkami". Alee nie potrafił się z tym pogodzić: „Ale przecież lubisz Yvonne?” Tom roześmiał się: „Oczywiście. Mogę z nią robić interesy, ale ona i jej mąż to już ich prywatna sprawa. Jest od niego starsza i to ona ma pieniądze. Może trzyma go zbyt krótko. Kto może to wiedzieć. Nic mnie to zresztą nie obchodzi. Moim zadaniem nie jest ferowanie wyroków w sprawach łózkowych. Liczą się tylko wyniki w pracy”.

A wyniki w pracy Amiens miał znakomite. Pozwolono mu kierować Stanton Manufacturing bez żadnych niemal ograniczeń i szło mu świetnie, co potwierdzały cyfry. Jego załoga bez trudu zwiększała produkcję, by sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu.

Poranne posiedzenie przebiegło bez zgrzytów, było nawet całkiem miło, dopiero przy lunchu atmosfera się nieco popsuła. Wszyscy trzej — Tom, Alee i Amiens poszli do pobliskiej restauracji Caprice. Kiedy już skończyli posiłek, Amiens utkwiał w Tomie wzrok i spytał: — A co słyhać u naszego cudownego dziecka?

— Nic szczególnego. Potrzebuje trochę czasu, by się rozkręcić.

— Czasu mu nie żałuję, ale pieniędzy mi szkoda.

Widząc, ku czemu Amiens zmierza, Tom usiłował skierować rozmowę na inne tory, porównując wino, które pili, z tym, które II

wytwarzano w winnicach Stanton. — Co o tym powiesz? — zapytał podnosząc pod światło kieliszek, by popatrzeć na barwę. — Wydaje mi się, że nasze wcale temu nie ustępuje, a ty jak sądzisz?

Ale Amiens nie dał się odciągnąć od tematu. — Ja nie dałbym I

Pohlowi nawet jednego procenta od obrotu, nie mówiąc już o siedmiu, które ściągasz na rzecz jego ośrodka.

Tom ukrył się za zasłoną uprzejmego uśmiechu. — Carl przypomina nasze winnice. Trzeba przy nich długo chodzić...

— A więc widzisz się w roli jego mamki? — Amiens nachmurzył S1C- — Czy są przynajmniej jakieś szanse, że wreszcie dostarczy nam eoś wartościowego?

— Daj spokój, André! Wiesz przecież, że w wynalazczości nigdy nie ma nic pewnego. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

— Jedyne, co wiem — rzekł ponuro Amiens — to, że on nas dużo kosztuje. Za siedem procent mojego obrotu mógłbym kupić fabrykę w Szwecji w tym roku, a w ten sposób, muszę czekać do następnego. Ograniczasz naszą działalność dogadzając temu rozpuszczonemu dzieciakowi.

Tom westchnął. — Zgodziliśmy się na założenie jego ośrodka °adawczego.

— Ale nie w Kalifornii — odparował Amiens. — Ja głosowałem Przeciw, podobnie Edwards.

Chyba pamiętasz?

317

Oczywiście, Tom pamiętał. Dyskusja nad propozycją Carla Pohl by założyć ośrodek badawczy w Kalifornii, zamieniła się w największą ' awanturę od czasu ustanowienia Stanton Industries. — Istnienia Doliny Krzemowej nie da się zignorować — powiedział teraz cicho Tom. — To właśnie tam wszystko się zaczęło. Carl nie miał wyboru Musiał się tam przenieść.

— Nie — Amiens potrząsnął przecząco głową. — Powinniśmy byli zatrzymać go w Europie. Spodziewałem się, że będzie pracował dla naszych interesów. Od nas powinien otrzymywać zamówienia jakie prowadzić badania.

Tom nie przerywał. Słyszał już te wszystkie argumenty niejednokrotnie i wiedział, że musi ich jeszcze raz wysłuchać. Podobnych opinii słuchał również od Edwardsa. Nawet Alee prywatnie był przeciwny badaniom. Tom uznał, że najlepszą metodą będzie słuchać i grać na zwłokę.

Po lunchu wrócili na Jermyn Street i nadal pracowali nad analizą wyników Stanton Manufacturing, co wykluczało dalszą dyskusję na temat Pohla, a ponieważ wyniki były znakomite, zakończyli posiedzenie w o wiele lepszym nastroju, niż zaczęli.

Nie wiedząc, co jeszcze go czeka, Tom westchnął z ulgą. Cała trójka znalazła się w holu restauracji. Amiens zaczął opowiadać o dziewczynie, którą przywiózł z sobą. — Chodź z nami na drinka —

nalegał — a przekonasz się, jaka jest fantastyczna.

Podając mu na pożegnanie rękę Tom cieszył się, że może się wymówić wyjazdem do Bordeaux. — Następnym razem, André. Ale może Alee będzie mógł wam towarzyszyć?

Tom pozostawił ich w holu i wrócił do biura, by spakować neseser. Po chwili przyszedł Alee. — Wszystko poszło jak z płatka — oświadczył radośnie na jego widok Tom.

— Zgadza się — Alee pokiwał głową i podszedł do okna, odwracając się tyłem. — Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że—

— Że co?

— Że on ma rację. Każemy mu wyciskać zysk z każdego zainwestowanego pensa i on to robi znakomicie. Wcale się nie dziwię, że taki jest wściekły na Pohla. To samo z Edwardsem. Mocno się tu pieklił, kiedy ciebie nie było.

— Potrafię to sobie wyobrazić — Tom wrzucił do teczki szkic kontraktu dotyczącego winnic.

— Carl Pohl potrzebuje solidnego kopa w dupę.

— Tym go chyba nie zmobilizujesz.

— Najbardziej mnie wkurza — kontynuował Alee — że ty go we

318

ystkim popierasz. Podobnie jak ten Hollenberg, zawsze stajesz po > stronie. Możesz go prywatnie uznawać nawet za jakiegoś choler-o geniusza, ale ja nie dam się na to nabrać...

'_ W porządku, Alee. Mówiliśmy już o tym podczas lunchu.

_— I jak zwykle się wykręciłeś. Ale to problemu nie zamyka. Kiedyś będziesz musiał się do tego ustosunkować. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś zająć stanowiska już dzisiaj. Toma zaskoczyła gwałtowność ataku Aleka. — André jest zdania, że ten cały ośrodek to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Desmond też tak sądzi.

— Oni są menedżerami.

— Ale bardzo dobrymi menedżerami.

— Carl Pohl natomiast jest wizjonerem, myślicielem.

— Jest zwykłym leniem — prychnął wzgardliwie Alee.

Tom spojrział na zegarek, wiedząc, że powinien już wychodzić.

Alee nachmurzył się. — André i Desmond nie połączyli na razie swoich sił w tej sprawie, ale kiedyś to uczynią. Co będzie, jeśli uda im się zdobyć poparcie Gunthera? Przyznasz, że nie przyjdzie im to trudno. Gunther jest bądź co bądź bankierem. Jego cierpliwość też jest ograniczona...

— No, dobrze — zgodził się zirytowany Tom. — Założmy, że uda im się przekonać G?nthera...

— Wtedy sprawa znajdzie się na posiedzeniu zarządu.

— Będą mieli trzy głosy przeciw czterem — stwierdził beztrząsco Tom. — Oni po jednej stronie, po drugiej Maurice, Hollenberg i my.

Dziwny błysk pojawił się w oczach Aleka. Chciał coś dodać, ale rozmyślił się. Potrząsnął tylko głową i powiedział: — Na twoim miejscu nie byłbym tego pewny. Maurice liczy się z opinią G?nthera. Są od dawna zaprzyjaźnieni.

— Ale Maurice liczy się również z opinią moją! — zawołał rozdrażniony Tom.

Alee też stracił panowanie nad sobą. — Marnuje się siedem Procent dochodu grupy!

— Nie marnuje, nie marnuje! Inwestuje!

— Inwestycje przynoszą dochód — szare oczy Aleka ciskały gromy. — Carl Pohl to wszystko totalnie olewa. Desmond ma rację. T° studnia bez dna, wrzucamy tylko pieniądze w błoto.

Tom zatrzasnął neseser. — Dobrze, Alee, znam już twoją opinię. — Wstał i spojrział na zegarek.

— Nie. Niczego nie znasz. — Trzęsąc się z irytacji Alee podszedł do Toma. — Zbyt wiele z góry przesądzasz. Ja tu nie jestem żadną

319

cholerną marionetką! Co będzie, jeśli na zebraniu zarządu Maurice poprosi o opinię mnie? Jak myślisz, co wtedy się stanie?

Tom osłupiał. Zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i stanęła w nich Barbara. — Jest pan już pół godziny spóźniony Samochód czeka, a kierowca martwi się narastającym ruchem ulicznym.

— Już idę — odparł Tom nadal patrząc na Aleka. Zniecierpliwiona Barbara czekała przy otwartych drzwiach. Alec

ze zboląłą miną odwrócił się i ponownie podszedł do okna.

Barbara nachmurzyła się. — Powinien pan już być na Heathrow.

— Idę. — Tom obrzucił wzrokiem plecy Aleka. — Wrócimy do tego po moim powrocie, dobrze? Alec odpowiedział wzruszeniem ramion.

— Ja muszę już iść.

— Tak — zgodziła się Barbara. — Pan musi już iść. Tom stanął w drzwiach, mając nadzieję, że Alec się odwróci,

i będzie mu życzył powodzenia.

Alec jednak ani drgnął. Stał nadal przy oknie, nieruchomy jak bryła posagu.

Nie mógł przestać myśleć o tym incydencie. Nie miał jednak zbyt wiele czasu, by się nim zamartwiać. Codziennie jeździł na negocjacje w sprawie winnic, lecz podczas jazdy z i do hotelu, przy zasypianiu i porannym wstawaniu dręczyło go ostrzeżenie Aleka. Nie potrafił uwierzyć, że Alec mógłby głosować przeciw niemu. Alec już taki był. Często się kłócili, ale to należało do zwykłego trybu ich pracy. Alec był zawsze najlepszym adwokatem diabła...

Jednak cień wątpliwości pozostał w Toma. Przeklinał swoją przymusową pięcioletnią nieobecność w biurze. Pięć tygodni to spory kawałek czasu. Wiele mogło się wydarzyć... mogły powstać nowe układy...

Tom tworzył własne układy. Na początku miał po swojej stronie silne poparcie Maurice'a i Giinthera, a przeciw Amiensa, Edwardsa i Pohla. Ale coś się zmieniło. Udało mu się wprawdzie doprowadzić do scalenia przedsiębiorstw, utworzyć Stanton Industries... a Maurice darzył go nadal przyjaźnią. To była wielka nieoczekiwana premia-Lecz ile jest warta? Maurice nadal żądał wyników. Tom nie otrzyma* od niego carte blanche, nie mógł robić wszystkiego, co chce. Polityk? Stanton Industries nadal trzeba było ustalać drogą negocjacji...

A jeśli ten spór nie potoczy się po jego myśli? Jeśli Amiens

320

j Edwards uzyskają poparcie G'nthera? Tom mógł argumentować: Na dłuższą metę inwestowanie w Pohla przyniesie korzyści". Ale Luther mógł wystąpić z przeciwną opinią: „Na dłuższą metę to nas wykończy". Wówczas Maurice zapyta o zdanie Aleka. Stanowisko /deka przesądzi o równowadze sił. Jeśli Alee ich poprze, Tom znajdzie się w mniejszości. Alee zaś wygra wraz z Amiensem, Edwardsem i Guntherem.

Tom raczej nie wierzył, że Alee zdolny będzie tak postąpić. Nie. j)ja pewno nie przy jakimś frontalnym starciu. No, ale gdyby poparcie, jakiego by Tomowi udzielił, nie zabrzmiało przekonywająco? Co wtedy? Maurice mógłby wziąć stronę pozostałych... I znowu Tom znalazłby się po przeciwnej stronie, mając przeciw sobie Amiensa, Edwardsa, G'nthera, no i Maurice'a.

W sprawach ośrodka mógł polegać tylko na Walterze Hollenbergu. Chytry staruch z tak żarliwym przekonaniem wierzył w Pohla, że część tej wiary udzieliła się Tomowi, którego własne odczucia ze spotkań z Pohlem były często sprzeczne. Czasem doprowadzała Toma do irytacji arogancja Pohla, ale innym razem wracał ze spotkań z Carlem zauroczony jego wizją przyszłości.

Negocjacje w Bordeaux zbliżały się ku pomyślnemu zakończeniu. Proponowany przez Toma kontrakt został z grubsza przereadowany i uściślano już wszystkie warunki. Toma bardzo denerwował powolny tryb pracy lokalnego prawnika. W Brukseli, kiedy sprzedawał rozlewnię wód, też działał mu na nerwy tamtejszy prawnik. Ale bez pomocy lokalnych prawników nie dało się obejść. Najlepszym wyjściem byłoby przydzielenie kogoś na stałe do pilnowania tych spraw, udzielenie mu pełnomocnictw i zażądanie składania raportów z przebiegu negocjacji. Alee się do tego nie nadawał. Jego żywiołem były sprawy produkcji, a nie mozolne negocjowanie warunków umowy.

Umowa została w końcu podpisana w piątek po południu. Nowi właściciele bardzo nalegali, by Tom wziął udział w wieczornym przyjęciu. „Musi pan zostać — mówili — by nam życzyć powodzenia.” Nietaktem byłoby im tego odmówić. Poza tym Tom sam miał ochotę uczcić to wydarzenie. W rękę trzymał przekaz bankowy na sumę dwudziestu dwóch milionów franków, dziesięć procent więcej, niż Początkowo zakładał. Umówili się, że przyjadą po niego do hotelu, dokąd wrócił, by się wykąpać i przebrać na wieczór. Czuł się Podniesiony na duchu, postanowił więc skorzystać z okazji i zadzwonić do Aleka. — Kontrakt zawarty — oświadczył. — Mamy dwadzieścia dwa miliony. André będzie mógł sobie kupić tę fabrykę w Szwecji!

Mówiąc to uświadomił sobie, że nie potrafi przewidzieć reakcji

Zemsta

321

Aleka. Ta myśl go zaskoczyła. Wiele razy dzwonił do biura i „witał go ciepły, przyjacielski głos: „Wspaniale! Świetna robota! Fantastycznie!” Zawsze mógł liczyć na poparcie Aleka...

— To dwa miliony więcej niż nasze minimum — powiedział Alek. — Dobra robota.

Chwilowe zwątpienie ustąpiło, na twarzy Toma pojawił się uśmiech. Lecz zaraz przyszło wahanie spowodowane czymś nieuchwytnym w tonie głosu Aleka, a potem już oczywistym, gdy Alek ubrał swoje myśli w słowa: — André będzie oczywiście zachwycony, ale... — Alek zawałał się. — Tę fabrykę w Szwecji można by kupić z zysków, które należało wpłacić na ośrodek badawczy. Teraz trzeba będzie wyłożyć kapitał. To przypomina wyprzedaż rodzinnych sreber.

Smak sukcesu okazał się gorzki. Nastrój ponurego rozczarowania zawładnął Tomem, kiedy odkładał słuchawkę. „Na litość boską! — pomyślał. — Dwa miliony więcej niż nasze minimum. To dla niego mało?”

Zdrzutany i przygnębiony, z niechęcią pomyślał o czekającym go przyjęciu. Przez otwarte okno dochodziły głosy z zewnątrz. Wieczór był ciepły i pogodny, pełen delikatnego złotawego blasku. Tom popatrzył z okna. Na tarasie służba hotelowa nakrywała stoliki. Tom widział, że przybywają nowi właściciele winnicy, każdy z uwieszoną u ramienia małżonką. Nawet prawnik o ziemistej cerze przyprowadził żonę.

Poczuł się samotny, podszedł do telefonu i wykręcił numer Melody w Paryżu. Czekając na połączenie zastanawiał się, jak długo trwa jazda z Paryża do Bordeaux. Może mogliby się spotkać w połowie drogi. W Limoges albo Bouges?

Zjedliby późną kolację, a potem spędzili razem noc. Mógłby wynająć samochód... hotel by to załatwił. Poprawił mu się humor.

Przywitała go jej automatyczna sekretarka, Melody mówiła swoim bardzo starannym francuskim, przyrzekając oddzwonić, jeśli zostawi wiadomość po usłyszeniu sygnału.

— Niech to diabli!

Nigdy jej nie było. Za każdym razem to samo. Zawsze, kiedy dzwonił, odzywała się ta cholerna maszyna. Spotykali się tylko wtedy, kiedy ona dzwoniła do niego. Potem mijały tygodnie, aż znowu się odzywała: „Cześć. Jestem w Londynie” albo „Cześć. Co byś powiedział na kolację w Wenecji w niedzielę?” Czemu nie? Była wszak Wielką Przedsiębiorczynią, cieszyła ją ogromna przygoda.

Wściekłym wzrokiem obrzucił aparat telefoniczny. Odnalazł w notesie numer hotelu Claridge'a w Londynie. Wykręcił numer, pomylił się, jeszcze raz wykręcił, potem jeszcze, aż po chwili w słuchawce odezwa

322

-, głos Kirsten. Ucieszyła się z telefonu od niego. Interesował ją wynik j-tractacji. Wiedziała, dokąd pojechał, bo dzwonił do niej przed ujazdem z Londynu. Ona też miała dla niego nowiny. Constantin był nż po pierwszej operacji... a Melinda szuka mieszkania....

Ma dźwięk jej głosu poczuł, że znika zmęczenie i gorycz. Przypomniało mu się, gdy siedzieli w jeepie na Kariakos i rozmawiali całymi godzinami. Dlaczego właściwie zadzwonił do Melody? Z nawyku? Dlatego, że był we Francji? A przecież przez cały ten czas Kirsten czekała na niego w

Londynie.

Purpurowe cienie kładły się już w złotawej poświacie. Jego gospodarze czekali na tarasie. Do diabła, mogą jeszcze chwilę poczekać...

Dziwił się później, jak wiele dokonał w ciągu następnych czterech tygodni, jeśli wziąć pod uwagę, że nie było go w biurze tylko trzy popołudnia i oczywiście w weekendy. Dla kogoś innego nie byłoby w tym nic szczególnego, ale dla takiego pracoholika, jak Tom Lambert, graniczyło to niemal z notorycznym unikaniem pracy. Odgrywał rolę przewodnika po Londynie, przy czym trasę ograniczył głównie do restauracji, teatrów i pubów. Pokazał Kirsten Hampton Court i zamek w Windsorze. Obejrzeni mecz krykieta w Lords. Spacerowali po Hampstead Heath i poszli na drinka do The Spaniards. Zaliczyli wyścigi w Kempton Park i pływali łódką po Serpentine.

Kirsten rozkwitła. Opuściła Pireus w tym, co miała na sobie, a na Kariakos uzupełniła garderobę o rzeczy, które pożyczyła jej Melinda. W Londynie poczwarła przemieniła się w motyla i choć jej nowe stroje nie były ani szczególnie ekstrawaganckie, ani zbyt śmiałe, nosiła je z taką przyjemnością, iż nietrudno było zauważyć, jak jest szczęśliwa. Wszyscy to widzieli. Alec dostrzegł to zaraz, gdy tylko ją zobaczył. Podobnie żona Aleka, Jean, która zaprosiła Toma i Kirsten na obiad. Barbara też to dostrzegła, lecz była na tyle mądra i dojrzała, by nie dać po sobie poznać, że zazdrości Kirsten. — Właśnie tego mu trzeba — powiedziała do Aleka. — Tom jest najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego znam.

Ta uwaga tak zaskoczyła Aleka, że powtórzył ją żonie po powrocie do domu. — Samotny? Tom? — śmiał się pałaszując obiad. — Zawsze ki zajęty, otoczony ludźmi!

— Chowa się w tłumie — stwierdziła z bladym uśmiechem Jean. — Barbara ma rację. On tak jest pochłonięty pracą, że nie zwraca uwagi na ludzi.

323

Alec odłożył nóż i widelec. — Nonsens!

— Och, Alec! Oczywiście, że to prawda. On nigdy nie mówj o niczym innym, jak tylko o sprawach zawodowych. Mnie to nie przeszkadza, przywykłam przy tobie. Ale on żyje tylko tymi sprawami. Czasem się zastanawiam, czy ma miejsce dla kogoś innego. Jeśli się temu bliżej przyjrzeć, to my jesteśmy jego jedynymi przyjaciółmi. A ty jesteś jedyną osobą, z której opinią on się liczy. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufa.

— Ale to nie ma nic wspólnego z samotnością.

— Jak więc to nazwiesz?

Alec zastanawiał się nad argumentami żony. Owładnęło nim lekkie poczucie winy. Wyrzucał sobie, że tak naskoczył na Toma w sprawie ośrodka badawczego, ale coś należało w końcu zrobić ze sprawą Pohla. — Sam nie wiem — odparł. — Tom zawsze jest taki uparty. Czasem nawet i mnie nie słucha.

— Niech więc posłucha Kirsten. Może ona okaże się dobra dla niego.

— Przecież Kirsten nie ma najmniejszego pojęcia o prowadzeniu biznesu.

— Och, Alec! — Jean aż się zarumieniła. — Czy zawsze chodzi o biznes?

— W przypadku Toma tak.

— W takim razie nadszedł czas, by zaczął dostrzegać i inne sprawy — odrzekła z irytacją Jean. Po chwili jednak złagodniała. Ciekawość wzięła górę. Oglądając telewizyjne wiadomości i popijając kawę wróciła jednak do tematu. — Kirsten świetnie mówi po angielsku, bez śladu akcentu.

— Wydaje mi się, że chodziła do szkoły w Anglii.

— Tak? W takim razie jej kontakty z rodziną muszą być bardzo ograniczone. Nie myślę tylko o jej ojcu. Z matką też pewnie nie była blisko, skoro wysłano ją do szkół aż tutaj. Wspominała też coś o bracie... Jak on ma na imię?

— Roddy.

— Mówiła, że od lat go nie widziała. Myślę, że ona pogrzyżyła się w tym swoim Czerwonym Krzyżu w taki sam sposób, jak Tom w biznesie.

Alec odstawił filiżankę i wyłączył telewizor. — Ale chyba ją lubisz-Wyraz melancholijnej zadumy pojawił się w oczach Jean. — Tak odparła ważąc każde słowo. — Tak mi się wydaje. Jest

błyskotliwa, inteligentna i atrakcyjna. Ale nadal upierałabym się przy tym, że też jest bardzo samotna. Jest tak samotna jak Tom. Tworzą całkiem dobraną parę.

324

Czy nie za wcześnie na wnioski? — roześmiał się Alec. — A co Wielką Przedsiębiorczynią?" " po chwili wahania Jean pokręciła przecząco głową. — Myślę, że Ivlelody już straciła swoją szansę. Teraz kolej na Kirsten.

Zostali kochankami po jego powrocie z Bordeaux. Stało się to w apartamencie Maurice'a w hotelu Claridge'a, kiedy Melinda poszła odwiedzić Constantina w szpitalu. Kochali się tam ponownie następnego wieczoru, ale perspektywa rychłego powrotu Melindy działała na nich na tyle paraliżująco, iż uznali, że nie jest to najlepsze miejsce do spotkań.

Nazajutrz Tom zabrał Kirsten pG kolacji do swojego mieszkania.

Finansowo powodziło mu się całkiem dobrze, ale nie wpadł dotychczas na pomysł, by zmienić mieszkanie lub choćby je przemeblować. Niewiele się tu zmieniło od czasów jego pracy w Boltonie. Meble były te same, a większość kupił na wyprzedaży. W oknach wisiały wyblakłe i zakurzone zasłony. W lodówce znalazło się tylko masło i ser. W spiżarni leżał chleb i sporo puszek. Z alkoholi miał jedynie swoją ulubioną whisky, która stała w kredensie. Duszna, ciasna sypialnia zawałona była rzeczami. Było w niej czysto, ale w szafach brakowało miejsca.

Kirsten usiłowała nie okazać zdziwienia. Wygląd mieszkania mówił jej o Tomie wszystko i nic.

Biblioteczka upchana była książkami o zarządzaniu. W kącie leżała sterta czasopism fachowych. W kuchni wisiał kalendarz bankowy. — Sympatycznie tu — powiedziała z przekąsem. — Od czasu mojej ostatniej wizyty u dentysty nie widziałam czegoś równie przytulnego.

Rzecz w tym, że Tom rzadko bywał w mieszkaniu. Większość czasu spędzał w biurze lub w restauracjach, gdzie omawiał interesy. Ciągle w rozjazdach, częściej sypiał w hotelach niż we własnym łóżku. Mieszkanie było tylko adresem, pod który przysyłano mu prywatną korespondencję i gdzie trzymał bieliznę na zmianę.

Kirsten przeniosła się do niego, choć nie całkiem wyprowadziła się z apartamentu u Claridge'a.

Spędzała na przemian dwie noce z Tomem, a jedną z Melindą. „Żeby mieć pewność, że nic złego jej się nie Przytrafiło." W ciągu dnia szukała z Melindą mieszkania, robiła zakupy, a czasem wpadała do biura zapytać, czy Tom nie zjadłby z nią lunchu.

Pewnego wieczoru udali się na poszukiwanie Roddy'ego, mając adres, który Maurice dał Kirsten na Kariakos. Znaleźli dom, ale nikt In nie otworzył. Sąsiad poinformował, że Roddy'ego nie ma już od kilku tygodni. Kirsten westchnęła rozczarowana. — No cóż, przynajmniej już wiem, gdzie mieszka. Będę jeszcze próbować.

325

Życie Toma zmieniło się. Nigdy dotąd nie wyznaczał sobie konkretnej pory, o której kończy pracę. Mogła to być ósma, dziewiąta albo nawet później. Kończył, kiedy miał na to ochotę. Cieszyły go zmiany, ale ich nie dostrzegał. Nie były zresztą zauważalne, ponieważ chodząc z Kirsten po Hampstead Heath czy jedząc z nią kolację opowiadał jej na ogół o pracy. Oczywiście, obchodziło go, co dzieje się z Constantinem, zawsze pytał o Melinę, interesował się mieszkaniami, które oglądały, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć rozmowa przechodziła na temat Stanton Industries. A ponieważ naprawdę żył tymi problemami, szczegółowo przedstawiał je Kirsten. Pewnego wieczoru do Londynu przyjechał Desmond Edwards i wraz z Kirsten poszedł z nim na kolację. Tom był dumny z Kirsten. Zachowywała się skromnie i uroczo, od czasu do czasu dorzucając jakieś całkiem rozsądne pytanie. Kiedy później gratulował jej takiego zachowania, roześmiała się. — Nie powinieneś się temu dziwić. Czyżbyś nie wiedział, że uczęszczam na przyśpieszony kurs biznesu?

Zdziwił się. Nic mu o tym nie mówiła.

— Biorę przecież lekcje u ciebie — wyjaśniła śmiejąc się. — Tak bardzo emocjonujesz się pracą, iż zaczynam nabierać przekonania, że biznes to coś naprawdę pasjonującego.

Sklonienie Kirsten do zainteresowania biznesem nie było łatwe. Zawsze traktowała biznes z dużą

dożą sceptycyzmu. — W życiu chodzi chyba o coś więcej niż uganianie się za zyskiem — mówiła. Tom zgadzał się. Wyjaśniał, że zyski inwestuje się w fabryki, żeby tworzyć nowe miejsca pracy, i w szkolenie, by ludzie podnosząc kwalifikacje zwiększali swe szanse na znalezienie lepszej pracy, oraz w mechanizację, żeby wyeliminować ciężką pracę fizyczną. Ponieważ Kirsten nadal miała wątpliwości, Tom roześmiał się i rzekł: — Sprzeczenie się z tobą przypomina mi rozmowy z Carlem Pohlem.

— Czyżbym więc w tym obozie filistynów znalazła bratnią duszę? — zapytała unosząc brwi.

— Nie bardzo mogę sobie wyobrazić ciebie i Carla jako bratnie dusze.

— No to muszę się zadowolić tą jedną, którą mam — powiedziała ściskając go za rękę.

Byli nie tylko kochankami, ale i przyjaciółmi. Tom wiedział, że będzie mu jej brakować, kiedy wyjedzie, a musiał udać się w podróż pod koniec miesiąca. Oprócz konieczności załatwienia spraw w No; wym Jorku czekała go podróż z Edwardsem do Chicago na targi handlowe. No i pozostawał jeszcze Pohl. Przede wszystkim chodź» w tej podróży o niego. Coś trzeba było z nim zrobić, nawet jeS

326

oznaczało to spędzenie kilku tygodni w Kalifornii. Gdy sobie to wszystko uświadomił, okazało się, że nie będzie go w Londynie ponad miesiąc.

Dyskutował o tym pewnego ranka z Alekiem. — Wiem, że powinienem jechać. Ty i tak masz już za dużo na głowie.

— To nie tylko to — potrząsnął głową Alec. — Ja nie potrafiłbym załatwić spraw z Pohlem. Mnie on nie posłucha. Tylko ty możesz przemówić mu do rozsądku.

Kirsten nie była jedynym powodem, dla którego Tom z niechęcią myślał o wyjeździe. Były też inne, dotyczące firmy. Wyjazd oznaczał konieczność odłożenia spotkania z Hallerem i Maurice'em. Przynależał też Amiensowi, że pojedzie z nim do Szwecji...

— A co z Australią? — zapytał Alec. — Będziemy to musieli odłożyć do twojego powrotu.

Dziewięć miesięcy poświęcili ocenie rynku australijskiego. Otwarcie tam filii produkcyjnej rozszerzyłoby ich wpływy nie tylko w samej Australii, lecz w całym basenie Pacyfiku.

Zaczął ich z wolna przytłaczać nawał spraw związanych z prowadzeniem Stanton Industries. —

Potrzebujemy kogoś, kto by nas odciążył — powtórzył Alec po raz któryś. Pozostawał jednak problem, kto nim ma być. Jeśli zaprosiliby Amiensa do współpracy w centrali, wywołałoby to sprzeciw Edwardsa i odwrotnie. Poza tym ci dwaj i tak mieli aż nadto zajęć u siebie. Wyłoniła się też kwestia zaufania. Tom nigdy nie powierzyłby Amiensowi i Edwardsowi więcej władzy niż już mieli. Skłonny był dzielić się władzą tylko z Alekiem. Porzucił już nadzieję, że znajdzie jeszcze kogoś takiego jak on. Sprawa nadal pozostawała otwarta. W ciągu następnych czterech tygodni wszystkie te problemy zetknęły się w jednym kulminacyjnym punkcie.

A zaczęło się pewnego wieczoru w biurze. Było po siódmej. Alec już wyszedł, Tom czekał na Kirsten, która często przyjeżdżała po niego do biura.

Wbiegła w białym lnianym kostiumie, nieco zdyszana od wspinaczki Po schodach. — Spotkałam na dole Aleka — powiedziała. — Miły 2 niego człowiek. Lubię go.

Była zarumieniona. Wysiłek zabarwił jej złotawą cerę bladym odcieniem różu. Tom ucałował Kirsten i cofnął się, by móc ją Podziwiać. Zmarszczył czoło widząc nikłe cienie pod jej oczami. —

Miałaś pracowity dzień?

?— Trochę.

— Oglądałaś mieszkania?

— Można by i tak to nazwać — powiedziała z tajemniczym

327

uśmiechem, który rozwiewał wszelkie podejrzenia, że mogłaby być zmęczona. — Jesteś gotów do wyjścia?

— Oczywiście. Co powiedziałaś na kolację w Białej Wieży?

— Nie dzisiaj. — Jakiś figlarny ognik pojawił się w jej oczach kiedy potrząsnęła przecząco głową.

— Dziś ja zapraszam. Zabieram' cię w zupełnie nowe miejsce. Zabrała go do jego własnego mieszkania. Miała rację. Było to zupełnie inne miejsce. Małe, zapuszczone mieszkanko uległo gruntownemu przeobrażeniu. W oknach wisiały nowe zasłony. Kolorowe poduszki zakrywały dziury w kanapie. Na podłodze przed kominkiem pysznił się chiński dywan.

Ze zdumieniem oglądał swoje lokum. — Niewiarygodne! — powiedział.

Na stole stała butelka wina, a wyśmienity boeuf bourguignon piekł się w kuchence.

Kirsten była bardzo z siebie dumna.

To był pamiętny wieczór. Prezenty, kolacja, wino, a potem łóżko. Ale największa niespodzianka spotkała go o pierwszej w nocy.

— Mam pewna teorię — powiedziała Kirsten, podpierając się na łokciu i gładząc go po twarzy.

— Tak?

— Chciałbyś ją usłyszeć?

Zaczął całować jej piersi, a gdy poczuł, że twardnieją, przybliżył twarz do twarzy Kirsten, szukając jej ust. Ona jednak odsunęła go łagodnie od siebie. — Później. Najpierw zapoznam cię z moją teorią.

— To szantaż — jęknął.

Odsunęła się na drugi koniec łóżka i sięgnęła po jego koszulę wiszącą na oparciu krzesła. Wsunęła ramiona w rękawy i owinęła się nią. — To jest teoria na temat twojej osoby — powiedziała przyglądając mu się figlarnie.

— W takim razie powinienem jej chyba wysłuchać.

— A więc... — Kirsten podciągnęła nogi pod siebie i usiadła po turecku. — To się zaczęło na Kariakos, kiedy cię zobaczyłam razem z Maurice'em. Przypadliście sobie do gustu, to od razu było widać. Wyglądaliście jak ojciec i syn. Pomyślałam więc sobie... No, wiesz, jaki on jest...

— Ale polubiłaś go?

— No, tak, zaskoczyło mnie to nawet, ale myślałam, że ty jesteś podobny do niego. To znaczy, jeśli chodzi o kobiety. No, wiesz, on tam ściąga stale dziewczyny. Nie ufałam ci więc całkiem... —

Uśmiechnęła się smętnie do Toma. — A potem pojechałam do Londynu i poznałam Aleka i Jean.

Zobaczyłam biuro, no i w ogóle wszystko

328

już wiedziałam, że się mylę. Przekonałam się o tym ostatecznie, gdy zobaczyłam to twoje mieszkanie. — Kirsten uśmiechnęła się znowu. — Trudno to nazwać garsonierą uwodziciela, prawda? Daleko mu do apartamentu Maurice'a u Claridge'a... marmurowa łazienka i inne bajery. Już sam tamten apartament działa podniecająco. To seksualna pułapka. To mieszkanko natomiast... No cóż, to raczej pułapka na myszy. Nigdy nie widziałam czegoś mniej romantycznego. I jeszcze to łóżko! — Podskoczyła na materacu, aż sprężyny zatrzeszczały. — Już łatwiej byłoby się kochać na tylnym siedzeniu samochodu.

— Tak źle ci ze mną?

— Przeciwnie. Jesteś cudownym kochankiem. Udobruchany uśmiechnął się. — A cóż to za teoria?

Zawahała się. — Tylko się nie obraż, dobrze? Nigdzie tu nie myszkowałam. — Na szyi Kirsten pojawiły się czerwone plamy. — Naprawdę. Nie grzebałam po szufladach ani po szafkach. Nigdy bym na coś takiego się nie zdobyła... Ale to miejsce jest jak muszla. Zupełnie puste. Żadnych obrazów, żadnych fotografii. Jak gdybyś pojawił się tu nie wiadomo skąd. Przecież musiałeś mieć gdzieś własny dom.

— Mój dom jest tutaj — powiedział nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Zajrzała mu w oczy. —

Zaczęłam się zastanawiać. Może ty masz

gdzieś żonę? Żonę i szóstkę zasmarkanych dzieciaków.

— Myślisz, że jestem żonaty?

— Wydaje mi się, że jakoś bym to przeżyła — powiedziała szybko. — To by nic nie zmieniło.

Nadal chciałabym z tobą sypiać, ale... wołałabym raczej znać prawdę.

Usiadł na łóżku, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

— Naprawdę — dodała zarumieniona po czubki uszu — to by nic między nami nie zmieniło. Ale... chciałabym, żebyś mnie nie okłamywał.

— Ty chyba oszalałaś!

Smętny uśmiech powrócił w kącki ust Kirsten. — Czy to znaczy, że się mylę?

W sobotę po południu zawiózł ją do małego domku na przedmieściu. Przy drzwiach czekało dwoje starych ludzi. — To moi dziadkowie — powiedział otwierając furtkę do ogrodu. — Oni mnie wychowywali. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałem trzy lata.

Przy herbacie i bułeczkach w maleńkim ogródku Kirsten dowiedziała się wszystkiego, czego można się było dowiedzieć o Tomie Lambercie: szkoła, kursy księgowości, praca u Boltona. Dziadek Toma uśmiechnął się. — Mówimy pani o tym, bo Tom nam powiedział, c^o od pani usłyszał.

Kirsten zarumieniła się.

329

Babcia Toma ujęła jej rękę. — Miałaś zupełną rację, moja droga. Ja też na twoim miejscu pomyślałabym to samo. Przecież to nienaturalne. Praca i praca. Niczym innym się nie zajmuje, tylko pracuje. Mówimy mu: czas, byś się ustatkował, znalazł sobie ładną dziewczynę i założył rodzinę. — Spojrzała na męża. — Czy nie tak mu ciągle mówimy, George?

Kirsten oblała się gorącym rumieńcem.

Później, w samochodzie, kiedy wracali do West Endu, uszczypnęła go w rękę. — Ty draniu! Nie musiałeś powtarzać dziadkom, iż myślałam, że jesteś żonaty.

Uśmiechnął się w milczeniu.

— Pewnie jeszcze dodałeś, że byliśmy wtedy w łóżku.

— O tym zapomniałem ich powiadomić.

— Ach, tak! Nie przypuszczałam, że tak szybko o tym zapominasz! Dziadkowie Toma spodobali się Kirsten. Gdy przedzierała się w tłumie pojazdów przez Brook Street, robiła mu już wymówki, że tak rzadko odwiedza staruszków. — Oni są tacy z ciebie dumni. Twoje odwiedziny tyle dla nich znaczą. Twoja babcia mówiła, że nie byłeś u nich już od...

— Wiem, wiem. Trudno znaleźć czas. Zawsze jestem zagoniony. Mieli zabrać Melindę na kolację. Gdy poprosili w recepcji, by do niej zadzwonili, nikt się nie zgłosił. Tom spojrzał na zegarek.

— Pewnie jeszcze nie wróciła ze szpitala. Napijmy się tymczasem czegoś w barze.

Wypili jednego drinka, potem następnego, a Melindy nadal nie było. Nie martwili się tym szczególnie, bo wielokrotnie zdarzało się jej utknąć gdzieś w drodze powrotnej ze szpitala. Mieli tyle rzeczy do omówienia. Kiedy Melinda wreszcie się zjawiała, pogrążeni byli w rozmowie. Ale gdy tylko na nią spojrzeli, wiedzieli, że coś się wydarzyło. Zazwyczaj wracała ze szpitala uśmiechnięta. Dzięki swej niezwykle żywotności Constantin powracał do zdrowia. Postęp był znaczny. Leczenie stomatologiczne dobiegło końca, szczeka była już poskładana i zrosnięta, mógł mówić. Poprzednie wizyty zawsze podnosiły Melindę na duchu. Ale tego dnia wyglądała na niezwykle strapioną. Powitała ich potokiem greckich słów. Dużo pracowała nad angielskim. Żartowała, że od czasu przyjazdu do Londynu przyjęła regułę: „Tu mówią tylko po angielsku”. W momentach kryzysowych zapominała jednak o przyrzeczeniu.

Zmusili ją, by usiadła. Podczas gdy Tom zamawiał dla niej drinka, Melinda dzieliła się z Kirsten swoimi przeżyciami. Tom spodziewał się najgorszego. Mogło nastąpić nagle pogorszenie w stanie zdrowia Constantina, mimo że wszystko było przecież na dobrej drodze-

330

Codziennie pytał, czy nastąpiła poprawa. Wiadomości były zawsze pocieszające.

Coś szczególnego dzieje się z ludźmi, którzy dzielą wspólne niebezpieczeństwo. Żołnierze pod ostrzałem, górnicy uwięzieni pod ziemią, ci, którzy wyjdą cało z katastrofy, patrzą potem na siebie inaczej. Czują, że łączy ich jakaś więź. Tom mógłby powierzyć Constantinowi własne życie. — Co się stało? — dopytywał. — Jak się czuje Constantin? Co mu jest?

Odczuł wielką ulgę, kiedy Kirsten położyła swoją dłoń na jego ręce i powiedziała: — Wszystko w porządku. Z Conem wszystko w porządku. Po czym Kirsten opowiedziała, czego dowiedziała się od Melindy.

Przyszedł do Constantina w odwiedziny jego przyjaciel prawnik.

Melinda przerwała Kirsten, przechodząc na angielski. — On często wraz ze mną odwiedza Constantina w szpitalu.

Alexandros zaproponował Constantinowi partnerstwo w firmie, którą założył po przyjeździe do Londynu. Twarz Melindy wyrażała głęboki niepokój. Potrząsnęła głową i mówiła dalej: — Constantin odmówił. On twierdzi, że już nigdy nie będzie prawnikiem. Więc mu przypomniałam: „Constantin, ty przecież kochasz prawo. Prawo to całe twoje życie”. Ale on na to, że już się zdecydował. Ja proszę go, tłumaczę: „Constantin, co my teraz zrobimy? Jesteśmy przecież uchodźcami. Większość naszego majątku pozostała w Pireusie...”

Tom przypomniał sobie tę żalną garstkę kosztowności. Kirsten powiedziała mu zresztą, że Melinda już sprzedała większość precjozów. A to, co zostało, nie na długo im wystarczy. Starali się, jak mogli, uspokoić Melinę. W końcu Tom zasugerował, by Kirsten zjadła z nią kolację na górze w apartamencie. Zostawił je same i wrócił do swojego mieszkania. Nalał sobie whisky, wyciągnął się na kanapie, którą Kirsten wymościła poduchami. Zarówno serce, jak i rozum mówiły mu, że nadszedł czas na zmiany.

Skubiąc winogrona, Tom siedział obok łóżka Constantina w prywatnym szpitalu. — Co się stało z twoimi włosami?

— Część zgolili, a strach odebrał mi resztę.

Oprócz zarostu na skroniach i na karku, głowa Constantina pozbawiona była włosów.

— Odmłodniałeś dzięki temu.

Constantin roześmiał się. — Melinda twierdzi, że będę straszyć dzieci po wyjściu stąd.

— Są szanse, że odrosną?

331

— Nikt nie potrafi tego przewidzieć — Constantin wzruszył ramionami. — Nawet specjaliści. Czas pokaże. — Uśmiechnął się.

Ma to swoje dobre strony. Jeśli nie odrosną, nie zdążę posiwieć i do końca życia będę jednakowo przystojny.

Tom uśmiechnął się. Melinda powiedziała mu, że Constantin stracił włosy, ale nie wspomniała o utracie wagi. A tymczasem ten olbrzym jakby się skurczył.

Constantin odczytał jego myśli. — Wagę odzyskam z pomocą sterydów i ćwiczeń. Tylko czy rzecz jest warta zachodu? Pracując w młodości na targu mięsnym, wyrosłem na olbrzyma. Siła mięśni była mi potrzebna. Ale teraz... — Rozłożył ramiona, ukazując okaleczone palce. — Nie mam zamiaru znów dźwigać zwałów mięsa i nie będę brał sterydów. Moja waga się ustabilizowała. Myślę, że już taki szczupły pozostanę. — Z uśmiechem poklepał się po piersi. — Przynajmniej serce nie będzie musiało się męczyć.

— A jak twoje serce? W porządku?

— Jasne. Jak zawsze.

— Trudno w to uwierzyć. — Tom odłożył na szafkę pojemnik z winogronami. — Jeszcze ci kilka zostawiłem.

— Zjedz je, proszę, do końca. Mnie one nie służą — Constantin postukał po swoich nowych zębach. — Pestki dostają się pod protezę.

— O, do diabła! Przepraszam. Powinienem był o tym pomyśleć.

— Nie, nie, to ja powinienem cię przeprosić, że tak przyjmuję twój prezent.

— Następnym razem przyniosę ci butelkę retsyny.

— To raczej ja postawię ci skrzynkę whisky, kiedy stąd wyjdę. Obydwaj roześmieli się, by ukryć zakłopotanie.

— Chciałem odwiedzić cię wcześniej — zaczął Tom.

— Wiem, Melinda mi mówiła. Ale nie było sensu, gdy nie mogłem mówić. — Twarz Constantina

nabrała powagi. — Sam nie wiem, jak ci się odwdzięczę...

— Zostaw to sobie na później, gdy stąd wyjdiesz — przerwał mu Tom. — Czy już wiesz, kiedy cię wypiszą?

Twarz Constantina rozjaśniła się. — Już niebawem. Codziennie rano chodzę na ćwiczenia po trzy godziny dziennie. Jeszcze tylko kilka badań kontrolnych i koniec ze szpitalem. Nie potrwa to długo.

— Czym zamierzasz się zająć po wyjściu ze szpitala? Constantin zmrużył oczy, uświadomiwszy sobie, o co chodzi.

Melinda ci powiedziała?

— Ona się zwyczajnie martwi i to wszystko. A ja jestem zaskoczony-Myślałem, że nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do swojego zawodu.

332

— Ludzie czasem zmieniają zawód. Ja właśnie zamierzam to uczynić. — W tonie głosu

Constantina dało się wyczuć, że jest to decyzja ostateczna.

Tom popatrzył na niego. — Planujesz powrót do Grecji?

— Czym bym się tam zajmował? Wrócić do Grecji? Oddać się w ręce pułkowników. Pozwolić im, by dokończyli to, co zaczęli? — potrząsnął przecząco głową. — Nie, nie wrócę tam. Niewiele mogłem tam dokonać poprzednio, a teraz, gdy czekają na mnie na każdym skrzyżowaniu ulic... — Westchnął. — Może kiedyś, kiedy te szumowiny odejdą, ale na pewno jeszcze nie teraz.

— Czym się więc na razie zajmiesz?

Constantin wzruszył ramionami. — Znajdę sobie jakieś uczciwe zajęcie.

— Dobrze. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Co byś powiedział na pracę w Stanton Industries?

Nawet kiedy już otrząsnął się z zaskoczenia, Constantin nadal oponował. Przez pół godziny nie chciał się zgodzić. — Ty już i tak zbyt wiele dla mnie uczyniłeś, przyjacielu.

— Aleja nie robię tego wyłącznie dla ciebie. Myślę również o sobie. Tom wyjaśnił Constantinowi zasady funkcjonowania Stanton

Industries, określając przy tym rolę, jaką on i Alec pełnią na czele korporacji. — Nie potrafimy już we dwóch unieść tego ciężaru. Potrzebny nam ktoś, kto by nas odciążył.

— Ale ja się nie znam na biznesie.

— Tym lepiej — uśmiechnął się Tom. — Ekspertów od biznesu mamy na pęczki. Potrzebny mi twój analityczny umysł.

— Już widzę, jak Melinda musiała mnie wychwalać. — Wyraz satysfakcji pojawił się w oczach Constantina. — Nie wolno ci słuchać tego, co twierdzi moja żona. Ona zawsze przesadza.

— A Dedas?

Constantin spojrział na niego zaskoczony. — Alexandros? Rozmawiałeś z nim?

— Spędziłem prawie pół dnia w jego biurze. Powiedział mi, że ukończyłeś Ateńską Szkołę Prawa z wyróżnieniem. Żadna sprawa nie była nigdy dla ciebie za trudna. Jest załamany tym, że nie zgodziłeś się zostać jego współpracownikiem. — Tom zawahał się. — Muszę ci coś powiedzieć: — Dedas wcześniej czy później się wybije. Zaczyna Wchodzić do grona najlepszych londyńskich prawników od spraw Przemysłowych. Wiesz, co mi powiedział? Że jesteś tak dobrym Prawnikiem, jakim on nigdy nie będzie. Nie może przeboleć, że odtrąciłeś jego propozycję.

333

Wyraz bólu pojawił się w oczach wspartego o poduszkę Constantina. — Alexandros zmieniłby zdanie, gdyby znał moje powody. — Przez chwilę wpatrywał się w Toma. Po chwili podjął już decyzję. — Czuję się zaszczycony, przyjacielu. Bardzo mi tym pochlebiasz. Rozumiem, że potrzebujesz zaufanego człowieka na tym stanowisku, prawda?

Tom kiwnął głową.

— Nie chciałyś, bym cokolwiek przed tobą ukrywał?

— Oczywiście.

Constantin powoli skinął kiwał głową, jakby potwierdzając, że takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał. — W takim razie najpierw muszę ci do czegoś się przyznać, powinieneś o tym wiedzieć. Nikomu o tym nie mówiłem, nawet Melindzie. — Spojrzał Tomowi prosto w twarz. — Popeliłem morderstwo.

Przeciwstawne odczucia targwały Tomem, kiedy słuchał opowieści

o Petrosie, Annie i młodym Andreasie. Odczuwał, oczywiście, zgrozę

i przerażenie. Zastanawiał się, jak on sam by postąpił w takiej sytuacji. Lecz przede wszystkim oładnęło nim uczucie braterstwa. Constantin nie musiał wcale się do tego przyznawać. Mógł to wszystko przed Tomem zataić. Wolał jednak powierzyć mu sekret, którym nie podzielił się ani z żoną, ani z najbliższym przyjacielem Dedasem.

Kiedy Constantin skończył, Tom milczał chwilę, po czym wyprostował się w krześle. — Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś — rzekł cicho. — Sam też chciałbym podzielić się tą historią z kimś innym, gdyby mnie coś takiego się przydarzyło. Nie sądzę jednak, by powstrzymało mnie przed wykonywaniem zawodu. Dedas powiedział, że jego oferta jest nadal aktualna.

Rozczarowanie pojawiło się w oczach Constantina. — A co z twoją ofertą?

— No cóż... — zawahał się Tom. — Ja mam jeszcze jedno pytanie.

— Jakie?

— Kiedy zaczniesz pracować u mnie?

1978

Ogień już prawie wygasł. Sosnowe polana zmieniły się w stertę srebrnego popiołu, przykrywającą kilka jarzących się jeszcze pomarańczowo głowni. Niebo na dworze pojaśniało. Już wkrótce blade słoneczne światło rozleje się po wodach Morza Egejskiego, a szubienica ostro zarysuje na tle nieba. Czasu pozostało niewiele...

— Wybór ciebie to była najlepsza rzecz, jakiej dokonaliśmy — powiedział Constantinowi Alec. — Dopiero wtedy Stanton Industries zaczęło się naprawdę rozwijać. Do tamtej pory chodziliśmy z Tomem jak woły w kieracie, nie mając ani chwili czasu na myślenie. Firma nie rozwinęłaby szybko skrzydeł bez ciebie.

Constantin starał się nie dać po sobie poznać, jak bardzo dumny jest z tego stwierdzenia. — Wy obaj jesteście świetnymi nauczycielami.

— Mieliśmy diabła zdolnego ucznia — powiedział Alec. Constantinowi przypomniało się zdjęcie z okładki magazynu

„Management Today”, na której widniała podobizna Toma, a w głębi dwa mniejsze oblicza, jego i Aleka. Tytuł głosił: ZWYCIĘSTWO TRIUMWIRATU STANTONA. Pamiętał nawet, co napisano pod zdjęciem: „Tom Lambert ma nie tylko prawą rękę, ma również i lewą. Alee Hardgrave i Constantin Peponis to ludzie, na których szef może 'iczyć w każdej sytuacji”.

Nie w każdej, pomyślał z goryczą Constantin, tylko dość często.

— Pamiętasz, że od razu zostałeś rzucony na głęboką wodę? —

Zemsta

337

roześmiał się Alec. — Byłeś dopiero od dwóch tygodni w biurze, kied' Tom wyjechał do Stanów. Przypominasz to sobie?

— Tak, zabrał wtedy z sobą Kirsten — pokiwał głową Constantin. — Całą robotę zwałił na nas, a sam udał się na miodowy miesiąc

— Trudno to nazwać miesiącem miodowym. I wówczas harowałem jak wół roboczy.

— Całe pięć tygodni? — Constantin mrugnął porozumiewawczo do Aleka. — Musiałeś chyba od czasu do czasu pójść z Kirsten do końca i się zabawić? Pozostały wam jeszcze weekendy, wieczory...

— Oczywiście, to było wspaniałe.

— Uznajmy więc, że było to coś w rodzaju miesiąca miodowego_ przedstawił kompromisowe rozwiązanie Constantin.

— Myślę, że można to tak nazwać — zgodził się ze słabym uśmiechem Tom. — Nigdy zresztą nie mieliśmy innego miesiąca miodowego. Nawet zaraz po ślubie to był tylko weekend tutaj na wyspie. Pamiętam, że zaraz potem poleciałem z Alekiem do Australii.

— To była wycieczka — przerwał Alec. — Przypominasz sobie ten dzień w Melbourne? Kiedy podejmowaliśmy tuzin dealerów na lunchu?

Wspomnienia Aleka pozwoliły Constantinowi na uporządkowanie własnych myśli. Zauważył pewien postęp. Tom nie był już taki nieprzystępny, nie warczał tak opryskliwie: „To nie twój interes! To moja sprawa, sam się tym zajmę”. Znowu rozmawiali przyjaźnie. Constantin uznał, że najważniejszą rzeczą będzie teraz nie pozwolić mu przestać mówić. — A co z Maurice'em? — zapytał nagle. — Przepraszam, nie chciałem przerywać, ale właśnie to przyszło mi do głowy. Kiedy powiedziałeś Maurice'owi o tobie i Kirsten?

Wytracony ze słuchania wspomnień Aleka Tom przez chwilę nie mógł pozbierać myśli. Po chwili przypomniał sobie. — Kilka tygodni przed wyjazdem do Stanów. Przez godzinę konferowaliśmy telefonicznie. Głównie o tobie, Con.

— O mnie?

— Owszem. O tym, czy można ci powierzyć sekrety firmy. Bez pozwolenia Maurice'a nie mógłbym ci zaproponować tej pracy.

Constantina zaskoczyła ta odpowiedź. Do tej pory był przekonany, że sprawę przyjęcia go do Stanton Industries Tom omówił tylko z Alekiem. — No dobra, rozmawialiście o mnie. A co potem? Poprosiłeś o rękę jego córki?

Zmarszczki wokół oczu Toma pogłębiły się. — Ależ skąd! Pó' stanowiliśmy się pobrać dopiero po powrocie ze Stanów, choć nigdy nie ukrywaliśmy, że żyjemy z sobą. Uznałem, że Maurice powi dowiedzieć się o tym ode mnie, zanim ktoś inny mu powie.

338

— I jak to przyjął?

?— Myślę, że się ucieszył. ?— Zdziwił się?

— Nie, nie wydaje mi się

Constantin uśmiechnął się do Aleka. — A nie mówiłem? Każdy, kto widział ich na Kariakos, mógł przewidzieć rezultat.

— Ja też przewidziałem ich małżeństwo, kiedy wrócili ze Stanów — odparł Alec.

— A chcecie wiedzieć, co ja myślałem o was dwóch? — wtrącił kwaśno Tom. — Sądziłem, że wszystko może się zdarzyć. Nawet bym się nie zdziwił, gdyby zadzwoniła do mnie Barbara ze skargą, że nie potraficie się dogadać.

— Było wręcz przeciwnie — powiedział Alec. — Od samego początku dobrze nam się współpracowało. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś, kto zadaje tyle pytań.

— Z wyjątkiem Amiensa — mruknął na wpuł do siebie Constantin. Alec usłyszał jednak ten komentarz. — Do diabła! — zawołał.—

Rzeczywiście masz rację. Całkiem o nim zapomniałem. To było wtedy, gdy go poznałeś. Toma nie było, a Amiens przyjechał na nasze regularne spotkanie. Od samego początku nieprzychylnie się do ciebie odniósł.

— Nie spodobałem mu się — Constantin wzruszył ramionami. — I nie ukrywał tego. Lecz jeszcze bardziej nie spodobało mu się to, że ty zasiadłeś na miejscu Toma. Był zdania, że podczas nieobecności Toma on powinien sprawować obowiązki Lamberta.

— Całkiem możliwe, że poprowadziłby spotkanie równie dobrze jak ja — powiedział z niechętnym szacunkiem Alec. — Trzeba przyznać, że zna się na rzeczy.

— Tak — zgodził się Tom. — Należy przyznać, że jest dobry.

Słyszając rozgoryczenie w słowach Toma, Constantin wtrącił szybko: — Nie przeszkadzały mi jego pytania. Nic ode mnie nie wyciągnął, ale zmartwiłem się jednak...

— Tak? — Tom uniósł pytająco brwi.

— Pamiętasz, dopiero zacząłem u was pracować. Alec mnie szybko szkolił. Uczyłem się wszystkiego o wytwarzanych produktach. Studiowałem procenty naszego udziału na rynku. W oczach Toma zabłyśły wesołe ogniki.

— Znowu chodziłem do szkoły — uśmiechnął się Constantin. — Ale poruszałem się jak starzec. Potrzebowałem pół godziny, by wdrapać się na te schody do biura.

— Przychodził zawsze na szóstą, byśmy go nie widzieli na tych Schodach — wtrącił Alec.

339

— Myślałem, że już się zaczynam w tym wszystkim orientować dopóki nie zetknąłem się z Amiensem.

— Amiens chciał się koniecznie dowiedzieć, dokąd wyjechałeś — rzekł Alec. — Powiedziałem mu, że pojechałeś zobaczyć się z Pohlem

— No i wtedy Amiens wylał całą żołą — przerwał mu Constantin. — Musiałem wysłuchać przemówienia o rzucanych w błoto pieniądzech. Amiens mówił i mówił. Brzmiało to całkiem przekonująco, szczególnie dla kogoś tak mało jeszcze obeznanego ze sprawami firmy.

— Nie masz się o co obwiniać — przyznał ze skrucą Alec. — Ja sam też powziąłem wątpliwości. Wszyscy je powzięli. Jedynie Tom i Hollenberg wierzyli w Pohla.

— Nie wiem, czy można to nazwać wiarą — uśmiechnął się Tom, przypominając sobie kłótnie z Pohlem. — Czy wiecie, co było ulubioną obelgą Pohla? Ciągle to powtarzał: „Wy się wywodzicie jeszcze sprzed epoki krzemu”. Sądziłem, że ma na myśli czasy kamienia łupanego, ale jemu chodziło o erę komputerów.

Alec roześmiał się. — Co racja, to racja. Nikt wtedy nie myślał poważnie o komputerach.

— Nikt — przyznał wzruszając ramionami Tom. — Z wyjątkiem IBM i jeszcze kilku innych firm. Ale oni bawili się w te klocki sami z sobą. Duży biznes wytwarzał komputery dla dużego biznesu. To wszystko było takie... odczłowieczone, bez wyrazu. Te wirujące dyskietki i perforowane karty wprowadzane do maszyny w określonej kolejności. Klimatyzowane pomieszczenia i technicy w białych fartuchach. Wszystko to należy już do przeszłości. A przecież działo się to zaledwie przed kilkoma laty. Dopiero to porównanie unaocznia tempo dzisiejszych zmian.

Alec nadal się uśmiechał. — Sprzed epoki krzemu! — zacytował.

— A powinno brzmieć „sprzed epoki pecetów” — wtrącił Constantin.

— W każdym razie — roześmiał się Tom — ciągle kłóciliśmy się o Pohla. W wizji Carla wszyscy powinni mieć własne komputery. Każde gospodarstwo domowe. Czy potraficie to sobie wyobrazić? Bo ja nie. Wciąż go pytałem, po co? Co za pożytek można mieć z komputera? No dobrze, zgadzałem się, że ludzie z Doliny Krzemowej chcą mieć komputer w domu, ale oni są ich entuzjastami. Lecz po co przeciętnemu człowiekowi komputer?

— Po co więc pompowałeś tyle pieniędzy w Pohla? — zapyta szybko Constantin.

— Intuicja? Może miałem nosa? Nie wiem — Tom potrząsnął głową. — Jedna rzecz nie dawała mi spać po nocach. Technologia'

340

o której marzył Carl, mogła nas zrujnować. Mieliśmy dwudziesto-procentowy udział w rynku maszyn do pisania w Europie i piętnasto-procentowy w produkcji kalkulatorów. Carl nie miał wyczucia biznesu. W jego wizji ludzie używaliby komputerów w domu, a w moich snach używali ich w pracy. To wystarczyło, bym oblewał się zimnym potem na myśl, że Amiens inwestuje w produkcję, która może okazać się przestarzała w chwili uruchomienia, jeśli Carl ma rację. Wszystkie nasze maszyny i urządzenia z godziny na godzinę stałyby się przestarzałe.

— A Amiens zdobył poparcie Edwardsa — wtrącił Constantin.

— Trzeba być wobec Edwardsa sprawiedliwym. Desmond co rok zwiększał sprzedaż o dwadzieścia procent. Wykonywał dobrą robotę. — Tom poprawił się: — Nawet wspaniałą robotę. Podobnie André. Obydwaj byli świetni.

— Ale brakowało im twojej wizji? — przerwał mu Constantin.

— To była wizja Carla Pohla.

— Czyli że konfrontacja była nieunikniona?

Tom zaczerwienił się nagle ze złości. — Daj spokój, Con. Byłeś tego świadkiem. Robiłem, co mogłem, by utrzymać spokój. Cały czas starałem się zaspokoić pragnienie Maurice'a, który chciał, by przedsiębiorstwo było jedną wielką rodziną.

— No, właśnie. Rodziną... — wpadł mu w słowo Constantin. — Może w tym tkwią korzenie twojego niepowodzenia. Roddy i Kirsten...

Krew nabiegła Tomowi do twarzy. — Tylko nie mieszaj w to Kirsten! Oczy mu zapłonęły. — Mówiłem już wcześniej...

— Dobrze, już dobrze — Constantin uniósł do góry ramiona w geście kapitulacji. — Nie chodzi mi...

— Nie wściekaj się, Tom — uspokoił go Alec. — Con nie chciał powiedzieć...

— No to o co, u diabła, mu chodzi? — warknął Tom.

— Con nie chciał powiedzieć, że Kirsten spiskowała przeciw tobie — szybko wyjaśnił Alec. — Nikt w to nie wierzy.

Tom zawahał się, a ból i rozpacz malowały się w jego oczach. — Sam już nie wiem, w co wierzyć.

— Na pewno nie w to — przekonywał go Alec. — W to nie wolno Ci wierzyć. Pomyśl tylko, jak dobrze wam było razem. Jacy byliście sobie bliscy.

— Przypominasz sobie tamto przyjęcie? — przerwał Constantin. — Kiedy wróciliście ze Stanów, Kirsten tak się zapaliła do Kalifornii... pamiętasz?

Tom lepiej pamiętał dzień, który nastąpił po tym przyjęciu. Była udziela, większość czasu spędzili w łóżku...

1971

c

hyba jest już strasznie późno. Która godzina?

Wysuwając się z łóżka Tom sięgnął po zegarek. — Nie uwierzysz, gdy ci powiem.

— Uwierzę. Jestem okropnie głodna. Potrząsnąwszy zegarkiem przystawił go do ucha. — Trzecia trzydzieści! To niemożliwe.

— Dlaczego nie? Już raz zaczęliśmy się ubierać. Pamiętasz? — Ciemne oczy Kirsten zaświeciły figlarnie. — Właściwie to nawet dwa razy. — Objęła go ponownie, pogładziła po twarzy, potem przesunęła rękę po piersi i dalej. — Ojej! — roześmiała się rozbawiona po nieudanej próbie. — Chyba rzeczywiście mogę się już ubrać. Przynajmniej na krótko. — Wysunąwszy się z jego objęć, usiadła na skraju łóżka. — Zrobię coś do zjedzenia, zanim przejdziemy do twojej drugiej pasji. W Kalifornii wyznała mu kiedyś: — Tylko dwie rzeczy potrafią na dłużej zatrzymać twoją uwagę — biznes i seks.

W tamtej chwili całą uwagę skierował na nią, obserwując, gdy szła przez pokój. Miała piękne ciało. Podziwiał jej pełne piersi i płaski brzuch nad wzniesionym łonowym. Brzuch zwał się stożkowo między udami, które przechodziły w smukłe długie nogi. Kalifornijskie słońce, a jeszcze wcześniej greckie zabarwiło jej skórę na niezwykle złoty kolor, co przydawało jej wyglądu Polinezyjki.

Ciemne oczy i 8eS kasztanowe włosy jeszcze bardziej wzmagały to wrażenie.

Ameryka wydawała się im teraz tak odległa. Spędzili

w

tedy

342

pierwsze dni na spotkaniach z dystrybutorami w Nowym Jorku i Chicago, a dopiero potem pojechali do Kalifornii. Przez pierwszy tydzień Kirsten przebywała sama w hotelu San Francisco, zwiedzała miasto, a Tom jeździł w tym czasie do odległego o czterdzieści mil ośrodka badawczego Pohla. Potem Tom wynajął domek w górach. Urzekła ich magia kanionów i parowów Santa Cruz. Tom zazwyczaj wracał o siódmej, często wraz z Carlem Pohlem, i we troje zasiadali na patio, patrząc w słońce, gdy kryje się za górami.

Pohl stał się bardziej kalifornijski niż sami Kalifornijczycy. Jedynie grube oprawki okularów pozwalały rozpoznać wojowniczego Niemca w tym ubranym w dżinsy i rozchełstaną koszulę chłopaku. Ale charakter mu się nie zmienił. Nadal był dogmatyczny i z pogardą traktował konwencje społeczne, wciąż miał naturę buntownika. Przede wszystkim jednak żył swoimi wizjami przyszłości. Wyobrażał sobie przyszłość ośrodka jako coś pośredniego pomiędzy miasteczkiem uniwersyteckim a osiedlem. — Kiedy skończymy nasz projekt — powiedział do Kirsten — nic na świecie nie będzie się mogło z nim równać.

Carl Pohl ciągle podsuwał Kirsten do obejrzenia setki szkiców sal wykładowych, laboratoriów, pracowni projektowych, osiedli mieszkaniowych, urządzeń rekreacyjnych, kortów tenisowych, basenów kąpielowych, nawet wewnątrzsiedlowego transportu jednoszynowego.

— W głowie mi się kręci od tej ciągłej koncentracji na jego pomysłach — poskarżyła się kiedyś Kirsten po wyjściu Carla.

Tom popadał na przemian w euforię i desperację, bo choć wizje Carla wywierały na nim ogromne wrażenie, widział także i to, co Amiens wytknął podczas krótkiej wizyty — nie dokończone konstrukcje budynków, wśród których kręciło się trzystu młodych ludzi, przeważnie chłopaków o długich włosach, ubranych w sandały albo tenisówki i podkoszulki oraz dżinsy. — Pieprzona banda hipisów — mruczał Amiens. — Nie robią nic innego, tylko palą trawkę i wpatrują się we własne pępki.

Kirsten wyszła z łazienki w koszuli Toma. Podeszła do szafy i zdjęła z wieszaka niebieską, zapinaną z boku spódnicę. Widząc, że wkładają na gołe ciało, Tom poczuł przyływ podniecenia. — Oho — rzeźmiła się odsuwając od niego. — Najpierw papu, a potem figle.

Wyciągnął się z powrotem na łóżku i patrzył za Kirsten, gdy znika w drzwiach kuchni. Ona i Carl całkiem niezłe się rozumieli. Jego wizje przyszłości pobudzały jej wyobraźnię. — To geniusz — stwierdziła po Jednym ze spotkań.

Pieniądze, jakie ich kosztował „geniusz”, przyprawiały Toma o ból

343

głowy. Koszty rosły w zawrotnym tempie. Za każdym razem, gdy jechał na spotkanie z nim, Carl Pohl żądał coraz wyższych kwot. Tom wyciskał jakoś gotówkę, lecz starał się ograniczać zapędy Carla. Kiedy mu mówił, że każdy wydany na niego dolar zmniejsza ilość urządzeń biurowych wytwarzanych u Amiensa i obniża wynagrodzenia sprzedawców u Edwardsa, Pohl tylko wzruszał ramionami. — A co Amiens będzie produkował za pięć lat? Edwards też zmieni śpiewkę, kiedy mu przyjdzie handlować przestarzałym sprzętem. To ja jestem ich przyszłością. Beze mnie będą skończeni.

Arogancki sukinsyn! — mówił do siebie Tom.

Co wieczór Kirsten musiała go uspokajać. — Przyznaj uczciwie Tom, że trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej opętanego na punkcie komputerów niż Carl. Przecież on nie wydaje tych pieniędzy na siebie.

To była prawda. Carl Pohl z lekceważeniem odnosił się do wszystkich tych dodatków funkcyjnych przynależnych stanowisku. Nie miał wielkiego domu ani luksusowej limuzyny. Jeździł motocyklem BMW i mieszkał z trzydziestoma swoimi rekrutami w tak zwanym Opus One — rozległym parterowym baraku z prefabrykatów, podzielonym na dwupokojowe mieszkania z kuchnią i łazienką. — On dzieli z nimi całe swoje życie — powiedziała Kirsten, kiedy obejrzała ten ośrodek. — I to na nich dobrze wpływa. Czy widziałeś twarze tych ludzi? Oni w niego wierzą. Mają przed oczyma tę samą wizję, co on. Mówią tylko o komputerach. To dla nich coś w rodzaju nowej wiary. Kirsten również stała się jej wyznawczynią. Tom przypomniał sobie pewien wieczór. Siedzieli z Carlem Pohlem na patio i, jak zwykle, to Carl mówił. — Ludzie mają niesłuszne wyobrażenia o komputerach. Uważają je za maszyny do wykonywania trudnych matematycznych zadań. Coś w rodzaju liczydła dwudziestego wieku. Ale komputery to dużo więcej. W przyszłości dzieci nacisnąwszy odpowiedni klawisz będą mogły połączyć się z największymi bibliotekami. Patrząc na ekran będą poznawały historię, nauki ścisłe, dzieje świata, wszystko. I to za dotknięciem klawisza. Promienie słońca iskrzyły się na oprawkach okularów Carla Pohla, kiedy pochylając się do przodu

mówił do Kirsten: — Wiedza to bogactwo. Ludzie nie mają do niej właściwego podejścia. My doprowadzimy do redystrybucji bogactw na skalę, która była dotychczas niewyobrażalna. Każdy będzie miał dostęp do wiedzy, nie tylko uprzywilejowana garstka wybrańców. Zmienimy cały świat.

Kirsten wsłuchiwała się z namaszczaniem w każde słowo tego nowego proroka.

Kiedy Pohl odjechał, poszli z Kirsten do łóżka i kochali się. Potem

344

Tom zasnął. Spał mocno aż do trzeciej nad ranem. Kiedy się obudził i chciał przyciągnąć do siebie Kirsten, jej miejsce obok niego było puste.

Kirsten owinięta w szlafrok stała na patio i wpatrywała się w nocne niebo. — Ależ on jest pełen wiary — powiedziała, gdy Tom przyłączył się do niej. — Można by sądzić, że to jakiś nowy mesjasz. On naprawdę myśli, że zmieni cały świat.

— Może zmieni — odparł Tom, nadal jeszcze trochę śpiący. Kirsten natomiast w ogóle nie miała ochoty na sen, nurtowało ją

mnóstwo pytań. — Czy to możliwe? Czy mu się uda?

— Nie wiem. Częściowo się z nim zgadzam. Ma rację twierdząc, że wiedza, informacja jest bogactwem. Zgadzam się, ale... — Wzruszył ramionami. — Domowe komputery? Może kiedyś, w przyszłości. Choć Giinther z kolei twierdzi, że na dłuższą metę Pohl nas rozłoży.

— Co Giinther przez to rozumie?

— Nie można czekać w nieskończoność. Nie można tylko wydawać i wydawać, nic z tego nie mając.

— A jeśli się uda?

— Jeśli... To jest hazard. Ja go osłaniam, ale nie mogę tego ciągnąć bez końca. Amiens i Edwards piastują równorzędne stanowiska. Jeżeli uda im się przekonać Gunthera i Maurice'a... — westchnął i przeciągnął palcem po gardle — to koniec ze mną.

W świetle księżycy twarz Kirsten wydawała się bardzo blada. — Czy Maurice do tego dopuści? — spytała patrząc na Toma zaokrąglonymi ze zdumienia oczami.

— Myślę, że nie od razu, ale jeśli w końcu dojdzie do wniosku, że nie mam racji, to nie będzie miał innego wyboru.

— Mój ty biedaku! — przytuliła się do niego. — Co wtedy zrobisz? Przecież ta firma to całe twoje życie!

— Myślę, że do tego nie dojdzie. Powiedziałem Carlowi, że ma trzy lata, po których jego ośrodek będzie musiał zacząć przynosić zyski.

Nauczyła się już odróżniać odcienie głosu Toma. — Wystarczą mu te trzy lata?

— Jeśli korporacja nadal będzie przynosiła zyski, może przedłużą mu ten kontrakt do czterech lub pięciu lat. Różne czynniki wchodzą tu w grę.

Przez kilka minut nie odzywała się. Potem powiedziała: — Pięć lat to sporo czasu na spacer po linie.

— Nie dla kogoś, kto uwielbia cyrk — uśmiechnął się.

Podniosła na niego wzrok. — Myślę, że ty też w niego wierzysz.

Westchnął. — Może trochę. Na pewno coś osiągnie, dojdzie do czegoś. Pozostaje jednak pytanie, czy ktoś to kupi.

i

345

— Sądzisz, że te jego opowieści o rodzicach, którzy będą kupować komputery dla dzieci, to tylko mrzonki?

— Kupować będą komputery? — Tom roześmiał się. — Carl opisuje społeczeństwo, które nie istnieje. Jeśli nawet okaże się, że ma rację, zmiany następować będą stopniowo, powolnie, z jakąś fazą przejściową. — Umilkł i zamyślił się. — Lepiej, by nie nazywał ich komputerami domowymi. To brzmi zbyt fantazyjnie. Jeśli ma rację, komputery znajdą miliony zastosowań poza domem.

Było po czwartej, kiedy wrócili do łóżka. Zasypiał, gdy znów przytuliła się do niego. — Tom...

— Mhm...

— Jaką żoną chciałbyś, żebym była?

Otworzył szeroko oczy. — Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteś jaka jesteś. — Uśmiechnął się w ciemności. — Czy objawiasz się jeszcze innych wersjach? Mam wybór? Świetnie. Wybieram więc tę od seksu, która będzie ze mną co wieczór chodzić na kolacje.

— Równie dobrze mogę sama gotować.

— Równie dobrze, jak co?

Przytrzymała jego rękę błądzącą po jej ciele. — Czy nie myślisz, że powinnam iść do pracy?

— Po co? Przecież nie potrzebujemy więcej pieniędzy.

— Gdybym się zgłosiła do Czerwonego Krzyża w Londynie...

— Rzeczywiście chcesz tam pracować?

— Nie.

— No więc o czym ty mówisz?

— O nas. — Oparła głowę na łokciu i zaczęła mu się przyglądać. W szarej poświacie wypełniającej pokój jej poważne oczy wydawały się ogromne. — Usiłuję sobie wyobrazić przyszłość. Czym będziemy się zajmować? Jak to wszystko będzie wyglądać?

— Wiesz już, czym będziemy się zajmować. Omówiliśmy to poprzedniego wieczoru.

— Opowiedz mi o tym jeszcze raz.

— Jest piąta — zaprotestował.

— W takim razie spełnij mój kaprys. Czy będziesz spełniał moje kaprysy, gdy się pobierzemy? —

Pochyliła się i pocałowała go w czubek nosa. — Powtarzaj za mną: „Przyrzekam kochać tę kobietę, pieścić ją i spełniać wszelkie jej kaprysy aż do końca naszych dni”.

— Wrócimy do Londynu — westchnął. — Znajdziesz jakiś dom, a ja sprzedam to okropne mieszkanie.

— I co potem?

346

— Jak to, co potem? Potem się pobierzemy i będziemy żyli dalej długo i szczęśliwie.

— A jaką chciałbyś mieć żonę?

— Na litość boską! — Usiadł, porzuciwszy nadzieję, że uda mu się jeszcze zasnąć. — Czy możesz mi w końcu powiedzieć, o co chodzi?

— Tylko się nie denerwuj! — powiedziała tonem nagany. — Zachowujesz się jak rozwścieczony mąż.

— Zachowuję się jak człowiek, któremu nie pozwala się spać.

— To jest bardzo istotny problem. Wiele się nad tym zastanawiałam. — Odsunęła się na skraj łóżka. — Nie chciałbyś chyba mieć żony, której zależy na własnej karierze zawodowej? A może chciałbyś? Nie, to by się nie sprawdziło. Ciebie tak bardzo pochłania własna praca, że gdyby i twoja żona była nią zajęta, nie mielibyście nawet okazji porozmawiać z sobą. Każde by żyło własnym życiem...

Zastanawiał się, czy to aluzja do Melody. Nigdy nie mówił Kirsten o Melody. Może Jean jej coś napomknęła? Albo Barbara? Kobiety lubią dużo gadać. Nie. Barbara na pewno nie. Barbara milczałaby jak grób.

— A więc nie mogłabym chodzić wokół własnej kariery. Nie znaczy to, oczywiście, że mam coś przeciw robieniu kariery przez kobiety.

— Kirsten!

— No, dobrze, nie niecierpliw się. Przechodzę do sedna. Sedno polega na tym, że wiele się nauczyłam w czasie tej podróży. Teraz już wiem, dlaczego aż tyle pracujesz. To jest ekscytujące. Carl i ta cała reszta. To jest fantastyczne. Ale ja też chciałabym być częścią tego wszystkiego. Nie chodzi mi o posadę w biurze ani nic w tym stylu... Ale nie chciałabym, żebyś mnie trzymał z dala od tych spraw. Dla naszego małżeństwa będzie lepiej, jeśli wciągniesz mnie we wszystko. Szczególnie, gdy już wiem, że to stąpanie po linie.

— Dobrze — roześmiał się. — Oboje razem spadniemy z tej liny.

— O nie, ja tam pozostanę, żeby nie pozwolić ci spaść — powiedziała z tym swoim dziwnym uśmiechem.

Leżąc w łóżku w swoim londyńskim mieszkaniu i czując dochodzący z kuchni zapach kawy, Tom uśmiechnął się na wspomnienie tamtych dni. Nie mógł się nadziwić, że życie tak się zmienia. Wstał i poszedł do łazienki. Kąpiąc się i goląc, zastanawiał się, jaki dom kupić. Kirsten miała rację. To mieszkanie jest ciasne i niewygodne. Za małe, by w nim dalej mieszkać we dwoje...

Ubrawszy się poszedł do kuchni. Stół był nakryty, a Kirsten stała przy kuchence. — Co powiesz o wczorajszym przyjęciu? — zapytała uśmiechając się. — Constantin mówił ci o ich nowym domu?

347

— Jean mi mówiła. Sama go dla nich wyszukała.

— Będą sąsiadami. Założę się, że nigdy nie przypuszczałaś, że sobie przypadną do gustu.

Wyraz zaskoczenia pojawił się w oczach Toma. — Gdybym ? przypuszczał, że tak się stanie, to nie proponowałbym Conowi e pracy. J

— Taak? — zawahała się. — Myślałam, że zrobiłeś to tylko po to by mu pomóc.

— Nie. Zrobiłem to przede wszystkim, by pomóc sobie. Włożyła befsztyki na talerze i przyniosła je na stół, lecz wyraz

zaskoczenia nadal nie schodził jej z twarzy.

— Potrzebuję Aleka do innych spraw. On się tylko marnuje na Jermyn Street. Chcę, żeby zajął się Australią. Prawniczy umysł Cona natomiast w sam raz się nadaje...

— Chcesz powiedzieć, że wcale nie masz zamiaru mu pomagać? Usiadła patrząc na niego nadal ze zdumieniem.

— Pomógłbym mu, oczywiście, w taki czy inny sposób, ale tę pracę dostał tylko dlatego, że było to korzystne dla nas.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Kirsten ustąpił miejsca pewności osoby dobrze poinformowanej. —

Bezwzględny Tom Lambert! — powiedziała z udawaną powagą. — Decyzja o przemyczeniu tu z Grecji rodziców Melindy też była, jak sądzę, wynikiem twojej następnej bezwzględnej decyzji?

Tom uśmiechnął się i sięgnął po sałatkę. Uradzili w tajemnicy z Maurice'em i Greggiem, że można by spróbować sprowadzić do Londynu rodziców Melindy. — Tylko bez żadnych heroiczych wyczynów — powiedział Tom do Gregga. — Sprowadź ich, jeśli to będzie możliwe, ale nie chcę, byś ryzykował własną skórę. — Okazało się, że było to całkiem wykonalne. Pod osłoną ciemności rodzice Melindy zwyczajnie wsiedli do „Heleny” i po kilku minutach ruszyli w pierwszą podróż do Londynu. Przyjęcie, które Alec przygotował, by uczcić powrót Toma i Kirsten ze Stanów, zbiegło się również z połączeniem rodziny Constantina.

— Myślałem, że Melinda nigdy nie przestanie płakać.

— Uchylasz się od odpowiedzi na moje pytanie. Dlaczego nie chcesz się przyznać? Zrobiłeś to przecież powodowany przyjaźnią, jaką żywisz dla nich.

Tom nie przestawał się uśmiechać. — Con nie potrafi skoncentrować się w pracy, kiedy jego żona jest nieszczęśliwa. Jaki stąd wniosek dla pracodawcy? Należy uszczęśliwić żonę pracownika i tyl

— Ale wymyśliłeś!...

348

pochłaniali befsztyki w całkowitej ciszy. Tom w niczym towarzysze nie czuł się dotąd tak odprężony i spokojny, jak z Kirsten. Teraz

chodziło już o to, czy jest dla niej miejsce w jego życiu, bo ona już 01 stają częścią jego życia, niemal częścią jego samego. Nalewając wino dostrzegł, że Kirsten uśmiecha się. — O co chodzi?

— spytał.

— O nic. Po prostu jest mi dobrze. — Podniosła do góry kieliszek. — Za pana zdrowie, panie Lambert!

Sącząc wino, przypomniał sobie Maurice'a. — Maurice też zawsze tak mówił. To pewnie w

lepszemu stylowi niż „na zdrowie”.

— Ciekawam, co powie, kiedy się dowie, że się pobieramy. _ Wie przecież, że pojechałaś ze mną do Stanów.

_ To nie to samo. Tamto mógł uznać za zwykłą rozwiąłość. On przecież to pochwała.

— Odnosnie córki? — Tom pokręcił głową. — Nigdy w to nie uwierzę!

— Hm... — Kirsten nie wyglądała na przekonaną. — Zostaje jeszcze matka. Będziesz musiał ją poznać.

— Oczywiście.

— I Roddy. Musimy pójść go odwiedzić. Mieszkamy przecież w odległości zaledwie kilku mil od siebie...

— Już u niego byliśmy. Nie było go. Szkoda, że nie znamy jego numeru telefonu.

— Może dziś wieczorem poszlibyśmy do niego? — zaproponowała, ciesząc się z góry na ten pomysł. — Jeśli go nie zastaniemy, zostawię kartkę w drzwiach. — Widząc wahanie Toma, chwyciła go za rękę. — Proszę, Tom! To przecież twój przyszły szwagier.

Nie miał ochoty tam iść. Dziwna rzecz, ale nie mógł nawet znaleźć jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia swojej niechęci. Po prostu coś mu się w Roddym nie podobało. Tłumaczył sobie, że jest może bezzasadnie uprzedzony, że to czysto irracjonalna niechęć. Widział Roddy'ego dwu- lub trzykrotnie na Kariakos. Roddy usuwał się wtedy w cień, by umożliwić Maurice'owi swobodną rozmowę o interesach. Bywał tam także przyjaciel Roddy'ego — Hugo. Jego również Tom nie lubił, i też bez konkretnego powodu. Zawsze byli obydwaj bardzo uprzejmi, choć trzymali się raczej na dystans i traktowali go... — nagle Tom uświadomił to sobie... — protekcyjnie. Właśnie to go irytowało. Odnosił wrażenie, że pod maską wyszukanej uprzejmości pogardzają nim. Naśmiewali się z niego. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z nimi. Któryś z nich nazwał go consigliori, prawą ręką mafiosa.

349

— Czy Roddy nadal kręci te filmy? — spytała Kirsten, gdy wsiadali do samochodu.

— Pewnie tak. Ze swoim przyjacielem Hugonem. Roześmiała się. — Niesamowite! Wiesz o mojej rodzinie więcej niż ja.

— Nie wiem o Roddym nic. „Oprócz tego, że go nie cierpię. Oprócz tego, że uważam go za małą gnidę, która żeruje na ojcu. Tyle tylko o nim wiem” — przyszło Tomowi na myśl. Przed kilkoma miesiącami, będąc jeszcze na Kariakos Tom wychodził właśnie na taras, mijając po drodze gabinet Maurice'a. Usłyszał wówczas podniesiony, gniewny głos Maurice'a: — Jeśli twój Hugo jest takim pieprzonym geniuszem, jak to się dzieje, że wszystkie jego filmy przynoszą straty?

Dobiegł go głos Roddy'ego: — Tato, musisz zrozumieć, Hugo jest artystą...

— Jest pasożytem. Ile tym razem?

— Myśleliśmy... — Roddy urwał, jakby mu zabrakło śmiałości, by dokończyć zdanie. —

Myśleliśmy o sześćdziesięciu. Siedemdziesiąt, jeśli nie sprawi ci to różnicy...

— Nie sprawi różnicy! Siedemdziesiąt tysięcy funtów to nawet dzisiaj mnóstwo forsy. Może powinienem poprosić Toma, by obejrzał to dzieło...

— Tom nie zna się na filmach.

— Ale zna się na interesach.

— To jest sztuka...

— Nie gładź mi tu o sztuce! Na sztuce to znam się ja. Znam też artystów. Hugo nie jest żadnym artystą...

Tom miał ochotę nadal podsłuchiwać, tym bardziej że padło jego imię, i pewnie byłby to uczynił, gdyby nie odgłos zbliżających się kroków. Obejrzał się i zobaczył schodzącego ze schodów Hugona. Nie pozostało mu nic innego, jak szybko się oddalić. W dwadzieścia minut później Roddy

wraz z Hugonem minęli taras i udali się w stronę mola. Roddy miał pozieleniałą ze złości twarz, wyglądał niemal na chorego. Na twarzy Hugona malował się wyraz triumfu.

Kirsten powiedziała: — To będzie jak spotkanie z nieznajomym. Właśnie staram się sobie przypomnieć, kiedy go ostatnio widziałam.

Tom, skupiony na prowadzeniu samochodu, milczał.

— Czy dobrze wyglądam? — spytała nagle, odchylając osłonę przeciwsłoneczną z lusterkiem i dotykając fryzury.

— Zabójczo!

Biała sukienka z koronki, kupiona w Nowym Jorku, doskonale na

350

niej leżała i podkreślała jej opaleniznę. Kirsten ułożyła kołnierzyk i obciągnęła dół sukni. —

Zawsze krytykował moje stroje, zresztą nie tylko moje, wszystkich, mojej mamy też. —

Roześmiała się. — A przecież był wtedy jeszcze dzieckiem. Bóg wie, jaki jest teraz.

Tom odnalazł właściwą ulicę. Stały przy niej wielkie pięciopiętrowe budynki wiktoriańskie z dwukondygnacyjnymi suterrenami. Była to aleja ciągnąca się łukiem w dzielnicy, która od niedawna znów stała się modna. Mieszkania kosztowały tu sporo. Tom zastanawiał się, czy Roddy wyciska te pieniądze od Maurice'a.

— Mam nadzieję, że mnie polubi — powiedziała Kirsten. — Wiem, że często będziemy wyjeżdżać, ale... kiedy już znajdziemy się w Londynie, moglibyśmy czasem zaglądać do niego, prawda?

Poszukiwanie miejsca do zaparkowania dało Tomowi pretekst, by nie odpowiedzieć na to pytanie.

Przy krawężniku stał nieprzerwany sznur samochodów, w większości bardzo kosztownych. Udało mu się w końcu znaleźć za domem lukę pomiędzy porsche a ferrari. Wjechał w nią tyłem. Kirsten jeszcze raz poprawiła fryzurę.

— Sądząc po odgłosach, odbywa się tam chyba przyjęcie — powiedział Tom.

Dom, w którym mieszkał Roddy, był ostatni. Krótka ścieżka wiodła od furki do szerokich kamiennych schodów, które prowadziły do na wpół otwartych drzwi. Ze środka dobiegały dźwięki ostrego rocka. Uznając korzystanie z dzwonka za bezcelowe, Tom pchnął drzwi. Otworzyły się szeroko, ukazując hol pełen ludzi, którzy rozmawiali i śmiali się trzymając w rękach kieliszki.

Większość stała, niektórzy rozsiedli się na schodach prowadzących na piętro. Po przekroczeniu progu natychmiast ginęło się w potwornym hałasie. Omiótlszy twarze uczestników, Kirsten z Tomem nie dostrzegli Roddy'ego. — Spróbujmy go znaleźć! — zawołała Kirsten. Kiwnął głową, wziął ją za rękę i zaczęli się przepychać przez tłum. Olbrzymie dwuskrzydłowe drzwi po lewej stronie były szeroko otwarte. Z salonu za tymi drzwiami tłum wlewał się do holu. Tom parł naprzód. Im dalej się posuwał, tym trudniej było mu się zorientować, dokąd idą. W holu panował półmrok, lecz w przepastnym salonie było zupełnie ciemno. Grube pluszowe kotary nie dopuszczały z zewnątrz wieczornej poświaty. Wąskie jak ołówki strumienie czerwonego światła z wysokiego sufitu rozświetlały przeciwległy kraniec pomieszczenia. Migający w regularnych odstępach reflektor przypominał światło latarni morskiej, które błyska w czerwonym półmroku. Dudniąca wokół muzyka •"ezonowała basami tak, że czuło się wibrację nawet poprzez gruby dywan.

351

Gęsty papierosowy dym mieszał się z wonią marihuany T zastanawiał się, czy nie pomylili domu. Cuchnęło obezwładnia' 0,11 Przyglądając się pogrążonym w cieniu twarzom, Tom ciągnął Kir t ° za sobą. Coś zaczęło mu świtać, gdy nagle poczuł na ramieniu czv'Cl-rękę. — Cześć! Nowy jesteś? Jeszcze cię tu nie widziałem.

Tom odwrócił się i dostrzegł przed sobą mocno pomalowane oc i ściągnięte w ciup usta. Twarz o ostrych rysach uśmiechała się do niego przyjaźnie. — Milutki jesteś! Tylko nie zepsuj mi przyjemności mówiąc, że jesteś zajęty.

Męski głos i męska twarz.

Podejrzenie, które przed chwilą powziął, przerodziło się w pewność. — Szukamy Roddy'ego —

powiedział Tom. — Roddy'ego Stantona. Znasz go?

— My to znaczy kto? — facet zmrużył pomalowane oczy i zajął Tomowi za ramię. Wymalowane oczy rozszerzyły się w niedowierzaniu. — O rany! A cóż ona tu robi?

— Jestem siostrą Roddy'ego — powiedziała Kirsten wysuwając się zza Toma.

— Siostra! — Pokryte grubą warstwą szminki usta rozszerzyły się w uśmiechu. — Nie wiedziałem, że Roddy ma siostrę. — Obserwował Kirsten z zaciekawieniem. — No proszę, proszę! I tak zwyczajnie wpadliśmy sobie z wizytą?

Tom zastanawiał się, czy Kirsten zdaje sobie sprawę, że jest tu jedyną kobietą.

— Tak z głupia frant?

— No właśnie — odpowiedziała Kirsten. — Z nie zapowiedzianą wizytą.

— Jakież to rozczulające! Hugo! Hugo, kochanie! Gdzie jest Roddy?

Tom pochwyił Kirsten za łokieć. — Myślę, że powinniśmy się stąd wynieść.

— Kogóż ja tu widzę! — zawołał przeciskając się zza pleców Kirsten Hugo. — Cóż za niezwykle gość! Wszak to sam consiglieri! Co za rzadki i niecodzienny honor nas spotyka. — Dostrzegł Kirsten i pochylił głowę na ramię. — A ty kim jesteś?

— Jestem Kirsten, siostra Roddy'ego.

— Nie do wiary! Siostra Roddy'ego Kirsten! — Hugo postawił oczy w ślup. Głośno zaś zawołał, starając się przekrzywić hałas: — Cisza! Uciszcicie się wszyscy! Proszę. Terry, każ im ściszyć tę pieską muzykę, no, bądź tak kochany. Cisza!

Tom pociągnął Kirsten za rękaw. — Chodźmy!

352

Nie, nie! — wołał Hugo. — Przysięgam, i, - ,

Roddy i zobaczycie się z nim. Dokładnie f Z°baC,ZyC się

Laz Zaprowadzę was do niego. - Złapał T"" gdz* ta żoła Jest teraz. F V & aFa- Kirsten za rękę i noc aenał

? ja sobą, przeciskając się przez tłum>, j krzycz * J_ PoclIdgnd| przeJScie dla consiglieriego i tej małej SZWĆ CJ " kj, rze->sc,e-

Nie mając innego wyboru, Tom ruszył-Ji 7Q -i, n0sem przekleństwa. Zastanawiał się, 'rfSE „acpany.

Przyjrząwszy mu się ponownie do*zed} dJ' *S tez Hugo dobrze w,e, co robi. Jego twarz nua ła w sobie cęś osk"; ze Nawet w panującym półmroku można r>lv,ri Hnct,,0 wrugiego. „śmiech. Ubrany w luźną bufiastą koszul ° tTw eką torował drogę, a drugą ciągnął za so&J1""? **n* jego wołanie, tłum się rozstępował twcać °dW*dzi.na siostrzyczka naszego kochanego Roddy'eewi Przejscie To jest kając się w głąb holu. Y §>°! krzyCzał Hug° Prze™™

W pewnej chwili Tom musiał puścić łokieć Kjrst s,ę zauważył, że większość chłopców jest

Vwymalowana. Jeden [uhl się do jakiegoś marynarza u podnóża schodó u „ , , c wlokąc za sobą Kirsten. Muzyka stawała H"g° Wf .™ z Kirsten byli już na półpiętrze. Ścigając - 1°™ głośn,fjsza? Hugo siedzące na schodach nheiminar-e *ie n !v " T°m mUS,ał obchodzie

TJtatarie °beJmUJąCe S1? Pary Wołał na Kirsten, lecz jego

Dogonił ich przy drzwiach łazienki. fc>,i,, . czenie wykładane lustrami. Drzwi były otvS ? t0,,tolbrzym,e Pomiesz-tłum ryczał z emocji i pokrzykiwał jak rZ }'fY

przykuły dwie postacie przy umywalce Ł scl8ach- Uwagę Toma kostek spodniami rznął stojącego przy u?y 2 oPczonym. do nagi od pasa w dół. Palce Roddy'ego ChtoP*k W

Chłopak podciągnął jedną nogę na kraS? S1? W P0?""?-rytmiczniewchodził wmeo. Tłum wrzesf um>;walk".a Roddy dysząc chłopak raz po raz podjeżdżał do S? Podn'enia- Cężko nym lustre

widać było odbicie tych posta?? Ji P3J zapa!Ta-więcej niż dwanaście lat. Twarz RoddS. k nie adalna grymas. uVego wykrzywił lubieżny

Wchodząc do mieszkania usłyszeli teleron. Dzwonił Rodd { b} , o spotkanie. 6

- To nie najlepszy pomysł - powieUział T trzymając jed ręką słuchawkę, a drugą sięgając po papierosa

- I tak przyjadę! Znam wasz adres, -mówiłem już taksówkę.

U— Zemsta 353

— Nie!

Połączenie zostało przerwane.

— Niech to wszyscy diabli! Kirsten siedziała przygarbiona na kanapie, twarz miała tak bladą jak wtedy, gdy slaniając się na nogach wychodziła z domu Roddy'ego. Tom nalał jej drinka i usiadł obok. Popatrzyła na niego zszokowana. — Wiedziałeś? — zapytała. — Prawda?

— Nie wiedziałem. Nigdy w ogóle nie zastanawiałem się nad Roddym.

Sącząc powoli drinka wpatrywała się tępo w podłogę. — Co za szok! Nigdy bym nie przypuszczała! To znaczy... nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nad homoseksualizmem. Zawsze dotyczyło to obcych. Może nawet zrozumiałabym... — Wpatrując się w kieliszek, obracała go w palcach. — Kto wie, jeśli to przemyśle... — Głos jej zamarł, potrząsnęła głową. — Ale to takie ohydne... takie poniżające! Jak zwierzęta. — W jej głosie brzmiało niedowierzenie. — I to był Roddy, mój brat.

— Jedzie tu do nas.

— Co? Tutaj? — Kirsten omal nie wypuściła z ręki kieliszka. O nie!

— Usiłowałem go powstrzymać. Roddy przyjechał po półgodzinie. Minął jak burza otwierając mu drzwi Toma i wpadł do saloniku. Tom wziął tę jego wojowniczą pozę za próbę ukrycia zakłopotania, lecz zmienił zdanie, kiedy zjrzał mu w oczy. Źrenice Roddy'ego nie były większe od główki szpilki.

— Wyglądasz na nieźle nabuzowanego.

— No i co z tego? Musiałem coś wziąć, do kurwy nędzy! Wpieprzacie się w moje prywatne życie, weszycie na zlecenie papcia!

Kirsten zrobiła się purpurowa. — Nie wężymy. Poszliśmy zobaczyć, co u ciebie.

— Tak? No to zobaczyliście! Chciałbym tylko wiedzieć, co z tym zobaczeniem zamierzacie teraz zrobić!

Tom odgadł, o co mu chodzi, lecz Kirsten nie rozumiała. — Zrobić?... A co mielibyśmy zrobić? Przecież to twoje życie.

— Taak? Rzeczywiście? — prychnął pogardliwie Roddy, siadając na krześle. — Nie mieszamy się w cudze sprawy? Chciałbym w to wierzyć! Musiałbym nie wiedzieć, jak on stara się wleźć ojcu w tyłek. — Spojrzał oskarżycielsko na Toma. — Nie zdziwiłbym się, gdyby już do niego dzwonił. No jak, consiglieri, założę się, że już wykonałeś do niego telefon

— Nie. — Tom starał się opanować ogarniające go rozdrażnienie. — A gdybym nawet dzwonił, to w ważniejszej sprawie niż ty-

354

— Spryciarz! — Roddy odgarnął z czoła kosmyk włosów. — Wszystkiemu zresztą winien jest Hugo — powiedział pojednawczo. — Odgrywa się. A ja tylko rewanżuję mu się za to, że sam nadyma kogo popadnie.

— To nas nie interesuje — przerwał Tom, odbierając od Kirsten pusty kieliszek. — To nie nasza sprawa, rozumiesz? — Podchodząc do barku myślał, jaka to ironia losu, że syn Maurice'a jest pedałem.

— Więc jak? — domagał się jasnej odpowiedzi Roddy. — Doniesiesz mu na mnie?

Teraz Tom zrozumiał, dlaczego Roddy zawsze domagał się, by Maurice uprzedzał go o terminie swoich wizyt w Londynie. — On jeszcze o tym nie wie? — spytał.

— A jak myślisz?

— Głupio robisz, że sam mu o tym nie powiesz. Zawsze byłem zdania, że Maurice...

— Tak, tak — parsknął Roddy. — Wszyscy wiemy, że uznajesz go za pępek świata. Podobnie jak on ciebie! Ciągłe słyszę: „Tom myśli tak”, „Tom sądzi siak”. Nie mogę już słuchać o tym, jak z moją siostrzyczką gruchacie!

— Jeśli przyszedłeś tu po to, by coś ode mnie uzyskać — odezwał się spokojnie Tom — to chyba nie zabierasz się do tego od właściwej strony.

Roddy zacisnął usta.

— Zawrzyjmy umowę — zaproponował Tom.

Cień nadziei pojawił się na ponurej twarzy Roddy'ego.

— Nie powiem nic Maurice'owi, ale nie będę go okłamywać. Najlepiej więc, jeśli nic o tobie nie będę wiedział. Znikniesz z mojego życia, a ja z twojego.

Kirsten podniosła na Toma wzrok, jakby chciała coś wtrącić.

— Jeśli ty chcesz się z nim widywać, to już twoja prywatna sprawa — powiedział do niej Tom. — Ale ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nigdy!

— Posłuchaj go! — krzyknął Roddy. — On tu będzie ustanawiał Prawa. Chyba nie musisz słuchać jego rozkazów? Za kogo on się bierze? Będzie ci dyktował, z kim wolno ci się spotykać?

— Nie, Roddy — powiedziała smutno Kirsten. — Nie słuchałeś uważnie. Tom niczego mi nie dyktuje. Powiedział co innego. — ostała i wygładziła fałdy na białej sukni. — Powiedział, że decyzja uależy do mnie.

— Oczywiście, że do ciebie — pokiwał głową Roddy. — Więc Powiedz mu, że będziemy się spotykać, kiedy zechcemy.

355

— Nie. — Kirsten podeszła do Toma. — Bardzo chciałam sje z tobą spotkać. Ale... teraz już sama nie wiem. Muszę to wszystko przemyśleć. Zobaczymy. Na razie dajmy temu spokój. A teraz sobie już idź!

Roddy pograżył się na chwilę w całkowitym milczeniu. Jął sje wpatrywać w twarz Kirsten, a w jego wzroku pojawiła się nienawiść__

Ty cwana dziwko! — zawarczał wstając i kierując się do wyjścia._

Dlaczego nie zostałaś w Genewie? Ostrzegam cię... — Zatrzymał się z ręką na klamce. — Spróbuj tylko pisnąć choć słowo, to ja cię już urządzę!

W następnym tygodniu Kirsten pojechała do Genewy, by zaprosić matkę na ślub. Po dwudziestu czterech godzinach wróciła do Londynu przygnębiona. — Poszło jak po grudzie! — starała się ukryć za uśmiechem rozczarowanie. — Najpierw Roddy, a teraz matka. Coś nie za bardzo moja rodzina cieszy się naszym małżeństwem.

Tom nie przejmował się ani Roddym, ani matką Kirsten. — Przynajmniej Maurice jest zachwycony. Dzwoniłem do niego. Zaprasza nas do St Moritz na weekend.

Maurice nie tylko był zachwycony, ale wniebowzięty. Nigdy dotąd nie wyglądał na bardziej szczęśliwego. Przytulił Kirsten i ucałował. Toma poklepał po plecach, uściśnął mu mocno rękę i zmierzwił włosy. — Kiedy ten ślub? — zapytał.

Planowali cichy ślub w Londynie. — Gdzieś w okolicy świąt Bożego Narodzenia — powiedział Tom. — Kirsten podczas tych kilku miesięcy będzie mogła znaleźć dla nas dom.

— Na święta? — Maurice zmarszczył czoło. — Ale w Londynie jest wtedy paskudnie. To musi być piękny dzień. Wydaję przecież za mąż córkę. Musimy urządzić ślub tutaj, w St Moritz. Tylko tutaj wasz ślub będzie miał właściwą oprawę. Najlepiej, jeśli odbędzie się w wigilie-Ten ślub stanie się największym wydarzeniem roku w Europie.

Maurice'a nie dało się powstrzymać, kiedy poczuł nagły przypływ energii. Tom tylko się uśmiechał, nie usiłując nawet protestować. Podobnie Kirsten. Spodobał jej się ten pomysł, dopóki nie przypomniała sobie o matce. — Okropnie było w zeszłym tygodniu wyznała. — Nawet nie wiem, czy przyleci do Londynu. Tutaj na pewno nie przyjedzie. Wystarczyło, że dowiedziała się, iż Toni pracuje dla ciebie. To przecież takie nierozsądne. Nawet jeszcze nie widziała Toma.

— Nie zdążyłaś dotąd poznać matki? — zapytał miękko Maufl

356

ce. — Zżera ją nienawiść. Nienawidzi wszystkiego, co ma jakikolwiek związek ze mną. Nienawiść to siła napędowa jej życia. Nie przyszłaby, gdyby ślub miał się odbywać nawet przed jej oknami.

Kirsten spochmurniała. — Chyba masz rację, tato, ale musimy spróbować. Tom też jest tego zdania. W poniedziałek leci ze mną do Genewy, by ją poznać.

Maurice spojrzał na Toma. — Powodzenia — rzekł. — Jeśli wam się uda ją namówić, ja dostosuję

się do każdego pomysłu. Ale... chyba nic nie stoi na przeszkodzie, bym już teraz zaczął pracować nad moim projektem uroczystości. Pozwólcie, że urządzę wam ślub tutaj, na wigilię-
Z pomocą swego zniewalającego uroku Maurice'owi udało się przekonać Kirsten do własnej propozycji. Maestria, z jaką to uczynił, była prawdziwym pokazem sztuki perswazji. Kiedy później zostali już sami z Maurice'em, popijając brandy Tom spytał niby w żartach: — Bóg tylko raczy wiedzieć, dlaczego mnie zatrudniłeś. Jesteś znacznie ode mnie lepszy w sztuce dobijania targu. Maurice roześmiał się. — Nie bądź skromny! — Objął go ramieniem i podprowadził do okna wychodzącego na dolinę. W dali mrugały światła nartostrady. Śnieg skrzył się w blasku księżyca. — Popatrz! W takie noce, jak ta, jeździłem na nartach. Szusowałem czasem dziesięć, dwadzieścia mil. Bardzo mnie to ekscytowało. Niebezpieczeństwo miało dla mnie coś zmysłowego. Muldy na tych trasach sprawiały mi niemal tyle przyjemności, co wypukłości kobiecego ciała. — Wyraz lekkiego rozbawienia pojawił się w oczach Maurice'a. — No, może niezupełnie. Teraz, w każdym razie zadowolam się patrzeniem. — Uśmiech zniknął mu z twarzy. — Kiedyś podobnie będzie i z kobietami. Dzięki Bogu, jeszcze nie dziś! Ale kiedyś nadejdzie ten czas.
— Jeszcze nieprędko.

Maurice zamyślił się i po chwili powiedział melancholijnie: — Dobijanie targu w interesach to zajęcie dla młodych. Analizując ofertę trzeba się zastanowić: ile z tego będzie się miało po pięciu latach. Albo po dziesięciu. Nawet dwudziestu. Trzeba planować tak, jakby się miało żyć wiecznie. — Gunther jest innego zdania.

— Gunther jest bankierem. A bankierzy inaczej patrzą na życie. Bankierzy są nam potrzebni. Tobie i mnie. Przypominają, że czas upływa. Zawsze nadchodzi pora, kiedy trzeba zwrócić długi... Tom z zainteresowaniem wsłuchiwał się w nową nutę w głosie Maurice'a, która dopiero teraz się pojawiła. Dotąd zawsze myślał o Maurisie jak o kimś niezniszczalnym, brał go za człowieka o nie
357

spożytej witalności. Kiedyś powiedział do Aleka: — Gdyby Q0 Maurice'a udało się podłączyć przewód, to jego zasoby energii wystarczyłyby do oświetlenia całego miasta.

Maurice roześmiał się. — Myślę, że jednak nie najgorzej idzie ci dobijanie targu. Oświadczyłeś się jej, prawda? A ona oświadczyła przyjęła. Czyli, że uzyskałeś to, co chciałeś.
— Uzyskałem.

— Kto by pomyślał! — rozmarzył się Maurice. — Najpierw przyprowadziłeś mi Kirsten, a teraz się pobieracie. Ty i Kirsten. — Widać było, że rozpiera go radość.

Tomowi szumiało w głowie od brandy i przypływu rodzinnych uczuć. Udał się na spoczynek szczęśliwy. Nurtowała go tylko jedna myśl. Nigdy dotąd nie słyszał, by Maurice mówił, choćby aluzyjnie,

o śmierci. Zawsze uchodził za nieśmiertelnego tytana.

Następnego ranka wydawało się, że te ponure myśli przeminęły wraz z nocą. Maurice był równie energiczny, co zwykle. Po śniadaniu zajął się swoją ulubioną grą, to znaczy oczarowywaniem Kirsten. Oprowadzał ją po swoim zimowym domu. Pokazywał widoki z każdego okna. Opowiadał historię każdego obrazu. Usiadł przy fortepianie

i mówił o sławnych wirtuozach, którzy na nim grywali. Zaprowadził ją do piwnic, by mogła degustować najlepsze roczniki win. Kiedy wrócili do przestronnego salonu, oczy mu błyszczały. — Jak widzisz, jest tu wszystko, czego mężczyźnie trzeba. No, może prawie wszystko. Jednej tylko rzeczy brak.

Oczy Kirsten już śmiały się do ojca. Zniknął mur wrogości między nimi. Czują się tak, jak gdyby dorastała u jego boku i nigdy nie było tych pustych lat dzieciństwa. — Tylko jednej? — zapytała z uśmiechem. — Z tego, co wiem, chodziłoby raczej o dwie lub trzy.

— No, może — zgodził się smętnie. — Ale to było dawniej, gdy byłem młodszy, a teraz wkrótce zostanę przecież teściem, może nawet dziadkiem. Dwie lub trzy już mi nie przystoją.

Patrzyła na niego chwilę w milczeniu, uśmiechając się tym swoim dziwnym uśmiechem.

Maurice złączył czubki palców dłoni. — Jednej kobiety — powiedział w zadumie — nie musiałbym ukrywać, kiedy przyjeżdżasz do mnie z wizytą... — Twarz mu się rozjaśniła. — To

może być dobry pomysł. Ktoś, z kim mnie będzie miło i kto byłby towarzystwem dla ciebie. Ktoś, kto zabrałby cię na zakupy, gdy będziemy z Tomem rozmawiać o biznesie.

— Czy prosisz mnie o pozwolenie?

— A czy ty pytałaś mnie o pozwolenie na sypianie z Tomem?

358

— Nie.

— Ale cieszysz się, że nie mam nic przeciw?

— Pochyliła głowę na ramię, udając, że się zastanawia. W końcu roześmiała się. — Wiesz przecież, że się cieszę. To wspaniale, że jesteście przyjaciółmi.

— Też tak myślę. — Maurice pokiwał z namysłem głową. — Dobrze jest, kiedy przyjaciele i rodzina nie mają wobec siebie zastrzeżeń dotyczących ich życia osobistego. Zgodzisz się ze mną?

— Oczywiście — Kirsten żarliwie przytaknęła. — Tak jest najlepiej.

— Nie będzie ci więc przeszkadzać, jeśli spotkasz u mnie kobietę... — Spojrzał na nią pytająco.

— Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Sama przecież żyję z Tomem.

— No, ale wiesz — przerwał — że u mnie trwała znajomość raczej nie wchodzi w grę. Małżeństwa nie planuję.

— I ja nie planowałam małżeństwa z Tomem.

Na kolacji pojawiła się Veronica Taubman. Była wysoką szczupłą kobietą o obfitym biuście, z włosami koloru zboża i oczami niebieskimi jak Morze Śródziemne. Pod wieloma względami przypominała inne dziewczyny Maurice'a, lecz jedna rzecz ją od nich różniła. Veronice Taubman bliżej było do czterdziestki niż do trzydziestki. Podczas rozmowy przy stole ujawniły się jeszcze inne różnice. Już dwukrotnie była mężatką. Pierwsze małżeństwo zakończyło się rozwodem, drugie śmiercią jej męża. Miało to miejsce przed dwoma laty. Pochodziła z New Jersey, ale mieszkała w różnych częściach świata. Posiadała mieszkanie w Paryżu i letni dom na Majorce. Zanim Veronica Taubman poznała Maurice'a, miała już bez wątpienia za sobą największe przygody.

Następnego dnia Tom poleciał z Kirsten do Genewy. Całą drogę mówił o Veronice.

Odlecieli z St Moritz learjetem. Za sterami siedział Masters, a Gregg roznosił kawę. Kirsten była jego ulubienicą.

Tom każde zdanie zaczynał od słów: — Od czasu, gdy poznałem Maurice'a...

— Czym się przejmujesz? — spytała Kirsten. — Nie podoba ci się Veronica?

— Owszem, podoba mi się. Ale chodzi mi o co innego. — Zmarszczył czoło. — Chodzi mi o Maurice'a. Wiem, że to brzmi dosyć głupio, ale zawsze uważałem go za nieśmiertelnego. A tu nagle Maurice bierze sobie starszą niż zwykle kobietę...

— Nie martw się — odparła. — On się nie starzeje, tylko mądrzeje.

359

Chyba miała rację, ale Tom nie potrafił zapomnieć o rozmowie jaką odbył z Maurice'em poprzedniego wieczoru. W trakcie rozmowy Maurice sprawiał wrażenie człowieka świadomego swojego wieku.

— Ja natomiast nie potrafię zrozumieć — powiedziała Kirsten — jak można go było tak bardzo nienawidzić. On ma rację. Nienawiść do niego stała się dla matki celem życia.

Im bardziej zbliżali się do Genewy, tym bardziej Kirsten markotniała. Zaczęły ją nachodzić wątpliwości, czy dobrze uczyniła biorąc z sobą Toma. — Może jednak lepiej będzie, jeśli sama spotkam się z matką? Zjadłbyś w tym czasie lunch na lotnisku. Albo poszedł odwiedzić Amiensa.

— Nie, nie. Powiedziałem, że pójdę tam z tobą.

— Na pewno będzie okropnie. Założę się, że matka postara się być bardzo niemiła.

Roześmiała się. — Jakoś to przeżyję. Skoro ty idziesz, to i ja tam pójdę.

Uścisnęła mu z wdzięczności rękę. — Muszę tam pójść. Jest przecież moją matką. Jeśli nie przyjedzie na ślub, to trudno. Nie mogę jej do tego zmusić. Powinam ją jednak zaprosić.

Wzięli z lotniska taksówkę. Tom widział poprzednio chateau Stanton tylko z daleka. Yvonne

Amiens wskazała go w trakcie jego pierwszej wizyty w Genewie. Rezydencja znajdowała się tylko kilka mil od miejsca, gdzie mieszkali Amiensowie, ale stała wyżej i dalej od jeziora. Wysokie mury i dekoracyjne wieżyczki wyglądały z daleka nader atrakcyjnie, przydając budowli widokówkowego uroku, lecz kiedy wjeżdżali w bramę, wieże zdały się być częścią obwarowań potężnej fortecy. Kirsten dostrzegła wyraz jego twarzy. — Wiem, z tej strony dom nie wygląda zbyt zachęcająco. Ale po drugiej stronie jest wspaniały, zobaczysz. Zresztą nawet i tutaj było kiedyś całkiem miło. Maurice kazał zainstalować lampy i postawił skrzynie z kwiatami. Jeszcze gdy byłam mała, stało ich kilka. — Wzruszyła ramionami. — Ale z czasem lampy jedna po drugiej przestawały świecić, a skrzynie z kwiatami zarosły chwasty. Gdy pewnego dnia przyjechałam do domu, nie było już po nich śladu.

Drzwi otworzyła im gospoia, stara, ubrana w czerń kobieta o ponurej twarzy, która uśmiechnęła się przelotnie do Kirsten, całkowicie ignorując Toma.

Idąc pod sklepieniami przedsionka, w którym odgłos ich kroków rozchodził się echem, Tom usiłował wyobrazić sobie Kirsten wracającą do domu, z którego usunięto większość skrzyń z kwiatami. Niewiele

360

ich pozostało. To jednak, co zostało, wystarczyłoby aż nadto do udekorowania dużego domu. A wielkość tego domu wypaczała wszelkie proporcje. W kamiennym przedsionku mogłaby się z łatwością pomieścić setka gości. Wszystko tu było monumentalne. Jak Maurice. Maurice świetnie by tu pasował. On potrafiłby wypełnić ten dom życiem, śmiechem, muzyką.

Tom dostrzegł przed sobą szerokie schody z olbrzymim kandelabrem u podnóża.

— A to mama, kiedy była młoda — powiedziała Kirsten. Odwrócił się, by popatrzeć na portret nad kominkiem. Dojrzał na nim kobietę w typie Maurice'a — z włosami tak jasnymi, że prawie białymi i oczami niebieskimi jak bławatki.

— Mówiono o niej, że jest najpiękniejszą kobietą w Szwajcarii.

— Nietrudno w to uwierzyć — mruknął uprzejmie, wpatrując się w portret. Ta kobieta naprawdę była piękna. Finezyjnie rzeźbione rysy twarzy... Było jednak coś nienaturalnego w jej wyglądzie. Może była zbyt piękna? Kiedy Tom przyglądał się tym niebieskim oczom, przypomniawszy mu się Veronica Taubman, którą poprzedniego dnia spotkał po raz pierwszy. Oczy miała równie niebieskie, lecz jakby inne. Była oczywiście starsza i nie tak piękna, ale w spojrzeniu Veroniki było coś ciepłego, przyjaznego. Oczy na portrecie natomiast patrzyły chłodno i przenikliwie.

Kirsten roześmiała się. — Mama zawsze powtarza, że to rodzinna tragedia, iż jej urodę przejął Roddy, a nie ja.

Nagle Tom zobaczył twarz Roddy'ego. Zbyt doskonałą. Z tym jego pogardliwie złośliwym uśmiechem.

— No, chodź. Tędy.

Bez oporów dał się odciągnąć od portretu. Weszli w łukowe odrzwia i znaleźli się w przestronnym salonie, z którego roztaczał się przepyszny widok na jezioro. Kirsten szybko podeszła do środkowych drzwi i wyszła na taras. Z dumą odwróciła się do Toma. — Oto proszę — zawołała z satysfakcją — najwspanialsze miejsce w Szwajcarii!

Miejsce to rzeczywiście było niezwykle. Tom doszedł do wniosku, że architekt projektował dom głównie z myślą o tym widoku. Nieprzyjazny fronton przestał mieć znaczenie. Wycięty na skale taras ciągnął się wzdłuż całego budynku. Długi rząd drzwi nasuwał przypuszczenie, że wszystkie pokoje recepcyjne wychodzą na ten sam taras ze wspaniałym widokiem na jezioro.

— Fantastycznie! — powiedział wychodząc na zewnątrz, by Podziwiać jezioro.

361

— Ostrożnie — ostrzegła go, kiedy się zbliżył do krawędzi. Balustrada jest niska.

Ze zdumieniem stwierdził, że kamienna balustrada sięga mu ledw do kolan.

— Celowo jest niska — wyjaśniła Kirsten. — Gdyby była wyższa przesłaniałaby widok z pokoi.

Kiedy siedzi się w środku i patrzy na jezioro, odnosi się wrażenie, jakby się było w samolocie. Niektórzy ludzie zaczynają się nawet czuć nieswojo, ale ja to uwielbiam. Roześmiała się. — Kiedy byliśmy dziećmi, górą biegła metalów poręcz, żebyśmy nie pospadali.

Wyciągnąwszy szyję Tom spojrział za balustradę, na spadającą w dół skałę. Urwisko kończyło co prawda pionową ścianę, ale zbocze opadało dość stromo. Tom błędnął wzrokiem po jałowej kamienistej ziemi. Zmrużył oczy. — Tam biegnie w dół jakaś ścieżka...

— Schodzi do samego jeziora, a zaczyna się na końcu tarasu. Dużo czasu spędzałam na wspinaniu się i schodzeniu tą ścieżką. Robiłam to tysiące razy i nigdy mnie to nie nudziło. Ścieżka jest bardzo stroma, trzeba uważać. Na tych obcasach z pewnością nie potrafiłabym nią zbiec.

Pokiwał głową z podziwem. — Fantastyczne! — powiedział. Niezwykłe!

Oczy Kirsten błyszcząły. Przytuliła się do jego ramienia. — Cieszę się, że ci się podoba. Dla mnie ten widok zawsze jest czymś szczególnym.

— Kirsten! — usłyszeli nagle za sobą czyjś głos.

Odwrócili się. W drzwiach stała madame Moutier, cała w bieli. Miała białe pantofle, białe pończochy, białą spódnicę i białą bluzkę ze stójką. Włosy też miała białe, chociaż podszedłszy bliżej Tom stwierdził, że są raczej srebrne niż białe.

— Mamo — powiedziała Kirsten — to jest Tom Lambert. Tom wyciągnął rękę. — Miło mi panią poznać, madame Moutier. Ignorując go, pani Moutier powiedziała do córki po francusku: — Tu es en retard. Je t'attends depuis une demi-heure.

Tom opuścił rękę, przypominając sobie, że w taki sam sposób potraktował go kiedyś Roddy. Jaka matka, taki syn, pomyślał studiując z uwagą jej twarz. Portret w holu musiał być namalowany bardzo dawno. Teraz była starą kobietą. Wyglądała na znacznie starszą od Maurice'a. Tyle że jej starość nie miała w sobie uroku.

— Nie pół godziny — poprawiła ją spokojnie po angielsku Kirsten, spojrzawszy na zegarek. — Może kilka minut, ale mieliśmy do pokonania spory kawał drogi.

— Je pensais que tu venais de Londres.

jesi

-

362

Kirsten aż poczerwieniała. — Proszę cię, mów po angielsku, mamo. Nie, nie przyjechaliśmy z Londynu. Przylecieliśmy z St Moritz.

W niebieskich oczach pani Moutier pojawił się nieprzyjazny błysk. — Widziałas się z nim? — spytała po raz pierwszy w języku angielskim.

— Przecież on nie jest diabłem wcielonym — zaprotestowała słabo Kirsten.

Pani Moutier zacisnęła wargi. Pogarda i niechęć rysowały się w każdej zmarszczce na jej twarzy.

— Mamo — powiedziała cicho Kirsten. Wyciągnęła do niej rękę, ale stara kobieta odsunęła się od córki, chłodna i poirytowana. Tom odniósł wrażenie, że zaraz odwróci się i wyjdzie. Zaczynał już nabierać pewności, że spotkanie dobiegło końca. Ale pani Moutier wciągnęła tylko głęboko powietrze i zacisnęła małe dłonie w pięści. — No, dobrze — powiedziała bliska gniewu. — Przyjechaliście na lunch. Siadajmy więc do stołu. — Odwróciła się i ruszyła przed siebie. — Nie mam pojęcia, czy to się jeszcze da zjeść — powiedziała nie odwracając głowy. — Lunch był przygotowany pół godziny wcześniej.

Spojrzwawszy na Toma przepraszająco, Kirsten podażyła za matką. Następne drzwi balkonowe prowadziły do jadalni, co potwierdzało przypuszczenia, że wszystkie pomieszczenia reprezentacyjne mają widok na jezioro. Sala jadalna miała doskonałe proporcje. Pod sklepieniem plafonu ozdobionego freskiem stał długi stół z palisandru, przy którym mogło zasiąść dwadzieścia osób. Na krańcu tego stołu położono trzy nakrycia. Z głębi domu wychynęła posępna służąca, niosąc na tacy przykrytą wazę.

Pani Moutier szybko podeszła do szczytu stołu i usiadła, nie czekając nawet na Kirsten i Toma.

Powiedziała tylko do służącej: — Podaj zupę, Estee. Może jeszcze całkiem nie wystygła.

Zajmując miejsce Tom zastanawiał się, co to za gospodyni, która nie zaproponuje nawet gościom

umycia rąk przed posiłkiem. Ze względu na Kirsten starał się jednak nie okazywać irytacji. — Muszę przyznać, pani Moutier, że ma pani piękny dom. Widok jest oszołamiający. Kirsten mówiła mi...

— Tak — przerwała mu — widok jest rzeczywiście piękny, ale dom nie należy do mnie. — Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Złośliwe błyski pojawiły się w jej spojrzeniu. — Powinien pan Przecież wiedzieć, że willa Stanton należy do pana pracodawcy.

Tom zaciął wargi. Kirsten mogła go o tym uprzedzić, popatrzył na nią z wyrzutem. Lecz na twarzy Kirsten malował się wyraz pełnego zaskoczenia. — Nie miałam o tym pojęcia — wydusiła z siebie.

Pani Moutier zanurzyła łyżkę w zupie. — Po co miałabyś o tym wiedzieć? Kiedy ten człowiek nas opuścił, moim obowiązkiem było wychowywać dzieci w poczuciu bezpieczeństwa. Czy czułabyś się dobrze wiedząc, że śpisz pod jego dachem? Z pewnością nie! Anj jednej nocy nie mogłabyś spokojnie przespać. Nienawidziłaś go przecież, pamiętasz?

Twarz Kirsten wyrażała ból i zażenowanie. — Wtedy nie wiedziałam o wielu rzeczach, ale... zawsze myślałam... bo zawsze mówiłaś...

— To naturalne! Nie mogłam przecież dopuścić do tego, by cię co noc męczyły koszmary.

— To z twojego powodu ojciec jawił mi się jako koszmar.

— Ale przynajmniej nie ten dom — powiedziała z triumfem matka. W jej oczach widać było złośliwą satysfakcję. — Ogromnie mu na tym domu zależy. Ogromnie! Ale moi adwokaci też byli sprytni. „Odszedłeś — powiedziałam — i nie wrócisz tu, dopóki ja nie umrę.”

Kirsten z trudem otrząsnęła się z oszołomienia. — Rozumiem — rzekła smutno. — Ale to są dawne sprawy. Nie wydaje mi się, by to była najlepsza pora na...

— A dlaczego nie? Bo widziałaś się z nim? Bo wierzysz mu, a nie mnie? — pani Moutier odsunęła od siebie gniewnie talerz z zupą i zawołała: — Estee! Zupa jest zimna. Zabierz ją! — Przeniosła swoje mściwe spojrzenie z powrotem na córkę. — A więc nie powiedział ci wszystkiego? Nie mówił, że błagał o ten dom? Cała Genewa śmiała się z niego. Maurice Stanton wyrzucony z rodzinnego domu! Dlatego najpierw przeniósł się do St Moritz. By uciec przed ludzkim śmiechem. Nie wierz więc w te wszystkie jego kłamstwa!

— Mamo, proszę — przerwała jej Kirsten. — To było przecież tak dawno!

— I dlatego miałabym o wszystkim zapomnieć? Miałabym udawać...

— Udawałaś w wielu innych sprawach. Choćby w sprawie pieniędzy. Dostałaś fortunę. Co roku płaci tobie...

— Płaci! Oczywiście, że płaci! A czemu nie miałby płacić? Zostawił mnie z dwojgiem dzieci...

— Chciał nas zabrać. Mówił mi o tym.

— By was wychowywać w domu publicznym? — Rzuciła to zdanie jakby wymierzała policzek. — By zrobić z ciebie dziwkę, a z syna alfonsa? O nie! Nie mogłam na to pozwolić! — Iskry sypały jej się z oczu. — Walczyliśmy z nim i pobiliśmy go! Zmusiliśmy, by podpisał.-

— Mamo, proszę! — błagała Kirsten. — Nie musimy teraz o tym mówić.

— Jesteś naiwną, łatwowierną dziewczyną. Zawsze taka byłaś-

364

Weźmy choćby ten idealistyczny pomysł z nonsensowną pracą w Czerwonym Krzyżu. Jesteś głupia. Nie tak jak Roddy. Roddy go przejrzał. On umie...

— Roddy?

— O tak! — Błysk triumfu w oczach pani Moutier zastąpił cyniczny grymas. — Wiem, że Roddy tam pojechał. Na tę wyspę, jylówił mi o tym. „Nigdy więcej” — postanowił. Ta rozpusta! Aż mu się na wymioty zbierało. Obrzydzenie go brało!

— Obrzydzenie go brało!... — powtórzyła nie potrafiąc już opanować zdumienia Kirsten i spojrzała w osłupieniu na Toma.

Idąc za wzrokiem córki pani Moutier odwróciła się na krześle. — A pan, jak sądzę, w pełni popiera tryb życia, jaki prowadzi pana chlebobawca? M oże nawet sam pan bierze udział w tych orgiet-

kach... — Przerwała na widok służącej, która ponownie pojawiła się z tacą. — Zabierz to stąd! Jestem zbyt roztrzęsiona, by teraz jeść!

Służąca z wahaniem popatrzyła na Kirsten, która wzruszyła ramionami i obnuczyła Toma zakłopotanym spojrzeniem. Tom potrząsnął głową. — Nie wiem, co pani słyszała — zaczął — ale wydaje

mi się, że została pani źle poinformowana.

— Przez własnego syna? — Wyraz oburzenia pojawił się w jej wzroku. — Pan się zapomina! Tylko dlatego, że jest pan gościem przy moim stole...

— Mamo, proszę! — zawołała Kirsten. — Przyjechaliśmy tu, by cię zaprosić na ślub...

— Mam nadzieję, że to jeszcze odległy termin. Mówiłam ci już w zeszłym tygodniu. Jesteś na to jeszcze o wiele za młoda...

— Mam dwadzieścia osiem lat! — twarz Kirsten płonęła.

— Lepiej poczekaj, aż będziesz miała trzydzieści osiem. Nabierzesz może do tej po-ry na tyle rozsądku, by uniknąć tego zupełnie nieestosownego mariażu. — Trzęsąc się ze wzburzenia, pani Moutier zwróciła się do Toma: — Ktoś, kto jest przyjacielem takiego człowieka, w żadnym razie nie zasługuje...

Kirsten zerwała się na nogi. — Jak możesz być tak nieuprzejma?

— Siadaj natychmiast! Nie bądź głupia. W moim domu mogę mówić, co mi się podoba...

— To nie jest twój dom! — Ciemne oczy Kirsten roz błysły gniewem. — Sanna powiedziałaś, że to dom Maurice'a. Mieszkasz w domu Maurice'a, za pieniądze Maurice'a, i gdybyś tylko chciała, mogłabyś...

Tom odsunął swoje krzesło od stołu. — Myślę, że powinniśmy już Pójść, Kirsten.

365

— Idźcie i nie wracajcie tu więcej! — Pani Moutier odwróciła z pasją w stronę córki. — Pozbyłam się jego i was stąd wyrzucę!

Podchodząc do drzwi, Kirsten się zatrzymała. Drżała.

Pani Moutier podnosiła się z wolna z krzesła. — Jeśli teraz stąd odejdziesz, nie dostaniesz ode mnie już ani pensa. Nigdy! Nawet po śmierci. Wszystko przepiszę Roddy'emu. Już się o to postaram!

Ujawszy rękę Kirsten Tom poczuł, że dziewczyna się trzęsie. W jej oczach zbierały się łzy. — Ty tego nie rozumiesz — Kirsten przełknęła ślinę — a ja... chciałam ten jeden raz w życiu, byś mogła się razem ze

mną cieszyć. — Coś ścisnęło ją w gardle, nabrała powietrza w płuca.

Ale widzę, że, przychodząc tutaj tracę tylko czas. Ty już nigdy nie będziesz potrafiła się cieszyć.

Mną, sobą, nikim! Zmieniłam zdanie. Nie chcę cię widzieć na moim ślubie. Nadchodzą święta, a ty wszystko byś zepsuła. Żegnaj, mamo! Już mnie więcej nie zobaczysz.

Siedząc następnego ranka w biurze, Tom odebrał telefon od starego przyjaciela, Billa Watsona, który pracował dla „Timesa”. Bill wrócił właśnie z Indii. — Usłyszałem o czymś, co może cię zainteresować — powiedział. — Indyjski rząd wspiera rozwój lokalnego przemysłu, udziela nie oprocentowanych kredytów i subwencji. Chodzą słuchy, że następnym kandydatem do zwolnień od podatku ma być przemysł maszyn biurowych. Ktoś mi powiedział, że planuje się wybudowanie nowej olbrzymiej fabryki w Kalkucie. Szukają doświadczonego partnera...

W trzy dni później Tom był już w Delhi, gdzie dowiedział się, że Niemcy i Japończycy rozpoczęli negocjacje z rządem indyjskim.

Przez siedem najbliższych miesięcy Tom latał z Londynu do Delhi, z Delhi do Kalkuty, z Kalkuty do Genewy... Było to siedem pracowitych miesięcy, poświęconych bez reszty ustanowieniu przez Stanton Industries przyczółka w Azji.

Już po dwóch tygodniach Tom wciągnął do pertraktacji Aleka i Amiensa. W ciągu miesiąca założyli w Delhi własne przedstawicielstwo i sprowadził dwunastu inżynierów z Genewy, którzy podjęli ze stroną indyjską rozmowy nad kosztorysem. Już wkrótce Tom poznał Delhi niemal tak dobrze jak Londyn. Amiens zaś znał Kalkutę nawet lepiej niż Zurych. Choć upływały dni i tygodnie, wydawało się, że nie potrafią odrobić dystansu dzielącego ich od Japończyków.

Tom co wieczór dzwonił do Kirsten. — Porządnie im tu namiesza-liśmy szyki. Kiedy przyjechaliśmy, Japończycy mieli już kontrakt prawie zaklepany.

366

W Londynie Kirsten szukała mieszkania i robiła przygotowania do ślubu.

— Nie wiem, kiedy wrócę — rzekł Tom. — Może pojechałabyś do St Moritz i razem z Maurice'em zajęła się organizacją przyjęcia weselnego. Będzie ci rażniej...

Kirsten zawahała się. Myślała, że razem z Tomem polecą do St Moritz... Czasu było coraz mniej. W następnym tygodniu przypadał początek grudnia, a tyle było jeszcze do zrobienia.

Tymczasem zupełnie nieoczekiwanie zaczęły się kłopoty z Amien-sem. Amiens przygruchał sobie jakąś Hinduskę i co noc sprowadzał ją do hotelu. — Powinieneś mu to wyperswadować — mówił Alee. — Prowadzimy teraz oficjalne negocjacje z ich rządem. Co powiedzą, gdy ta wiadomość do nich dotrze?

Nazajutrz Tom zabrał Amiensa na obiad. André stanął okoniem. — I co z tego? Gorzej z jej powodu nie pracuję.

— Nie, oczywiście, ale...

— W takim razie, nic ci do tego!

— Przykro mi, Amiens, ale to nie jest tylko twoja sprawa. Na ogół nie wtrącam się w takie rzeczy. Wiesz o tym. Do Londynu możesz sobie sprowadzać, kogo zechcesz, ale tutaj panują odmienne zwyczaje.

Amiens potrząsnął przecząco głową. — Na całym świecie jest tak samo. Wszystkie kobiety to dziwki.

— Nie proszę cię, byś z nią zerwał — powiedział cicho Tom. — To jest polecenie służbowe. Masz się przestać spotykać z tą dziewczyną. Z tą czy jakąkolwiek inną Hinduską. Zrozumiałeś?

Wściekłość mieszała się z pogardą na twarzy Amiensa. — Do Maurice'a w ten sposób byś nie powiedział — rzekł szyderczo. — Maurice rżnie dziwki na okrągło, ale jemu nie odważyłbyś się tego zabronić. — Cisnął serwetę na stół i wstał. — Jesteś hipokrytą! Po kimś tak dwulicowym, jak ty, można się spodziewać podwójnej miary w podejściu do ludzi.

Tom odesłałby Amiensa z powrotem do Szwajcarii, ale toczyły się negocjacje nad technologią produkcji. Alee był w tym niezły, lecz Amiens lepszy. W dziedzinie automatyzacji Amiens nie miał sobie równych. No i prawdą było, że jego życie prywatne nie rzutowało na wyniki w pracy.

Tom poczuł się dotknięty uwagą o mierzeniu ludzi podwójną miarą. Oczywiście, inaczej traktował Amiensa i inaczej Maurice'a. Tom potrafiłby sporządzić listę powodów, które na to wpływały, Poczynając choćby od tego, że Amiens jest żonaty. Sedno sprawy tkwiło jednak w tym, co Amiens wcześniej powiedział: „Wszystkie

367

kobiety to dziwki". Maurice nigdy by czegoś takiego nie stwie nawet by mu to do głowy nie przyszło.

W trzy dni później Tom i Alee siedzieli w barze popijając drink przed kolacją. — Czy André zje z nami? — zapytał Alee.

Tom nie był pewny. Ostatnio co drugi dzień spotykali się na kolacji. Toma niepokoiły te wieczory, kiedy André z nimi nie jadał. Zaczął się już o niego niepokoić, kiedy Amiens wparował do baru prowadząc pod rękę jakąś blondynkę.

— Cześć — uśmiechnął się. — Pozwólcie, że przedstawię wam Gabrielle. — Bardzo z siebie zadowolony obserwował Toma. — o tej dziewczynie na pewno nie powiesz, że jest Hinduską. — Gabrielle jest Francuzką, pracuje dla Air France.

Po ich odejściu Alee zastanawiał się nad postępowaniem Amien-sa. — Dlaczego on to robi?

Sprawiał wrażenie, jakby chciał udowodnić, że potrafi zdobyć każdą kobietę.

Tom pomyślał o Yvonne. Córka starego Bouviera. Córka szefa, w każdym razie była nią, gdy się pobierali. Yvonne z za dużym nosem, która ubiera się w młodzieżowe ciuchy, by przypodobać się mężowi. Co Amiens pragnie udowodnić swoim postępowaniem? „Nie sądzicie mnie według mojej

żony. Z moim wyglądem i urokiem mogę mieć każdą"?

— Może masz rację — przyznał Tom. — Ale nie przejmuj się tym, nie pozwól, by cię to irytowało, przynajmniej tak długo, jak długo André będzie bez zarzutu wywiązywał się ze swoich obowiązków.

A Amiensowi nie można było pod tym względem niczego zarzucić, jak zresztą żadnemu z nich. Z każdym dniem przewaga Japończyków malała.

Tymczasem Kirsten skorzystała z rady Toma i pojechała do St Moritz, które stało się dla niej punktem wypadowym. Maurice zabierał ją do Paryża i Rzymu. Na bieżąco informowała Toma telefonicznie o postępach w przygotowaniach do uroczystości zaślubin. — Maurice idzie jak burza. Wszystkich zna. Wszystko potrafi załatwić. I ciągle tryska energią. A Veronica i ja co wieczór padamy z nóg.

Tom, też ledwo żywy i wyczerpany upałem, uśmiechnął się blado. — To dla niego nowa wielka przygoda.

— Powinieneś go zobaczyć z Veroniką. Może się jeszcze okaże, że będą to podwójne zaślubiny.

— Nigdy nie uwierzę, że Maurice mógłby się zdecydować na ślub — roześmiał się Tom.

368

— Tom... — w głosie Kirsten wyczuł obawę. — Jutro już dwunasty grudnia. Kiedy wracasz?

Niełatwo mu przyszło na to odpowiedzieć. Indyjscy partnerzy prowadzili rozmowy na przemian ze Stanton Industries i rywalizującymi Japończykami. W dniach wolnych od negocjacji Tom bawił się w politykę. Udało mu się zwerbować na konsultantów trzech członków indyjskiego parlamentu, ich pomoc i rada mogły dużo zdziałać.

— Może w przyszły poniedziałek.

— To będzie osiemnastego. Zostanie niewiele czasu.

— Wiem...

Po rozmowie z Kirsten zszedł na dół do baru, do Aleka. Amiens też tam był i wszyscy trzej wdali się w dyskusję. Ale przedstawił sprawy nie owijając w bawełnę: — Łudziś się sądząc, że zrobią przerwę na święta. Oni nie obchodzą tu świąt Bożego Narodzenia.

Amiens zgodził się z nim. — Japończycy natomiast pojedą do domu świętować zwycięstwo, jeśli my wyjedziemy.

— Jedź na ślub — zaproponował Alek — a André i ja będziemy trzymać rękę na pulsie.

Japoński zespół Okaki negocjował pod przewodnictwem prezesa. Jeśliby Tom pozostawił do dalszych negocjacji niższą rangą przedstawicieli firmy, Hindusi mogliby uznać, że się ich lekceważy i poczuć się urażeni, co miałyby niekorzystne konsekwencje dla oferty Stanton Industries. Poza tym Alek miał być przecież pierwszym drużbą na weselu. Skoro zaprosił na ślub Pohla i Edwardsa, to nie mógł też dyskryminować Amiensa.

Następnego wieczoru było już oczywiste, że pertraktacje na pewno nie skończą się przed świętami, lecz będą kontynuowane podczas świąt i jeszcze dłużej.

Tom wrócił do pokoju hotelowego, nie bardzo wiedząc, jak ma o tym poinformować Kirsten.

Uznawszy, że żaden sposób nie będzie dobry, łyknął whisky i sięgnął po telefon.

— Jeżeli wygramy negocjacje, będzie to dla nas zupełnie nowy etap rozwoju — wyjaśniał Kirsten.

— To moment przełomowy...

— Podczas gdy ślub możesz wziąć ze mną, kiedy tylko znajdziesz na to chwilę czasu.

— Tego nie powiedziałem.

— Ale to prawda — odparowała Kirsten, zmartwiona i dotknięta. — Maurice i Veronica tyle serca włożyli w te przygotowania. Wiesz, ile osób przyjedzie? Prawie czterysta. Wszyscy się zjawiają, °prócz ciebie.

Zmagając się z sobą Tom desperacko usiłował znaleźć rozwiązanie.

— Zemsta

369

Nie powinien był czekać tak długo. Już wcześniej mógł podjąć i Coraz bardziej skłaniał się ku

wyjazdowi. Nikt nie jest niezastąpiony. Powinien wyjechać. Może w niczym nie zaszkodzi to rozmowom. Wiesz co, porozmawiam jeszcze z Alekiem. Zadzwoń do cię później, dobrze? Ale to Kirsten zadzwoniła do niego po półgodzinie. Wszedł na górę do pokoju, by odebrać telefon.

— Długo się nad tym zastanawiałam — zaczęła.

— No i?...

— Nigdy mi nie wybaczysz, jeśli stracie ten kontrakt. To mogłoby zrujnować nasze małżeństwo.

— Ależ nie...

— Posłuchaj. Zamierzam postąpić wspianiałomyślnie, więc słuchaj i nie przerywaj.

Zamilkł.

— Możesz dostać przedłużenie, ale pod jednym wszakże warunkiem.

Czekał.

— Będziesz mi musiał przywieźć stamtąd nie lada prezent, panie Lambert.

— Ależ oczywiście! Co tylko zechcesz.

— Dobrze. Chcę więc, byś mi przywiózł podpisany kontrakt. By mi później matka nie wypominała, że wysłałam za nieudacznika.

Zadowolony Tom dołączył ponownie do siedzących w barze Amiensa i Aleka. Alec aż gwizdnął na tę wiadomość. — Jean chyba nigdy by mi tego nie wybaczyła. — Uśmiechnął się z uznaniem.

Wspaniale przyjacielu — dodał.

— Taką właśnie mam narzeczoną — zgodził się Tom. — Wspaniałą. Podpisali kontrakt czternastego stycznia. Tom kazał sporządzić

kopie dokumentów i włożyć je w skórzaną kasetę, wykonaną ręcznie przez najlepszego rzemieślnika w Kalkucie. Potem zaś, niczym rycerz z bajki, złożył tę szkatułę u stóp Kirsten.

Wszystko szło dobrze. Zdobyli przyczółek w Azji. Constantin okazał się świetnym administratorem w Londynie. Desmond Edwards bił rekordy sprzedaży. Istniały całkiem poważne przesłanki, że uda im się stworzyć spółkę z kapitałem obcym w Australii. Tom i Kirsten ustalili nową datę ślubu.

Jedyną łyżką dziegiu w tej beczce miodu była sprawa Pohla-Ośrodek badawczy nadal pochłaniał ogromne sumy.

Drugiego lutego Tom poleciał do Kalifornii. I tym razem Kirsten mu towarzyszyła. — Już mnie raz zostawiłeś u progu kościoła

l

V

?

370

oVWiedziała rozżalona. — Nie spuszczę cię z oka do końca miesiąca, „oki razem nie pójdziemy do ołtarza. Ale i ta zapowiedź się nie spełniła.

Wiadomość dotarła do nich w dwa dni po ich powrocie ze Stanów. Zaterkotał telefon.

— Ja odbiorę — powiedziała Kirsten.

Tom dopiero co wrócił z biura. Stał przy barku i nalewał drinka. Nadeszły pocztą plany ich nowego domu w Hampstead i Tom z niecierpliwością usiadł w fotelu, by je obejrzeć. Kirsten skończyła rozmowę w holu i weszła do pokoju. — Dzwonił Roddy.

Dźwięk tego imienia i brzmienie jej głosu sprawiły, że natychmiast podniósł głowę znad projektu. Kirsten stała w drzwiach blada i drżąca. Słaniając się na nogach zrobiła kilka kroków i oparła o poręcz krzesła. — Mama nie żyje.

Wstał, by ją podtrzymać, papiery rozsypały się na podłodze. Przytrzymał ją za ramię i pomógł usiąść.

— Zmarła wczoraj wieczorem — powiedziała Kirsten patrząc tępo przed siebie.

Nalał jej drinka i przykucnął obok, ujmując jej dłonie. I nagle sobie uświadomił — ślub miał się odbyć za siedem dni. Kiedy otrząsnął się z szoku i zaskoczenia, pierwszą myślą, jaka go nawiedziła, było: jak doskonale wybrała moment śmierci. Podła! Gardził tą kobietą za życia i nienawidził jej po śmierci. Uparła się, by zniszczyć szczęście córki.

W dziesięć minut później znów zadzwonił telefon. Tym razem odebrał Tom. W słuchawce usłyszał

głos Maurice'a. Już dotarła do niego wiadomość. Cokolwiek myślał teraz o swojej byłej żonie, trzymał to dla siebie. Jego pytania i niepokój dotyczyły tylko Kirsten. Jak się czuje? Jak to przyjęła? Wiadomość o śmierci matki wywarła na Kirsten większe wrażenie, niż Tom przypuszczał. Nie płakała, przynajmniej nie na początku, lecz była przytłoczona i oszołomiona nagłością tego, co zaszło.

— Boże, jak ja teraz żałuję, że tak do niej powiedziałam — rzekła zwijając w palcach chusteczkę.

— Pamiętasz, kiedy stamtąd wychodziliby, powiedziałam, że nie chcę jej już więcej widzieć. Och, Tom...

Próbował ją pocieszyć, ale niezbyt mu się to udawało.

?— Może już wtedy była chora. Och, Tom. To by wyjaśniało...

— Maurice powiedział, że zmarła podczas snu. Nie masz sobie absolutnie nic do zarzucenia.

371

— Myślałam... — oczy Kirsten wypełniły się nagle łzami. — Wiem że to bardzo egoistyczne, ale nasz ślub... nie możemy go teraz zawrzeć'

— Wiem. — Tulił ją do siebie jak dziecko, obejmując ramionami i głaszcząc po włosach. —

Ustalimy następny termin. Nie martw się Maurice już się tym zajął. — Próbował jej dodać otuchy.

— Mówi się' do trzech raz sztuka. Trzeci raz przynosi szczęście. To naprawdę będzie wyjątkowy ślub.

Rozmawiali i pili kawę do drugiej w nocy. Mówiła głównie Kirsten. Przeskakiwała z tematu na temat. W jednej chwili opowiadała

O swoim dzieciństwie, by nagle przejść do przygotowań do pogrzebu. Na przemian robiła sobie wyrzuty, to znów lamentowała nad koniecznością przesunięcia terminu ślubu. Tom pozwolił jej się wyzalić. W końcu udało mu się ją namówić, by trochę odpoczęła. Położył się obok i czuwał, aż zapadła w nerwowy sen.

Wstał o szóstej. O siódmej miał pierwsze spotkanie w biurze — z Alekiem i Constantinem. Kirsten nadal spała, gdy wychodził. Zostawił jej kartkę, prosząc, by zadzwoniła do niego, kiedy się obudzi. Constantin zaplanował mu spotkania na cały dzień. Dopiero po dziesiątej Tom przypomniał sobie o Kirsten. Przeprosił klientów

I poszedł zadzwonić do domu z biura Barbary.

W mieszkaniu był Roddy. Dźwięk tego imienia wystarczył, by zwarzyć Tomowi humor. Kirsten jednak wydawała się znacznie spokojniejsza i opanowana. — Roddy leci dziś do Genewy — powiedziała. — Rozmawiał już z prawnikami. Załatwią wszelkie formalności z pogrzebem i całą resztę. Mówi, że powinnam tu zostać i o nic się nie martwić...

Tom słuchał tego z zaskoczeniem. I z ulgą. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie miał powód dziękować za coś Roddy'emu.

W południe czekała go następna niespodzianka. Barbara podsunęła mu karteczkę z wiadomością: „Dzwoniła Kirsten. Poszła z bratem na lunch. Chce, by pan o tym wiedział, na wypadek gdyby pan zadzwonił, a nikt nie odbierał telefonu. Mówi, że czuje się lepiej”.

Tom wrócił do domu o dziewiątej wieczorem. Kirsten wciąż była blada, ale szok już mijał. Przy kolacji opowiadała mu o Rod-dym. — Był tu do czwartej — wyjaśniła. — Szkoda, że nie mogłeś go zobaczyć. To zupełnie inny człowiek niż ten, który... No wiesz, gdy tu ostatnio był.

— Ostatnio był naćpany — stwierdził Tom bez ogródek.

— Wiem. On też zdaje sobie z tego sprawę. Bardzo żałuje i wsty mu za wszystko.

Po długim dniu Tom był zmęczony. Marzył tylko o zjedzeniu kolacji, kilku drinkach na rozluźnienie i łóżku. Wdzięczny 1

372

Roddy'emu, że zajął się Kirsten i cieszyło go, że nie będzie musiała przed pogrzebem wyjeżdżać z Londynu. Ale nic nie potrafiłoby go przekonać o autentycznej skrusze Roddy'ego. Nie powiedział tego jednak na głos. Kirsten dopiero co straciła matkę, więc milczał, pozwalając jej opowiadać o tym, co porabiała w ciągu dnia, pozwalając jej dać upust swoim żalom.

— ...boi się, iż powiesz Maurice'owi, że on jest pedałem.

— Przecież powiedziałem, że tego nie zrobię.

— Wiem, ale wielu ludzi czuje tak ogromną odrazę do homoseksualistów. Powiedziałam mu, że nie jesteś jednym z nich. Powiedziałam, że masz liberalne poglądy...

Mogłoby się wydawać, że zapomniała, co u Roddy'ego widzieli. Najbardziej odrażający nie był sam akt homoseksualny. Ta scena byłaby równie obrzydliwa, gdyby chodziło o młodą dziewczynę. To, co tam widzieli, było niemal gwałtem. Ten tłum w łazience, wrzeszczący i wyjący. I ten chłopiec taki młody.

— ...powiedział, że pogrzeb odbędzie się w czwartek. Tak mi ulżyło, że nie muszę z nim tego wszystkiego załatwiać. To miło z jego strony, iż sam się wszystkiego podjął, prawda?

— Tak, bardzo — odparł oschle Tom. — Zastanawiał się, jaki Roddy ma w tym interes.

Przypomniało mu się, co usłyszał na Kariakos. Roddy błagał wtedy Maurice'a o pieniądze.

Pierwsze sępy zawsze zdobywają najlepsze kęsy.

— W każdym razie — powiedziała Kirsten — czuję się znacznie lepiej.

Nadal jednak widział ślady szoku w jej oczach. Następnego dnia znowu harował od rana do wieczora, ale udało mu się wrócić do domu na siódmą.

— Dzwonił Roddy — powiedziała Kirsten. — Mowi, że nie ma żadnych problemów.

— To dobrze.

W środę Tom był zajęty zmienianiem swojego rozkładu spotkań, a w czwartek polecili z Kirsten learjetem do Genewy. Kirsten, której twarz odzyskała już kolory, siedziała poważna i spokojna.

Przed domem zgromadziło się niewielu żałobników. Roddy stał na Podeście schodów, przed wysokimi, na wpół przymkniętymi drzwiami. Ubrany był w czarny garnitur i krawat. Jasne włosy miał szesane do Przodu, wskutek czego wyglądał na starszego, a skupiony wyraz twarzy przydawał mu wyglądu odpowiedzialnego, troskliwego syna.

Przed domem czekał karawan. Obok trzech czarnych limuzyn stali kierowcy i rozmawiali cicho. W holu służąca Estee odbierała od gości Płaszczce. Tom poznał zarządcę posiadłości, człowieka o nazwisku

373

Henri Monet, który zdaje się pełnił też funkcję ogrodnika. Przed-stawiono mu również kuzynki zmarłej — dwie panie w średnim wieku. Wśród żałobników znalazła się Yvonne Amiens. — Jestem tu jako przyjaciółka i sąsiadka — wyjaśniła. Tom nie spodziewał się jej zobaczyć, ale też nie zastanawiał się zbytnio nad tym, kto będzie na pogrzebie. Ucałowali się na powitanie. Nawet na pogrzeb ubrała się młodzieżowo. Jej czarna spódnica była za krótka, ale zgodnie z obowiązującą modą, bardziej się nadawała na cocktail party.

Kiedy podszedł do nich Roddy, potraktował Toma niemal z szacunkiem. — Witaj, Tom — powiedział z powagą, wyciągając do niego rękę. — Dziękuję za przybycie."

Tom wymarotał jakieś kondolencje, które Roddy przyjął. Potem Roddy oświadczył: — To będzie bardzo kameralna uroczystość. Zamówiłem tylko trzy samochody. Pomyślałem, że w pierwszym pojedzie rodzina, w drugim ty z Yvonne, a reszta osób w trzecim.

Tom spojrzał pytająco na Kirsten. Jej twarz wydawała się bardzo blada pod czarnym kapeluszem. — Nie martw się. To mi nie przeszkadza.

Tom zastanawiał się, czy to zamierzony afront ze strony Roddy'ego. Nawet ktoś mało obeznany z pogrzebową etykietą uznałby, że Toma należy zaliczyć do rodziny. Wcale go to jednak nie martwiło. Wątpił, czy kiedykolwiek będzie mógł uznać Roddy'ego za członka rodziny. Spojrzał na niego uważnie, próbując coś wyczytać z jego twarzy, lecz niebieskie oczy Roddy'ego pozostawały czujne, dobrze maskując jego myśli. Tom odwrócił się. Tylko Kirsten się liczyła.

Ruszyli. W pierwszym pojeździe jechała Kirsten z Roddym i kuzynkami, w drugim Tom z Yvonne, a w trzecim służba. „Jakoś to przeżyję — mówił sobie Tom — a potem będzie już wszystko normalnie."

Genewa wyglądała tego dnia wyjątkowo niekorzystnie. Było zimno, grzmiało, zanosilo się na deszcz. Nad pokrytymi śniegiem górami przetaczały się ciemne, posępne chmury. Letnie kawiarenki

przy Quai du Mont Blanc zamknięto na głucho. Z hotelowych tarasów poznikały markizy. Jezioro było tak szare jak góry.

Yvonne zadumała się. — Ciekawe, co Maurice zrobi z tą posiadłością? Zawsze uwielbiał to miejsce. Może znów przeniesie się do Genewy-

Spoglądając na nią Tom zdał sobie sprawę, że Yvonne wie znacznie więcej o rodzinie Stantonów niż on. To, czego on się dopiér0 dowiadywał, ona wiedziała już od dawna.

Patrząc na jadący na przodzie karawan, Yvonne powiedziała ze smutkiem: — Cóż za zmarnowane żalosne życie! Wiesz, że ona kiedy bliska była obłędu? Mój ojciec myślał, że się zabije. Nie uczyniła tego!

374

ale nienawiść stała się jej sposobem na życie. — Yvonne z westchnieniem potrząsnęła głową. — Do czegoż to niektóre kobiety są zdolne z powodu mężczyzn!

Tom zastanawiał się, czy Yvonne myśli teraz o własnym życiu. Jej udało się zatrzymać swojego mężczyznę, ale mówiło się, że André nie opuszcza jej z powodu nazwiska Bouvier i pieniędzy, jakie się z tym łączy, niż ze względu na nią samą. Teraz, gdy Tom lepiej poznał Amiensa, potrafił sobie wyobrazić, jak ambitnym, pełnym energii i przystojnym mężczyzną był André w młodości.

Wybilby się zapewne o własnych siłach, ale potrzebowałby na to więcej czasu. Wolał więc pójść na skróty, żeniąc się z córką szefa i zarazem chrześniaczką Maurice'a.

— Czy to ona była twoją matką chrzestną? — zapytał znienacka.

— Chyba tak. Ale kiedy zerwała z Maurice'em, automatycznie zaliczyła nas do jego obozu. Nie chciała nas widywać u siebie w rezydencji. Później, gdy zostaliśmy jej sąsiadami, częściej się spotykałyśmy. Przynosiłam jej książki i różne drobiazgi, starałam się jak mogłam, ale trudno było z nią się porozumieć.

Ku swojemu zdziwieniu Tom dostrzegł, że pod maską nieustępliwości w Yvonne kryje się całkiem poczciwa kobieta. Przypomniał sobie pierwsze ich spotkanie, gdy po zwiedzaniu zakładów Bouviera zatrzymał się u Amiensów. Yvonne traktowała go wtedy jak wroga. Walczyła w obronie interesów André. Wszystko zresztą robiła z myślą o mężu. Nawet absurdalny sposób jej ubierania też miał zwrócić jego uwagę. Tom zastanawiał się, czy Yvonne wie, jak często André ją zdradza. Amiens tak jej odpłacał za tę lojalność. Nagle Tom poczuł dla niej podziw, przyplływ sympatii nawet. Ujął ją znienacka za rękę i uściśnął. — Cieszę się, że przyszłaś — powiedział.

Kiedy się uśmiechała, jej duży nos wydał się mniejszy. — Mówiłam ci, to moje miasto. Noszenie nazwiska Bouvier zobowiązuje. Mój ojciec z pewnością by chciał, bym wzięła udział w tej pożegnalnej uroczystości.

Pan Rochere, prawnik, czekał na cmentarzu w Petit-Sacconex. Był to drobny, sprawiający wrażenie nieśmiałego człowieczek, który Pośpiesznie podszedł do pierwszej limuzyny, gdy tylko się zatrzymała. Chwilę naradzał się szeptem z Roddym, po czym złożył Kirsten kondolencje.

Tragarze wnieśli trumnę do kościoła i rozpoczęła się msza żałobna. Na szczęście nie trwała długo. Tom sprawdził na zegarku — pół godziny. Trzydzieści minut później trumnę złożono w grobowcu i ceremonia dobiegła końca. Żałobnicy wracali do limuzyn. Tom spojrzął na Kirsten i wziął ją za rękę. Oczy miała suche, lecz

375

niepokoila go bladeść jej twarzy, nie było w niej ani odrobiny krwi. Słowa uwieżyły mu w gardle. Ona zaś wiedziała, co myśli o jej matce. Wyrażenie współczucia z powodu jej zgonu byłoby ohydną hipokryzją. Miał jednak nadzieję, że jego obecność dodaje jej otuchy.

Popatrzyła mu z wdzięcznością w oczy. — Roddy mówi, że pan Rochere odczyta testament po powrocie do domu.

Tom poczuł się zawiedziony. Miał nadzieję, że zaraz po pogrzebie wrócą na lotnisko.

— Mówi, że wszyscy powinniśmy być przy tym obecni.

— Rozumiem. — Zastanawiał się, co znaczy „wszyscy”. Obrzucił wzrokiem tę garstkę ludzi, którzy uczestniczyli w pogrzebie, i poprowadził Kirsten do samochodu. Roddy już czekał przy

otwartych drzwiczkach. Twarz miał spokojną, lecz Tom wyczuł jego niecierpliwość. Lewą stopą Roddy uderzał w żwirową nawierzchnię alejki. Przestał, kiedy nadeszli, ale Tom zdążył to dostrzec. W drodze powrotnej ciągle widział to nerwowe poruszanie stopą. Możliwe, że i Yvonne to dostrzegła, bo w pewnej chwili szepnęła: — Teraz Roddy zostanie panem na zamku. Nadeszła jego chwila. Ciekawe, jak się zachowa w nowej roli.

Tom zastanawiał się, czy jest to aluzja do prywatnego życia Roddy'ego. Spojrzał pytająco na Yvonne, a ona dodała: — Zawsze był ukochanym synalkiem mamusi.

Ukochany synalek mamusi nie wyglądał na szczególnie zmartwionego. Raczej tylko zniecierpliwionego.

— Często go widzisz? — sondował dalej Tom.

— Roddy'ego? Nie. Przed rokiem przyszedł nas odwiedzić przy okazji wizyty u matki. Wydaje mi się, że André spotkał go kiedyś przypadkowo w Londynie, ale poza tym nie widzimy go. A ty? Przecież mieszkasz w Londynie.

— Też go nie widuję. To nie ma nic do rzeczy. I tak zresztą ciągle mnie tam nie ma.

W progu domu znów powitał ich Roddy, patrząc na przybyszy wyblakłymi niebieskimi oczyma, identycznymi jak na portrecie nad kominkiem. Ogień w palenisku tlił się smętnie.

Tom pomógł Yvonne zdjąć płaszcz. W chwilę później z bocznych drzwi wynurzyła się Kirsten. — Pan Rochere prosi, byś był obecny przy odczytywaniu testamentu.

— Ja? A po co ja jestem mu potrzebny? Zostanę tu z Yvonne. Dotrzymam jej towarzystwa.

— Yvonne też ma tam pójść — dodała Kirsten. — Ale zależy mu szczególnie na twojej obecności Tom.

376

— Czy to konieczne?

— Takie widać było życzenie mamy.

Wymienili zdumione spojrzenia. W holu pojawiła się Estee z kieliszkami wina na tacy. Tom wziął jeden, żalując, że to nie whisky. Coś wisiało w powietrzu. Tom czuł, że nieuchronnie zbliża się jakaś katastrofa. Błądził wzrokiem po ścianach, jakby tam chciał znaleźć wytłumaczenie. Z bocznych drzwi wyszedł Roddy, zagłębiany w poważnej rozmowie z prawnikiem. Zatrzymali się na ich widok. Roddy uśmiechnął się blado, a prawnik wyglądał na zakłopotanego.

Kirsten powiedziała: — W jadalni przygotowano posiłek. Ja nie jestem głodna, ale...

— Ja też nie skorzystam — powiedział Tom. Czuł narastający niepokój. — Czy rzeczywiście musimy tu zostać? Gdybyśmy teraz pojechali...

— Och, Tom! Nie możemy przecież tak zwyczajnie wyjść.

— Oczywiście, że nie — wtrąciła zaciekawiona Yvonne. — Szczególnie że wasza obecność jest konieczna.

— Trudno mi w to uwierzyć! — zaczął Tom na widok zbliżającego się Roddy'ego.

— Nic nie jecie? W jadalni jest bufet.

— Wiemy o tym — uśmiechnęła się do niego słodko Yvonne, jednocześnie przyglądając się wnikliwie jego twarzy. — Ale nikt z nas nie jest głodny.

Roddy też o tym wiedział. Ogrodnik, a zarazem zarządca domu trzymał w ręku kieliszek z winem, ale też nic nie jadł. Również i podstarzałe kuzynki nie miały ochoty na posiłek. — W takim razie zjemy później — zdecydował Roddy. — Wiem, że pan Rochere bardzo chciałby już zacząć.

Wzywają go obowiązki. Zaraz wszystkich zwołam.

Patrząc za nim, gdy odchodzi, Yvonne zmrużyła ironicznie oczy i powiedziała: — Ale mu spieszo. Niepokój Toma narastał. Po co im jego obecność? Przecież to nie ma sensu. Nie cierpiał tej starej wiedzy, ona również nie ukrywała swojej niechęci do niego.

— Kirsten — powiedział, ale Kirsten już ruszyła w stronę bocznych drzwi. Yvonne wraz z nią. Wszyscy kierowali się do tamtych drzwi. Kirsten i Yvonne odwróciły się by zaczekać, aż Tom do nich dołączy. Podchodząc do nich Tom czuł, że zaraz nastąpi coś strasznego.

Za drzwiami mieściła się biblioteka. Był to jedyny pokój na Parterze, który nie miał widoku na jezioro. Wszystkie ściany zakrywały książki. Dienne światło przenikało do pomieszczenia przez

kopułę w sklepieniu, ale niebo było dziś tak szare, że ktoś zapalił światła.

377

Kirsten usiadła w drugim rzędzie krzeseł. Tom obok niej. Rodd siedział w pierwszym rzędzie, kilka krzeseł na skos od nich. Zajmowa jeszcze miejsca zarządca, służąca Estee, obie kuzynki i Yvonne. Rochere zasiadłszy za stołem naprzeciw zgromadzonych, zaczął odczytywać testament.

Tom musiał się skoncentrować. Jego francuski znacznie się polepszył, lecz Tom nie nadążał za tempem wypowiedzi. Wpatrywał się uważnie w usta Rochere'a. Zrozumiał, że zarządca domu otrzyma pięć tysięcy franków. Estee dwa tysiące. Kuzynkom przypadły zasoby biblioteki, Yvonne — trochę biżuterii.

Rochere starał się mówić tak wyraźnie, jak mu na to pozwalał słaby, nieco piskliwy głos. Ułatwiało to Tomowi całkiem niezłe rozumienie części wypowiedzi. Tym bardziej się zdziwił, kiedy praw: przeszedł na angielski.

— Tę ostatnią klauzulę — powiedział podnosząc głowę Rochere poproszono mnie, bym odczytał w języku angielskim, żeby uniknąć wszelkich niejasności. — Kiedy spojrzał na Roddy'ego i Kirsten, na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. — Państwo rozumieją, że moim obowiązkiem jest wypełnić wszystkie instrukcje pani Moutie Prawnik nie ma w tym względzie nic do powiedzenia. Mówiąc to wyjął z leżącej przed sobą teczki woreczek z irch; Przez chwilę ważył go w dłoni, a potem postawił z brząkiem na stole

Odchrząknąwszy podniósł tekst testamentu i zaczął czytać: „Z wyjątkiem niżej wyszczególnionego i jedyne go zapisu na rzecz mojej córki Kirsten, całą resztę majątku pozostawiam mojemu synowi Roddy'emu, który przez całe życie był mi podporą. W chwilach gdy syn stał przy mnie niezłomnie, córka mnie opuściła. Gdy syn był mi wierny, córka zdradziła. Zostawiam jej więc zapłatę, jaką niegdyś otrzymał Judasz. Trzydzieści sztuk srebrników, które zostaną jej wypłacone w obecności mężczyzny, którego ma poślubić, by wiedział, ile jest warta”.

nik

-ać la że

;

— Nic o tym nie wiedziałem! — dyszkant Roddy'ego przeszedł w pisk.

Tom uniósł niechętnie wzrok znad biurka. Upłynęły dwa tygodnie od czasu pogrzebu. Tomowi wydawało się, że było to dużo dawniej. Kirsten bardzo przeżyła tę publiczną scenę upokorzenia. Wyprowadził ją łkającą z biblioteki. By nie musieli czekać na taksówkę, Yvonne podwiozła ich na lotnisko.

— Musisz mi uwierzyć! — napierał Roddy.

378

— Dlaczego? — zapytał ostro Tom. — Okłamywałeś matkę. Okłamujesz ojca. Sam siebie też okłamujesz.

— Ona by oszalała z wściekłości, gdyby się Jowiedziała, że się z nim spotykam. Nie wiesz, jaka była moja matka

— Owszem, poznałem ją. Byłem u niej z Kirsten, gdy powiedziała jej, że widzisz się z Maurice'em. Kirsten wyznała jej prawdę. To ty okazałeś się judaszem.

— Proszę cię, Tom, zrobię wszystko, aby...

— Zostaw więc Kirsten w spokoju. Zostaw nas oboje w spokoju! Idź swoją drogą, a my pójdziemy swoją.

— To nie takie proste — potrząsnął głową Roddy. — Ojciec dzwonił do mnie wczoraj, by mi podać nową datę waszego ślubu.

— Aha! — Tom oparł się wygodniej na krześle Teraz już wiedział, po co Roddy przyszedł do jego biura.

— Proszę cię, nie mów mu! — błagał Roddy — Wiem, że mną gardzisz, bo jestem pedałem...

— Możesz sobie rznąć nawet kangury, jeśli o mnie chodzi. Już ci mówiłem...

— A co z Kirsten? Czy ona mu nie powie? Po odczytaniu tego testamentu zląkłem się, że się na

mnie wścieknie. •

— Nie sądź innych według własnej miary, tirsten nic ojcu nie powie.

— A na ślubie? — Strach już zniknął z twarzy Roddy'ego. — Chodzi o to, że chyba będę musiał przyjść na wasz ślub. prawda?

Tom westchnął. — Tak. Będziesz musiał przejść — powtórzył jak echo. Roddy ma rację, pomyślał. Ja nim rzeczywiście pogardzam. Ale równocześnie obawiam się go, ze względu na kirsten. On jest tak bardzo podobny do swojej matki: te same niebieskie oczy i kręcone złote loki, te same regularne rysy twarzy. Ale przede wszystkim ten sam charakter — złośliwy i zawzięty. Na tyle mściwy, że zdolny skrzywdzić kogoś na całe życie, tak jak uczyniła to jego matka własnej córce.

Kirsten szlochala przez całą drogę powrotną do Londynu. Tom gotując się z oburzenia, usiłował znaleźć wytłumaczenie dla tak bezwzględnego okrucieństwa matki. Cóż za chory, zwyrodniały umysł musiała mieć ta kobieta! Własnej córce wyrządzić taki afront! Nie otrząsnął się ze wzburzenia, gdy lądowali na Heathrow. Nie wiedział, co począć, choć zwykle łatwo przychodziło mu podejmować decyzje. Byli już w połowie drogi do mieszkania, gdy zmienił plany. Później
379

zastanawiał się, dlaczego nie pojechał do Aleka i Jean albo Constantina i Melindy. Wspólnie by chyba coś uradzili. Ale jakaś głęboko utajona intuicja kazała mu zmienić polecenie wydane taksówkarzowi. W pół godziny później zajechali przed mały domek na przedmieściu, gdzie się wychował. W czasie gdy babcia przygotowywała Kirsten łóżko do spania, Tom zdążył wypić pół butelki najlepszej dziadkowej whisky

— Nigdy nie spotkałam się z taką mściwą złośliwością — stwierdziła babcia, kiedy zeszła na dół i dołączyła do ich rozmowy.

Po raz pierwszy w życiu Tom poprosił dziadków o radę.

— Musisz w jakiś sposób odciągnąć od tego uwagę Kirsten_ powiedziała babcia. — Ta rana i tak nigdy się już nie zagoi. Kirsten będzie musiała z tym żyć do końca swoich dni. Ale nie możesz pozwolić, by to ciągle rozpamiętywała. Wszystko jedno, jak, ale musisz ją czymś zająć.

— Zająć? Czym? — Tom zupełnie nie miał pomysłu. Kirsten spędzała większość czasu na zmienianiu ustaleń dotyczących terminu ich ślubu i na projektowaniu wnętrza ich nowego domu. I nagle doznał olśnienia. To było to! Dom! Zaraz zadzwonił do swojego architekta, Billa Walkera pod jego domowy numer.

— Już dziesiąta — protestował Walker. — Miałem pracowity dzień i zaraz idę do łóżka.

Zmienił jednak zdanie, gdy usłyszał, co się wydarzyło z Kirsten. W pół godziny później Bill Walker był już wciągnięty do spisku.

Następnego ranka dziadek Toma zaniósł Kirsten do łóżka filiżankę herbaty. — Czy znasz kogoś nazwiskiem Walker?

Kirsten podniosła na niego nieprzytomny wzrok. — Bill Walker? To nasz architekt.

— W takim razie wszystko jasne. Chce się z tobą pilnie widzieć. Zdaje się, że chodzi o wasz dom.

O jedenastej Kirsten siedziała już w biurze Walkera. Do ścian przypięte były projekty elewacji opatrzone podpisem

REZYDENCJA PAŃSTWA LAMBERTÓW W NEW HAMPSTEAD.

Kirsten już wcześniej widziała te szkice. Nie mogła się zdecydować, która część napisu sprawia jej większą przyjemność — „Państwo Lambertowie” czy „Rezydencja w New Hampstead”. A była to rzeczywiście rezydencja — duży wiktoriański dom usytuowany w ogr^o dzie otoczonym ogrodzeniem, przy którym znajdowała się dawna powozownia, którą Tom zamierzał przekształcić w pawilon gościnny-Pawilon był już prawie gotów, ale prace nad dużym zapuszczonym domem miały się dopiero rozpocząć. — Przywrócenie tego do dawn J

380

świetności potrwa rok — powiedziała Tomowi Kirsten, kiedy natrafiła na tę nieruchomość. — Ale na początku możemy zamieszkać w pawilonie gościnnym. Będę wtedy mogła wszystkiego z bliska

doglądać. To będzie dla mnie wielka frajda. Kiedy prace dobiegną końca, będzie to naprawdę rezydencja, jaka przystoi szefowi Stanton Industries.

Walker od razu przeszedł do rzeczy. — To, o czym chcę pani teraz powiedzieć, ma charakter ściśle tajny. Jeśliby ktoś zapytał, wyprę się wszystkiego. Doszły mnie słuchy... — przerwał, jak gdyby miał jeszcze wątpliwości, czy może jej zawierzyć tajemnicę, ale w końcu podjął decyzję. — Jak pani wie, w Londynie chronicznie brak jest mieszkań. Władze municypalne zastanawiają się, czy nie przystąpić do przymusowego wykupu nie zamieszkanymi nieruchomości. Ktoś mnie wczoraj poinformował, że decyzja taka może wejść w życie z dniem pierwszego maja. Gdyby do tego doszło — architekt wzruszył ramionami — mogliby państwo stracić ten dom.

Koszmar więc nie skończył dla Kirsten: nadal nic się nie układało. Nie otrząsnęła się jeszcze z szoku po wczorajszym pogrzebie, reakcje miała spowolnione.

Walker postawił więc sprawę na ostrzu noża. — Jeśli do pierwszego maja dom nadal będzie nie zamieszkanym, podlegnie przymusowemu wykupowi. W tej sytuacji nic się już nie da zrobić.

— Ależ to potworne! — zawołała z oburzeniem Kirsten, odzyskując nareszcie głos.

Podzielił jej oburzenie. — Można się będzie, oczywiście, odwoływać, ale z doświadczenia wiem, że takie odwołania ciągną się latami.

— Czy nie da się temu zapobiec? A jeśli dom nie byłby nie zamieszkanym.

— Ale nie będzie. Teraz mamy luty...

— Przecież nie wszystkie roboty musiałyby być skończone, prawda? — Kirsten zaczynała myśleć logicznie.

Walker zamyślił się. — Jedynie całkowite zakończenie prac daje nam gwarancję. Taki czy inny stan zaawansowania robót może wiązać się z ryzykiem utraty posiadłości.

— A dałoby się go wykończyć do tego czasu? — zapytała z nadzieją Kirsten.

Walker miał wątpliwości. — Musielibyśmy zatrudnić dodatkowych rzemieślników. Przy tak dużym domu nie da się tego uniknąć. — Westchnął. — Klienci rzadko zdają sobie sprawę z ogromu przedsięwzięcia. Nie zaprojektowaliśmy jeszcze pani kuchni. W domu będą eztery łazienki. Czy wybrała pani flizy, armaturę i wyposażenie? Oczywiście, nie. Nie obwiniam pani, chcę tylko powiedzieć...

381

— A gdybym to wszystko zrobiła?

Walker roześmiał się. — Musiałaby pani pracować na maksymalnych obrotach. Uczciwie mówiąc, myślę, że nic z tego nie będzie. Pani nie ma pojęcia, ile to wymaga czasu. Dostawcy często nie wywiązują się z terminów, a ja nie mogę ich ścigać.

— Już ja się tym zajmę.

Potrząsnął głową. — To nie zda egzaminu. Musiałaby tu pani przychodzić codziennie, pomagać mi skoordynować...

— Ma pan wolne biurko i telefon?

Godzinę później Kirsten opuściła biuro Walkera. Gdy tylko znalazła się za drzwiami, Walker podniósł słuchawkę i zadzwonił do Toma. — Właśnie jedzie ci powiedzieć...

— Dała się na to namówić?

— Bez mrugnięcia okiem. Gratuluję. Twoja przyszła żona jest bardzo konkretną osobą. Myślę, że będzie mi się z nią dobrze pracowało.

— Cieszę się — powiedział z westchnieniem ulgi Tom.

Nie miał wątpliwości, że jego babcia ma rację. Kirsten będzie musiała żyć z tą świadomością przez resztę życia. Wyraz takiego smutku pojawiał się niekiedy na twarzy Kirsten, że Toma aż serce bolało, kiedy to widział. Ale zazwyczaj Kirsten zbyt była zmęczona, by rozpamiętywać testament matki. Walker ostro gonił ją do roboty — wciąż musiała odwiedzać różnych producentów, budowniczych, kupców, fliziarzy i wielu, wielu innych.

Dzień ich ślubu zbliżał się szybko.

Już po tej wielkiej uroczystości Kirsten stwierdziła ze śmiechem: — Cały świat przybył na nasz ślub. — Jeśli nawet było w tym dużo przesady, to wcale nie tak dużo, jak mogło się wydawać.

Maurice przeszedł sam siebie, a Veronica też nie pozostawała mu dłużna. Po raz pierwszy w życiu Maurice miał do czynienia z kimś, kto organizował większe przyjęcia niż on. Kiedy któreś z nich wpadało na jakiś pomysł, to drugie zaraz znajdowało jeszcze lepszy. Podczas gdy Maurice wzorował się na brytyjskich uroczystościach koronacyjnych, Veronica przebijała go pomysłami wprost z Hollywood. Rezultatem była ekstrawagancja z klasą, która na zawsze wyryła się w pamięci uczestników uroczystości.

Ani Tom, ani Kirsten nie wiedzieli wcześniej, jak będzie wyglądało przyjęcie. Jeszcze na dwa dni przed uroczystością Kirsten z zaangażowaniem pracowała przy budowie, a Tom wyjechał do zakładów Pohla w Niemczech.

Kirsten nigdy się nie dowiedziała, że groźbę przymusowego wykupu

wymyślił Tom wraz z Walkerem. Walker zgrabnie wywinął się z dalszych komplikacji, stwierdzając pewnego dnia: — Byłem na posiedzeniu rady miejskiej dziś rano. Wygląda na to, że wycofują się z tego pomysłu z przymusowym wykupem.

Kirsten, trzymając w jednej ręce próbki kolorów, a w drugiej taśmę mierniczą, wzruszyła tylko ramionami. — Co mnie to teraz obchodzi? — I tak na koniec kwietnia miejsce to stanie się pałacem. — Każdy, kto chciał się od niej dowiedzieć szczegółów o przyjęciu, otrzymywał niezmienną odpowiedź: — Maurice i Veronica tym się zajmują. My z Tomem mamy tam tylko się stawić.

Teraz zaczęły się niespodzianki.

Pierwszy był Roddy. Kirsten nie widziała się z nim od czasu pogrzebu, nie wiedziała też nic, że spotkał się później z Tomem w biurze. Roddy pojawił się na kilka dni przed terminem ich ślubu na budowie w Hampstead, które jeszcze nie przypominało gniazda domowego.

Kirsten w dżinsach i kraciastej koszuli schodziła właśnie ze schodów. Dom dudnił stukaniem młotów, wypełniał go ryk puszczonej na pełny regulator odbiorników tranzystorowych. Na parterze był ogromny bałagan. W jakimś kącie piętrzyła się sterta desek, w innym stały rzędy puszek z farbami.

— Cześć! — zawołał piskliwie Roddy, pojawiając się w otwartych drzwiach. Obok niego stał Hugo, zagradzając drogę dwom hydraulikom, którzy chcieli wnieść przez próg różową umywalkę. Roddy przyszedł podarować jej prezent ślubny. — Jest zbyt duży, by go zabrać na Kariakos — powiedział łapiąc Kirsten za rękę. — Chodź i zobacz.

Przy krawężniku stał lśniący czerwony sportowy mercedes. Tom zobaczył go następnego dnia, gdy powrócił z Niemiec.

— Czyż nie jest śliczny? — zachwyciła się Kirsten.

Cóż mógł odpowiedzieć? Tak, bez wątplenia był śliczny. To nader hojny podarunek. Może rzeczywiście zbyt szybko osądził Roddy'ego? Nie chcąc psuć Kirsten przyjemności, mówił tylko to, czego oczekiwała, ale nic nie mogło zmienić jego niechęci do Roddy'ego. Nadal był zdecydowany nie mieć z nim nic wspólnego.

Tego wieczoru byli umówieni na kolację z Constantinem i Melindą. Trochę im było przykro, że ze względu na miejsce uroczystości, Melinda i Constantin nie wezmą udziału w przyjęciu. Dopóki pułkownicy rządzą w Grecji, wszyscy powtarzali im to samo: „Nie ryzykujcie!” Gdy Constantin zaczął się chwiać w swym postanowieniu, Melinda napominała go: „Nie, nie. Nie wolno nam — ze względu na ciebie, na ninie oraz Toma i Kirsten! Czy chciałbyś im zepsuć weselną uroczystość dając się znów zaaresztować? Nie!”

383

To załatwiło sprawę.

Następnego dnia Constantin przyszedł z Melindą na Heathrow pożegnać przyszłych nowożeńców. Melindzie zbierało się na płacz a Constantin tak ścisnął Kirsten, jakby się nie widzieli od lat. \l krzyknęła, gdy podniósł ją z podłogi. — Postaw mnie zaraz z po-wrotem, bo połamię sobie kości! Melinda machała ręką tak długo, dopóki learjet nie przemienił się w mały punkcik na niebie.

Jeszcze i w tym czasie ani pan młody, ani panna młoda nie mieli wyobrażenia o tym, co ich tam czeka. Wiedzieli, że Alec i Jean polecili na Kariakos poprzedniego dnia, zabierając ze sobą dziadków Toma. Wiedzieli, że Carl Pohl przyleciał tam już wcześniej ze Stanów. Spodziewali się, że będą tam André i Yvonne Amiensowie oraz Desmond Edwards ze swoją nową żoną. Nie robili sobie dużych nadziei na to, co tam zastaną. — Będzie to zapewne długi weekend — powiedziała Kirsten.

Tom kiwnął głową. — Zresztą w willi i tak się nie pomieszczą tłumy. Jest tam tylko osiem sypialni. Żadne z nich nie miało nic przeciw temu. Sześć miesięcy wcześniej planowali przecież cichy ślub w Londynie, a mając za sobą dwa zawałone terminy, cieszyli się teraz, że wezmą nareszcie ślub. — Do trzech razy sztuka — uśmiechnął się Tom.

Nawet brak czasu na miesiąc miodowy też nie psuł im humorów. Kiedy Tom wróci z Australii, Kirsten skończy meblowanie domu.

— Wtedy wyprawimy się na wakacje — uśmiechała się na myśl o tym. — Na kilka dni. Nie martw się. Urządzimy to tak, by nie kolidowało z twoim rozkładem zajęć.

Kiedy „Helena” zaczęła podchodzić do lądowania na Kariakos, odczuli przedsmak tego, co ich czeka. Zbliżał się wieczór, słońce stało już nisko nad horyzontem. Ciemniejące niebo barwiło wody Morza Egejskiego na głęboki granat. Zielone sosny przeżyły się jak szaroczarni wartownicy w niknącym świetle dnia. Wyspa zdawała się być pogrążona w leniwej drzemce.

Nagle wysoko na niebie pojawiły się migoczące światła. Zaraz po tym następny snop iskier. Potem trzeci i czwarty. Przestraszona Kirsten chwyciła Toma za rękę.

— Wszystko w porządku — krzyknął Gregg, odwracając się do nich ze swojego fotela. — Uwaga, przelatujemy nad osadą rybacką. Patrzcie.

Nim skończył mówić, całe niebo znów zajaśniało. Tom nigdy nie widział tylu naraz ogni sztucznych. Kolorowe fontanny światel unosiły się w niebo. Czerwonozielona tęcza rozlała się nad sosnami. Gregg

W odpowiedzi pokiwał skrzydłami hydroplanu i zaraz znaleźli się nad następną zatoczką, skąd widać było willę. Tu jeszcze więcej ogni sztucznych rozświetliło klifowe zbocza, które na przemian zmieniały kolor z białego na czerwony. Pochodnie i latarnie oświetlały srebrny pas plaży. Jeszcze większa porcja rac wystrzeliła w niebo z mola w zatoce, która aż roiała się od łodzi. „Afrodyta” kapała się w światłach od dziobu po rufę. Podobnie i inne jachty. Także i łodzie rybackie...

Gregg nie zamierzał jeszcze siadać na wodzie. Wprowadził „Helenę” w łagodny przechył i zawrócił nad morze, by ponownie zbliżyć się do wybrzeża. Ogni sztuczne świeciły teraz wyjątkowo jaskrawo. Gregg przez pół godziny latał tam i z powrotem nad brzegami w nie kończącej się feerii światel. Wreszcie łodzie w zatoce rozsunały się, by zrobić mu miejsce, i hydroplan łagodnie osiadł na wodzie.

Na tę noc rozdzielono pana młodego i pannę młodą. Kirsten została w willi, a Toma zakwaterowano w wiosce. Cała wyspa była jak odmieniona. Wszyscy mieszkańcy Kariakos mieli wziąć udział w uroczystości. Stoły ustawiono na głównym placu osady. Płomienie latarni chwiały się na wietrze. Ludzie tańczyli przy dźwiękach buzuki...

Tak wiele wspomnień zapadło Tomowi w pamięć, że trudno mu było później zdecydować, które z nich są cenniejsze. Jednej sceny na pewno nigdy nie zapomni. Stał na stopniach małego kościółka. Dochodziła dziewiąta wieczór. Obok niego znajdował się Alec i obydwaj spoglądali w stronę willi. Wszyscy ludzie na placu również wyteżyli wzrok i patrzyli w jedną stronę, usiłując przeniknąć ciemność. Było cicho, zadziwiająco cicho, jeśli wziąć pod uwagę liczbę gości, którzy tam czekali. Nagle ktoś krzyknął. Tłum się zakołysał. Pomruk podniecenia narastał wśród ludzi. Ktoś wskazał ręką. Tom wyciągnął szyję. Alec przyłożył dłonie do oczu, by móc lepiej widzieć. W odległości mili od nich pojawiły się chyboczące punkciki światła. Zbliżający się do wioski korowód pochodni wił się jak sznur robaczek świętojańskich. Przez jakiś czas widać było jedynie chwiejące się na wietrze płomienie. Dopiero gdy korowód się zbliżył, dało się odróżnić ciemne postacie niosące znicze: dwa rzędy ludzi, a w środku pojazdy w konnym zaprzęgu.

Naraz z górującej nad wioską wieży kościoła rozległ się dźwięk dzwonu. Zaraz zawtórował mu

drugi, potem jeszcze jeden, po nim zaś następny. Powietrze aż wibrowało. Teraz na plac wtoczył się orszak. Maurice prowadził za uzdę pierwszego udekorowanego girlandami wierzchowca ciągnącego rydwan, na którym siedziała Kirsten. Emanowała pięknem i spokojem.

— Zemsta

Odkaszlnął, by rozluźnić ucisk w gardle. — Nie brakowało nam niczego, prawda? Byliśmy zdrowi, bogaci, szczęśliwi — powiedział z goryczą. Nie otrząsnąwszy się jeszcze całkiem ze wspomnień, przecesał palcami włosy, a drugą ręką sięgnął po papierosa.

Alec poruszył się na krześle. — To było naprawdę niezwykle wesele. Kirsten wyglądała tak promiennie. Wszyscy to mówili.

Ręka, którą Tom podnosił papierosa do ust, zadrżała. Constantin obserwował Toma w smutnym milczeniu, lecz nie potrafił znaleźć słów, które mogłyby ukoić ból przyjaciela.

— Pięć lat — powiedział cicho Tom. — Po pięciu latach małżeństwa znaliśmy się na wylot. Często nie musieliśmy nawet ubierać naszych myśli w słowa, bo znaliśmy je bez tego, tak bardzo byliśmy sobie bliscy.

Alec próbował znaleźć słowa pocieszenia. — Wszyscy to widzieli — powiedział. — Byliście idealnym małżeństwem.

— Więc dlaczego do tego doszło? — krzyknął Tom z taką gwałtownością, że Alec podskoczył na krześle. — Dlaczego? — powtórzył Tom wskazując ręką na projektor. — Dlaczego? Przecież to jest zupełnie bez sensu!

Alec chętnie dałby teraz sobie język uciąć. Popatrzył ponuro na projektor, wściekły na siebie, że powiedział za dużo.

— Przecież ona taka nie była. — Twarz Toma wykrzywiła się w grymasie bólu i zgrzyoty. — Ona nigdy nie wzięłaby udziału w czymś takim. Nie jestem w stanie tego pojąć!

389

Wykonując uspokajające gesty, Alec częściowo uniósł się z krze ła. — Może to nie Kirsten.

Zastanawiałem się nad tym. Zgoda" wygląda jak Kirsten, ale to może być jednak nie ona.

— Nie bądź idiotą! Myślisz, że nie rozpoznałbym własnej żony?

— To może być fotomontaż — brnął dalej Alec. — No wiesz nakłada się jeden obraz na drugi.

— Gadasz głupstwa — odparł zde gustowany Tom. — Sam nie wierzysz w te bzdury.

Alec spojrział na Constantina z cichą prośbą o wsparcie, ale Constantin niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową, wstał z krzesła i powiedział: — Chyba przydałaby się nam filiżanka kawy i kilka łyków świeżego powietrza.

Na tarasie nie było już ciemno. Poranne słońce wyłuskiwało właśnie z szarości plamy kolorów.

Marmurowa balustrada zmieniała barwę z szaroperłowej na róż. Gliniane donice były już brązowe, a nie czarne. Na liściach pnączy pokazały się purpura i złoto. Nawet aksamitnie białe niebo stawało się niebieskie.

Tom spojrział na zegarek. — Wielkie nieba! Przesiedzieliśmy tu całą noc. Powinniśmy się trochę przespać.

— Lepiej nam zrobi świeże powietrze — powiedział Constantin odsuwając przeszkłone drzwi. —

Tylko powąchaj! — Wciągnął głęboko w płuca zapach wyspy, równocześnie przeklinając w duchu niezręczność Aleka. Nie było wątpliwości, że to Kirsten jest na filmie. Wystarczyło ten film raz obejrzeć, by pozbyć się wątpliwości. Tom oglądał go setki razy. Ale nie była to dobra pora na dyskusowanie o filmie. Trzeba namówić Toma, żeby opowiedział resztę historii, spróbował dojść do jakichś konkluzji. — Wiesz co? — zawołał ze śmiechem. — Greckie powietrze jest najlepsze na świecie. Greckie powietrze i grecka kawa.

— W takim razie zaparzę kawę — powiedział Alec, chwytając w lot aluzję i ciesząc się, że będzie

miał chwilę spokoju. — Siadźcie przy basenie. Kawa zaraz będzie gotowa.
— Zgoda, Tom? — Constantin pochylił głowę. — To nam rozjaśni umysł.
Tom oblizwał wargi. Poczł na nich cierpki smak soli. — Nic nie mam przeciw kawie.
— Alec nam przyniesie. A my chodźmy podziwiać piękno mojego kraju.
— Przecież stąd nie widać ładu. — Tom w zdumieniu wstał z krzesła, tłumiąc w sobie absurdalną
chęć pokazania Conowi pustego horyzontu.
Constantin roześmiał się. Wyszli na taras. — Wiem — westchnął. —'

390

Ale ona tam jest, za horyzontem. Moja piękna ojczyzna przywrócona życiu. — Podszedł do krzesła
i usiadł przy stoliku. — Chodźże! Alec przyniesie nam tu zaraz kawę.
Nie mogąc się na nic innego zdecydować, Tom poszedł w ślady przyjaciela.
— Zabawne — zamyślił się Constantin patrząc na morze. — Gdy człowiek to wszystko
rozpamiętuje, zaczyna liczyć lata. Siedem lat i dwa miesiące. Tyle trwała dyktatura. I co osiągnęli?
Wiesz, co pułkownicy mówili, gdy zdobyli władzę? Mówili, że ratują kraj przed komunistami.
Dobre sobie! Gdy obalono juntę, dwakroć więcej osób jęło się określać jako komuniści.
Pułkownicy twierdzili, że ratują gospodarkę. Gówno prawda. Pozostawili krajowi w spadku
najwyższą inflację w Europie i dwustuprocentowy wzrost długu. Potrafili tylko grabić i
torturować... — Constantin spojrzł na Toma. — Wszystkiego przecież doświadczyliśmy na
własnej skórze.
— Ja nie widziałem wiele.
— Widziałeś wystarczająco dużo. A mnie uratowałeś od wążania kwiatków od dołu.
Alec wyszedł na taras i dołączył do nich. — Zaparzyłem kawę. Jeszcze chwilę.
Constantin przechwycił jego wzrok. — Rozmawiamy o Grecji — powiedział szybko — i o upadku
pułkowników.
Alec pokiwał głową i chwytając aluzję, rzekł: — O czasach, kiedy świadczyłeś na procesach.
Myślałem wtedy, że cię stracimy. Oferowano ci tak świetne posady. — Alec spojrzł na Toma.
Przypominasz sobie? Zaraz, kiedy to było? W siedemdziesiątym czwartym czy piątym?
— Procesy? — zapytał Constantin. — Zaczęły się w siedemdziesiątym piątym i trwały rok. A pracę
to ja już miałem świetną dzięki wam. Pomagałem wam kierować Stanton Industries.
Alec uśmiechnął się. — Przypominam sobie, jaki byłeś oburzony wyrokami.
Constantin dotknął dolnej wargi i zamilkł. Początkowo pułkownicy i ich stronnicy zostali skazani
na śmierć, potem zmieniono im wyroki na dożywocie.
Wyraz zamyślenia pojawił się na twarzy Constantina. — Tak, byłem bardzo oburzony. Chciałem ich
widzieć martwych. Wszystkich. Pragnąłem zemsty. Ale teraz... — pokręcił głową. — Myślę, że to
była mądra decyzja. Po całym tym krwawym okresie Grecja musiała dopasować się do reszty
świata. Mimo wszystko musieliśmy udowodnić, że jesteśmy cywilizowanym narodem. W
starożytnej Grecji sprawiedliwość określano mianem thikaosini, które, niestety, zbyt

391

I

często myli się z ekthikissis, co oznaczało zemstę. — Constantin przeniósł wzrok na Toma. —
Tylko cywilizowany człowiek potrafi odróżnić jedno od drugiego.
Tom wiedział, że ta uwaga przeznaczona jest dla niego. —
Odeszłaby cię ochota do filozofowania, gdyby na tym filmie była Melinda.
— Nie — stwierdził Constantin. — Czułbym wtedy ból, taki jak ty, gnębiłoby mnie poczucie...
— ...zdrady! — dodał ochryple Tom.
— Tak, również i to — zgodził się spokojnie Constantin. — Może nawet przede wszystkim to. Ale
coś tu się jednak nie zgadza. Za chwilę dojdziemy do tego...
— Jestem tego samego zdania. Tu z pewnością coś się nie zgadza!
— Wolalbyśmy może wówczas pamiętać o wszystkich dobrych chwilach. Mówiłbym sobie: to
straszne, co się stało, ale przecież to tylko incydent, który choć stanowi część mojego życia, nie

przesądza

O całym moim życiu. Staralbym się pamiętać o tych dobrych chwilach, by nie oszaleć.

Tom popatrzył na niego. — A więc myślisz, że ja oszalałem?

Smutek pojawił się w oczach Constantina. — Oczywiście, że tak nie myślę. — Potrzęsął przecząco głową. — Ale to, co ci się przydarzyło, z pewnością mogłoby powalić wielu silnych ludzi. — Uśmiechnął się. — Ty, na szczęście, jesteś niezniszczalny.

Tom powiódł tępo wzrokiem za Alekiem, który wracał do willi. — Ja też mówiłem to kiedyś o Maurice — rzekł.

— Maurice należy do sfery tych dobrych duchów, o których powinieneś zawsze pamiętać.

Przypomnij sobie, ile dobrych chwil spędziliście razem. Wiesz chyba, jaki był z ciebie dumny?

Tom pokiwał głową. — Tak, wiem — powiedział zduszonym głosem.

— Podobnie Veronica. A przy okazji, widziałem ją w zeszłym tygodniu. Kazała cię pozdrowić.

Martwi się o ciebie. — Cię uśmiechu przemknął po twarzy Constantina. — No, ale nie tylko ona martwi się o ciebie, wszyscy się martwimy. (.

W oczach Toma nadal błąkał się wyraz duchowej nieobecności. Maurice i Veronica. Cóż za parę tworzyli! Zawsze było im dobrze z sobą. Maurice znalazł w końcu kobietę, która za nim nadażała, a nawet bywało, że on nie nadażał za nią. Siedząc skulony w krzesi

i czując ciepło promieni słońca, Tom nawet nie spostrzegł, że te wspomnienia przywróciły mu uśmiech.

Ale Constantin to zauważył. Jego przymrużone oczy bezustann

392

śledziły wyraz twarzy Toma. Starając się wykorzystać do maksimum swój chwilowy sukces, Constantin powiedział: — Veronica wspominała dawne dobre czasy. Mówiła o przyjęciach i zimowych wakacjach podczas świąt Bożego Narodzenia, które spędziła z Maurice'em w St Moritz razem z tobą i Kirsten. Opowiadała, jak uczyłeś ją jeździć na nartach.

Tom się roześmiał. Naprawdę się roześmiał! Zwyczajnym zdrowym śmiechem, bez cienia goryczy.

— O mało mnie nie zabiła. Razem z Maurice'em o mało mnie wtedy nie zabili. Cóż to była za zwariowana para! Chryste Panie! Pamiętam, że wpadłem w zaspę. Tkwiłem w śniegu po pachy, a Kirsten zaśmiewała się do łez... — Naraz ból powrócił na jego twarz, a słowa zamarły.

— Czy wiesz — powiedział szybko Constantin — że byliście wtedy z Kirsten pięć lat po ślubie, a Maurice i Veronica też byli razem tyle samo czasu?

Tom zaczął klepać się po kieszeniach, szukając papierosów. — Odchrząknął. — Wiem. Zawsze się z nimi droczyłem. Mówiłem Maurice'owi, że też mógłby się ożenić, bo Veronica stała się jedyną kobietą w jego życiu. Veronica wtrącała wtedy: „Za to Maurice jest wciąż w okresie próbnym”.

Tom podniósł głowę i dostrzegł wchodzącego na taras Aleka. — Wydaje mi się, że zostawiłem w domu papierosy.

— Mam je tutaj — Alec wskazał głową na tacę, którą niósł w obu dłoniach.

— Veronica spytała, czy widziałem się z Roddym — odezwał się Constantin.

Tom natychmiast spochmurniał. — Tak? Dlaczego? Przecież nigdy go nie lubiła.

— Nie powiedziałem, że go lubiła... Jakoś tak się zgadało w rozmowie.

Alec postawił tacę na stole. Tom sięgnął po papierosy.

— Powiedziała coś, o czym nie wiedziałem — kontynuował Constantin. — W zeszłym roku Roddy był całkiem spłukany. Poszedł Po pieniądze do Maurice'a.

Tom wysłuchał go bez zdziwienia. — Roddy był zawsze spłukany. Wszystkie pieniądze wyciągał od niego Hugo, namawiał, by inwestował w te ich idiotyczne fdmy. Żaden z tych filmów nie przyniósł sukcesu. Żaden. Na litość boską! Można by sądzić, że powinien już być zmądrzeć. Matka zostawiła mu fortunę. Kupił z tego tylko samochód dla Kirsten. Wielka mi rzecz, czerwony mercedes! Czerwony jak krew na rękach zbrodniarza, pomyślałem sobie wtedy, ale oczywiście nie Powtórzyłem tego Kirsten.

393

— Przecież kłóciliście się o Roddy'ego — drażył dalej Constanti a jego głos stał się naraz bardzo chłodny.

— Nie, nie kłóciliśmy się — odparł Tom. — Nie zgadzaliśmy się tylko. Ja nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Ale ta różnica zdań nigdy nie stanowiła między nami istotnego problemu. Kirsten spotykała się z nim od czasu do czasu, nie sądzę jednak, że często. Ja natomiast prawie w ogóle go nie widywałem.

— O co więc posprzeczaście się z Kirsten?

— Kiedy? — Tom rozszerzył ze zdumienia oczy.

— O co się pokłóciliście? — nie ustępował Constantin. Tom patrzył na Constantina nadal nie rozumiejąc. Zmienił nagle

taktykę. Głos Toma, jeszcze przed chwilą ciepły i przyjazny, stał się nagle donośny i stanowczy: — Zaraz, zaraz, co ty właściwie...

Constantin postukał w zegarek na przegubie ręki. — Daj spokój, Tom! Czas ucieka. — Pochylił się na krzesło. — Kończy nam się czas! Całe twoje życie rozleciało się w zeszłym roku. My też na tym ucierpieliśmy. Chcę wiedzieć, dlaczego. Pokłóciliście się z Kirsten...

— Kto powiedział, że się pokłóciliśmy? Dlaczego, u diabła, tak myślisz?

— Może chodziło o Melody? Czy o nią się pokłóciliście?

Tom był zbity z tropu. — Co chcesz przez to powiedzieć? Ja i Melody? Widziałem ją chyba cztery razy w ciągu ostatnich pięciu lat, z tym, że dwukrotnie byłem w towarzystwie Kirsten...

Constantin przerwał: — Czy Kirsten wiedziała, że byliście k chankami?

— Wtedy już dawno było po wszystkim. Melody zdążyła w tym czasie wyjść za mąż i rozwieść się. Natknął się na Melody podczas powrotnego rejsu z Nowego Jorku. Wtedy mu powiedziała, że wyszła za mąż wkrótce po tym, gdy on ożenił się z Kirsten. Jej małżeństwo trwało dwa lata. „A mnie przez większą część tego czasu nie było w domu” — dodała żartobliwie Melody.

Po tym spotkaniu Tom i Kirsten kupili kilka obrazów w galerii Melody przy Albermale Street.

Zjedli później lunch. Wszyscy troje. Kirsten, Melody i Tom. Nie zaprzyjaźniły się, poczuły jednak do siebie sympatię.

Spoglądając wściekle na Constantina, Tom stwierdził chłodno: — Kirsten nigdy nie miała powodu martwić się moją sprawą z Melody.

— Wiem — powiedział Constantin zrezygnowany. — Melody też mi o tym mówiła.

— Jak to? Pytałeś ją o to? Ty to masz czelność!

394

Constantin wzruszył ramionami. — Ona nadal wspomina cię bardzo ciepło.

— Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi, do czego zmierzasz?

— W zeszłym roku, zanim twój świat się zawalił, pojechałeś do Kalifornii, prawda?

— Wiesz przecież, że tak było.

— Kirsten zwykle jeździła z tobą do Kalifornii. Lubiała tam jeździć. Zawsze ją zabierałeś w tę podróż. — Constantin wskazał na Toma oskarżycielsko palcem. — Trwało to aż do zeszłego roku. I nagle pojechałeś do Kalifornii sam. Dlaczego? Musieliście się o coś pokłócić.

Błysk zrozumienia pojawił się w oczach Toma. Przez chwilę milczał. Potem potrząsnął głową. — Nic bardziej mylnego — rzekł powoli.

— Więc powiedz mi, w czym rzecz.

Tom wypił łyk kawy i spojrzał na Constantina ponad krawędzią filiżanki. Odstawił filiżankę na spodek. — Nie pokłóciliśmy się — powiedział cicho. — Usiłowaliśmy założyć rodzinę. Tak się jednak nie stało, więc Kirsten poszła z wizytą do ginekologa. Ginekolog poradził jej, by nigdzie nie wyjeżdżała z Londynu. — Smutny uśmiech pojawił się na twarzy Toma. — Mieliśmy nadzieję na dobre wiadomości po moim powrocie.

— Och, nie wiedziałem! — mruknął Alec.

Constantin oparł się o poręcz krzesła. Ból i poczucie klęski odmalowały się na jego twarzy. —

Wybacz mi, przyjacielu. Nie wiedziałem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał ni słowem. Constantin, masując kolano, wstał i kuśtykając

przeszedł na drugi koniec basenu, po czym wrócił do stolika. Wyglądał na do głębi wstrząśniętego starego człowieka. Zmarszczył czoło i powoli usiadł na krześle. — No dobrze, skoro tu nie znajdziemy żadnego rozwiązania, to spróbujmy od innej strony. Skoncentrujmy się na sprawach biznesu. Walka zaczęła się od twoich planów przejęcia Apple Computer. Wszystko to wzięło początek w tym samym miejscu i czasie. Podczas twojej zeszłorocznej wyprawy do Kalifornii...

1977

Ukołyszany monotonnym szumem silników samolotu Tom przymknął oczy z poczuciem satysfakcji. W Nowym Jorku sprawy szły świetnie. Dobry marketing, dobra dystrybucja, pokaźne zyski. Miło było pracować z profesjonalistami. Zastanawiał się, czy w Vancouver też znajdzie takich zawodowców z prawdziwego zdarzenia. Dwie firmy kanadyjskie planowały fuzję i zaprosiły go na trzy dni rozmów dla przedyskutowania możliwości przystąpienia Stanton Industries do wspólnego przedsięwzięcia.

Zamyślił się. Zdążył już uzgodnić prawie wszystkie szczegóły wizyty w Vancouver, kiedy nagle zadzwonił do niego Carl Pohl, domagając się natychmiastowego spotkania, bez podania powodów. — Nie zapomnij tylko wziąć z sobą książeczki czekowej — dodał Pohl.

— Chciałbym mieć nadzieję, że nie będzie mi potrzebna — mruknął Tom. Szczególnie teraz, gdy Amiens jest w Stanach i tylko szuka dziury w całym. Od pięciu lat Amiens nie zmienił śpiewki: — Pohl się nie sprawdził... Taki ośrodek potrzebny psu na budę... Badania nad rozwojem powinny podlegać mnie. — Podnosił te kwestie na każdym spotkaniu zarządu. Jęczał i jęczał. Drażył jak woda skałę. Drażnił jak ciekący kran. Desmond Edwards już się poddał, już go popierał. A Gunther Haller zaczynał się chwiać w swoich zapatrywaniach na sprawę.

Tom wiedział, że Amiens przyjechał do Chicago po zakup obrabiarek, a pomysł odwiedzenia Pohla strzelił mu do głowy ni stąd ni zowąd. Zadzwonił do Toma i oświadczył: — Pomyślałem, że skoro ji tu jestem, to wpadnę do Carla i zobaczę, jak mu idzie.

396

Albo raczej: jak mu nie idzie — pomyślał ponuro Tom. A przecież zarzuty Amiensa były absurdalne, bo Carl naprawdę uczynił ogromne postępy. Stanton Industries ugruntowało swoją pozycję. W Indiach i w Australii stało się liczącą firmą na rynku, pomimo ostrej konkurencji ze strony Japończyków. W Europie z roku na rok sprzedaż rosła o dwadzieścia procent.

Największe marzenie Maurice'a Stantona zostało zrealizowane. Syn Hansa Pohla nadal liczył się w tym biznesie. Stary Edwards zmarł w przekonaniu, że zostawia syna dobrze ustawionego w życiu.

Interesy Yvonne Bouvier także były chronione. Każde ze zobowiązań Maurice'a zostało wypełnione. Bez względu na to, jaka była opinia Amiensa, ośrodek badawczy mógł się poszczycić pewnymi sukcesami. Kieszonkowe kalkulatory Stantona sprzedawano już na całym świecie. Ośrodek dostarczał niezliczonych ilości różnych drobnych ulepszeń...

Tom żałował, że nie ma z nim Kirsten. Jakoś dziwnie mu będzie odwiedzać Kalifornię bez niej. Carl będzie rozczarowany. Carl, który nadal pozostawał kawalerem, miał pewne trudności w kontaktach z kobietami. Kirsten była tu wyjątkiem. Może dlatego, że tak ostentacyjnie nie kryła swojej sympatii do niego. — Jestem największą wielbicieleką twojego talentu — mówiła chwytając go za rękę i każąc się wszędzie oprowadzać. Wierzyła, że jego marzenia się spełnią. Zaraził ją swoją pasją do komputerów domowych. Siadała z nim i długo dyskutowali o możliwości zastosowania tych urządzeń w szkołach na całym świecie.

Ale marzeniom Carla Pohla nadal daleko było do spełnienia. Jego małe komputery ciągle pozostawały tylko zabawkami. Zabawkami z telewizyjnym ekranem. Białą kropkę oznaczającą piłkę można było odbijać w symulowanej grze w tenisa czy futbol. W innych grach występowały dosyć topornie zarysowane postacie. — Dziecinne zabawy dla infantylnych umysłów — szydził Amiens.

Tom na próżno usiłował znaleźć zastosowania przemysłowe dla tych urządzeń. Nigdy nie wierzył w domowe komputery Pohla. Komputery osobiste — owszem. Małe komputery mogą znaleźć masowe zastosowanie. Ten rynek Tom dobrze znał. Trzeba tylko nie odstawać od czołówki i

Stanton Industries mogło rywalizować z IBM.

Dziwna rzecz, ale Tom rozumiał Carla Pohla. Bez wątpienia miała w tym swój udział Kirsten. Ale i Pohl się zmienił. Kalifornia go trochę utemperowała. Nie był już taki arogancki, taki dogmatyczny. Nic jednak nie utracił ze swego zapału. — Już niedługo, Tom — mówił — bądź cierpliwy. Tymczasem ośrodek pochłaniał ogromne sumy.

397

I teraz Pohl domagał się znów pieniędzy. Tom westchnął. ju-wiedział, jak się zachowa. Będzie uważnie słuchał, a potem podzieli żadaną kwotę na pół. Wcześniej też tak postępował. Teraz potrafił już z Pohlem spierać. Nie dał sobie wciskać byle kitu. Cały szacunek jaki Pohl żywił do niego, Tom zawdzięczał Kirsten. To ona pomogła im przełamać lody. Carl Pohl ją polubił, a co ważniejsze, ufał jej. Ma swój sposób, może nawet się w niej podkochał. Kirsten zarumieniła się, kiedy Tom jej o tym wspomniął, ale obydwójce wiedzieli, że to prawda. — Więc go nie tyranizuj — napomniała Toma, gdy przyszedł ją pocałować na dobranoc.

Tom żałował, że nie ma jej teraz przy nim. Ona potrafiłaby zrekompensować rozczarowanie Pohla. Ale z Amiensem nic by nie wskórała. Nie lubiła Amiensa. — On mnie rozbiera wzrokiem — wyznała kiedyś.

— Ja też to robię — uśmiechnął się Tom.

— Ale ja lubię, kiedy ty to robisz. André natomiast ma obleśne spojrzenie.

Tom nie rozwijał tematu. Nieważne, ma obleśne spojrzenie czy go nie ma, w pracy nic Amiensowi nie mógł zarzucić.

Chcieli mieć dziecko. Ginekolog był dobrej myśli. Kirsten wiele sobie obiecywała, kiedy Tom wyjeżdżał. — Teraz się na pewno uda. Czuję to. Gdy wrócisz, może się już to potwierdzi.

Zastanawiał się, jak będzie się czuł w roli ojca. Marion, żona Desmonda, urodziła trojaczki.

Desmond był zachwycony. — Planowaliśmy trójkę, a teraz mam ją za jednym zamachem.

Jeśli będą mieli dziecko, to Maurice zostanie dziadkiem. Spodobałoby mu się to. Miał dobre podejście do dzieci. Desmond, Carl Pohl i Yvonne, wszyscy z rozrzewnieniem wspominali szczęśliwe chwile, jakie spędzili na Kariakos w dzieciństwie.

Tom poczuł na swoim ramieniu czyjeś dotknięcie. Otworzył oczy i zobaczył stewardesę.

Uśmiechała się do niego. — Muszę pana poprosić o zapięcie pasa, panie Lambert. Podchodzimy do lądowania. Za pięć minut będziemy w San Francisco.

— Dziękuję.

Spojrzał na zegarek. Siódma piętnaście czasu lokalnego. Zastanawiał się, o której godzinie Amiens przyleci z Chicago. Jak zawsze pokłóca się o ośrodek. Amiens miał trochę racji, gdy mówił, że zaoszczędziliby dużo pieniędzy zamykając tę placówkę w Kalifornii i otwierając w Genewie instytut badawczy. Tylko wówczas straciliby Carla. Amiens był zdania, że wyszłoby to wszystkim na dobre. Al straciliby wtedy również coś więcej. Przenosząc badania do Genewy

398

odwróciliby się plecami do nowej elektronicznej cywilizacji r> r jCzermowej. Odwróciliby się od tych młodych zapaleńców reą-jj • ° "Y w garażach nowe zwariowane pomysły. Takich tam było ujący?. Maniacy drucików, którzy każdą wolną chwilę poświęcą p?cz towaniu układów scalonych dla różnych zastosowań. Nigdzie Pr°je." nie było tylu klubów elektronicznych, co w Kalifornii. T>v) swiecie geniuszy. Tom czuł, że jeśli nastąpi jakiś przełom, to bd ? naraz miejsce tutaj. ie miał Carl Pohl czekał na niego w eleganckim holu hoteli*

Świętego

Franciszka. Ubrał się odpowiednio na tę okazję, co zr\aczyło5 ze zawiązał krawat. Dostrzegłszy Toma, Pohl omiół swy krótkowzrocznym spojrzeniem jego sąsiedztwo.

— Tym razem nie przyjechała — powiedział Tom Padając mu rękę. — Kazała cię pozdrowić.

Carl Pohl wyglądał na głęboko zawiedzionego. Przemoc wzrok na sofę, gdzie siedział. Obok niego leżał w celofanie bukiet

kwiatów

w kolorach tęczy.

Tom uśmiechnął się. — Nie będzie mogła odżałować Ujj wiązanki Są prześliczne. Powiem jej o nich.

— No, wiesz... — Pohl poczuł się zakłopotany. — Pomyśl, że może się ucieszy...

— Nie martw się. Liczą się intencje.

W recepcji czekała na nich wiadomość od Amiensa: MprZyiatuję dziesiąta trzydzieści. Zjedzcie kolację beze mnie. Dołączę do was później". , ,

Na twarzy Pohla odmalowała się ulga. — To dom>e Zdążę ci przedstawić, o co chodzi, nie narażając się na to, że wcu2 mi będzie przerywał.

Amiens nie pomijał żadnej okazji, by dopiec Pohl a Carl nienawidził go za to z całej duszy. Tom porzucił już wszelką nadzieję, że uda mu się kiedyś doprowadzić do ich pojednania.

Carl odprowadził Toma do jego apartamentu, nadal r,iOSąc z sobą bukiet. — Nie przeszkadzam ci chyba, co? Możemy rozniawiaĆ5 gdy będziesz brał prysznic. Wydaje mi się, że nawet... — ściszył głos obserwując pozostałych pasażerów windy — w pokoju będzie nam wygodniej niż w restauracji.

Tom widywał już Pohla w różnych nastrojach — złyt zawiedzionym, podekscytowanym, depresyjnym, lecz nigdy dotąd __ w tajern_ niczym. Zazwyczaj w ciągu pięciu minut wyłuszczał sedn0 sprawy.

399

Zaintrygowany Tom wręczył napiwek boyowi, który niósł jeg0 walizkę. — Chwileczkę. — Tom spojrział na Pohla. — Może w takim razie zjemy w pokoju?

— Zbyt jestem podekscytowany, bym mógł coś przełknąć. — p0n| rzucił kwiaty na stół w saloniku i podszedł do okna. — Później się zastanowimy nad posiłkiem.

Boy hotelowy spojrzawszy na wiązanke, a potem na Toma, oddalił się z głupawym uśmiechem kogoś, kto wie, w czym rzecz. Zdejmując marynarkę Tom uśmiechnął się smętnie. Kirsten nie uwierzy, pomyślał a na głos dodał: — Nalej mi szkockiej, a ja wezmę tusz. Potem porozmawiamy, dobrze?

— Tom — Pohl odszedł od okna, w jego głosie słycać było napięcie — potrzeba nam dwóch milionów dolarów, może nawet trzech. Załatwisz to?

— O kurczę! —jęknął Tom. Padł na najbliższe krzesło. Pohl nigdy nie znał się na pieniądzech. Nigdy nie potrafił zrozumieć wyliczeń finansowych. Zazwyczaj przedstawiał swoje plany, a innym zostawiał obliczenie, ile to będzie kosztować. Tom rozluźnił węzeł krawatu, rozpiął kołnierzyk koszuli i zsunął ze stóp buty. Spróbował obrócić prośbę Pohla w żart. — Czy masz coś konkretnego na oku, czy też zamierzasz zmienić styl życia?

Pohl nigdy nie grzeszył poczuciem humoru. W tej chwili nie miał go nawet w śladowych ilościach.

— Chcę, byśmy kupili przedsiębiorstwo — powiedział. — Nazywają się Apple Computer.

Tom westchnął z ulgą. Już zaczął się obawiać, że Pohl straci! całkiem kontrolę nad kosztami i usiłuje nagle ratować się dodatkowym zastrzykiem gotówki. — Kupowanie przedsiębiorstw raczej nie nasza branża — odparł. — A poza tym statut ośrodka badawczego nie pozwala na prowadzenie działalności gospodarczej na własne konto.

— Ty byś to jakoś załatwił.

Tom wstał. Już przestał się martwić. — Wiesz co? Może jednak zrób mi tego drinka — powiedział odprężony. — Wezmę prysznic, a potem wszystko mi opowiesz.

W dwie godziny później nadal dyskutowali. Carl Pohl zupełnie nie miał żyłki do interesów. Nawet jako dyrektorowi ośrodka badawczego wiele mu można było zarzucić. Nie miał talentów organizacyjnych i ośrodek cierpiał na tym. Pohl był nieustępliwy i wybuchowy, ale miał swoją wizję i w niektórych sprawach Tom w pełni polegał na jeg° zdaniu.

— O to chodzi, że oni wyprzedzają innych o całą epokę. Mają ten

400

swój Apple Two i... — głęboki podziw odmalował się na twarzy pohla —jest poza naszym

zasięgiem. To nie tylko sprawa technologii...

— Nie możesz tego skopiować? Jakoś ich podglądać?

— Oczywiście. Ale to potrwa rok lub dwa. Skopiujemy Apple Two. Inni też to zrobią. Pozostaje tylko pytanie, na jakim etapie oni wtedy będą w Apple Computer.

Tom odsunął od siebie talerz z nie dojedzonym befsztykiem, który mu podano do pokoju, i otarł usta serwetką. — A dlaczego uważasz, że powinniśmy ich wykupić?

— Nie mają subsydiów. Wszyscy o tym wiedzą. Na targach mówi się o tym głośno.

Tom sięgnął po tandetnie wydany prospekt „Targi komputerowe Zachodniego Wybrzeża”. Już sam tytuł odstręczał — wydrukowany pretensjonalną czcionką udającą gotyk, taką jak na szyldach sklepów kolonialnych. Tom popatrzył na Pohla. — Naprawdę myślisz, że to będzie urządzenie, które znajdzie zastosowanie w biznesie, a nie następna zabawka dla amatorów?

Długo nie mogli dojść do wspólnej konkluzji i dyskusja przeciągała się bez końca. Pohl ciągle upierał się przy swojej wizji komputerów domowych, ale z uwagą wysłuchiwał postulatów odnośnie komputera osobistego do zastosowań w biznesie, jaką przedstawił mu Tom. — Ten, o którym mówię, nie spełnia wszystkich twoich kryteriów — przyznał Pohl. — Ale potrafiłby sprostać im w połowie.

Tom z coraz większym entuzjazmem patrzył na sprawę. — Opowiedz mi coś o nich. Jak oni się nazywają?

— Jobs. Steve Jobs i Wozniak. On też ma na imię Steve, ale wszyscy nazywają go Woz. Jest jeszcze ktoś o nazwisku Markkula. Nie wiem o nim wiele. Ale Jobs i Woz są chyba najważniejsi, jeśli chodzi o rozwiązania techniczne.

— A skąd wzięłeś tę kwotę dwóch milionów?

— Ktoś mi powiedział, że tyle im potrzeba.

Tom uśmiechnął się. To znamienne dla Pohla. Nie rozumiał, że pożyczka i kupowanie przedsiębiorstw to dwie odrębne rzeczy. Oczywiście, to rozgraniczenie nie jest istotne, bo wszystko zależy od negocjacji. — Czy jesteś w stu procentach pewny, że to jest właśnie to?

Po raz pierwszy od chwili, gdy spotkali się w holu hotelu, Pohl się uśmiechnął. — Poczekaj tylko do jutra, aż to zobaczysz. Zsikasz się z wrażenia.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— To pewnie ktoś ze służby hotelowej. — Tom zatrzymał się w drodze do drzwi. — Jesteś pewny, że nie chce ci się jeść? — Pohl

2> — Zemsta

401

zjadł dziś tylko jedną kromkę chleba i wypił szklankę mleka, ale ni był głodny. Potrząsnął przecząco głową.

Ale za drzwiami stał Amiens. Kątem oka Tom dostrzegł w głębi korytarza jakąś damską postać ubraną w uniform stewardesy.

— Cześć, Tom! Jak się masz? — Amiens podał mu rękę i wszedł do środka. Dostrzegłszy Pohla, kiwnął mu głową i zajął do sypialni. — A gdzie się podziewa piękna Kirsten?

— Została w Londynie. Tym razem nie przyjechała ze mną.

— Ach, tak — Amiens pochylił głowę na bok. — Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Nie, nie. Kirsten czuje się świetnie.

Uprzejmy uśmiech powrócił na twarz Amiensa. — A wy, jak widzę, już po kolacji. Ja natomiast padam z głodu. Zamówiłem stół w restauracji. Może dalibyście się namówić?

— Nie. Ale ty idź i przetrząć coś. Spotkamy się rano. Odwracając się do wyjścia Amiens dostrzegł na stoliku bukiet

kwiatów.

— Pomyłka — wyjaśnił Tom w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie.

— Czy w takim razie mogę?... — Amiens podniósł już wiązankę. — Szkoda, by się zmarnowały. Tom spojrział na Pohla, który wzruszył ramionami.

— No, to do rana — powiedział Amiens i ukłoniwszy się, szybko wyszedł z pokoju. Gdy tylko

drzwi się za nim zamknęły, z korytarza dobiegł pisk zachwytu. — Och, André, jakie śliczne! Później, kiedy Pohl już poszedł, Tom sączył jeszcze szkocką przed pójściem do łóżka. Dochodziła północ. Czuł się zmęczony podróżą i zmianą strefy czasowej. Kirsten ma rację. Należał mu się odpoczynek. Trochę zazdrościł Amiensowi. Nie tej dziewczyny, rzecz jasna, którą wziął do łóżka, ale jego niespożytej witalności. — No, ale on przyleciał tu tylko z Chicago — pocieszał się kładąc spać. Ziewnął i zgasił światło. Jakieś cyfry chodziły mu po głowie. Dwa miliony. Mógłby to sfinansować z bieżących wpływów. Co za kretyńska nazwa, pomyślał-Trzeba to będzie zmienić. Nikt poważny nie zainteresuje się przedsiębiorstwem o nazwie Apple Computer. Mimo że dzień wcześniej Amiens był w nastroju frywolnym, Przy śniadaniu mówił już tylko o interesach. Tom znów poczuł ukłucie zazdrości. Amiens miał zdolność całkowitego oddzielania spraw zawodowych od życia seksualnego. Potrafił to robić, by po chwili

402

całkiem się od nich odciąć i zająć czymś innym. Maurice też posiadał tę umiejętność. Tomowi nigdy się to nie udawało, choć próbował. Bardzo się nawet starał. Wiele razy mówił wieczorem do Kirsten: — iConiec na dzisiaj z rozmowami o pracy. Porozmawiajmy o czymś innym. — Ale nawet wizyta w teatrze czy kinie nie potrafiła całkowicie zaabsorbować jego myśli. W antrakcie, przy bufecie lub w drodze do domu coś mu się nagle przypominało. „Czy nie ma sposobu, byś się na chwilę wyłączył?” — pytała wówczas Kirsten. Tom uśmiechał się wtedy, ona też się uśmiechała i po chwili zaczęli zdejmować z siebie ubrania.

— Więc co to za wystawa? — zapytał Amiens, gdy wychodzili z hotelu. Wpadłem tu tylko na jeden dzień. Myślałem, że pojedziemy prosto do tego ośrodka.

— Carl chce mi najpierw coś pokazać na tej wystawie. Spotkamy się z nim tam na miejscu. A do ośrodka pojedziemy po południu, jeśli będziesz miał ochotę.

W taksówce Amiens ułożył plan na cały dzień. — Musimy skończyć z tym szaleństwem. To nas hamuje. Ileż my pieniędzy wydajemy na ten ośrodek! A oni, te szczeniaki, tylko grają sobie w pingponga. Chyba zdajesz sobie sprawę, że oni niczym więcej się tam nie zajmują! Całymi dniami siedzą i odbijają białą plamkę na ekranie. To nie ma nic wspólnego z urządzeniami profesjonalnymi. Ale nawet w tym nie są dobrzy. Widziałeś może sprzęt atari? Wstawiają go do salonów gier i tanich knajp. To nie nasza branża. Jak tak dalej pójdzie, to zaczniemy produkować szafy grające. Czy tego chcesz? Mówię ci, Tom, musimy z tym skończyć...

Gdy tylko weszli na teren targów, Toma ogarnął ponury nastrój. Wystrojowi stoisk tak bardzo brakowało profesjonalnego szlif, większość tych boksów nawet szyldy miała malowane ręcznie. Sprzęt stał na tanich składanych stolikach.

— Jak na wiejskim jarmarku — mruknął szydyczko Amiens Przewracając oczami. Po chwili zaczął zaczepiać zwiedzających. — Przepraszam, czy mógłby mi pan wskazać, gdzie jest stoisko IBM? Ach, nie ma ich tutaj? Szkoda. A może Olivetti? Też nie? A Xerox? Albo Canon? Albo...

— Udowodniłeś już swoją tezę — przyznał ze znużeniem Tom. — Chodźmy poszukać Carla. Zaprosił nas tu nie bez powodu.

Znaleźli Carla wśród tłumu oblegającego stoisko Apple Computer. Było to jedyne miejsce, które miało w miarę profesjonalny wygląd. Reklamowało się elegancką tablicą z przydymionego pleksiglasu, na którym widniał napis Apple Computer i kolorowy znak firmy.

403

Kolorowe były również obrazy na dużym monitorze, który prezentował mnogość programów. Amiens złapał się za nos udając, że pociąga ręką za wyimaginowany łańcuszek od sfluczki klozetowej. — Znowu gry — prychnął, przeciskając się przez tłum.

Pohl chwycił Toma za łokieć i szepnął: — Kiedy skończą pokaz programów, pokażę ci, co jest w środku. Nie uwierzysz. Udało im się to wszystko zmieścić w sześćdziesięciu układach scalonych. Zobaczysz jaka uporządkowana jest płyta główna...

Ale Tom gapił się na grafikę komputerową. Na olbrzymim ekranie monitora wirował spektakularny kalejdoskop barw. Patrząc na zmien-nowymiarowe kostki i sześciiany, widział w nich wykresy

słupkowe. Gdzie jest granica możliwości takich programów? Sześcian można było obracać, ciąć na kawałki, rozsypać. Czy istnieje możliwość przedstawiania w takiej postaci wzorów matematycznych? Ożywienia statystyk na ekranie? Dyrektorzy zawsze przeprowadzają symulacje. Biznes wiąże się z porównywaniem wyników i badaniem ich przyczyn. W jakiej mierze wzrost ceny wpłynie na zyski? Jaki wpływ mają opóźnienia w płatnościach na przepływ pieniądza? Co dzieje się z zapasami, jeśli produkcja przedłuży się o tydzień?

Nie pierwszy raz zastanawiał się nad tymi sprawami. Już dawno doszedł do wniosku, że małe komputery osobiste mogłyby stać się narzędziem pracy biznesmena. Wiele z nich musiałoby współpracować z komputerem głównym, by móc na bieżąco przekazywać informacje do wszystkich szczebli zarządzania...

Carl Pohl odciągnął go od stoiska, nie chcąc, by zwracał na siebie uwagę. Przechadzając się po hali, Tom przyglądał się twarzom zwiedzających. Wszystko to były dzieciaki. Nastolatki. Część z nich posługiwała się tylko sobie zrozumiałym językiem. Ale za kilka lat te szczeniaki zaczną pracować w biznesie. Przyniosą wtedy z sobą wszystkie te nowinki. Zaadaptują je i usprawnią.

Natknęli się na Amiensa. Śmiał się serdecznie. — Coś wam powiem — rzekł. — To nie tylko maniacy, to zupełnie szajbusy! Czy wiecie, jak nazywa się jedna z tych firm tam z tyłu? Pieczone Komputery z Kentucky! Oni naprawdę tak się nazwali! Mają nawet swój znak firmowy! Tom, daj spokój! Co my tu robimy? Przecież to zupełnie niepoważna sprawa.

— Zostawmy im trochę czasu — powiedział Tom patrząc, jak Amiens ładuje do swojej teczki materiały reklamowe.

— To będzie materiał dowodowy — uśmiechnął się Amiens i poklepał teczkę. — Ludzie mi nie uwierzą, kiedy im opowiem o tych bzikach. — Popatrzył na zegarek. — Wszystko już widziałem. Z hotelu wykonam kilka telefonów. Do zobaczenia w barze w porze lunchu.

404

Zostawili go i wrócili do stoiska Apple'a. Tom obejrzał wszystkie trzy demonstrowane komputery. Zamiast metalowych skrzynek z brzydkimi ostrymi krawędziami miały jasne plastikowe osłony. Bardziej przypominały najnowsze modele maszyn do pisania niż zabawki dla inżynierów.

— Założę się, że pod stołem ukryliście resztę wnętrza — krzyknął ktoś z tłumu. Obsługa udowodniła, że tak nie jest, zdejmując jedną ze ścianek stoiska.

Tom oddalił się od nich, ale nie spuszczał oka z Apple'a. Uwijało się tam trzech ludzi, demonstrowali sprzęt i przyjmowali zamówienia. W ciągu pół godziny sprzedali dziesięć komputerów.

Carl Pohl przetarł brudną chustką od nosa swoje zbyt duże okulary. — No i co powiesz?

— Myślę, że jesteśmy świadkami historii — rzekł cicho Tom. — Obserwujemy narodziny nowej epoki komputerów osobistych.

Potwierdzenie tego znaleźli po wyjściu z budynku. Przed bramą wiła się długa kolejka oczekujących na wejście. Znaleźli Amiensa w hotelowym barze.

— A oto i cudowne dziecko powracające z jarmarku zabawek — kpił z Carla Amiens.

Pohl nie zwracał na niego uwagi.

Poszli na lunch do restauracji. Siadając za stołem Amiens roześmiał się. — Zapytałem jednego z tych chłopaków, co on robi ze swoim komputerem. I wiecie, co powiedział? Że podłączył go do spryskiwacza trawnika. Aha, i jeszcze, że otwiera mu drzwi do garażu. — Podniósł wzrok do góry. — Nawet w Disneylandzie nie ma takich cudów.

Pohl nadal udawał, że go nie słucha. Nie wymienił z Amiensem ani słowa przez całe pół dnia.

Amiens zaczerwienił się i pochylił nad stołem. — Czy trzeba cię zaprogramować, byś się odezwał?

Pohl zwrócił się do Toma: — Czy mam zorganizować spotkanie?

Tom żałując, że musi to robić w obecności Amiensa, zapytał: — Jak długo potrwałoby targi?

— Dzisiaj się kończą. Organizatorzy plużą sobie w brodę, bo mieliby frekwencję przez dwa tygodnie.

Tom z uwagą obserwował Amiensa studiującego menu. — Zgaduję, że nieszczerolne wrażenie wywarły na tobie te targi, André? Amiens skrzywił się lekceważąco. — To dobre dla dzieci!

— Nie zgadzam się z tobą. Szczerze mówiąc, odkryłem tam firmę, którą chętnie bym kupił.

— Chyba zwariowałaś!

405

— Nie będzie to szaleństwem, jeśli uda mi się ją kupić dobrą cenę.

Amiens odłożył kartę na stół. Choć był już czerwony po kilku drinkach, które wychylił przy barze, jego policzki nabrały teraz ognistych barw z powodu niedowierzania, które zamieniło się we wściekłość.

— Żadna z tamtych firm nie jest nic warta! O której myślisz? I za ile?

Pomijając milczeniem pierwsze pytanie, Tom wzruszył ramionami i powiedział: — Trudno powiedzieć. Może milion, może dwa.

— Chyba nie mówisz tego poważnie?!

— Jak najzupełniej poważnie.

Do stolika podszedł kelner. — Później — powiedział Amiens odprawiając go ruchem ręki. Kiedy kelner nadal stał w tym samym miejscu, Amiens krzyknął. — Powiedziałem: później!

Zaczerwieniwszy się ze zdumienia i oburzenia kelner oddalił się.

Amiens wyciągnął w stronę Toma palec wskazujący. — Wydaj na to choćby trzy dolary, a będą to ostatnie pieniądze, jakie zmarnujesz w tej firmie! Już wystarczająco długo znosiliśmy twoją obecność! Miarka się przebrała! Ty i ten twój błazen... — wskazał głową Pohla — i te wasze poronione pomysły! Coś ci powiem. Wydaje ci się pewnie, że Stanton Industries jest olbrzymim workiem bez dna! Ale gdybym to ja nim kierował, byłoby już dziesięć razy większe. Wszystkie pieniądze ty tylko rzucasz w błoto!

— Andre! — głos Toma brzmiał lodowato. — To nie jest właściwe miejsce...

— Gówno mnie obchodzi, właściwe czy nie! — Amiens z hukiem odsunął swoje krzesło od stolika.

— I gówno mnie obchodzi, co ty o tym myślisz! Trzy miliony dolarów! Potem jeszcze trzy na kapitał obrotowy. A teraz znów forsa na jakiś niedowarzony pomysł! — Trzęsąc się ze wściekłości Amiens wstał. — Tym razem to nie przejdzie! Skończymy z tym raz na zawsze! Mam już tego dość! Haller i Desmond też już mają tego powyżej uszu! — Cisnął serwetę na stół. — Nie zdziwiłbym się, gdyby i Alec opowiedział się przeciw tobie. On również nie wierzy w tę farsę. Nie będzie w nieskończoność za tobą głosował. — Odwrócił się do wyjścia. — Domagam się zwołania posiedzenia w trybie nadzwyczajnym. Wszyscy mają się stawić. Również Maurice i ty. A wtedy zobaczymy! — Aż się gotował z wściekłości. — Jeszcze zobaczymy!

Większość gości w restauracji odwracała głowy, by popatrzeć na Amiensa, który z twarzą jak chmura gradowa, minął kelnera i zniknął w wyjściu.

406

— Chryste Panie! — jęknął Pohl.

Tom nie po raz pierwszy był świadkiem wybuchu gniewu u Amien-sa, ale nigdy dotąd nie odbywało się to w miejscu publicznym. — Ale mu dałeś w kość!

— Ja? Nawet słowa z nim nie zamieniłem.

— No, właśnie — zgodził się Tom, starając się nie okazywać wzburzenia. W rzeczywistości był jednak roztrzęsiony i zażenowany. Poprzednie wybuchy Amiensa były bardziej kontrolowane.

Amiens umiał symulować wściekłość dla uzyskania efektu. Tom niejednokrotnie był tego świadkiem. Ale dzisiaj, urażony postawą Pohla i wypiwszy pewnie o jednego drinka za dużo,

Amiens nie potrafił zapanować nad furią. Jego miarka goryczy przelała się. „Gdybym ja kierował Stanton Industries, byłoby dziesięć razy większe!” Wierzył w to, był święcie przekonany. Nadal czuł urazę do Toma, że zajął miejsce należne tylko jemu, jak mniemał.

Przy stoliku pojawił się kelner. — Przepraszam, panie Lambert, ale czy pański przyjaciel powróci jeszcze do stolika, czy też mam uprzątnąć jego nakrycie?

Tom westchnął. — Myślę, że może pan zdjąć jego nakrycie.

Amiens wyprowadził się z hotelu. Po lunchu Tom zatrzymał się przy recepcji, sądząc, że może

André wrócił do swojego pokoju. — Nie, proszę pana — powiedział recepcjonista. — Pan Amiens

wyprowadził się pół godziny temu.

— Jak myślisz? Dokąd mógł pojechać? — spytał zmartwiony Pohl. Poszli na górę do apartamentu Toma, skąd Tom zadzwonił do

Aleka w Londynie. — Prawdopodobnie jest już w drodze do Europy. Poleci zobaczyć się z Hallerem, by jeszcze bardziej namącić...

W trakcie rozmowy przypomniał sobie materiały reklamowe, które Amiens zwinął na targach i schował do teczki. Amunicja do bitwy. Alee też nie był zachwycony, kiedy usłyszał o całej historii.

— Trzy miliony! Chryste Panie! Przecież musi istnieć jakaś granica.

— Ale nie teraz...

Trwająca pół godziny rozmowa, podczas której Pohl nerwowo przebierał palcami i zaciskał dłonie, zakończyła się bez konkluzji. Alee nie był przekonany.

Tom czuł się zmęczony. Spojrzał znużonym wzrokiem na Pohla. — O której odlatuje samolot do Vancouver?

— Chcesz, bym sprawdził? — Pohl sięgnął po słuchawkę.

Tom kiwnął głową. Zostawił Pohla w salonie, a sam poszedł wyciągnąć się na łóżku w sypialni.

Myśli kotłowały mu się w głowie. Amiens ma rację. Trzy miliony plus kapitał obrotowy to razem sześć.

407

Awantura będzie potworna. Ale teraz był właściwy moment, który j się nie powtórzy. Pohl go wyczuł. Tom był tego pewny. Apple j wychodziło na prostą. Niedługo stanie na nogach, a sześć milionów pestka...

— Jeden lot jest o czwartej, a drugi o szóstej — oznajmił Pohl] stając w drzwiach. — Czas przelotu: trzy godziny.

Tom podjął decyzję. — Zarezerwuj mi miejsce na wcześniejszy lot

Zaczekaj... — zawołał widząc rozczarowanie na twarzy Pohla. _

Jestem przekonany, że należy kupić Apple'a. Ale dziś nie ma sensu spotykać się z nimi. Teraz, po targach, ci chłopcy wpadną w euforię. Będą się cenić. Może nawet nie zechcą sprzedać firmy, jeśli uznają, że zrobili furorę. Dobrze myślę?

Pohl pokiwał głową.

— W Vancouver zabawię trzy dni. Tyle czasu powinno Apple'owi wystarczyć na zejście z obłoków na ziemię. Wrócę tu pod koniec tygodnia i wtedy dopiero spotkamy się z nimi. Dobrze?

Spał podczas całego lotu do Vancouver. Właściwie to drzemał, nie spał. Gdyby nie wybierał się do Amiensu, spałby pewnie lepiej. Co chwilę widział wzrokiem wyobraźni Amiensu, który wyciąga z teczki owe nieszczęsne materiały reklamowe i podtyka je pod nos Hallera. Wkrótce będzie musiało dojść do decydującego starcia. Tak dłużej trwać nie może. Te utarczki powtarzają się już zbyt często i są zbyt gwałtowne. Trzeba będzie Amiensowi powiedzieć raz na zawsze: „Zamknij się albo wynocha”. Ale tylko Maurice może mu to wygarnąć...

Zaraz po przyjeździe do hotelu zmęczony i przygnębiony Tom poszedł natychmiast spać. Zasnął w ciągu minuty. Przez kilka godzin spał jak zabity, potem zaczęły się koszmary. Twarze stawały przed nim jak żywe... U szczytu stołu siedział Maurice, na prawo od niego Hollenberg, na lewo Amiens.

Edwards i Alec po przeciwnej stronie, obok Toma. Tomowi dzwoniły w uszach słowa Amiensu: „Nie dziwiłbym się, gdyby i Alec opowiedział się przeciw tobie. On również nie wierzy w tę farsę. Nie będzie w nieskończoność popierał cię w głosowaniu”. I Alec zrobił rzecz niesłychaną.

Głosował przeciw niemu. Wszyscy podnieśli ręce i wszyscy głosowali przeciw Tomowi.

Rano, gdy brał prysznic i golił się w łazience, długo nie mógł otrząsnąć się z nocnych koszmarów. Usiłował zrationalizować ten sen, tłumacząc sobie, że za bardzo się przejął tą kłótnią z Amiensem. Kiedy jednak schodził na dół, by się spotkać ze swoimi kanadyjskimi gospodarzami, miał jakies dziwne przeczucie nadciągającej katastrofy.

408

Nic się oczywiście nie wydarzyło. Śmiał się z tego, kiedy później opowiadał o wszystkim Kirsten.

— Niedługo dojdzie, zdaje się, do tego, że zacznę korzystać z usług wróżki. Najważniejsze, że Kirsten miała się dobrze. Wyniki były pomyślne. — Idę na jeszcze jedno badanie w poniedziałek i wtedy powinniśmy już wiedzieć. — Udzieliło mu się podniecenie w jej głosie i przez cały dzień myślał tylko o niej. Cały następny dzień również. Rozmowy szły tak dobrze, że pod koniec trzeciego dnia większość spraw była już uzgodniona. Resztę pozostawił prawnikom. Dzień zakończył się dobrą kolacją, w nadziei na rychłe porozumienie. Tom poszedł spać zaraz po jedenastej, zadowolony z postępu rozmów. Myślał już o czekającym go rano wyjeździe do San Francisco.

O drugiej w nocy zadzwonił telefon.

— Tom!

Zerwał się z łóżka. — Kirsten? Co się stało?

— Głos jej drżał. — Maurice... Miał atak. Veronica sądzi, że to wylew krwi do mózgu.

Tom otrząsnął się z resztek snu. Słuchawka wydała mu się naraz bardzo zimna.

Sądząc po głosie, Kirsten była bardziej wystraszona niż zmartwiona. Veronica zadzwoniła do niej z Kariakos... Na wyspie nie ma lekarza. Gregg polecił po lekarza do Aten...

— Chryste Panie! Nie mogę w to uwierzyć! Maurice?

Kirsten lepiej to chyba zniosła niż on. Wyrwany z głębokiego snu Tom nadal nie mógł się z tym pogodzić. Maurice'owi nigdy nic się nie przytrafiło. Był niezniszczalny.

— ...Veronica wpadła w histerię, Tom. Muszę tam lecieć. Alee już czeka. Zawiezie mnie na Heathrow. W południe mam lot do Aten. Och, Tom... — głos Kirsten się załamał. — Przyjedź najszybciej jak możesz...

Był w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Po drugiej stronie kuli ziemskiej. Na niewłaściwym kontynencie. Z pomocą dyżurnego nocnego recepcjonisty usiłował wynająć prywatny samolot. Dzwonili w dziesiątki miejsc. Ale Grecja mogłaby równie dobrze znajdować się na innej planecie. — Tak — powtarzał co chwilę recepcjonista. — Grecja, Ateny, Europa. Tylko w jednym miejscu obiecano mu wynająć samolot, lecz dopiero na dzień następny po południu. — Czy to pewne? — krzyknął Tom do słuchawki. — Niestety, ale dopiero rano będziemy mogli potwierdzić. — Kiedy rano? — Oddzwonili po dziesięciu minutach. — Potwierdzimy o dziewiątej rano. — Dopiero o dziewiątej? Czy wcześniej nic nie da się

409

załatwić? Może przynajmniej mogliby go podrzucić do Londynu Paryża lub choćby Nowego Jorku.

— Przykro nam, proszę pana, ale dopiero o dziewiątej będziemy mogli dać konkretną odpowiedź.

O ósmej odlatywał z Vancouver samolot Air Canada. Po południu lądował w Toronto, w nocy przelatywał nad Biegunem Północnym i był w Atenach wcześniej rano dnia następnego. Tom zarezerwował bilet na tę trasę i zadzwonił do Constantina.

— Alec i Kirsten są już na lotnisku.

— Alec też z nią leci?

— Nie. Rozmawiałem z Dougiem Mastersem w Atenach. Będzie na nią czekał na lotnisku. Nie martw się. Zaopiekują się nią.

— Czy wiesz coś więcej o Maurisie. Co mu się stało?

Ale Constantin potrafił tylko powtórzyć to, co Tom wiedział już od Kirsten.

Minęły dwie godziny od jej telefonu.

Recepcjonista zaparzył mu kawę i przygotował grzanekę. Tom wrócił do pokoju, by się umyć i ogolić. Ciągle był w szoku. Maurice! Przecież to niemożliwe! Zawsze wyglądał tak dobrze. Tak zdrowo. Był jak jeden z tych mitycznych tytanów, który przysiadł okrakiem na ziemskim globie. Tom jechał już taksówką na lotnisko, kiedy przypomniał sobie o dziecku. Wielki Boże! Kirsten nie wolno się denerwować. Nie wolno jej też latać samolotem. Chryste Panie! Że też nie pomyślał o tym, a ona też mu o tym nie przypomniała. Powinien przecież pamiętać...

Zgłosił się do odprawy, jakiś czas czekał w hali odlotów, wsiadł na pokład Air Canada.

Funkcjonowała tylko część jego mózgu. Poruszał się jak automat, zgodnie z wykształconym przez lata odruchem.

Drażnił go monotony szum silników. Nigdy dotąd tak go nie irytowało to leniwe mruczenie. — Czy, na litość boską, te silniki nie mogłyby obracać się szybciej? Celebrował śniadanie. Wypił cztery filizanki kawy. Wielki Boże, dlaczego nie pamiętał o dziecku? Wszystko przebiegło tak szybko. Zupełnie wypadły mu z głowy zalecenia ginekologa. A powinien był pamiętać! Bardziej troskliwy mąż powinien pamiętać. Nie pozwoliby Kirsten na wyjazd z Londynu, choć to wcale, oczywiście, nie znaczyło jeszcze, że Kirsten by go posłuchała.

Zastanawiał się, gdzie ona teraz może być. Lot z Londynu do Aten trwa niecałe cztery godziny. Dzwoniła do niego o dziesiątej czasu londyńskiego. Samolot odlatywał w południe. Popatrzył na zegarek. Już wkrótce powinna wylądować w Atenach. Będzie tam późnym popołudniem. Są chyba dwie godziny różnicy czasu między Londynem a Grecją.

410

Że też nie pomyślał o dziecku! Choć to przecież nie było jeszcze dziecko. Dopiero embrion. Jajeczko.

— Proszę jeszcze o jedną kawę — powiedział.

Wyjedzie po nią Masters. Masters z Greggiem. Zajmą się nią. Pocziwe chłopisko z tego Gregga. Znali się już ładnych kilka lat... Biedny Maurice. Czy to rzeczywiście wylew? Może zawał? Gregg pewnie będzie wiedział. Powinien powiedzieć Kirsten. By ją przygotować...

Kariakos! Można żyć jak Robinson Crusoe do czasu, aż to się wydarzy. Powinni byli o tym pomyśleć. Powinni być przygotowani. Maurice już dawno powinien był zatrudnić na wyspie lekarza. Tam zawsze powinien być lekarz. Zawsze!

Alec powinien był polecieć razem z Kirsten. Nie tylko odwiedzić ją na Heathrow.

W Toronto wylądował późnym popołudniem. Pas startowy mókł w deszczu. Nisko kłębiły się szare chmury. Tom pośpieszył do poczekalni pierwszej klasy w poszukiwaniu telefonu.

Alec był w domu. — Gdzie jesteś?

— W Toronto. Mam tu półgodzinną przerwę w locie. Co nowego?

— Kirsten bezpiecznie wylądowała na miejscu.

— Wydaje mi się, że powinieneś być z nią polecieć.

— To bezcelowe. Uspokój się. Zawiozłem ją na Heathrow, a Gregg i Masters odebrali ją na lotnisku w Atenach.

— Może masz rację — zgodził się kwaśno Tom. — Czy wiesz, co nowego u Maurice'a?

— Ciągłe bez zmian. Tak w każdym razie powiedzieli Greggowi lekarze.

— Przynajmniej coś... — Tom odetchnął.

— Ale nie ma powodu do radości. Stan Maurice'a jest nadal ciężki, lekarze wolą go stamtąd nie ruszać. Dlatego pozwolili Greggowi wrócić po Kirsten do Aten.

— Czyli, że jest w stanie krytycznym?

— Tego nie powiedziałem.

— Coś przede mną ukrywasz!

— Tom, mówię ci wszystko, co wiem. Nie udało mi się dodzwonić do willi. Wiesz, jak trudno o połączenie z nimi.

Tom wiedział. Z niezrozumiałych dla niego powodów, bez trudu można było dzwonić z Kariakos, ale zatelefonowanie na wyspę zabierało kilka godzin. — No cóż — westchnął. — Robimy chyba wszystko, co można. — Przeczesał ręką włosy. — Słuchaj, zadzwoń może do Pohla...

411

— Już dzwoniłem. Przed kilkoma godzinami. A teraz uspokój się. Nie bądź taki spięty.

Głos Aleka brzmiał spokojnie. Lecz jego głos zawsze brzmi spokojnie. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, Tom sięgnął po papierosa.

— Tom... — Alec zawahał się. — Czy myślałeś nad tym, co dalej? To znaczy, gdyby nastąpiło to najgorsze... z Maurice'em. Czy zastanawiałeś się, jak będzie dalej?

Przez chwilę nie rozumiał, o czym Alec mówi. — To znaczy co? O czym ty mówisz?

— Co będzie ze Stanton Industries?

— Chryste Panie! Ależ z ciebie zimny drań! Na litość boską...

— Uspokój się. Ja tylko pytam. Wiem, że jesteście sobie bliści. Myślałem, że może kiedyś rozmawialiście o tym.

— Nie, Alec — odpowiedział chłodno Tom. — Nigdy o tym z Maurice'em nie rozmawiałem.

— Rozumiem — odparł powoli Alec. — Miejmy nadzieję, że jakoś będzie.

Tom znał ten ton jego głosu. To był ton, którym Alec zawsze obwieszczał złe wiadomości.

Wsiadając ponownie do samolotu, Tom robił obliczenia. Częściowo czuł się tym zawstydzony.

Zarzucał sobie, że jest zimnym, nieczułym draniem. Kochał Maurice'a. Maurice był dla niego jak ojciec, którego nigdy nie znał. Tom bardzo chciał, żeby Maurice żył. Żeby mógł go zastać tak żywotnym i pełnym wigoru, jak zawsze. By Maurice śmiejąc się mógł mu powiedzieć, iż wie, jak bardzo go wystraszył.

Ale gdyby...

Stanton Industries miało sześciu udziałowców. Kiedy fuzja została sfinalizowana, Pohl, Edwards i Yvonne mieli po pięć procent udziałów. Haller tyle samo. Pozostałe osiemdziesiąt procent znajdowało się w rękach Maurice'a. Ale od tamtej pory wiele się zmieniło. Hojność Maurice'a w nagradzaniu dyrektorów częścią majątku firmy sprawiła, że Tom mógł zamienić wszystkie swoje premie na udziały. Teraz miał jedenaście procent. Yvonne, idąc za radą męża, również zamieniała wszystko na udziały, dorównując teraz Tomowi pod względem posiadanej puli. Edwards zwiększył stan posiadania do siedmiu procent, a Haller do sześciu. Jedynie Pohl, który zawsze okazywał pogardę dla spraw finansowych, posiadał tyle samo udziałów, ile miał na początku. Maurice był właścicielem sześćdziesięciu procent udziałów.

Co Maurice zamierzał zrobić ze swoimi udziałami? Czy zostawi całą fortunę Veronice?

Prawdopodobnie zapisał jej nieruchomości

412

j pieniądze. Ale udziały w firmie? Veronica nie interesuje się biznesem, poza tym ma też własny majątek.

Nie było chyba powodów złowieszczych tonu Aleka. Lecz Alec zawsze na wszystko patrzył od najgorszej strony.

Cokolwiek się wydarzy, trzeba żywić nadzieję, że Maurice to przeżyje. A wówczas nie będzie wątpliwości, że zadba o Kirsten w godzinę śmierci, jak dbał o nią za życia. Nie widzi przecież świata poza nią.

Tom wyzbył się więc obaw. Kirsten stanie się prawdopodobnie bogata i tyle. Nic więcej się nie zmieni. Był pewny, że nadal będą z sobą, jak do tej pory, szczególnie jeśli założą rodzinę. Kirsten kocha dom i cieszy ją dotychczasowe życie.

Tom był zmęczony. Pół nocy nie spał i cały dzień był w powietrzu. Teraz znów zapadała noc. Czuł, że go ogarnia senność. Przestał myśleć o Aleku. Zdrzemnął się...

— Przepraszam, czy ma pan ochotę na drinka? — zapytała go stewardesa. — Zaraz będziemy podawać kolację.

Zamówił szkocką. Zjadł posiłek. Wypił jeszcze jedną whisky. Starał się sobie wyobrazić tonący w ciemnościach Biegun Północny, nad którym właśnie przelatowali. Wyjął z teczki egzemplarz *The Crash of 79*, ale nawet Paul Erdman nie potrafił oderwać jego myśli.

Stan Maurice'a nie pogorszył się. To wiadomość dobra. Pierwszy stopień do wyzdrowienia.

Wystarczy choćby przypomnieć sobie Constantina. Kirsten go pielęgnowała...

Jest już na wyspie. Przed kilkoma godzinami tam wylądowała. Maurice na pewno się ucieszył jej przybyciem.

Co Maurice zrobi ze swoimi udziałami? Tom dobrze znał Maurice'a. Prawdopodobnie on jeden znał go najlepiej ze wszystkich ludzi na świecie. Maurice zawsze był sprawiedliwy. Do czegokolwiek się brał, zawsze można było liczyć, że wykona to sprawiedliwie. Sprawiedliwość była jego życiową dewizą.

Co człowiek sprawiedliwy zrobiłby ze swoimi udziałami? Maurice z pewnością nie będzie się kierował bezsensownymi uprzedzeniami. Na pewno nie zachowa się tak, jak ta stara wiedźma

matka Kirsten.

Maurice podzieli prawdopodobnie udziały po połowie między Kirsten a Roddy'ego. Tak z pewnością postąpi. Byłoby to sprawiedliwe. Ten podział wydawał się oczywisty. Urodzony szczęściarz z Roddy'ego. Dywidendy uczynią go bogatym. Hugo bez wątpienia włada tę forszę w swoje marne filmy, no ale to już zmartwienie Roddy'ego...

Nagle Tom zrozumiał. Zrozumiał, co niepokoi Aleka.

A gdyby tak....

413

Większość pasażerów spała. Albo usiłowała zasnąć. Światła bvh> przyćmione.

Tom zapalił małą lampkę nad głową i dał znak stewardesie Czy mógłbym prosić o jeszcze jedną kawę? I jeszcze jedną whisky?

Gdyby Maurice zostawił Kirsten trzydzieści procent udziałów, to razem z jedenastoma procentami Toma mieliby wspólnie czterdzieści jeden procent. Zostaliby więc największymi udziałowcami. Amiensowi z pewnością to by się nie spodobało. Nie mając już ochrony Maurice'a, poczułby się zagrożony. Po raz pierwszy Tom mógłby mu powiedzieć: „Rób, co mówię, albo wynocha”. Amiens będzie potrzebował następnego obrońcy. Roddy'ego! Amiens na pewno schroni się pod skrzydła Roddy'ego.

Nagle Tom poczuł, że oblewa go zimny pot. Gdyby Roddy ze swoimi trzydziestoma procentami głosował razem z jedenastoma procentami Yvonne, to Amiens dysponowałby czterdziestoma jeden procentami. Dokładnie tyloma, ile miałyby Kirsten wraz z Tomem.

Sytuacja patowa.

Zadecyduje reszta. Na Carlu Pohlu mógł polegać. On ze swoimi pięcioma procentami będzie głosował za Tomem i Kirsten. To daje im w sumie czterdzieści sześć procent.

Ale Edwards przejdzie na stronę Amiensa. A Edwards ma siedem procent. A więc Amiens miałby czterdzieści osiem procent.

— Rany boskie!

— Słucham? — Stewardesa, która przyniosła mu drinka, spojrzała na niego zdumiona.

Tom popatrzył na nią tępo. — Proszę mi przynieść całą butelkę!

— Przykro mi, proszę pana, ale mamy tylko miniaturki. Mogę jednak przynieść panu jeszcze jedną. Obrzucił ją niewidzącym spojrzeniem.

— Czy dobrze się pan czuje?

— Co? Tak, tak. Dziękuję.

A więc decydujący głos miałby Günther. Jego sześć procent przeważyłyby szalę. To Günther kontrolowałby Stanton Industries. Przypomniało mu się, co Amiens krzyczał w San Francisco: „Mam już tego dość. Haller i Desmond też już mają tego powyżej uszu!”

Była to prawda. Günther wielokrotnie wyrażał swoje zaniepokojenie kosztami utrzymania ośrodka. Günther jest bankierem. Nie lubi ryzyka, a dalsze inwestowanie w komputery osobiste uważa za ryzykowne.

Coraz bardziej przerażające myśli nasuwały się Tomowi. Günther

414

jjjjł łatwe wyjście z sytuacji. Mógł powiedzieć, że jako dyrektor nie należący do zarządu, czuje się zobowiązany poprzeć w głosowaniu większość. To znaczy Amiensa.

Podnosząc filiżankę z kawą Tom spostrzegł, że drżą mu ręce. Nie miał żadnego alternatywnego scenariusza. Jeśli Maurice podzielił udziały sprawiedliwie, to znaczy równo dla Kirsten i Roddy'ego, to sprawy będą musiały przybrać najgorszy obrót. I wtedy nie będzie chodziło tylko o komputery osobiste. Wszystkie wnioski poddane zostaną głosowaniu. Skończy się Toma szefowanie radzie dyrektorów.

Tyle lat pracy... Przypomniał mu się nagle dzień, kiedy dowiedział się, że Brierleyowie sprzedali Boltona. Jak dawno to było! Chwycił Brierleya za kłapy lewą ręką, a prawą mu przyłożył.

Alec wyczuwa niebezpieczeństwo. Alec ma nosa do interesów. Tom był śmiertelnie zmęczony.

Całkowicie wyczerpany. Ale nie wolno mu zasnąć. Jego mózg, jak u zwierzęcia w potrzasku, rozpaczliwie szukał wyjścia... Jedynym rozwiązaniem jest Roddy.

Roddy roześmieje mu się w twarz. Roddy wie, że nim pogardza. W ciągu tych pięciu lat dał mu to jednoznacznie do zrozumienia. Roddy znenawidził go za to.

Na zewnątrz było już jasno. Niebieskie niebo. Obsługa zaczęła podawać śniadanie. Zjadł bułkę i napił się kawy. Zapalił papierosa.

Patrząc niewidzącym wzrokiem w okno uzmysłowił sobie, że wśród milionów myśli, jakie w ciągu tych lat poświęcił Stanton Industries, jedna mu umknęła. Że Maurice kiedyś umrze.

W dole leżała Grecja. Pomyślał o Melindzie i Constantinie. Con odmówił przyjęcia kilku prestiżowych posad, kiedy wrócił do Grecji, by wziąć udział w procesach pułkowników. Nowy rząd bardzo chciał go zwerbować do pracy.

Zywił jednak nadzieję, że te propozycje nadal będą aktualne. Amiens na pewno go nie zatrzyma. Constantin odejdzie. Alec odejdzie. Pohl odejdzie. Amiens pozbędzie się wszystkich, którzy byli lojalni wobec Toma Lamberta.

Umył się w zimnej wodzie. Trochę go to odświeżyło fizycznie, ale psychicznie nadal pozostał przygaszony.

— Podajemy czas lokalny: dziesiąta czterdzieści pięć — oznajmił przez interkom steward. — Jak panie i panowie widzą, mamy piękny poranek. Prosimy o zapięcie pasów bezpieczeństwa. Za pięć minut lądujemy w Atenach.

415

Doug Masters czekał przy wejściu w hali przylotów. Każda zmarszczka na jego twarzy głosiła złe wieści. Obawy Toma pogłębił, się, gdy tylko go zobaczył.

— Pan pozwoli, wezmę pana neseser, panie Lambert.

— Jak sytuacja?

Pilot unikał wzroku Toma. — Zarezerwowałem stolik w barze Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Tom złapał go za rękę. — Co z Maurice'em?

Masters zawahał się. — Obawiam się, że musi się pan przygotować na najgorsze.

Tom zaczerpnął głęboko powietrza. Czuł, że coś ściska mu żołądek. Maurice umiera. Myśli i obawy, jakie trapiły go podczas podróży, okazały się niczym w porównaniu z rzeczywistością. Szedł za Mastersem jak w transie. Oczy miał czerwone z niewyspania. Pilot zaprowadził go do baru, gdzie kelner już stał na straży stolika. Masters wsunął mu w rękę banknot i odprawił. Tom popatrzył na stół: stała na nim pełna butelka szkockiej, lód w wiaderku i dwie szklanki.

— Ja dzisiaj nie prowadzę — powiedział Masters, zapraszając Toma ruchem ręki, by usiadł.

— Przecież nie możemy tu tracić czasu, skoro...

— On nie żyje, panie Lambert. Maurice Stanton zmarł.

— O Boże! — Tom chwycił się rękoma za gardło. Gorące łzy napłynęły mu do oczu. Szok pozbawił go na chwilę tchu. Wciągnął powietrze w płuca, raz, drugi, trzeci, oddychając coraz głębiej, by dojść do siebie.

Jęknął z bólu i poczucia winy. — O Boże! Staralem się tu przybyć najszybciej, jak mogłem...

— Proszę — Masters podsunął mu szklankę z whisky. — Nie wiedziałem, jak zacząć...

Pierwszą rzeczą było uwierzyć w tę wiadomość. Uwierzyć, że Maurice Stanton nie żyje. Już się nie roześmieje na widok Toma, nie poklepie go po plecach, nie uśmiechnie się do niego przyjaźnie.

Tom poczuł się nagle bardzo samotny.

— Kirsten! — Jej imię wyrwało mu się nagle z ust. Podniósł wilgotne od łez oczy. — To ją zniszczy. Będzie...

— Nic jej nie jest — powiedział szybko Masters. — Gregg poleciał po nią na Kariakos.

Dopiero po trzech czy czterech minutach, kiedy odzyskał zdolność normalnego myślenia, a oddech mu się nieco uspokoił, Tom zaczął zadawać pytania. — A co z Veroniką? Czy Kirsten jest z nią?

416

— Pani Taubman jest teraz w Hiltonie. Zarezerwowałem kilka pokoi. Nie bardzo wiedziałem...
— Jest tutaj? W Atenach? Nie na wyspie?
— Niech mi pan pozwoli wyjaśnić, panie Lambert. Gregg zawiózł tam szybko lekarzy i chyba z tortę sprzętu. Lekarze uznali, że nie należy pana Stantoną stamtąd ruszać.
— To wiem, ale...
— Panie Lambert — przerwał mu Masters. Wyglądał na bardzo zmęczonego i przygnębionego.
— Przepraszam.
— Otrzymałem wiadomość, że przylatuje pani Lambert, więc czekałem tu na nią. A zza barierki wychynał pan Amiens.
— Amiens był tutaj?
— Wczoraj po południu. Przyleciał z Genewy. Nie słyszał nic o panu Stantonie, więc mu powiedziałem, jak się rzeczy mają. — Masters pokiwał głową. — Wyglądał na bardzo wzburzonego, gdy go zobaczyłem. Kiedy usłyszał to Wszystko, stał się jeszcze bardziej niespokojny. Chciał natychmiast lecieć na Kariakos, ale wyjaśniłem mu, że za pół godziny ma przylecieć pana żona, więc usiedliśmy i czekaliśmy na nią.
— A to drań! — Tom zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Na pewno zdążył się już poskarżyć Hallerowi w Genewie, a teraz przyleciał tu, by pokrzyżować szyki u Maurice'a. — Jeśli to jego zachowanie wpłynęło na pogorszenie się stanu Maurice'a, zabiję go.
Masters potrząsnął głową. — Gregg zawiózł go na wyspę razem z pana żoną. Pan Stanton doznał rozległego zawału serca na chwilę przed ich przybyciem. Był już nieprzytomny. Leżał na noszach, z maską tlenową na twarzy. Obok stały butle z tlenem i cały sprzęt medyczny. Jediną szansą było natychmiastowe przewiezienie go do szpitala.
Tom jęknął. Pocierając ręką twarz wyobraził sobie, jak trudno było nieść nosze po spadzistej ścieżce nad urwiskiem.
Gregg powiedział, że ludzie z wioski zachowywali się fantastycznie. Dosłownie wszyscy pomagali. Bardzo szanowali pana Stantoną. — Kiedy Masters podniósł wzrok, łzy świeciły mu w oczach. Odchrząknął. — Wydaje mi się, że każdy, kto się zetknął z panem Stantonem, darzył go szacunkiem. Nie będzie już drugiego takiego jak on.
Ze ściśniętym gardłem Tom zgodził się z Mastersem. — Nie będzie takiego drugiego, Doug, nie będzie — powtórzył cicho.
Masters wytarł nos, zaciągnął się papierosem, odkaszlnął i mówił

Zemsta

417

dalej: — Gregg wyrzucił tylne siedzenia i wciągnęli pana Stantoną na pokład. Pani Taubman ani na chwilę nie opuszczała noszy. Grego namawiał ją, by została z pana żoną, ale się nie zgodziła. W pełni ją rozumiem. I nie dziwię się, że Gregg, mając już na pokładzie lekarzy i butle z tlenem, wolałby ją zostawić. — Wzruszył ramionami. — ja w tym czasie czekałem z ambulansem w Passalimani. Postawiłem w stan pogotowia szpital. — Twarz Mastersa wykrzywił ból. — Niech mi pan wierzy, panie Lambert, uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy
— Wierzę.
— Pan Stanton umarł w drodze. Kiedy go przywieźli, był już martwy.
Tom napił się drinka i milczał.
Masters ciągnął dalej: — Zawieźliśmy go do szpitala. Jest tam teraz w kostnicy. Jeden z lekarzy wrócił z nami. Zaaplikował pani Taubman środki uspokajające. Wynająłem pielęgniarkę, by z nią została. Nadal z nią jest... — Masters zaciągnął się papierosem. — Było już wtedy około jedenastej. Rzuciliśmy się z Greggiem do telefonów. Zadzwoniliśmy do pana Hallera w Genewie i pana Aleka w Londynie. Od niego dowiedzieliśmy się, kiedy pan przylatuje. Nie było już sensu wracać na Kariakos. Zalecielibyśmy tam dopiero na pierwszą w nocy. Gregg ledwo trzymał się na nogach, a ja też nie czułem się lepiej. I tak nic już nie dało się zrobić.

— Rozumiem — powiedział cicho Tom.

Wyraz ulgi pojawił się na twarzy Mastersa. — Gregg wprost z Kariakos przywiezie panią Lambert do Hiltona. Już wkrótce powinni tam być. Zarezerwowałem sześć pokoi. Nie wiedziałem, ile będzie trzeba, ale wolałem się zabezpieczyć. Potem przyjechałem tutaj i czekałem na pana. — Ulgę, którą widać było w jego oczach, dało się słyszeć również w jego głosie. — Myślę, że teraz już pan się wszystkim zajmie.

Tom kiwnął głową i odparł znużonym bezsennością i zmartwieniem głosem: — Tak, Doug, teraz ja się wszystkim zajmę.

Roddy wmaszerował do Hiltona jak mały Hitler. Rozpierany chęcią wywołania awantury, podszedł do Toma. — Nie masz prawa niczego tu organizować. To są sprawy rodzinne i ty nie masz tu nic do roboty.

Tom odszedł, nie chcąc go uderzyć. Ale zrobił to później. Stało się to jeszcze tego samego wieczoru. Kirsten znajdowała się w swoim pokoju i była tak roztrzęsiona, że Tom nie potrafił J
418

uspokoić. Myślał, że zechce, by ją przytulił, podzielił z nią ból. Sądził, że potrzebuje jego wsparcia w tych trudnych chwilach. Ale Kirsten go odtrąciła. Całe popołudnie starał się ukoić jej żal, ale smutek zapadł w nią tak głęboko, że nie miał do niej dostępu. Nie chciała go widzieć. Łkając w poduszkę, wołała. — Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

Szukając pielęgniarki Tom udał się do pokoju Veroniki. Otworzyła mu drzwi sama Veronica. Choć oczy miała podkrążone, a twarz bladą jak ściana, bardziej nad sobą panowała, niż przypuszczał. Co prawda, na jego widok miała ochotę wybuchnąć płaczem, lecz uroniła tylko kilka łez, kiedy ją uściskał. Wyglądała na pogodzoną z losem. Pielęgniarkę zwolniła. — Po co mi pielęgniarka w moim wieku? — Pociągnęła nosem. Jej pierwszym pytaniem było: — Gdzie Kirsten? — Gdy powiedział, że jest tuż obok, rzekła: — Chodźmy do niej. W takiej chwili powinniśmy być razem. Ale Kirsten wolała być sama. Siedli po obu stronach jej łóżka i starali się ją uspokoić. Bez rezultatu. Stan, w jakim znajdowała się Kirsten, graniczył z histerią. — Powinieneś tam być przy nim! — rzuciła mu w twarz i zaraz zakryła sobie głowę poduszką.

Po dwudziestu minutach Veronica poszła do swojego pokoju. Wróciła z jakąś białą pastylką. — To środek nasenny — powiedziała do Toma. — Wczoraj dzięki niemu usnęłam.

Po chwili wyszła z łazienki, mieszając proszek w szklance wody. Kirsten zerwała się z łóżka i wytrąciła jej naczynie z ręki. — Wynoś się z tym! — krzyknęła. — Wynoś się!

Była to scena, której Tom nie potrafił zapomnieć. Nawet jeśli przyjąć, że Kirsten działała pod wpływem dużego szoku, to jednak jej zachowanie wydawało się zupełnie niedorzeczne. Wyglądało, że winą za śmierć Maurice'a chce obarczyć Toma. Jego wyjaśnienia, że przebył Pół świata, by tu dotrzeć, dołały tylko oliwy do ognia. W końcu udało im się jakoś uspokoić Kirsten. Było to zasługą Veroniki, która odesłała Toma do swojego apartamentu.

Po półgodzinie dołączyła do niego. Wyglądała na wyczerpaną. — Trochę się uspokoiła. Myślę, że niebawem zaśnie. Nie martw się. To tylko szok. Ja też się zupełnie wczoraj rozkleiłam.

To, że musiała się kimś zająć, pomogło Veronice szybciej dojść do siebie. — Maurice nie byłby tym zachwycony — powiedziała po chwili. — Wyglądamy jak rozbitkowie po morskiej katastrofie. Nic nie Jadłam od trzydziestu sześciu godzin i cały dzień nie wychodzę z tego Pokoju. Zabierz mnie na jakąś kolację. Wydaje mi się, że Maurice by to Pochwalił.

Chciała wyjść z hotelu, zaczerpnąć świeżego powietrza. — Chodźmy

419

na plac Konstytucji. To niedaleko stąd. Zjemy tam coś w której' z kafejek. — Nie miała żadnych rzeczy, prócz tego, co na sobie-granatowa sukienka, pomięta i poplamiona po podróży. Kiedy sje umyła i uczesała, od razu poczuła się lepiej.

Sprawdzili jeszcze przed wyjściem, co z Kirsten. Jak przypuszczała Veronica, Kirsten mocno spała. Veronica ścisnęła Toma za rękę. Jutro będzie już miała najgorsze za sobą. Zacznie się godzić z tym, co się stało.

Tom zatrzymał się przy recepcji, by wymienić kanadyjskie dolary na greckie drachmy. Właśnie chował pieniądze do kieszeni, gdy w drzwiach hotelu pojawił się Roddy z Hugonem. Veronica jakby wyczuła, że zaraz wydarzy się coś przykrego, bo zatrzymała się w napięciu widząc, że Roddy zbliża się do niej. — O, Veronica! — zawołał. — Mam nadzieję, że za pobyt tutaj płacisz z własnej kieszeni. Wystarczająco długo patrzyłem, jak wyciągasz od ojca pieniądze, bym musiał nadal to tolerować.

Tom chwycił Roddy'ego za kołnierz i pchnął go na ścianę. W następnej chwili grzmotnął go pięścią w twarz. Hugo coś krzyknął, lecz uciekł, gdy Tom odwrócił się do niego. Roddy z krwawiącym nosem wyrwał się z uścisku Toma.

— Tom! — krzyknęła Veronica odciągając go w stronę drzwi. — Daj już spokój! Chodź!

Trzęsąc się z gniewu znalazł się na ulicy. Veronica ujęła go mocno pod ramię i skierowała w lewo. Sama też drżała ze zdenerwowania. — Boże! Co to za bydlak!

Spacer uśmierzył trochę ich wzburzenie. Kiedy dotarli do placu Konstytucji, już się uspokoili.

Veronica jadła niechętnie, ale sporo piła. Odczuwała teraz potrzebę mówienia. Mówiła, oczywiście, o Mau-risie. Chwilami w jej oczach ukazywały się łzy, głos jej się łamał, ale starała się panować nad sobą.

Do hotelu wrócili taksówką. Tom czuł się zgnębiony i otepiały-Brak snu dawał znać o sobie. — No i dobrze — stwierdziła Veronica. — Ty się dziś solidnie wyśpij, a jutro Kirsten najgorsze będzie miała już za sobą.

Tom doszedł do wniosku, że Veronica wyciągnęła go na tę kolację umyślnie, bardziej ze względu na niego niż na siebie.

W holu hotelu czekał już na nich Gunther Haller. Najstarszy przyjaciel Maurice'a wyglądał teraz na starca. Ten potężnie zbudowany mężczyzna bliski był omdlenia. Wstał i wyszedł im na spotkanie, podając Tomowi rękę i całując Veronikę w policzek.

— Przyjechałeś przejąć obowiązki? — zapytała Veronica.

420

Gunther, zarządca masy spadkowej, pokiwał ponuro głową. — Jej tak to chcesz ująć — westchnął.

— Choć miałem nadzieję, że ten obowiązek zostanie mi oszczędzony.

— To było życzenie Maurice'a — powiedziała Veronica — a n znał się na ludziach.

— Znał się również na kobietach — odparł szarmancko Gunther. Iskierki pojawiły się w oczach Veroniki. — No cóż, praktyka

Niech Bóg ma teraz w opiece wszystkie cnotliwe aniołki w niebie. Czeka je nie lada pokusa.

Długi dzień zakończył się tak, jak pewnie chciałby tego Maurice, —

uśmiechem, a nie łzami. Lecz jeszcze wiele łez miało się polać.

Kiedy lądowali w Genewie, cały świat już wiedział, że Maurice Stanton nie żyje. Prasa podchwyciła tę wiadomość. CHA(§ W STANTON INDUSTRIES głosił nagłówek w „Financial mesie”. Lokalna prasa pisała w podobnym tonie: „Mnożą spekulacje, że Stanton Industries, imperium maszyn biurowych z centralą w Szwajcarii, którym zachwiała nagła śmierć jego założyciela, Maurice'a Stantona, może zostać wystawione na sprzedaż”.

Przechodzącego przez halę przylotów na lotnisku Toma obstapijj dziennikarze. — To nie jest czas ani miejsce na rozmowy o biznesie. — odprawił ich.

Jeszcze więcej dziennikarzy i fotoreporterów czekało na nich przed hotelem Stanton. Veronica i Kirsten, zmęczone i zestresowane, ukryły się w swoich pokojach.

Tom poszedł do biblioteki i zadzwonił do Aleka w Londynie.

Aleka też oblegali dziennikarze. — Co pięć minut dzwonią do nas z innej gazety. Musimy im coś powiedzieć.

— Na przykład co? Nie możemy im nic powiedzieć, dopóki się nie dowiemy, jak Maurice rozdysponował swoje udziały.

— Gunther ci nie powiedział? On jest zarządcą masy spadkowej. Przecież musi wiedzieć!

— Jeśli nawet wie, to trzyma to dla siebie. Wczoraj ani słowem o tym nie napomknął.

— A pytałeś go?

— Na litość boską! — jęknął znużonym głosem Tom. — Jesteśmy ledwo żywi. Gdyby mi chciał powiedzieć, to...

— Będziesz go musiał spytać.

— Nie — odpowiedział twardo Tom. — Do tego się nie posunę

421

To kwestia uszanowania woli Maurice'a. Będziemy musieli zaczekać aż go pochowają.

Ale zamilkł, a po chwili dodał: — Czy Maurice nigdy nie napomknął o tym, jak zamierza podzielić swoje udziały?

— Mnie nie.

— A może mówił coś Roddy'emu albo Kirsten? Oni też nic nie wiedzą? Nie mógłbyś ich zapytać?

— Chyba nie mówisz serio! Jak mógłbym pytać o to Roddy'ego? —

odparł oschle Tom.

Najpierw doszło do tej scysji w Hiltonie, a potem rozegrała się jeszcze jedna żenująca scena, zanim odlecieli z Aten. Roddy sądził, że zatrzyma się w ch?teau po przyjeździe do Genewy, ale Gunther zarządził inaczej.

— Dlaczego? — wściekał się Roddy. — Wychowywałem się tam razem z Kirsten!

— Ale Gunther był nieprzejednany. — To ja otrzymałem pełnomocnictwo do załatwiania wszelkich formalności. Tobie i Hugonowi zarezerwowałem pokój w hotelu Bristol.

Ale jęknął: — Rzeczywiście dałeś mi w twarz? O kurczę! No to możemy się pożegnać z jego poparciem.

— Nigdy nie mogłem na nie liczyć.

— Możliwe, ale i tak wybrałeś najgorszy moment z możliwych, by mi o tym przypomnieć.

Tom poszedł do kuchni, by zaparzyć kawę, a następnie zadzwonił do Robinsonów. Maurice często mawiał o nich żartobliwie: szwajcarscy Robinsonowie. Było to angielskie małżeństwo, które Maurice zaangażował, kiedy ch?teau ponownie powrócił do niego.

Budynek przeszedł gruntowną renowację. Prezentował się teraz o wiele lepiej niż przed pięcioma laty. Stał się dla Maurice'a domem w Genewie, z którego często korzystali też Tom i Kirsten, jak również Veronica podczas pobytów w tym mieście. Nie było potrzeby zatrudniać na stałe dozoru. Pani Robinson przychodziła co dzień rano na kilka godzin, by posprzątać, a podczas pobytu gospodarzy przyrządzała im posiłki i wraz mężem usługiwała.

Telefon odebrała pani Robinson. Czytała już o smutnym wydarzeniu w prasie. Tom podziękował jej za kondolencje i poinformował, że przez kilka najbliższych dni będą we troje przebywać w rezydencji—Gdy skończył, do pokoju weszła Veronica. — Kazałem przygotować dziś kolację na miejscu. Nie sądzę, byś miała ochotę wychodzić.

Poczęstował ją kawą. Zastanawiał się, czy Maurice mówił jej, że zamierza rozdysonować udziały. Miał ochotę zapytać ją o to, słowa uwięzły mu w gardle.

422

— Gdzie Kirsten? — spytała.

— Nadal u siebie na górze — odparł. — Właśnie zamierzałem zanieść jej kawę.

— Wyglądała dziś rano okropnie. Nie odzyw-ała się do nikogo w samolocie. Obiadu nawet nie tknęła. — Veronica spojrzała na Toma. — Czy ona w ogóle coś jadła?

Potrząsnął przecząco głową. Kirsten zupełnie za*-nknęła w SOD'e—Już nie płakała, ale też nie odzywała się ni słowem. Kiedy do niej mówił, patrzyła na niego z pełnym brakiem zain*eresOvvar"a'

— Ona musi coś przełknąć — powiedziała Ver>nic;i.

Tom znalazł jakieś herbatniki i zaniósł je Kirsten razem z kawą. Pokój pogrążony był w półmroku. Kotary w oknach były zaciągnięte. Kirsten, całkiem ubrana, leżała wyciągnięta na łózkj i patrzyła w sufit.

— Jak się czujesz? — zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, odwróciła się do niego plecarr" ' rozplakała się, wcisnąwszy głowę w

poduszkę.

Trwało to przez dwa następne dni. Zdawać się n\0głc>, że nic z tego, co mówi Tom, do niej nie dociera. Pograżona w bzdenJ rozpaczy, dręczona wyrzutami sumienia, torpedowała wszelkie Je8° w.y.s'|kî zbliżenia. Błagał ją: — Pozwól mi wezwać lekarza. Zapisze ci ->akieś środki uspokajające, pomoże przetrwać do czasu Pogrzeb" ---

— Nie chcę lekarza! — krzyknęła.

Nie opuszczała sypialni. To była teraz jej sypjajiiia, a nie ich wspólna, jak dotychczas. Poprosiła go, by wyniósł sW°Je rzeczy °-o innego pomieszczenia. Od czasu spotkania w ateńskim H"tonie nawet się nie uścisnęli.

— Czy to z powodu dziecka? — zapytał. — Jeśli trzeba, sprowadzimy z Londynu twojego ginekologa.

Zerwała się z łóżka. — Nie jestem w ciąży. Nie r0zurnieszJ0 były tylko testy. Gdybym była w ciąży, kazałabym dziecko uunc' Przez cały poprzedni rok chciała mieć dziecko. icn ciec}0-

— To nie ta sama Kirsten — wyznał Tom Veronica mimo 1Z m6 zamierzał jej o tym mówić, by nie obciążać jej sw0imi problemami. Veronica choć przeżywała wszystko boleśnie, trzyn\ala s'e dzielnie.

— Zapominasz — powiedziała ze smutkiem. — Ja przez to wszystko już przechodziłam.

Rzeczywiście zapomniał, że jest wdową. — Pogrz*3 to ostatnie Pożegnanie — powiedziała. — Bądź cierpliwy. Mus'c'e przez to Przebrnąć, a potem ona wróci do ciebie.

Tymczasem Alee wydzwaniał niemal co pięć minut, by się dowiedzieć, czy Tom wie coś nowego o podziale udziałów M-urice a'

423

W dniu, w którym miał się odbyć pogrzeb, Tom stoczył walkę ze swoimi nerwami. Nagle zdarzył się cud. Kirsten jakby zaczęła do niego wracać. Kiedy wszedł do jej pokoju, wyglądała pogodniej. Nie miała już tak udręczonych oczu. Zjadła lekkie śniadanie i zaczęła się przygotowywać do pogrzebu. Siedziała przy toalecie i czesała włosy. Miała na sobie czarną bluzkę i czarną spódnicę. Na łóżku leżał jej czarny żakiet.

Usiadł na krześle i zapytał: — Jak spałaś?

— Dobrze — powiedziała, odwracając się do niego. Oczy miała mocno podkrążone. Cięż znajomego uśmiechu musnął jej usta. —Przepraszam — powiedziała. — Wiem, że zachowywałam się okropnie.

Tom zerwał się z krzesła i zrobił krok w jej stronę.

— Nie! — rzuciła szybko. — Nadal mam ogromny mętlik w głowie. Muszę mieć czas, by to wszystko przemyśleć. Muszę jakoś przetrwać ten... ranek, a potem chyba na kilka dni wyjadę. Poczul tak wielką ulgę, że Kirsten znów odzywa się do niego, że nie zastanawiając się zbyt, powiedział, co mu ślina na język przyniosła: — Pojedziemy na Kariakos. Powiem Dougowi... — Urwał, widząc przerażenie na jej twarzy.

— Tam nie pojedę. Nigdy więcej!

Patrząc na nią, przeklinał w duchu swoją niezręczność. Powinien był o tym pomyśleć. Kariakos będzie już na zawsze kojarzyła się Kirsten z chwilą, gdy ostatni raz widziała żywego Maurice'a.

— Nie. — Głos Kirsten stał się naraz bardzo chłodny. — Potrzebuję trochę czasu tylko dla siebie.

— Dobrze — zgodził się. — No cóż...

— Co będziesz robił? To znaczy, jakie masz plany na jutro? Chciał porozmawiać z nią o udziałach. Chciał jej powiedzieć:

„Jeżeli Maurice podzielił udziały równo między ciebie i Roddy'ego, może to oznaczać koniec mojej kariery w Stanton Industries". Ale wyraz twarzy Kirsten zmroził go. Czul, że znowu ją traci. Miała wzrok zaszczutego, wystraszonego zwierzęcia. Szybko odpowiedział: — Myślę, że wrócę do Londynu. Alec i Constantin przyjechali tu tylko na pogrzeb. Powinienem wrócić z nimi.

— W takim razie ja tu zostanę.

— Ale...

— Na kilka dni — głos Kirsten znów brzmiał cieplej.

Czuł, że ta ich rozmowa zaczyna przypominać chodzenie po linie. Jedno niewłaściwe słowo i Kirsten znów wpadnie w depresję. Czekał ją jeszcze pogrzeb. A potem odczytanie testamentu. — Skoro tego sobie życzysz... — powiedział z wolna. — Veronica wyjeżdża jutro.

424

— Poradzę sobie.

— Pani Robinson mogłaby ci wieczorem przyrządzić coś do jedzenia.

Kirsten kiwnęła głową.

Tom z uwagą śledził wyraz jej twarzy. — W takim razie, jeśli myślisz, że dasz sobie radę...

— Potrzeba mi czasu, by wszystko przemyśleć.

— Przyjadę, oczywiście, na weekend — rzekł pogodnie. Chciał jeszcze coś dodać, ale dostrzegł w jej oczach powracającą falę przygnębienia. — No, to jesteśmy umówieni — uśmiechnął się.

Podniósł żakiet z łóżka i podał go Kirsten. — Powinniśmy już chyba iść.

Kirsten wstała, odwróciła się do niego plecami i wsunęła ręce w rękawy. Tom, nie wypuszczając jeszcze żakietu, obserwował swoje i Kirsten odbicie w lustrze. Jego twarz znajdowała się nad ramieniem żony. Kirsten dotknęła jego dłoni. W jej oczach załśniły łzy. — Przepraszam, Tom — szepnęła.

Uścisnął lekko jej rękę i pocałował ją delikatnie w kark. — Nie masz za co przepraszać. Wszystkim nam będzie go brakować. Ale on nie chciałby, byś ty była nieszczęśliwa. Wszystko się jakoś ułoży, wierz mi.

Ciągły strach, który od czasu gdy spotkali się w Atenach, wciąż tlił się w głębi duszy Toma, zaczął ustępować. Doznał ogromnej ulgi. Veronica miała rację. Kirsten wracała do niego.

Zebraли się tam wszyscy. Był Edwards. Pohl przyleciał ze Stanów. Alec i Constantin przybyli z Londynu. Bill Rodgers, który kierował australijską filią Stanton Industries w Sydney, przyjechał już poprzedniego dnia. Była Melody i Jasmine oraz ze dwadzieścia innych pięknych dziewczyn, których Tom nigdy nie widział. Veronica przyglądała się im z uważną ciekawością, aż w końcu jej twarz rozpozgodziła się, a w oczach pojawiło jakby rozbawienie: „No, no... — rzekła cicho, wciągając brzuch. — Same ślicznotki. I pomyśleć, że ja w moim wieku stałam się ukoronowaniem tej galerii”. Z Delhi przybył Jimmy Carrol i Rahji Singh, którzy wspólnie kierowali Stanton India. Na miejscu znajdowała się oczywiście elita Genewy, licząc w tym Yvonne i Amien-sa. „Co za kosztowna obsada filmu!” — ironizował Hugo, który nawet poprosił Gunthera, czy mógłby nakręcić dokument z ceremonii pogrzebowej. Ale Gunther odmówił krótkim „nie”, obrzucając petenta pełnym pogardy spojrzeniem.

425

Zebraли się więc wszyscy, by oddać ostatnią posługę Maurice'owj Stantonowi. Gunther jako najstarszy przyjaciel Maurice'a wygłosił mowę, w której określił zmarłego jako człowieka kochającego życie. Nie chcąc publicznie się rozplakać, Tom myślał, jak bardzo inni go za to kochali i jak bardzo będzie im go brak.

Umarł król, niech żyje król. Ale kto zostanie nowym królem? W miarę gdy wąż czarnych pojazdów sunął ulicami Genewy, myśli uczestników ceremonii zaczęły powracać do żywych. Na twarzach zgromadzonych w salach recepcyjnych hotelu Bristol bliskich i przyjaciół Stantonowi widać było rosnące napięcie.

Kirsten wysiadła z limuzyny, lecz zawahała się i odwróciła z powrotem do auta. — Nie — wydusiła z trudem. — Ja wracam do domu. — Podczas pogrzebu trzymała się nieźle, lecz teraz znów widać było w jej oczach napięcie i histerię. Jej blade policzki mokre były od łez. Wciąż wstrząsała z niedowierzaniem głową.

Tomowi przyszedł na myśl pogrzeb matki Kirsten i ten mściwy zapis w testamencie. — Kochanie — wziął ją za rękę. — Teraz wszystko będzie inaczej.

Opuściła wzrok i przyglądała się czubkom swoich pantofli. — Obiecałeś, że będę mogła zostać sama — szepnęła. — Przyrzekłeś.

— Ale...

— Chcę jechać do domu — powtórzyła.

Dom nie znaczył w tym przypadku ich wspólnego domu w Hampstead w Londynie, lecz chateau nad Jeziorem Genewskim, gdzie Kirsten się wychowała. Tom czuł, że Kirsten znowu oddała się od niego.

— Tom — Veronica położyła dłoń na jego ramieniu — przecież biedna Kirsten jest zupełnie wyczerpana. Oczywiście, że powinna jechać do domu. Sądzę, że i ja mogłabym z nią wrócić.

— Nie — Kirsten potrząsnęła przecząco głową, nadal nie podnosząc wzroku.

— No dobrze — powiedziała na zgodę Veronica. — W takim razie jedź, a ja przyjadę później. Przymierzam, że będę się zachowywać cicho jak myszka.

Kirsten wsiadła do auta. Tom pochylił się nad otwartymi drzwiami. — Przyjadę na weekend, dobrze?

Rozpląkała się. Jej płacz rozdzierał mu serce. Niewiele brakowało, a sam gotów był wsiąść do samochodu, ale poczuł na ramieniu dłoń Veroniki. — Zostaw ją samą, Tom. Niech się wypłacz. Wyprostował się.

Szofer zamknął drzwiczki i spojrzał na niego pytająco. — Możemy jechać, proszę pana?

426

Tom kiwnął głową i wrócił na chodnik. — Dobrze, jedźcie — rzekł cicho. Coś mu mówiło, że nie wszystko jest dobrze. Veronica pociągnęła go za rękaw.

— Chodź, Tom. Musimy tam iść.

Odwróciwszy się zobaczył Amiensa i Roddy'ego, którzy wchodzili razem do hotelu. Tom poczuł ucisk w żołądku, ogarnęło go nagle przeczucie, że spełnią się jego najgorsze obawy.

Postępowanie spadkowe prowadzone było w języku angielskim, prawdopodobnie ze względu na to, że zmarły urodził się w Anglii. Prawników było czterech — najwytrawniejsi juryści jednej ze znakomitych genewskich kancelarii prawniczych. Byli to siwowłosi, starsi panowie, którzy znali Maurice'a Stanton'a od niemal pół wieku. Wraz z Giintherem Hallerem zasiedli przy stole w Sali Niebieskiej.

Była to olbrzymia, bogato zdobiona sala, niewiele mniejsza od sąsiadującej z nią sali bankietowej, gdzie zgromadzili się nie będący najbliższymi członkami rodziny i przyjaciółmi uczestnicy ceremonii. Dyskretnie rozdzielono przybyłych: w jednej sali zgromadzono beneficjentów, w drugiej zaś tych, którzy przyszli złożyć hołd pamięci zmarłego. Tom zamierzał właśnie opuścić Veronikę i dołączyć do Aleka i Constantina, gdy jeden z prawników zwrócił się do niego: — Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan dołączyć do nas w Sali Niebieskiej.

Tom usiadł obok Veroniki, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Carl Pohl przysiadł niedbale na końcu rzędu krzeseł i polerował końcówką krawata swoje zbyt duże okulary. Yvonne, przygnębiona i z podkrążonymi oczami, siedziała obok Amiensa, który bez przerwy szeptał z Roddym. Spiskowcy. W pewnej chwili spojrzeli w bok na Toma. Tom poczuł nienawiść bijącą z ich oczu. Nie miał wątpliwości, że przeprowadzili podobne obliczenia, co on. I doszli do tych samych wniosków: pozycja Toma jest zachwiana, zmasowany atak im pozwoli go obalić.

Zastanawiał się, co wtedy uczyni. Stanton Industries stało się treścią jego życia. Ono i Kirsten. Bez nich jego życie traciło sens. Praca i Kirsten zająłaby się, były z sobą ściśle związane. Na swój sposób Kirsten też była oddana sprawie firmy. Choć może to już się zmieniło? Ale gdy Kirsten otrząśnie się z tej potwornej, trawiącej ją depresji, powróci do niego. Znowu będą razem...

Prawnicy monotonnymi głosami odczytywali treść zapisów. Zmieniali się co chwilę. Teraz mówił najwyższy, wyliczając pokaźne

427

darowizny, jakich Stanton dokonał na rzecz różnych organizacji charytatywnych.

Cóż za bogactwo! Co za hojność. Wydawało się, że o nikim nie zapomni. Tyle nazwisk, o których Tom nawet nie słyszał. Jakiś artysta z Nicei. Krawiec z Londynu. Restaurator z Paryża. Lekarz z

Reims. Ludzie, którzy służyli Maurice'owi za życia, otrzymywali dary po jego śmierci. Wysoki prawnik usiadł. Pałeczkę przejął jego kolega, siedzący na lewo od niego, niższy, grubszy, okrąglejszy, dysponujący głosem o niższym brzmieniu.

Yvonne otrzymała trochę biżuterii.

Melody dostała wczesnego Picassa.

Desmondowi Edwardsowi przypadła para francuskich pistoletów pojedynkowych. Prawnیک uśmiechnął się. Wraz z jak najsurowszym zaleceniem, by nigdy nowy właściciel z nich nie korzystał.

Lista zapisów ciągnęła się bez końca. Wydawało się, że już każdy w tej sali został obdarowany. W końcu prawnik usiadł. Przez chwilę jego koledzy naradzali się o czymś szeptem, przekładając leżące przed sobą dokumenty i konsultując się z Güntherem w jakichś sprawach formalnych.

Najstarszy z prawników skinął twierdząco głową i powstał. Drżącą nieco dłonią pokrytą niebieskimi żyłami podniósł dokument do krótkowzrocznych oczu.

— Mojej ukochanej córce Kirsten — przeczytał — pozostawiam chateau Stanton wraz z całym wyposażeniem oraz finansowym zabezpieczeniem pokrycia dziesięcioletnich kosztów utrzymania tej posiadłości.

Prawnیک odłożył dokument, szukając wzrokiem Kirsten. Wszystkie głowy odwracały się, a spojrzenia skupiły na pustym krześle obok Toma. Pomyślał z uznaniem o tej decyzji. Chateau było jedyną rzeczą w olbrzymim majątku Maurice'a, którą Kirsten naprawdę pokochała. Ten dom z widokiem na jezioro stał się teraz na zawsze jej.

— Mojemu synowi Roddy'emu — kontynuował prawnیک po chylając się niżej nad dokumentem — pozostawiam jacht „Afrodyta” ze stosownym finansowym zabezpieczeniem pokrycia kosztów utrzymania jachtu oraz płac załogi przez okres pięciu lat.

Rumieniec emocji zaróżowił twarz Roddy'ego. Roddy kochał tę łajbę, uwielbiał wydawać na jej pokładzie przyjęcia.

— Mojemu bliskiemu przyjacielowi Tomowi Lambertowi — kontynuował prawnیک — przekazuję w dzierżawę willę na wyspie Kariakos wraz z jej wyposażeniem oraz finansowym zabezpieczeniem pokrycia

428

kosztów utrzymania willi przez okres dziesięciu lat, z bardzo surowym zaleceniem: — prawnیک uśmiechnął się — by koniecznie znalazł nieco wolnego czasu na korzystanie z niej.

Tom zamrugał, chcąc usunąć łzy z oczu. Kariakos należy do niego! Och, Maurice! Ty szalony, wielkoduszny, wspaniały stary draniu! Przecież to nie było konieczne. Naprawdę! Boże, jak mi ciebie teraz brak!

— Mejej ukochanej Veronice — czytał dalej prawnیک — pozostawiam dom w St Moritz wraz z całym jego wyposażeniem oraz finansowym zabezpieczeniem kosztów utrzymania domu aż do jej śmierci.

— Prawnیک przerwał i podniósł wzrok. — Jest tu uwaga adresowana do pani — rzekł. — Czytam: Dziękuję ci, najdroższa. Byłaś moją największą życiową przygodą.

Łzy jak wielkie krople deszczu spłynęły z policzków Veroniki na jej ciasno splecione na kolanach dłonie. Tom, czując, że drży, przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła twarz w jego ramię i łkała.

Prawnیک usiadł.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć w sali, był płacz Veroniki.

Günther Haller odsunął swoje krzesło i wstał. W rękę trzymał kopertę. Veronica mocniej przycisnęła się do Toma, chcąc opanować spazmatyczne łkanie.

Günther odchrząknął. — Teraz przechodzimy do najbardziej istotnej części postępowania spadkowego. Mam na myśli, oczywiście, udziały Maurice'a Stantona w Stanton Industries.

Tom poczuł, że zasycha mu w gardle. Otrzymał już więcej, niż się spodziewał. O wiele więcej! Kochał Maurice'a, to prawda, jak syn kocha ojca. Miał teraz tylko jedno życzenie: „Podziel to, Maurice, w taki sposób, jaki ci sprawi największą satysfakcję. Tylko to się liczy...”

— Ta koperta — powiedział Günther rozrywając ją — leżała w sejfie bankowym od czasu, gdy Maurice mi ją przekazał.

„Największą satysfakcją. Tylko to się liczy.”

— Nie mam pojęcia, jaką treść kryje — ciągnął Günther. Kątem oka Tom dostrzegł jakiś ruch za Veronika. To Roddy

pochylił się do przodu, gryząc paznokcie.

Günther rozłożył pojedynczą kartkę papieru. Odchrząknął i spojrzał na salę. — Moje udziały w Stanton Industries dzielę równo pomiędzy moje dzieci — przeczytał.

Amiens odwrócił się do Roddy'ego i uścisnął mu radośnie rękę. Z triumfem popatrzyli obaj na Toma. Jego twarz maskowała uczucia.

429

Było tak, jak się Tom spodziewał. Maurice postąpił sprawiedliwie. A skoro Maurice postanowił...

— Tak więc jedną trzecią zapisuję mojemu synowi Roddy'emu jedną trzecią mojej córce Kirsten i jedną trzecią mojemu zięciowi Tomowi Lambertowi.

Tomowi serce zabiło żywiej. Maurice potraktował go jak syna. Na równi ze swoimi dziećmi. Jedna trzecia? Jedna trzecia to dwadzieścia procent wszystkich udziałów. Jeśli doda je do jedenastu procent, które już posiada, będzie właścicielem trzydziestu jeden procent wszystkich akcji. Stał się więc największym udziałowcem Stanton Industries. Kirsten była właścicielką dwudziestu procent, więc razem posiadali pięćdziesiąt jeden procent. Przejęli pakiet kontrolny!

Gunther usiadł, Tom nadal trwał w oszłomieniu.

„Pakiet kontrolny. Rany boskie! Mam pakiet kontrolny.”

Ponownie powstał najstarszy prawnik. — W świetle powyższych rozstrzygnięć — powiedział — postulujemy zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia udziałowców w celu wybrania nowego zarządu. Amiens opadł zgarbiony na krzesło.

— Proponujemy, by to spotkanie odbyło się w możliwie krótkim terminie — powiedział prawnik.

— Powiedzmy, za trzy dni. — Spojrzał na Toma.

Tom odchrząknął. — Nnie... nie widzę przeszkód. Prawniki rozejrzał się po sali. — Wydaje mi się, że są tu obecni wszyscy udziałowcy oprócz jednej osoby. Czy ktoś zgłasza zastrzeżenia? Nikt się nie odezwał.

— W takim razie — powiedział jurysta — nadzwyczajne zebranie udziałowców Stanton Industries zwołuję w siedzibie naszej kancelarii w piątek na godzinę czternastą.

Przez najbliższe dwa dni Tom zajęty był myśleniem o nowo powstałej sytuacji. Od czasu gdy doprowadził do fuzji Excela z Pohlem i Bouvierem, tworząc Stanton Industries, zmuszony był brać udział w grze politycznej. Rada dyrektorów została utworzona na zasadzie zobowiązań, a nie wyboru. Ale teraz, wywiązawszy się ze wszelkich swoich życiowych zobowiązań, Maurice wyznaczał nowe warunki gry-Tom uzyskał kontrolę nad przedsiębiorstwem.

Czuł się jak nowy prezydent albo premier, który właśnie przejął ster rządów. Po raz pierwszy będzie mógł prowadzić własną politykę, nie martwiąc się o protesty czy naciski tego lub owego. Tego lub innego wolno mu będzie zmienić. Po raz pierwszy mógł sam dobrać zespół.

430

Na Jermyn Street wyczuwało się atmosferę czystki. Nikt oczywiście oficjalnie nie świętował, ale nie dało się ukryć pełnego napięcia wyczekiwania.

Tom mógł teraz spokojnie pertraktować w sprawie wykupu Apple'a. Carl Pohl przyjechał do Londynu i zatrzymał się w pobliskim hotelu, oczekując na instrukcje.

— Chodzi o to — powiedział Tom — że obecnie jest niemal bez znaczenia, czy wykupimy Apple'a, czy nie. Nadchodzi epoka komputerów osobistych, rozwój tej dziedziny będzie żywiołowy. Nie możemy dłużej stać z boku z założonymi rękoma. Musimy w to zaangażować cały nasz potencjał. Było oczywiste, że Amiens nie poprze tej polityki.

— Ja bym drania wywalił na zbity łeb — mruknął Constantin. — Zawsze ci się przeciwstawił.

Alec zgodził się z Conem. — Jest znakomitym specjalistą od spraw produkcji, to należy przyznać. Ale nigdy nie poprze twojej polityki. Na każdym kroku będzie ci rzucał kłody pod nogi, wszystko stanie się dla niego okazją do wszczęcia awantury.

— Strasznie się teraz skumpłował z Roddym — Constantin pokiwał głową. — Nie podoba mi się ten układ. Mają razem prawie trzecią część udziałów. Z nimi zawsze będą kłopoty.

— Czyli mamy dwa obozy — zamyślił się Tom.

— Dokładnie tak.

Doszli wspólnie do przekonania, że Amiens musi odejść. Im szybciej, tym lepiej.

— Powiem mu o tym na zebraniu udziałowców w piątek — rzekł Tom.

Alec uniósł dłoń. — Jeśli chodzi o ścisłość, to właścicielką udziałów jest Yvonne.

— Myślę, że Amiens zjawi się na spotkaniu z pełnomocnictwem od Yvonne. Jeśli nie, to powiem jej. — Ściągnął usta. — Szkoda mi Yvonne, polubiłem ją. Nie zasłużyła sobie na takiego męża.

Z każdą nową decyzją Tom czuł, że rosną mu skrzydła. Cieszył się swobodą, delektował władzą. W którymś momencie powiedział: — Teraz, gdy przestaną nas paraliżować walki podjazdowe, moglibyśmy przenieść biuro do Genewy.

— Wszyscy mielibyśmy tam się przenieść? — zapytał zaskoczony Constantin.

— Alec będzie musiał. Jest jedynym człowiekiem, który potrafi zastąpić Amiensa.

— Miałbym tam mieszkać? — zapytał Alec.

431

— Nie możesz kierować Stanton Manufacturing z Londynu. Pomysł założenia w Genewie kwatery głównej zawsze miał sens. Dawniej nie mogliśmy tego wykonać, bo uprzywilejowałoby to zbyt Amiensa. Ale jeśli się go pozbedziemy, nie musimy się już nim martwić.

Nowa sytuacja przypominała rysunek na czystej karcie papieru. Wszystko można będzie urządzić od nowa. Jedne zmiany pociągały za sobą następne. Przenosiny Aleka nastroczały pewne trudności — dotychczas kierował filiami w Indiach i Australii.

— Wiem — kiwnął głową Tom. — Ale myślę, że powinniśmy awansować do rady dyrektorów Bilia Rodgersa. Nabrał już wystarczająco dużo wprawy.

Przez całą środę i czwartek Tom wraz ze swoim zespołem zajmowali się opracowywaniem zrębów nowej polityki. Constantin miał polecieć z Pohlem do Kalifornii, by spotkać się z przedstawicielami Apple'a. Pohl był zachwycony. Siedział i uśmiechał się jak uczeń. Nie mógł się już doczekać tego spotkania. — Czy ja koniecznie muszę być obecny na tym zebraniu udziałowców? Gdyby nie, to mógłbym z Conem wyjechać jutro z samego rana. — Zamyślił się na chwilę. — Tom, dam ci moje pełnomocnictwo. Podpisuję się pod każdą twoją decyzją.

Carl Pohl stał się więc częścią zespołu Toma, w pełni popierając jego politykę.

Desmonda Edwardsa Tom pozostawił sobie na piątek rano. Mieli razem lecieć do Genewy na zebranie udziałowców, ale Tom poprosił go, by uprzednio zjawił się u niego w biurze.

— Postawiłeś na niewłaściwego konia — wygarnął mu Tom bez ogródek.

Desmond wiercił się niespokojnie w krześle. — To zbyt mocno powiedziane — zaoponował. —

Wychodzę tylko z założenia, że André ma rację, jeśli chodzi o ośrodek badawczy. On naprawdę nas sporo kosztuje.

— Twoi sprzedawcy również kosztują nas немало, ale nie możemy się bez nich obejść. Bez nakładów na badania również się nie obejdziemy...

Nie miał zamiaru zwalniać Edwardsa. Desmond był wyśmienitym, ogólnie lubianym i szanowanym specjalistą od spraw marketingu. Ale Desmond musiał dokonać wyboru — albo popiera politykę Toma, albo się wynosi. Tom już wcześniej dyskutował z Alekiem, jak przeciągnąć Desmonda na ich stronę. — Nie musisz na niego od razu naskakiwać — radził Alee. — Desmond ma rozum i wie, co znaczy pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Wie, że masz pakiet kontrolny

432

i że nie mogą cię przegłosować. Ale dobrze ci radzę, nie traktuj go z gory. Staraj się go zwerbować dla naszej sprawy, by nas poparł z przekonania.

— Wiesz co? — zamyślił się Tom, spoglądając na Desmonda. — Słowa to niebezpieczne narzędzia. Cała ta gadanina o domowych komputerach... Zresztą, trudno jeszcze powiedzieć... Poza tym, co to ma za znaczenie. Mnie, prawdę mówiąc, domowe komputery nie interesują ani trochę więcej niż

ciebie.

— Nie interesują cię?

— Nigdy mnie nie obchodziły. To nie nasz rynek.

— Zawsze tak twierdziłem.

— No, właśnie! Za to małe komputery. Komputery osobiste to coś! Przez następną godzinę Tom mówił jak najęty. Starał się być przekonujący, Edwards wcale tak mocno nie obstawał przy swoim. Wkrótce doszło do zgody. — Wiesz, co bym chciał, byś teraz zrobił? — powiedział na zakończenie Tom. — Chciałbym, żebyś jak najszybciej pojechał do Kalifornii. Con i Carl już są w drodze. Chcę, byś dobrze obejrzał ten sprzęt Apple'a.

— No, dobra.

Tom przerwał. — Rzeczywiście masz ochotę wziąć udział w tym zebraniu udziałowców? Może to być dla ciebie trochę krępujące.

Dziesięć minut później Tom miał już wszystko, czego pragnął. Jeszcze jeden akt zawierzenia.

Następny dyrektor dołączył do jego zespołu. Zgodził się realizować jego politykę.

Zrobiło się już późno, więc Tom wziął teczkę i wyszedł z gabinetu, by udać się na lotnisko. W biurze Barbary siedział Alec zachwalając jej uroki Genewy. — Na pewno się pani spodoba — uśmiechnął się Tom. — Aha, bardzo proszę, mech pani zadzwoni do Kirsten i powie jej, że zaraz po zebraniu przyjadę do chateau.

Tom przypuszczał, że Roddy przyjedzie na zebranie. Oczyma wyobraźni widział Amiensa i Roddy'ego siedzących po jednej stronie stołu, Giinthera po drugiej, a siebie u szczytu, z protokolantem u boku.

Pomieszczenie w kancelarii prawniczej było tak ponure jak pogoda na dworze. Na pogrzebie Maurice'a świeciło słońce, a teraz, gdy nad Jezioro Genewskie nadleciał learjet, strugi drobnego deszczu jęły zacinać w okna. Kiedy Tom dotarł do centrum, rozpadało się na dobre.

Wcale mu jednak ta pogoda nie przeszkadzała. Miał to być jego dzień i nic nie mogło mu popsuć humoru.

Kiedy podjeżdżał taksówką na miejsce spotkania, nadchodził

28 — Zemsta

433

właśnie Günther. Tom poczekał na niego w holu. Günther zatrzymał się w drzwiach, by złożyć parasol. Nie widział Toma. Po chwili podniósł wzrok i smutny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Podając Tomowi rękę, rzekł: — Przypominam sobie ten dzień na Kariakos gdy powiedziałem, że będziesz kierował Stanton Industries do końca życia.

— Jak dawno to było! — odparł Tom. — Nie martw się, na mnie się nie zawiedziesz.

Uśmiechając się nadal tym swoim smutnym uśmiechem Günther zaprowadził go do staroświeckiej windy, którą wjechali na drugie piętro.

Była za dziesięć drugą.

Jakiś urzędnik zaprowadził ich do ponurej sali konferencyjnej. Na stoliku znajdowała się woda mineralna i kawa. Przy sześciu miejscach wokół dużego stołu rozłożono papier i ołówki. — Nie będziemy potrzebować tylu foteli — rzekł Tom. — Carl Pohl i Desmond Edwards nie przyjadą. Günther wysłuchał, co zaszło w Londynie. Tom uśmiechnął się. — Zdaję sobie sprawę, że wciąż nie jesteś do końca przekonany. Ale wierz mi, wiem, co robię.

Günther zajął miejsce przy stole. — Komputery osobiste — zamyślił się. — To zupełnie inny świat. — Odwracając się do uśmiechniętego Toma powiedział: — No cóż, to teraz twoja firma. Masz pakiet kontrolny.

Tom zasiadł u szczytu stołu, a protokolant, otworzywszy notatnik, siadł obok przy stoliku. Tom spojrzął na zegarek. Za pięć drugą. Poczul dziwny ucisk w żołądku.

Günther zastanawiał się. — Może pozostali również nie przyjadą? André na pewno wie, co zamierzasz.

Ledwie wypowiedział ostatnie słowa, a drzwi otworzyły się i stanął w nich Amiens. Jego zaróżowiona twarz mogła dowodzić pośpiechu, z jakim tu przybył, ale błysk w oczach bez wątpienia wyrażał wolę walki. Kiwnął głową na powitanie. Widząc, gdzie siedzi Tom, Amiens poszedł na przeciwny kraniec stołu i też zajął miejsce u szczytu. Otworzył teczkę i wyjął z niej jakiś dokument.

— Oto pełnomocnictwo Yvonne na jedenaście procent — oświadczył. — To mnie uprawnia do wzięcia udziału w tym zebraniu.

Tom uśmiechnął się smętnie. Amiens był gotów walczyć do końca. Tom otworzył swoją teczkę. — Carl Pohl i Desmond nie przyjdą na zebranie — powiedział sięgając po dokumenty. — Oto ich pełnomocnictwa. Obydwa wystawione na moje nazwisko.

434

Podsunał je Guntherowi, który rzucił na nie okiem, a potem podał Amiensowi.

Tom obserwował Amiensa. Zastanawiał się o czym teraz myśli. Na pewno liczył na poparcie Edwardsa. Teraz na to stracił. W innych okolicznościach, w stosunku do któregoś człowieka Tom czułby zapewne współczucie. Ale Amiens za niego już dopiekl.

Gunther stwierdził: — Minęła godzina druga. Wiem, ile jeszcze czasu chcesz dać Roddy'emu? — Roddy nie przyjdzie — powiedział Amiens. A więc i Roddy go opuścił.

Tom wzruszył ramionami. — No cóż — rzekł w takim razie rozpoczynamy zebranie.

Tom nie widział powodu, by sprawy owijac w tawelę. — Rzecz nie polega na tym, że chcę się odegrać — zwrócił się spokojnie do Amiensa. — Ty i ja tak bardzo różniliśmy się w przeszłości, iż jestem

pewny, że i teraz będziemy mieć odmienne zdania. — przypomniał mu

liczne przykłady starc z ostatnich lat, wspominając również o kłótni w San Francisco. — Tak więc — podsumował — kieruje się dobrze pojętym interesem udziałowców, myślę, że powinniśmy złożyć rezygnację z pełnionej funkcji. Jeśli tego nie uczynisz, występuję formalnym wnioskiem o odwołanie cię z zajmowanego stanowiska ze skutkiem natychmiastowym.

Idealny spokój malował się na twarzy Amiensa. Zdziwionym wzrokiem wpatrywał się w Toma. Był tak skoncentrowany, że ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Wyglądał na skazańca, któremu zakładają pętlę na szyję, a on stara się zapamiętać na wieczność wyraz twarzy kata.

— Sprzeciwiam się przyjęciu tego wniosku.

Tom wyprostował się w krześle. — Nie rób z siebie idiota! Ja mam pakiet kontrolny.

Gunther Haller popatrzył na Amiensa z ciim wyrazem twarzy, jakby tamten oszalał: — Przykro mi, André — powiedz łagodnie — ale nie możesz niczego uczynić.

— Wręcz przeciwnie! Chciałbym wysunąć wniosek o zwolnienie pana Lamberta ze stanowiska przewodniczącego zarządu przedsiębiorstwa.

Tom spojrzął na Gunthera, potem na Urzędnika, wreszcie na Amiensa. — Czyś ty oszalał?

— Mam wszelkie podstawy do przedłożenia tego wniosku.

— Na litość boską! — Tom uderzył dłonią w stół. — Mam pięćdziesiąt jeden procent udziałów. A dodatkowo jeszcze to — wskazał

435

pełnomocnictwa od Pohla i Edwardsa. — Nie masz prawa występować z żadnym wnioskiem. Jesteś skończony!

— Czy możemy to przegłosować? — przerwał mu Amiens. Nagle, gdzieś w głębi duszy Tom poczuł ślad niepokoju, usłyszał

jakiś ostrzegawczy dzwoneczek, który równie dobrze mógł być sygnałem alarmowym karetki jadącej po Amiensa, by go przewieźć do szpitala dla czubków. — André — powiedział — wiesz przecież dobrze, że Kirsten i ja...

— Czy masz jej pisemne pełnomocnictwo?

Tom rozejrzał się zdumionym wzrokiem po pokoju, szukając aparatu telefonicznego. Dostrzegłszy, gdzie stoi, wskazał go ręką. — Mogę ją tu ściągnąć po dziesięciu minutach. Ale co to ma za sens?

Amiens zwrócił się do urzędnika: — Proszę zaprotokołować, że złożono dwa wnioski i że domagam się głosowania. O ile wiem, udziałowcy mogą głosować proporcjonalnie do ilości udziałów, których są właścicielami i takich, na których użycie w głosowaniu posiadają pisemne pełnomocnictwa właścicieli. Czy tak?

— Zgadza się. — urzędnik kiwnął głową i spojrział nerwowo na Toma. — Tak — powtórzył przechodząc na język angielski. — Taka jest procedura.

— To chyba farsa — powiedział Tom spoglądając na Hallera.

— Zgadzam się.

— Czy możemy zacząć głosować? — przerwał stanowczo Amiens. Patrzył na siedzącego po przeciwnej stronie Toma. — Ile masz głosów na poparcie swojego wniosku?

Tom poczuł, że traci kontrolę nad przebiegiem spotkania. Mimo że miał w wszystkie atuty, musiał się bronić. — Trzydzieści jeden procent na moje własne nazwisko — powiedział chłodno — plus — sięgnął po pełnomocnictwo Pohla pięć procent Carla Pohla — szukał następnego dokumentu w teczce — oraz siedem procent Desmonda Edwardsa.

Amiens zapisał te cyfry. — W sumie czterdzieści trzy procent — powiedział spoglądając na Giinthera. — A ty jak głosujesz? — zapytał sucho.

— Głosuję za wnioskiem Toma.

Szyderczy uśmiech pojawił się na wąskich ustach Amiensa. — Sześć procent od Giinthera Hallera — powiedział notując to na papierze. Spojrział na Toma. — To ci daje w sumie czterdzieści dziewięć procent.

— Zgadza się — skinął głową Tom wskazując na aparat telefoniczny. — A jeszcze nie dzwoniłem do Kirsten.

Amiens ponownie wsunął rękę do teczki. — Mam tu dwa dokumen

I

IOI

SŚć

436

ty — oświadczył. — Jeden z nich to przekazanie przez Roddy'ego Stantona jego udziałów mojej żonie. Z dokumentu wynika, że wszystkie swoje udziały przekazał na rzecz mojej żony. A tu jest jej pełnomocnictwo do głosowania w jej imieniu.

Haller wziął w rękę oba dokumenty, przeczytał je pobieżnie i podał Tomowi. Tom odłożył je na bok nie czytając. Znał te proporcje na pamięć. — Co z tego? To ci daje dopiero trzydzieści jeden procent.

Amiens wstał i położył teczkę na stole. — Mam tu jeszcze dwa dokumenty — rzekł. — Pierwszy jest dowodem przekazania przez Kirsten Lambert wszystkich udziałów mojej żonie. Całe dwadzieścia procent. Drugi dokument jest pełnomocnictwem mojej żony upoważniającym mnie do głosowania w oparciu o te udziały.

Tom zerwał się z krzesła i podbiegł do Amiensa. Wyrwał mu papiery z rąk. Na dokumencie czarno na białym widniał podpis Kirsten. To nie mogło być prawdą! Niemożliwe. Nie.

Amiens dokończył: — Co daje mi pięćdziesiąt jeden procent i pakiet kontrolny.

— To jakieś fałszerstwo! — krzyknął Tom. — Jakiś podstęp. Czyje to jest nazwisko? — Pomachał Amiensowi przed nosem dokumentem. — Co za świadek poświadczył podpis Kirsten?

— Nie obawiaj się — odparł Amiens. — Przekazanie udziałów odbyło się zgodnie z prawem.

Dokument poświadczył niejaki pan Lapierre, który jest jednym z najznakomitszych genewskich prawników.

Tom spojrział na Hallera. — Giinther, co ty na to? — spytał podsuwając mu dokument.

Haller patrzył jak osłupiały. Kiwał z niedowierzaniem głową. — To jest podpis Lapierre'a. Zawsze bym go rozpoznał. Miałem do czynienia z wieloma dokumentami podpisywanymi przez niego.

Amiens ciągnął: — Wniosek numer jeden zostaje oddalony, wniosek numer dwa przyjęty. Pan Lambert zostaje zwolniony z funkcji przewodniczącego zarządu ze skutkiem natychmiastowym. — Żądam odroczenia przyjęcia tego wniosku — wydusił Tom ściskając mocniej poręcz krzesła. Popatrzył na urzędnika, na Hallera, na Amiensa. Ich obraz na ułamek sekundy rozmył mu się w oczach. Kiedy ponownie odzyskał ostrość widzenia i przestało mu huczeć w uszach, usłyszał, że Amiens mówi:

— Nie ma podstaw do odroczenia.

Giinther i urzędnik kiwnęli twierdząco głowami.

Przecież to kompletnie nie trzymało się sensu. Kirsten nigdy by czegoś takiego nie podpisała. Nie zrobiłaby tego sobie, Maurice'owi. Ona nie mogła tak postąpić.

437

Wszyscy wstali. Tomowi przemknęło przez myśl, że mógłby zatelefonować, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Kirsten będzie tu musiała przyjść osobiście, by im powiedzieć prosto w twarz, że to jakieś oszustwo.

Zapomniał o teczce i płaszczu. Wybiegł z pokoju i popędził korytarzem do windy. Windy nie było, więc zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Zderzył się w holu z jakąś dziewczyną, omal jej nie przewrócił. Wykrzykując słowa przeprosin, wybiegł przez drzwi na ulicę. Chodnik był mokry od deszczu. Pośliznął się, o mało nie upadł. Roztrącając przechodniów, omijając ich i ocierając deszcz z czoła, biegł na postój taksówek.

Kierowca widząc, że pędzi, uruchomił silnik. Tom z impetem padł na tylny fotel i krzyknął adres.

— Niech się pan pośpieszy — zawołał. — Niech pan jedzie tak szybko, jak możliwe.

Łatwiej mu było złapać oddech, niż pozbierać myśli. W głowie miał zamęt. Kalejdoskop postaci kłębił mu się pod czaszką. Nerwowo szukał portfela. Wyciągnął plik franków szwajcarskich i pomachał nim kierowcy, by go nakłonić do szybszej jazdy. Giinther może jeszcze opóźnić przyjęcie wniosku. Będzie grał na czas. Może uda mu się uzyskać przerwę w obradach. — Szybko! — krzyczał Tom na kierowcę. — Szybko!

Z rykiem silnika pędzili w górę ulicy, coraz wyżej i wyżej. Tom nie odrywał wzroku od zegarka.

Trzecia. Która była godzina, gdy wybiegł z budynku? Jak długo już jada? Ile jeszcze czasu zostało? W prześwicie między drzewami można już było dostrzec wieżyczki budynku.

— Szybciej, szybciej — wołał Tom. Minęli charakterystyczne skrzyżowanie i popędzili w lewo.

Stanęli przed bramą. Samochód nie zdążył się jeszcze dobrze zatrzymać, kiedy Tom rzucił franki na przednie siedzenie i otworzył drzwiczki. — Niech pan tu na mnie poczeka — krzyknął. — Niech pan nie odjeżdża. To bardzo ważne.

Nie czekając na odpowiedź, Tom wypadł z auta i pędził już po schodach wejściowych, trzymając w ręku klucze. Przez moment szukał właściwego. — Kirsten! — krzyknął otwierając drzwi. — Kirsten!

Nie było jej w dużym salonie, więc pobiegł do kuchni. Tam też jej nie znalazł. Sprawdził w małym saloniku, w bibliotece, w jadalni. — Kirsten! — krzyknął wbiegając z powrotem do holu.

Chwyił za poręcz i popędził schodami na górę. — Kirsten! — Nie było jej w żadnej z sypialni ani w łazience. — Kirsten!

Nigdzie nie było Kirsten. Zatrzymał się na półpiętrze dla złapania oddechu i gorączkowo zastanawiał się, gdzie też Kirsten mogła się podziać. Pobiegł z powrotem do sypialni, starając się sobie przypo-

438

mnieć, jakie ubrania Kirsten wzięła do Genewy. W szafie wisiał jej czarny kostium. Dwa płaszcze. Deszczowiec. Spojrzał na rząd pantofli, usiłując sobie przypomnieć, które ostatnio nosiła...

Zbiegł na dół. Ponownie przeszukał wszystkie pomieszczenia. Każdy kąt omiatał wzrokiem, szukając jakiejś wskazówki. W bibliotece stał projektor i mały płócienny ekran, których przedtem nie zauważył. Ponownie sprawdził wszystkie pokoje, wołał i pokrzykiwał. Drzwi na taras były szeroko otwarte. Kirsten z pewnością nie zostawiłaby otwartych drzwi, gdyby gdzieś wychodziła.

— Musi tu być — powiedział półgłosem, wybiegając na taras. Rozglądnął się w lewo i w prawo, ale taras był pusty.

Stał zastanawiając się, co dalej. Deszcz przestał padać. Tom błędził wzrokiem po okolicy. I nagle dostrzegł Kirsten. Była na skałach w dole. Miała na sobie żółtą spódnicę i białą bluzkę. Leżała twarzą w dół. Nie poruszała się.

Serce przestało mu bić. Zamarł ze zgrozy. Krzyknął: — Kirsten! — Niebezpiecznie wychylił się za balustradę. — Kirsten!

Zaczął biec. Przemknął obok jadalni, kuchni, pomieszczeń dla służby, minął taras. Znowu krzyknął, kiedy wypadł na stromą ścieżkę. Ślizgał się na drobnych kamykach. Ścieżka stawała się coraz to bardziej stroma. Nie dało się biec, bo można było stoczyć się w dół. Tom schodził bokiem, jak krab, usiłując zachować równowagę. Wyciągnął ramiona i przytrzymał się skał. Posuwał się tak szybko, jak mógł, szybciej niżby się kiedy indziej odważył. Wołał. Dyszał. Kamienie osuwały mu się spod nóg...

W następnej chwili był już przy niej. Przykłęknął obok i dotknął jej delikatnie końcami palców. Wyszeptał jej imię. Była mokra od deszczu. I zimna. Bardzo zimna. Z niewysłowioną czułością przewrócił ją na plecy. Rana na skroni świadczyła nie tylko o stłuczeniu. Czaszka została wgnieciona na linii włosów. Nie musiał badać pulsu, by wiedzieć, że Kirsten nie żyje.

Łkał, co chwila powtarzając jej imię. — Kirsten! Kirsten!

Deszcz znów zaczął padać.

Oślepiiony łzami, wsunął ręce pod plecy Kirsten, chcąc ją podnieść. Pod palcami wyczuł metal. Była to płaska, wąska, metalowa kasetka.

1978

Constantin wyglądał tak, jakby miał sto lat. Był bardzo zarośnięty. Ostra szczecina pokrywała mu cały podbródek i policzki. Oczy przepełniał smutek. Obok niego siedział w milczeniu Alec, z wyrazem przygnębienia na zmizerowanej twarzy.

Tom przełknął ślinę i przeczesał dłonią włosy. — Resztę znacie. Policja potraktowała mnie bardzo podejrzliwie, bo zaniósłem Kirsten do domu. Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Przecież, na litość boską, padał deszcz. Czy miałem ją tam zostawić? To było...

— Ja też bym tak postąpił — wtrącił Constantin.

— I ja — kiwnął głową Alec.

Tomowi drżały ręce. Jakiś nerw w nodze tak mu dokuczał, że musiał wstać. Podeszedł na skraj basenu, przytupał lewą nogą, jakby chciał się pozbyć odrętwienia. Kiedy wrócił do stołu, jego twarz była bez wyrazu jak u lunatyka. — Zabrali mnie na komendę główną policji, gdzie zadawali mnóstwo pytań. Nikt nie powiedział tego otwarcie, lecz widać było po ich twarzach, że mnie podejrzewają. — Tom usiadł, oparł łokcie na kolanach, podparł głowę. Tak mocno pocierał palcami czoło, że na brązowej, pokrytej zmarszczkami skórze pozostawały białe pręgi. — Taksówkarz też niewiele mi pomógł. Oświadczył, że kiedy wsiadałem do niego do samochodu, byłem w furii i kazałem mu jechać na złamanie karku. — Tom wzruszył ramionami. — Guzik mnie wtedy obchodziło, co sobie o mnie myśli. Było mi wszystko jedno. Policjanci zachowywali się uprzejmie. Traktowali mnie całkiem porządnie, nikt na mnie nie krzyczał. Ale około

443

dziewiątej wieczorem odczułem zmianę w ich stosunku do mnie. Prawdopodobnie ustalili już wtedy czas zgonu. Zginęła około wpół do drugiej. Byłem wtedy albo na lotnisku, albo już w taksówce w drodze do kancelarii prawniczej. Znaleźli tamtego taksówkarza, który powiedział, że jechaliśmy prosto na miejsce spotkania. — Tom podniósł wzrok. — Możliwe, że Kirsten widziała jeszcze mój

samolot, gdy schodził do lądowania. Często stawała na tarasie i czekała na pojawienie się samolotu, którym leciałem.

Wstał z krzesła i zaczął się nerwowo przechadzać tam i z powrotem. — Wtedy zaczęli mi zadawać inne pytania. Na przykład, czy coś ją gnębiło, czy była w depresji. Oczywiście, wiedzieli o śmierci Maurice'a i o pogrzebie. Wszystkie gazety o tym pisały. Powiedziałem, że bardzo to przeżywała.

— Miałaś prawo domagać się adwokata — rzekł Constantin. Tom zgodził się z nim. — Nie chciałem skłamać mówiąc, że nie

pozwolili mi wezwać adwokata. Nie pamiętam. Prawdopodobnie wszystko odbywało się zgodnie z przepisami. Wiecie, jacy są Szwajcarzy. Postępują we wszystkim zgodnie z prawem. W każdym razie dochodziła już jedenasta. Odebrali mi paszport i powiedzieli, bym nie opuszczał Genewy, zrozumiałem, że nie zamierzają mnie zatrzymać. Wtedy pojawił się G?nther. Nie dzwoniłem do niego, ale Genewa to niewielkie miasto, a G?nther jest właścicielem sporej jego części. Gdy się pojawił, policjanci zaczęli się giąć w ukłonach. G?nther chciał, bym zatrzymał się u niego albo zanocował w hotelu, ale ja upierałem się, by wrócić do chateau.

— G?nther zadzwonił do mnie — powiedział do Constantina Alec. — Nie mogłem w to uwierzyć. To było jak koszmar.

Tom wpatrywał się tępo w wodę w basenie. — G?nther został ze mną ponad godzinę, siedzieliśmy i piliśmy. Kiedy wyszedł, wypilem jeszcze więcej. I wtedy przypomniałem sobie o tej kasecie z filmem.

— Policja nie wiedziała o niej? — zapytał Constantin.

— Zupełnie o niej zapomniałem. Naprawdę. Przypomniałem sobie dopiero...

— Nie przeprowadzili rewizji w chateau?

— Po co? Przecież nikt się nie włamał ani nic nie zginęło. Zeszli na dół, ze skały, potem obejrzeni taras. W domu wszystko było na swoim miejscu.

Constantin pokiwał głową. — Więc przypomniałeś sobie o tym filmie.

— Nie pamiętałem, gdzie położyłem kasety. Wiedziałem tylko, że jest. Pamiętałem, że zaniósłem Kirsten do salonu i położyłem ją "a sofie, potem pobiegłem do telefonu... Musiałem ponownie przejść

444

całą trasę. W końcu znalazłem ją na jednej z półek. Oczywiście, dopóki nie otworzyłem kasety, nie miałem pojęcia, że jest w niej film. Przypomniał mi się nagle ten projektor w bibliotece... — Głos Toma przeszedł w szept. — Tamtego dnia po raz pierwszy oglądałem ten film.

Constantin zamknął oczy. Wyobraził sobie, gdy Tom po tym wszystkim, co przeżył, ogląda późną nocą film. Musiał to być dla niego ostateczny cios, oszołamiająca potworność.

Wszyscy trzej ucichli. Poranne słońce wspięło się już na tyle wysoko, że rozproszyło chłód na tarasie i ożywiło wszystkie kolory. W dali, na horyzoncie biała mgielka nad powierzchnią morza ostrzegała, że wstaje kolejny upalny dzień.

— Mineło już osiem miesięcy — powiedział cicho Alec.

— Dla mnie jak wieczność.

Constantin zmarszczył czoło. — Szkoda, że nie powiedziałaś nam wcześniej o tym filmie.

— Dlaczego? — Tom podniósł wzrok, a w jego oczach malował się gniew. — Co by to zmieniło?

— Pomogłoby nam zrozumieć, dlaczego wówczas tak się zachowywałaś.

Do Genewy zjechali się wszyscy. Alec i Jean przylecieli wczesnym rankiem. Następnym samolotem przybyły Melinda i Barbara. Constantin wraz z Pohlem stawili się późnym wieczorem. Osobnymi samolotami przyleciały Veronica i Melody.

Tom nikogo z nich nie wpuścił do chateau. Nie otwierał drzwi i nie odbierał telefonów. Constantin chciał już wyważyć drzwi, kiedy Alec przypomniał sobie o szwajcarskich Robinsonach.

Tom był pijany. Do nieprzytomności. Przy pomocy lekarza udało im się go docucić. Trzeźwiał prawie dwa dni. Tymczasem trwało śledztwo. Tom składał zeznania spokojnie. Werdykt o samobójstwie przyjął z kamienną twarzą. Dziwił jego zupełny brak emocji. Przyjaciele byli zdumieni, ale nazajutrz czekał ich jeszcze większy szok.

Alec powiedział: — Było mi przykro, że cię tam wtedy nie było. Wszyscy tak bardzo ją kochaliśmy.

Kiedy tylko otrzymał z powrotem paszport, Tom spakował swoje rzeczy i, nie czekając na pogrzeb, wyjechał. Z Genewy liniami Swissair poleciał bezpośrednio do Aten. Tym razem nie skorzystał z pomocy Gregga, który zawsze podrzucał go jeepem. Nie poleciał również, „Helena”. „Helena” była własnością Stanton Industries, a Stanton Industries należało już do Amiensy.

Wznosząc błagalne spojrzenie, jak gdyby prosząc Maurice'a, by mu wybaczył, Tom wynajął helikopter.

445

— Wczoraj lecieliśmy z tym samym pilotem — powiedział Alec. — Pamiętał, że cię tu przywiózł.

— Nie powinniście byli przyjeżdżać.

— Melody i tak by przyjechała, bez względu na to, czy my byśmy się zdecydowali, czy nie — odezwał się ciężko Constantin. — I tak byśmy cię nie posłuchali. Powinniśmy tu byli już wcześniej przybyć.

Udało im się wpaść na jego trop w ciągu kilku dni. Potem telefon już ciągle dzwonił. Przez pierwsze kilka miesięcy Tom przyrzekał, że wróci do Londynu. Wciąż tylko powtarzał: — Wkrótce.

— Dlaczego przestałeś odpowiadać na telefony?

— Zbyt wiele było tych telefonów. Zresztą, nie miałem do czego wracać. Zastanawiałem się, co dalej.

Zżerany trawiącym go rozgoryczeniem, Tom coraz bardziej zapadał na zdrowiu w ciągu tych pierwszych miesięcy. Ale to nie ból po stracie Kirsten był tego przyczyną. Nienawidził jej wtedy. Kiedy poskładał w jedną całość mozaikę przeróżnych zdarzeń, doszedł do wniosku, że Kirsten prowadziła podwójne życie. Już sam fakt, że przepisała swoje udziały, był wystarczająco wymowny. Jak ona mogła jednym podpisem u notariusza przekreślić ich całe życie? Wydawało mu się, że ją zna, że wie

o niej wszystko. Ale ona miała sekrety. A do tego jeszcze ten film...

Alec odchrząknął. — Wiele się wydarzyło w tym czasie — powiedział. — Biuro przy Jermyn Street zostało sprzedane. Wszystkim kieruje teraz Genewa.

Tom wzruszył obojętnie ramionami.

W tydzień po przejęciu kierownictwa przez Amiensę, Alec, Constantin, Pohl i jeszcze wielu innych złożyło rezygnację. Ośrodek badawczy został zamknięty. Rozmowy z Apple Computer zerwano, zanim jeszcze je rozpoczęto.

Alec dodał: — W Apple uporządkowali swoje sprawy finansowe. Teraz mają pełny portfel zamówień aż do Bożego Narodzenia. Pracują na okrągło, a i tak nie mogą nadażyć. To niewiarygodne. Nie było dotąd czegoś takiego w tym biznesie. Stanton Industries oczywiście się wycofało. Komputery osobiste to nie ich branża.

Przebłysk gniewu pojawił się na twarzy Toma. Zacisnął pięści

i miał właśnie coś powiedzieć, kiedy z tyłu za nim rozległy się kroki.

Na taras weszła Melody, poranny blask słońca odbijał się w jej włosach. W białej lnianej sukience prezentowała się jak modelka i wyglądała równie piękniechoć na jej twarzy malowało się napięcie. Powitała Toma bladym uśmiechem. — Przepraszam za wczoraj. Byłam bardzo zmęczona i reagowałam emocjonalnie. — Popatrzyła na nich zdziwiona. — Całą noc nie zmrużyliście oka?

446

— Rzeczywiście, nie spaliśmy — odparł Alec.

Melody popatrzyła na niego uważnie. Zwróciła się do Constantina, który niemal niedostrzegalnie potwierdził skinieniem głowy słowa Aleka. Westchnęła i spojrzała na dzbanek. — Jeszcze gorąca?

— Alec nalał jej kawy w filiżankę.

— Strasznie mnie ten film wczoraj poruszył — zaczęła i zaraz dodała: — Ale bardziej jeszcze wyraz twojej twarzy, gdy go oglądałeś, Tom. Nieraz widziałam was razem, ciebie i Kirsten. Obserwowałam, jak Kirsten patrzy na ciebie. Ona cię nie kochała tak zwyczajnie. Ona cię

uwielbiała. Sama nie potrafię tego wszystkiego zrozumieć, ale nie powinieneś jej, na Boga, tak nienawidzić.

— Nie nienawidzę jej — powiedział cicho Tom. — Teraz już nie. W jakiś dziwny sposób pomogli mu w tym mieszkańcy wioski.

Wszyscy znali Kirsten. Byli ich gośćmi na weselu. Pamiętali, gdy po raz pierwszy pojawiła się na Kariakos wraz z rannym Tomem i umierającym Constantinem. Prości rybacy z rodzinami, ludzie tacy jak Mavros czy Petsas, nie potrafili uwierzyć, że Kirsten mogłaby uczynić coś złego. Gdy podczas tych pierwszych kilku miesięcy Tom niemal bredził jak w gorączce, nie chcieli nawet tego słuchać. Lecz kiedy rzucał przekleństwa pod adresem Kirsten, zwierali szeregi. — Nie — protestowali jednogłośnie — my też ją znaliśmy.

Ileż w nich było wiary! A jemu tej wiary zabrakło.

Patrząc w zielone oczy Melody, powiedział: — Tak, rzeczywiście jej wówczas nienawidziłem. Teraz wstyd mi za to, ale byłbym kłamcą, gdybym twierdził, że tak nie było. Teraz nienawidzę ich. Zniszczę ich tak, jak oni zniszczyli ją.

Constantin zaprotestował: — Ale nie w taki sposób!

— Nie ma innego sposobu. Myślisz, że udałoby mi się z nimi wygrać przed sądem? Jakie mam dowody? Jesteś prawnikiem. Wiesz, że mam rację.

Constantin, uznawszy się za pokonanego, zamilkł.

— Co ich skłoniło do przyjazdu? — zapytał Alec.

Ponury grymas wykrzywił wargi Toma. — Amiens przyjeżdża kupić moich trzydzieści jeden procent udziałów w Stanton Industries.

— Po co? I tak nie potrafisz mu w niczym przeszkodzić.

Tom ściągnął usta. — Bo nawet z tą ilością udziałów jestem dla niego groźny. Wścieka się na myśl, że musi mi płacić dywidendę. Sądzi poza tym, że kupi je za pół darmo.

— A Roddy?

— Roddy? — Tom zamyślił się. Popatrzył na horyzont. — Roddy pływa po tym morzu „Afrodytą”. Czasem zbliża się do brzegu.

447

Patrzymy wtedy na siebie przez lornetki. Widzę, że patrzy na mnie z zawiścią. Mam coś, czego on pragnie: Kariakos. „Afrodyta” bez tej wyspy to już nie to samo, co dawniej.

— Myślisz, że sprzedasz mu wyspę?

— Tak mu powiedziałem w rozmowie telefonicznej. Constantin wstał i pomasaował kolano. —

Wszystko to są tylko

domysły. Jeśli masz rację, że oni tego się dopuścili, to nie wiesz, w jaki sposób to wykonali.

Niczego nie potrafisz im udowodnić.

— To ty ich nakłonisz, by mi o tym powiedzieli — rzekł Tom stanowczo. — Potem ja wykonam wyrok.

Dreszcz wstrząsnął Melody. — Tom, oni mnie nic nie obchodzą, może nawet zasłużyli na śmierć. Ale zależy mi na tobie, a to cię zniszczy.

— Myślisz, że pozostawanie w nieświadomości, jak tego dokonali, mi pomoże? — wybuchnął Tom. — Życie w ciągłych domysłach? W ciągłej niewiedzy? W niepewności? — Potrząsnął przecząco głową. — Tylko po złożeniu przez nich zeznania będę mógł dojść do ładu z sobą.

Wiedzieli, że ma rację. Na nic się zdążyły wszelkie argumenty. Dalsze próby nakłonienia Toma, by odstąpił od powziętego zamiaru, trafiły w próżnię. Constantin przyjął porażkę z głębokim westchnieniem. — O której mają się tu zjawić?

— Po południu. — Tom wstał. — Helikopter może was odwieźć, zanim przyplynie „Helena”.

Pozostał wam jeszcze wybór. Możecie zostać albo odjechać. Ale jeśli zostanieie, to zgodzicie się na moje warunki. Nikt z was nie będzie próbował ich ratować.

Popatrzyli po sobie. Constantin podjął decyzję. — Ja zostaję.

— Ja też — powiedział Alec.

Melody spojrzała na Toma. — Może będziesz mnie potem potrzebował.

Tom skinął głową. — No więc, dobrze. Idę teraz trochę odpocząć. Wam też radzę uczynić to samo. Mavros was obudzi, kiedy dostrzeże „Helenę”.

Tom patrzył, gdy wspinają się ścieżką w górę. Z miejsca, gdzie stał nie było widać polany, zasłaniał ją ostatni zakręt.

Obecność Yvonne była dla niego zaskoczeniem. Jej tu nie zapraszał Ale to niczego nie zmieniało. Nic nie mogłoby go powstrzymać Yvonne szła przodem z Melody. Były tego samego wzrostu, ale Melody miała na sobie sandały na płaskim obcasie, a Yvonne szpilki Kontrast stylów: Yvonne była w jedwabnej sukni w kwiaty, ze złotyrru bransoletami na przegubach rąk i jeszcze większą ilością złota na szyi,

448

Melody włożyła prosty biały kostium. Tom zastanawiał się, co Yvonne wie. Czy również brała w tym udział? Napisała mu wtedy wzruszający list z kondolencjami. Sądził, że jest szczerą. Zawsze zresztą brał Yvonne za osobę prostolinijną, nawet wtedy, gdy walczyła o interesy męża.

Amiens szedł kilka kroków z tyłu. Miał nieskazitelnie jasny garnitur i buty od Gucciego. Jego ubiór był o wiele kosztowniejszy niż żony. Ponury grymas wykrzywił jego przystojną twarz. Za nim kroczył Roddy, pochodni dopełniali Alec i Hugo, nieodłączny towarzysz Roddy'ego. Na końcu szedł Constantin.

Przybyli później, niż Tom się spodziewał. Słońce rzucało już długie cienie. Słaby podmuch wiatru szeleścił w szyszkach drzew i spijał kropelki potu na twarzach. Zeschła trawa pod stopami miała barwę słomy.

Tom okiełznał nienawiść. Z trudem przyszło mu założenie maski obojętności. Sam ich widok sprawił, że coś zaczęło dławić go w gardle. Mimo woli ścisnął i rozwierał dłonie. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, wyszedł im na spotkanie.

— Tom! — zawołała Yvonne. Zbliżyła się do niego, objęła go i ucałowała w policzki. Potem z uwagą przyjrzała mu się przenikliwie. — Nie wyglądasz dobrze. Słyszałam, że jesteś chory. Jak się teraz czujesz?

— Już lepiej, dziękuję.

Wzięła go pod rękę i ruszyli dalej. — Po co my tam idziemy? — spytała. — Alec wspomniał o jakiejś niespodziance...

Dobiegł ich od tyłu głos Amiensa: — To miało być prywatne spotkanie.

Tom zatrzymał się. — Wiedziałeś, że będą Roddy i Hugo.

— Oczywiście, że wiedziałem. Przyplłynęli z nami.

Tom odpowiedział z lodowatym uśmiechem: — Ty masz swoich przyjaciół, ja mam swoich.

Yvonne uśmiechnęła się. — Przyjaciele to duże słowo... — rzekła cicho — osobiście zawsze sądziłam... —

— No, idźcie! — pokrzykiwał z tyłu Amiens. — Blokujesz mi drogę. Tom odwrócił się i ruszyli.

Roddy zawołał: — Nie musisz nam pokazywać widoków. Oszczędź sobie tego. Znam tu każdą piędź ziemi. Hugo zarechotał mu do wtóru.

— Teraz tu się zmieniło — odparł Tom. — Zaraz się o tym przekonasz.

Szedł przodem z Yvonne uwieszoną u jego ramienia. Amiens burknął do nich: — Mieliśmy pogadać o interesach!

29 — Zemsta

449

— Zaraz to uczynimy — upewniał go Tom.

— A konkretnie, o sprawie udziałów.

— Zgadza się — potwierdził Tom, wchodząc na polanę. Yvonne zatrzymała się tak gwałtownie, że jej mąż wpadł z rozpędu

na nią. Amiens zaklął, kiedy z kolei Roddy wpadł na niego. Przeciskając się obok Melody, Hugo wyszedł na polanę. — A cóż to, u diabła, znaczy?

Wszyscy stanęli jak osłupiali gapiąc się na to, co wyłoniło się przed nimi.

Na tle krwistej czerwonej kuli zachodzącego słońca ostro rysowało się ponure rusztowanie szubienicy. Podmuch wiatru kołysał pętlą. Dwa rzędy krzeseł, po pięć w każdym, stało między szubienicą a ścianą drzew. Na drzewach zawieszono ekran, który był osłonięty od słońca stertą starych skrzynek ustawionych przez Mavrosa i jego ludzi. Obok ekranu znalazł się stolik. Tom szybko podszedł do niego.

— Proszę, siadajcie — rzekł głośno. — Zaczynamy.

— Co to wszystko znaczy? — ryknął Amiens.

— Usiądźcie, to wam wyjaśnię.

Spełniając polecenie Toma, Alee wziął pod ramię Melody i zaprowadził ją do drugiego rzędu krzeseł.

Roddy nadal wpatrywał się w szubienicę. — Co tu jest, kurwa, grane?

— To nie jest gra, Roddy. To wszystko dzieje się naprawdę. Yvonne nabrała powietrza w płuca. — Wracam do willi —

powiedziała zawracając. Wyminęła Constantina i nagle oczy rozszerzyły jej się z przerażenia. Krzyknęła.

Na ścieżce ramię w ramię stali Mavros i Petsas. Obydwaj trzymali w rękach karabiny typu Lee Enfield, zachowane w dobrym stanie z czasów drugiej wojny.

— André! — krzyknęła Yvonne, cofając się i łapiąc męża za rękę. Amiens z trudem oderwał wzrok od uzbrojonych mężczyzn i spojrzał na Toma. — Czyś ty oszalał?

— Niewiele brakowało — odparł Tom. — Ale w tej chwili jestem przy zdrowych zmysłach.

— Przyjechałem tu, bo mieliśmy pogadać o interesach!

— I będziemy — zgodził się Tom.

— Ale ja tu nie po to przyjechałem! — pisnął nagle podniesionym głosem Hugo. — Mnie to wszystko gównu obchodzi! Ja wracam.

Huk wystrzału przeciął ciszę. Fontanna ziemi trysnęła u stóp Hugona. W powietrzu rozszedł się gryzący zapach kordytu. Echo wystrzału odbiło się od ściany drzew i wróciło na polanę.

— Do diabła! — Hugo zarył się nieruchomo w ziemi.

450

Szczęknął zamek karabinu, Mavros pozbył się zużytej łuski.

— Do kurwy nędzy! — Roddy odwrócił się do Toma i z histerią powiedział: — Nie rozumiem! Mówiłeś, że chcesz sprzedać wyspę. Dlatego przyjechaliśmy. Chcieliśmy ci w tym pomóc.

— Najbardziej mi pomożecie zajmując miejsce.

Amiens zbliżał się do stolika: — Tom — zaczął schrypniętym głosem — co to znaczy? Nie mam czasu na te przedstawienia. Nawet nie uwierzysz...

— Siadaj! — oschle rzucił Tom.

— Z wielkim trudem udało mi się wygospodarować trochę czasu. Przyjechaliśmy tu z Yvonne taki kawał drogi, by się z tobą zobaczyć...

— Siadaj!

— Tom...

— Siadaj!

Urażliwy błysk pojawił się na moment w oczach Amiensa, lecz zaraz zniknął. Amiens poskromił swoje zapędy. — Właściwie, czemu by nie — rzekł do Yvonne. Rozluźnił węzeł krawatu. — Trochę się zgrzałem wchodząc na tę górę. — Ze sztucznym uśmiechem zwrócił się do Toma: — Mam nadzieję, że przygotowałeś coś do picia na ten piknik.

Tom nie spuszczał wzroku z Roddy'ego i Hugona.

Yvonne usiadła obok męża. — To zupełnie do ciebie niepodobne, Tom! — rzekła z wyrzutem. — Żeby tak straszyć ludzi! To nieuprzejme z twojej strony. Co cię napadło?

Roddy z nietęgą miną przycupnął za Yvonne. Hugo udając obojętność pomaszerował na miejsce obok Roddy'ego.

W tym momencie z lasu wynurzyło się dwóch następnych ludzi Mavrosa. Obydwaj uzbrojeni w

karabiny.

Amiens usiłował obrócić wszystko w żart. — Przypomina mi to coraz bardziej obóz wojskowy — powiedział udając bez troskę, która mocno kontrastowała ze strachem w jego oczach. Obrócił się na krześle. — Czy to sceneria do któregoś z twoich filmów, Hugo? — zachichotał.

Tępy wzrok kamiennej twarzy Hugona był jedyną odpowiedzią.

Amiens odwrócił się ponownie do Toma. — A więc... Jesteśmy już wszyscy na miejscach. Co teraz?

Tom popatrzył na niego uważnie. — Chcę, byś publicznie powiedział, w jaki sposób ty i Yvonne weszliście w posiadanie udziałów Kirsten.

Amiens odprężył się nieco. — Och, o to ci chodzi! — machnął lekceważąco ręką. — Po to te zachody? Wystarczyło, byś do mnie zadzwonił i spytał.

— Pytam teraz.

451

— No, jasne — Amiens pokiwał głową.

— A więc?...

— Oczywiście, potrafię zrozumieć twoją ciekawość, ale — wruszył ramionami — nie wolno mi ujawnić tajników transakcji. Taka była umowa...

— Żądam odpowiedzi.

— Żądasz? — Amiens podniósł się z krzesła. — Słuchaj, dałem Kirsten słowo. Nie mogę łamać przyrzeczenia. Szczególnie w takich okolicznościach. Chyba rozumiesz? No, wiesz, gdyby żyła, mógłbyś ją sam o to zapytać.

— Ale ona nie żyje — przerwał z goryczą Tom. — A jej śmierć leżała w waszym interesie.

Yvonne wciągnęła powietrze. — No, wiesz! Jak możesz mówić coś takiego!

— Mówię to w obecności tych, którzy przyłożyli rękę do jej śmierci. Yvonne podniosła dłoń do ust.

— Chyba postradałeś zmysły? Nie

możesz...

— Przecież przeprowadzono śledztwo — przypomniał Amiens. — Tom, weź się w garść!

Rozumiem, jak się czujesz...

— Czyżby?

— Oczywiście. Wszyscy to rozumiemy. Przeprowadzono skrupulatne śledztwo. Biedna dziewczyna popełniła samobójstwo.

Tom skinął głową. — Przed kilkoma miesiącami sądziłem, że została zamordowana. Teraz już tak nie myślę. Jestem zdania, że rzeczywiście popełniła samobójstwo lub jej śmierć była przypadkowa.

— Sam więc widzisz. — Amiens z wyrazem ulgi rozparł się wygodniej na krześle. — Co za potwornie tragiczne zdarzenie — rzekł modulując starannie przygnębienie w głosie.

— Sąd mylił się przyjmując tezę, że powodem tego, co się wydarzyło, była depresja Kirsten po śmierci Maurice'a — przerwał Tom. Przeniósł wzrok na Roddy'ego. — Oczywiście, czuła ból po stracie ojca. To normalne w przypadku córki. W przypadku syna zresztą też. Prawda Roddy?

Roddy sprawiał wrażenie chorego. Otrzeptał niewidzialny pyłek ze swojego kosztownego jedwabnego pulowerka. Jego niebieskie oczy spoglądały w bok, unikając wzroku Toma.

— Kirsten czekała na mnie — powiedział Tom. — Często machała do mnie z tarasu, kiedy learjet podchodził do lądowania nad jeziorem. — Głos mu się załamał. Oparł się o stół i patrzył na swoje palce. — Zawsze niecierpliwie wyczekiwała mojego powrotu. Lecz tego dnia było inaczej. Musiała być bardzo wstrząśnięta, przygnębiona.

452

Może zapłakana. Roztrzęsiona i wzburzona cisnęła coś za balustradę, chcąc się tego pozbyć. A potem — przełknęła ślinę — sama runęła w przepaść. — Nie wiem, czy zrobiła to umyślnie. Lecz jestem pewny, że taki miało to przebieg. — Sięgnął do kieszeni marynarki po papierosa.

— Tom — powiedziała Yvonne rozkładając ręce — nie powinieneś siebie obwiniać...

— Nie obwiniam siebie — uciał krótko. Zapalając papierosa osłonił dłońmi płomień zapalniczki.

Wydymuchał dym i przenikliwie spojrzął na Yvonne ciemnymi oczami. — W jaki sposób wydobyłaś od niej te udziały, Yvonne?

— W jaki sposób ja je wydobyłam? — Obróciwszy się na krześle Yvonne spojrzała nerwowo na męża. — Po prostu zapłaciłam za nie. Wiesz, jak między nami jest, Tom. André zawsze załatwia wszystkie sprawy. Ale skoro dał Kirsten słowo...

— Ile jej zapłaciłaś?

André parsknął: — To nie twoja sprawa! Już ci mówiłem: warunki umowy były tajne.

Nie zwracając na niego uwagi, Tom nadal wpatrywał się w Yvonne. — Sprawdziłem rachunki bankowe Kirsten. Nie wpłynęła na nie żadna znaczna suma.

— Znaczna suma? — Yvonne zrobiła się czerwona. — Twierdzę, że była to bardzo znaczna suma. Wszystko, co posiadam, poszło pod zastaw tych pieniędzy. Wszystko!

— To nie twoja sprawa! — wrzasnął Amiens. — Transakcja odbyła się legalnie, z zachowaniem wszelkich formalności. To powinno ci wystarczyć!

— Tak myślisz? — wtrącił Tom. — Sąd mógłby tu być odmiennego zdania, gdyby się okazało, że nie wzięto pod uwagę wszystkich okoliczności. Zapytaj Constantina. On jest prawnikiem.

— Ale my zapłaciliśmy — zawołała Yvonne. — Zapłaciłam za to fortunę. — Oszołomiona, mocno ścisnęła rękę Amiensa.

— Oczywiście, że zapłaciliśmy — Amiens oddał uścisk żonie i zwrócił się do Toma: — Po raz ostatni powtarzam, że wszystko odbyło się w pełni legalnie. Jeśli jesteś odmiennego zdania, możesz zwrócić się do sądu. Ja bym w ten sposób postąpił na twoim miejscu. Trudno chyba o uczciwsze rozstrzygnięcie sporu. — Poglaskał Yvonne po ramieniu i dodał: — Na razie jednak umowę z Kirsten uznaję za w pełni obowiązującą. Dałem słowo i zamierzam go dotrzymać. — Spojrzał na żonę, szukając u niej aprobaty. — Nie ma powodu, bym łamał dane raz przyrzeczenie. Prawda? — Naturalnie. Przecież zapłaciliśmy.

453

Cień przemknął po twarzy Toma. Poskramianie własnego gniewu stanowiło dla niego sprawdzian siły. I cierpliwości.

Roddy wtrącił: — Kirsten mogła mieć inny numer rachunku w banku. Przecież o wszystkim ci nie mówiła, co?

— Jak mam to rozumieć? — spytał Tom, piorunując go wzrokiem.

— To oczywiste — stwierdził jadowicie Roddy. — Skoro ci nie powiedziała, że sprzedaje udziały, dlaczego miałyby cię informować, co zrobiła z pieniędzmi za te udziały?

Tom wpatrując się w Roddy'ego i dobierając starannie słowa rzekł: — Było jeszcze coś, o czym mi nie powiedziała.

— To tylko potwierdza moją rację — uśmiechnął się krzywo Roddy.

— Znalazłem przy zwłokach Kirsten coś, czego nie ujawniłem szwajcarskiej policji.

Amiens uniósł brwi. — Ukryłeś dowody? — zawołał z dezaprobatą.

— Nie jest to rzecz, którą pragnąłbym ujawnić obcym — odparł Tom. Patrząc na twarz Hugona zastanawiał się, czy Hugo się uśmiecha, czy też jest to jego zwykły pogardliwy grymas. Dał znak Constantinowi.

Constantin przyniósł spod drzew projektor, sprawdził łącza w przewodzie, który Mavros wcześniej pociągnął na polanę.

Amiens odwrócił się na krześle. — Chcesz nam urządzić projekcję filmową?

— Owszem — potwierdził Tom.

— Zaczynamy — zawołał Constantin. Postacie, które pojawiły się na ekranie, były blade i słabo widoczne. Zniekształcone słonecznym światłem wydawały się nieostre. Constantin zatrzymał projektor i przeniósł go bliżej krzesła, gdzie siedziała Melody. Tom w tym czasie przesunął osłonę z dykty, by rzucała cień na ekran z białego płótna. Uznawszy, że wszystko już w porządku, Tom wrócił do stolika. Constantin włączył projektor i ustawił kadr na ekranie.

Tom dał mu znak, że może zaczynać.

Ostrość była dobra. Postacie wydawały się większe niż w rzeczywistości. Zacisnąwszy usta Tom

poprzysiągł sobie, że ogląda ten film po raz ostatni. Patrzył na różowy marmur tarasu, który ożył na ekranie. Weszła Kirsten, ubrana jedynie w dolną część skąpego bikini i tę idiotyczną maskę. Tańczyła. Był to powolny, zmysłowy taniec. Jej pełne piersi kołysały się w rytm ruchu bioder. Znalazła się teraz blisko osłoniętego maską, nagiego mężczyzny z rącznikiem na kolanach. Mężczyzna siedział rozparty w krześle i patrzył na Kirsten, gdy zbliża się do niego. Uniósł kieliszek w toaście. Kirsten uśmiechnęła się. Poruszyła ustami, coś mówiła, a może śpiewała? Odrzuciła do tyłu głowę...

454

I om wbił paznokcie w dłoń. Tysiące razy patrzył na Kirsten, gdy śmiała się do niego, lecz nigdy nie robiła tego w ten sposób, jak na ekranie. Jakby się całkiem zapamiętała w tym śmiechu...

Próbował sobie wyobrazić, jak brzmiałby ten jej śmiech. Ileż więcej można by się było dowiedzieć ze ścieżki dźwiękowej.

Kirsten wysunęła biodra do przodu. Dłońmi pieściła swoje piersi w geście niedwuznacznej zachęty. Jej skóra lśniła od olejku. Mężczyzna odstawił kieliszek i wyciągnął do niej lewą rękę. Kirsten przyłgnęła do niego, przyciskając jego odrażającą, osłoniętą maską głowę do swego ciała i pochylając się tak, by mógł ssać jej pierś... I wciąż się tylko śmiała i śmiała...

Rącznik zsunął się z kolan mężczyzny, odsłaniając jego prawą rękę, którą pobudzał nabrzmiały członek.

Tom z napięciem wpatrywał się w czarną maskę. Dokładnie zakrywała całą głowę mężczyzny — nie było widać ani kawałka twarzy, po którym można by go zidentyfikować. Materiał ze szczelinami tylko na oczy i usta mocno opinał górną część czaszki i luźno opadał na szyję.

Kiedy mężczyzna wsuwał dłoń między jej uda, Kirsten wiała się i ocierała o niego. Wbiła mu w plecy paznokcie, gdy ściągał z niej dolną część bikini, odsłaniając blade półksiężycy pośladków. Zrzuciwszy bikini Kirsten rozchyliła nogi... cały czas nie przestając się śmiać.

Yvonne wciągnęła głęboko powietrze. Nie mogła oderwać oczu od ekranu, na którym zamaskowany mężczyzna uniósł biodra do góry, a Kirsten, jedną ręką rozchylając swe wejście, a drugą gładząc pieszczotliwie piersi, usiadła na nim okrakiem.

W bladym słonecznym świetle zalśnił pot na czole Amiensa.

Twarz Roddy'ego wyrażała głębokie napięcie, widać to było w gładkości jego skóry na kościach policzkowych.

Hugo wstrzymał oddech i otworzył usta.

Mężczyzna na ekranie rytmicznie wchodził w Kirsten.

Nagle pojawiła się nowa postać na ekranie. Tańczył jakiś mężczyzna, był nagi, nosił jedynie groteskową maskę ze skóry i kości, przypominała łeb dziwnego zwierzęcia o przerażająco długich kłach. Jeszcze jeden facet z twarzą pomalowaną jak u błazna wskoczył w środek kadru, onanizując się obiema rękami. Kamera poszerzyła krąg widzenia, ukazując więcej postaci — cztery, pięć, sześć, wszystkie nagi i w maskach. Jedna z nich, Murzynka, przykucnęła w pozycji psa, jakiś samiec brał ją w akcie sodomii.

Nagle Constantin zatrzymał projekcję. Przytłumiony szmer aparatu urwał się raptownie; słychać było tylko szum morza bijącego o skały.

Yvonne przyłożyła chusteczkę do nosa. — Nie rozumiem. Mówisz,

455

że znalazłeś ten film... — nagle odwróciła się od Toma. Zobaczyła, co dzieje się na skraju urwiska. Oczy rozszerzyły jej się ze zgrozy, otworzyła usta do krzyku, który przeszył powietrze, ginąc w koronach drzew.

W pętli na szubienicy zawisła naga postać w masce na twarzy.

Mavros obrócił koło u podstawy rusztowania. Zębatki ruszyły ze zgrzytem, aż ramię szubienicy ze zwisającą na stryczku postacią zastygło nad urwiskiem.

— To tylko kukła — krzyknął Amiens, przyciskając do siebie Yvonne, by uciszyć jej krzyk. — Do diabła, to tylko kukła!

Łkając przytuliła się do niego.

Mavros podszedł do umieszczonej z boku dźwigni. Pociągnął uchwyt do siebie obydwoma rękoma. Powróż zaszumił, kółka prowadnicy nabrały rozpędu, a zwisająca na linie postać, kręcąc się chybotliwie wokół własnej osi, z szarpnięciem oderwała się wraz z liną od szubienicy i poszybowała ze świstem w dół.

Odręczając Yvonne Amiens zerwał się na nogi. — Co to ma znaczyć? — Trzęsąc się z napięcia zrobił krok w stronę stolika obok ekranu.

Stojący obok Toma dwaj mężczyźni podnieśli lufy karabinów. Amiens zatrzymał się.

— Jeszcze raz pytam — powiedział ochryple Tom — jak udało ci się nakłonić Kirsten do odstąpienia udziałów?

— Ja? — Amiens wskazał palcem na siebie. — Dlaczego ja? Dlaczego zawsze ja? — Odwracając się za siebie wykonał gest, jakby chciał wskazać palcem innego, ale opanował się szybko. — Już ci mówiłem...

— Roddy! — przerwał tę orację Tom. — Czy znasz odpowiedź?

— Ja?... A skąd!

— Hugo?

— Nic mi nie wiadomo o udziałach.

Amiens rozłożył ramiona, jak gdyby chciał się podzielić z Tomem swoim mniemaniem o własnej niewinności. — Tom, dałem słowo, że dochowam tajemnicy.

Nagle Roddy zapiszczał: — Zostawcie mnie, zostawcie mnie w spokoju!... — Szarpiąc się gwałtownie, usiłował wyrwać się z rąk Petsasa i Mavrosa, którzy zakładali mu pętlę na ramiona. — Puśćcie mnie, sukinsyny! Zostawcie!...

Ale oni byli silniejsi. Ciągnęli kopiającego i szamoczącego się Roddy'ego pod szubienicę. Zapierając się nogami, Roddy usiłował rozciągnąć się na ziemi, tamci wlekli go dalej. Jego białe buty podniosły tuman kurzu. Mavros wskoczył na rusztowanie, podciągnął tam Roddy'ego, a Petsas mocniej zacisnął pętlę wokół jego klatki piersiowej.

456

Melody krzyknęła i zakryła dłońmi twarz. Yvonne jęczała.

Amiens stał nieruchomo, wpatrując się w szubienicę.

Hugo zerknął na ścieżkę prowadzącą do willi. Wydawało się, że podjął już decyzję ucieczki, lecz jego wzrok zatrzymał się na mężczyznach przy stoliku i rozmyślił się. Obydwaj skierowali prosto w niego lufy karabinów.

Roddy wciągnięty na rusztowanie padł na kolana. Mavros przerzucił linę przez kółko prowadnicy, a potem pobiegł przymocować jej koniec do kołowrotu. Zakręcił korbą. Lina zacisnęła się pod pachami Roddy'ego i podciągnęła go na nogi. Jego jasne spodnie zdobyła coraz bardziej powiększająca się plama. Pisnął: — Stójcie! Do diabła, przestańcie!

Mavros zdjął rękę z korby.

Roddy, ze związanymi z tyłu rękami, stał i płakał. Amiens zaczął krzyczeć: — Tom, ty całkiem oszalałeś! Odbiło ci! Nie ujdzie ci to płazem! Wszyscy wiedzą, gdzie teraz jesteśmy!

— Nie obchodzi mnie to. — Tom nie mógł zapanować nad drżeniem rąk. Zacisnął je mocniej na krawędzi stolika, usiłując nie stracić kontroli nad sobą. — To ty ją zniszczyłeś — powiedział. — Zrobiłeś to w swój perfidny sposób. Nie pchnąłeś jej w przepaść, na to jesteś zbyt wielkim tchórzem. Ale zmusiłeś ją do tego psychicznie.

— On tylko zgaduje! — z udawaną pewnością siebie krzyknął Hugo. — Nic nie wie! Nie może wiedzieć. To tylko blef! — wołał do Roddy'ego. — Brak mu dowodów!

Tom skinął na Mavrosa. Mavros natychmiast zakręcił korbą. Stopy Roddy'ego uniosły się nad rusztowaniem.

— Nie! Do diabła! Przestańcie! — wrzasnął Roddy.

Zębatki zazgrzytały. Ramię szubienicy ruszyło nad urwisko. Roddy wywijał nogami w powietrzu. Z nosa spływał mu śluz. Usiłował coś mówić, lecz efektem był niezrozumiały bełkot. Nadal krzyczał. Pod stopami wisielca rozpostarło się Morze Egejskie ze spienionymi grzywami fal bijącymi w

przybrzeżne skały.

Tom spytał: — To ty nakręciłeś ten film, prawda?

Możliwe, że Roddy nie usłyszał pytania. Spojrzał na powróż- — Przestańcie! Proszę. Zrobię wszystko, co zechcesz. Tylko nie to! O, niech to szlag! — Powiew wiatru przyniósł na polanę smród z opróżnionych jelit Roddy'ego. — Nie wieszaj mnie! Nie krzywdź!

Tom głośno powtórzył pytanie.

— Niech cię diabli! Możesz zabrać wszystkie pieniądze. Zrobię wszystko!...

— Czy to ty nakręciłeś ten film?

457

— Tak... Nie... To nie była moja wina... To oni! — Roddy wyrzucał z siebie urywane słowa, z trudem łapiąc oddech. Wykrzywił twarz w strasznym grymasie. — Zrobię wszystko... Nie wieszaj mnie... Przyznam się!...

Nagle Hugo rzucił się przed siebie. Przewróciwszy krzesło, biegł do rusztowania. Zanim Mavros zdążył się zorientować, Hugo chwycił za dźwignię. Constantin rzucił się na Hugona, który wypuścił dźwignię z rąk. Lina zaświstała, kółka jęły się kręcić. Roddy zaczął spadać. Mavros błyskawicznie przystopował dźwignię nogą. Hugo ze ściskającym go za gardło Constantinem upadli na ziemię. Kółka przestały się obracać, korba stanęła, a lina zatrzymała się z szarpnięciem. Roddy wisiał w powietrzu, krzycząc resztkami sił.

Mavros obracał kołem i cofał ramię szubienicy z powrotem nad rusztowanie. Opuścił Roddy'ego w dół. Roddy uderzył nogami w deski i upadł na podest, lina uchroniła go od upadku na twarz.

Dźwignął się na kolana i wrzasnął do Hugona: — Chciałeś mnie zabić! — Na ułamek sekundy strach i przerażenie na jego twarzy ustąpiły miejsca niedowierzaniu, które przemieniło się we wzgardę. — A ja to wszystko robiłem dla ciebie!... — Litość nad sobą ścisnęła mu gardło. — Wszystko! — Zakrztusił się łzami. — Wszystko dla ciebie! — Szlochając opuścił głowę.

Mavros i Petsas zaciągnęli na wpół przytomnego Hugona na krzesło.

Tom, chcąc wykorzystać sprzyjającą chwilę, natarł na Roddy'ego: — Jak do tego doszło?

Pociągając nosem, Roddy wychlipał: — Nikt nie myślał, że ona popełni samobójstwo. Tylko proszę, Tom, nie rób mi krzywdy!

— Jak nakręciłeś ten film?

Hugo zerwał się na nogi. — Nic nie mów! Zamknij się! — krzyknął. — Nie! — Petsas wymierzył mu policzek. Potem jeszcze jeden, i jeden, aż Constantin musiał interweniować i odciągnąć go od Hugona.

Tom zbliżył się do rusztowania. Nie czuł dla Roddy'ego współczucia. Oni też nie litowali się nad Kirsten.

Roddy cofnął się. — Nie! — krzyknął. — Nie! — Przełknął ślinę. — To było wtedy, gdy ojciec dostał zawału. Poszliśmy na „Afrodytę”. Kirsten była przygnębiona...

A więc stało się to wówczas, gdy Maurice doznał zawału. Wtedy.

— ...wszyscy byliśmy nieźle naćpani. Urządziliśmy na jachcie balangę. Kiedy wróciliśmy do willi, Kirsten płakała. — Roddy obrzucił Hugona nienawistnym spojrzeniem. — To był pomysł Hugona. Miał trochę potrójnego E. Wsypał to do drinka Kirsten.

— Potrójnego E?

458

Roddy spojrział na niego. — E to ekstaza. Tyle że trzy razy mocniejsza. MDMA. Hugo ma dostawcę.

Tom zaczął rozumieć. Wiedział o „Ekstazie”. MDMA. A tamta dawka była trzy razy mocniejsza.

Chryste Panie! Od kiedy zaczął podejrzewać, że Kirsten została odurzona narkotykami, przestudiował wszystkie dostępne opracowania o środkach podniecających. Zebrał całkiem pokaźną bibliotekę książek z tej dziedziny.

— Mów dalej — kazał mu oschle.

Roddy pociągnął nosem. — Potem jeszcze dużo wypła.

— Nic dziwnego. Nawet zwykłe MDMA odwadnia organizm.

— Tak, ale Hugo przyrządził jej jeszcze kilka drinków i... Dostała po tym pełnego świra...

Tom zacisnął pięści. MDMA wprawia delikwenta w euforię, usuwa wszelkie zahamowania. Nawet niewielka dawka wywołuje podniecenie seksualne. Przypomniała mu się relacja człowieka, który pierwszy raz wziął MDMA: „Nagle poczułem, jak rozpiera mnie miłosne uniesienie. Czułem je w palcach stóp, a potem w całym ciele. Jakby gaz rozśmieszający rozszedł się w moich żyłach. Szumiało mi głowie... Gorące dreszcze przenikały ciało... Ponośliła mnie nieprzeparła chęć odbycia stosunku”.

— Zrobiliśmy to dla kawału — powiedział Roddy.

Kawał! Tom pamiętał, że MDMA zatruwa mózg już przy dozie 1,7 miligrama na kilogram wagi ciała... Jest stukrotnie bardziej groźna od amfetaminy... Doza wyższa od przeciętnej uszkadza mózg w sposób nieodwracalny.

Ta była trzy razy mocniejsza!

Roddy nadal szlochał... — Od tego się zaczęło... Ja miałem trochę w czubie... ktoś włączył kamerę.

— W tym czasie umierał twój ojciec! — krzyknął Tom. — Wielki Boże, zrobiłeś to własnej siostrze, podczas gdy twój ojciec umierał!

Roddy usiłował coś powiedzieć, ale słowa uwieźły mu w gardle, zakrztusił się.

Tom odwrócił się od niego. Obrzydzenie wzięło w nim górę nad nienawiścią. Czuł dochodzący od Roddy'ego smród kału. Widział jego poplamione moczem spodnie, słyszał jego smarkliwą skrucę...

Jednak do siebie także czuł wstręt. Czy rzeczywiście aż tak mało ufał Kirsten? Kiedy zobaczył ten film, doznał szoku, poczuł się zdradzony. Teraz było mu wstyd. Zbyt łatwo zwątpił, zbyt szybko ją osądził.

Wszystko zaczynało do siebie pasować. Zachowanie Kirsten na pogrzebie Maurice'a. Jej głęboka depresja. „Dzień po zażyciu narkotyku badani budzą się z uczuciem upojenia alkoholowego, ale 459

dopiero następnego dnia nachodzi ich depresja, która w niektórych przypadkach utrzymuje się przez cały następny dzień...”

Jeśli uwzględni się jeszcze rozpacz po stracie Maurice'a, Kirsten musiała się czuć tak, jakby wpadła w studnię bez dna.

Roddy skamlał: — Dostaniesz wszystko, co chcesz, tylko się zlituj! Mam jeszcze część pieniędzy...

— Nie! — wrzasnął Hugo. — Potrzebna mi ta forsa na film, Roddy!

— Draniu! Dopiero co chciałeś mnie zamordować! Nienawidzę cię i twoich pieprzonych filmów!

Chodzi ci tylko o te filmy, o nic więcej. To ty kazałeś mi iść po André, pieprzony draniu!

Wrzaskliwą odpowiedź Hugona stłumił Petsas. Tom obrzucił Amiensa szybkim spojrzeniem.

Francuz siedział na krawędzi krzesła. Pot lśnił na jego twarzy. Obok niego Yvonne spoglądała na Roddy'ego z mieszaniną odrazy i niedowierzania.

Tom ponownie przeniósł wzrok na Roddy'ego. — Więc Hugo wysłał cię do Amiensa, żebyś zdobył pieniądze na film?

— On już wcześniej pożyczał nam forszę.

— Ale przecież Maurice zostawił ci udziały.

— André nie chciał ich kupić. Roześmiał mi się prosto w twarz. — Nie są mi potrzebne — powiedział. — Nie dadzą mi kontroli nad przedsiębiorstwem. Zdobądź również udziały twojej siostry. A wtedy pogadamy.

Następna część układanki znalazła swoje miejsce, ale Tom nadal nie mógł dopasować najważniejszej części. — Kirsten nie sprzedałaby przecież udziałów — rzekł wpatrując się w Roddy'ego.

— Wiem — Roddy przełknął ślinę. — Kiedy powiedziałem o tym André, odparł: „Pokaż jej film. Zmieni zdanie, kiedy go obejrzy”.

Tom tak bardzo był wstrząśnięty tym, że Roddy szantażował siostrę, iż umknęły mu inne implikacje tego, o co właśnie spytał. — Kiedy? — krzyknął. — Kiedy z tym do niej poszedłeś?

Roddy, przerażony, znów zaczął niezrozumiale bełkotać.

— Kiedy? — ryknął Tom.

— ...Ty byłeś wtedy w Londynie. Po pogrzebie. Veronica wyjechała. Poszedłem do château. Kirsten była sama...

Tom jęknął. — Boże, Boże! A tak chciała być sama! Roddy zachlipał. — Powiedziałem jej, że pokażę ci ten film.

— A co z tym świadkiem? — przerwał mu Tom. — Ten prawnik...

— ...Czekał w samochodzie. Wezwałem go, kiedy się zgodziła. Odwracając się od niego z obrzydzeniem, Tom zauważył dziwny

wzrok Yvonne, która wpatrywała się w Roddy'ego. — Skąd mój mąż wiedział o tym filmie? — zapytała.

460

Amiens podskoczył na krześle. — A jak myślisz, skąd mógłbym wiedzieć? Roddy powiedział mi o nim, oczywiście. Przyszedł do mojego biura...

— Nie! — zawył Roddy odwracając głowę do Toma i napinając przy tym linę. — Nie wiedziałeś? Nie powiedziałem tego jeszcze? Amiens tam był... na „Afrodyce”!

Amiens zerwał się na nogi i jął ciągnąć Yvonne. — Chodź! Wystarczy już tego widowiska! Wyrwała się. — Nie! Zostań tu.

— Już tyle czasu się to ciągnie. A ja mam inne sprawy. — Chwycił Yvonne za rękę i wyprowadzał ją z rzędu krzeseł.

Yvonne stawiała opór. — Nie, André, zaczekaj!

— Ona tam był — krzyknął Roddy. — To Amiens jest tym facetem w masce. To on pieprzył Kirsten.

Tomowi serce przestało bić.

Szarpnawszy się mocno Yvonne wyrwała się Amiensowi.

— Chodź! — wrzasnął wściekle, ciągnąc ją do siebie lewą ręką. Prawą wyrzucił przed siebie, z zamiarem pochwylenia Yvonne za ramię, ale trafił ją prosto w twarz. Yvonne krzyknęła i zatoczyła się. — Do diabła! — krzyknął Amiens i pochylił się nad żoną, chwytając ją pod ramiona. W tym momencie dosięgnął go cios Mavrosa. Silne uderzenie w głowę za lewym uchem. Amiens puścił Yvonne, zgiął się wpół i upadł. W tej samej chwili podbiegł do niego Petsas i razem z Mavrosem zawlekli go na krzesło.

Ale pomógł Yvonne wstać. Melody przykładła jej do ust chusteczkę. Delikatnie posadzili ją na krześle.

Roddy nie przestawał mówić: — André zawsze miał ochotę na Kirsten. — Skulił się i trząsł ze strachu, obawiając się konsekwencji, ale chciał, by Tom mu uwierzył. — To miał być kawał, złośliwe odegranie się na twojej żonie...

— Kłamca! — zdążył jeszcze wrzasnąć Amiens, bo Mavros natychmiast usadził go mocniej na krzesło i zakneblował mu usta chusteczką.

— To prawda — Roddy z trudem widział Toma przez łyzy. — Tak było! Przysięgam.

Tom nie wątpił, że to prawda. Potrafiłby teraz zadusić Amiensa gołymi rękoma. Wiedział, że zrobiłby to, gdyby tylko na niego spojrział. Opuścił wzrok. Mocno zacisnął pięści, myśląc nad tym, co przeżywała Kirsten, gdy próbowała przełamać kryzys, by mu o tym powiedzieć. Oczyma wyobraźni widział, jak krąży nerwowo po tarasie, dostrzega jego samolot...

461

Gorące łyzy napłynęły mu do oczu. To był tylko wypadek. Może chciała wyrzucić ten film za balustradę. Tego już nigdy się nie dowie. Będzie z tymi wątpliwościami musiał żyć aż po kres swoich dni.

Czując mdłości od widoku i smrodu Roddy'ego, Tom podszedł do stolika i zwałił się ciężko na krzesło. Taki był jeszcze niedawno pewny, co robi, kiedy dowie się prawdy. Sięgnął po papierosa. Czuł, że dość ma całego świata, wszystkich kłamstw, całego fałszu, zachłanności i okrucieństwa,

które doprowadziły do śmierci Kirsten. Skierował wzrok na morze, chcąc uniknąć czujnych spojrzeń wszystkich.

Siedział kilka minut pogrążony w myślach.

— Poznaliśmy całą prawdę — odezwał się czyjś głos.

Tom otrząsnął się z zamyślenia i ze zdumieniem zauważył obok siebie Yvonne. Miała rozciętą dolną wargę, która zaczynała już puchnąć. Strojna suknia była wymięta i brudna. Wyglądała na tak zmęczoną, chorą i starą, jak zmęczony, chory i stary czuł się on sam.

— Myślę, że poznaliśmy już całą prawdę — powtórzyła patrząc na niego żałośnie.

Skinął głową.

— Zawsze potrafiłeś dowieść swoich racji — powiedziała z cieniem uśmiechu. Jej wzrok powędrował na morze. Słońce zaszło już za horyzontem, zabierając ze sobą ciepło dnia i pozostawiając cienisty chłód wieczoru. Morze oblekało się szarością.

— Nie ma to teraz większego znaczenia, ale chciałabym, byś wiedział, że nie miałam o tym pojęcia.

— Do głowy mi nie przyszło, że ty o tym wiesz. Spojrzała na niego. — Dziękuję.

Wzruszył ramionami.

— Powiedział mi, że pokłóciłeś się z Kirsten i że chyba się rozejdziecie. Kirsten postanowiła sprzedać udziały. Tak mi to przedstawił.

Tom milczał.

— Zmarnowałam życie, usiłując coś sobie udowodnić — ciągnęła cicho Yvonne. — Ojciec mówił, że André pragnie tylko moich pieniędzy. Tak bardzo chciałam dowieść, że nie ma racji, iż udawałam, że nie widzę wielu rzeczy. Oczywiście, André zawsze miał jakieś kobiety, o wielu wiedziałam... Ale nigdy nie podejrzewałabym go o coś takiego — z odrazą wskazała ekran. — Nigdy nie przypuszczałam... — Głos jej zamarł, pozostawiając po sobie pogardliwe echo. — Nie powtarzaj mojego błędu, tylko tyle chcę ci powiedzieć. Nie rujnuj sobie życia starając się dowieść swoich racji.

Tom podniósł na nią wzrok.

— Pragniesz zemsty? — spytała jeszcze.

462

Poczuł się zażenowany tym pytaniem. Jej wciąż chodzi o ciało. Na tym jej zależy?

— Ta mała podła gnida i Hugo przybyli tu jako kochankowie — dodała. — Popatrz teraz na nich. Nawet nie patrząc na Roddy'ego, Tom słyszał jego pochlipywanie.

— Teraz się nienawidzą. Pozostaw ich samym sobie, a dokończą za ciebie dzieła unicestwienia.

Tyle że zrobią to wolniej. — Yvonne nakryła jego dłoń swoją. — Cokolwiek uczynisz, nic już nie będzie takie samo dla nas obojga.

Tom spojrzał na przyozdobione pierścionkami palce jej dłoni.

— Jeszcze bardziej bym nimi gardziła, gdybym i do siebie nie czuła pogardy — powiedziała. — Udało ci się otworzyć mi oczy i sprawić, bym mogła przyjrzeć się sobie. Nie jestem zachwycona tym, co zobaczyłam. — Puściła jego dłoń i zaczęła obracać obrączkę na palcu. — Czy potrafisz odebrać od niego moje pieniądze? — zapytała wskazując na Roddy'ego i marszcząc z odrazą nos. Oczy Roddy'ego, który klęczał uwalany własnymi odchodami, zajaśniały nadzieją. — Oddam wszystko, wszystko...

— Odbierz mu te pieniądze — powiedziała do Toma Yvonne. Odeszła od stolika, zdjęła z palców pierścionki. Dwa pierścionki i obrączkę. Zatrzymała się kilka kroków od urwiska i bez wahania cisnęła je przed siebie. Kiedy wróciła do Toma, w jej przejrzystych oczach nie było cienia wątpliwości. — Bez względu na to, ile od niego odbierzesz, oddam ci wszystkie udziały. Zarówno jego, jak i Kirsten. Będziesz miał ponad siedemdziesiąt procent. Zostaniesz rzeczywistym właścicielem Stanton Industries, bez żadnych zobowiązań.

Kiedyś dałby sobie rękę uciąć, by to usłyszeć. Stanton Industries to było jego życie. Gdy jeszcze żył Maurice... Gdy poznał Kirsten... Gdy się w sobie zakochali i wzięli ślub... Stanton Industries było ich częścią, a oni byli częścią Stanton Industries.

Yvonne zapytała: — Czy nie będziesz miał nic przeciw temu, bym sobie zatrzymała moje

jedenaste procent? Zawiodłam mojego ojca pozwalając, by André mógł korzystać z tych udziałów. Sądzę, że ojciec by się ucieszył, gdyby wiedział, że pozbyłam się André i zatrzymałam udziały. Tom przeniósł wzrok z Yvonne na Amiensa, który z wykrzywioną z wściekłości twarzą usiłował przegryźć knebel. Potem popatrzył na Hugona, który siedział zgarbiony na krześle. I na Roddy'ego, którego jęki nieustannie dobiegały spod szubienicy.

Constantin pokuśtykał do Toma. — Yvonne ma rację. Nic już nie będzie takie samo. Ci dwaj zniszczą się nawzajem — wskazał na

463

Hugona i Roddy'ego. — A on — wskazał Amiensa — stracił żonę, stracił Stanton Industries, stracił wszystko. — Constantin spojrział Tomowi w oczy. — Czy taka zemsta wystarczy?

Alec dodał: — Po takim odwecie można już żyć.

Tom popatrzył na niego. Wiedział, że Alec ma rację. Mądry stary Alec Hargreaves. Zawsze mógł na niego liczyć. Jeszcze od czasów wspólnej pracy w Boltonie. Nie wiedzieć czemu przypomniał mu się nagle dzień, gdy razem z Alekiem szukali biura Maurice'a przy Jermyn Street.

— Tom?... — Constantin czekał na odpowiedź.

Kiedy podniósł głowę i spojrzął na Constantina, przypomniał sobie koszmarną jazdę przez Ateny... I łzy Melindy, gdy już się znaleźli na pokładzie „Heleny”.

Tom podjął decyzję: — Podzielcie się po połowie z Alekiem tymi udziałami — powiedział do Constantina. — Maurice i Kirsten z pewnością by to aprobowali.

Czuł się śmiertelnie zmęczony. Całkowicie wyczerpany. Odwróciwszy się do Yvonne, rzekł: — Chodź. Zabierzemy Melody i wrócimy do willi. Alec z Constantinem zajmą się resztą.

Kiedy wracali z polany, ścieżka tonęła już w mroku. Tom zamyślił się. Zbliżający się ku końcowi dzień zabierał z sobą jakąś część jego życia. Niedługo zostanie tylko wspomnieniem. Lecz gdy nadejdzie nowy dzień, czasu starczy mu aż nadto, by zacząć myśleć o przeszłości.